

Strona Guermites, część pierwsza





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Strona Guermantes

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM PIERWSZY

Ranny szczebiot ptaków niecierpliwł Franciszkę. Lada odezwanie się którejś z „młodszych” podrzucało ją; podrażniona każdym ich krokiem, zadawała sobie pytanie, co one mogą robić? A wszystko stąd, żeśmy się przeprowadzili. Zapewne, na poddaszu dawnego mieszkania służba hałasowała nie mniej niż tutaj; ale Franciszka знаła wszystkich, krzątania ta stała się jej czymś przyjaznym. Teraz nawet cisza była przedmiotem jej bolesnej uwagi. Że zaś spokój nowej dzielnicy zdawał się przeciwieństwem hałaśliwego bulwaru, przy którym mieszkaliśmy dotąd, piosenka jakiegoś przechodnia — dochodząca z odłali niby motyw orkiestry — sprowadzała lzy do oczu Franciszki-wygnanki. Żartowałem z niej sobie, kiedy, zrozpaczona, że musi opuścić kamienicę, gdzie „każdy człowieka tak szanował”, pakowała rzeczy, płacząc wedle rytuału Combray i głosząc, że dom, gdzie mieszkaliśmy dotąd, miłszy był od wszystkich możebnych domów. Ale teraz, kiedy widział, iż kamienica, gdzie nieznający nas jeszcze odźwierny nie okazał Franciszce szacunku niezbędnego dla jej duchowego zdrowia, pograżyła ją w stanie bliskim uwiędu, ja, który równie łatwo przyswajałem sobie rzeczy nowe, jak porzucałem stare, zbliżyłem się do naszej starej służącej. Ona jedna mogła mnie zrozumieć; to pewne, że nie byłby do tego zdolny młody lokajczyk (osobnik niemający nic z „ducha Combray”); dla niego przeprowadzka, mieszkanie w innej dzielnicy, to było coś jak wakacje; nowość otaczających rzeczy działała nań orzeźwiająco jak podróż; miał wrażenie, że jest na wsi; katar, jakiego się nabawił, dał mu — niby „zawianie” nabyte w wagonie, gdzie się szyba nie domyka — rozkoszne uczucie, że zwiedził kawał świata; za każdym kichnięciem cieszył się, iż znalazł takie „galante miejsce”, ile że zawsze marzył o państwie, „które by dużo podróżowało”. Toteż nie zwracając na niego uwagi, podszedłem wprost do Franciszki; ale ponieważ śmiałem się z jej łez przy wyprowadzaniu się, które mi było obojętne, ona teraz okazywała się lodowata wobec mego smutku — bo go podzielała. Wraz z rzekomą wrażliwością nerwowców rośnie ich egoizm; nie mogą znieść u innych osób przejawów cierpienia, na które u siebie samych zwracają coraz więcej uwagi. Franciszka, która nie przepuściła żadnej własnej dolegliwości, odwracała głowę, kiedy ja cierpiałem; chciała mnie pozbawić tej przyjemności, że moje cierpienie spotkało się ze współczuciem, że je bodaj zauważono. Tak samo robiła, kiedy z nią chciałem mówić o nowym domu. Zresztą, zmuszona trzeciego dnia iść po jakieś rzeczy zapomniane na dawnym mieszkaniu, gdy ja w następstwie przeprowadzki miałem jeszcze „parę kresek” i podobny węzowi boa po pożarciu wołu, czułem się przykro wzdęty długim kredensem, który mój wzrok musiał „strawić”, Franciszka z kobiecą niewiernością oświadczyła za powrotem, iż myślała, że się udusi na naszym dawnym bulwarze; że idąc tam, czuła się całkiem „jak zbłąkana”; że nigdy nie widziała tak niewygodnych schodów; że nie wróciłaby tam mieszkać „ani za cysarstwo” i choćby jej — dowolna hipoteza — dawano miliony; że wszystko (to znaczy w zakresie kuchni i korytarzy) jest o wiele lepiej urządzone w naszym nowym domu.

Ale czas powiedzieć, że ten lokal mieścił się w skrzydle pałacu Guermantes — a przenieśliśmy się tam, ponieważ babka, mając się niezbyt dobrze, potrzebowała więcej powietrza. Ale tegośmy babce nie mówili.

W pewnym wieku Nazwy — nastręczając nam obraz Niepoznawalnego, któryśmy w nich pomieścili, podczas gdy równocześnie oznaczają dla nas i realne miejsce — zmuszają nas tym samym do zidentyfikowania z sobą obu tych pojęć; tak iż śpieszymy szukać w jakimś mieście duszy, której ono nie może zawierać, ale której nie mamy już mocy wygnać z jego nazwy. Dają one indywidualność nie tylko miastom i rzekom, jak to czynią alegoryczne malowidła; nie tylko pstrzą różnicami, zaludniają cudownością świat fizyczny, ale i świat socjalny; wówczas każdy zamek, każde sławne domostwo lub pałac ma swoją damę lub wróżkę, jak lasy mają swoje duchy, a wody bóstwa. Czasami, ukryta w głębi swego imienia, wróżka zmienia się wedle życia naszej wyobraźni, która ją karmi; w ten właśnie sposób atmosfera, gdzie pani de Guermantes istniała we mnie, będąc przez całe lata jedynie odbłaskiem szkiełka latarni magicznej i kościelnego witrażu, zaczynała błędnać, kiedy całkiem inne marzenia nasyciły ją pienistą wilgocią strumieni.

Jednakże wróżka ginie, kiedy się zbliżamy do rzeczywistej osoby, której odpowiada jej imię; wówczas bowiem imię zaczyna odbijać tę osobę, niezawierającą nic z wróżki; wróżka

może się odrodzić, kiedy się oddalimy od osoby; ale jeżeli znajdujemy się w jej pobliżu, wróżka umiera ostatecznie, a wraz z nią imię, jak owa rodzina de Lusignan, mająca wygasnąć w dniu, w którym znikłaby wróżka Meluzyna¹. Wówczas nazwisko, w którym pod kolejnymi warstwami przemalowań moglibyśmy w końcu odkryć piękny portret obcej kobiety, której nie znaliśmy nigdy, jest już tylko prostą fotografią z paszportu, do której sięgamy myślą, aby sprawdzić, czy mamy się ukłonić przechodzącej osobie. Ale niech wrażenie sprzed lat — niby owe płyty muzyczne, zachowujące ton i styl rozmaitych artystów — pozwole naszej pamięci usłyszeć to nazwisko wraz z osobliwym dźwiękiem, jaki miało wówczas dla naszego ucha, to nazwisko na pozór niezmienione — a uczujemy odległość dzielącą od siebie rojenia zawarte dla nas kolejno w jego identycznych zgłoskach. Z usłyszanego znów świergotu, jakim brzmiało to nazwisko którejś dawnej wiosny, możemy na chwilę wycisnąć — niby z tubek z farbami — dokładny, zapomniany, tajemniczy i świeży odcień owych dni; ludziliśmy się natomiast, że je sobie przypominamy, kiedy, jak lichy malarz, dawaliśmy całej naszej przeszłości, pomieszczonej na tym samym płótnie konwencjonalne i jednakie tony świadomej pamięci. Otóż, przeciwnie, każda z chwil składających przeszłość używała dla swojej oryginalnej kreacji, w swojej jedynej harmonii, ówczesnych farb, których już nie znamy i które na przykład czarują mnie jeszcze nagle, jeżeli dzięki jakiemuś przypadkowi nazwisko „Guermantes”, odzyskawszy na chwilę po tylu latach dźwięk — tak różny od dzisiejszego — jaki miało dla mnie w dniu ślubu panny Percepied, odda mi ów kolor lila, tak słodki, zbyt błyszczący, zbyt nowy, jakim aksamitniał suty fontaż² młodej księżnej, oraz oczy rozslonecznione błękitnym uśmiechem niby świeżo zakwitły a niedosiężny barwinek. Ówczesne nazwisko „Guermantes” jest także niby dziecinny balonik, napęczniony tlenem lub innym gazem; kiedy go zdołam przebić, uwolnić jego zawartość, oddycham powietrzem Combray z owego roku, z owego dnia — powietrzem zmieszonym z zapachem głogów niesionym przez wiatr. Wiatr ten, zwiastun deszczu, to spędzał słońce, to pozwalał mu się kłaść na czerwonym kobiercu w zakrystii, strojąc go w błyszczące, niemal różowe tony geranii, oraz w tę, aby tak rzec, wagnerowską³ radosną słodycz, zachowującą w swojej odświętności coś tak szlachetnego. Ale nawet poza tymi rzadkimi minutami, kiedy nagle czujemy, jak pierwotna istność drży i odzyskuje swój kształt i rysunek w łonie umarłych dziś sylab, o ile w zawrotnym wirze bieżącego życia, w którym nazwiska mają zastosowanie już wyłącznie praktyczne, straciły one wszelki kolor, jak wielobarwny bąk, który kręcąc się zbyt szybko, wydaje się szary, w zamian za to, kiedy w chwilach zadumy zastanawiamy się nad tym, staramy się — wracając w przeszłość zwolnić, zahamować ciągły ruch, który nas porywa. I wówczas widzimy znów stopniowo sąsiadujące z sobą, ale zupełnie odrębne od siebie wzajem, różne barwy, jakie w ciągu naszego istnienia przybierało dla nas kolejno to samo nazwisko.

Bez wątpienia, nie wiem, co za kształt łączył się dla moich oczu z nazwiskiem „Guermantes”, kiedy piastunka — nie wiedząc z pewnością, jak i ja dzisiaj, ku czyjej czci tę piosnkę ułożono — kołysała mnie starą melodią: *Chwała margrabinie de Guermantes*; lub kiedy w kilka lat później stary marszałek de Guermantes, przejmując dumą moją bonę, zatrzymywał się na Polach Elizejskich⁴, powiadając: „Ładne dziecko!”, i wyjmował z małej bombonierki czekoladową pastylkę. Te lata pierwszego dzieciństwa nie są już we mnie, są poza mną; jeżeli mogę o nich coś wiedzieć, to chyba z opowiadań starszych, jak o tym, co się działo przed naszym urodzeniem. Ale później w trwaniu we mnie tego nazwiska odnajduję kolejno siedem czy osiem różnych twarzy; pierwsze były najładniejsze; stopniowo moje marzenie, zmuszone przez rzeczywistość do opuszczenia straconej pozycji, cofało się znów trochę wstecz, zanim mu trzeba było cofnąć się jeszcze. I równocześnie z panią de Guermantes zmieniała się jej siedziba, poczęta również z tego nazwiska, zapładnianego z roku na rok jakimś zasłyszonym słowem odnawiającym moje marzenia, siedziba ta odbijała owe marzenia w samych swoich kamieniach, nabierających

¹Meluzyna — postać z podań i legend francuskich, kobieta z węzowym lub rybim ogonem, czarodziejka; miał od niej pochodzić potężny średniowieczny ród Lusignan, z którego pochodzili królowie Jerozolimy i Cypru, wygasły w XV w. [przypis edytorski]

²fontaż — ozdoba fryzury kobiecej z koronek i wstążek upiętych wysoko nad czołem. [przypis edytorski]

³wagnerowski — taki jak u Richarda Wagnera (1813–1883), niemieckiego kompozytora. [przypis edytorski]

⁴Polca Elizejskie — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle’a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

własności zwierciadła, niby powierzchnia chmury lub jeziora. Bezcielesna baszta, która była jedynie smugą pomarańczowego światła, a z której wyżyn pan zamku oraz jego małżonka rozstrzygali o życiu i śmierci wasalów, ustąpiła miejsca — na samym krańcu owej „strony Guermantes”, gdzie tyle razy w piękne popołudnie szedłem wraz z rodzicami brzegiem Vivonne — ustąpiła miejsca okolicy obfitej w strumienie, gdzie księżna uczyła mnie łowić pstrągi i poznawać kwiaty o fioletowych i czerwonych kiściach, strojące niskie mury dookólnych zagród; potem były to dziedziczne dobra, poetyczna rezydencja, gdzie dumna rasa Guermantów, niby poźółkła i zdobna kwiatami wieża, która przetrwała wieki, wznosiła się już nad Francją, wówczas gdy niebo było jeszcze puste, tam gdzie miały się później wzniesić Notre Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres⁵, wówczas kiedy na szczycie wzgórza Laon nawa katedry nie osiadła niby arka potopu na szczycie góry Ararat, pełna Patriarchów i Sprawiedliwych, trwożnie wychylających się z okien dla sprawdzenia, czy gniew boży się uśmierzył, niosąca z sobą odmiany roślin mających się rozmnożyć na ziemi, kipiąca zwierzętami wydzierającymi się nawet przez wieże, skąd woły, przechadzające się spokojnie na dachu, patrzą z góry na równiny Szampanii; wówczas kiedy podróżny opuszczający o schyłku dnia Beauvais nie widział jeszcze na zakręcie idących za nim czarnych i rozgałęzionych skrzydeł katedry, rozwiniętych na złotym ekranie zachodu.

Było owo Guermantes niby tło romansu, urojony krajobraz, który z trudem sobie mogłem wyobrazić, a który tym żarliwiej pragnąłem odkryć, wciśnięte między rzeczywiste ziemie i drogi; naraz, o dwie mile od dworca, jak gdyby nasycone właściwościami heraldycznymi; przypominałem sobie nazwy sąsiednich miejscowości, tak jakby się znajdowały u stóp Parnasu lub Helikonu⁶; i zdawały mi się one czymś szacownym jako materialne i topograficzne warunki ziszczenia się tajemniczego zjawiska. Oglądałem znów na ścianie pod witrażami w Combray malowane herby, których tarcze wypełniały się z wieku na wiek wszystkimi dziedzictwami, jakie w drodze małżeństwa lub kupna ten znamienity dom ściągnął ku sobie ze wszystkich kątów Niemiec, Włoch i Francji; olbrzymie ziemie Północy, potężne grody Południa łączące się i składające się na Guermantes i z zaturą swojej materialności wypisujące alegorycznie swoje zielone baszty lub srebrne zamki na lazurowym polu. Słyszałem o sławnych kobiercach w Guermantes i widziałem je, średniowieczne i błękitne, nieco grube, odcinające się na kształt chmury na amarantowym i legendarnym nazwisku, u stóp starożytnego lasu, gdzie tak często polował Childebert⁷; i miałem uczucie, że oszczędzając sobie podróży, wnikałbym w tajemnice owej ziemi, w ową dal wieków, zbliżając się na chwilę w Paryżu do pani de Guermantes, kasztelanki zamku i pani jeziora, tak jakby jej twarz i jej słowa mogły posiadać swoisty czar gąszczów i strumieni oraz te same wiekowe właściwości co stary kodeks jej archiwów. Ale wówczas poznałem Roberta de Saint-Loup; powiedział mi, że zamek nosi nazwę Guermantes dopiero od XVIII wieku, kiedy jego rodzina go nabyła. Do tej pory rodzina Guermantes rezydowała w sąsiedztwie, a tytuł jej nie pochodzi z tych stron. Miasteczko Guermantes otrzymało swoją nazwę od zamku, który jest od niego wcześniejszy; aby nie zniszczyć perspektyw zamku, dotąd utrzymany w mocy serwitut⁸ normuje plan ulic oraz wysokość domów. Co się tyczy kobierców, były kompozycji Bouchera⁹, kupione w XIX wieku przez jednego z Guermantów, malarza-amatora, i pomieszczone obok miernych obrazów myśliwskich jego własnej roboty, w bardzo brzydkim salonie obitym andrynoplem¹⁰ i pluszem. Przez te rewelacje Saint-Loup wprowadził w zamek składniki obce nazwisku „Guermantes”, co mi nie pozwoliło nadal wyczarowywać jego architektoniki z samej dźwięczności sylab. Wówczas w głębi tego nazwiska zatarł się zamek odbijający się w jeziorze; zjawił mi się natomiast, dokoła pani de Guermantes, jako jej siedziba, pałac

⁵*Notre Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres* — najwspanialsze gotyckie katedry we Francji, obie pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, w Paryżu i w Chartres. [przypis edytorski]

⁶*Parnas i Helikon* — góry w Grecji, wg mit. gr. siedziby Muz, opiekunek sztuk. [przypis edytorski]

⁷*Childebert* — władca Franków z dynastii Merowingów: Childebert I (496–558) lub jego następcą Childebert II (570–596). [przypis edytorski]

⁸*serwitut* — prawo do korzystania z cudzej nieruchomości w określonym zakresie. [przypis edytorski]

⁹*Boucher, François* (1703–1770) — francuski malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

¹⁰*andrynopł* (neol. z fr. *andrinople*) — tania tkanina bawełniana, zwykle w kolorze ciemnoczerwonym; od francuskiej nazwy koloru: czerwień adrianopolska. [przypis edytorski]

jej w Paryżu — pałac Guermantes — przejrzysty jak jego nazwa, żaden bowiem materiałny i ciemny składnik nie mącił i nie ćmił jego przejrzystości. Jak „kościół” oznacza nie tylko świątynię, lecz i zebranie wiernych, tak ten pałac Guermantes obejmował wszystkie osoby biorące udział w życiu księżnej; ale te osoby, których nigdy nie widziałem na oczy, były dla mnie jedynie sławnymi i poetycznymi nazwiskami; te znowuż istoty, znając wyłącznie osoby będące również tylko nazwiskami, pomnażały jeszcze i chroniły tajemnicę księżnej, tworząc dokoła niej szeroką otęczę¹¹, która co najwyżej stopniowo bladła.

Na przyjęciach, jakie wydawała księżna, w wyobraźni mojej nikt z gości nie miał ciała ani wąsów, ani trzewików; nie padło tam najmniejsze słowo banalne, lub nawet oryginalne, ale w ludzki i racjonalny sposób; ten wir nazwisk, wnoszący mniej materii, niżby to zrobiła uczta duchów lub bal upiórów dokoła statuetki z saskiej porcelany, jaką była pani de Guermantes, dawał jej szklanemu pałacowi przejrzystość witraży. Później, kiedy Saint-Loup opowiedział mi anegdoty dotyczące kapelana lub ogrodników swojej kuzynki, pałac Guermantes stał się, jak niegdyś mógł być jakiś Luwr — rodzajem zamku otoczonego, w sercu Paryża, przynależnymi doń ziemiami, posiadanego dziedzicznie, na mocy starożytnego dziwacznego przetrwałego prawa, gdzie księżna zachowała jeszcze feudalne przywileje. Ale ta ostatnia siedziba sama z siebie rozwiała się w mgłę, kiedyśmy zajęli tuż obok pani de Villeparisis mieszkanie sąsiadujące z apartamentami pani de Guermantes, w skrzydle jej pałacu.

Była to jedna z owych starych siedzib, istniejących może jeszcze tu i ówdzie, gdzie dziedziniec — *cour d'honneur* — bądź pod wpływem wzbierającej fali demokracji, bądź przez puściznę dawniejszych jeszcze czasów, gdy rozmaite rzemiosła grupowały się koło „pana” — zawierał często sklepy, warsztaty, nawet jakiś kramik szewca lub krawca (podobne tym, które się widuje wsparte o boki katedr, o ile ich nie pousuwał estetyzm architektów), jakiegoś odźwiernego, a zarazem szewca, który hodował kury i uprawiał kwiaty; w głębi zaś, w samym „pałacu”, „panią hrabinę”, która kiedy wyjeżdżała starą dwukonną kolasą (mając przy kapeluszu parę nasturcji, robiących wrażenie, że je uszczknęto z ogródka odźwiernego, przy czym obok woźnicy siedział lokaj, schodzący z kozła, aby składać zagięty bilet¹² w każdym arystokratycznym pałacu w dzielnicy), przesyłała bez różnicy uśmiechy i pozdrowienia dzieciom odźwiernego i przechodzącym właśnie mieszczańskim lokatorom domostwa, w swojej wzgardliwej grzeczności i niwelującej dumie.

W domu, do któregośmy się sprowadzili, wielką damą z pałacu w głębi była księżna, elegancka i jeszcze młoda. Była to pani de Guermantes, dzięki Franciszce zaś posiłkiem dość szybko informacje o pałacu. Bo Guermantowie (których Franciszka określała często słowami „ci z dołu”, „dół”) byli przedmiotem jej ciągłego zainteresowania od samego rana, kiedy, czesząc mamę, z zabronionym, nieodpartym i ukradkowym spojrzeniem w dziedziniec, powiadała: „O, dwie zakonnice; pewnikiem idzie to na dół”, albo: „O, piękne bażanty w oknie w kuchni; nie trza ani pytać, skąd się pochodzą, ksiączę musiał być na polowaniu”, aż do wieczora, kiedy, podając mi przybory nocne, z zasłyszanego dźwięku fortepianu, z echa jakiejś piosenki Franciszka wносиła: „Mają gości na dole, wesoło im”. I wówczas na jej regularnej twarzy, pod włosami obecnie białymi, uśmiech młodości, ożywiony i godny, mieścił na chwilę każdy z jej rysów na swoim miejscu, zestrzał je w kunsztownym i tradycyjnym porządku, niby przed kontredansem.

Ale chwilą życia Guermantów, która najżywiej podniecała ciekawość Franciszki, która jej sprawiała najwięcej przyjemności, a także najwięcej bólu, był moment, gdy brama wjazdowa otwierała się na oścież, a księżna wsiadała do karety. Było to zazwyczaj wkrótce po momencie, gdy nasza służba skończyła celebrować ową uroczystą paschę¹³, której nikt nie ma prawa przerwać, nazwaną ich śniadaniem, podczas której byli tak dalece „tabu”, że nawet ojciec nie pozwoliłby sobie zadzwonić na nich, wiedząc zresztą, że nikt nie ruszyłby się, równie dobrze za piątym dzwonkiem, jak za pierwszym, i że tym samym pan domu

¹¹otęcza (rzad.) — aureola; tęczowa obwódka. [przypis edytorski]

¹²bilet — tu: bilet wizytowy, wizytówka; obowiązkiem kobiety z wyższych sfer było regularne składanie wizyt towarzyskich, zapowiadanych odpowiednio wcześniej przekazaniem wizytówki przez służbę; w XIX w. zagięciem odpowiedniego rogu wizytówki sygnalizowano cel wizyty, np. rozmowę towarzyską lub złożenie gratulacji. [przypis edytorski]

¹³Pascha — najważniejsze święto w judaizmie, upamiętniające wyzwolenie Izraelitów z niewoli egipskiej; jego główną częścią jest domowa wieczerza w gronie rodziny. [przypis edytorski]

dopuszczyłby się tego nietaktu nadaremnie, ale nie bez szkody dla siebie. Bo Franciszka (która, od czasu jak się posunęła w latach, komponowała sobie na każdą okazję okolicznościową maskę) ukazywałaby mu niechybnie przez cały dzień twarz pokrytą wypukłymi i czerwonymi cętkami, które wyrażały na zewnątrz — w sposób zresztą niezbyt czytelny — długi rachunek jej żalów oraz głębokie przyczyny niezadowolenia. Rozwijala je zresztą — niby aktor mówiący „na stronie” — ale tak, żeśmy nie mogli rozróżnić słów. To były — jak mówiła — jej „ciche msze”, odmawiane przez cały boży dzień; w jej pojęciu dotkliwe dla nas i upokarzające.

Dopełniwszy ostatnich obrzędów, Franciszka, która była równocześnie — niby w pierwotnym kościele — celebrantem i jednym z wiernych, nalewała sobie ostatnią szklanekę wina, odwiązywała serwetę, składała ją, wycierając z ust resztę wina z wodą i kawy, wsuwała serwetę w krążek, dziękowała z bolesnym spojrzeniem „swemu” młodemu lokajczykowi, który przez gorliwość mówił: „Pani Franciszko, jeszcze trochę winogron, śmienite są”, i szła natychmiast otworzyć okno pod pozorem, że jest strasznie gorąco „w tej przeklętej kuchni”. Otwierając okno i wciągając łyk powietrza, zręcznie ogarniała obojętnym niby to rzutem oka dziedziniec, zyskiwała ukradkową pewność, że księżna jeszcze jest niegotowa, pięściła chwilę wzgardliwym i namiętym spojrzeniem zaprzężony powóz i poświęciwszy tę chwilę uwagi rzeczom ziemskim, wznosiła oczy do nieba, którego czystość odgadła zawczasu z łagodnego powiewu i z ciepła słońca; po czym spoglądała na miejsce pod dachem, gdzie każdej wiosny stały sobie gniazdo, właśnie nad moim kominkiem, gołębie podobne do tych, które gruchały w jej kuchni, w Combray.

— Och! Combray, Combray! — wykrzykiwała. (A niemal śpiewny ton, jakim wygłaszała tę inwokację, zarówno jak arlejańska czystość jej rysów, mogły zbudzić przypuszczenie, że Franciszka pochodzi z południa i że stracona ojczyzna, którą oplakuje, była tylko ojczyzną przybraną. Ale może by to była omyłka, bo zdaje się, iż nie ma prowincji, która by nie miała swojego „południa”; iluz spotyka się Sabaudczyków i Bretończyków, u których odnajdziemy znamienne dla południowców słodkie przemieszczenia długich i krótkich sylab). — Och, Combray, kiedyż ja cię zobaczę, biedna ty moja ziemo! Kiedyż będę mogła spędzać cały boży dzień pod twoimi głogami i bzami, słuchając szpaków i naszej Vivonne, szemrzącej tak, jakby ktoś szeptał, zamiast słyszeć ten przeklęty dzwonek naszego panicza, który nie wytrzyma ani pół godziny, żeby nie kazać człowiekowi gonić bez ten diabelski korytarz. I jeszcze uważa, że ja nie lecę dość szybko; trzeba, żeby człowiek słyszał, zanim on zadzwoni, a kiedy się o minutkę spóźnisz, on „popada się” w takie straszliwe furie! Ach, biedne Combray, może cię nie ujrzę aż martwa, kiedy mnie rzucą jak ten kamień w dół cementarny. Wówczas nie będą mi już pachniały twoje piękne głogi, całe bielusię. Ale za to we śmiertelnym śnie, myślę, że jeszcze będę słyszała te trzy dzwonki, które mnie tak trapiły w życiu.

Ale przerywały jej wołania krawczyny z dziedzińca — tego samego, który niegdyś tak się spodobał babce w czasie jej wizyty u pani de Villeparisis i który nie mniej łaski znalazł w oczach Franciszki. Podniósłszy głowę na odgłos otwieranego u nas okna, starał się już od dobrej chwili ściągnąć uwagę swojej sąsiadki, aby jej powiedzieć dzień dobry. Zalotność młodej dziewczyny, którą była niegdyś Franciszka, łagodziła wówczas dla pana Jupien opryskliwą twarz naszej starej kucharki, zgrubiała od wieku, złych humorów i gorąca blachy; z uroczą mieszaniną taktu, poufałości i zawstydzenia Franciszka przesyłała krawcowi miły ukłon, ale bez słów, o ile bowiem gwałciła zakazy mamy, wyglądając na dziedziniec, nie ośmieliłaby się urągać im do tego stopnia, aby rozmawiać przez okno, co miało (wedle niej) dar ściągnięcia na nią ze strony pani całego kazania. Pokazywała mu zaprzężony powóz, jakby mówiła: „Ładne koniczki, he!”, ale mrucząc: „Co za stary gruchot!”, czyniąc to zwłaszcza dlatego, że wiedziała, iż on jej odpowie, przykładając rękę do ust, aby być słyszany, mimo że mówił półgłosem: „Wy byście też mogli mieć to wszystko, gdybyście chcieli, a może więcej od nich, ale wy nie lubicie tego”.

I Franciszka po skromnym, wymijającym i uszczęśliwionym geście, którego sens był mniej więcej taki: „Každy ma to, czego pragnie; my tu jesteśmy skromne ludzie”, zamykała okno z obawy, aby mama nie weszła. Owi „wy”, którzy by mogli mieć więcej koni od Guermantów, to byliśmy *my*; ale Jupien miał rację, mówiąc „wy”, bo z wyjątkiem pewnych rozkoszy miłości własnej czysto osobistych — na przykład kiedy Franciszka kaszlała bez przerwy, a cały dom się bał, że dostanie od niej kataru, ona twierdziła z drażniącym

uśmieżkiem, że nie jest zakatarzona — Franciszka, podobna owym roślinom, dla których zespolone z nimi zwierzę przygotowuje pokarmy, łowiąc je, spożywając i trawiąc dla nich, i podsuwając im je w doskonale przyswojonej formie, Franciszka żyła z nami w symbiozie; to my, naszymi zaletami, majątkiem, sposobem życia, pozycją mieliśmy za zadanie dostarczać drobnych satysfakcji miłości własnej, które tworzyły — skoro do tego dodać uświęcony obrządek śniadania wedle starożytnej formy plus mały łyżek powietrza przy oknie po śniadaniu, trochę wałęsania się po ulicy, „za sprawunkami” oraz wychodne co niedziela dla odwiedzenia siostrzenicy — część zadowolenia nieodzowną jej do życia. Toteż rozumiałe jest, że w nowym domu, gdzie wszystkie zaszczytne tytuły mego ojca nie były jeszcze znane, Franciszka musiała usychać przez pierwsze dni, będąc pastwą choroby, którą ona sama nazywała nudą; nudą w dramatycznym znaczeniu, jakie to słowo przybiera u Corneille’a¹⁴ lub pod piórem żołnierzy, nieraz odbierających sobie w końcu życie, bo im się zanadto „przykrzy” za narzeczoną, za ich wsią. Nudę Franciszki uleczył bardzo szybko właśnie Jupien, dostarczył jej bowiem przyjemności równie żywej, a bardziej wyrafinowanej niż ta, którą by odczuwała, gdybyśmy się zdecydowali mieć powóz. „Dobrzy ludziska ci Jupienowie — mówiła — poczciwe ludzie, mają to wypisane na twarzy”. Jupien umiał w istocie zrozumieć i udzielić wszystkim tej wiadomości, że jeżeli my nie mamy powozu, to dlatego że nie chcemy.

Ten przyjaciel Franciszki mało przebywał w domu, uzyskawszy posadkę w ministerstwie. Zrazu, trudniąc się szyciem kamizelek razem ze „smarkatą” (którą babka wzięła za jego córkę), stracił wszelką rację wykonywania tego fachu, odkąd ta dziewczyna (która, niemal jeszcze dzieckiem¹⁵, umiała bardzo dobrze zaszyć spódnicę, wówczas gdy babka wybrała się swego czasu z wizytą do pani de Villeparisis) wzięła się do krawieczyzny damskiej i wyspecjalizowała się w spódnicach. Najpierw „podręczna” u krawcowej, używana do tego, aby coś sfastrygować, przyszyć falbanę, przymocować guzik, zatrząsk, dopasować stanik agrafkami, została bardzo szybko „drugą panną”, potem pierwszą i wyrobiwszy sobie klientelę dam z najlepszego świata, pracowała u siebie, to znaczy w naszym dziedzińcu, najczęściej z paroma koleżankami z pracowni, przyjętymi jako uczennice. Odtąd obecność Jupiena stała się mniej potrzebna. Bez wątplenia „mała”, wyrósłszy na dużą, musiała jeszcze często szyc kamizelki. Ale wspomagana przez swoje przyjaciółki, nie potrzebowała nikogo. Toteż Jupien, jej wuj, postarał się o posadę. Zrazu mógł wracać w południe; potem, objąwszy na stałe funkcje urzędnika, któremu tylko wprzód pomagał, wracał dopiero na obiad. Jego „stabilizacja” nastąpiła szczęśliwie dopiero w kilka tygodni po naszym wprowadzeniu się, tak iż uprzejmość Jupiena mogła się objawiać na tyle, aby pomóc Franciszce przebyć bez zbytnich cierpień pierwszy trudny okres. Zresztą, nie zaprzeczając użyteczności, jaką Jupien był dla Franciszki jako „lekarstwo przejściowe”, muszę przyznać, że on mi się nie bardzo podobał z pierwszego wejrzenia. Na odległość kilku kroków, niewzruszając całkowicie wrażenie, jakie robiłyby bez tego, jego szerokie policzki i kwitnąca cera, czy jego zwilżone współczuciem, żalonym i marzącym spojrzeniem, kazały przypuszczać, że on jest bardzo chory lub dotknięty świeżą żalobą. Nie tylko tak nie było, ale z chwilą gdy przemówił — mówił zresztą bardzo dobrze — był raczej zimny i drwiący. Z tego rozdzwiewku między jego spojrzeniem a słowami wynikało coś fałszywego, niesympatycznego; robił wrażenie, że on sam się czuje skrępowany, niby gość zjawiający się w marynarce, gdy wszyscy są we frakach, lub ktoś, kto rozmawiając z księżką wysokością, nie wie dobrze, jak ją tytułować, i aby obejść trudności, sprowadza rozmowę do nieznaczących frazesów.

Wysłowienie Jupiena — bo to jest tylko porównanie — było, przeciwnie, urocze. Pod tym kontrastem jego twarzy i oczu (na co się już nie zwracało uwagi, kiedy się go znało) odkryłem w nim rychło rzadką inteligencję. Była to jedna z najbardziej literackich natur, jakie mi się zdarzyło spotkać; w tym sensie, że nie otrzymawszy zapewne wykształcenia, Jupien posiadał lub przyswoił sobie, jedynie za pomocą paru pobieżnie przeczytanych książek, najszcześniejsze formy języka. Ludzie najbogaciej obdarzeni wśród tych, których znałem, umarli bardzo młodo. Toteż byłem przeświadczony, że Jupien nie pożyje długo.

¹⁴Corneille, *Pierre* (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

¹⁵dzieckiem — tu: będąc dzieckiem, jako dziecko. [przypis edytorski]

Był dobry, miłosierny, pełen delikatnych i szlachejnych uczuć. Rychło zresztą przestał być nieodzowny w życiu Franciszki. Nauczyła się go zastępować.

Nawet kiedy jakiś chłopiec z magazynu lub służący przyniósł do nas paczkę, Franciszka, udając, że się nim nie zajmuje, wskazując mu tylko od niechcienia krzesło, podczas gdy dalej parała się swoją robotą, tak zręcznie wyzyskiwała kilka chwil, które obcy spędzał w kuchni, czekając na odpowiedź mamy, iż rzadko zdarzało się, aby odszedł, nie wrywszy w sobie głęboko pewności, „że jeżeli nie mamy (powozu i koni), to dlatego że nie chcemy”. Jeżeli jej zresztą tak zależało na tym, żeby wiedziano, że my mamy „pieniędzy” (Franciszka nie rozróżniała odcieni składni i mówiła „mieć pieniędzy”), żeby wiedziano, że jesteśmy bogaci, to nie dlatego, aby bogactwo samo w sobie, bogactwo bez cnoty było w oczach Franciszki najwyższym dobrem; ale cnota bez bogactwa również nie była jej ideałem. Bogactwo było dla niej jakby koniecznym warunkiem cnoty, w braku którego cnota jest bez zasługi i bez uroku. Tak mało oddzielała je od siebie, że w końcu zaczęła jednej z tych rzeczy używać przymiotów drugiej, wymagając pewnego komfortu w cnotcie, a widząc coś budującego w bogactwie.

Zamknąwszy okno dosyć szybko — inaczej mama, jak Franciszka twierdziła, „nawymyślałaby jej od ostatnich” — Franciszka zaczynała, wzdychając, porządkować stół kuchenny.

— Są Guermanty, które siedzą przy ulicy la Chaise — mówił lokaj — miałem przyjaciela, który tam pracował, był u nich za drugiego stangreta. I znam kogoś, nie tego kolegę, ale jego szwagra, kto służył w wojsku razem z dojeżdżaczem¹⁶ barona de Guermantes. Ale co mi tam, to nie są ludzie z prawdziwego zdarzenia — dodał lokaj, który, jak nucił modne refreny, tak miał zwyczaj ozdabiać rozmowę sezonowymi dowcipami.

Franciszka, której stare i zmęczone oczy widziały wszystko niby z Combray, w mglistej dali, zrozumiała nie żart kryjący się w tych słowach, ale to, że musiał w nich być żart, bo nie tłumaczyły się same i były specjalnie zaakcentowane przez człowieka, o którym wiedziała, że jest żartowniś. Toteż uśmiechnęła się życzliwie i z uznaniem, jakby mówiła: „Zawsze wesół ten Wiktor!”. Była zresztą rada, bo wiedziała, że słuchanie tego rodzaju żarcików ma odległy związek z godziwymi uciechami światowymi, na które ludzie wszystkich sfer stroją się odświętnie i narażają się na zaziębienie. Sympatyzowała zresztą z młodym lokajem, bo wciąż prawil jej z oburzeniem o straszliwych dekretach, jakie Republika ma wydać przeciw księżom. Franciszka nie pojęła jeszcze, że nasi najokrutniejsi wrogowie to nie ci, co nam przeczają i starają się nas przekonać, ale ci co powiększają lub wymyślają nowiny zdolne nas zasmucić, strzegąc się dać im pozór usprawiedliwienia, które by zmniejszyło naszą zgryzotę i wzbudziłoby w nas może nieco szacunku dla obozu, który oni siłą się nam pokazać, ku naszej tym większej udręce, jako okrutny i triumfujący zarazem.

Wróg

— Księżna musi być skrewniona z tym wszystkim — rzekła Franciszka, wracając do Guermantów z ulicy la Chaise, tak jak się zaczyna na nowo jakiś utwór od *andante*¹⁷. — Nie wiem już kto mi powiedział, że to stamtąd wydali kuzynkę za księcia z dołu. Zawszeć to ta sama paranteza¹⁸. Ho! ho! to wielka rodzina te Guermanty! — dodawała z szacunkiem, opierając wielkość tej rodziny zarazem na liczbie jej członków i na ich świetności, jak Pascal¹⁹ opiera prawdę religii na rozumie i na powadze Pisma. Bo, mając tylko jedno słowo „wielki” na obie te rzeczy, Franciszka sądziła, że one tworzą tylko jedną, ile że słownik jej, jak niektóre drogie kamienie, przedstawiał w tym miejscu defekt zaciemniający już samą myśl Franciszki.

— Myślę sobie, czy to nie są ci sami, co mają zamek w Guermantes o dziesięć mil od Combray; w takim razie to musi być też krewny ich kuzynki z Algieru. (Zastanawialiśmy się długo z matką, co to może być ta kuzynka z Algieru; ale zrozumieliśmy wreszcie, że Franciszka rozumie pod Algierem miasto Angers. Coś, co jest dalekie, może być nam

¹⁶dojeżdżacz (daw.) — członek służby łowieckiej, osoba ścigająca z chartami i ogarami zwierzynę podczas polowania. [przypis edytorski]

¹⁷andante (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

¹⁸paranteza (znieksz.) — parantela: powinowactwo, powiązania rodzinne, zwłaszcza ze znanym rodem; krewni należący do tego samego rodu. [przypis edytorski]

¹⁹Pascal, Blaise (1623–1662) — francuski matematyk, fizyk i filozof religii; po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz filozofii i teologii. [przypis edytorski]

bardziej znane niż coś, co jest bliskie. Franciszka, która znała nazwę Algieru z powodu okropnych daktyli, które dostawaliśmy na Nowy Rok, nie znała nazwy Angers. Język jej, jak sam język francuski, zwłaszcza toponimia²⁰, roił się od błędów). Chciałam o tym pogwarzyć z ich kamerdynerem. Jakże to jemu się mówi? — przerwała, jak gdyby stawiając sobie kwestię protokolarną — a, prawda, Dominik go tytułują (tak jakby Dominik był tytułem). On mógłby mi powiedzieć, ale to cały wielki pan, nadęta sztuka, myślałby kto, że mu ucięto język albo że go nie nauczono mówić. Nawet człowiekowi nie odkaże²¹, kiedy do niego gadać — dodała Franciszka, która mówiła „odkazać”, jak pani de Sévigné²². — Ale — rzekła niezbyt szczerze — kiedy ja wiem, co się gotuje w moim garnku, nie zaglądam do cudzych. W każdym bądź razie wszystko to nie jest po bożemu. A potem, a bo to jest dzielny człowiek. (Ten sąd mógłby obudzić mniemanie, że Franciszka zmieniła zdanie co do odwagi, która wedle niej — w Combray — ściągała ludzi do rzędu dzikich zwierząt, ale tak nie było. „Dzielny” znaczyło po prostu pracowity, roboczy). Powiadają też, że kradnie jak ta sroka, ale nie trzeba zawsze wierzyć temu, co ludzie gadają. Tutaj każdy pracujący wylatuje, a wszystko przez odźwiernych, bo one są zazdrosne i kotłują głowę księżnej. Ale można powiedzieć, że ten Dominik to czyste drabisko, a jego Dominiczka nie więcej warta od niego — dodała Franciszka, która w określeniu żony kamerdynera nieświadomie wzorowała się na formie „kanonik” i „kanoniczka”. W chwilę potem dostarczyła nowego przykładu urabiania rodzaju żeńskiego, dodając:

— No pewno, że to do księżnej należy się zamek w Guermentes. I to ona jest tam wójcina. To jest coś.

— Myślę, że to jest coś — rzekł z przekonaniem młody lokaj, nie poznawszy się na ironii.

— Myślisz, chłopcze, że to jest coś? Ależ dla ludzi takich jak tamte być wójtem i wójciną to jest tyle co nic. A, gdybym to ja miała zamek Guermentes, nie często by mnie ujrano w Paryżu. Muszą te państwo, co to mają z czego żyć, jak nasz pan i nasza pani, mieć zdrowie, żeby siedzieć w tym podłym mieścisku zamiast jechać do Combray, kiedy mogliby to zrobić i kiedy nikt ich tu nie trzyma. Na co one czekają ze swoim dożyciem, skoro im niczego nie zbywa: na to, żeby pomarli? Och! gdybym ja miała tylko suchy chleb i drzewo na opał w zimie, od dawna bym już siedziała u siebie, w biednej chatynce mego brata w Combray. Tam człowiek czuje przynajmniej, że żyje, nie ma wszystkich tych domisków przed sobą; jest tak cicho, że w nocy słyhać żaby, jak grają dalej niż o dwie mile.

— To musi być naprawdę piękne, pani Franciszko — wykrzyknął lokajczyk z entuzjazmem, jak gdyby ten ostatni szczegół był równie swoisty dla Combray co pływanie gondolą w Wenecji.

Będąc zresztą u nas mniej dawno niż kamerdyner, chłopak ten szukał w rozmowie z Franciszką tematów zdolnych interesować nie jego, ale ją. I Franciszka, krzywiąc się, kiedy ją traktowano jak kucharkę, miała dla lokajczyka — który mówiąc o niej, powiadał „pani gospodyni” — specjalną życzliwość, jaką odczuwają pokątni książęta krwi dla gorliwych młodych ludzi, raczących ich „wysokością”.

— Tam przynajmniej wiadomo, co się robi i w jakiej porze roku się żyje. To nie tak jak tutaj, gdzie będzie nie więcej jaskrów na Wielkanoc niż na Boże Narodzenie i gdzie ani usłyszeć dzwonka na jutrznię, kiedy pobieram rano swoje stare kości. Tam człowiek słyszy każdą godzinę; to jest tylko biedny dzwonek, ale powiadasz sobie: „Aha, brat wraca z pola”, widzisz, jak dnia ubywa, dzwonią na wszystkie sprawy ziemi, masz czas się obrócić, zanim zapalisz lampę. Tutaj jest dzień, jest noc, idzie człowiek spać, nie mógłby nawet powiedzieć, co z całym dniem zrobił. Jak te zwierzęta.

— Zdaje się, że Méséglise to jest też bardzo ładne, pani Franciszko — przerwał lokajczyk, dla którego ta rozmowa przybierała charakter nieco abstrakcyjny i który sobie przypomniał mętnie, iż słyszał przy stole, jak rozmawialiśmy o Méséglise.

— Och, Méséglise! — rzekła Franciszka z szerokim uśmiechem, jaki wracał jej zawsze na wargi, kiedy ktoś wymawiał te nazwy: Méséglise, Combray, Tansonville. Stanowiły

²⁰toponimia — tu: ogół toponimów, czyli nazw miejsc. [przypis edytorski]

²¹odkazać (daw.) — odpowiedzieć. [przypis edytorski]

²²pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

one tak bardzo część jej własnego istnienia, że spotykając je, słysząc je w rozmowie, odczuwała wesołość dość podobną do tej, jaką budzi w klasie profesor, robiąc aluzję do jakiejś współczesnej osoby, co do której uczniowie nie byliby nigdy przypuścili, że jej nazwisko może paść z katedry. Przyjemność Franciszki płynęła również stąd, iż czuła, że owe strony są dla niej tym, czym nie są dla innych: starymi kompanami, z którymi niejedno się przeżyło; i uśmiechała się do nich, tak jakby w nich znajdowała coś dowcipnego, bo odnajdywała w nich wiele z siebie samej.

— Tak, możesz na to przysiąc, mój synu, Méséglise jest dość ładne — rzekła, śmiejąc się subtelnie — ale gdzieżeś ty mógł słyszeć o Méséglise?

— Gdzieś słyszał o Méséglise? Ależ to bardzo znane; mówiono mi o tym, i nawet często — odparł z ową zbrodniczą nieścistością informatorów, którzy za każdym razem kiedy staramy się zdać sobie obiektywnie sprawę z wagi, jaką coś, co nas dotyczy, może mieć dla drugich, uniemożliwiają nam to.

— Ba, możesz mi uwierzyć, że lepiej jest tam pod wiśnią niż tutaj przy piecu.

Mówiła nawet o Eulalii jako o dobrej osobie. Bo od czasu jak Eulalia umarła, Franciszka zapomniiała kompletnie, że jej nie cierpiała za życia, tak jak nie cierpiała wszelkiej osoby, która nie miała co jeść w domu, która „zdychała z głodu”, a później dzięki łasce bogatych zaczynała „się dać”. Nie dolegało jej już, że Eulalia tak zgrabnie umiała co tygodnia wyłudzić jakiś pieniążek od ciotki. Co się tyczy ciotki Leonii, Franciszka bez ustanku śpiewała jej pochwały.

— Ale to w samym Combray, u kuzynki naszej pani, pani Franciszka była? — pytał lokajczyk.

— Tak, u pani Oktawowej, och, bardzo świętej kobity, mój chłopcze, gdzie było zawsze wszystkiego w bród i godnie, i pięknie. Dobra kobieta, możesz wiedzieć, nie pożałowała kuropatwy ani bażanta, ani nic; mogłeś tam przyjść na obiad w pięciu, w sześciu, mięsa tam pewnie nie zbrakło, i to najlepszej sorty, i wino białe i czerwone, wszystko, co tylko trzeba. (Franciszka używała słowa „żałować” w tym samym sensie, w jakim go używa La Bruyère²³). Wszystko było zawsze z jej substancji, nawet kiedy rodzina siedziała tam miesiąc i lata. (Ta uwaga nie miała nic ubliżającego dla nas, bo język Franciszki był z czasu, kiedy słowo „substancja” nie było zacieśnione do stylu sądowego). Och, ręczę ci, że tam się nie cierpiało głodu. Nieraz nam ksiądz proboszcz klarował, że jeżeli była kobieta mogąca liczyć na to, że pójdzie prosto do nieba, to z pewnością pani Leonia. Biedna pani, słyszę jeszcze, jak mi powiada swoim chudym głosikiem: „Franciszko, ty wiesz, że ja nie jem, ale chcę, żeby wszyscy mieli tak dobrze, co gdybym jadła”. Rozumie się, że to nie było dla niej. Gdybyście ją widzieli, ważyła nie więcej niż koszyk wiśni, nie było co wziąć w rękę. Nie chciała mi wierzyć, nigdy nie chciała iść do doktora. Ha! ha! tam z pewnością nie zjadłoby się nic na patatajkę. Chciała, żeby służba była tam dobrze karmiona. Tutaj, choćby w to dzisiejsze polednie, nie ma człowiek ani czasu przelknąć. Wszystko się robi na lap-cap.

Franciszkę doprowadzały do rozpaczki zwłaszcza grzanki, które jadał ojciec. Przekonana była, że robił to jedynie po to, żeby wydziwiać i żeby jej kazać „tańczyć”.

— Mogę zaświadczyć — mówił młody lokaj — że nigdy coś takiego nie widziałem.

Mówił tak, jak gdyby wszystko widział i jak gdyby rezultaty jego tysiącletniego doświadczenia obejmowały wszystkie krainy i ich zwyczaje, pomiędzy którymi nigdzie nie figurowały grzanki z chleba.

— Tak, tak — mruzczał kamerdyner — ale wszystko to łatwo może się zmienić, robotnicy mają strajkować w Kanadzie, a minister mówił któregoś dnia naszemu panu, że wziął za to dwieście tysięcy franków.

Kamerdyner daleki był od potępienia ministra; sam był z gruntu uczciwy, ale ponieważ uważał wszystkich polityków za łajdaków, przekupstwo wydawało mu się mniejszą zbrodnią od łada kradzieży. Nie zastanawiał się nawet, czy dobrze usłyszał te historyczne słowa, i nie uderzyło go nieprawdopodobieństwo tego, aby sam winny powiedział je memu ojcu i aby ojciec nie wyrzucił go za drzwi. Ale filozofia Combray nie pozwoliła Franciszce spodziewać się, aby strajk w Kanadzie mógł oddziaływać na spożycie grzanek.

²³La Bruyère, Jean de (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w których przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

— Dopóki świat będzie światem — mówiła — widzicie, będzie państwo, żeby nam kazać dreptać, i służba, żeby spełniała ich kaprysy.

Wbrew teorii tego wiekuistego dreptania, już od kwadransa mama, która zapewne inną miarą oceniała śniadanie służących, powiadała:

— Ale co oni mogą robić, już więcej niż dwie godziny siedzą przy śniadaniu!

I dzwoniła nieśmiało trzy lub cztery razy. Franciszka, lokajczyk, kamerdyner słyszeli apel dzwonka bez intencji posłuchu; bądź co bądź były to dla nich niby pierwsze dźwięki strojonych instrumentów, kiedy koncert ma się niebawem rozpocząć i kiedy pozostało już tylko kilka minut pauzy. Toteż, kiedy dzwonki powtarzały się coraz natarczywsze, służba zaczynała nadstawiać ucha. Uważając, że już nie mają dużo czasu przed sobą i że powrót do pracy jest bliski, przy jakimś dźwięczniejszym nieco odgłosie dzwonka wzdychali głęboko i decydowali się na czyn: lokajczyk szedł wypalić papierosa przed bramą, Franciszka po paru uwagach w rodzaju: „Na pewno mają kręćka”, drapała się na szóste piętro porządkować swoje rzeczy, a kamerdyner, zaopatrzony się na moim biurku w papier listowy, śpiesznie załatwiał swoją prywatną korespondencję.

Mimo nadętej miny kamerdynera z „dołu” Franciszka zdołała od pierwszych dni powiadomić mnie, że Guermantowie nie zamieszkują swego pałacu na zasadzie jakiegoś odwiecznego prawa, ale na skutek kupna stosunkowo świeżego; że ogród, na który pałac wychodził, a którego nie znałem, jest dość mały i podobny do wszystkich sąsiednich ogrodów; dowiedziałem się wreszcie, że nie widnieje tam ani pańska szubienica, ani warowny młyn, ani domek z filarkami, ani dworska piekarnia, ani spichlerz, ani zameczek, ani most stały lub zwodzony, nie więcej niż wieżyczki, niż mostowe, drogowe, przewozowe, ani stosy kamieni służące za drogowaskazy. Ale jak Elstir, kiedy zatoka Balbec, straciwszy swoją tajemnicę, stała się dla mnie banalną partią słonej wody, podobną do wszystkich innych na tym globie, przywrócił jej nagle indywidualność, powiadając mi, że to jest opalowa zatoka Whistlera²⁴ w jej srebrnoniebieskich harmoniach, podobnie, kiedy nazwisko Guermantes straciło pod ciosami Franciszki ostatnią zeń poczętą siedzibę, stary przyjaciel ojca oznajmił nam raz, mówiąc o księżnej: „Ona ma ogromną sytuację w Faubourg Saint-Germain²⁵; to jest pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain”. Bez wątpienia, pierwszy salon, pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain to było bardzo mało po innych rezydencjach, o których kolejno marzyłem. Ale ostatecznie i ta — a miała to być ostatnia — miała coś, choćby to było najskromniejsze, co wykraczało poza jej własną materię, jakieś tajemne zróżnicowanie.

I czułem potrzebę szukania tajemnicy nazwiska pani de Guermantes w jej „salonie”, w jej przyjaciółach, tym bardziej iż tajemnicy tej nie znajdowałem w jej osobie, kiedy ją widział wychodzącą rano pieszo, a po południu wyjeżdżając powozem. Z pewnością już w kościele w Combray księżna, ujrzana w błysku metamorfozy, z policzkami niepodatnymi, nieprzenikalnymi dla barwy nazwiska Guermantes i popołudni nad brzegiem Vivonne, ukazała mi się w miejsce mego spiorunowanego marzenia niby łabędź lub wierzba, w które zmieniono boga lub nimfę, iżby odtąd, poddani prawom natury, zanurzali się w wodę lub drżeli na wietrze. Jednakże skoro te odblaski zgasły, ledwom je stracił z oczu, skupiały się na nowo niby różowozielone blaski zachodzącego słońca za wiosłem, które je złamało; i w samotności mojej myśli nazwisko wchłonęło w siebie rychło wspomnienie twarzy. Teraz widywałem często księżnę w oknie, w dziedzińcu, na ulicy i jeżeli nie zdołałem wcielić w nią nazwiska Guermantes, wmyśleć się w fakt, że to ona jest panią de Guermantes, winiłem o to niezdolność mojego ducha do wysiłku, jakiego od niego żądałem; ale ona, nasza sąsiadka, księżna, zdawała się popełniać ten sam błąd, co więcej, popełniała go bez wzruszenia, bez żadnego z moich skrupułów, nie podejrzewając nawet, że to jest błąd. I tak pani de Guermantes objawiała w swojej toalecie tę samą troskę podążania za modą, co gdyby, uważając, iż stała się kobietą taką jak inne, aspirowała do tej elegancji, w której byle jaka kobieta mogła jej dorównać, przewyższyć ją nawet; widziałem ją, jak na ulicy przyglądała się z podziwem dobrze ubranej aktorce; rano zaś, w chwili gdy miała wyjść pieszo — jak gdyby opinia przechodniów, których pospolitość księżna

²⁴Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

²⁵Faubourg Saint-Germain (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

podkreślała swoją postać, obnosząc poufale wśród nich swoje niedostępne życie, mogła być dla niej trybunałem — widywałem ją przed lustrem, grającą z przekonaniem wolnym od wszelkiego rozdwojenia i ironii, z pasją, z irytacją, z ambicją — niby królowa, która zgodziła się w komedii dworskiej kreować subretkę²⁶ — grającą ową rolę tak poniżej jej samej, rolę eleganckiej kobiety; i w mitologicznym zapomnieniu swojej przyrodzonej wielkości sprawdzała, czy woalka jest dobrze obciągnięta, przyplaszczała rękawy, poprawiała płaszcz, jak boski łabędź wykonuje wszystkie ruchy swego zwierzęcego gatunku, obnosi oczy namalowane z dwóch stron swego dzioba, nie wkładając w nie spojrzeń, i rzuca się nagle na spinkę lub na parasol jako łabędź, nie pamiętając, że jest bogiem. Ale jak podróżny zawiedziony pierwszym widokiem miasta powiada sobie, iż przeniknie może jego czar, zwiedzając muzea, nawiązując znajomość z ludem, pracując w bibliotekach, tak ja powiadałem sobie, że gdybym był u pani de Guermantes, gdybym należał do jej przyjaciół, gdybym wdarł się w jej egzystencję, poznałbym, co pod swoją pomarańczową i błyszczącą powierzchnią nazwisko jej mieści realnie, przedmiotowo, dla innych, skoro przecież przyjaciel ojca mówił, że kółko Guermantów jest czymś odrębnym w Faubourg Saint-Germain.

Życie, które (jak sądziłem) musiano tam prowadzić, wypływało ze źródła będącego tak poza sferą doświadczeń, wydawało mi się czymś tak odrębnym, że nie mógłbym sobie wyobrazić na wieczorach księżnej osób, z którymi bym się gdzieś stykał wprzód, osób realnych. Bo wówczas, nie mogąc nagle zmienić swej natury, musiałyby tam mówić rzeczy analogiczne do tych, które znałem; partnerzy ich zniżyliby się może do odpowiadania im w tym samym ludzkim narzeczu; a zatem w ciągu wieczoru w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain istniałyby chwile identyczne z tymi, jakie już przeżyłem: co było niemożliwe. Prawda, że mój umysł porał się z pewnymi trudnościami: obecność ciała Chrystusa w hostii była mi nie bardziej tajemnicza niż ten położony na prawym brzegu Sekwany pierwszy salon Faubourg Saint-Germain, gdzie ze swojego pokoju mogłem słyszeć, jak trzepią rano meble. Ale linia demarkacyjna dzieląca mnie od Faubourg Saint-Germain, mimo iż tylko idealna, zdawała mi się tym rzeczywistsza; czułem, że słomianka Guermantów, pomieszczona z drugiej strony tego równika (słomianka, o której matka, spostrzegłszy ją jak ja, pewnego dnia, kiedy drzwi były otwarte, ośmieliła się powiedzieć, że jest w bardzo lichym stanie) — to już jest Faubourg. Zresztą jakim cudem ta jadalnia, ten ciemny korytarz, sień z czerwonymi pluszowymi meblami, które mogłem czasem spostrzec przez okno z naszej kuchni, mogłyby nie posiadać dla mnie tajemniczego czaru Faubourg Saint-Germain, jak mogłyby nie być jego najistotniejszą częścią, jego geograficzną przynależnością, skoro być przyjętym w tej jadalni znaczyło bywać w Faubourg Saint-Germain, oddychać jego atmosferą; skoro ci, co przed obiadem siadali obok pani de Guermantes na skórzanej kanapie w hallu, wszyscy należeli do Faubourg Saint-Germain? Bez wątplenia, gdzie indziej niż w owym Faubourg, na pewnych wieczorach, można było czasami widzieć, królującego majestatycznie pośród pospolitego gminu elegantów, jednego z owych ludzi, którzy są tylko nazwiskami i którzy, kiedy ich sobie chcemy wyobrazić, mają na przemian coś z turnieju i z dworskiego lasu. Ale tu, w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain, byli tylko oni. Byli niby kolumny z kosztownego materiału, podtrzymujące świątynię. Nawet na zwykłe przyjęcia jedynie spośród nich pani de Guermantes mogła dobierać swoich gości; przy obiedzie na dwanaście osób, zgromadzeni dokoła nakrytego obrusu, byli niby złote posągi apostołów w Sainte-Chapelle²⁷, symboliczne i święte filary dokoła Stołu Pańskiego.

Co się tyczy ogródka, który się rozciągał między wysokimi murami za pałacem i gdzie pani de Guermantes częstowała w lecie po obiedzie oranżadą i likierami, jakże mógłbym wątpić, iż siedzieć tam między dziewiątą a jedenastą wieczór na żelaznych krzeselkach — obdarzonych równie magiczną władzą co skórzana kanapa — znaczy oddychać swoistym wietrzykiem Saint-Germain, tak jak odbywając sjęstę w oazie Figuig, jest się tym samym w Afryce? Jedynie wyobraźnia i wiara mogą zróżnicować pewne przedmioty, pewne osoby i stworzyć atmosferę. Niestety! te malownicze pejzaże, te naturalne gry światła, te lokalne

²⁶subretka (z fr.) — pokojówka; także: typ postaci sprytniej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]

²⁷Sainte-Chapelle (fr.: Świąta Kaplica) — gotycka kaplica zamkowa w centrum dawnej siedziby królewskiej na wyspie Cité w Paryżu; ściany górnej kondygnacji zdobią figury apostołów. [przypis edytorski]

osobliwości, te artystyczne ornamenty Faubourg Saint-Germain pozostaną mi z pewnością na zawsze niedostępne. I drżałem tylko, spostrzegając z pełnego morza (bez nadziei, abym się tam kiedy znalazł!) — niby daleko wysunięty minaret, niby pierwsze drzewo palmowe, niby początek egzotycznego przemysłu lub roślinności — zniszczoną nadbrzeżną słomiankę.

Ale jeżeli pałac Guermantes zaczynał się dla mnie u bramy przedsiönka, przyległości jego musiały się rozciągać o wiele dalej wedle mniemania samego księcia. Uważając wszystkich lokatorów za swoich dzierżawców, za wzbogaconych na rewolucji plebejuszów, chmyzów²⁸, których opinia jest czymś bez znaczenia, książę golił się rano w nocnej koszuli przy oknie, schodził na dziedziniec, wedle temperatury powietrza w danym dniu, w kamizelce albo w piżamie, we włoskiej szkockiej kurtce osobliwego koloru, w kucy jasnym paltociku krótszym od marynarki, i kazał któremuś ze swoich pikierów²⁹ przejeżdżać świeżo kupionego konia. Niejeden raz nawet koń uszkodził wystawę Jupiena, który ku oburzeniu księcia żądał odszkodowania. „Choćby tylko przez wzgląd na wszystko dobro, jakie księżna pani świadczy w domu i w parafii, żądać czegoś od nas, to jest bezczelność ze strony tego chłystka”. Ale Jupien upierał się przy swoim, zdając się zgola nie wiedzieć, co za „dobro” wyświadczyła komu kiedy księżna. A jednak ona była dobroczynna; ale ponieważ nie można ogarnąć wszystkich, pamięć, że się obdarzyło jednego, staje się racją oszczędności w stosunku do drugich, ku tym większemu ich rozgorzyceniu. Z innych zresztą punktów widzenia niż dobroczynność dzielnica ta wydawała się księciu — i to na znaczną odległość — jedynie przedłużeniem jego dziedzina, rozleglejszym maneżem³⁰ dla jego koni. Sprawdziwszy, jak nowy koń kłusuje sam, kazał go zaprzęgać, objeżdżać sąsiednie ulice, przy czym pikier biegł koło powozu, trzymając lejce, przeprowadzając konia przed księciem, który stał na trotuarze, olbrzymi, rosły, jasno ubrany, z cygarem w ustach, z zadartą głową, z bystrym monoklem, aż do chwili gdy sam wskakiwał na kozioł, aby jeszcze przepróbować konia, i jechał nowym zaprzęgiem spotkać się ze swoją kochanką na Polach Elizejskich.

Pan de Guermantes witał się w dziedzińcu z dwiema parami, które mniej więcej należały do jego świata: z parą swoich kuzynów, których — podobnie jak się zdarza w stadłach robotników — nie było nigdy w domu dla zajęcia się dziećmi, bo od rana żona spieszyła do Schola³¹ doskonalić się w sztuce kontrapunktu i fugi³², a mąż szedł do swojej pracowni rzeźbić w drzewie i wytłaczać w skórce; dalej z baronostwem de Norpois, którzy, zawsze ubrani czarno — żona jak kobieta wynajmująca krzesła, a mąż jak karawaniarz — wychodzili kilka razy dziennie, udając się do kościoła. Baron de Norpois był bratanikiem naszego znajomego eks-ambasadora, którego właśnie ojciec spotkał w sieni, ale nie zgadując, skąd idzie; bo ojciec myślał, że osobistość tak znaczna, utrzymująca kontakt z pierwszymi figurami w Europie i przypuszczalnie bardzo obojętna na czcze arystokratyczne honory, nie ma powodu utrzymywać stosunków z tym gatunkiem klerykalnych i ograniczonych szlachciurów. Mieszkali w tym domu od niedawna; Jupien podszedł właśnie, aby coś powiedzieć baronowi, który się kłaniał panu de Guermantes, przy czym, nie znając dokładnie jego nazwiska, Jupien nazwał go „panem Norpois”.

— Ha! ha! „Pan Norpois”, a to doprawdy kapitalne! Cierpliwości, niedługo nazwie pana obywatelem Norpois! — wykrzyknął, zwracając się do barona, pan de Guermantes. Mógł wreszcie wyładować swoją złość na Jupiena, który tytułował go „pan”, a nie „książę pan”.

Pewnego dnia, kiedy pan de Guermantes potrzebował jakiejś informacji w zakresie urzędu jego ojca, przedstawił mu się sam z wielkim wdziękiem. Od tego czasu często miał okazję prosić ojca o jakąś sąsiedzką przysługę; spostrzegłszy go, jak schodzi po schodach pogrążony w myślach i unikający wszelkiego spotkania, książę, porzucając swoich masztalerzy, podchodził do ojca w dziedzińcu, poprawiał mu kołnierz u palta z usługomością odziedziczoną po dawnych pokojowcach królewskich, brał go za rękę, zatrzymując jego

²⁸chmyz (lekcew.) — nieznaczący, niepozorny człowiek; smarkacz. [przypis edytorski]

²⁹pikier (daw., z fr.) — ujeżdżacz koni. [przypis edytorski]

³⁰maneż — ujeżdżalnia koni a. ogrodzony teren do nauki jazdy konnej. [przypis edytorski]

³¹Schola — tu: Schola Cantorum de Paris, prywatne konserwatorium w Paryżu, zał. w 1894. [przypis edytorski]

³²kontrapunkt i fuga (muz.) — terminy muzyczne. [przypis edytorski]

dłoń w swojej, pieszcząc ją nawet, aby mu dowiedzieć z bezwstydem kurtyzany, że mu nie żałuje kontaktu swej szacownej skóry; prowadził go jak na smyczy — bardzo znudzonego i myślącego tylko o tym, jak by się wymknąć — aż poza główną bramę.

Pewnego dnia, mijając nas powozem wraz z żoną, księżę skłonił się nam głęboko; musiał jej powiedzieć moje nazwisko, ale jakąż mogłem mieć nadzieję, aby ona zapamiętała to nazwisko wraz z moją twarzą? A przy tym cóż za mizerna rekomendacja — być jej wskazanym jedynie jako jeden z lokatorów! Ważniejsze byłoby spotkać księżnę u pani de Villeparisis, która właśnie poprosiła mnie przez babkę, abym ją odwiedził, wiedząc zaś, że mam zamiar poświęcić się literaturze, dodała, że spotkałbym u niej paru pisarzy. Ale ojciec uważał, że jestem jeszcze za młody, aby bywać w świecie; że zaś stan mego zdrowia wciąż go niepokoił, nie chciał mi dostarczać zbyt licznych okazji do wychodzenia wieczorem.

Ponieważ jeden z lokajów pani de Guermantes często rozmawiał z Franciszką, dosłyszałem, jak wymienia kilka salonów, gdzie księżna bywała, ale nie wyobrażałem ich sobie; z chwilą gdy były częścią jej życia — życia, które widziałem jedynie poprzez jej nazwisko — czyż nie były czymś niepojętym?

— Jest dzisiaj wielki wieczór z chińskimi cieniami u księżnej Parmy — mówił lokaj — ale nie będziemy, bo dziś o piątej pani jedzie do Chantilly spędzić dwa dni u księcia d'Aumale³³. Pokojówka i kamerdyner jadą z nią. Ja zostaję. Księżnej Parmy będzie bardzo przykro; więcej niż cztery razy pisała do naszej pani.

— Więc wy nie jedziecie tego lata do Guermantes?

— Pierwszy raz nas tam nie będzie; z przyczyny reumatyzmów księcia pana doktor zabronił mu tam wracać, zanim się urządzą kaloryfery; dawniej siadywało się tam aż do stycznia. Jeżeli kaloryfer nie będzie gotów, może nasza pani pojedzie do Cannes do księżnej de Guise, ale to jeszcze niepewne.

— A do teatru chodzicie?

— Chodzimy czasem do Opery, czasem w dni abonamentu księżnej Parmy, to spada co tydzień; zdaje się, że to bardzo szykowne, co tam pokazują: sztuczki, opera, wszystko. Nasza księżna nie wzięła abonamentu, ale bywamy i tak, raz u jednej przyjaciółki naszej pani, inszy raz u drugiej, często na parterze w łoży księżnej Marii, też Guermantes, zamężnej za kuzynem naszego księcia. To jest siostra księcia bawarskiego... Więc pani wraca do siebie — mówił lokaj, który, mimo iż utożsamiając się z Guermantami, miał wszelako o „państwie” w ogólności informacje dyplomatyczne, pozwalające mu traktować Franciszkę z takim szacunkiem, co gdyby służyła u jakichś książąt. — Pani Franciszka ma dobre zdrowie.

— Ha! ha! gdyby nie te przeklęte nogi! Na dworze to jeszcze jakoś idzie (dworzem nazywał się dziedziniec, także ulice, gdzie Franciszka dość lubiła się przechadzać, słowem, równy teren), ale te przeklęte schodziska! Do widzenia panu, da się pan widzieć może jeszcze wieczór.

Franciszka pragnęła jeszcze rozmawiać z lokajem, zwłaszcza że ją pouczył, iż synowie diuków noszą często tytuł *prince*, który zachowują aż do śmierci ojca. Niewątpliwie, kult szlachty, skojarzony z pewnym duchem buntu i godzący się z nim zresztą, dziedziczny, wyssany z gleby Francji, musi być bardzo silny wśród ludu. Można było mówić Franciszce o geniuszu Napoleona lub o telegrafie bez drutu, przy czym zaledwie że słuchała z roztargnieniem i nie przerywała ani na chwilę czynności wybierania popiołu z kominka lub nakrywania do stołu; ale skoro tylko ktoś zeszedł na te właściwości, na przykład, że młodszy syn diuka de Guermantes nazywa się zazwyczaj księżę d'Oleron, wykrzykiwała: „To bardzo piękne!” i stawała olśniona niby przed witrażem.

Franciszka dowiedziała się też przez kamerdynera księcia d'Agrigente (który to kamerdyner zaprzyjaźnił się z nią, nosząc często listy do księżnej), że w istocie wiele się mówi w świecie o małżeństwie margrabiego do Saint-Loup z panną d'Ambresac i że to jest prawie postanowione.

Ta willa, ta łoża parterowa, w które pani de Guermantes przesączała swoje życie, wydawały mi się czymś nie mniej czarodziejskim niż jej apartamenty. Nazwiska Guise, Parma, Guermantes-Bavière wyróżniały spośród wszystkich innych wilegiatur³⁴ te, na

³³Henryk Orleański, księżę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

³⁴wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

które udawała się księżna, oraz codzienne fety, które ślad kół karety wiązał z jej pałacem. O ile mi te nazwiska powiadały, że na tych wilegiaturach, na tych fetach spływa życie pani de Guermantes, nie objaśniały mi w niczym tego życia. Każda z nich dawała egzystencji księżnej inne przeznaczenie, ale wszystkie kazały jej jedynie zmieniać rodzaj tajemnicy, w niczym nie rozpraszając tej, w której przesuwała się, chroniona cienką ścianką, zamknięta, niby w naczyniu, pośród fal powszechnego życia. Księżna mogła jeść śniadanie nad Morzem Śródziemnym w czas karnawału, ale w willi księżnej de Guise, gdzie królowa paryskiego towarzystwa była — w swojej białej pikowej sukni, pośród licznych księżniczek krwi — jedynie gościem podobnym do innych, tym samym stawała się dla mnie jeszcze bardziej sobą, bardziej wzruszająca w tej metamorfozie, niby gwiazda baletu, która w jakiejś fantazyjnej figurze tanecznej zajmuje kolejno miejsce innych balerin; mogła oglądać chińskie cienie, ale na wieczorze księżnej Parmy; mogła słuchać tragedii lub opery, ale w parterowej łoży swej księżęco-bawarskiej kuzynki.

W ciele danej osoby lokalizujemy wszystkie możliwości jej życia, wspomnienie istot, które ona zna, z którymi dopiero co się rozstała lub z którymi ma się spotkać. Toteż kiedy dowiedziawszy się od Franciszki, że pani de Guermantes pójdzie pieszo na śniadanie do księżnej Parmy, ujrzałem ją koło południa, jak wychodzi z domu w cielistej atlasowej sukni, z twarzą o tym samym odcieniu, niby chmura o zachodzie słońca, widziałem przed sobą wszystkie rozkosze Faubourg Saint-Germain zamknięte niby w muszli w tej polerowanej skorupie z różowej perłowej masy.

Ojciec miał w ministerstwie przyjaciela, niejakiego A. J. Moreau, który, aby się odróżnić od innych Moreau, zawsze poprzedzał swoje nazwisko tymi inicjałami, tak że go nazywano w skrócie: „A. J.”. Otóż nie wiem, jaką drogą ów A. J. dostał fotel na galowe przedstawienie w Operze; ofiarował bilet ojcu, że zaś Berma, której nie widziałem na scenie od czasu mego pierwszego rozczarowania, miała grać akt *Fedry*³⁵, babka uprosiła, aby ojciec dał mi ten bilet.

Prawdę mówiąc, nie przywiązywałem żadnej wagi do tej możliwości usłyszenia Bermy, która kilka lat wprzód przyprawiła mnie o tyle wzruszeń. I nie bez melancholii stwierdziłem swoją obojętność na to, co byłbym niegdyś przełożył nad zdrowie i spokój. Nie znaczy to, aby moja żądza oglądania z bliska szacownych części rzeczywistości, które odgadywała moja wyobraźnia, straciła na sile. Ale ta wyobraźnia nie mieściła ich już w dykcji wielkiej aktorki; od czasu wizyt u Elstira wierę duchową, jaką pokładałem niegdyś w tej grze, w tragicznej sztuce Bermy, przenieśliśmy teraz na pewne tkaniny, na pewne współczesne obrazy; i dalibóg, odkąd moje pragnienie nie podsycalo już nieustannego kultu dykcji i póz Bermy, „duplikat” ich, jaki posiadałem w sercu, zwiądlł po trochu, jak owe inne „duplikaty” nieboszczyków w starożytnym Egipcie, które trzeba było nieustannie karmić, aby podtrzymać ich życie. Ta sztuka stała się nikła i marna; nie było już w niej głębi, duszy.

W chwili gdy, korzystając z ojcowskiego biletu, wstępowałem po wielkich schodach Opery, spostrzegłem przed sobą człowieka, którego wziąłem zrazu za pana de Charlus. W istocie miał coś z niego; kiedy obrócił głowę, aby poprosić urzędnika o jakąś informację, ujrzałem, że się omylił; ale nie wahałem się pomieścić nieznanego w tej samej klasie społecznej, nie tylko ze sposobu ubrania, ale i ze sposobu, w jaki mówił do kontrolera i do przetrzymujących go bileterek. Bo, poza właściwościami indywidualnymi, była jeszcze w owej epoce bardzo wyraźna różnica między bogatym elegantem z tych kół arystokracji a wszelkim bogatym elegantem ze świata finansów lub wielkiego przemysłu. Tam gdzie jeden z tych ostatnich uważałby, że podkreśla swoją elegancję ostrym i wyniosłym tonem wobec niższych, wielki pan, łagodny, uśmiechnięty, robił wrażenie, że przywilej dobrego wychowania mieści w komedii pokory i cierpliwości, w udaniu, że jest po prostu pierwszym lepszym z widzów. Widząc tego wielkiego pana, pokrywającego dobroduszny uśmiechem nieprzebyty próg specjalnego świata, jaki nosił w sobie, niejeden syn bogatego bankiera, wchodząc w tej chwili do teatru, wziąłby go może za byle kogo, gdyby w nim nie dojrzał zdumiewającego podobieństwa do świeżo w ilustrowanych pismach reproduktowanego portretu bratanka cesarza austriackiego, księcia saskiego, właśnie bawiącego w tej chwili w Paryżu. Wiedziałem, że ów książę jest wiel-

³⁵*Fedra* — klasycystyczna tragedia Jeana Racine’a (1639–1699). [przypis edytorski]

kim przyjacielem Guermantów. Zbliżywszy się do kontrolera, usłyszałem, jak książę saski (lub ten, którego zań brałem) powiada z uśmiechem: „Nie wiem numeru łoży, kuzynka mówiła mi, żebym po prostu spytał o jej łożę”.

Może to był książę saski; może to księżnę de Guermantes (którą w takim razie mógłbym ujrzeć w momencie jej niepojętego życia w parterowej łoży kuzynki) oczy jego widziały w myśli, kiedy mówił: „Kuzynka mówiła mi, żebym się tylko spytał o jej łożę”, tak że to uśmiechnięte i odrębne spojrzenie oraz te proste słowa głaskały mi serce na przemian mackami możliwego szczęścia i niepewnego uroku o wiele bardziej, niżby to zrobiło oderwane marzenie. W każdym razie, wymawiając te słowa, nieznajomy otwierał pospolitemu wieczorowi mego codziennego życia możliwe przejście do nowego świata; korytarzyk, który mu wskazano na słowa „parterowa łoża” i w który się zapuścił, był wilgotny i odrapany i zdawał się prowadzić do jakichś morskich grot, do mitologicznego królestwa nimf wodnych. Miałem przed sobą tylko pana we fraku, który się oddalał; ale puściłem nań, niby niezręcznym i błędzącym reflektorem, myśl, że to jest książę saski i że idzie do księżnej de Guermantes. I mimo że był sam, ta myśl, będąca czymś poza nim, niepochwytana, olbrzymia i przerywana na kształt projekcji, zdawała się go poprzedzać i prowadzić niby bóstwo towarzyszące greckiemu wojownikowi, niewidzialne dla reszty ludzi.

Udałem się na swoje miejsce, starając się odnaleźć w myśli jakiś wiersz *Fedry*, którego sobie dokładnie nie przypominał. Tak jak go sobie recytowałem, wiersz nie miał dostatecznej ilości stóp³⁶; ale ponieważ nie próbowałem ich policzyć, zdawało mi się, że nie ma żadnej wspólnej miary między jego nieforemnością a klasycznym wierszem. Nie dziwiłbym się, gdyby trzeba było odjąć więcej niż sześć sylab od tego monstrualnego zdania, aby z niego uczynić wiersz dwunastostopowy. Ale nagle przypomniałem go sobie: nieublagane kanty nieludzkiego świata znikły jakby czarami, sylaby wypełniły natychmiast miarę aleksandrynu³⁷, to, co w nim było zbyteczne, ulotniło się swobodnie i łatwo, niby bańka powietrza pękająca na powierzchni wody. I w istocie, ta potworność, z którą walczyłem, to była tylko jedna stopa.

Pewną liczbę foteli parterowych oddano do sprzedaży w kasie; zakupili je snobi lub ciekawscy, żądni oglądać ludzi, których inaczej nie mieliby sposobności widzieć z bliska. I w istocie trochę z ich prawdziwego życia światowego, zazwyczaj ukrytego, można było oglądać publicznie, bo księżna Parmy sama rozdała między swoich przyjaciół łoże i balkony, tak iż widownia była niby salon, gdzie każdy krążył, przysiadając się to tu, to tam koło jakiejś znajomej damy.

Obok mnie siedzieli zwykli ludzie, którzy nie znając abonujących łoże, chcieli okazać, że ich poznają, i wymieniali ich głośno. Dodawali, że ci wybrańcy przychodzą tu jak do salonu; chcieli przez to powiedzieć, że nie zwracają uwagi na scenę. Ale właśnie było przeciwnie. Genialny student, który kupił fotel, chcąc ujrzeć Bermę, myśli tylko o tym, żeby nie powalać rękawiczek, nie zawadzać, zyskać sympatię przygodnego sąsiada, ścigać uśmiechem jakieś przelotne spojrzenie, unikać z niegrzeczną miną wzroku znajomej osoby, którą odkrył w sali i którą po tysiącnych wahaniach decyduje się odwiedzić w chwili, gdy trzy uderzenia rozlegające się, zanim tam dotarł, zmuszają go do ucieczki niby Hebrajczyków przez Morze Czerwone między wzburzonymi falami widzów, których poruszył z miejsca i którym drze suknie lub depce po nogach. Wręcz przeciwnie ludzie światowi: ci byli w swoich łożach za balkonem jak w małych wiszących salonikach, z których jedną ścianę usunięto, lub jak w kawiarni, dokąd gość zachodzi napić się czegoś, nieonieśmielony lustrami w złotych ramach ani czerwonymi krzesłami lokalu w stylu neapolitańskim; i dlatego że wspierali się obojętną ręką o złożone słupy kolumn podtrzymujących tę świątynię sztuki, dlatego że nie byli wzruszeni nadmiernymi honorami, jakie zdawały się im oddawać dwie rzeźbione figury, wyciągające ku łożom gałęzie palm i laurów, oni jedni mieliby swobodę ducha na słuchanie sztuki — gdyby tylko mieli inteligencję po temu.

³⁶stopa — tu: najmniejsza jednostka miary rytmicznej wiersza. [przypis edytorski]

³⁷aleksandryn (lit.) — forma wierszowa, w której szósta sylaba wersu i szósta sylaba po średniówce stanowią ostatnie sylaby akcentowane półwersów; aleksandrynem pisze się utwory o charakterze heroicznym, np. tragedie czy epeje. [przypis edytorski]

Najpierw były tylko mgliste ciemności, w których spotykało się nagle, niby błysk niewidocznego drogiego kamienia, fosforescencją pary sławnych oczu, lub — niby medalion Henryka IV³⁸ odcinający się na czarnym tle — wydatny profil księcia d'Aumale, do którego niewidzialna dama krzyczała: „Niech Wasza Wysokość pozwoli sobie zdjąć palto”, na co księżę odpowiadał: „Ale nie, cóż znowu, pani d'Ambresac”. Mimo słabej obrony dama postawiła na swoim i wszyscy zazdrościli jej tego honoru.

Ale w innych parterowych łóżach białe boginie, zamieszkujące te mroczne miejsca, prawie wszędzie schroniły się pod ciemne ściany, pozostając niewidzialne. Jednakże w miarę trwania spektaklu mglisto ludzkie ich kształty wyłaniały się miękko jeden po drugim z głębin nocy, którą wyścielały, i wychylając się ku światłu, ukazywały ich pół nagie ciała. Ciała te zatrzymywały się na prostopadłej granicy i na półmroczonej powierzchni, gdzie lśniące twarze jawiły się poza roześmianym, pianistym i lekkim szelestem pierzastych wachlarzy, pod gęstwą usianych perłami purpurowych włosów, jak gdyby sfalowanych przypliwem; potem zaczynały się fotele parterowe, siedziba śmiertelników na zawsze oddzielona od ciemnego i przezroczystego królestwa, dla którego tu i ówdzie tworzyły granicę, swoją płynną i pełną powierzchnią, jasne i zwierciadlane oczy bogiń wód. Bo nadbrzeżne straponteny³⁹, kształty potworów z parteru odbijały się w tych oczach jedynie wedle praw optyki i wedle swego kąta nachylenia, tak jak się dzieje z tymi dwiema dziedzinami rzeczywistego świata, do których — świadomi, że nie posiadają nawet w prymitywnym zarodku duszy podobnej do naszej — uważalibyśmy za szaleństwo zwracać uśmiech lub spojrzeć: minerałami i osobami, które nam nie były przedstawione. To była granica ich królestwa; w głębi natomiast promienne córki mórz obracały się co chwilę, uśmiechając się do brodatych trytonów⁴⁰ wtłoczonych w zaułki groty lub do jakiegoś wodnego półboga, mającego jako czaszkę gładki kamień, który fala opłotła oślizgła algą, a jako oko krążek skalnego kryształu. Przeginały się ku nim, częstowały ich cukierkami; czasem fala rozwierała się dla nowej nereidy⁴¹, która spóźniona, uśmiechnięta i zawstydzona, wykwiwała z ciemności; po czym, po skończonym akcie, nie spodziewając się już usłyszeć melodyjnych odgłosów ziemi, które je ściągnęły na powierzchnię, te tak różne siostrzyce, dając nurka wszystkie naraz, znikają w mroku. Ale ze wszystkich tych schronień, na których próg sprowadzała ciekawe i niedostępne boginie błaha chęć ujrzenia dzieł ludzkich, najślawniejszy był blok półmroku znany jako łoża księżnej Marii de Guermantes-Bavière.

Niby można bogini, z dała przodująca igraszkom pomniejszych bóstw, księżna Maria umyślnie siedziała nieco w głębi, na bocznej kanapie, czerwonej jak ławica koralu, obok szerokiego szklistego odbłasku, który był prawdopodobnie lustrem i który budził pojęcie jakiegoś prostopadłego, mrocznego i płynnego wycinka, dokonanego przez promień w olśnionym kryształach wód. Wielki biały kwiat — zarazem pióro i kielich, jak pewne morskie wodorosty — puszysty jak skrzydło, spływał z czoła księżnej po policzku, którego zarys obejmował z zalotną, miłosną i żywą miękkością, tuląc go niby różowe jajko w przytulnym gniazdku alcjona⁴². Na włosach księżnej, schodząc aż do brwi, potem jawiąc się niżej na wysokości piersi, rozpościerała się siatka z białych muszelek, które łowi się w pewnych morzach południowych, a które były pomieszane z perłami; mozaika morska, ledwo wyłoniona z fal i chwilami zanurzająca się w cieniu, w którego głębi nawet wówczas zdradzała obecność ludzką olśniewająca żywość oczu księżnej. Piękność, która wynosiła ją o wiele ponad inne bajeczne córki mroku, nie była cała materialnie i wyłącznie wypisana w jej karku, barkach, ramionach, kibici. Ale rozkoszna i niedokończona linia tej postaci była jakby punktem wyjścia, bezzawodną przynętą niewidzialnych linii, które oko przedłużało mimo woli, cudownych linii zrodzonych dokoła kobiety niby rzucone na ciemności widmo idealnego kształtu.

³⁸Henryk IV (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

³⁹strapontena (z fr.) — składane siedzenie, oszczędzające miejsce; dostawka. [przypis edytorski]

⁴⁰tryton (mit. gr.) — bóstwo morskie z orszaku Posejдона, o tułowiu człowieka i rybim ogonie. [przypis edytorski]

⁴¹nereidy (mit. gr.) — nimfy morskie, córki boga morskiego Nereusa. [przypis edytorski]

⁴²alcjon (mit. gr.) — ptak, w którego została zamieniona Alkione (łac. Alcyone) i który buduje swoje gniazdo na plaży w okresie spokoju na morzu; zimorodek. [przypis edytorski]

— To księżna Maria de Guermantes — rzekła do towarzyszącego jej pana moja sąsiadka, akcentując przesadnie słowo „księżna” dla zaznaczenia, że ten tytuł wydaje się jej śmieszny. — Nie żałowała sobie pereł. Zdaje mi się, że gdybym miała ich tyle, nie robiłabym takiej wystawy; nie uważam, aby to było w dobrym guście.

A jednak, poznając księżnę Marię, wszyscy ci, co starali się dojrzeć, kto jest na sali, uczuli, że się w ich sercu wznosi prawy tron piękności. W istocie, co się tyczyło księżnej de Luxembourg, pani de Morienval, pani de Saint-Euverte i tylu innych, szczegółem pozwalającym zidentyfikować ich twarz było spotkanie się dużego czerwonego nosa z zającą wargą lub dwóch namarszczonych policzków z małym wąsikiem. Te rysy wystarczały zresztą, aby czarować, ponieważ, mając jedynie konwencjonalną wymowę alfabetu, pozwalały odczytać sławne i imponujące nazwisko; ale w końcu rodziły myśl, że brzydota jest czymś arystokratycznym i że zbyteczne jest, aby twarz wielkiej damy — o ile jest dystygowana — była piękna. Ale jak niektórzy artyści zamiast liter własnego nazwiska kreślą pod swoim obrazem kształt piękny sam przez się — motyla, jaszczurkę, kwiat — tak samo księżna Maria ukazywała w swojej łoży wspaniałe ciało i uroczą twarz, dając tym dowód, że piękność może być najszlachetniejszym podpisem; obecność bowiem pani de Guermantes, zapraszającej do teatru jedynie osoby ze swego najbliższego kółka, była w oczach miłośników arystokracji najlepszym świadectwem autentyczności obrazu, jaki przedstawiała jej łoża, wizja zwykłego a odrębnego życia księżnej w jej pałacu w Monachium i w Paryżu.

Wyobraźnia nasza jest niby popsuta katarynka, która gra zawsze coś innego niż zapowiedzianą melodię; toteż za każdym razem, kiedym usłyszał nazwisko księżnej de Guermantes-Bavière, zaczynało śpiewać we mnie wspomnienie pewnych dzieł z XVI wieku. Trzeba mi ją było odrzeć z tego wspomnienia teraz, kiedym ją widział częstującą cukierkami grubego pana we fraku. Zapewne, daleki byłem mimo to od wniosku, że ona i jej goście to są istoty podobne innym. Rozumiałem dobrze, że to, co oni robią, to tylko gra, i że — jako preludium do scen swego prawdziwego życia (którego najważniejszą część przeżywali z pewnością nie tutaj) — regulują swoje postęпки wedle nieznanym mi obzędów, udają, że się częstują cukierkami lub odmawiają ich, czyniąc gesty pozbawione znaczenia, unormowane z góry, niby krok tancerki, która na przemian staje na palcach lub krąży dokoła szarfy. Kto wie, w chwili gdy bogini ofiarowywała te cukierki, powiadała może ironicznie (bo widziałem, że się uśmiecha): „Czy pozwoli pan cukierka?”. Cóż mi to znaczyło? Ujrzałbym rozkoszne wyrafinowanie w celowej oschłości (*à la*⁴³ Mérimée⁴⁴ lub *à la* Meilhac⁴⁵) tych słów skierowanych przez boginię do półboga, który wiedział, jakie wzniosłe myśli pokrywają oboje, chowając je z pewnością na chwilę, gdy złączą znów żyć prawdziwym życiem; i podejmując zabawę, odpowiadał z tą samą dyskretną finezją: „Owszem, proszę o wisienkę”. I byłbym słuchał tego dialogu równie chciwie, co jakiejś sceny z *Męża debiutantki*, gdzie brak poezji i wielkich myśli — rzeczy dla mnie tak potocznych, które, przypuszczam, Meilhac byłby tysiąc razy zdolny tam włożyć — zdawał mi się sam przez się elegancją, elegancją umowną i przez to samo tym bardziej tajemniczą i pouczającą.

— Ten gruby to margrabia de Ganançay — rzekł z dobrze poinformowaną miną mój sąsiad, który źle usłyszał szepnięte za nim nazwisko.

Margrabia de Palancy, z wyciągniętą szyją, z przekrzywioną twarzą, z wielkim okiem przyklepionym do monokla, przesuwiał się z wolna w przejrzystym cieniu, zdając się tak samo nie widzieć publiczności z fotelów, jak ryba przepływająca poza oszkloną ścianą akwarium. Chwilami zatrzymywał się, czcigodny, sapiący i obrosły mchem, przy czym widzowie nie mogliby powiedzieć, czy on cierpi, śpi, pływa, znosi jajko lub tylko oddycha. Nikt nie budził we mnie takiej zazdrości jak on dla przywilejów, jakimi zdawał się cieszyć w tej łoży, oraz obojętności, z jaką pozwalał księżnej częstować się cukierkami; obejmowała go wówczas spojrzeniem swoich pięknych oczu wyciętych w diamencie, ogarniających go w tej chwili inteligencją i przyjaźnią. Oczy te, kiedy były spokojne, ograniczały się do swojej czystej materialnej piękności, do samego mineralnego blasku, ale o ile najmniejszy

⁴³*à la* (fr.) — na sposób, w stylu. [przypis edytorski]

⁴⁴Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz. [przypis edytorski]

⁴⁵Meilhac, Henri (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista; autor m.in. komedii *Le Mari de la débutante* (*Mąż debiutantki*, 1879). [przypis edytorski]

odruch poruszył je lekko, rozpałały głębie sali niehumanymi, horyzontalnymi i wspaniałymi ogniami.

Jednakże ponieważ akt *Fedry*, który grała Berma, miał się rozpocząć, księżna wysunęła się na przód łoża; wówczas, jak gdyby ona sama była teatralnym zjawiskiem, ujrzałem, iż w odmiennej strefie światła, którą przebyła, zmienia się nie tylko barwa, ale materiał jej strojów. I w łożu osuszonej, wyłonionej z oceanu, nienależącej już do świata wód, księżna, przestając być nereidą, ukazała się w białym i błękitnym turbanie niby jakaś cudowna tragiczka ukostiumowana na Zairę lub może na Orosmana⁴⁶; po czym, kiedy usiadła w pierwszym rzędzie, ujrzałem, iż przytulne gniazdko alcjona, tkliwie chroniące różową perłową masę jej policzków, to był — mięciutki, lśniący i jedwabisty — olbrzymi rajski ptak.

Wśród tego oczy moje odciągnęła od łoża księżnej Marii kobieta drobna, źle ubrana, brzydka, z płomiennymi oczami, która w towarzystwie dwóch młodych ludzi siedła o kilka miejsc ode mnie. Potem kurtyna się podniosła. Nie bez melancholii stwierdziłem, że nic mi już nie zostało z dawniejszych nastrojów, kiedy to — aby nic nie stracić z nadzwyczajnego zjawiska, które byłbym pospieszył oglądać na koniec świata — trzymałem duszę w pogotowiu, niby owe czule klisze, które astronomowie instalują w Afryce, na Antylach, dla ścisłej obserwacji komety lub zaćmienia; kiedym drżał, aby jakaś chmura (niedyspozycja artystki, zachowanie się publiczności) nie przeszkodziła widowisku osiągnąć maksimum nasilenia; kiedy bym uważał, że nie oglądam go w najlepszych warunkach, gdybym się nie znalazł w tym właśnie teatrze, poświęconym jej na kształt ołtarza, do którego włączałem wówczas (mimo iż jako uboczną część jej zjawienia się pod czerwoną kotarą) mianowanych przez nią kontrolerów z białymi goździkami, podmurowanie nawy nad parterem pełnym ludzi źle ubranych, bileterki sprzedające program z jej fotografią, kasztaniarzy ze skweru, wszystkich tych towarzyszków, tych powierników moich ówczesnych wrażeń, którzy mi się zdawali od nich nieodłączni. *Fedra*, „scena oświadczyń”, Berma, wszystko to miało wówczas dla mnie rodzaj absolutnego istnienia. Pomieszczone poza bieżącym światem, zjawiska te istniały same przez siebie, trzeba mi było iść ku nim, aby z nich przeniknąć, ile się da, a otwierając na oścież oczy i duszę, jeszcze wchłonałbym bardzo mało. Ale jak życie wydawało mi się przyjemne! Czczotki dni, które pędziłem, nie miała żadnej wagi, niby chwile, w których się człowiek ubiera, gotuje do wyjścia, skoro poza tym istniały w sposób absolutny — dobre a trudno dostępne, niemożliwe do całkowitego posiadania — owe trwalsze realności, *Fedra*, gra Bermę. Nasycony tymi marzeniami o doskonałości sztuki dramatycznej, których można by wówczas wydobyć znaczną dawkę, gdyby się w owej dobie, o którejkolwiek minucie dnia, a może nocy, zanalizowało mój umysł, byłem niby stos Volty⁴⁷ wyladujący elektryczność. I przyszła chwila, w której, nawet będąc chory, nawet gdybym miał to przypłacić życiem, musiałem zobaczyć Bermę. Ale teraz, niby pagórek, który z daleka wydaje się z lazuru, a z bliska wsiąka w nasze pospolite widzenie przedmiotów, wszystko to opuściło świat absolutu i było już tylko rzeczą podobną do innych, którą przyjmowałem do świadomości, ponieważ byłem tam obecny; artyści byli ludźmi z tej samej materii co moi znajomi, starali się mówić możliwie najlepiej te wiersze z *Fedry*, które też nie były już wzniosłą i indywidualną, odrębną od wszystkiego istnością, ale mniej lub więcej udatnymi wierszami, gotowymi utonąć w olbrzymiej masie francuskich wierszy, z którymi się mieszały. Zniechęcenie moje było tym głębsze, że o ile przedmiot mojego upartego i czynnego pragnienia już nie istniał, w zamian za to wciąż istniała ta sama skłonność do opętania marzeniem, zmieniającym się z roku na rok, ale wiodącym mnie do nagłego wybuchu niedbającego na niebezpieczeństwa. Jakiś dzień, kiedy będąc chory, wybrałem się, aby oglądać w pewnym zamku obraz Elstira lub średniowieczny kobierzec, tak bardzo podobny był do dnia, gdy miałem jechać do Wenecji lub kiedym poszedł oglądać Bermę, lub pojechałem do Balbec, że z góry czułem, iż obecny przedmiot mojej ofiary zostawi mnie po niedługim czasie obojętnym, tak iż mógłbym wówczas przejeżdżać bardzo blisko, a nie wstąpić, aby obejrzeć ów obraz lub kobierzec, dla których byłbym się w danej chwili naraził na tyle bezsensownych nocy, na tyle bolesnych ataków choroby.

⁴⁶*Zaira, Orosman* — bohaterowie tragedii Woltera *Zaire* (1732). [przypis edytorski]

⁴⁷*stos Volty* — ogniwo galwaniczne, wytwarzające prąd dzięki reakcjom chemicznym zachodzącym między elektrodą a elektrolitem, wynalazek Alessandra Volty. [przypis edytorski]

Oceniałem czczość swego wysiłku z niestałości jego przedmiotu, a równocześnie czułem jego ogrom, w który wprzód nie wierzyłem. Byłem jak owi neurastenicy, których zmęczenie zdwaja się, skoro im zwrócić uwagę, że są zmęczeni. Na razie zaduma moja dawała urok wszystkiemu, co się z nią mogło wiązać. I nawet w moich najbardziej cielesnych pragnieniach, zawsze zwracających się w pewną stronę, skupionych dokoła tego samego marzenia, jako pierwszą pobudkę mógłbym rozpoznać ideę, ideę, dla której poświęciłbym życie, a w której centralnym punkcie — jak w moich marzeniach w czasie popołudniowych lektur w ogrodzie w Combray — było pojęcie doskonałości.

Nie miałem już tej samej co niegdyś pobłażliwości dla trafnych akcentów tkliwości lub gniewu, jakie zauważyłem wówczas w deklamacji i w grze Arycji, Ismeny i Hipolita. Nie znaczy to, aby ci artyści — byli to ci sami co wtedy — nie starali się, wciąż z tą samą inteligencją, dać tu swemu głosowi intonacji pieśniodoty lub celowej dwuznaczności, ówdzie swoim gestom tragicznego dostojeństwa lub błagalnej słodyczy. Akcenty ich nakazywały temu głosowi: „Bądź słodki, śpiewaj jak słowik, pieść” lub przeciwnie: „Bądź wściekły”; wówczas rzucały się na ten głos, starając się porwać go swoją furią. Ale oporny głos pozostawał niewzruszenie ich naturalnym głosem, z jego materialnymi brakami lub urokami, z jego codzienną pospolitością lub przesadą, i tworzył zespół akustycznych lub socjalnych przejawów, których nie zmieniło poczucie recytowanych wierszy.

Toż sam gest tych artystów powiadał ich rękami, ich płaszczowi: „Bądźcie majestacyjni”. Ale nieusłuchane członki pozwalały się — między ramieniem a łokciem — puszyc bicepsom niemającym pojęcia o roli; nadal wyrażały błahość potocznego życia oraz wydobywały na światło, w miejsce Racine’owych⁴⁸ harmonii, węzły mięśniowe; draperia, którą podnosiły, opadała po linii pionowej, przy czym z prawami ciężkości walczyła jedynie martwa lekkość materii. W tej chwili damulka siedząca koło mnie wykrzyknęła:

— Ani jednego brawa! I jak ona się wysztafirowała! Ależ ona jest za stara, już nie może; w takich razach nie trzeba się upierać!

Wobec psykań publiczności dwaj młodzi ludzie, którzy towarzyszyli tej pani, starali się ją uspokoić; jakoż wściekłość jej wyrażała się już tylko oczami. Wściekłość ta mogła zresztą godzić jedynie w powodzenie, w sławę, bo Berma, która zarabiała tyle pieniędzy, miała tylko długi. Naznaczając wciąż zawodowe lub przyjacielskie spotkania, na które się nie mogła stawić, wysyłała na wszystkie strony groomów⁴⁹ biegających, aby ją usprawiedliwić; w hotelach miała pozamawiane apartamenty, z których nigdy nie korzystała; oceany perfum dla kąpania suczek, ciężar odszkodowań płaconych wszystkim dyrektorom. W braku kosztów znaczniejszych a mniej rozkoszliwych niż wydatki Kleopatry, potrafiłaby strwonić prowincje i królestwa na telegramy i dorożki. Ale owa damulka to była aktorka, której się nie powiodło w karierze i która powzięła śmiertelną nienawiść do Berny.

Berma weszła właśnie na scenę. I wówczas, o cudzie! jak owe lekcje, których obkuwaniem wyczerpaliśmy się do szczytu wczoraj wieczór, a które odnajdujemy w sobie umiane na pamięć, kiedyśmy się przespali; jak owe twarze zmarłych, które ścigaliśmy namiętnym wysiłkiem pamięci, nie mogąc ich odnaleźć, a które — kiedy już o nich nie myślimy — jawią się przed naszymi oczami, łudzaco żywe, tak talent Berny, który uciekał przede mną, kiedyśmy się silił pochwycić jego istotę, teraz, po latach zapomnienia, w tej godzinie obojętności, narzucał się z całą oczywistością memu podziwowi. Niegdyś, starając się wyodrębnić ten talent, potraçałem niejako z tego, com słyszał, samą rolę — rolę, wspólną własność wszystkich aktorek grających Fedrę — którą przestudiowałem z góry, aby ją wyeliminować, aby zebrać jako resztę jedynie talent Berny. Ale ten talent, który starałem się uchwycić poza rolę, stapiał się z nią w jedno. Tak jak gra wielkiego muzyka (zdaje się, że tak było u Vinteuila, kiedy grał na fortepianie) jest grą tak wielkiego pianisty, że nawet się już nie wie, czy ten artysta jest w ogóle pianistą, ponieważ (nie narzucając całego aparatu wysiłków mięśniowych, tu i ówdzie uwieńczonych świetnym efektem, całego tego prysznicu nut, w którym słuchacz, nie wiedząc, czego się trzymać, sądzi bodaj, że znalazł talent w jego fizycznej rzeczywistości, dotykalny) ta gra stała się przejrzysta, tak nasyciona tym, co odtwarza, że już się jej samej nie widzi, jest tylko oknem

⁴⁸Racine, Jean Baptiste (1639–1699) — wybitny francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych. [przypis edytorski]

⁴⁹grum a. groom (ang.) — chłopiec stajenny opiekujący się końmi. [przypis edytorski]

na arcydzieło. Mogłem rozpoznać intencje okalające niejako majestatycznym lub subtelnym szlakiem głos i mimikę Arycji, Ismeny, Hipolita; ale Fedra wcieliła je w siebie, tak że moja świadomość nie mogła już oderwać od dykcji i od póż, nie mogła w oszczędnej prostocie ich gładkich powierzchni dostrzec owych odkryć, owych efektów, które nie przekraczały tych intencji, tak głęboko były w nich zawarte. Głos Bermy, w którym nie istniała już żadna resztką bezczulej i odpornej duchowi materii, nie pozwalał dostrzec dokoła niej tego nadmiaru łez, które widziało się spływające po marmurowym głosie Arycji i Ismeny, ponieważ nie mogły w ten głos wsiąknąć; jej głos był delikatnie spulchniony w swoich najdrobniejszych komórkach, niby instrument wielkiego skrzypka, u którego, kiedy się mówi, że ma piękny ton, chwali się nie fizyczną właściwością, ale bogactwo duszy; i niby w antycznym krajobrazie, gdzie w miejsce nimfy, która pierzchła, znajduje się nieożywione źródło, rozpoznawalna i konkretna intencja zmieniała się tu w jakąś właściwość dźwięku, o czystości idealnie dostrojonej i zimnej. Ramiona Bermy, które sam wiersz — tą samą emisją, która wyrzucała głos z jej ust — podnosił na jej piersi niby liście poruszane spływaniem wody; poza jej, którą stworzyła sobie pomału i którą miała zmienić jeszcze, powstała z refleksji o ileż głębszych niż te, których ślad spostrzegano się w gestach jej koleżanek, ale z refleksji, co straciwszy swój świadomy początek, stopione w jakimś promieniowaniu dokoła osoby Fedry, wprawiały w drganie bogate i złożone składniki, które urzeczony widz brał nie za zdobycz artysty, lecz za element życia; same te białe zasłony, wycieńczone i wierne, zdawały się żywą materią, jak gdyby były utkane przez na wpół pogańskie, na wpół jansenistyczne⁵⁰ cierpienie, dokoła którego kurczyły się na kształt kruchego i zziębniętego kokona; wszystko to, głos, pozy, gesty, zasłony, tworzyły jedynie dodatkowe powłoki dokoła tego ciała myśli, jakim jest wiersz (ciała, co na wspaniałym ciałem ludzkim nie jest dla duszy ciemną zaporą, niepozwalającą jej spostrzec, ale jest niby oczyszczona i ożywiona szata, w której się ona rozpuszcza i gdzie się ją odnajduje). Owe powłoki zamiast ukrywać tę myśl uwydatniały wspaniałe duszę, która sobie przyswoiła te wiersze i która się w nich rozlała; były jedynie stopem różnych substancji, obecnie przezroczystych, których nawarstwienie bogaciej jedynie odbija uwięziony w nich centralny promień, przechodzący je na wskroś i czyniący rozciąglejszą, cenniejszą i piękniejszą nasyoną płomieniem materię, którą jest spowity. W ten sposób kreacja Bermy tworzyła dokoła dzieła drugie dzieło, również ożywione geniuszem.

Moje wrażenie — szczerze mówiąc, miłsze od dawniejszego — nie było odmienne. Jedynie nie konfrontowałem go już z uprzednim abstrakcyjnym i fałszywym pojęciem geniuszu dramatycznego; rozumiałem, że geniusz dramatyczny to właśnie to. Myślałem przed chwilą, że jeżeli nie czuł przyjemności za pierwszym razem, kiedy słyszał Bermę, to dlatego że, jak niegdyś, kiedy ujrzał Gilbertę na Polach Elizejskich, zbliżałem się do niej z nazbyt wielkim upragnieniem. Między tymi dwoma zawodami istniało może nie tylko to jedno podobieństwo, ale także inne, głębsze. Wrażenie, jakie na nas sprawia dana osoba, dane dzieło (lub interpretacja) o silnie zarysowanej odrębności, ma coś swobodnego. Przynieśliśmy z sobą pojęcie „piękna”, „szerokości stylu”, „patetyczności”, których mogliśmy się od biedy dopatrzeć w banalności jakiegoś poprawnego talentu lub twarzy; ale tu nasz wyczekujący duch spotyka się z naciskiem formy, której równoważnika intelektualnego nie posiada, z której trzeba mu wydobyć nieznanne. Słyszy ostry dźwięk, dziwnie pytającą intonację. Zastanawia się: „Czy to, czego doznaję, jest piękne? Czy to jest podziw? Czy to jest bogactwo kolorytu, szlachetność, siła?”. I odpowiada mu na nowo ostry głos, dziwnie pytający ton, despotyczne wrażenie wywołane przez nieznaną nam, całkowicie materialną istotę, w której nie zostało żadnego marginesu na „szerokość interpretacji”. I dlatego dzieła naprawdę piękne, jeżeli ich szczerze słuchamy, muszą nam sprawiać największy zawód, ponieważ w zbiorze naszych pojęć żadne nie odpowiada wrażeniu indywidualnemu.

Tego właśnie dowodziła mi gra Bermy. Tak, to było to — szlachetność, inteligencja dykcji. Teraz zdawałem sobie sprawę z walorów szerokiej, poetycznej, potężnej interpretacji; lub raczej to było coś, czemu zgodzono się dawać te przydomki, ale tak jak się daje miano Marsa, Wenery, Saturna gwiazdom niemającym nic mitologicznego. Czuj-

⁵⁰jansenistyczny — taki jak w jansenizmie, katolickim ruchu duchowo-teologicznym funkcjonującym we Francji w XVII–XVIII w., inspirowanym pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej. [przypis edytorski]

my w jednym świecie, a myślimy i nazywamy w drugim; możemy ustalić między nimi zgodność, ale nie możemy zapełnić dzielącej ich przestrzeni. To bardzo mało ta przestrzeń, ta szczelina, którą musiałem przebyć pierwszy raz, widząc i słysząc Bermę, kiedy, wysłuchawszy jej z całym napięciem, z niejakim trudem siłilem się wrócić do swoich pojęć o „szlachetnej interpretacji”, o „oryginalności”; wybuchłem oklaskami dopiero po chwili pustki i tak jakby się one zrodziły nie z samego mojego wrażenia, ale jakbym je wiązał do swoich uprzednich pojęć, do przyjemności, jaką znajdowałem w tej myśli: „Słyszę wreszcie Bermę”. I ta sama różnica, jaka istnieje między jakąś osobą lub silnie indywidualnym dziełem a pojęciem piękności, istnieje w nie mniejszym stopniu między zbudzonymi przez nie uczuciami a pojęciem miłości i podziwu. Toteż nie poznaje się ich. Nie odczułem przyjemności, słysząc Bermę (tak samo jak nie odczuwałem jej niegdyś, widząc Gilbertę). Powiedziałem sobie: „Zatem nie podziwiam jej”. Ale myślałem wówczas jedynie o tym, aby zgłębić grę Bermy, byłem pochłonięty tylko tym, starałem się otworzyć swoją myśl możliwie najszerzej, aby przyjąć całą zawartość tej gry. Rozumiałem teraz, że to właśnie znaczyło: podziwiać.

Ów geniusz, którego gra Bermy była tylko objawieniem, czy to był tylko geniusz Racine’a?

Tak zrazu myślałem. Miałem wyjść z błędu po skończeniu aktu *Fedry*. W czasie owacji publiczności stara aktorka, wściekła, prężąc swoją drobną postać, siedząc bokiem z martwą twarzą, skrzyżowała ręce na piersiach, aby pokazać, że nie wtóruje oklaskom, aby jaskrawiej uwydatnić protest, w jej poczuciu sensacyjny, a w istocie niezauważony przez nikogo. Następną sztuką to była nowość z gatunku tych, które niegdyś zdawały mi się dla braku rozgłosu błahę, przemijające, jako że pozbawione pozascenicznego istnienia. Ale nie miałem, jak przy utworze klasycznym, tego zawodu, iż wieczność arcydzieła zajmuje jedynie długość rampy oraz czas spektaklu, w którym odmawia się je niby okolicznościową modlitwę. Następnie w każdej tyradzie, przy której czułem, że ją publiczność lubi, i która miała być kiedyś sławna, niedostatek jej sławy w przeszłości uzupełniałem sławą, jaką uzyska w przyszłości. Był to wysiłek myśli odwrotny do tego, który polega na wyobrażeniu sobie arcydzieła w chwili jego nikłych narodzin, kiedy jego tytuł, nigdy jeszcze niesłyszany, nie zapowiadał, iż znajdzie się kiedyś stopiony w tym samym świetle, obok tytułów innych dzieł autora. I że ta rola znajdzie się kiedyś na liście najpiękniejszych ról Bermy, obok roli Fedry. Nie iżby sama w sobie sztuka posiadała jakąś wartość literacką; ale Berma była w niej równie wspaniała jak w *Fedrze*. Zrozumiałem wówczas, że dzieło pisarza jest dla aktorki tylko materiałem — niemal obojętnym w sobie — dla stworzenia arcydzieła interpretacji, tak jak wielki malarz, którego poznałem w Balbec, Elstir, dla dwóch jednak pięknych obrazów znalazł temat w banalnym budynku szkolnym i w katedrze, która jest sama przez się arcydziełem. I jak malarz rozpuszcza dom, wóz, osoby w fali światła, która je stapia w jedno, tak Berma rozpościerała szerokie całuny grozy, tkliwości na słowach stopionych w jedność, wszystkich jednak zmatowanych lub podciągniętych, a które mierna artystka byłaby wygrywała kolejno, jedno po drugim. Bez wątpienia, każde z nich miało własny akcent i dykcja Bermy nie przeszkadzała czuć w nich wiersza. Czyż to nie jest już pierwszy element uporządkowanej złożoności, to znaczy piękna, kiedy słysząc rym — to znaczy coś, co jest zarazem jednakie i inne niż rym poprzedzający, umotywowane tamtym, ale wnoszące weń różnaitość nowego pojęcia — czujemy dwa wznoszące się na sobie systemy, jeden myślowy, drugi metryczny? Ale Berma wprowadzała słowa, nawet wiersze, nawet „tyrady” w obszerniejsze od nich zespoły; cudowne było widzieć, jak na ich granicy muszą się zatrzymać, przerwać sobie; tak poeta znajduje przyjemność w tym, aby zawiesić na chwilę przed rymem słowo mające wzlecieć, a muzyk, aby splecać rozmaite słowa tekstu we wspólnym rytmie, który je gwałci i porywa. Tak, w dialog nowoczesnego autora czy w wiersze Racine’a Berma umiała wprowadzić owe szerokie obrazy bólu, dostojeństwa, namiętności, będące jej własnym arcydziełem, i w których poznawało się ją, tak jak poznaje się malarza w portretach malowanych z rozmaitych modeli.

Nie byłbym już pragnął, jak niegdyś, unieruchomić póż Bermy, pięknego kolorystycznego efektu, jaki stwarzała przez chwilę tylko w przelotnym i niepowracającym oświetleniu, ani też kazać jej sto razy powtarzać jednego wiersza. Rozumiałem, że moje

dawniejsze pragnienie było bardziej wymagające niż wola poety, aktorki, wielkiego artysty dekoratora i że ten urok rozlany błyskawicznie na jakimś wierszu, te wciąż zmieniające się i nieuchwytnie pozy, te kolejne obrazy to był ulotny rezultat, doraźny cel, ruchome arcydzieło, które zakłada sobie sztuka teatralna, a które uwaga zbyt gorliwego miłośnika zniweczyłaby, siłąc się je utrwalić. Nie zależało mi nawet na tym, aby jeszcze kiedyś znów usłyszeć Bermę; byłem nią nasycony; niegdyś, kiedyś zanadto podziwiał, tym samym będąc skazany na zawód (czy przedmiotem podziwu była Gilberta, czy Berma), z góry od jutrzejszego wrażenia żądałem rozkoszy, jakiej mi nie dało wrażenie wczorajsze. Nie starając się zgłębić doznanej radości, z której dałoby się może uczynić płodniejszy użytek, powiadałem sobie, jak kiedyś jeden z moich kolegów: „Nie ma co, Bermie daję piątkę”, czując mglisto, że ten wyraz mojego wyboru i to pierwsze miejsce, mimo całego ukojenia, jakie mi przynosi, nie tłumaczą może zbyt dokładnie talentu Bermy.

W chwili gdy się zaczęła druga sztuka, spojrzalem w stronę łoży pani de Guermantes. Ruchem rodzącym rozkoszną linię, którą duch mój ścigał w próżni, księżna Maria zwróciła głowę w głąb łoży. Goście jej stali, zwróceniu również w głąb; w szpalerze, jaki tworzyli, zjawiała się, ze spokojem i majestatem bogini, ale z nieznaną słodyczą, zrodzoną stąd, że swoim spóźnieniem niepokoi wszystkich w pełni spektaklu — kojarząc białe muśliny, w które była spowita, oraz sprytnie naiwną, nieśmiałą i zawstydzoną minkę ze zwyczajnym uśmiechem — zjawiała się księżna Oriana de Guermantes. Podszedłszy do swojej kuzynki, złożyła głęboki ukłon młodemu blondynowi siedzącemu na przedzie, po czym, obracając się do morskich i świętych potworów bujających w głębi grotty, rzuciła tym półbogom z Jockey Clubu⁵¹ (którym w tej chwili, zwłaszcza panu de Palancy, najbardziej zazdrościłem) poufale przywitanie starej przyjaciółki, wyraz codziennych stosunków od lat piętnastu. Odczuwałem tajemnicę, ale nie mogłem odcyfrować zagadki tego uśmiechniętego spojrzenia, lśniącego błękitnym blaskiem, podczas gdy księżna podawała kolejno rękę przyjaciołom: gdybym umiał rozłożyć jego pryzmat, zanalizować krystalizacje, zdradziłoby mi może istotę nieznanego życia, odbijającego się w nim w tej chwili. Książę Błażej szedł za żoną, przy czym błyski monokla, śmiech uzębienia, białość goździka lub plisowanego gorsu rozsuwały jego brwi, wargi, frak, aby zyskać miejsce dla swego blasku; gestem wyciągniętej ręki, którą prostopadle, nie ruszając głową, opuścił na ramiona podrzędnych i czyniących mu miejsce potworów, nakazał im usiąść i skłonił się głęboko przed młodym blondynem. Można by rzec, iż księżna Oriana odgadła, że kuzynka, w której wyśmiewała to, co nazywała przesadą (miano, jakie z jej dowcipnie francuskiej i arcyumiarkowanej perspektywy, łatwo zyskiwał germański entuzjazm i sentymentalizm), włoży tego wieczoru jedną z toalet, które księżna nazywała „operą”, i że chciała jej dać lekcję gustu. Zamiast cudownych i miękkich piór, które spływały z głowy księżnej Marii na szyję, w miejsce jej siatki z muszelek i pereł, księżna Oriana miała we włosach tylko prostą egretkę⁵², która, stercząc nad jej orlim nosem i wypukłymi oczami, robiła wrażenie ptasiego czuba. Szyja i ramiona wylaniały się ze śnieżnej fali muślinu, którą muskał wachlarz z piór łabędzich; ale dalej suknia, której stanik miał za jedyną ozdobę niezliczone pajątki⁵³ (to z metalowych pręcików i ziarenek, to z brylantów), otulała jej ciało z iście brytyjską dokładnością. Ale, mimo iż toalety obu kobiet były tak różne, skoro księżna Maria oddała kuzynce krzesło, które zajmowała dotąd, zwróciły się ku sobie, podziwiając się wzajem.

Może księżnej Orianie zdarzy się nazajutrz uśmiechnąć, kiedy będzie mówiła o skomplikowanej nieco fryzurze księżnej Marii, ale z pewnością oświadczy, że była czarująca i cudownie „zaaranżowana”; a księżna Maria, która, na swój gust, znajdowała coś zbyt chłodnego i oschłego, zbyt krawieckiego w sposobie ubierania się kuzynki, odkryje w tej surowości uroczą wytworność. Zresztą harmonia będąca między nimi oraz ogólne tendencje ich wychowania neutralizowały kontrast nie tylko stroju, ale i wzięcia⁵⁴. W tych niewidzialnych i magnetycznych liniach, jakie rozpinał między nimi wykwiłt manier, zamierała ekspansywna natura księżnej Marii, gdy prostoliniwność księżnej Oriany gięła się

⁵¹Jockey Club (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

⁵²egretka — kitka z piór na kapeluszu. [przypis edytorski]

⁵³pajętka (z fr.) — cekin, cienka błyszcząca blaszka mocowana do ubrania jako ozdoba. [przypis edytorski]

⁵⁴wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

w ich przyciąganiu, stawiała się słodyczą i wdziękiem. Tak jak w sztuce, oglądanej właśnie w tej chwili, na to, aby zrozumieć, ile własnej jej poezji promieniowało z Bermy, wystarczyłoby powierzyć rolę, którą grała (i którą ona jedna mogła grać), jakiegokolwiek innej aktorce, tak widz, który by podniósł oczy na balkon, ujrzałby w dwóch łóżach, jak fryzura mająca niby to przypominać księżnę Marię daje baronowej de Morienvał jedynie wygląd ekscentryczny, pretensjonalny i pospolity, cierpliwy zaś i kosztowny wysiłek w tym, aby naśladować toalety i szyk księżnej Oriany, czyni panią de Cambremer podobną do jakiejś prowincjonalnej pensjonarki, osadzonej jak na drucie, prostej, suchej i kanciastej, z karawaniarskim pióropuszem tkwiącym pionowo we włosach. Może jej miejsce nie było w tej sali, gdzie łoże wypełnione najświetniejszymi kobietami sezonu (nawet łoże najwyższych pięter, które z dołu wydawały się niby wielkie kosze obsadzone ludzkimi kwiatami i przywiązane do sufitu czerwonymi aksamitnymi wstęgami) tworzyły ulotną panoramę, którą miały niebawem zmienić śmierć, skandale, choroby i zwady, ale która w tej chwili była stężała uwagą, upałem, zawrotem głowy, kurzem, elegancją i nudą, w tej wiekuiściej i tragicznej chwili nieświadomego oczekiwania i spokojnego odrętwienia, później, wstecz, robiącego wrażenie takie, jakby poprzedzało wybuch bomby lub pierwszy błysk pożaru.

Racją, dla której pani de Cambremer znajdowała się tutaj, było to, że księżna Parmy, wolna od snobizmu jak większość prawdziwych „wysokości”, w zamian zaś pożerana dumą i żądzą dobroczynności (żądza ta dorównywała u niej namiętności do tego, co uważała za Sztukę), ustąpiła kilku łóż osobom takim jak pani de Cambremer, osobom nienależącym do najwyższego świata, ale pozostającym w stosunkach z księżną na terenie filantropii. Pani de Cambremer nie spuszczała z oczu księżnej Oriany i księżnej Marii, co jej przychodziło tym łatwiej, że nie znając ich osobiście, nie mogła budzić podejrzeń, iż żebrze o ukłon. Bywać u tych wielkich dam było wszelako celem, który ścigała od dziesięciu lat z niestrudzoną cierpliwością. Obliczyła, że osiągnęłyby to z pewnością za lat pięć. Ale dotknięta nieubłaganą chorobą, której groźny charakter znała, mając pewne pretensje do wiedzy medycznej, bała się, że nie pożyje tak długo. Tego wieczora była przynajmniej szczęśliwa, myśląc, iż wszystkie te damy, których prawie nie znała, ujrzą w jej łoży jednego ze swoich przyjaciół, młodego margrabiego de Beausergeant, brata pani d'Argencourt, który bywał po równi w obu towarzystwach i którego obecnością kobiety z „drugiej klasy” lubiły się stroić w oczach kobiet z pierwszej. Siedział za panią de Cambremer na krześle ustawionym w poprzek, tak aby móc lornetować inne łoże. Znał tam wszystkich i kłaniając się z cudowną elegancją zgrabnej i wciętej figury, wytwornej głowy blond, na wpół podnosił się, wyprostowany, z uśmiechem w błękitnych oczach, z odcieniem niedbałego szacunku, rytując w ten sposób z precyzją w romboidalnej ramie łoży niby jakiś stary sztych przedstawiający dumnego i dwornego młodego pana. Bywał często w łoży pani de Cambremer; na sali oraz przy wyjściu, w przedśionku, stał koło niej mężnie w ciżbie świetniejszych przyjaciółek, do których strzegł się odezwać, nie chcąc ich wprawiać w kłopot, tak jakby był w podejrzanym towarzystwie. Jeżeli wówczas przechodziła księżna Maria, piękna i lekka jak Diana⁵⁵, wlokąc za sobą nieporównany płaszcz, zwracając ku sobie wszystkie głowy i ściągając wszystkie oczy (oczy pani de Cambremer bardziej od innych), pan de Beausergeant zatapiał się w rozmowę ze swoją sąsiadką, na przyjazny zaś i olśniewający uśmiech księżnej odpowiadał jedynie z przymusem, z taktowną wstrzeźliwością i miłosiernym chłodem człowieka, którego uprzejmość mogłaby się stać w danej chwili kłopotliwa.

Gdyby nawet pani de Cambremer nie wiedziała, że łoża należy do księżnej Marii, odgadła by i tak, że księżna Oriana jest gościem, z większego zainteresowania, z jakim przez uprzejmość dla gospodyni śledziła widowisko i salę. Ale równocześnie z tą siłą odśrodkową inna, przeciwna siła, wzbudzona tym samym pragnieniem uprzejmości, ściągała uwagę księżnej Oriany na jej własną toaletę, na jej egretkę, naszyjnik, stanik, a także na toaletę samej księżnej Marii; zdawała się głośić wasalką swojej kuzynki, jej poddana, przybyła tu jedynie po to, aby ją podziwiać, gotową pospieszyć za nią gdzie indziej, o ile by właścicielce łoży przysłała ochota opuścić teatr; reszta sali była dla niej niby gromadka obcych, interesujących do oglądania, mimo że księżna Oriana liczyła tam wiele przyja-

⁵⁵Diana (mit. rzym.) — dziewicza bogini łowów i księżycy. [przypis edytorski]

ciół, w których łóżach bywała w inne dni i wobec których rozwijała wówczas ten sam wyłączny, fakultatywny i periodyczny lojalizm.

Pani de Cambremer zdziwiła się, widząc księżnę Orianą tego wieczora. Wiedziała, że zazwyczaj pozostaje bardzo długo w Guermites, i myślała, że bawi tam jeszcze. Ale opowiadano jej, że czasami, kiedy było w Paryżu jakieś interesujące przedstawienie, księżna, ledwo wypiwszy herbatę w towarzystwie myśliwych, kazała zaprzęgać i o zachodzie słońca jechała ostrym kłusem przez mroczny las, a potem drogą, aby złapać pociąg w Combray i być w Paryżu wieczorem. „Może przyjechała umyślnie z Guermites, aby widzieć Bermę” — myślała z podziwem pani de Cambremer. I przypominała sobie, jak czasem Swann mówił w owej nieuchwytniej gwarze, którą dzielił z panem de Charlus: „Księżna Oriana to jedna z najszlachetniejszych istot w Paryżu, z najbardziej wyrafinowanej, najrzadszej elity”.

Co do mnie, który z nazwisk Guermites, Bavière oraz z nazwiska Conde wywodziłem życie i myśl dwóch kuzynek (nie mogłem już z tych nazwisk wywodzić ich twarzy, skoro je widziałem), byłbym wołał znać ich sąd o *Fedrze* niż sąd największego krytyka w świecie. Bo w jego sądzie znalazłbym tylko inteligencję — wyższą od mojej, ale tej samej natury. Ale to, co myślała księżna Maria i księżna Oriana i co by mi dostarczyło nieoszacowanego dokumentu dotyczącego tych dwóch poetycznych stworzeń, wyobrażałem sobie przy pomocy ich nazwisk, przeczuwałem w tym irracjonalny czar; z pragnieniem i nostalgią człowieka w gorączce spodziewałem się od ich opinii o *Fedrze*, że mi ona wróci urok owych letnich popołudni, kiedy się przechadzałem w stronie Guermites.

Pani de Cambremer próbowała odcyfrować toalety dwóch kuzynek. Co do mnie, nie wątpiłem, że owe toalety są im właściwe, odrębne, nie tylko w tym sensie, w jakim liberia z czerwonym kołnierzem lub z niebieskim rabatem należała niegdyś wyłącznie do domu Guermites lub Conde, ale raczej jak dla ptaka upierzenie, będące nie tylko ozdobą, ale dalszym ciągiem jego ciała. Strój tych dwóch istot zdawał mi się niby śnieżna lub mieniąca się barwami materializacja ich duchowej energii, i tak jak gesty księżnej Marii odpowiadały dla mnie jakiejś ukrytej idei, tak pióra spływające z jej czoła oraz olśniewający pajetkami stanik jej kuzynki zdawały się coś wyrażać, tworzyć dla każdej z tych kobiet wyłącznie jej przynależne godło, którego sens chciałbym poznać: rajski ptak zdawał mi się nieodłączny od księżnej Marii niby paw Junony⁵⁶, nie przypuszczałem zaś, aby inna kobieta mogła sobie usurpować błyszczący stanik Oriany, nie bardziej niż lśniącą i oszytą frędzlami tarczę Minerwy⁵⁷. I kiedy obracał oczy na tę łożę, miałem wrażenie — o wiele bardziej, niż gdy spojrział na sufit sali wyobrażający zimne alegorie — że dzięki cudownemu rozdarciu tradycyjnych chmur oglądam zebranie bogów przyglądających się widowisku ludzi pod czerwoną kotarą, w promiennym oknie lazuru, między dwoma filarami nieba. Patrzyłem na tę chwilową apoteozę⁵⁸ ze wzruszeniem, kojony przez uczucie, że Nieśmiertelni nic o mnie nie wiedzą; księżna Oriana widziała mnie raz, jadąc z mężem, ale z pewnością tego nie pamięta; nie bolało mnie, że ona dzięki swemu miejscu w łoży patrzy na bezimienne i zbiorowe ławice publiczności w krzesłach, bo czułem szczęśliwie istność swoją roztopioną w tej masie.

Nagle mocą praw refrakcji⁵⁹ odbiła się widocznie w nieczułym strumieniu tych dwojga niebieskich oczu mętna forma nieistniejącego indywidualnie pierwotniaka (niby mnie); ujrzałem, że te oczy rozświeca jasność: z bogini zmieniwszy się w kobietę i stawszy się nagle dla mnie tysiąc razy piękniejsza, księżna Oriana podniosła ku mnie rękę w białej rękawiczce, dotąd opartą o krawędź łoża, i potrząsnęła nią przyjaźnie; równocześnie spojrzenia moje olśnił swoim mimowolnym blaskiem ogień źrenic księżnej Marii, która wznieciła w nich bezwiednie pożar, jedynie poruszając oczami, aby sprawdzić, z kim wita się jej kuzynka, gdy ta, poznawszy mnie, spuściła na mnie błyszczącą i niebiańską ulewę swego uśmiechu.

⁵⁶*Junona* (mit. rzym.) — bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona Jowisza; jej świętym ptakiem był paw. [przypis edytorski]

⁵⁷*Minerwa* (mit. rzym.) — bogini mądrości i wojny sprawiedliwej, utożsamiana z grecką Ateną. [przypis edytorski]

⁵⁸*apoteoza* (gr.) — ubóstwienie. [przypis edytorski]

⁵⁹*refrakcja* — załamanie promieni świetlnych, odchylenie kierunku rozchodzenia się światła przy przejściu do innego ośrodka. [przypis edytorski]

Obecnie co rano, o wiele przed godziną spaceru księżnej Oriany, szedłem okrężną drogą, na róg ulicy, którą zazwyczaj chodziła, kiedy zaś zbliżał się moment jej prawdopodobnego zjawienia się, wracałem z roztargnioną miną, patrząc w przeciwną stronę i podnosząc oczy na księżnę z chwilą, gdy ją mijalem, ale tak jak gdybym zgoła nie spodziewał się tego widoku. W pierwszych dniach nawet, aby być pewniejszym spotkania, czekałem na nią przed domem. I za każdym razem, kiedy się brama otwierała (przepuszczając kolejno tyle osób niebędących tą, której oczekiwałem), łoskot bramy przedłużał się potem w moim sercu w drganiach długo niemogących się ukoić. Bo nigdy nieznanym wielbiciel wielkiej aktorki wyczekujący jej pod „wyściem artystów”, nigdy zajadły lub bałwochwalczy tłum zebrany, aby znieważać skazańca lub obnosić w triumfie wielkiego człowieka, których zjawienie się odgaduje za każdym hałasem rozlegającym się z wnętrza więzienia lub pałacu, nie był tak wzruszony jak ja, gdym oczekiwał wyjścia tej wielkiej damy, która, w skromnej toalecie, wdziękiem swego chodu (całkiem różnego od kroku, jakim wchodziła do salonu lub łoża) umiała ze swojej rannej przechadzki — dla mnie w całym świecie jedynie ona się przechadzała! — zrobić cały poemat elegancji, najsubtelniejszą strojność, najosobliwszy kwiat pogody.

Ale po trzech dniach, nie chcąc, aby odźwierny spostrzegł mój manewr, zacząłem chodzić znacznie dalej, aż do jakiegoś punktu zwyczajnej drogi księżnej. Często przed owym wieczorem w teatrze robiłem takie wypadki przed śniadaniem, kiedy było ładnie; jeżeli padał deszcz, za pierwszym przetarciem się nieba spieszyłem przejść się nieco; i nagle na mokrym jeszcze chodniku zmienionym przez światło w złotą laskę, w apoteozie placyku rozpylonego mgłą, którą wyprawia i rozjaśnia słońce, spostrzegałem pensjonarkę idącą w towarzystwie nauczycielki lub mleczarkę w białych rękawach i stałem chwilę bez ruchu, z ręką na sercu, które już wydierało się ku obcemu życiu; starałem się przypomnieć sobie ulicę, godzinę, bramę, gdzie dziewczynka (za którą szedłem czasami) zniknęła, aby się nie zjawić więcej. Szczęściem, ulotność tych lubych obrazów, którym sobie przyrzekał odszukać jeszcze, nie pozwalała utrwalić się im mocno w moim wspomnieniu. Ale i tak mniej smutno odczuwałem to, że jestem chory i że nie miałem jeszcze dotąd siły wziąć się do pracy, zacząć pisać książkę; ziemia zdawała mi się mieszkalniejsza, życie bardziej interesujące, od czasu jak widziałem, że ulice Paryża — tak samo jak ulice Balbec — zakwitają owymi nieznanymi pięknosciami, które tak często starałem się wyczarować z lasów Méséglise, a z których każda budziła we mnie rozkoszne pragnienie, jedynie ona — tak mi się zdawało — zdolna je ukoić.

Wracając z Opery, przydałem na dzień następny do istot, które od kilku dni pragnąłem odnaleźć, obraz księżnej Oriany: dużej, z wysoką fryzurą jasnych i lekkich włosów, z tkliwą obietnicą zawartą w uśmiechu, jakim mnie obdarzyła z łoża kuzynki. Postanowiłem iść drogą, którą (jak mi mówiła Franciszka) chodziła księżna, starając się jednak nie zaniedbać godziny pensji i ćwiczeń duchownych, aby spotkać dwie ujrzone przedwczoraj panienki. Ale podczas gdy czekał, błyszczący uśmiech księżnej Oriany, wrażenie jego słodczy jawiły się od czasu do czasu w mojej pamięci. I nie bardzo wiedząc, co czynię, próbowałem pomieścić księżnę (jak kobieta przymierza do sukni garnitur kosztownych guzików, który właśnie dostała) obok moich dawnych romantycznych idei wyzwolonych we mnie przez chłód Albertyny, przedwczesny wyjazd Gizeli, dawniej przez dobrowolną i zbyt długą rozłąkę z Gilbertą (na przykład marzenie o miłości kobiety, o wspólnym z nią życiu); potem przymierzałem do tych myśli obraz jednej lub drugiej z dwóch spotkanych dziewcząt; tuż potem starałem się dostroić do tych pojęć wspomnienie księżnej. W obliczu tych myśli wspomnienie pani de Guermantes w Operze było drobniakiem, małą gwiazdką przy długim ogonie jej błyszczącej komety; co więcej, znałem dobrze te uczucia, zanim poznałem panią de Guermantes, podczas gdy, przeciwnie, wspomnienie jej posiadałem bardzo niedoskonale; wymykało mi się chwilami. W ciągu tych godzin, kiedy, z obrazu bujającego we mnie po równi z obrazami innych ładnych kobiet, przeszło ono pomału w stan jedynego i ostatecznego stopienia się — z wyłączeniem wszelkiego innego obrazu kobiety — z moimi romantycznymi ideami o tyle odeń wcześniejszymi — w ciągu tych kilku godzin, kiedy je sobie przypominałem najlepiej, powinienem był dokładnie sprawdzić, czym ono było. Ale nie znałem wówczas ważności, jakiej wspomnienie to miało nabrać; było jedynie słodkie jak pierwsza schadzka z księżną we mnie samym; było pierwszym szkicem — jedynym prawdziwym, jedynym zdjętym z natury, jedynym,

który był naprawdę panią de Guermites. I tylko przez kilka godzin, przez które miałem szczęście przechowywać owo wspomnienie, nie umiając na nie zwracać uwagi, musiało ono być bardzo urocze, skoro zawsze — jeszcze swobodnie w owej chwili, bez pośpiechu, bez zmęczenia, bez przymusu lub onieśmielenia — wracały do niego moje myśli o miłości; później, w miarę jak te myśli utrwaliły je ostateczniej, wspomnienie to zaczerpnęło z nich większą siłę, ale stało się jakby mglistsze. Niebawem nie umiałem go już odnaleźć i w marzeniach swoich zniekształcałem je zapewne całkowicie, bo za każdym razem, kiedy widział panią de Guermites, stwierdzałem rozdźwięk — zawsze zresztą odmienny — między tym, com wyroił, a tym, co widziałem. Zapewne, za każdym razem teraz, w chwili gdy pani de Guermites zjawiała się na ulicy, spostrzegałem jeszcze jej wysoką postać, jej jasne spojrzenie pod lekkimi włosami, wszystkie te szczegóły, dla których byłem tutaj; ale w zamian w kilka sekund później, kiedy zwróciwszy oczy w innym kierunku, iżby nie wyglądało, że się spodziewałem tego spotkania, podnosiłem je na księżną, mijając ją, widziałem czerwone plamki — nie wiadomo wskutek wiatru czy spryszczenia skóry — na niechętnej twarzy, która znakiem suchym i bardzo odległym od uprzejmości owego wieczora w teatrze, odpowiadała na mój ukłon, składany co dzień ze zdziwioną miną, a najwidoczniej nieprzypadający jej do smaku. Jednakże po upływie kilku dni, przez które obraz dwóch pań z różnym szczęściem walczył o panowanie w moich miłosnych myślach ze wspomnieniem pani de Guermites, odradzało się ono najczęściej jak gdyby samo z siebie, podczas gdy jego konkurentki same z siebie pierzchały; na nie — na to wspomnienie — przenieśliem w końcu wszystkie swoje myśli miłosne, w sumie jeszcze dobrowolnie, jak gdyby z wyboru i z upodobania. Nie myślałem już o pensjonarkach ani o mleczarce, mimo iż nie spodziewałem się już odnaleźć na ulicy tego, czego szukał: ani czułości przyrzeczonej uśmiechem w teatrze, ani sylwetki i jasnej twarzy pod włosami blond — istniejących jedynie z daleka. Teraz nie umiałbym nawet powiedzieć, jaka jest pani de Guermites, po czym ją poznaję, bo co dzień w całokształcie jej osoby twarz jej zmieniała się jak suknia i kapelusz.

Czemu raz, widząc zbliżającą się do mnie wprost w „budce” lila słodką i gładką twarz o wdziękach symetrycznie rozmieszczonych dokoła pary błękitnych oczu, twarz, w którą linia nosa była jak gdyby wessana, odgadywałem z radosnym wzruszeniem, że nie wróce, nie ujrawszy pani de Guermites? Czemu odczuwałem to samo wzruszenie, udawałem tę samą obojętność, odwracałem oczy z tym samym udanym roztargnieniem co wczoraj na widok dojrzanego w poprzecznej ulicy profilu w niebieskim toczku, nosa na kształt ptasiego dzioba wyrastającego z czerwonego policzka, przeciętego przenikliwym okiem niby bóstwo egipskie? Raz nawet ujrzałem nie kobietę z ptasim dziobem, ale jak gdyby samego ptaka: suknią, a nawet toczek pani de Guermites były futrzane, nie widziało się żadnej materii, tak iż wydawała się porośnięta futrem, jak owe sępy, których gęste, gładkie, płowe i miękkie upierzenie robi wrażenie sierści. Pośród tego naturalnego upierzenia mała głowa zakrzywiała swój ptasi dziób, wypukłe oczy były przenikliwe i niebieskie.

Pewnego dnia przechadzałem się parę godzin po ulicy, nie widząc pani de Guermites, kiedy nagle ze sklepu mleczarza, wciśniętego między dwa pałace w tej arystokratycznej i ludowej dzielnicy, wyłoniła się mętna i nowa twarz eleganckiej kobiety, która kazała sobie pokazywać serki śmietankowe; zanim miałem czas rozpoznać tę twarz, uderzyło mnie niby błyskawica spojrzenie księżnej, dotarłszy do mnie szybciej od reszty obrazu. Innym razem, nie spotkawszy jej i słysząc, jak bije południe, zrozumiałem, że nie warto już czekać i wracałem smutno do domu; pochłonięty swoim zawodem, patrząc bezmyślnie na powóz, który się oddalał, zrozumiałem nagle, że ruch głowy, jaki dama wykonała w oknie powozu, był dla mnie, i że ta dama, której apatyczne i blade lub, przeciwnie, napięte i żywe rysy tworzyły pod okrągłym kapeluszem i wysoką egretką twarz obcej, a przynajmniej niepoznanej osoby, to jest pani Guermites: przeoczyłem jej ukłon, nie odkloniwszy się nawet! I niekiedy, wracając, widziałem ją w łożu portiera, gdzie wstrętny odźwierny, którego badawczych spojrzeń nienawidziłem, składał jej uniżone poklony, a z pewnością i raporty. Bo cały personel Guermitów, ukryty za frankami w oknach, śledził ze drżeniem dialog, którego nie słyszał, a w którego następstwie księżna miała niechybnie pozbawić „wychodni” kogoś ze służby, kogoś „fagas” wydał.

Z powodu wszystkich kolejnych objawień się rozmaitych twarzy, jakie mi ukazywała pani de Guermites, twarzy zajmujących rozmaite w swojej względności, to szczupłą, to

rozległą przestrzeń w całokształcie jej toalety, miłość moja nie była związana z taką lub inną z owych zmiennych partii ciała i materii, które zależnie od dnia zajmowały miejsce innych i które księżna mogła odmienić i odnawiać niemal całkowicie, nie naruszając mojego wzruszenia; poprzez te szczegóły, poprzez nową ramę nieznanego policzka, czułem, że to jest zawsze pani de Guermantes. Bo kochałem niewidzialną osobę wprawiającą w ruch to wszystko; ją, której wrogość martwiła mnie, której zbliżenie przyprawiało mnie o wstrząs, której życie chciałbym zagarnąć, a przyjaciół jej wygnać! Mogłaby włożyć niebieskie piórko lub mieć ognipiór⁶⁰, a uczynki jej nie stałyby się przez to dla mnie mniej ważne.

Gdybym nie spostrzegł sam z siebie, że panią de Guermantes irytują te codzienne spotkania, odgadłbym to pośrednio z pełnej chłodu, przygany i litości twarzy Franciszki, kiedy mi pomagała stroić się na moje ranne wyprawy. Z chwilą gdym wołał o rzeczy, czułem przeciwny wiatr wznoszący się w ściągniętych i pooranych rysach jej twarzy. Nie próbowałem nawet pozyskać zaufania Franciszki; czułem, że by mi się to nie udało. W błyskawicznym odgadywaniu wszystkiego, co rodzicom i mnie mogło się zdarzyć nieprzyjemnego, miała ona zmysł, którego natura pozostała mi zawsze tajemnicza. Może nie był ów zmysł czymś nadprzyrodzonym, może dałoby się go wytłumaczyć swoistymi sposobami informacji; w ten sposób dzięki plemiona dowiadują się pewnych nowin o kilka dni wcześniej, nim je poczta przyniesie kolonii europejskiej, a doszły ich w istocie nie przez telepatię, ale przy pomocy zapalanych z pagórka na pagórek ogni. I tak, co się tyczyło moich spacerów, służba księżnej de Guermantes słyszała, jak jej pani skarżyła się, że mnie wciąż znajduje na swojej drodze; z kolei służba księżnej powtórzyła to Franciszce. Co prawda, choćby rodzice dali mi do usługi inną osobę, nic bym na tym nie zyskał. W pewnym sensie Franciszka mniej była służącą od innych. W swoim sposobie odczuwania, w swojej dobroci i miłosierdziu, w swojej nieczułości i dumie, subtelności i ograniczeniu, ze swoją białą skórą i czerwonymi rękami była dziewczyną ze wsi, której rodzice „siedzieli na swoim”, ale zrujnowawszy się, musieli ją oddać na służbę. Obecność jej w naszym domu to było powietrze wsi i życie folwarczku sprzed pięćdziesięciu lat, przeniesione do nas rodzajem odwrotnej podróży, w której wieś przychodzi do podróznego. Jak witrynę regionalnego muzeum stroją owe oryginalne robótki, które wieśniaczki wykonują i haftują jeszcze w niektórych okolicach, tak nasze paryskie mieszkanie zdobne było słowami Franciszki, natchnionymi tradycyjnym i lokalnym sentymentem, posłusznymi odwiecznym prawdom. Umiała w nich odtworzyć niby kolorowymi nićmi drzewa wiśniowe i ptaki z czasu swego dzieciństwa, łóżko, gdzie umarła jej matka, a które widziała jeszcze. Mimo to wszystko, odkąd zgodziła się w Paryżu do nas, przejęła — a tym bardziej byłaby to uczyniła inna na jej miejscu — poglądy i kazuistykę⁶¹ służby z innych pięter. Szacunek, jaki nam musiała okazywać, wynagradzała sobie, powtarzając nam to, co kucharka z czwartego powiedziała ordynarnego swojej pani, i to z taką satysfakcją, że pierwszy raz w życiu, czując coś w rodzaju solidarności z okropną lokatorką z czwartego piętra, powiadaliśmy sobie, że w istocie może my jesteśmy państwem!

Ta zmiana charakteru Franciszki była może nieunikniona. Pewne egzystencje są tak anormalne, że muszą nieodzownie rodić pewne skazy; na przykład życie, jakie pędził w Wersalu król pośród swoich dworaków, równie dziwaczne jak życie jakiegoś faraona lub doży; a bardziej jeszcze od życia króla — życie dworaków. Życie służących jest z pewnością jeszcze potworniejszą osobliwością, którą przesłania nam jedynie przyzwyczajenie. Ale nawet gdybym oddalił Franciszkę, skazany byłbym, aż do jeszcze specjalniejszych właściwości, na tę samą służbę. Bo mogłem później mieć różnych służących; już obciążeni ogólnymi wadami służby, ulegali jeszcze u mnie szybkiemu przeobrażeniu. Jak zasady ataku warunkują zasady obrony, tak aby nie cierpieć od pewnych chropowatości mego charakteru, wszyscy oni nabywali identycznych wklęsłości w swoim własnym, i to w tych samych punktach; w zamian za to korzystali z moich luk, aby w nich lokować swoje przestroży. Ja nie znałem tych luk, i tak samo nie znałem wypukłości, wynikających z naszych

⁶⁰ognipiór — choroba skóry, objawiająca się charakterystycznym zaczerwienieniem policzków oraz wysypką na głowie i twarzy, występująca najczęściej u dzieci. [przypis edytorski]

⁶¹kazuistyka — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne; pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

stosunków — właśnie dlatego, że istniały luki. Ale moja służba, psując się pomału, pouczyła mnie o tym. Z wad niezmiennie nabywanych przez nich dowiedziałem się o swoich wrodzonych i niezmiennych wadach; charakter mojej służby był niby negatywem mego. Żartowaliśmy sobie niegdyś z mamą z pani Sazerat, która mówiła o służbie: „Ta rasa, to plemię”. Ale muszę przyznać, iż rację, dla której nie myślałem o zastąpieniu Franciszki inną służącą, stanowiło to, że ta inna należałaby tak samo i nieuchronnie do ogólnej rasy służących, a do specjalnego gatunku moich służących.

Aby wrócić do Franciszki, nie zdarzyło mi się doznać w życiu upokorzenia, abym wczasu nie zastał na twarzy Franciszki gotowych już kondolencji; a jeśli kiedyś, wściekły, iż budzę jej współczucie, starałem się, przeciwnie, udawać sukces, kłamstwa moje daremnie obijały się o jej pełne szacunku, ale widoczne niedowierzanie i o jej poczucie własnej nieomyślności. Bo ona wiedziała prawdę; taila ją, czyniąc tylko lekki ruch wargami, tak jakby miała jeszcze pełne usta i kończyła smaczny kąsek. Taila tę prawdę; przynajmniej długo tak myślałem, bo w owej epoce wyobrażałem sobie jeszcze, że prawdy udziela się za pomocą słów. A nawet słowa, które mi mówiono, przekazywały mojej wrażliwości tak niezmiennie swoje wierne znaczenie, że kiedy mi ktoś powiedział, że mnie kocha, tak samo wydawało mi się niemożliwe, aby mnie nie kochał, jak sama Franciszka niezdolna była wątpić — skoro to wyczytała w dzienniku — że jakiś ksiądz lub inny jegomość może, na skierowaną doń pocztą prośbę, przesłać nam gratis nieomyślne lekarstwo na wszystkie choroby lub sposób stokrotnego zwiększenia naszych dochodów. (W zamian za to, jeżeli nasz lekarz dał jej najprostszy środek na katar, ona, tak wytrzymała na największe cierpienie, jęczała, że musi to wdychać, zapewniając, że to jej „zatyka nos” i że już rady sobie dać nie może). Ale Franciszka dała mi pierwszą przykład (miałem go zrozumieć dopiero później, kiedy osoba, która mi była droga, dała mi go na nowo i boleśniej, jak się okaże w ostatnich tomach tego dzieła), że prawdy nie musi się powiedzieć na to, aby ją wyrazić, i że można ją pochwycić pewniej, nie czekając słów i nie biorąc ich wręcz w rachubę, w tysiącu zewnętrznych oznak, nawet w pewnych niewidocznych objawach, analogicznych w sferze charakterów do tego, czym są w fizyce zmiany atmosferyczne. Byłbym się mógł tego domyślać, skoro mnie samemu zdarzało się wówczas często mówić rzeczy pozbawione cienia prawdy, gdy równocześnie objawiałem tę prawdę tyloma mimowolnymi zwierzeniami swego ciała i swoich uczynków (które Franciszka bardzo dobrze sobie umiała tłumaczyć). Byłbym się mógł tego domyślać, ale na to trzeba mi było wiedzieć, że bywałem wówczas niekiedy kłamcą i krętą. Otóż kłamstwo i kręctwo rodziły się u mnie, jak u wszystkich, w sposób tak bezpośredni i przypadkowy, dla własnej obrony, z jakiegoś specjalnego interesu, że duch mój, wpatrzony w piękny ideał, pozwalał memu charakterowi spełniać w mroku te pilne i mizerne roboty i nie raczył się obracać po to, aby je dojrzeć.

Kiedy Franciszka była dla mnie wieczorem uprzejma, kiedy prosiła o pozwolenie posiedzenia w moim pokoju, zdawało mi się, że twarz jej robi się przezroczysta i że widzę w niej samą dobroć i szczerść. Ale Jupien, odznaczający się czasami niedyskrecją, którą poznałem dopiero później, wygadał się, iż ona powiadała, że ja niewart jestem ani postronka na stryczek i że m się silił jej robić ile mogłem złego. Te słowa Jupiena odbiły natychmiast dla mnie — w nieznanym wprzód kolorze — egzemplarz moich stosunków z Franciszką tak różny od tego, na jakim często lubiłem zatrzymywać spojrzenia (gdzie bez cienia wahań Franciszka ubóstwiała mnie i nie traciła żadnej sposobności, aby mnie wysławiać), że rozumiałem, iż nie tylko świat fizyczny różni się od postaci, w jakiej go widzimy; że wszelka rzeczywistość jest może równie niepodobna do tej, którą — w swoim mniemaniu — oglądamy bezpośrednio: że drzewa, słońce i niebo byłyby całkiem inne, niż my je widzimy, oglądane przez istoty mające oczy inaczej ukształtowane niż nasze lub wyposażone do tego celu w narządy inne niż oczy — narządy dające drzewom, niebu i słońcu równoważniki inne niż wzrokowe. Faktem jest, że to okno, jakie mi raz nagle otworzył Jupien na świat zewnętrzny, przeraziło mnie. A jeszcze tu chodziło jedynie o Franciszkę, o którą się troszczyłem dość mało. Czy tak samo mają się rzeczy we wszystkich stosunkach ludzkich? Do jakiej rozpaczy mogłoby to mnie przywieść kiedyś, gdyby tak samo było w miłości?

To była tajemnica przeszłości. Wówczas chodziło jeszcze tylko o Franciszkę. Czy ona myślała szczerze to, co powiedziała Jupienowi? Czy powiedziała to jedynie po to, aby

Ciało, Słowo, Sługa, Pan,
Kłamstwo, Prawda

poróżnić Jupiena ze mną; może dlatego, aby nie wzięto córki Jupiena na jej miejsce? Bądź co bądź zrozumiałem niemożliwość dowiedzenia się w sposób bezpośredni i pewny, czy mnie Franciszka kocha, czy nienawidzi. Tak więc ona pierwsza zrodziła we mnie myśl, że dana osoba nie znajduje się (jak wprzód sądziłem) przed nami jasna i nieruchoma, ze swymi przymiotami, wadami, projektami, intencjami (niby oglądany przez parkan ogród i jego grządki), ale że jest cieniem, w który nigdy nie zdołamy wnikać, wobec którego nie istnieje bezpośrednie poznanie, co do którego tworzymy sobie mnogie pojęcia przy pomocy słów, a nawet postępów, dających nam jedynie niedostateczne i zresztą sprzeczne wskazówki; cieniem, w którym możemy sobie kolejno z równym prawdopodobieństwem wyobrażać błysk nienawiści lub miłości.

Kochałem się naprawdę w pani de Guermantes. Największe szczęście, o jakie bym mógł prosić Boga, to, aby spuścił na nią wszystkie klęski i aby, zrujnowana, zhańbiona, odarta ze wszystkich dzielących mnie od niej przywilejów, nie mając już dachu nad głową ani człowieka, który by się jej raczył ukłonić, przyszła mnie prosić o schronienie. Wyobrażałem ją sobie w tej roli. A nawet w dni, gdy pewne wahania atmosfery lub mego własnego zdrowia wstawiały w moją świadomość jakiś zapomniany zwój, gdzie były zapisane dawniejsze wrażenia, wówczas, zamiast korzystać z nowych rodzących się we mnie sił, zamiast je obrócić na odcyfrowanie w sobie samym wymykających mi się zazwyczaj myśli, zamiast się wziąć wreszcie do pracy, wołałem rozprawiać głośno, układać w wyobraźni — ilustrując go czczymi słowami i gestami — cały felietonowy romans, jałowy i fałszywy, gdzie księżna, popadłszy w nędzę, przychodzi mnie błagać, mnie, który dzięki odwrotnej igraszce losu stałem się bogaty i potężny. I kiedyś tak strawiłem godziny całe na rojeniu sobie wydarzeń, na dobieraniu zdań, które bym wyrzekł, przyjmując księżnę pod swój dach, sytuacja zostawała ta sama; w rzeczywistości miłość moja wybrała sobie, niestety, kobietę, która skupiała najwięcej różnorodnych przewag, w której oczach tym samym nie mogłem sobie wróżyć żadnego uroku; była bowiem równie bogata jak największy „źle urodzony” bogacz, nie licząc osobistego czaru, który ją stawiał na świeczniku, czyniąc ją wszędzie czymś na kształt królowej.

Czułem, że drażnię księżnę, wychodząc co rano na jej spotkanie; ale gdybym nawet miał siłę wytrwać parę dni, pani de Guermantes nie zauważyłaby może tej powściągliwości, stanowiącej dla mnie taką ofiarę, lub przypisałaby ją jakiejś przygodnej przeszkodzie. I w istocie, aby przestać wychodzić na jej spotkanie, musiałbym się postawić w położeniu, które by mi to uczyniło fizycznym niepodobieństwem; wciąż bowiem odradzająca się potrzeba spotkania jej, stania się bodaj na chwilę przedmiotem jej uwagi, jej ukłonu, potrzeba ta była silniejsza od przykrości, że ją drażnię. Powiniennem był wyjechać na jakiś czas; nie miałem siły. Myślałem o tym przez chwilę. Polecałem Franciszce, żeby mi spakowała rzeczy; zaraz potem, żeby je rozpakowała. Że zaś demon naśladownictwa oraz obawa wydania się zacofanym kazi najnaturalniejszą i najpewniejszą siebie formę, Franciszka, zapożyczając się w słowniku córki, powiadała, że jestem „bujacz”. Nie lubiła (powiadała), że ja wciąż „wydwarzam”; posługiwała się bowiem, kiedy nie chciała rywalizować z modą, słownictwem Saint-Simona. Prawda, że jeszcze mniej lubiła, kiedyś przemawiał jako jej pan. Wiedziała, że to nie płynie ze mnie i że mi z tym nie jest do twarzy, co wyrażała, mówiąc, że „rządzenie się mi nie pasuje”.

Gdyby chodziło o wyjazd, miałbym odwagę wyjechać jedynie w kierunku, który by mnie zbliżył do pani de Guermantes. To nie było niemożliwe. Gdybym się udał o wiele mil od pani de Guermantes, ale do kogoś, kogo by ona знаła, kogo by uważała za trudnego w doborze stosunków, a kto by mnie cenił, kto by jej mógł mówić o mnie i jeżeli nie uzyskać od niej tego, czego bym pragnął, to przynajmniej zakomunikować jej owo pragnienie; do kogoś, dzięki komu w każdym razie, jedynie rozważając z nim możliwości jakiejś interwencji, dałbym swoim samotnym i niemyim marzeniom nową, mówioną, czynną formę, która wydawałaby mi się postępem, niemal realizacją, czyżby to nie znaczyło być bliżej niej, niż byłem teraz, stercząc na ulicy, sam, upokorzony, czując, że ani jedna z myśli, które chciałbym jej przesłać, nie dojdzie do niej nigdy, drepcąc na miejscu w tych swoich spacerach, które mogłyby trwać bez końca, nie posuwając mnie ani trochę naprzód? Wmieszać się w to, co ona robiła podczas tajemniczego życia istoty z klanu Guermantów, życia będącego przedmiotem mego sekretnego marzenia, wtargnąć w nie bodaj pośrednio na sposób dżwigni, wprawiając w ruch kogoś, komu byłby dostępny pa-

lac księżnej, jej przyjęcia, dłuższa z nią rozmowa, czyżby to nie była styczność bardziej odległa, ale skuteczniejsza niż moje uliczno-poranne kontemplacje?

Przyjaźń i podziw, jakie dla mnie żywił Saint-Loup, wydawały mi się niezasłużone i były mi obojętne. Naraz wydały mi się cenne; pragnąłbym, aby on się nimi podzielił z panią de Guerantes, byłbym zdolny prosić go, aby to uczynił. Bo z chwilą kiedy ktoś jest zakochany, chciałby roztoczyć przed ukochaną kobietą wszystkie drobne, niezbrane przywileje, jakie posiada, tak jak to czynią w życiu wykołajeńcy i natręty. Dręczy nas, że ona nie zna naszych przewag; staramy się pocieszyć myślą, iż właśnie dlatego że te przewagi nie są nigdy widzialne, ona pomnaża swoje pojęcia o nas możliwościami niewiadomych zalet.

Saint-Loup od dawna nie mógł wpaść do Paryża, bądź — jak mówił — ze względów służbowych, bądź raczej z powodu zgryzot, jakie mu sprawiała kochanka. Dwa razy był już bliski zerwania. Często mówił mi, ile bym mu dobrego wyświadczył, odwiedzając go w tym garnizonie, którego nazwa — w dwa dni od chwili, gdy Saint-Loup opuścił Balbec — wyczytana na kopercie pierwszego listu mego przyjaciela, sprawiła mi tyle radości. Było to małe arystokratyczne i wojskowe miasteczko, mniej odległe od Balbec, niżbym mógł wnosić z całkowicie już lądowego krajobrazu, otoczone rozległymi polami, gdzie w piękną pogodę tak często buja w oddali jakaś dźwięczna i lekka mgła, która — jak szpaler topoli rysuje swoimi zakrętami bieg niewidzialnej rzeki — zdradza przesunięcia manewrującego pułku, tak że nawet atmosfera ulic, alej i placów nabyła w końcu jak gdyby ciągłej muzycznej i wojennej dźwięczności, a najpospolitszy turkot wozu lub tramwaju przedłuża się tam uszom urzeczonym ciszą w powtarzające się bez końca zamglone odgłosy trąbki.

Miasteczko nie było tak odległe od Paryża, abym nie mógł, wpadłszy tam kurierem, wrócić, uściskać matkę i babkę i znaleźć się na noc w swoim łóżku. Skorom to sobie uświadomił, nękania bolesnym pragnieniem, miałem za mało woli, aby zdecydować, że nie wrócę do Paryża i zostanę w miasteczku; ale za mało także, aby przeszkodzić bagażowemu zanieść moją walizkę do fiakra⁶², aby idąc za nim, nie stać się zafrasowanym podróżnym, czuwającym nad swoimi rzeczami i nieoczekiwanym przez żadną babkę, aby nie wsiąść do dorożki ze swobodą człowieka, który, przestawszy myśleć o tym, czego chce, robi wrażenie, iż wie, czego chce, i aby nie podać woźnicy adresu koszar kawalerii.

Myślałem, że Saint-Loup zanocuje ze mną tego dnia w hotelu, aby mi złagodzić wstrząs pierwszego zetknięcia z nieznanym miastem. Żołnierz poszedł go uprzedzić; i czekałem na Roberta u bramy koszar, przed tym wielkim okrętem huczącym listopadowymi wichrami, skąd co chwilę — była szósta wieczór — wychodzili parami żołnierze, kiwając się tak, jakby wysiedli na łód w jakimś egzotycznym porcie, gdzie się chwilowo zatrzymano.

Przybył Saint-Loup, kołysząc się na wszystkie strony, powiewając przed sobą monoklem; nie powiedziałem nazwiska, chciałem się cieszyć jego radością i niespodzianką.

— Och, co za fatalność! — wykrzyknął, spostrzegając mnie nagle i czerwieniąc się po uszy. — objąłem właśnie tygodniową służbę i nie mogę wyjść przed upływem tego czasu!

I pochłonięty myślą, że będzie mnie musiał zostawić samego przez tę pierwszą noc — znał bowiem lepiej niż ktokolwiek moje wieczorne lęki, które tak często widział i uśmiechał w Balbec — przerywał swoje żale, aby się zwracać do mnie, ślać mi lekkie uśmiechy, czułe spojrzenia, nierówne, bo jedno szły wprost z jego oka, a drugie przez monokl, a wszystkie były aluzją do wzruszenia moim widokiem, aluzją również do tej ważnej rzeczy, którą nie zawsze rozumiałem, ale którą cenilem teraz — do naszej przyjaźni.

— Mój Boże! gdzie ty będziesz nocował? Doprawdy, nie doradzam ci hotelu, gdzie jadamy, to w stronie Wystawy⁶³, która rozpocznie się niebawem, miałbyś tam tłumy. Nie, lepszy będzie Hotel Flandryjski, to dawny pałac z XVIII wieku ze starymi obiciami. To „robi” dosyć dobrze „starą siedzibę historyczną”.

Saint-Loup używał co chwilę przy każdej sposobności słowa „robi” zamiast „wygląda na coś”, bo język mówiony, jak pisany, odczuwa od czasu do czasu potrzebę owych zmian

⁶²fiakier (daw., z fr.) — dorożka; także: dorożkarz, woźnica. [przypis edytorski]

⁶³Wystawa — wystawa światowa w Paryżu. [przypis edytorski]

w znaczeniu słów, owych ekscentryczności wyrażen. I tak samo jak często dziennikarze nie wiedzą, z jakiej szkoły literackiej pochodzą smaczki, którymi nas częstują, tak samo słownictwo, a nawet dykcja Roberta urobione były na podobieństwo trzech różnych estetów, z których żadnego nie znał, ale których sposoby mówienia przejął pośrednio.

— Zresztą — zakonkludował Robert — ten hotel dość dobrze zaadaptowany jest do twojej hiperestezji⁶⁴ słuchowej. Nie będziesz miał sąsiadów. Uznaję, że to jest nikła korzyść, że zaś, ostatecznie, nowy gość może tam przybyć jutro, to by nie była racja darzenia tego hotelu świadomym wyborem. Nie, raczej ci go zalecam dla jego stylu. Pokoje są dość sympatyczne, meble stare i wygodne, ma coś, co daje poczucie bezpieczeństwa.

Ale dla mnie, mniej estety od Roberta, przyjemność, jaką może dać stylowy pałacyk była powierzchowna, prawie żadna i nie mogła ukoić owładającego mną niepokoju, równie uciążliwego jak ów, który mnie nawiedzał niegdyś w Combray, kiedy mama nie przyszła mi powiedzieć dobranoc, lub któremu doznawał w dniu przybycia do Balbec, w nazbyt wysokim pokoju, wonięjącym „bagnem”. Saint-Loup zrozumiał to z mego martwego spojrzenia.

— Ale ty sobie gwizdziesz, moje kochanie, na ładny pałacyk; jesteś cały błądy, a ja mówię ci jak bydlę o obiciach, na które nawet nie będziesz miał serca spojrzeć. Znam pokój, w którym by cię pomieszczono; osobiście wydaje mi się bardzo wesoły, ale zdaję sobie sprawę, że dla ciebie, przy twojej wrażliwości, to nie to samo. Nie przypuszczaj, że ja cię nie rozumiem; nie odczuwam tak samo, ale stawiam się na twoim miejscu.

Podoficer, który przejeżdżał konia na dziedzińcu, bardzo zajęty tym, aby go uczyć skakać, nieodpowiadający na ukłony żołnierzy, ale obsypujący wyzwiskami tych, co mu się napatoczyli, uśmiechnął się w tej chwili do Roberta, widząc zaś, że jest w towarzystwie, uklonił się. Ale koń jego, spieniony, stanął potężnego dęba. Saint-Loup poskoczył, chwycił konia za uzdę, zdołał go uspokoić i wrócił do mnie.

— Tak — rzekł — ręczę ci, że ja sobie zdaję sprawę, cierpię razem z tobą; czuję się nieszczęśliwy — dodał, kładąc mi serdecznie rękę na ramieniu — na myśl, że gdybym mógł zostać przy tobie, zdołałbym może, siedząc obok ciebie, rozmawiając z tobą do rana, ująć ci trochę smutku. Pożyczyłbym ci chętnie książek, ale w tym stanie nie będziesz mógł czytać. I nie ma nawet mowy o tym, żeby mnie ktoś mógł zastąpić; już dwa razy z rzędu to robiłem, kiedy moja dziewczyna przyjechała.

Marszczył brwi strapiiony, a także z natężenia, z jakim szukał, niby lekarz, co za lekarstwa dałoby się użyć na moje cierpienie.

— Biegnij zapalić ogień w moim pokoju — rzekł do przechodzącego żołnierza. — No, prędzej, zwijaj się.

Potem na nowo zwracał się do mnie: zarówno monokl, jak oko krótkowidza robiły aluzję do naszej wielkiej przyjaźni:

— Nie! ty tutaj, w tych koszarach, gdzie tyle o tobie myślałem; nie wierzę własnym oczom, mam uczucie, że śnię. A ogółem, twoje zdrowie, czy trochę lepiej? Opowiesz mi to wszystko za chwilę. Pójdziemy do mnie, nie siedzmy za długo na dziedzińcu, jest wściekły wiatr; ja tego już prawie nie czuję, ale ty nie jesteś przyzwyczajony, boję się, żebyś nie zziąbnął. A do pracy zabrałeś się już? Nie? Jakiś ty zabawny! Gdybym ja miał twój talent, myślę, że pisałbym od rana do wieczora. To cię bardziej bawi nic nie robić! Co za nieszczęście, że właśnie ludzie mierni jak ja zawsze są skorzy pracować, a ci, co by mogli, nie chcą. Ale ja cię jeszcze nie spytałem o zdrowie babki. Nie rozstaję się z jej Proudhone⁶⁵.

Jakiś oficer — wielki, piękny, majestatyczny — wolnym i uroczytym krokiem wynurzył się ze schodów. Saint-Loup uklonił się i unieruchomił wieczną ruchliwość swego ciała na czas, przez który trzymał rękę przytkniętą do kepi⁶⁶. Ale wyrzucił ją z taką siłą, prostując się ruchem tak suchym, natychmiast zaś po uklonieniu opuścił dłoń gestem tak nagłym, zmieniając wszystkie pozycje ramienia, nogi i monoklu, że ten moment był nie tyle chwilą nieruchomości, ile drgającym napięciem, w którym neutralizowały się nadmierne ruchy poprzednie i te, które miały nastąpić. Tymczasem oficer, nie zbliżając się,

⁶⁴*hiperestezja* (gr., med.) — przeczulica, nadmierna wrażliwość na bodźce zmysłowe. [przypis edytorski]

⁶⁵*Proudhon, Pierre Joseph* (1809–1865) — francuski myśliciel społeczny, polityk, dziennikarz, twórca anarchizmu indywidualistycznego; krytykował kapitalizm, państwo i Kościół. [przypis edytorski]

⁶⁶*kepi* — sztywna czapka wojskowa o kształcie walca, z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

spokojny, życzliwy, godny, cesarski, w sumie przedstawiający kompletne przeciwieństwo Roberta, podniósł także — ale bez pośpiechu — rękę do kepi.

— Muszę coś powiedzieć kapitanowi — szepnął do mnie Saint-Loup — bądź tak dobry, idź, zaczekaj na mnie w moim pokoju, drugi na prawo, trzecie piętro, przyjdę do ciebie za chwilę.

I ruszając ostrym krokiem, poprzedzony monoklem bujającym na wszystkie strony, poszedł prosto ku godnemu i powolnemu kapitanowi, któremu przyprowadzono w tej chwili konia. Zanim wszedł, wydawał parę rozkazów, z wystudiowaną szlachetnością gestów, niby z jakiegoś historycznego obrazu. Wyglądał tak, jakby miał jechać na jaką bitwę Pierwszego Cesarstwa⁶⁷, podczas gdy po prostu udawał się do siebie, do mieszkania wynajętego na czas pobytu w Doncieres, na placu nazwanym — jakby przez antycypowaną ironię wobec tego napoleonidy — placem Republiki! Zapuściłem się na schody, niemal ślizgając się co chwila na stopniach nabitych gwoździami; migały mi izby o nagich ścianach z podwójnymi szeregami łóżek i kuferków. Wskazano mi pokój Roberta. Stałem przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami, bom słyszał, że się ktoś tam rusza; jakby ktoś trącał coś, jakby coś upuszczał; czułem, że pokój nie jest pusty, że tam ktoś jest. Ale to był tylko ogień płonący na kominku. Nie mógł wytrwać ani przez chwilę spokojnie, ruszał polana, i to bardzo niezręcznie. Wszedłem; stracił jedno, buchnął dymem z drugiego. I nawet kiedy się nie ruszał, i wówczas, jak ludzie z gminu, wciąż wydawał jakieś odgłosy, które, skorom widział wzbijający się płomień, były dla mnie odgłosami ognia, ale przez ścianę wydałyby mi się hałasem kogoś, kto uciera nos i chodzi. W końcu usiadłem w pokoju. Obicie *liberty*⁶⁸ i stare niemieckie materie z XVIII wieku chroniły go od zapachu wydzielanego przez resztę budynku; był to zapach pospolity, mdły i zgniły, jak woń razowego chleba. Tu, w tym uroczym pokoju, zjadłbym obiad i spałbym tak rozkosznie i spokojnie! Saint-Loup zdawał się tu niemal obecny dzięki fachowym książkom leżącym na stole, dzięki fotografiom, pośród których rozpoznałem siebie i panią de Guermites, dzięki ogniowi, który wreszcie przyzwyczał się do kominka i niby zwierzę leżące w żarliwym, milczącym i wiernym oczekiwaniu, jedynie od czasu do czasu upuszczał rozsypującą się głównię lub lizal płomieniem ścianę.

Słyszałem tykanie zegarka, który musiał leżeć gdzieś niedaleko. Tykanie to zmieniało co chwila miejsce, bo zegarka nie widziałem; rozlegało się za mną, z przodu, z prawej, z lewej, chwilami jakby ginąc w oddali. Naraz ujrzałem zegarek na stole. Odtąd słyszałem tykanie w stałym punkcie, z którego się już nie ruszyło. Przynajmniej zdawało mi się, że je tam właśnie słyszę; nie słyszałem go tam, ale widziałem, dźwięki nie mają miejsca. Przynajmniej łączymy je z ruchami, przez co mają dla nas tę korzyść, że nas uprzedzają o ruchach, czynią je niejako czymś naturalnym i koniecznym. Z pewnością zdarza się niekiedy, że chory, któremu hermetycznie zamknięto uszy, nie słyszy już odgłosu ognia podobnego temu, który trzeszczał w tej chwili na kominku Roberta, wytrwale fabrykując głównię i popiół i upuszczając je następnie do koszyka; i tak samo nie słyszy tramwajów, których muzyka zrywała się w regularnych odstępach na rynku w Doncieres. Jeżeli wówczas taki chory czyta, stronicę będą się obracały w ciszy, jakby je obracał palec jakiegoś boga. Głuchy łoskot przyrządzonej kąpieli łagodnieje, cichnie i oddala się na kształt niebiańskiego świegotu. Oddalenie się hałasu, jego zwątlenie odbierają mu w stosunku do nas wszelką natarczywość; dopiero co nękani uderzeniami młota, które zdawały się wstrząsać sufit nad naszą głową, bawimy się teraz tym, aby chwycić te uderzenia, lekkie, pieścizotliwe, dalekie, niby szmer liści igrających na ścieżce z wietrzykiem. Kładziemy pasjansę, nie słysząc szelestu kart, tak iż myślimy, żeśmy ich nie poruszyli, że się ruszają same i że, uprzedzając naszą ochotę, same zaczęły grać z nami. I nasuwa się pytanie, czy z Miłością (dodajmy nawet do Miłości miłość życia, miłość sławy, skoro są podobno ludzie znający te dwa uczucia) nie powinno by się czynić tak jak ci, co wobec hałasu — zamiast błagać go, żeby ustał — zatykają sobie uszy; i naśladując ich, czybyśmy nie powinni skupić na sobie samych naszej uwagi, naszej samoobrony, dając im za cel uszczuplenie nie osoby którą kochamy, ale naszej zdolności cierpienia przez tę osobę.

⁶⁷*Pierwsze Cesarstwo Francuskie* — państwo francuskie, w którym najwyższą władzę sprawował Napoleon Bonaparte jako cesarz Francuzów, Napoleon I (w latach 1804–1814 i 1815). [przypis edytorski]

⁶⁸*Obicie liberty* — z luksusowego londyńskiego domu towarowego „Liberty”, sprzedającego ozdoby, tkaniny i przedmioty sztuki, założonego w 1875. [przypis edytorski]

Aby wrócić do dźwięku: wystarczy pogrubić jeszcze kulkę zamykającą przewód słuchowy, a może ona zmusić do pianissimo⁶⁹ pannę, która grała nad naszą głową hałaśliwy kawalek; wystarczy nasycić taką kulkę tłuszczem, a natychmiast despotyzmowi jej ulega cały dom, prawa jej rozciągają się nawet na ulicę. Pianissimo już nie wystarcza; kulka zamyka niezwłocznie fortepian, ucina nagle lekcję muzyki; jegomość, który nam chodził po głowie, przerywa w jednej chwili dreptanie; krążenie powozów i tramwajów ustaje nagle, tak jakby oczekiwano jakiejś głowy państwa. I to ściszenie dźwięków mąci nawet czasem sen zamiast go chronić. Wczoraj jeszcze nieustanne hałasy, opisując nam bez przerwy ruch na ulicy i w domu, usypiały nas w końcu jak nudna książka; dzisiaj na powierzchni ciszy rozciągającej się na naszym śnie jakiś silniejszy od innych łoskot daje się w końcu słyszeć, lekki jak westchnienie, bez związku z żadnym innym dźwiękiem, tajemniczy; i prośba o wytłumaczenie, jaką nam szepce, wystarcza, aby nas obudzić. Dość jest usunąć na chwilę choremu watę osłaniającą bębenki, a nagle światło, pełne słońce dźwięku, zjawia się na nowo, oslepiające, odradza się we wszechświecie; pędem wraca tłum wygnanych hałasów; jest się świadkiem zmartwychwstania głosów, jakby je psalmodiowały⁷⁰ muzykujące anioły. Puste ulice wypełniają się na chwilę szybkimi i kolejnymi skrzydłami śpiewnych tramwajów. I w samym pokoju chory stwarza nie jak Prometeusz ogień, ale dźwięk ognia. I powiększając lub zwalniając pęczki waty, robimy tak, jakbyśmy naciskali kolejno jeden i drugi z dwóch pedałów, które przydaliśmy dźwięczności zewnętrznego świata.

Jednakże istnieją porażenia dźwięków trwałe, nie chwilowe. Człowiek całkowicie głuchy nie może nawet zagrzać rondelka z mlekiem, inaczej niż śledząc oczami, podniósłszy przykrywkę, biały podbiegunowy blask podobny blaskowi śnieżnej zawieruchy, niby ostrzegawczy znak, którego rozsądnie jest słuchać, wyjmując — niby Pan wstrzymujący fale — kontakt elektryczny; bo już wznoszące się i spazmatyczne jajko wrzącego mleka rośnie w paru skośnych rzutach, wzdyma się, zaokrągla parę wpół obalonych żagli, które zmarszczyła śmietanka, ciska w burzę żagiel z perłowej masy, przerwanie zaś prądów — jeżeli zażegnano na czas elektryczną nawałnicę — skręca je wszystkie w miejscu i rzuca je z wiatrem zmienione w płatki magnolii. Ale jeżeli chory nie podjął zawczasu potrzebnych ostrożności, niebawem książka jego i zegarek, zatopione, ledwo wychylają się z białego morza po tym mlecznym przyplwywie; musi wołać na pomoc swoją starą służącą, która, choćby był znamienitym mężem stanu lub wielkim pisarzem, powie mu, że ma nie więcej rozumu niż pięcioletnie dziecko.

Innym razem, w czarnoksięskim pokoju, przed zamkniętymi drzwiami zjawia się osoba, której nie było przed chwilą; to gość, którego wejścia chory nie słyszał i który wykonuje tylko gesty niby w teatrzyku marionetek, tak kojącym dla tych, co nabrali wstrętu do słów. Utrata jednego zmysłu przydaje światu tyleż piękności co nabycie innego: toteż taki głuchy przechadza się teraz z rozkoszą po Ziemi niemal rajskiej, gdzie nie stworzono jeszcze dźwięku. Najwyższe wodospady rozpościerają swój kryształowy obrus dla samych oczu, spokojniejsze niż morze w czas ciszy, jak wodospady Raju. Ponieważ hałas był dlań przed ogłuchnięciem dostrzegalną formą przyczyn ruchu, przedmioty poruszające się bez hałasu poruszają się jak gdyby bez przyczyny; odarte z wszelkich właściwości dźwiękowych, rozwijają samorzutną czynność, zdają się żyć; poruszają się, martwieją, zapalają się same. Same z siebie wzlatają niby skrzydlate przedhistoryczne potwory. W samotnym i pozbawionym sąsiadów domu człowieka głuchego, usługa, która, zanim jego głuchota stała się kompletna, okazywała już więcej względów i odbywała się cicho, wykonywana jest teraz — z odcieniem czegoś podstępnego — przez niemych, jak obsługa króla w ferii⁷¹. I budowle, które głuchy widzi z okna — koszary, kościół, ratusz — są, również jak na scenie, tylko dekoracją. Jeżeli któregoś dnia dekoracja się zawali, powstanie stąd chmura kurzu i widoczne szczątki; ale jeszcze mniej materialna niż pałac w teatrze, od którego jest wszelako mniej lekka, runie w czarodziejski wszechświat tak, że upadek jej ciężkich głazów żadnym pospolitym hałasem nie skala czystości ciszy.

⁶⁹pianissimo (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

⁷⁰psalmodia a. psalmodiowanie — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

⁷¹feria (z fr.) — widowisko fantastyczne, teatralne lub skomponowane na sposób teatralny. [przypis edytorski]

Cisza — o wiele bardziej względna — panująca w żołnierskiej izdebce, gdzie się znajdowałem od paru chwil, przerwała się. Drzwi się otwały i Saint-Loup, wypuszczając z oka monokl, wyszedł żywo.

— Ach, Robercie, jak tu dobrze u ciebie — rzekłem — jakby to było wspaniale, gdyby tu było wolno zjeść obiad i przenocować!

I w istocie, gdyby to nie było zabronione, jakiegoż spoczynku wolnego od smutku zakosztowałbym tutaj, chroniony przez tę atmosferę spokoju, czujności i wesołości, którą podtrzymywały tysiączne uregulowane i zdyscyplinowane wole, tysiąc beztroskich dusz, w tej wielkiej wspólnocie, jaką są koszary, gdzie, strojąc nawet czas w formę działania, smutny dźwięk godzin zastąpiono radosną fanfaramą pobudek, tych samych, których dźwięczne wspomnienie, rozproszkowane, rozdrobnione, buja nieustannie nad brukiem ulic — głos pewny, że będzie słuchany, a muzyczny, bo jest nie tylko głosem władzy wzywającej do posłuchu, ale i głosem mądrości wzywającej do szczęścia.

— A! wolałbyś spać tutaj blisko mnie niż iść sam do hotelu — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup.

— Och, Robercie, okrutny jesteś, że traktujesz to ironicznie — rzekłem — skoro wiesz, że to niemożliwe i że tam będę tak cierpiał!

— Sprawiasz mi wielką przyjemność — rzekł — bo właśnie pomyślałem sam z siebie, że ty wolałbyś zostać dzisiaj wieczór tutaj. I specjalnie o to poszedłem prosić kapitana.

— I pozwolił? — wykrzyknąłem.

— Bez najmniejszej trudności.

— Och! ubóstwiam go!

— Nie, to za wiele. A teraz, pozwól mi zawołać ordynansa, by się zajął naszym obiadem — dodał, gdy ja się odwróciłem, aby ukryć łzy.

Raz po raz wchodził któryś z kolegów Roberta. Wyrzucał ich za drzwi.

— No, zmykaj!

Prosiłem go, aby im pozwolił zostać.

— Ale nie, zanudziliby cię, to są ludzie całkowicie nieokrzesani, którzy umieją mówić tylko o wyścigach, o ile nie o czyszczeniu koni. A i mnie zepsuliby te tak drogie chwile, których tak bardzo pragnąłem. Ale zważ, że jeżeli ja mówię o ubóstwie ducha moich kolegów, to nie znaczy, aby wszelki wojskowy miał być antyintelektualny. Ani trochę. Mamy tu majora, który jest cudowny człowiek. Miał kurs, w którym historia wojen potraktowana jest jak dowód matematyczny, coś w rodzaju algebry. Nawet estetycznie to ma swoją piękność, indukcyjną i dedukcyjną na przemian. Podobałoby ci się.

— To nie ten kapitan, który mi pozwolił zostać tutaj?

— Nie, Bogu dzięki, bo człowiek, którego „ubóstwiasz” dla tak błahej przyczyny, to jest największy głupiec, jakiego święta ziemia nosiła. Bajeczny jest do tego, aby się zajmować menażą⁷² i ekwipunkiem swoich ludzi; spędza godziny całe z kwatermistrzem i z krawcem pułkowym. To jego mentalność. Gardzi zresztą, jak wszyscy, wspaniałym majorem, o którym ci mówiłem. Nikt z nim nie żyje, bo jest mason i nie chodzi do spowiedzi. Nigdy księżę Borodino nie przyjąłby u siebie tego plebejusza. I to jest bądź co bądź bajeczny tupet ze strony człowieka, którego pradziadek był po prostu chłopem i który gdyby nie wojny napoleońskie, byłby zapewne też chłopem. Zresztą on sobie dobrze zdaje sprawę ze swojego położenia w świecie: ni to pies, ni wydra. Zaledwie się pokazuje w Jockey Clubie, tak bardzo czuje się tam nieswój ten rzekomy księżę — dodał Robert, który mocą tego samego ducha naśladownictwa przejąwszy teorie socjalne swoich mistrzów i przesady światowe swojej rodziny, łączył — nie zdając sobie z tego sprawy — miłość ludu z pogardą dla szlachty Cesarstwa.

Patrzyłem na fotografię jego ciotki; myśl, że Saint-Loup, posiadając tę fotografię, będzie mi ją może mógł darować, uczyniła mi go tym droższym. Byłbym pragnął oddać mu tysiąc usług, które w porównaniu z tą wydawały mi się drobiazgiem. Bo ta fotografia to było niby jedno spotkanie więcej, przydane do moich poprzednich spotkań z panią de Guermantes; co więcej, spotkanie przedłużone, tak jakby w nagłym zbliżeniu naszych stosunków ona zatrzymała się przy mnie w ogrodowym kapeluszu i pozwoliła mi pierwszy raz przyglądać się do syta tym policzkom, linii karku, kącikowi brwi (dotąd zamglonym

⁷²menaż (przestarz., z fr.) — stolówka; kasyno wojskowe. [przypis edytorski]

dla mnie wskutek chyżości mijania się, zamętu moich wrażeń, chwiejności wspomnienia); i oglądanie tego wszystkiego, jak widok piersi i ramion kobiety, którą się dotąd widziało tylko w sukni pod szyję, było dla mnie rozkosznym odkryciem, przywilejem. Te linie, których widok zdawał mi się dotąd niemal wzbroniony, mógłbym studiować niby w podręczniku jedynej geometrii mającej dla mnie wartość.

Później, przyglądając się Robertowi, spostrzegłem, że i on był po trosze niby fotografia jego ciotki. Mocą tajemnicy, dla mnie niemal równie wzruszającej, o ile twarz Roberta nie była wprost poczęta z jej twarzy, obie miały wszakże wspólny początek. Rysy księżnej de Guermantes, przyszpilone w mojej wizji z Combray, nos w kształcie sokołego dzioba, przenikliwe oczy posłużyły również do wycięcia — w innym analogicznym i wiotkim egzemplarzu o zbyt delikatnej skórze — twarzy Roberta, niemal pokrywającej się z twarzą ciotki. Z zazdrością oglądałem w nim charakterystyczne rysy Guermantów, rasy tak swoistej w świecie, w którym ona nie ginie, w którym pozostaje wyosobniona w swojej bosko ornitologicznej chwale, zdaje się bowiem zrodzona w mitologicznej epoce z połączenia bogini i ptaka.

Nie znając przyczyn mego rozczulenia, Robert był bardzo nim wzruszony. Czulość ta wzmagala się zresztą od błogostanu spowodowanego ciepłem kominka i szampanem, który równocześnie perlił kroplami potu moje czoło, a łzami moje oczy; podlewaliśmy nim kuropatwy, które jadłem z podziwem wszelkiego profana, kiedy w jakimś obcym mu życiu znajdzie coś, o czym sądził, że jest z tego życia wykluczone (na przykład podziw wolnomysliciela zjadającego świetny obiad na plebanii). I nazajutrz rano, budząc się, z okna pokoiku Roberta, które, położone bardzo wysoko, ogarniało całą okolicę, rzuciłem pełne ciekawości spojrzenia, aby się zapoznać ze swoją sąsiadką — wsią, której nie mogłem obejrzyć poprzedniego dnia, przybywszy za późno, w nocy, w chwili gdy ona już spała. Ale choć się budziła wcześniej, ujrzałem ją wszakże, otwierając okno, jedynie tak, jak się ją widzi z okna jakiegoś zamku, w stronie stawu, opatuloną jeszcze w miękką białą szatę z mgły, która nie pozwalała mi prawie nic dojrzeć. Ale wiedziałem, że zanim żołnierze krzątający się na dziedzińcu przy koniach skończą je czyścić, ona zdejmie tę suknię. Na razie widziałem tylko nikłą górkę, wystawiającą w stronę koszar swój grzbiet już odarty z cienia, mizerny i chropawy. Poprzez ażurowe firanki szronu nie odrywałem oczu od tej nieznanym, która mnie widziała pierwszy raz. Ale kiedy przywykłem zachodzić do koszar, świadomość, że ta górka jest tam, realniejsza tym samym — nawet kiedy jej nie widziałem — niż hotel w Balbec, niż nasz dom w Paryżu, o których myślałem jak o nieobecnych, jak o umarłych, to znaczy ledwie już wierząc w ich istnienie, sprawiła, że nawet gdy sobie z tego nie zdawałem sprawy, oświetlony jej kształt rysował się zawsze nad najmniejszymi wrażeniami, jakich doznałem w Doncieres, aby zaś zacząć od tego ranka, nad lubym wrażeniem ciepła, jakie mi dała czekolada przyrządzona przez ordynansa Roberta w tym wygodnym pokoju, sprawiającym wrażenie optycznego centrum do oglądania tego wzgórza, ile że myśl robienia czegoś innego niż patrzenia na nie i przechadzania się po nim była uniemożliwiona przez rozpościerającą się mgłę. Nasycając kształt pagórka, skojarzona ze smakiem czekolady i z wątkiem moich ówczesnych myśli, ta mgła, mimo że nie myślałem o niej ani trochę, zwilżyła wszystkie moje myśli z owego czasu, tak jak jakieś nieskażone i masywne złoto skojarzyło się z moimi wrażeniami z Balbec lub jak sąsiedztwo czarnych kamiennych schodów powlekało czymś szarym moje wrażenia z Combray. Mgła nie przetrwała zresztą długo, słońce wypuściło na nią daremnie kilka strzał, które zahaftowały ją diamentami, po czym rozproszyły ją. Wzgórze mogło poddać swój szary grzbiet promieniom, które w godzinę później, kiedy zeszedł do miasta, dawały czerwonym liściom drzew oraz czerwieni i błękitowi afiszów wyborczych na murach jakiś poryw, który wypełniał mnie samego i kazał mi zbijać bruk, śpiewając i wstrzymując się, aby nie podskakiwać z radości.

Ale począwszy od drugiego dnia, trzeba mi było nocować w hotelu. I wiedziałem z góry, że muszę tam zastać nieunikniony smutek. Smutek ten był niby dławiący aromat, jaki od czasu mego pierwszego dzieciństwa wydzielał dla mnie wszelki nowy pokój, to znaczy wszelki pokój: w pokoju, gdzie mieszkał stale, byłem nieobecny, myśl moja przebywała gdzie indziej, wysyłała na swoje miejsce jedynie przyzwyczajenie. Ale nie mogłem obarczać owej mniej wrażliwej służebnicy tym, aby się zajęła moimi sprawami w nowym miejscu, gdzie ją poprzedzałem, gdzie przybywałem sam, gdzie trzeba mi było

wprowadzić w kontakt z otoczeniem owo „ja”, które odnajdywałem jedynie po latach przerwy, ale zawsze to samo, ile że nie urosło od czasu Combray, od mego pierwszego przybycia do Balbec, płaczące i niepokieszone na otwartej walizie.

Otóż pomyliłem się. Nie miałem czasu być smutny, bo nie byłem ani chwili sam. Bo z dawnego pałacu pozostał przerost zbytku, bez zastosowania w nowoczesnym hotelu, i oderwany od wszelkiej praktycznej funkcji, przybrał w swojej beczynności rodzaj własnego życia: kręcące się w kółko korytarze, których bezcelowe odnogi mijają się co chwila, sienie długie jak korytarze, a strojne jak salony, robiące raczej wrażenie, że tam mieszkają, niż że stanowią część mieszkania; nie dało się ich włączyć w żaden apartament, ale krążyły dokoła mego i przyszyły mi od razu ofiarować swoje towarzystwo — rodzaj sąsiadów próżniaczych, lecz nie hałaśliwych, pokątnych widm przeszłości, którym pozwolono mieszkać bez hałasu u drzwi pokojów do wynajęcia — mary, które, za każdym razem kiedym je spotkał na drodze, zachowywały wobec mnie milczącą uprzejmość. W sumie, idea mieszkania, prostego futerału obejmującego nasze doraźne istnienie i zabezpieczającego nas jedynie od zimna, od wzroku ludzi, nie nadawała się absolutnie do tej siedziby, zespołu ubikacji⁷³ równie realnych jak zbiorowisko osób, o życiu milczącym co prawda, ale które musiało się spotykać, unikać ich, witać je, kiedy się wracało. Niepodobna było bez ostrożnego szacunku patrzeć na wielki salon, który od XVIII wieku nawykł rozpościerać się między swymi gzymsami ze starego złota, pod chmurami malowanymi na suficie. A poufalszą ciekawość budziły małe pokoiki, które nie troszcząc się o symetrię, biegły dokoła niego, niezliczone, zdziwione, uciekające w nieładzie aż do ogrodu, dokąd schodziły tak łatwo po trzech wyszczerbionych stopniach.

Kiedym chciał wyjść lub wrócić, nie posługując się windą i nie przechodząc przez główne schody, mniejsze schodki prywatne, już nieużywane, nadstawały mi swoje stopnie, tak składnie zbudowane, że linia ich zdawała się posiadać doskonałą gradację, w rodzaju tej, jaka w kolorach, zapachach, smakach budzi w nas często specjalną rozkosz. Ale trzeba mi było przybyć aż tutaj, aby poznać przyjemność związaną z wchodzeniem i schodzeniem, jak niegdyś musiałem się znaleźć w alpejskiej miejscowości klimatycznej, aby się przekonać, że niedostrzegany zazwyczaj akt oddychania może być ciągłą rozkoszą. Odczułem tę folgę⁷⁴ w wysiłku, daną nam jedynie przez rzeczy, do których przywykliśmy od dawna, kiedym pierwszy raz postawił nogi na tych stopniach, poufałych, zanim je znałem, tak jakby posiadały — może złożoną i wcieloną w nie przez dawniejszych panów, których przyjmowały co dnia — antycypowaną słodycz nienabytych jeszcze przeze mnie przyzwyczajień, słodycz zdolną jedynie osłabnąć, skoro się z nią oswoję.

Otworzyłem pokój, podwójne drzwi zamknęły się za mną, draperia wpuściła milczenie, nad którym uczułem jakąś upajającą królewskość. Zdobny cyzelowanym mosiądzem marmurowy kominek — błędem byłoby przypuszczać, że ten kominek umiał jedynie reprezentować sztukę Dyrektoriatu⁷⁵ — dawał i ciepło, a niski fotelik pomógł mi się grzać równie wygodnie, co gdybym siedział na dywanie. Ściany tuliły pokój, oddzielając go od reszty świata; aby tam wpuścić, aby w nim zamknąć to, co mu dawało jego pełnię, rozstępowały się przed biblioteką, obejmowały zagłębienie z łóżkiem, po którego dwóch stronach kolumnienki podtrzymywały lekko wyniosły sufit alkowy⁷⁶. A pokój przedłużał się w głąb w dwa alkierze⁷⁷ równej z nim szerokości; w drugim z nich wisiał na ścianie — aby nasycić wonią skupienie, którego miało się tam szukać — rozkoszny różaniec z ziarn irysa. Drzwi, gdybym je zostawił otwarte, wchodząc do tego najdalszego schronienia, nie tylko troiły je, nie niweczając jego harmonii i nie tylko dawały memu spojrzeniu lubość przestrzeni po lubości skupienia, ale przydawały uczucie swobody do rozkoszy samotności, samotności wciąż nienaruszonej, a nie tak zamkniętej. Alkówka ta wychodziła na dziedziniec, którego miłe sąsiedztwo odkryłem ze szczęściem nazajutrz rano, ujrzawszy

⁷³ubikacja (daw., z łac.) — miejsce; pomieszczenie. [przypis edytorski]

⁷⁴folga (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie. [przypis edytorski]

⁷⁵Dyrektoriat — pięcioosobowy rząd Republiki Francuskiej ustanowiony w 1795, w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej; także: okres działania tego rządu, tj. do zamachu stanu dokonanego przez Napoleona w 1799. [przypis edytorski]

⁷⁶alkowa — mały pokój bez okien, przylegający do większego pokoju; przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

⁷⁷alkierz — mały, boczny pokój, często sypialny. [przypis edytorski]

go zamkniętym — niby piękną samotnicę — między wysokimi murami bez okien. Rosły tam tylko dwa poźółkle drzewa, dające czystemu niebu jakąś słodycz lila.

Zanim się położyłem, zapragnąłem wyjść z pokoju, aby zbadać całą swoją bajkową dziedzinę. Szedłem długą galerią, niosącą mi w darze wszystko, co mi mogła ofiarować w razie bezsenności: fotel w kącie, szpinet⁷⁸, na konsoli⁷⁹ niebieski fajansowy wazon pełen cynerarii⁸⁰ i w staroświeckiej ramie widmo zeszlówiecznej damy z niebieskimi kwiatami w pudrowanych włosach, z bukietem goździków w ręce. Kiedym doszedł do końca, ściana bez drzwi powiedziała mi naiwnie: „Teraz trzeba wracać; ale widzisz, jesteś tu u siebie”, podczas gdy puszysty dywan dodawał uprzejmie, że gdybym nie spał tej nocy, mógłbym doskonale przyjść tu boso, a okna bez okiennic wyglądające na pole zapewniały mnie, że będą czuwały całą noc i że nawet zjawiając się o jakiej bądź porze, nie potrzebuję się bać, bym kogoś obudził. Za drzwiczkami w ścianie zauważyłem jedynie mały gabinetek: wstrzymany ścianą i nie mogąc uciec, ukrył się tam markotny i patrzył na mnie wystraszony swoim okrągłym okienkiem zblękitnionym przez księżyc.

Położyłem się, ale obecność pierzyny, kolumnienek, kominka, napinając moją uwagę w stopniu nieznanym mi w Paryżu, nie pozwoliła mi się oddać zwykłej włóczędze marzeń. Że zaś ten szczególnie stan uwagi, zagarniając sen i działając nań, zmienia go, dociąga go do tej czy innej serii wspomnień, obrazy moich sennych marzeń owej pierwszej nocy wylaniały się z pamięci zupełnie odmiennej od tej, z której zwykle czerpał mój sen. Gdybym nawet, śpiąc, skłonny był pożegłować w stronę mej zwykłej pamięci, łóżko, do którego nie był przyzwyczajony, łagodna baczność towarzysząca nieodzownie moim ruchom, kiedym się obracał, wystarczały, aby naprostować lub podtrzymać nowy wątek moich snów.

Ze snem jest tak jak z percepcją świata zewnętrznego. Wystarczy lada zmiany w naszych przyzwyczajeniach, aby go uczynić poetycznym; wystarczy, abyśmy, rozbierając się, zasnęli niechcący na łóżku, aby się proporcje snu zmieniły, dając nam odczuć jego piękno. Budzimy się, widzimy na zegarku czwartą, to dopiero czwarta rano; ale nam się zdaje, że już spłynął cały dzień, tak bardzo ten kilkuminutowy sen, któregośmy nie szukali, wydaje się nam mocą jakiegoś boskiego prawa zesłany z nieba, olbrzymi i pełny niby złote jabłko cesarza.

Rano, kiedym się frasował, że dziadek dawno jest gotów i że czekają na mnie, aby się wybrać w stronę Méséglise, obudziła mnie fanfara pułku, który co dzień przejeżdżał pod moimi oknami. Ale parę razy — i mówię to tutaj, bo niepodobna dobrze oddać czyjegoś życia, jeżeli się go nie skąpie w śnie, w którym się ono nurza i który noc po nocy opływa je tak jak morze otacza półwysep — odgradzający mnie sen był dość oporny, aby wytrzymać uderzenie muzyki, tak że nie słyszałem nic. W inne dni ustępował na chwilę: ale moja świadomość — jeszcze powleczone snem, jak owe znieczulone wprzód narządy, którym przyżeganie, zrazu nieodczuwane wcale, daje się uczuć dopiero przy samym końcu w postaci lekkiego sparzenia — doznała jedynie lekkiego dotknięcia ostrzy piszczalek, pieszczących ją niby lekkie i świeże świegot letni; i po tej wąskiej przerwie, w której cisza stała się muzyką, cisza ta powracała wraz z moim snem, zanim nawet dragoni przeszli, kradnąc mi ostatnie rozkwitłe pęki dźwięcznego bukietu. A strefa mojej świadomości, którą musnęły tryskające gałązki, była tak wąska, tak spowita snem, że później, kiedy Saint-Loup mnie pytał, czym słyszał muzykę, nie byłem już pewny, czy dźwięk fanfary nie był takim samym urojeniem jak ten, który słyszałem w dzień unoszący się po najmniejszym hałasie nad brukiem. Może słyszałem go jedynie we śnie z obawy przebudzenia się lub, przeciwnie, z obawy, że się nie zbudzę i nie zobaczę defilady. Bo często, kiedy spałem w chwili, gdym myślał, że hałas byłby mnie obudził, przez godzinę jeszcze — wciąż drzemiąc — myślałem, że nie śpię, i na ekranie swojego snu komponowałem sobie z nikłych cieni rozmaite widowiska, w których ten hałas mi przeszkadzał, ale których złuda trwała we mnie.

⁷⁸szpinet — dawny instrument muzyczny, odmiana klawesynu. [przypis edytorski]

⁷⁹konsola — ozdobny stolik umieszczany zwykle pod lustrem; także kolumnienka służąca jako podstawa, do umieszczania na niej wazonu, zegara itp. [przypis edytorski]

⁸⁰cyneraria — roślina z rodziny astrowatych o purpurowoczerwonych kwiatkach z żółtym środkiem. [przypis edytorski]

Zdarza się w istocie z nadejściem snu, że to, co zrobilibyśmy w dzień, spełniamy jedynie we śnie, to znaczy po zboczeniu w sen, idąc inną drogą, niżby się to zrobiło na jawie. Ta sama historia skręca i ma inny koniec. Mimo wszystko świat, w jakim żyjemy we śnie, jest tak odmienny, że ludzie, którym trudno jest zasnąć, starają się przede wszystkim wyjść z naszego świata. Walkując rozpaczliwie przez całe godziny z zamkniętymi oczami myśli podobne do tych, jakie by mieli z otwartymi oczami, nabierają otuchy, skoro spostrzegą, że ostatnia minuta była brzemienna rozumowaniem zupełnie sprzecznym z prawidłami logiki, z oczywistością danego momentu; ta krótka „absencja” znaczy, że uchylila się brama, przez którą zdołają się może za chwilę wymknąć rzeczywistości, przycupnąć gdzieś mniej lub więcej z dala od niej, co im da mniej lub więcej „dobry” sen. Ale już uczyniliśmy wielki krok, kiedy się obrócimy plecami do rzeczywistości i kiedy dosięgniemy pierwszych czeluści, gdzie „autosugestie” na kształt czarownic przyrządzają piekielną potrawkę urojonych chorób lub pogorszenia się nerwic i czatują na godzinę, gdy ataki naciągnięte niby sprężyna w czasie nieświadomego snu, odprężą się nagle dość silnie, aby go przerwać.

Niedaleko stamtąd znajduje się zamknięty ogród, gdzie rosną, jak nieznanne kwiaty, sny tak różne od siebie wzajem: sen datury⁸¹, konopi indyjskich, rozlicznych wyciągów eteru, sen belladonna⁸², opium, waleriany; kwiaty zwinięte do dnia, gdy predestynowany wędrowiec dotknie ich, rozwinie je i na długie godziny wyzwoli aromat ich marzeń w swojej zachwyconej i zdumionej duszy. W głębi ogrodu jest klasztor z otwartymi oknami, gdzie słyszy się powtarzane przed zaśnięciem lekcje, które będziemy umieli dopiero przy obudzeniu; podczas gdy, niby wróżba tego przebudzenia, powtarza swoje „tik tak” ów wewnętrzny budzik, który poczucie nasze nastawiło tak dobrze, że kiedy służąca przyjdzie nam powiedzieć: „Jest siódma”, już nas zastanie gotowych. Na ciemnych ścianach tego pokoju otwierającego się na sny, gdzie pracuje bez przerwy owo zapomnienie miłosnych zgrzyot, którego pracę, szybko na nowo podjętą, przerywa czasem i niszczy koszmar przypomnień, wiszą nawet po przebudzeniu się wspomnienia snów, ale tak mroczne, że często spostrzegamy je pierwszy raz aż w pełne popołudnie, kiedy je przypadkowo uderzy promień jakiejś pokrewnej myśli; niektóre już harmonijnie jasne, podczas gdyśmy spali, ale obecnie tak zmienione, że nie poznawszy ich, możemy tylko co prędzej oddać je ziemi, jak nazbyt rychło rozkładające się trupy lub przedmioty tak zniszczone i zmurszałe, iż najbieglejszy konserwator nie potrafiłby im przywrócić kształtu i zrobić z nich czegoś.

Opodal kraty znajduje się kopalnia, gdzie głębokie sny zachodzą szukać substancji nasycających głowę materią tak twardą, że aby obudzić śpiącego, własna jego wola zmuszona jest, nawet w złoty ranek, walić toporem niby młody Zygfryd⁸³. Dalej jeszcze są zwidzenia, o których lekarze niedorzecznie twierdzą, że bardziej męczą niż bezsenność, wówczas gdy one, przeciwnie, pozwalają naszej myśli wyzwolić się z uwagi; koszmary ze swymi fantazyjnymi albumami, gdzie nasi zmarli rodzice ulegają ciężkiemu wypadkowi, niewykluczającemu rychłego wyleczenia. Na razie trzymamy ich w klatce na szczury, przy czym mniejsi są niż białe myszki; pokryci wielkimi czerwonymi pryszczami, z których każdy strojny jest w piórko, zwracają do nas cycerońskie⁸⁴ oracje. Obok tego albumu znajduje się kręcący się dysk przebudzenia, dzięki któremu grozi nam przez chwilę ta przykrość, że musimy za chwilę wrócić do zburzonego od pięćdziesięciu lat domu, którego obraz — w miarę jak sen się oddala — zacierają inne domy, zanim dojdziemy do tego, który się zjawi dopiero po zatrzymaniu się dysku, utożsamiony z tym, który ujrzemy otwartymi oczami.

Czasem nie słyszałem nic, pogrążony we śnie z rodzaju snów, w które wpadamy niby w czeluść, szczęśliwi, gdy się z niej wydostaniemy nieco później; sen ciężki, obżarty, trawiący wszystko to co nam — na kształt nimf karmiących Herkulesa — przyniosły owe zwinne roślinne potęgi, działające ze zdwojoną energią w czasie, gdy śpimy.

⁸¹datura — bieleń, rodzaj roślin z Ameryki, używanych przez Indian do wywoływania halucynacji. [przypis edytorski]

⁸²belladonna — pokrzyk wilcza jagoda; roślina trująca, powodująca m.in. omamy wzrokowe i słuchowe. [przypis edytorski]

⁸³Zygfryd — legendarny germański heros, zabójca smoka, tytułowy bohater trzeciej części dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

⁸⁴cyceroński — taki jak u Cycerona (106–43 p.n.e.), najwybitniejszego rzymskiego mówcy, także pisarza, filozofa i polityka. [przypis edytorski]

Nazywa się to snem ołowianym; zdaje się, że człowiek sam stał się na kilka chwil po przerwaniu takiego snu człowiekiem z ołowiu. Nie jest się nikim. Jakim cudem, szukając swojej myśli, swojej osobowości, tak jak się szuka zgubionego przedmiotu, odnajdujemy wówczas w końcu swoje „ja” raczej niż jakiegokolwiek inne? Czemu kiedy zaczniemy na nowo myśleć, wciela się w nas osobowość nie inna niż poprzednia? Nie wiadomo, co nam dyktuje ten wybór i czemu, pośród milionów istot ludzkich, którymi moglibyśmy być, trafiamy właśnie na tę, którą byliśmy wczoraj. Co nami kieruje w odnalezieniu się po tej przerwie (spowodowanej głębokością snu lub odrębnością marzeń sennych, całkowicie od nas różnych)? Była to naprawdę śmierć, jak wówczas kiedy serce przestało bić i kiedy miarowe wyciąganie języka wraca nas do życia. Bez wątplenia jakiś pokój, choćbyśmy go widzieli tylko raz, budzi wspomnienia, których czepiają się inne, dawniejsze. Albo też spały może w nas samych pewne wspomnienia, dochodzące naszej świadomości? Zmartwychwstanie przy przebudzeniu — po tym dobroczynnym napadzie obłądki, jakim jest sen — musi być w gruncie podobne do procesu, mocą którego odnajdujemy zapomniane nazwisko, wiersz, melodię. I może zmartwychwstanie duszy po śmierci dałoby się pojąć jako zjawisko pamięci.

Kiedym się wreszcie rozbudził, wabiony słonecznym niebem, ale zrażony chłodem owych ostatnich poranków, promiennych i mroźnych, zwiastujących zimę, spoglądałem na drzewa, gdzie liście były zaznaczone tylko paroma plamami złota lub czerwieni, jak gdyby zawieszonymi w powietrzu, w niewidzialnej osnowie. Podnosiłem głowę i wyciągałem szyję, z ciałem półokrytym kołdrą; niby poczwarzka w trakcie przeobrażania się, byłem podwójną istotą, której poszczególne części wymagały różnych środowisk; oczom moim wystarczał kolor bez ciepła, za to moja pierś łaknęła jedynie ciepła, nie zaś koloru. Wstawałem dopiero wtedy, kiedy ogień płonął, i patrzyłem na łagodny i przejrzysty obraz złocistoliliowego poranku, któremu sztucznie przydawałem brakującą cząstkę ciepła, poruszając pogrzebaczem ogień płonący i dymiący na kształt dobrej fajki i dający mi jak fajka przyjemność — grubą zarazem, bo polegała na rozkoszy materialnej, i delikatną, bo za nią znaczyła się czysta wizja.

Gotownia⁸⁵ moja była obita żywoczerwoną tapetą w białe i czarne kwiatki, z którymi oswojenie powinno mi było przyjść dość trudno. Ale wydały mi się tylko nowe: zmusiły mnie jedynie do wejścia z nimi w styczność, nie zaś w zatarg; odmieniły jedynie wesołość i melodie mego wstawania, wsadziły mnie przemocą jakby w kielich maku, z którego patrzyłem na świat, widząc go zgoła inaczej niż w Paryżu, z owego wesołego parawanu, jakim był ten nieznan dom, inaczej położony od domu rodziców i skąpany w czystym powietrzu.

Bywały dni, gdy nękała mnie potrzeba ujrzenia babki, obawa, czy nie jest cierpiąca; lub pamięć jakiejś uprzykrzonej sprawy pozostawionej w Paryżu; czasem jakieś kłopoty, w które nawet tutaj potrafiłem się wpakować. Któraś z tych trosk nie dała mi spać; byłem bez siły przeciw memu smutkowi, który w jednej chwili wypełniał mi całe istnienie. Wówczas posyłałem kogoś z hotelu do koszar z bilecikiem do Roberta; prosiłem go, jeżeli mu to jest fizycznie możliwe — wiedziałem, że to jest bardzo trudne — aby był tak dobry i przyszedł na chwilę. Za godzinę przybywał; słysząc jego dzwonek, czułem się wyzwolony ze swoich trosk. Wiedziałem, że o ile one są silniejsze ode mnie, on jest silniejszy od nich; uwaga moja odrywała się od nich i obracała się ku niemu, mającemu decydować. Już wszedł i już napełnił pokój falą powietrza, w którym rozwijał tyle energii od rana; atmosferą bardzo różną od mojego pokoju, do której dostrajałem się natychmiast przez stosowne reakcje.

— Nie gniewasz się, mam nadzieję, że cię niepokoił; jest coś co mnie dręczy, powinienś być to zgadnąć.

— Ależ nie; myślałem po prostu, że masz ochotę mnie widzieć, i bardzo mnie to ucieszyło. Byłem niezmiernie rad, żeś mnie wezwał. Ale co? Jakoś nietęgo się miewasz? Czym ci mogę usłużyć?

Słuchał moich wyjaśnień, odpowiadał z precyzją, ale nim jeszcze przemówił, upodobał mi się; przy poważnych zajęciach, które go czyniły tak spieszącym się, tak ruchliwym i wesołym, przykrości wypełniające mnie przed chwilą nieustannym cierpie-

⁸⁵gotownia (daw.) — pokój do ubierania się. [przypis edytorski]

niem wydawały mi się, jak jemu, czymś blahym; byłem jak człowiek, co, nie mogąc otworzyć oczu od kilku dni, sprowadza lekarza, który łagodnie i zręcznie rozwiera mu powieki i pokazuje wyjęte ziarnko piasku; chory jest wyleczony i uspokojony. Wszystkie moje udręki rozwiązywała depesza, którą Saint-Loup podejmował się wysłać. Życie zdawało mi się tak inne, tak piękne, byłem przepelniony takim nadmiarem siły, żem pragnął działać.

— Co ty teraz robisz? — pytałem Roberta.

— Muszę cię opuścić, bo za trzy kwadranse wymarsz, potrzebują mnie.

— To był dla ciebie wielki kłopot przyjść tutaj?

— Nie, żaden kłopot, kapitan był bardzo uprzejmy; powiedział, że z chwilą gdy chodzi o ciebie, powinienem iść, ale ostatecznie nie chcę, aby się wydawało, że tego nadużywam.

— A gdybym wstał prędko i wybrał się na własną rękę w okolice, gdzie macie ćwiczenia? To by mnie bardzo interesowało, a w pauzach moglibyśmy może gawędzić sobie.

— Nie radzę ci: nie spałeś, nabiłeś sobie głowę czymś, co, ręcąc ci, nie ma żadnego sensu; zatem teraz, kiedy cię to już nie dręczy, obróć się do ściany i śpij, co ci wybornie zrobi na demineralizację twojej tkanki nerwowej. Ale nie zasypiaj zbyt szybko, bo ta szelma muzyka będzie przechodziła pod twoimi oknami, ale potem już będziesz miał spokój. Zobaczymy się wieczorem na obiedzie.

Ale z czasem, później, chodziłem często przyglądać się, jak pułk odbywa ćwiczenia w polu, wówczas kiedy zaczął interesować teoriami wojskowymi, jakie rozwijali przy obiedzie przyjaciele Roberta, i kiedy oblegało mnie pragnienie ujżenia z bliska ich różnych przełożonych. Tak ktoś, kto żyje muzyką i wysiada na koncertach, znajduje przyjemność w tym, aby zachodzić do kawiarni, w której może obserwować życie członków orkiestry. Aby dotrzeć na teren ćwiczeń, musiałem robić daleki marsz. Wieczorem, po obiedzie, głowa opadała mi chwilami z senności. Nazajutrz spostrzegłem, żem nie słyszał fanfary, tak samo jak w Balbec, po wieczorze z Robertem w Rivebelle, nie słyszałem koncertu na plaży. I w chwili, gdy chciałem wstać, odczuwałem rozkoszny bezwład; czułem się wrośnięty w niewidzialny i głęboki grunt siecią muskularnych i odżywczych korzonków, odczuwanych dzięki zmęczeniu. Czułem się pełen sił, życie rozciągało się przede mną dłuższe, bo też cofnąłem się w błogosławione znużenia mego dzieciństwa w Combray, nazajutrz po spacerach w stronę Guermantes. Poeci twierdzą, że zachodząc do jakiegoś domu, do jakiegoś ogrodu, gdzieśmy żyli za młodu, odnajdujemy się na chwilę takimi, jakimi byliśmy niegdyś. To są bardzo ryzykowne pielgrzymki, często przynoszące zawód. Pewniejsze jest odnajdywać w sobie samym miejsca stałe, współczesne różnym latom. Do tego mogą się nam zdać poniekąd wielkie zmęczenia, po których następuje dobra noc. Ale te, dając nam zstąpić w najgłębsze podziemne labirynty snu, gdzie żaden odbłask jawy, żaden błysk pamięci nie oświeca już wewnętrznego monologu, o ile on w ogóle tam nie ustaje — wywracają tak dokładnie grunt i martwicę naszego ciała, że dają się nam odnaleźć tam, gdzie nasze mięśnie zanurzają i skręcają swoje odnogi i wsysają nowe życie, ogród, gdzieśmy spędzili dzieciństwo. Nie trzeba podróży na to, aby go ujrzeć na nowo; aby go odnaleźć, trzeba zastąpić w głąb. To, co przykryła ziemia, nie jest już na niej, ale pod nią; aby zwiedzić umarłe miasto, nie wystarczy wycieczki, trzeba kopać w ziemi. Ale czytelnik ujrzy, o ile ulotne i przypadkowe wrażenia lepiej jeszcze wiodą w przeszłość, z subtelniejszą precyzją, lotem lżejszym, bardziej niematerialnym, bardziej zawrotnym, nieomylnym, bardziej nieśmiertelnym niż te organiczne przemieszczenia.

Czasem byłem jeszcze bardziej zmęczony: asystowałem, nie mogąc się położyć, ćwiczeniom przez kilka dni. Jakże błogi był wówczas powrót do hotelu! Wracając do swego łóżka, miałem uczucie, żem się w końcu wyrwał czarownikom, wróżom podobnym do tych, jacy zaludniają „romanse” ukochane przez nasz wiek XVII. Sen i wylegiwanie się nazajutrz rano były już tylko uroczą baśnią. Uroczą, może i dobroczynną. Powiadałem sobie, że dla najgorszych cierpień istnieje miejsce azylu, że zawsze można w braku czegoś lepszego — znaleźć spokój. Te myśli prowadziły mnie bardzo daleko.

W dni, kiedy nie było ćwiczeń, a Saint-Loup nie mógł mimo to wyjść, odwiedzałem go często w koszarach. Znajdowały się daleko; trzeba było wyjść z miasta, przebyć wiadukt, po którego obu stronach rozciągał się szeroki widok. Silny wiatr dął prawie zawsze na tym wyżu i wypełniał wszystkie budynki koszar, huczące wciąż niby jaskinia wiatrów. Czekałem na Roberta, zatrudnionego służbowo, przed jego drzwiami albo

w refektarzu⁸⁶, rozmawiając z jego przyjaciółmi (później odwiedzałem ich czasem, nawet gdy Roberta miało nie być); widziałem przez okno w dole nagie pola; tu i ówdzie nowe zasiewy, często jeszcze mokre od deszczu i oświetlone słońcem, tworzyły zielone pasy, błyszczące i przezroczyste jak emalia. Słyszałem często, jak mówią o Robercie: rychło zdałem sobie sprawę, jak był popularny i lubiany. U wielu rekrutów z innych szwadronów, bogatych mieszczańskich synów, którzy widywali wielki świat jedynie z daleka i nie mając doń dostępu, sympatia, jaką w nich budziły przymioty Roberta, urastała jeszcze od uroku jego sfery. Często, bawiąc na przepustce w Paryżu, widzieli go, wieczorzącego w Café de la Paix z księciem d'Uzès i z księciem Orleanu. I z tej przyczyny jego ładna twarz, jego niedbały sposób chodzenia, kłaniania się, z nieustannie fruującym monoklem, jego nieprzepisowe, zbyt wysokie kepi, pantalon⁸⁷ ze zbyt cienkiego i zbyt różowego sukna, zrosły się im z pojęciem „szyku”. Odmawiali tego szyku innym, najbardziej eleganckim oficerom pułku; nawet majestatycznemu kapitanowi, któremu zawdzięczałem pierwszy nocleg w koszarach, a który wydawał się w porównaniu z Robertem zbyt nadęty, niemal pospolity.

Któryś mówił, że kapitan kupił nowego konia.

— Może kupować koni, ile tylko zechce! Spotkałem Roberta de Saint-Loup w niedzielę rano w alei des Acacias: ten dopiero ma szyk na koniu! — odparł drugi; a znał się na tym, bo ci młodzi ludzie należeli do klasy, która jeżeli nie bywa w tym samym świecie co Saint-Loup, to jednak dzięki pieniądзом i wczasom nie ustępuje arystokracji w znajomości wszystkich elegancji, jakie się da kupić. Co najwyżej elegancja ich miała (w tym na przykład, co się tyczyło stroju) coś bardziej wyszukanego, nieskazitelnego niż swoboda i niedbała elegancja Roberta, która się tak podobała mojej babce. Dla tych bankierskich synków, zajądających się ostrzygami po teatrze, widzieć przy sąsiednim stole podoficera Saint-Loup to była pewna emocja. I ileż opowiadań w koszarach w poniedziałek po powrocie z urlopu! Jednemu, koledze ze szwadronu, Robert uklonił się bardzo przyjaźnie; drugi, z innego szwadronu, twierdził, że Saint-Loup i tak go poznał, bo parę razy wycelował monokl w jego stronę.

— Tak, mój brat widział go w „La Paix” — powiadał inny, który spędził dzień u swojej kochanki. — Zdaje się nawet, że miał za luźny frak, nieszczególnie skrojony.

— Jaką miał kamizelkę?

— Nie białą, ale lila w jakieś palmy, bajeczna!

Żołnierze, ludzie prości, niemający pojęcia o Jockey Clubie, zaliczali Roberta jedynie do kategorii podoficerów bardzo bogatych, w której to kategorii mieścili wszystkich, co — zrujnowani lub nie — żyli na pewnej stopie, mieli okazałą sumę dochodów lub długów i byli hojni dla żołnierzy. Dla tych — chód, monokl, spodnie, kepi Roberta, w których zresztą nie widzieli nic arystokratycznego, miały swoją ważność i znaczenie. We właściwościach tych poznawali charakter, styl, który raz na zawsze wyznaczyli temu najpopularniejszemu z podoficerów, wzięcie niepodobne do żadnego innego, pogardę dla opinii władz, co się tym prostym ludziom wydawało naturalną konsekwencją dobroci Roberta dla żołnierzy. Ranna kawa w izbie lub popołudniowa sjesta na łóżku lepiej smakowały, kiedy jakiś „starszy” uraczył łakomą i leniwą drużynę nowym, smakowitym szczegółem o kepi Roberta.

— Takie wysokie jak moja walizka.

— Daj spokój, stary, ty chcesz z nas strugać wariatów, nie mogło być takie wysokie jak twoja walizka — przerwał młody maturzysta, który posługując się tym dialektem, starał się nie wyglądać na frajera, ryzykując zaś ten sprzeciw, chciał wywołać potwierdzenie faktu, którym był zachwycony.

— Aha, nie takie wysokie jak moja walizka. Tyś je może mierzył. Powiadam ci, podpułkownik fiksował go tak, jakby go chciał posłać do paki. I nie myśl sobie, że ten sakramencki Saint-Loup robił sobie co z tego; chodził sobie tędy i owędy, spuszczał głowę, podnosił głowę, wciąż z tym fruującym monoklem. Zobaczmy, co powie kapitan. Ha, możebne — nie powie nic; ale to pewne, że kontent⁸⁸ nie będzie. Ale to kepi to jeszcze nic. Podobno u siebie w domu on ma ich więcej niż trzydzieści.

⁸⁶refektarz — jadalnia w klasztorze lub seminarium duchownym. [przypis edytorski]

⁸⁷pantalon (z fr., daw.) — spodnie. [przypis edytorski]

⁸⁸kontent (przestarz.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— Jak ty to wiesz, stary? Przez naszego cholernego kaprala? — pytał młody maturzysta, z pedantyzmem paradując nowymi formami, których nauczył się niedawno i którymi lubił ozdabiać konwersację.

— Jak wiem? Przez jego ordynansa, u licha.

— Myślę, że temu to się musi dziać wcale nieźle.

— Ma się wi! Ma więcej forsy ode mnie, to pewne. I daje mu swoje rzeczy, i wszystko. Nie dawali mu dosyć w kantynie. I nasz Saint-Loup przychodzi i dopiero kucharz wysłuchał za swoje: „Ja chcę, żeby on był dobrze żywiony, niech kosztuje, co chce”.

I stary zupak uzupełniał blahość słów energią akcentu, przy czym ta mierna imitacja odniosła kolosalny sukces.

Wyszedszy z koszar, robiłem mały spacer, po czym, nim przyszła chwila, w której szedłem co dzień na obiad z Robertem do restauracji, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, udawałem się, skoro tylko słońce zaszło, do hotelu, aby przez dwie godziny odpocząć trochę i poczytać. Na rynku wieczór kładł na stromych dachach zamku różowe chmurki w kolorze cegieł i spajał je z nimi, łagodząc ton cegieł swoim odbłaskiem. Taki strumień życia napływał mi do nerwów, że żaden mój ruch nie mógł go wyczerpać, każdy krok, dotknąwszy ulicznego bruku, odskakiwał: zdawało mi się, że mam u stóp skrzydła Merkurego⁸⁹. Jedna fontanna była pełna czerwonego światła, gdy w drugiej księżyc dawał już wodzie kolor opalu. Pomiedzy nimi bawiły się dzieci, krzycząc, biegając w kółko, posłuszne jakiemuś nakazowi godziny, na kształt jerzyków lub nietoperzy. Obok hotelu, dawne pałace i oranżeria Ludwika XVI⁹⁰ — obecnie Kasa Oszczędności i Komenda Korpusu — oświetlone były od wewnątrz bladoczystymi ampulkami już zapalonego gazu. Płomyki te, w jasnym jeszcze dniu, wdzięcznie stroiły te wysokie i szerokie okna z XVIII wieku, gdzie nie zatarł się jeszcze ostatni odbłask zachodu, niby jasny szylkretowy⁹¹ stroik na głowie nieco podbarwionej różem. Światło to zachęcało mnie, abym spieszył do swojego kominka i do lampy, która sama jedna w fasadzie mojego hotelu walczyła ze zmierzchem i dla której wracałem, nim zapadnie noc, z rozkoszą, niby na podwieczorek. Zachowywałem w swoim pokoju tę samą pełnię wrażeń, jaką miałem wprzód na dworze. Wzdymała ona tak suto kształt powierzchni, które się nam często wydają płaskie i puste, żółty płomień ognia, sinawy papier nieba, na którym, na kształt uczniaka, wieczór nabazgrał floresy czerwonym ołówkiem, osobliwy deseń serwety na okrągłym stole, gdzie czekała mnie libra papieru i kałamarz obok powieści Bergotte’a, że odtąd przedmioty te nadal wydają mi się bogate w swoiste życie, które — takie mam wrażenie — umiałbym w nich wywołać, gdyby mi je było dane odnaleźć.

Myślałem z radością o tych koszarach, którym dopiero co opuścił i na których choraćgiewka kręciła się jak szalona na wietrze. Jak nurka oddychanie rurą biegnącą aż ponad powierzchnię wody, tak mnie te koszary wiązały ze zdrowym życiem, ze świeżym powietrzem: czułem niby punkt oparcia w tym wysokim obserwatorium, górującym nad polami przeciętymi zieloną emalią kanałów. Tam, w tych szopach i budynkach, miałem ten szacowny przywilej — jakże pragnąłem zachować go na stałe! — że mogłem zjawić się, kiedy zechcę, zawsze pewien dobrego przyjęcia.

O siódmej ubierałem się i szedłem na obiad spotkać się z Robertem w restauracji, gdzie się stołował. Lubilem chodzić tam pieszo. Ciemność była głęboka. Od trzeciego dnia mego pobytu zaczął dąć zaraz z zapadnięciem nocy lodowaty wiatr, zwiastun śniegu. Zdawało się, że w drodze powinien bym bez ustanku myśleć o pani de Guermantes; wszak wybrałem się do Roberta tylko po to, aby się do niej zbliżyć. Ale wspomnienie, zgryzota są ruchome. Są dni, w których odchodzą tak daleko, że ledwie je dostrzegamy, sądzimy, że już sobie poszły. Wówczas zwracamy uwagę na inne rzeczy. Ulice tego miasta nie były jeszcze dla mnie (jak są tam, gdzie mieszkamy stale) jedynie środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce. Życie mieszkańców tego nieznanego świata wydawało mi się czymś cudownym; często oświetlone szyby jakiegoś domu zatrzymywały mnie długo w miejscu

⁸⁹*Merkury* (mit. rzym.) — posłaniec bogów, opiekun kupców, podróżników i złodziei, odpowiednik gr. Hermes; przedstawiany w sandałach ze skrzydłami, dzięki którym szybko się przemieszczał. [przypis edytorski]

⁹⁰*Ludwik XVI* (1754–1793) — król Francji (od 1774) z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

⁹¹*szylkretowy* — wykonany z szylkretu, tworzywa pozyskiwanego ze skorup żółwi morskich. [przypis edytorski]

w ciemnościach nocy, ukazując moim oczom autentyczne a tajemnicze sceny istnień, w których nie miałem udziału. Tu geniusz ognia pokazywał mi w purpurowym obrazie szynkownię, gdzie dwaj podoficerowie, złożwszy kupę⁹² na krzesłach, grali w karty, nie domyślając się, że czarodziej wywołuje ich z nocy, niby duchy w teatrze, w postaci, w jakiej ukazywali się w tej chwili oczom niewidocznego im przechodnia. W antykwarskim sklepiku na wpół wypalona świeca, oświetlając czerwonym blaskiem jakiś sztych, zmieniała go w sangwinę⁹³, podczas gdy, walcząc z cieniem, jasność dużej lampy opalała kawał skóry, pokrywała sztylet błyszczącymi pajątkami, na lichych kopiach obrazów kładła szacowne złoto niby patynę wieków lub werniks mistrza, czyniąc z tej nory, zawierającej samą tandetę, bezcennego Rembrandta⁹⁴. Czasami rzucałem wzrok w głąb jakiegoś obszerne- go starego mieszkania z niedomkniętymi okiennicami, gdzie ziemnowodni mieszkańcy obojga płci co wieczora powracali do życia w innym żywiole niż za dnia, pływali wolno w gęstym płynie, który z nadejściem nocy sączy się bez ustanku z rezerwuaru lamp, wypełniając pokoje po brzegi ich kamiennych i szklanych ścian; i w płynie tym, przesuwając swoje ciała, tworzyli tłuste i złociste wiry.

Szedłem dalej i często w czarnej uliczce wiodącej koło katedry, jak niegdyś na drodze do Méséglise, siła mego pragnienia zatrzymywała mnie: miałem uczucie, że się wyłoni jakaś kobieta, aby je zaspokoić; kiedy w ciemności uczulem nagle przesuającą się suknię, sama gwałtowność doznawanej rozkoszy nie pozwalała mi sądzić, że otarcie się było przypadkowe, i próbowałem chwycić w ramiona wystraszoną nieznajomą.

Ta gotycka uliczka miała dla mnie coś tak realnego, że gdybym mógł tam zdybać i posiąść kobietę, niepodobna byłoby mi nie uwierzyć, że to antyczna rozkosz ma nas połączyć, choćby nawet owa kobieta była zwykłą ulicznicą wystającą tam co wieczora; tyle użyczyłyby jej tajemnicy zima, obcość miejsca, ciemność i średniowiecze. Myślałem o przyszłości: próbować zapomnieć o pani de Guermites wydawało mi się okropne, ale rozsądne i — po raz pierwszy — możliwe, może nawet łatwe. W absolutnej ciszy tej dzielnicy słyszałem dokoła siebie słowa i uśmiechy, pochodzące zapewne od zaproszonych winem wracających przechodniów. Zatrzymałem się, aby się im przyjrzeć, patrzyłem w stronę, skąd dochodził hałas. Ale trzeba mi było czekać długo: otaczająca cisza była tak głęboka, że z osobliwą wyrazistością i siłą przenosiła odgłosy jeszcze odległe. Wreszcie idący przeszli, nie — jak przypuszczałem — przede mną, ale daleko za mną. Czy że skrzyżowanie ulic i zgrupowanie domów spowodowało przez odbicie ten akustyczny błąd, czy że trudno jest umiejscowić dźwięk, którego źródła nie znamy, pomyliłem się zarówno co do odległości, jak co do kierunku.

Wiatr wzmagął się, był jakby zjeżony i chropawy zbliżającym się śniegiem. Wróciłem na główną ulicę i wskoczyłem do tramwaju, gdzie na platformie oficer — zdając się ich nie widzieć — odpowiadał na ukłony ciężkich żołnierzy przechodzących chodnikiem, z twarzami ufarbowanymi zimnem; w mieście, które nagły przeskok jesieni w rozpoczynającą się zimą posuwał jak gdyby o wiele dalej na północ, twarze te przywodziły na myśl czerwone gęby, jakie Breughel⁹⁵ daje swoim radosnym, hulaszczym i zmarzniętym wieśniakom.

Do restauracji, gdzie miałem się spotkać z Robertem i jego przyjaciółmi, zbliżające się święta ściągały wiele osób z sąsiedztwa, a także obcych. Gdym miał dziedziniec odsłaniający żarzące się kuchnie, gdzie kręciły się na rożnie kurczaki, gdzie piekły się wieprze, gdzie żywe jeszcze homary rzucano w tak nazwany przez hotelarza „ogień wieczny”, tłoczyli się (niby w jakimś *Spisie ludności w Betlejem*⁹⁶, jak je malowali starzy mistrze flamandzcy) przybysze, którzy, skupieni gromadkami w dziedzińcu, pytali gospodarza lub któregoś z jego pomocników (wskazującego im chętnie mieszkanie w mieście, kiedy się mu nie wydawali dość „odpowiedzialni”), czy mogą dostać posiłek i pokój, podczas gdy chłopcy biegali, trzymając za szyję szamocące się sztuki drobiu. I w wielkiej sali jadalnej

⁹²kupla (daw.) — pas; sprzączka u pasa. [przypis edytorski]

⁹³sangwina — brunatny odcień czerwieni przypominający kolor krwi (łac. *sanguis*). [przypis edytorski]

⁹⁴Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz i grafik okresu baroku, mistrz światłocienia. [przypis edytorski]

⁹⁵Breughel, *Pieter* (ok. 1525–1569) — niderlandzki malarz i rysownik; wiele jego obrazów przedstawia sceny rodzajowe rozgrywane się w środowisku chłopskim. [przypis edytorski]

⁹⁶*Spis ludności w Betlejem* — obraz Pietera Bruegla Starszego z 1566, przedstawiający wydarzenie z Ewangelii wg świętego Łukasza w zimowej scenarii niderlandzkiego miasteczka. [przypis edytorski]

(którą przebyłem pierwszego dnia, zanim dotarłem do pokoiku, gdzie mnie oczekiwał przyjaciel) również przypominał się posiłek z Ewangelii, wyobrażony z naiwnością dawnych wieków i z przesadą Flamandów. Przywodziła go na myśl mnogość ryb, pulard⁹⁷, bażantów, bekasów, gołębi, dymiących, wnoszonych w całej paradzie przez zdyszanych garsonów⁹⁸, którzy ślizgali się dla pośpiechu po posadzce i stawiali je na olbrzymiej konsoli, gdzie je natychmiast krajano, ale gdzie — ile że wiele obiadów dobiegało końca w chwili, gdy się zjawiał — gromadziły się nieużyte, jak gdyby ich obfitość i pośpiech służby odpowiadały nie tyle potrzebom gości, ile raczej szacunkowi dla świętego tekstu, skrupulatnie przestrzegane, lecz naiwnie ilustrowane tymi realnymi szczegółami, zapożyczonymi z miejscowego życia, oraz estetycznej i religijnej trosce o uczczenie święta przez obfitość wiktualów i gorliwość służebników. Jeden z nich, stojąc na końcu sali, dumiał nieruchomy obok podręcznego kredensu; aby spytać tego właśnie (jedyne, który się wydawał dość spokojny), w którym pokoju pomieszczono nasz stół, posuwałem się między piecykami rozpalonymi tu i ówdzie, aby nie dać ostygnąć półmiskom zapóźnionych gości (co nie przeszkadzało, że w centrum sali desery trzymał w rękach olbrzymi bałwan, czasami wsparty na skrzydłach kaczkę na pozór z kryształu, a w rzeczywistości z lodu, co dnia cyzelowanego rozpalonym żelazem przez kucharza-rzeźbiarza w guście bardzo flamandzkim). Szedłem prosto, narażając się na przewrócenie w tłoku, w stronę tego służącego, w którym poznawałem jak gdyby osobistość tradycyjną w takich świętych tematach, z jej płaskonosą, naiwną i źle narysowaną twarzą, z wyrazem zadumy już jakby przeczuwającej niepodejrzewany jeszcze przez innych cud boskiej obecności. Dodajmy, iż (z pewnością z racji zbliżających się świąt) figurantowi temu przydano niebiański orszak, dobrany całkowicie z personelu cherubinów i serafinów⁹⁹. Młody anioł-muzykant o blond włosach strojących czternastoletnią twarzyczkę nie grał wprawdzie na żadnym instrumencie, ale marzył przed gongiem lub przed stosem talerzy, podczas gdy mniej dziecięcy aniołowie pomykali przez olbrzymie przestrzenie sali, poruszając w niej powietrze nieustannym drżeniem serwet, zwisających wzdłuż ich ciał na kształt kończystych skrzydeł prymitywów.

Uchodząc z tych nieokreślonych regionów, przesłoniętych firanką palm, gdzie niebiańscy służebnicy robili z daleka wrażenie, że zstępują z *empireum*¹⁰⁰, torowałem sobie drogę do salki, gdzie był stół Roberta. Zastałem tam kilku jego przyjaciół, którzy zawsze z nim jadali; wszystko szlachta, z wyjątkiem paru mieszczan, ale takich, w których ci „dobrze urodzeni” od szkolnej ławy wyczuli przyjaciół, z którymi zbliżyli się chętnie, dowodząc tym, że nie są w zasadzie wrogami mieszczan, nawet republikanów, byleby ci mieli czyste ręce i chodzili na mszę. Od pierwszego wieczoru, zanim siedliśmy do stołu, odciągnąłem Roberta w kącie przy wszystkich, ale tak, żeby nie słyszeli, rzekłem:

— Robercie, chwila i miejsce są źle obrane na to, co ci chcę powiedzieć, ale to potrwa tylko sekundę. Zawsze zapominam spytać cię o to w koszarach: czy fotografia u ciebie na stole to jest pani de Guermantes?

— Ależ tak, to jest moja dobra ciocia.

— Ach, prawda, w głowie mi się troi, wiedziałem dawniej i nigdy o tym nie pomyślałem. Mój Boże, twoi przyjaciele muszą się niecierpliwić, mówmy szybko, patrz na nas. Albo odłożmy na inny raz, to nie ma żadnego znaczenia.

— Ależ owszem, różnij dalej, nic nie szkodzi, że zaczekają.

— Ale nie, ja chciałbym być grzeczny, oni są tacy mili dla mnie; zresztą doprawdy to nic tak ważnego.

— Ty znasz tę znaną Oriana?

Ta „zacna Oriana” — tak jakby powiedział ta „dobra Oriana” — nie znaczyła wcale, aby Robert uważał panią de Guermantes za specjalnie dobrą. W takich wypadkach „dobra”, „zacna”, „dzielna” są prostym wzmocnieniem słówka „ta”, określającego osobę, którą znają obaj, a o której nie bardzo się wie, co powiedzieć komuś, z kim się nie jest całkiem blisko.

⁹⁷pularda — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

⁹⁸garson (z fr.) — kelner (dosł.: chłopiec). [przypis edytorski]

⁹⁹cherubini i serafini — anioły znajdujące się wysoko w hierarchii chórów anielskich. [przypis edytorski]

¹⁰⁰empireum — kosmiczne niebiosa, najbardziej zewnętrzna sfera wszechświata, będąca siedzibą Boga, miejscem pobytu aniołów i świętych. [przypis edytorski]

„Dobra” służy za przystawkę i pozwala zyskać na czasie, aż się znajdzie coś w rodzaju: „Czy ją widzisz często?”, albo: „Od wieków jej już nie widziałem”, albo: „Mam ją zobaczyć we wtorek”, albo: „Nie musi być już pierwszej młodości”.

— Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to bawi, że to jest jej fotografia, bo my mieszkamy teraz w jej domu i dowiedziałem się o niej niesłychanych rzeczy (byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym miał powiedzieć jakich), co sprawia, że mnie ona bardzo interesuje, z punktu widzenia literackiego, rozumiesz, nie wiem, jak się wyrazić, z punktu widzenia balzakowskiego¹⁰¹. Ty, taki inteligentny, rozumiesz mnie w pół słowa; ale kończmy już, co twoi przyjaciele pomyślą o moim wychowaniu!

— Ależ nic nie pomyślą; powiedziałem im, że ty jesteś bajkowy, i są o wiele bardziej onieśmieleni od ciebie.

— Doprawdy, jakiś ty pocziwy. Ale chodzi o to: pani de Guermantes nie wie, że ja cię znam, prawda?

— Nie mam pojęcia, nie widziałem jej od lata, bo nie byłem w Paryżu od czasu jej powrotu.

— Powiem ci jedno: zaręczano mi, że ona mnie ma za kompletnego idiotę.

— Och, w to nie uwierzę. Oriana nie jest orzeł, ale bądź co bądź nie jest całkiem głupia.

— Ty wiesz, że nie zależy mi wcale na tym, abys afiszował swoją przyjaźń dla mnie, bo nie jestem ani trochę próżny. Toteż żałuję, żeś mówił o mnie tak pochlebne rzeczy swoim przyjaciółom (do których przejdziemy za chwilę). Ale co się tyczy pani de Guermantes, gdybyś mógł jej zakomunikować, nawet z pewną przesadą, co o mnie myślisz, zrobiłbyś mi wielką przyjemność.

— Ależ bardzo chętnie, jeżeli tylko o to ci chodzi, to nie jest zbyt trudne; ale cóż tobie może zależeć na tym, co ona o tobie myśli? Przypuszczam, że gwizdzesz na to; w każdym razie, jeżeli to tylko tyle, będziemy mogli pomówić o tym przy wszystkich albo kiedy będziemy sami, bo boję się, żebyś się nie zmęczył, rozmawiając stojący, i to tak niewygodnie, podczas gdy mamy tyle sposobności znaleźć się sam na sam.

Ale właśnie ta niewygodność dała mi odwagę mówienia z Robertem; obecność innych była dla mnie pretekstem, pozwalającym mi formułować zdania krótko i beładnie, dzięki czemu łatwiej mogłem ukryć kłamstwo, jakiegom się dopuszczał, mówiąc przyjacielowi, że zapomniał o jego pokrewieństwie z księżną. Zarazem okoliczność ta nie zostawiała Robertowi czasu na spytanie mnie o motywy, dla których pragnę, aby pani de Guermantes wiedziała, że jestem z nim w przyjaźni, że jestem inteligentny itd., które to pytania byłyby mi niekiedy niezmiernie przykrymi, ile że nie mógłbym na nie odpowiedzieć.

— Robertcie, u ciebie, tak inteligentnego, dziwi mnie, iż nie rozumiesz, że nie trzeba rozbiierać tego, co sprawia przyjacielowi przyjemność, ale zrobić to po prostu. Ja, gdybyś mnie prosił o cokolwiek w świecie — a nawet bardzo bym pragnął, abys mnie o coś poprosił — zapewniam cię, nie żądałbym od ciebie wyjaśnień. Idę dalej niż to, czego pragnę; nie zależy mi na znajomości z panią de Guermantes, ale powinienem cię być wypróbować, powiedzieć ci, że chciałbym być zaproszony na obiad z panią de Guermantes, i wiem, że byś ty tego nie zrobił.

— Nie tylko bym zrobił, ale zrobię.

— Kiedy?

— Skoro tylko przyjadę do Paryża, pewnie za trzy tygodnie.

— Zobaczymy; zresztą ona nie zechce. Nie umiem ci powiedzieć, jak ci dziękuję.

— Ależ nie, to drobnostka.

— Nie mów mi tego, to jest olbrzymie, bo teraz widzę, jaki z ciebie jest przyjaciel; czy to, o co proszę, jest ważne czy nie, przyjemne czy nie, czy mi na tym zależy w istocie, czy tylko aby cię wypróbować, mniejsza; powiadasz, że to zrobisz, i dowodzisz tym subtelności swojej inteligencji i swego serca. Głupiec wszcząłby dyskusję.

Właśnie Saint-Loup zrobił to; ale może chciałem go wziąć przez miłość własną, może też byłem szczerzy, ile że jedynym kamieniem probierczym zasługi zdawała mi się czyjaś

¹⁰¹balzakowski — taki jak u Balzaka; *Honoré de Balzac* (1799–1850): francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

użyteczność dla mnie wobec jedynej rzeczy, która mi się wydawała ważna — mojej miłości. Po czym dodałem, czy to powodowany obłudą, czy szczerym przychylnym uczuciu zrodzonego z wdzięczności, z interesu i ze wszystkiego, co natura przelała z rysów pani de Guermentes w siostrzeńca jej Roberta:

— Ale trzeba nam wracać do towarzystwa, a ja poprosiłem dopiero o jedną z dwóch rzeczy, i to mniej ważną. Druga jest o wiele dla mnie ważniejsza, ale boję się spotkać z odmową: czy by to była wielka przykrość, gdybyśmy przeszli na „ty”?¹⁰²

— Och, przykrość! jakże! Ależ „radość, ły radości, nieznanne szczęście!”¹⁰³

— Jak ja panu dziękuję... ci dziękuję. Kiedy pan... ty zaczniesz? To mi robi taką przyjemność, że jeżeli chcesz, możesz nic nie zrobić w sprawie pani de Guermentes, to „ty” wystarczy mi.

— Zrobi się i jedno, i drugie.

— Och! Robercie! Słuchaj — rzekłem jeszcze do Roberta podczas obiadu — och, jakie to komiczne, ta rozmowa wciąż przerywana i zresztą, nie wiem czemu — wiesz, pamiętasz tę osobę, o której ci mówiłem?

— Tak.

— Wiesz dobrze, o kim mówię?

— Ależ jakże, czy bierzesz mnie za kretyna, matolka?

— Czy nie zechciałbyś mi dać jej fotografię?

Chciałem go prosić jedynie o pożyczanie. Ale w chwili, gdym mówił, ogarnął mnie lęk, prośba moja wydała mi się zbyt śmiała; aby tego nie okazać, sformułowałem ją brutalnie i wyolbrzymiłem ją jeszcze, tak jakby była zupełnie naturalna.

— Nie, musiałbym jej wprzód poprosić o pozwolenie — odparł.

Równocześnie zacerwienił się. Zrozumiałem, że nie mówi wszystkiego, że mnie posądza o to samo, że będzie wspomagał moją miłość jedynie w pewnej mierze, w granicach pewnych zasad, i zniechęcił się do mnie w tej chwili.

A mimo to byłem wzruszony, widząc, jak bardzo Robert jest inny w stosunku do mnie z chwilą, gdym nie był z nim sam i kiedy byli przy tym jego przyjaciele. Jego wzmożona uprzejmość byłaby mi obojętna, gdybym wiedział, że jest rozmyślna; ale czułem, że jest mimowolna, złożona jedynie ze wszystkiego, co musiał mówić o mnie w mojej nieobecności, a co krył w sobie, kiedy byliśmy sami. Wówczas niewątpliwie domyślałem się przyjemności, jaką mu sprawiała rozmowa ze mną, ale przyjemność ta pozostawała prawie zawsze niewyrażona. Teraz przy tych samych moich powiedzeniach, jakimi się delectował zazwyczaj, nie okazując tego, zerkał spod oka na przyjaciół, badając, czy robię efekt, na który liczył i który miał odpowiadać jego zapowiedziom. Matka debiutantki nie z większą uwagą śledzi grę córki i wrażenia publiczności. Kiedym powiedział coś, z czego, gdybyśmy byli sami, tylko by się uśmiechnął, wołał: „Jak, jak?”, aby mnie zmusić do powtórzenia i ściągnąć uwagę. I obracając się do innych, patrząc na nich ze szczerym śmiechem i mimo woli prowokując ich śmiech, pierwszy raz zdradzał przede mną pojęcie, jakie miał o mnie i jakim musiał się często dzielić z kolegami. Tak iż spostrzegłem nagle samego siebie z zewnątrz, jak ktoś, kto wyczyta swoje nazwisko w dzienniku lub ujrzy się w lustrze.

Zdarzyło mi się pewnego wieczoru, że chciałem opowiedzieć dosyć komiczną historijkę o pani Blandais, ale zatrzymałem się natychmiast, przypomniałszy sobie, że Saint-Loup już zna tę historię i że kiedym mu ją chciał opowiedzieć nazajutrz po przybyciu, przerwał mi, mówiąc: „Opowiadałeś mi to już w Balbec”. Zdziwiłem się tedy, widząc, że Saint-Loup zachęca mnie, abym mówił dalej, zapewniając, że nie zna tej historijki i że bardzo by go zabawiła. Rzekłem:

— Musiałeś zapomnieć na chwilę, ale zaraz zobaczysz, że znasz.

— Ale nie, przysięgam, że ci się pomyliło. Nigdyś mi tego nie opowiadał. Jedź.

I przez cały ciąg anegdoty wlepił gorączkowo zachwycone oczy to we mnie, to w kolegów. Dopiero kiedym skończył historijkę wśród powszechnego śmiechu, zrozumiałem,

¹⁰²gdybyśmy przeszli na „ty”? — brak polskiego odpowiednika do francuskiej formy *vous* sprawił, iż tłumacz już wcześniej pozwolił się tym młodym ludziom „tykać”. Kazać im być z sobą tak długo na „pan” byłoby zbyt sztuczne. [przypis tłumacza]

¹⁰³radość, ły radości, nieznanne szczęście — słynny cytat z *Mysli* Pascala. [przypis tłumacza]

że on pomyślał, iż ona da wysokie pojęcie o mnie jego przyjaciółom i dlatego udał, że jej nie zna. To jest przyjaźń!

Trzeciego wieczora jeden z jego przyjaciół, z którym nie miałem sposobności mówić dotąd, rozmawiał ze mną bardzo długo; słyszałem później, jak półgłosem wyrażał Robertowi przyjemność, jaką w tym znalazł. W istocie, przegadaliśmy prawie cały wieczór przy stojących przed nami i zapomnianych kieliszkach sauternes¹⁰⁴, odcięci od innych, chronieni od nich przez wspaniałe zasłony jednej z owych wzajemnych męskich sympatii, które kiedy nie mają źródła w pociągu fizycznym, są jedynym rodzajem sympatii zupełnie tajemniczej. Tak samo zagadkowe wydawało mi się w Balbec uczucie, jakie żywił dla mnie Saint-Loup, niepokrywające się z przyjemnością naszych rozmów, oderwane od wszelkich węzłów materialnych, niewidzialne, niedotykalne, którego obecność jednak odczuwał w sobie samym niby rodzaj fluidu, gazu, na tyle, aby o nim mówić z uśmiechem. A może było coś jeszcze bardziej zdumiewającego w tej sympatii, zrodzonej tutaj w ciągu jednego wieczoru, niby kwiat rozwity w ciągu kilku minut w upale tego pokoiku.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie spytać Roberta, kiedy wspomniał o Balbec, czy to jest naprawdę postanowione, że on się żeni z panną d'Ambresac. Odpowiedział, że nie tylko nie jest postanowione, ale nigdy nie było nawet o tym mowy, nie widział tej panny na oczy, nie wie, kto to jest. Gdybym spotkał w tej chwili kogoś z tych, co mi mówili o jego małżeństwie, oznajmiłby mi związek panny d'Ambresac z kimś innym niż pan de Saint-Loup, i pana de Saint-Loup z kimś innym niż panna d'Ambresac. Bardzo bym ich zdziwił, przypominając im odmienne proroctwa, jeszcze tak świeże! Iżby ta niewinna zabawa mogła trwać i mnożyć fałszywe nowiny, piętrząc ich maksymalną ilość przy każdym nazwisku, natura dała amatorom tej zabawy pamięć tym krótszą, im łatwo wierność ich jest większa.

Saint-Loup mówił mi o innym z kolegów, również obecnym, z którym czuł się szczególnie blisko, bo byli w tym środowisku jedynymi zwolennikami rewizji procesu Dreyfusa¹⁰⁵.

— Och! on, to nie jak Saint-Loup, to fanatyk! — rzekł do mnie mój nowy przyjaciel. — On nie jest nawet szczerzy. W początkach powiadał mi: „Trzeba tylko czekać, jest tam w sztabie człowiek, którego znam dobrze, subtelny, zacny, generał de Boisdefre¹⁰⁶; będzie można bez zastrzeżeń polegać na jego opinii”. Ale kiedy się dowiedział, że Boisdefre wierzy w winę Dreyfusa, już Boisdefre był niczym; klerykalizm (powiadał), sztabowe uprzedzenia nie pozwalają mu sądzić szczerze — mimo że nikt nie był równie klerykalny przed Dreyfusem jak nasz przyjaciel! Wówczas oświadczył mi, że w każdym razie będzie się wiedziało prawdę, bo sprawa jest w rękach Saussiera¹⁰⁷ i że ten republikański żołnierz (nasz przyjaciel jest z rodziny ultramonarchistycznej) to jest człowiek z brązu, sumienie nieugięte. Ale kiedy Saussier obwieścił niewinność Esterhazego¹⁰⁸, nasz kolega znalazł nowe komentarze do tego werdyktu, potępiające nie Dreyfusa, ale generała Saussier. Powiadał, że to duch militarystyki zaślepił Saussiera (a niech pan zważy, że on

¹⁰⁴*sauternes* (wym.: sotern) — białe półsłodkie wino z francuskiego regionu o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Dreyfus, Alfred* (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowany w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Boisdefre, Raoul Le Mouton de* (1839–1919) — francuski generał, szef Sztabu Generalnego w czasie sprawy Dreyfusa; na procesie Émile'a Zoli (1898) powołał się na istnienie dodatkowego dokumentu obciążającego Dreyfusa; kiedy później ujawniono, że dokument ten był fałszerstwem spreparowanym przez oficera wywiadu francuskiego, Boisdefre podał się do dymisji i wycofał z życia publicznego. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Saussier, Félix Gustave* (1828–1905) — francuski generał; w 1894 jako gubernator Paryża wydał rozkaz przeprowadzenia śledztwa w sprawie wykrytego szpiegostwa, co rozpoczęło sprawę Dreyfusa. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Esterhazy, Ferdinand Walsin* (1847–1923) — major armii francuskiej, szpiegujący na rzecz Niemiec. W 1894 jego działania zostały wykryte, ale oskarżony o nie został zupełnie niewinny oficer, Alfred Dreyfus. Kiedy w 1896 odkryto dowody świadczące, że za szpiegostwo odpowiadał Etherhazy, władze wojskowe usiłowały nie dopuścić do ich ujawnienia, następnie rozdzielono sprawy obu oficerów i w styczniu 1898 postawiono Etherhazego przed tajnym sądem wojskowym, który po kilku minutach narady go uniewinnił. Doprowadziło to do nagłośnienia afery w prasie, w liście otwartym Émile'a Zoli podpisanym przez setki intelektualistów. W sierpniu 1898 Esterhazy wyjechał do Londynu, gdzie aż do śmierci był korespondentem antysemitycznej gazety „La Libre Parole”. [przypis edytorski]

sam jest zarówno militarystą, jak klerykałem, lub raczej był, bo nie wiem już teraz, co o nim sądzić). Rodzina jest w rozpacz, że on ma te poglądy.

— Widzisz — rzekłem, zwracając się na wół do Roberta, aby się nie zdawało, że się izoluję, a zarazem do jego kolegi, aby go wciągnąć do rozmowy — że wpływ, jaki przypisujemy środowisku, jest zwłaszcza prawdą w stosunku do środowiska intelektualnego. Jest się człowiekiem swojej idei; że zaś jest o wiele mniej idei niż ludzi, wszyscy ludzie jednej idei są do siebie podobni. Ponieważ idea nie ma nic materialnego, ludzie, którzy otaczają człowieka danej idei jedynie materialnie, nie zmieniają jej w niczym.

Saint-Loup nie zadowolił się tym skojarzeniem. W szale radości, zdwojonej niechybnie zadowoleniem, że mi dał sposobność błysnięcia w oczach kolegów, powtarzał nerwowo, pieszcząc mnie niby konia, który pierwszy przyszedł do mety:

— Ty jesteś najinteligentniejszy człowiek, jakiego znam, wiesz! — Poprawił się i dodał: — Obok Elstira. To cię nie drażni, prawda? Rozumiesz: ścisłość. Porównanie: mówię tak, jakby ktoś powiedział Balzacowi¹⁰⁹: jesteś największy powieściopisarz epoki obok Stendhala¹¹⁰. Nadmiar skrupułu, rozumiesz; w gruncie bezgraniczny podziw. Nie? nie piszesz się na Stendhala? — dodał z naiwną wiarą w mój sąd, wyrażającą się uroczym, uśmiechniętym, prawie dziecinnym pytaniem jego zielonych oczu. — Och, tak, widzę, że jesteś mojego zdania. Bloch nie cierpi Stendhala, dla mnie to jest idiotyczne. *Pustelnia* to jednak jest niesłychane, co? Cieszę się, że jesteś mojego zdania. Co ty najbardziej kochasz w *Pustelni*, powiedz — nacierał z młodzieńczym impetem, przy czym groźna siła fizyczna Roberta dawała coś niemal przerażającego jego pytaniu — Mosca, Fabrycy?

Odpowiedziałem nieśmiało, że Mosca ma coś z pana de Norpois. Na to burza śmiechu młodego Zygryfda-Saint-Loup. Nie dokończyłem jeszcze słów: „Ale Mosca jest o wiele inteligentniejszy, mniejszy pedant”, kiedy już Robert krzyczał brawo, klaszcząc z całych sił w ręce, dusząc się ze śmiechu i wołając: „Kapitalne! Trafione w centrum! Bajeczny jesteś”.

W tej chwili Saint-Loup przerwał mi, bo jeden z młodych wojskowych wskazał na mnie, mówiąc do Roberta: „Duroc. Całkiem Duroc”. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, ale czułem, że wyraz onieśmielonej twarzy był więcej niż życzliwy. Kiedy mówiłem, nawet uznanie innych zdawało się Robertowi czymś zbyt cennym, żądał milczenia. I jak dyrygent przerywa muzykantom uderzeniem smyczka z powodu jakiegoś szmeru, tak on zganiał przerywającego:

— Gibergue — rzekł — trzeba umieć być cicho, kiedy ktoś mówi. Powiesz później. No, mów dalej — rzekł do mnie.

Odetchnąłem, bo już się bałem, że mi każe wszystko zacząć na nowo.

— Że zaś — ciągnąłem dalej — idea jest rzeczą niemogącą uczestniczyć w ludzkich interesach i niezdolną dzielić ich korzyści, interes nie ma wpływu na ludzi idei.

— Słuchajcie, dzieci, to człowiek dębieje po prostu! — wykrzyknął Saint-Loup, kiedy skończył mówić. Śledził mnie oczami z tą samą niespokojną bacznością, co gdybym szedł po wyciągniętej linii. — Coś ty chciał powiedzieć, Gibergue?

— Powiadałem, że pan mi bardzo przypomina majora Duroc. Miałem wrażenie, że jego słyszę.

— Ależ i mnie to często przychodziło na myśl — odparł Saint-Loup. — Jest wiele podobieństwa, ale zobaczcie, że on ma tysiąc rzeczy, których nie ma Duroc.

Tak samo jak brat owego przyjaciela Roberta, uczeń Schola Cantorum¹¹¹, miał o wszelkim nowym dziele muzycznym sąd zgoła nie taki jak jego ojciec, matka, kuzyni, koledzy z klubu, ale ściśle taki jak wszyscy inni uczniowie Schola, tak samo ów arystokratyczny sierżant (o którym Bloch — kiedy mu o nim mówiłem — powziął niezwykle pojęcie, ponieważ, wzruszony wiadomością, że należy do tego samego stronnictwa co on, wyobrażał go sobie z powodu jego arystokratycznego pochodzenia oraz religijnego i wojskowego

¹⁰⁹Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

¹¹⁰Stendhal, właśc. *Marie-Henri Beyle* (1783–1842) — francuski pisarz epoki romantyzmu, prekursor realizmu w literaturze; twórca doskonałych portretów psychologicznych bohaterów i analiz ich namiętności na tle społeczno-obyczajowym; jego najslawniejsze powieści to *Czerwone i czarne* (1830) oraz *Pustynia parmeńska* (1839), opowiadająca dzieje młodego mediolańskiego szlachcica Fabrycego del Dongo. [przypis edytorski]

¹¹¹*Schola Cantorum* (łac.: Szkoła Śpiewaków) — tu: Schola Cantorum de Paris, prywatna uczelnia muzyczna w Paryżu, zał. w 1896, kładąca nacisk na kultywowanie dawnej muzyki francuskiej. [przypis edytorski]

wychowania możliwie najodmienniejszym, strojnym w ten sam urok co mieszkańiec dalekiego kraju) miał „mentalność” (jak zaczynało się mówić) analogiczną do wszystkich dreyfusistów w ogólności, a Blocha w szczególności; mentalność, na którą nie mogły mieć żadnego wpływu tradycje rodzinne i względy kariery. Podobnie kuzyn Roberta de Saint-Loup ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała — powiadano — wiersze równie piękne jak wiersze Wiktora Hugo¹¹² lub Alfreda de Vigny¹¹³, a której mimo to przypisywano umysłowość inną niż to, co można było sobie wyobrazić, duszę księżniczki Wschodu zamkniętej w pałacu z *Tysiąca i jednej nocy*. Pisarze, którzy mieli szczęście zbliżenia się do niej, doznawali zawodu lub raczej radości, stwierdzając, że jej rozmowa daje pojęcie nie Szeherezady¹¹⁴, ale istoty pokrewnej duchem Alfredowi de Vigny lub Wiktorowi Hugo¹¹⁵.

Lubiłem zwłaszcza rozmawiać z tym młodym człowiekiem, jak zresztą z innymi kolegami Roberta i z samym Robertem, o koszarach, o oficerach pułku, o armii w ogóle. Dzięki tej olbrzymio powiększonej skali, w jakiej widzimy rzeczy bodaj najmniejsze, pośród których jemy, rozmawiamy, wiemy realne życie, dzięki tej straszliwej zwyzce, jakiej one ulegają i która sprawia, iż nieobecna reszta świata nie może z nimi walczyć i staje się przy nich jak gdyby nikłym snem, zacząłem się interesować rozmaitymi dygnitarzami koszar, oficerami, których widywałem w dziedzińcu, kiedy zachodził do Roberta lub — o ilem się zbudził — kiedy pułk przechodził pod moimi oknami. Byłbym chciał wiedzieć coś więcej o majorze, którego tak podziwiał Saint-Loup, i o jego kursie historii wojen, który by mnie zachwycił „nawet estetycznie”. Wiedziałem, że Robert ma skłonność do werbalizmu¹¹⁶, który bywał nieco czczy, ale innym razem znamionował proces przyswajania sobie głębokich myśli, które bardzo był zdolny ogarnąć. Na nieszczęście, z punktu widzenia wojskowości, Roberta pochłaniała w tej chwili zwłaszcza sprawa Dreyfusa. Mówił o niej mało, bo on jeden przy tym stole był dreyfusistą; inni byli gwałtownymi przeciwnikami rewizji, wyjąwszy mego sąsiada przy stole, mego nowego przyjaciela, którego poglądy zdawały się dość niezdecydowane. Gorący entuzjasta swego pułkownika, który uchodził za wybitnego oficera, a który w licznych rozkazach dziennych napiętnował agitację przeciw armii, dzięki czemu uchodził za antydreyfusistę, sąsiad mój dowiedział się o paru jego enuncjacjach¹¹⁷, dających do myślenia, że pułkownik ma wątpliwości co do winy Dreyfusa i że zachował szacunek dla Picquarta¹¹⁸. Bądź jak bądź, co do tego ostatniego punktu pogłoski o względnym dreyfusizmie pułkownika były niecisłe, jak wszystkie pogłoski pochodzące nie wiadomo skąd, które się rodzą dokoła wszelkiej takiej „wielkiej sprawy”. Bo wkrótce potem, pułkownik ów, mając poruczone przesłuchanie eks-szefa biura wywiadowczego, potraktował go z bezgraniczną wzdargą i brutalnością. Jak bądź się rzeczy miały i mimo iż niepodobna byłoby zasięgnąć wiadomości u pułkownika wprost, sąsiad mój miał tę uprzejmość, aby powiedzieć Robertowi — tonem, jakim dama katoliczka oznajmia damie żydówce, że jej proboszcz potępia pogromy Żydów w Rosji oraz podziwia szlachetność pewnych Izraelitów — że pułkownik nie jest owym fanatycznym, ciasnym przeciwnikiem dreyfusizmu — pewnego dreyfusizmu przynajmniej — za jakiego go przedstawiano.

¹¹²Hugo, Victor (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg, czołowy przedstawiciel romantyzmu francuskiego. [przypis edytorski]

¹¹³Vigny, Alfred de (1797–1863) — poeta, dramaturg i powieściopisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

¹¹⁴Szeherezada — bohaterka *Księgi tysiąca i jednej nocy*, żona sultana, która co noc opowiadała mężowi kolejną historię, przerywając opowieść w najciekawszym momencie, aby odwlec niezasłużoną karę śmierci. [przypis edytorski]

¹¹⁵ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała (...) wiersze... — mowa o sławnej poetce francuskiej, hr. Annie de Noailles (z pochodzenia Rumunce) zaprzyjaźnionej z Proustem. Proust lubi czasem wprowadzać autentyczne osoby w fikcję swego opowiadania. [przypis tłumacza]

¹¹⁶werbalizm — pustosłowic, wypowiedź zawierająca wiele słów, lecz niewiele istotnej treści, sprawiająca pozory obszernej informacji lub argumentacji za daną tezę. [przypis edytorski]

¹¹⁷enuncjacja — wypowiedź, oświadczenie. [przypis edytorski]

¹¹⁸Picquart, Georges (1854–1914) — francuski oficer i minister wojny; znany przede wszystkim ze związku z aferą Dreyfusa: w 1896, służąc w wywiadzie wojskowym, odkrył, że przypisywane Dreyfusowi pismo do ambasady niemieckiej, stanowiące koronny dowód w sprawie, zostało sporządzone przez współpracującego z Niemcami majora Ferdinanda Walsina Esterhazyego; został oskarżony o wymuszenie zeznań Esterhazyego, po uniewinnieniu Dreyfusa w 1906 awansowany na stopień generała brygady; w latach 1906–1909 był ministrem wojny. [przypis edytorski]

— To mnie nie dziwi — rzekł Saint-Loup — bo to jest człowiek inteligentny. Ale mimo wszystko przesady rodowe, a zwłaszcza klerykalizm zaślepiają go. Och! — rzekł do mnie — major Duroc, profesor historii wojen, o którym ci mówiłem, oto człowiek, który, zdaje się, całkowicie podziela nasze przekonania. Zresztą dziwiłbym się, gdyby było inaczej; bo to jest nie tylko wspaniała inteligencja, ale socjalista-radykał i wolnomularz.

Zarówno przez uprzejmość dla jego przyjaciół, którym dreyfusistowskie enuncjacje Roberta były przykre, jak dlatego, że inne rzeczy bardziej mnie interesowały, spytałem sąsiada, czy prawdą jest, że ów major zrobił z historii wojen konstrukcję o prawdziwie estetycznym pięknie.

— Absolutna prawda — odparł.

— Ale co pan pod tym rozumie?

— Och, na przykład: wszystko, co pan czyta — mam na myśli opowiadanie operacji wojennych — najdrobniejsze fakty, najmniejsze wydarzenia, to są tylko znaki idei, którą trzeba wyłuskać i która często kryje inne, jak w palimpseście¹¹⁹. Tak iż całość staje się równie intelektualna jak w jakiegokolwiek innej nauce lub sztuce i daje umysłowi pełne zadowolenie.

— Czy wolno mi prosić o przykład?

— Trudno ci to tak uprzytomnić — przerwał Saint-Loup. — Czytasz na przykład, że taki a taki korpus podjął... Zanim się pójdzie dalej, nazwa korpusu, jego skład, nie są bez znaczenia. Jeżeli operację podjęto nie po raz pierwszy i jeżeli dla tej samej operacji widzimy zjawiający się inny korpus, to może być oznaką, że poprzednie korpusy zostały unicestwione lub mocno uszkodzone rzezoną operacją, że nie są już w stanie doprowadzić jej do skutku. Otóż trzeba się wywiedzieć, co to był za korpus dziś zniesiony; jeżeli to były wojska szturmowe, zachowane w rezerwie dla potężnych ataków, nowy korpus niższej jakości mało ma szans powodzenia tam, gdzie się tamtym nie udało. Co więcej, jeżeli to nie jest z początkiem kampanii, ten nowy korpus może być sklecony z kawałków, co może dostarczyć wskazówek co do sił, jakimi rozporządza jeszcze strona wojująca, co do bliskości momentu, w którym te siły będą niższe od sił przeciwnika; wskazówki te znowu dadzą odmienny sens samej operacji, o którą ten korpus ma się pokusić, ponieważ jeżeli nie jest już w stanie uzupełnić swoich strat, nawet jego sukcesy muszą go doprowadzić — matematycznie — do finalnego unicestwienia. Zresztą numer oznaczający korpus walczący po przeciwnej stronie ma nie mniejsze znaczenie. Jeżeli na przykład jest to jednostka bojowa o wiele słabsza i która już wchłonęła wiele poważnych jednostek nieprzyjaciela, sama operacja zmienia charakter, bo choćby się miała skończyć stratą pozycji, którą zajmował obrońca, utrzymanie jej przez jakiś czas może być wielkim sukcesem, o ile przy bardzo małych siłach wystarczyło, aby zniszczyć bardzo poważne siły przeciwnika. Rozumiesz, że jeżeli w analizie zmagających się korpusów można w ten sposób wyczytać doniosłe rzeczy, studium samej pozycji, dróg, kolei żelaznych będących w jej zakresie, aprowizacji, którą ona zabezpiecza, jest jeszcze ważniejsze. Trzeba studiować to, co nazwałbym całym kontekstem geograficznym — dodał, śmiejąc się. (I w istocie, Saint-Loup był taki rad z tej nazwy, że później za każdym razem, kiedy jej użył, nawet po upływie miesięcy, śmiał się tak samo). — Jeżeli czytasz, że podczas gdy jedna ze stron wojujących przygotowuje operację, jakiś jej patrol zniósł w okolicy druga strona wojująca, możesz stąd wyciągnąć wniosek, że jedna strona starała się zdać sobie sprawę z prac obronnych, jakimi druga zamierzała udaremnić atak. Szczególnie gwałtowna akcja na jakimś punkcie może oznaczać chęć zdobycia go, ale także chęć związania przeciwnika, niestawiania mu czoła tam, gdzie zaatakował, lub nawet może być jedynie fintą¹²⁰ i pod zdwójoną czynnością ukrywać wycofanie wojsk z tego punktu. (Klasyczna finta wojen napoleońskich). Z drugiej strony, aby zrozumieć znaczenie jakiegoś manewru, jego prawdopodobny cel i tym samym inne ruchy towarzyszące mu lub mające po nim nastąpić, ważne jest śledzić nie tyle to, co zapowiada rozkaz (a co może mieć na celu oszukanie przeciwnika, zamaskowanie możliwej porażki), ile reguły wojskowe danego kraju. Zawsze godzi się przypuszczać, że manewr zamierzony przez daną armię jest właśnie tym, jaki przepisywał w podobnych okolicznościach obowiązujący regulamin.

¹¹⁹palimpsest — rękopis spisany na używanym już wcześniej materiale piśmiennym, z którego usunięto poprzedni tekst, częściowo jednak jest on możliwy do odczytania. [przypis edytorski]

¹²⁰finta (daw.) — fortel, podstęp. [przypis edytorski]

Jeżeli na przykład regulamin zaleca, aby atakowi frontowemu towarzyszył atak z flanki, jeżeli po załamaniu się tego ataku z flanki dowództwo powiada, że on był bez związku z pierwszym i był jedynie dywersją, bardzo prawdopodobnie istoty rzeczy należy szukać w regulaminie, nie zaś w oświadczeniach dowództwa. A istnieją nie tylko regulaminy każdej armii, ale ich tradycje, ich zwyczaje, zasady. Studium równoczesnej akcji dyplomatycznej, jej wpływ na akcję wojenną lub zależność od niej, również zasługuje na baczną uwagę. Incydenty pozornie nieznaczące, w swoim czasie źle zrozumiane, wytłumaczą ci, że nieprzyjaciel (licząc na pomoc, która, wnosząc z tych incydentów, zawiodła) wykonał faktycznie tylko część swojej strategicznej akcji. Tak iż jeżeli umiesz czytać historię wojen, to, co jest mętnym opowiadaniem dla zwykłego czytelnika, dla ciebie jest łańcuchem równie racjonalnym jak obraz dla znawcy, który umie dostrzec, co jakaś osoba ma na sobie, co trzyma w rękach, gdy oszołomiony zwiedzacz muzeum dostaje kręcka w głowie i migreny od gry kolorów. Ale jak przy pewnych obrazach, gdzie nie wystarczy zauważyć, iż osoba jakaś trzyma kielich, ale trzeba wiedzieć, czemu malarz włożył jej w ręce kielich, co tym symbolizuje, tak te operacje wojenne, nawet poza ich bezpośrednim celem, są zazwyczaj w myśli dowodzącego generała skopiowane z dawniejszych bitew, które są, powiedzmy, niby przeszłość, niby biblioteka, erudycja, etymologia, arystokracja nowych bitew. Zauważ, że ja nie mówię w tej chwili o identyczności lokalnej — powiedziałbym przestrzennej — bitew. Ta istnieje również. W ciągu wieków pole bitwy było lub będzie polem nie tylko jednej bitwy. Jeżeli było polem bitwy, to dlatego, że łączyło pewne warunki topograficzne, nawet wady sposobne do sparaliżowania nieprzyjaciela (na przykład rzeka przecinająca je na dwoje), które uczyniły z niej dobre pole bitwy. Dlatego było nim i będzie. Nie zrobi się pracowni malarskiej z byle jakiego pokoju, nie zrobi się pola bitwy z byle jakiej okolicy. Są miejsca predestynowane. Ale jeszcze raz powtarzam, nie o tym mówiłem, ale o typie bitwy, który się naśladowuje; o rodzaju strategicznej odbitki, taktycznego pastiszu, jeżeli wolisz; bitwa pod Ulm, pod Lodi, pod Lipskiem, pod Kannami. Nie wiem, czy będą jeszcze wojny i między jakimi narodami; ale jeżeli będą, bądź pewien, że będą (i to z całą świadomością wodza) Kanny, Austerlitz, Rosbach, Waterloo, nie mówiąc o innych. Niektórzy mówią to wręcz, bez ceremonii. Marszałek von Schieffer i generał von Falkenhausen zawczasu przygotowali przeciw Francji bitwę pod Kannami¹²¹, w guście Hannibala, z unieruchomieniem przeciwnika na całym froncie i posuwaniem się dwoma skrzydłami, zwłaszcza prawym przez Belgię, gdy Bernhardi woli skośny szyk Fryderyka Wielkiego, raczej Leuthen¹²² niż Kanny. Inni wyrażają swoje poglądy mniej jasno, ale ręczę ci, mój stary, że Beauconseil, ten szef szwadronu, któremu cię przedstawiłem kiedyś, oficer z wielką przyszłością, wystudiował swój atak pod Pratzen¹²³, zna go na wylot, trzyma go w rezerwie i jeżeli kiedy będzie go miał sposobność wykonać, nie spartoli go i pokaże go nam ekstrasfajny. Atak na centrum pod Rivoli¹²⁴ powtórzy się jeszcze, o ile będą wojny. Tak samo się nie zestarzał, jak się nie zestarzała *Iliada*. Dodam, że jesteście niemal skazani na ataki czołowe, bo nie chcemy powtórzyć błędu z roku 1870¹²⁵. Ofen-

¹²¹bitwa pod Kannami (2 sierpnia 216 p.n.e.) — kluczowe starcie między Kartagimą a Republiką Rzymską podczas II wojny punickiej, stoczone w pobliżu wioski Kanny (łac. Cannae) w płd. Italii; dowodzone przez Hannibala wojska kartagińskie okrzyły, a następnie unicestwiły większą armię rzymską; uważana za jedno z największych osiągnięć taktycznych w historii wojskowości, była jedną z największych klęsk militarnych w całej historii Rzymu (zginęło w niej 60 tys. żołnierzy rzymskich). [przypis edytorski]

¹²²bitwa pod Leuthen, pol.: bitwa pod Lutynią (5 grudnia 1757) — stoczona w trakcie wojny siedmioletniej w okolicy wsi Lutynia na Dolnym Śląsku, pomiędzy armią Prus dowodzoną przez Fryderyka II Wielkiego a dwukrotnie liczniejszą armią Austrii pod dowództwem Karola Lotaryńskiego; zakończona wielkim zwycięstwem wojsk pruskich dzięki atakowi na wroga z boku tzw. szykiem skośnym, używanym w starożytności przez Tebańczyków. [przypis edytorski]

¹²³Pratzen — tu: Wzgórze Pratzen w pobliżu Austerlitz (ob. Sławków w Czechach), odegrały ważną rolę 2 grudnia 1805, podczas jednej z kluczowych bitew wojen napoleońskich, w której armia Napoleona pokonała liczniejsze wojska austriacko-rosyjskie. [przypis edytorski]

¹²⁴bitwa pod Rivoli (14–15 stycznia 1797) — starcie zbrojne pomiędzy republikańską armią francuską dowodzoną przez Napoleona Bonaparte'a a cesarskimi wojskami austriackimi pod dowództwem Josepha Alvinczy'ego; zakończona decydującym zwycięstwem Bonaparte'go, które umożliwiło Francuzom całkowite zajęcie północnej Italii. [przypis edytorski]

¹²⁵błąd z roku 1870 — w wojnie francusko-pruskiej, w bitwie pod Gravelotte (18 sierpnia 1870) francuski marszałek François Achille Bazaine mimo przewagi na polu bitwy nie podjął decyzji o ataku na wyczerpane wojska pruskie i wycofał się do Metz, co doprowadziło do okrążenia jego armii; spiesząca jej na pomoc druga, stutysięczna armia francuska została okrążona w bitwie pod Sedanem (1–2 września 1870), wskutek czego

sywa, tylko ofensywa. Jedynie zacofańcy sprzeciwiają się tej wspaniałej teorii; mimo to niepokoi mnie, że jeden z moich młodszych mistrzów, człowiek wręcz genialny, Mangin¹²⁶, żąda, aby zostawić miejsce — prowizoryczne oczywiście — defensywie. Bardzo mu trudno coś odpowiedzieć, kiedy cytuje jako przykład Austerlitz¹²⁷, gdzie obrona jest jedynie wstępem do ataku i zwycięstwa.

Te teorie Roberta zachwyciły mnie. Budziły we mnie nadzieję, że ja w tym życiu w Doncières, w stosunku do wszystkich tych oficerów, o których słuchałem rozmów, popijając sauternes rzucające na nich swój uroczy refleks, nie padam może ofiarą tego samego „zbliżenia”, które tak mi powiększyło, dopóki byłem w Balbec, króla i królowę Oceanii, kółko czworga smakoszy, młodego gracza, szwagra pana Legrandin, teraz zmalanych w moich oczach wręcz do nieistnienia. To, co mi się podoba dziś, nie stanie mi się może jutro obojętne, jak mi się to zawsze zdarzało dotąd; istota, którą jestem jeszcze w tej chwili, nie jest może skazana na bliskie zniweczenie, skoro do żarliwej i przelotnej pasji, jaką w ciągu tych kilku wieczorów wkładałem we wszystko, co tyczy życia wojskowego, to, co mi mówił przed chwilą Saint-Loup w przedmiocie strategii, przydawało treść intelektualną, trwałą, zdolną mnie przywiązać na tyle silnie, abym mógł uwierzyć, nie starając się oszukać samego siebie, że wyjechawszy stąd, będę się nadal interesował pracami swoich przyjaciół z Doncières i że nie omieszkam tu wrócić. Ale aby się tym bardziej upewnić, że sztuka wojenna jest w istocie sztuką w duchowym znaczeniu słowa, rzekłem do Roberta:

— Interesuje mnie pan, przepraszam, interesujesz mnie bardzo; ale, powiedz, jedno mnie w tym niepokoi. Czuję, że mógłbym się pasjonować sztuką wojenną, ale trzeba by na to, aby mi się nie wydawała tak odmienna od innych sztuk, aby wyuczona reguła nie była w niej wszystkim. Powiadasz, że się kopiuje bitwy. To mi się wydaje w istocie artystyczne, widzieć, jak powiadasz, pod bitwą nowoczesną inną bitwę dawniejszą; nie umiem ci powiedzieć, jak mi się ta idea podoba. Ale w takim razie, czy geniusz wodza jest niczym? Czy doprawdy on tylko stosuje reguły? Lub też — przyjąwszy równy zasób wiedzy — czy istnieją wielcy wodzowie jak są wielcy chirurdzy, którzy przy materialnie równych danych dwóch stanów chorobowych czują jednak z jakiegoś drobiazgu, może stworzonego ich doświadczeniem, ale zinterpretowanego przez nich, że w danym wypadku zachodzi raczej to, w innym co innego, że w jednym wypadku raczej trzeba operować, w innym zaniechać operacji?

— Ależ oczywiście! Ujrzyś Napoleona, jak nie atakuje, mimo iż wszystkie reguły żądałyby tego, kiedy tajemne przecucie odradza mu atak. Weź na przykład Austerlitz lub w roku 1806 jego instrukcje dane generałowi Lannes¹²⁸. Ale zobaczysz, jak jakiś generał naśladuje po szkolarSKU¹²⁹ manewr Napoleona i osiąga wręcz przeciwny rezultat. Jest tego z dziesięć przykładów w roku 1870. Ale nawet dla interpretacji tego, co *może* zrobić przeciwnik, to, co robi jest tylko symptomem zdolnym oznaczać wiele rozmaitych rzeczy. Każda z tych rzeczy ma równe szanse prawdy, jeżeli się ograniczyć do rozumowania i wiedzy, tak samo jak w pewnych skomplikowanych wypadkach cała wiedza lekarska świata nie wystarczy, aby rozstrzygnąć, czy niewidoczny guz jest natury włóknistej czy nie i czy należy operować. Po prostu węch, jasnowidzenie w rodzaju pani de Thèbes¹³⁰ (rozumiesz mnie?) rozstrzygają u wielkiego wodza, jak u wielkiego lekarza. I tak, mówiłem ci — aby

cesarz Napoleon III skapitulował i oddał się wraz z armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki. [przypis edytorski]

¹²⁶Mangin, Charles (1866–1925) — generał francuski. [przypis edytorski]

¹²⁷bitwa pod Austerlitz (2 grudnia 1805) — jedna z najważniejszych bitew wojen napoleońskich, stoczona między dowodzoną przez cesarza Napoleona Bonaparte'go francuską Wielką Armią a znacznie większą od niej, połączoną armią austriacko-rosyjską; dzięki doskonałej taktyce Napoleona zakończona wielkim zwycięstwem armii francuskiej; po klęsce pod Austerlitz Austria poprosiła o zawarcie pokoju, koalicja antyfrancuska rozpadła się. [przypis edytorski]

¹²⁸Lannes, Jean (1769–1809) — francuski wojskowy, marszałek cesarstwa (od 1804); w bitwie pod Austerlitz dowodził lewym skrzydłem armii francuskiej; odznaczył się przeprowadzeniem swoich korpusów przez Las Turyński i wygraną bitwą pod Saalfeld; w bitwie pod Jeną (14 października 1806) na rozkaz Napoleona przesunął swój korpus, aby uratować zagrożony korpus marszałka Ney'a. [przypis edytorski]

¹²⁹po szkolarSKU (lekcew.) — opierając się na uproszczonych, szkolnych formułkach. [przypis edytorski]

¹³⁰Madame de Thèbes (pseud.), właśc. Anne Victorine Savigny (1845–1916) — francuska jasnowidząca i chiromantka (tj. czytająca z linii papilarnych dłoni); co roku publikowała swoje wróżby w specjalnym almanachu, cieszącym się dużym powodzeniem; miała przewidzieć m.in. wojnę burską, wojnę rosyjsko-japońską oraz I wojnę światową. [przypis edytorski]

ci dać jakiś przykład — co może znaczyć rekonesans z początkiem bitwy. Ależ on może znaczyć dziesięć innych rzeczy! Na przykład wmówić w przeciwnika, że go chcemy atakować na jakimś punkcie, podczas gdy go chcemy atakować na innym; stworzyć zasłonę, która mu nie pozwoli dojrzeć przygotowań do rzeczywistej akcji; zmusić go do skupienia wojsk, do ustalenia ich, do unieruchomienia ich w innej okolicy niż tam, gdzie są potrzebne; zdać sobie sprawę z sił, jakimi rozporządza, zmacać go, zmusić, aby odkrył karty. Czasami nawet fakt, że się angażuje w jakąś akcją ogromne siły, nie jest dowodem, że ta właśnie akcja jest istotna; można ją bowiem wykonać na dobre, mimo że jest tylko fantą, po to, aby ta finta miała więcej szans oszukania. Gdybym miał czas opowiedzieć ci z tego punktu wojny Napoleona, zapewniam cię, że te proste, klasyczne ruchy, które my studiujemy, a które zobaczysz w praktyce w czasie ćwiczeń — spacerkiem, spacerkiem, ty świnko; nie, ja wiem, że ty jesteś chory, przepraszam cię! — otóż w czasie wojny, kiedy się czuje poza tym wszystkim czujność, myśl i głębokie kalkulacje sztabu, człowiek jest wzruszony wobec tych obrotów jak wobec prostego światła latarni morskiej, światła przenikającego przestrzeń, aby ostrzec okręty przed niebezpieczeństwem. Żle może robię, że ci mówię o wojnie jedynie literacko. W rzeczywistości, jak właściwości gruntu, kierunek wiatru i światła wskazują, w którą stronę będzie rosło drzewo, tak samo warunki, w jakich się odbywa kampania, właściwości okolicy, gdzie się operuje, narzucają poniekąd i ograniczają plany, między którymi wódz może wybierać. Tak iż u stóp gór, w układzie dolin, na danej równinie możesz przepowiedzieć ruchy wojsk niemal z nieuchronnością i wspaniałym pięknem lawiny.

— Odrzucasz teraz wolny wybór u wodza, intuicję u przeciwnika starającego się przyniknąć jego plany, wszystko, coś mi przyznawał przed chwilą?

— Ależ bynajmniej! Przypominasz sobie to filozoficzne dzieło, które czytaliśmy razem w Balbec: bogactwo świata możliwości w stosunku do świata rzeczywistego. Otóż tak samo jest w sztuce wojennej. W danej sytuacji następczą się na przykład cztery plany, między którymi wódz mógł wybierać, tak jak choroba może mieć rozmaite ewentualności, na które lekarz musi być przygotowany. I tu jeszcze słabość i wielkość ludzka stają się nowym źródłem niepewności. Bo przypuścmy, że wśród tych czterech planów przypadkowe racje (jako to: uboczne cele do osiągnięcia albo konieczność pośpiechu, albo braki aprowizacji) każą wodzowi wybrać plan pierwszy, mniej doskonały, ale w wykonaniu mniej kosztowny, szybszy i mający za teren okolicę sposobniejszą do wyżywienia armii. Może, zacząwszy od tego pierwszego planu (który nieprzyjaciel, zrazu niepewny, odcyfruje niebawem), nie móc go wykonać z powodu zbyt wielkich przeszkód (ja to nazywam: ryzyko zrodzone ze słabości ludzkiej); wówczas może go porzucić i próbować drugiego albo trzeciego, albo czwartego. Ale może się także zdarzyć, że próbował pierwszego — i oto co nazywam wielkością ludzką — jedynie przez fantę, aby związać przeciwnika i zaskoczyć go tam, gdzie się wróg nie spodziewał ataku. W ten sposób pod Ulm¹³¹ Mack, który oczekiwał nieprzyjaciela od zachodu, został otoczony od północy, gdzie się czuł bardzo bezpieczny. Mój przykład nie jest zresztą bardzo dobry. A Ulm jest raczej typem bitwy przez otoczenie, który powtórzy się w przyszłości. Jest nie tylko klasycznym przykładem, który generałowie będą naśladowali, ale formą poniekąd konieczną (konieczną między innymi, co pozostawia wybór, rozmaitość) jako typ krystalizacji. Ale wszystko to nie znaczy nic, bo rama jest bądź co bądź sztuczna. Wracam do naszego filozoficznego dzieła; to jest tak, jak zasady racjonalne albo prawa naukowe; rzeczywistość pokrywa się z tym mniej więcej, ale przypomnij sobie wielkiego matematyka Poincarégo¹³²: on nie jest pewny, czy matematyka jest ściśle dokładna. Co się tyczy samych reguł, o których ci mówiłem, mają one ostatecznie drugorzędne znaczenie; zresztą zmienia się je od czasu do czasu. I tak na przykład my, konnica, żyjemy *Shużbą w polu* z roku 1895, o której można powiedzieć, że jest przestarzała, skoro opiera się na starej i zużytej teorii, uważającej, iż walka kawalerii ma wyłącznie prawie działanie moralne, siłą przestraszenia, jaki atak budzi w nieprzyjacielu. Otóż najinteligentniejsi z naszych nauczycieli (co tylko może być naj-

¹³¹*bitwa pod Ulm* (16–19 października 1805) — stoczona w pld. Niemczech pomiędzy oddziałami francuskiej Wielkiej Armii, dowodzonej przez Cesarza Napoleona I, a siłami austriackimi, dowodzonymi przez gen. Karla Macka von Leibericha; zakończona zwycięstwem francuskim. [przypis edytorski]

¹³²*Poincaré, Henri Jules* (1854–1912) — wybitny francuski matematyk, zajmował się również fizyką teoretyczną, mechaniką nieba i filozofią nauki. [przypis edytorski]

lepszego w kawalerii, a zwłaszcza ów major, o którym ci mówiłem) sądzą przeciwnie, że rozstrzygać będzie szczerą bitwa, gdzie będzie się machało szablą i lancą i gdzie najcięższy będzie zwycięzcą nie tylko moralnie i siłą przestraszu, ale fizycznie.

— Saint-Loup ma słusznosc; prawdopodobne jest, że najbliższa *Śłużba w polu* będzie nosiła ślady tej ewolucji — rzekł mój sąsiad.

— Cieszę się z twojej aprobaty, bo twój sąd robi najwidoczniej na moim przyjacielu większe wrażenie od mojego — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup, czy że rodząca się sympatia między jego kolegą a mną drażniła go trochę, czy że rad był przez grzeczność uszyścić ją, stwierdzając ją tak oficjalnie. — A zresztą, może ja umniejszyłem ważność regulaminów. Zmienia się je niewątpliwie. Ale na razie one kształtują sytuację wojenną, plany bitwy i koncentracji. Jeżeli odbijają fałszywą koncepcję strategiczną, mogą być pierwszym źródłem klęski. Wszystko to jest dla ciebie trochę zbyt techniczne. W gruncie powiedz sobie, że ewolucję sztuki wojennej najbardziej przyspieszają same wojny. W czasie kampanii (jeżeli trwa dość długo) widzimy, jak jedna strona korzysta z lekcji, jakie jej dają sukcesy i błędy przeciwnika, jak udoskonala metody tego przeciwnika, który znowuż stara się iść dalej. Ale to jest przeszłość. Przy straszliwych postępach artylerii przyszłe wojny — o ile będą jeszcze wojny — będą tak krótkie, że nim się zdoła pomyśleć o tym, aby skorzystać z nauki, już będzie pokój.

— Nie bądź taki podejrzliwy — rzekłem do Roberta, odpowiadając na jego wycieczkę sprzed tych ostatnich słów. — Słuchałem cię dosyć żarliwie!

— Jeżeli zechcesz się nie dąsać i pozwolisz mi mówić — podjął przyjaciel Roberta — do tego, co powiedziałeś, dodam, że jeżeli bitwy powtarzają się i piętrzą na sobie, to nie tylko z racji umysłowości wodza. Może się zdarzyć, że błąd wodza (na przykład niedocenienie siły przeciwnika) przywiedzie go do żądania od swoich wojsk nadmiernych poświęceń; poświęceń, które pewne jednostki bojowe spełnią z zaparciem się siebie tak wzniosłym, że ich rola zrówna się z rolą innej danej jednostki w innej bitwie i obie będzie się cytowało w dziejach jako równoważne przykłady: aby się trzymać roku 1870, gwardia pruska pod Saint-Privat, turkosi¹³³ pod Froschwiller i pod Wissemburg.

— A, równoważne, bardzo ściśle! wybornie, ty jesteś inteligentny — rzekł Saint-Loup.

Nie byłem obojętny na te ostatnie przykłady, jak za każdym razem, kiedy pod szczególnym wskazywano mi ogólne prawo. Ale najbardziej interesował mnie geniusz wodza. Byłbym chciał sobie zdać sprawę, na czym on polega; w jaki sposób w danej okoliczności, gdzie wódz bez talentu nie mógłby się oprzeć przeciwnikowi, wziąłby się do rzeczy wódz genialny, aby ocalić zagrożoną bitwę, co — jak mówił Saint-Loup — było bardzo możliwe i czego dokonał Napoleon wiele razy. I aby zrozumieć, co to jest talent wojskowy, prosiłem o porównania między znanymi mi z nazwisk generałami; który z nich najbardziej ma naturę wodza, talenty taktyka. Zanudzałem swoich nowych przyjaciół; ale nie okazywali tego i odpowiadali mi z niestrudzoną dobrocią.

Czułem się oddzielony nie tylko od wielkiej mroźnej nocy, rozpościerającej się w dal, w której słyszeliśmy od czasu do czasu gwizd pociągu, wzmacniający jeszcze przyjemność, że jestem tutaj, lub bicie godziny, jeszcze na szczęście oddalonej od pory, kiedy młodzi ludzie będą musieli przypasać szablę i wracać; czułem się także odcięty od wszystkich zewnętrznych zainteresowań, niemal od wspomnienia pani de Guermites, a to dzięki dobroci Roberta, której to dobroci serdeczność jego przyjaciół przydawała jak gdyby konsystencji; a także dzięki ciepłu tej małej jadalni, dzięki smakowitości wybornych rzeczy, którymi nas raczono. Dawały tyleż przyjemności mojej wyobraźni, co memu podniebieniu; czasami kawałek natury, z której je wyrwano — chropawa kropielnica ostrygi, gdzie zostało parę kropel słonej wody, lub też węzła gałązka, pożółkły liść winnego grona — otaczał je jeszcze, niejadalny, poetyczny i odległy niby krajobraz, nasuwając na przemian w ciągu obiadu obraz przejażdżki morskiej lub sjeisty pod krzakiem wina. Innym razem jedynie kucharz podkreślał tę oryginalną swoistość potraw, podając je w ich naturalnej ramie niby dzieło sztuki: rybę w krótkim sosie przynoszono na długim glinianym półmisku, gdzie odcinając się na posłaniu niebieskich traw, nienaruszona, ale

¹³³turkosi — piechota francuska utworzona z mieszkańców terytoriów kolonialnych w Afryce Płn.: Algierii, Tunezji i Maroka. [przypis edytorski]

skręcona jeszcze od tego, że ją rzucono żywą do wrzącej wody, otoczona kręgiem muszel, orszakiem satelitów, krabów, krewetek i mulek¹³⁴, robiła wrażenie kompozycji w glinie Bernarda Palissy¹³⁵.

— Jestem zazdrosny, jestem wściekły — mówił do mnie Saint-Loup, wpół śmiejąc się, wpół poważnie, z aluzją do rozmówek, jakie wiodłem bez końca na stronie z jego przyjacielem. — Czy on ci się wydaje inteligentniejszy ode mnie, czy go wolisz ode mnie? Więc co, teraz dla mnie już nic, wszystko dla niego?

(Mężczyźni, którzy namiętnie kochają kobiety, którzy żyją w towarzystwie kobiecary, pozwalają sobie na żarty, na które nie odważyliby się inni, widzący rzeczy mniej niewinnie).

Z chwilą gdy rozmowa stała się powszechna, unikano wzmianki o Dreyfusie z obawy urażenia Roberta. Jednakże w tydzień później, dwaj jego koledzy zauważyli, że to jest bardzo osobliwe, aby on, żyjąc w środowisku tak wojskowym, był takim dreyfusistą, prawie antimilitarystą. „Bo — rzekłem, nie chcąc wchodzić w te szczegóły — otoczenie nie ma tego wpływu, jaki mu się przypisuje...”. Z pewnością chciałem poprzestać na tym i nie wszczynać refleksji, jakimi podzieliłem się z Robertem kilka dni wprzód. Mimo to, ponieważ właśnie te słowa powiedziałem mu swego czasu prawie dosłownie, chciałem się usprawiedliwić, dodając: „Właśnie mówiłem kiedyś...”. Ale nie wziąłem w rachubę odwrotnej strony, jaką miał pełen wdzięku podziw Roberta dla mnie i dla paru innych. Podziwowi temu towarzyszyło tak całkowite wchłonięcie ich myśli, iż po upływie czterdziestu ośmiu godzin Saint-Loup zapominał, że te myśli nie pochodziły od niego. Toteż Saint-Loup, zupełnie tak jakby to było od wieków jego zdanie i jak gdybym ja tylko przychodził mu w sukurs¹³⁶, uważał za stosowne pozdrowić mnie niejako radośnie w tym charakterze i poprzec mnie.

— Ależ tak! Środowisko nie ma znaczenia.

I powtórzył z siłą, jak gdyby się obawiał że mu przerwę lub że go nie zrozumie:

— Prawdziwy wpływ, to wpływ sfery intelektualnej! Każdy jest człowiekiem swojej idei.

Z uśmiechem człowieka, który dobrze podjadł, przerwał na chwilę, wypuścił monokl i wpił we mnie swoje spojrzenie jak śrubę.

— Wszyscy ludzie jednej idei są podobni do siebie — rzekł, jak gdyby rzucając wyzwanie. Nie pamiętał z pewnością ani trochę, że ja mu powiedziałem przed paru dniami to, co w zamian zapamiętał tak dobrze.

Nie co wieczór zjawiałem się w tej jadalni w jednakim usposobieniu. Jeżeli jakieś wspomnienie, jakaś zgryzota, zdolne są nas opuścić do tego stopnia, że ich już nie spostrzegamy, zdarza się również, że wracają i czasem długo nas nie porzucają. Bywały wieczory, kiedy idąc miastem, aby się udać do restauracji, tak tęskniłem do pani de Guermantes, że ledwie mogłem oddychać; można by rzec, że biegły anatom wyciął i usunął część mojej piersi, zastępując ją odpowiednią partią niematerialnego cierpienia, ekwiwalentem tęsknoty i miłości. I mimo że starannie zeszyto ranę, dość trudno jest żyć, kiedy żal za daną istotą wstawiono zamiast trzewi; sprawia on uczucie, że zajmuje więcej miejsca od nich, czujemy go ustawicznie; a przy tym, cóż za dziwna rzecz musieć *myśleć* część swojego ciała! Jedynie mamy wówczas uczucie, żeśmy urosli co do wartości. Za lada podmuchem wiatru wdychamy pod wpływem ucisku serca, ale i tęsknoty. Patrzyłem w niebo. Kiedy było jasne, powiadałem sobie: „Może ona jest na wsi, patrzy na te same gwiazdy”. Kto wie, gdy wejść do jadalni, Robert powie mi może: »Dobra nowina, ciotka pisała do mnie, chciałaby cię poznać, przyjedzie tutaj«.

Nie w samym firmamencie lokowałem myśl o pani de Guermantes. Nieco łagodniejszy podmuch zdawał się mi przynosić poselstwo od niej, jak niegdyś od Gilberty

¹³⁴*mule* — omułki, jadalne małże. [przypis edytorski]

¹³⁵*Palissy, Bernard* (ok.1510–ok.1589) — francuski ceramik; najbardziej znany z dużych owalnych półmiseków dekorowanych barwnymi, realistycznymi płaskorzeźbami przedstawiającymi drobne zwierzęta w otoczeniu muszli i liści. [przypis edytorski]

¹³⁶*sukurs* (daw.) — wsparcie, pomoc. [przypis edytorski]

w zbożach Mèsèglise. Człowiek nie zmienia się; w uczucie odnoszące się do jakiejś istoty wprowadza wiele drzemających składników, które ta osoba budzi, ale które są jej obce. A przy tym zawsze się coś w nas sili sprowadzić te poszczególne uczucia do wyższej prawdy, to znaczy połączyć je z jakimś uczuciem ogólniejszym, wspólnym całej ludzkości; dane osoby oraz zgryzoty, jakie nam one sprawiają, są dla nas jedynie środkiem do zespolenia się z tą ludzkością. Świadomość, że moja zgryzota jest częścią powszechnej miłości, zaprawiała ją niejaką słodyczą. Miałem wrażenie, że w cierpieniu, jakim doznałem, poznałem smutki przeżyte niegdyś z powodu Gilberty lub wieczorem w Combray, kiedy mama nie została w moim pokoju, a także wspomnienie pewnych stronic Bergotte'a. Pani de Guermantes, jej chłód, jej nieobecność, wszystko to nie wiązało się z tym cierpieniem tak jasno, jak w mózgu uczonego przyczyna wiąże się ze skutkiem; mimo to nie wyciągałem stąd wniosku, aby pani de Guermantes nie była tą przyczyną. Czyż nie istnieje ból fizyczny rozlany, promieniujący w partię odległą od chorej części, ale opuszczający je, aby się całkowicie rozproszyć, kiedy lekarz dotknie właściwego punktu kryjącego źródło bólu? A przedtem rozległość tego bólu dawała mu coś tak nieokreślonego i groźnego, że nie umiejąc go wytłumaczyć, a nawet umiejscowić, uważaliśmy go za nieuleczalny.

Idąc do restauracji, powtarzałem sobie: „Już dwa tygodnie nie widziałem pani de Guermantes”. Dwa tygodnie — to się zdawało czymś ogromnym jedynie mnie; kiedy szło o panią de Guermantes, liczyłem czas na minuty. Nie tylko gwiazdy i wiatr, ale nawet podział czasu przybierał dla mnie coś bolesnego i poetycznego. Każdy dzień był obecnie niby ruchomy grzebień mglistego pagórka; z jednej strony czułem, że mogę zstąpić ku zapomnieniu, z drugiej rwała mnie potrzeba ujrzenia znów księżnej. I, pozbawiony stałej równowagi, czułem się bliżej to jednego, to drugiego. Pewnego dnia powiedziałem sobie: „Będzie może list dziś wieczór”, i przyszedłszy na obiad, miałem odwagę spytać Roberta:

— Czy nie masz przypadkiem wiadomości z Paryża?

— Owszem — odpowiedział posępnie — fatalne.

Odetchnąłem, że to tylko on ma zgryzotę i że wiadomości są od jego kochanki. Ale spostrzegłem rychło, iż jednym z ich następstw będzie to, że przez długi czas Robert nie będzie mógł mnie wprowadzić do pani de Guermantes.

Dowiedziałem się, że wybuchła sprzeczka między nim a jego kochanką, czy to listownie, czy może ona przyjechała któregoś dnia zobaczyć się z nim od pociągu do pociągu. A sprzeczki, nawet mniej poważne, jakie miewali z sobą dotąd, zdawały się zawsze czymś nie do naprawienia. Bo ona wpadała we wściekłość, tupiała, płakała z niezrozumiałych przyczyn, jak dzieci, które zamykają się w ciemnej komórce, nie przychodzą na obiad, odmawiając wszelkich wyjaśnień, szlochając jedynie tym gwałtowniej, kiedy, wyczerpawszy argumenty, przechodzi się do klapsów. Saint-Loup cierpiał straszliwie z powodu tej zwady; ale to określenie jest zbyt proste i fałszuje pojęcie tej męki. Kiedy się znalazł sam z myślą o kochance, która widząc go tak stanowczym, odjechała przejęta dłań szacunkiem, wzruszenia pierwszych chwil skończyły się wobec nieodwołalnego faktu; ulga zaś po takim szarpaniu się jest czymś tak słodkim, że zdecydowane zerwanie nabrało dłań coś z tego uroku, jaki miałoby pogodzenie się. Późniejsze jego cierpienie było czymś wtórnym; fala tego bólu szła bez ustanku z niego samego na myśl, że ona może chciałaby się pojednać, że — kto wie — może czeka tylko słówka od niego; że tymczasem, aby się zemścić, zrobi tego a tego wieczora, w takim a takim miejscu, taką a taką rzecz, i że wystarczyłoby mu zadeszować do niej, że przyjeżdża, aby ta rzecz się nie stała; że inni korzystają może z czasu, który on marnuje i że za kilka dni będzie za późno odzyskać ją, bo już będzie zajęta. O wszystkich tych możliwościach nie wiedział nic; kochanka zachowywała milczenie, które przywiodło go w końcu do szaleństwa; w męce swojej gotów był wierzyć, że ona jest ukryta w Doncieres lub że wyjechała do Indii.

Powiedziano, że milczenie jest siłą; w istocie, w całkiem innym znaczeniu, jest ono straszliwą siłą w ręku osoby, która się czuje kochaną. Wzmaga ono ucisk serca tego, który czeka. Nic tak nie skłania do zbliżenia się do jakiejś istoty, jak to, co od niej dzieli, a cóż może być bardziej nieprzebytą zaporą niż milczenie? Powiedziano też, że milczenie jest męką zdolną przywieść do szaleństwa ludzi skazanych na nie w więzieniach. Ale cóż za męka większa niż milczeć samemu — znosić milczenie osoby, którą się kocha! Robert powiedział sobie: „Co ona robi, że tak milczy? Z pewnością zdradza mnie z innymi”. Powia-

Milczenie, Pustynia,
Więzienie

dał sobie także: „Cóż ja takiego zrobiłem, żeby tak milczała? Może mnie znienawdziła, i to na zawsze”. I obwiniał sam siebie. Tak więc milczenie doprowadzało go w istocie do szaleństwa przez zazdrość i przez wyrzuty. Zresztą milczenie takie, okrutniejsze od więzienia, samo jest więzieniem. Ściana niematerialna wprawdzie, ale nieprzenikniona; próżnia, której nie może przebyć wzrok opuszczonego. Czyż istnieje straszliwsze światło niż milczenie, które ukazuje nam nie jedną nieobecną kochankę, ale tysiąc, a każdą dopuszczającą się jakiejś innej zdrady. Czasem przez nagłą reakcję Robert myślał już, że to milczenie przerwie się nagle, że nadejdzie oczekiwany list. Widział, jak ten list nadchodzi, nad słuchiwał każdego szelestu, już niemal uspokojony szeptał: „List! List!”. I nasyciwszy oczy urojoną oazą tkliwości, odnajdywał się w istnej pustyni milczenia bez kresu.

Cierpiał z góry wszystkie męki zerwania, nie zapominając ani jednej, to znów myślał, że można by tego zerwania uniknąć. Był jak ludzie, którzy regulują wszystkie sprawy pod kątem prawdopodobnej ekspatriacji¹³⁷ i których myśl, nie wiedząc, gdzie jej przyjdzie ustalić się jutro, miota się oderwana od nich samych, niby owo serce wydarte choremu, które bije dalej oddzielone od reszty ciała. W każdym razie nadzieja, że kochanka wróci, pomagała mu wytrwać w zerwaniu, jak wiara, że zdoła wrócić żywy z pola walki, pomaga żołnierzowi narażać się na śmierć. A że ze wszystkich roślin ludzkich przyzwyczajenie jest tą, która potrzebuje najmniej ziemi, aby żyć, która zjawia się pierwsza na najbardziej jałowej skale, Robert, grając zrazu komedię zerwania, byłby się z nim może w końcu szczerze oswoił. Ale niepewność podtrzymywała w nim stan, który, połączony ze wspomnieniem tej kobiety, podobny był do miłości.

Saint-Loup zmuszał się wszelako, aby do niej nie pisać, myśląc może, że mniej okrutne jest żyć bez ukochanej niż żyć z nią w pewnych warunkach; lub że po sposobie w jaki się rozstali, należy mu koniecznie czekać jej przeprosin, iżby zachowała dlań jeżeli nie miłość, to bodaj szacunek i poważanie. Ograniczał się do telefonowania (właśnie założono telefon w Doncières) i do pytania o nowiny lub dawania zleceń pokojówce, którą umieścił u swojej kochanki. Połączenia te były zresztą skomplikowane i zabierały mu dużo czasu, ponieważ, posłuszna opiniom swoich przyjaciół intelektualistów zohydających szpetotę stolicy, a bardziej jeszcze przez wzgląd na swoje zwierzęta, psy, małpę, kanarki i papugę, których nieustannych hałasów gospodarz domu nie chciał znosić, kochanka Roberta wynajęła domek w pobliżu Wersalu. Tymczasem on w Doncières nie spał już w nocy ani chwili. Raz u mnie, zmożony, zdrzemnął się nieco. Ale nagle zaczął mówić przez sen, chciał gdzieś pędzić, przeszkodzić czemuś; wołał: „Ja rozumiem, ty nie... ty nie...”. Obudził się. Powiadał, iż mu się śniło, że był na wsi u kwatermistrza. Ten starał się go nie dopuścić do pewnej części domu. Saint-Loup odgadł, że u kwatermistrza bawi bardzo bogaty i bardzo rozpustny porucznik, o którym wiedział, że się pali do jego kochanki. I naraz we śnie usłyszał wyraźnie przerywane i regularne krzyki, jakie jego kochanka zwykła była wydawać w momentach rozkoszy. Chciał zmusić kwatermistrza, aby go zaprowadził do pokoju; ów przytrzymał go, aby mu nie dać wejść, robiąc minę zgorzsną taką niedyskrecją: Robert mówił, że nigdy nie zdoła zapomnieć tej miny.

— Idiotyczny sen — powiadał jeszcze zdyszany.

Ale widziałem, że w ciągu najbliższej godziny kilka razy omal już nie telefonował do kochanki z propozycją pojednania. Ojciec mój miał od niedawna telefon, ale nie wiem, czy by się to na wiele zdało Robertowi. Zresztą nie wydawało mi się właściwe, aby rodzice — lub choćby aparat znajdujący się w ich domu — mieli grać rolę pośrednika między Robertem a jego kochanką, choćby najbardziej dystygowaną i szlachetną. Koszmar snu zatarł się stopniowo w jego umyśle. Z nieprzytomnym i upartym wzrokiem odwiedzał mnie przez wszystkie te okrutne dni, których kolejność wykreśliła mi niby wspaniałą łuk jakiejś wykutej w twardym materiale poręczy, przy której Robert zadawał sobie pytanie, co za decyzję powźmie jego przyjaciółka.

W końcu zapytała go, czy zechce jej przebaczyć. Skoro tylko zrozumiał, że nie grozi już zerwanie, ujrzał wszystkie ujemne strony ponownego zbliżenia. Zresztą cierpiał już mniej, niemal pogodził się już z bólem, którego rany trzeba by może za kilka miesięcy odnowić, o ile by się stosunek nawiązał na nowo. Saint-Loup nie wahał się długo. I może wahał się tylko dlatego, że był wreszcie pewny, iż może odzyskać swoją kochankę; może

¹³⁷ekspatriacja — opuszczenie kraju ojczystego. [przypis edytorski]

— zatem uczyni to. Prosiła go jedynie, aby mogła nie wracać do Paryża na Nowy Rok, chciała odzyskać spokój. Otóż on nie miał siły jechać do Paryża bez widzenia jej. Z drugiej strony, ona godziła się wyjechać z nim w podróż, ale na to trzeba mu było prawdziwego urlopu, którego kapitan de Borodino nie chciał mu dać.

— Martwi mnie to z powodu naszej wizyty u ciotki Oriany; w ten sposób wszystko się odwleka. Ale będę z pewnością w Paryżu na Wielkanoc.

— Wtedy nie będziemy mogli iść do pani de Guermantes, bo będę już w Balbec. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

— W Balbec? Ależ w tym roku byłeś tam dopiero w sierpniu.

— Tak, ale obecnie z powodu mego zdrowia mają mnie wysłać wcześniej.

Robert najbardziej się bał, abym nie sądził źle jego kochanki po tym, co mi opowiadał.

— Jest gwałtowna tylko dlatego, że jest zbyt szczerą, zbyt bezpośrednią w swoich uczuciach. Ale to cudna istota! Nie możesz sobie wyobrazić, ile w niej subtelności, poezji. Co roku spędza dzień zaduszny w Bruges. To ma styl, prawda? Jeżeli ją kiedy poznasz, zobaczysz, wspaniała jest... — Że zaś nasiąkł pewnym językiem, jakim mówiono w otoczeniu tej kobiety w kołach literackich, dodał: — Ma coś syderalnego¹³⁸, a nawet watyckiego¹³⁹, rozumiesz co przez to chcę powiedzieć; poeta, który był prawie kapłanem.

Szukałem przez cały obiad pretekstu, który by pozwolił Robertowi poprosić ciotkę, aby mnie przyjęła, nie czekając jego bytności w Paryżu. Otóż pretekstu tego dostarczyło mi pragnienie ujrzenia obrazów Elstira, wielkiego malarza, którego obaj z Robertem poznaliśmy w Balbec. Pretekst, w którym było zresztą coś prawdy; o ile bowiem w swoich wizytach w pracowni Elstira szukałem w jego malarstwie tego, aby mnie przywiodło do zrozumienia i miłości rzeczy lepszych od samego jego malarstwa — prawdziwej odwilży, autentycznego prowincjonalnego rynku, żywych kobiet na plaży (co najwyżej byłbym u niego zamówił portret realności, których nie umiałem zgłębić, jak na przykład szpaleru glogów, nie aby mi utrwalił ich piękność, ale aby mi ją odkrył), tak teraz przeciwnie chęć moją podsycaly oryginalność i urok tych obrazów, i ponad wszystko pragnąłem ujrzeć inne płótna Elstira.

Miałem zresztą uczucie, że najbłahsze jego obrazy są czymś innym niż arcydzieła nawet większych malarzy. Dzieło jego było niby zamknięte królestwo o nieprzebranych granicach, niepodobne do żadnego innego. Chciwie gromadząc nieliczne wydawnictwa, w których znajdowały się studia o Elstirze, dowiedziałem się z nich, że on dopiero niedawno zaczął malować pejzaże i martwe natury, zaczął zaś od obrazów mitologicznych (widziałem fotografie dwóch takich obrazów w jego pracowni), a potem długo był pod wpływem sztuki japońskiej.

Niektóre prace Elstira, najznamienniejsze dla jego rozmaitych faz malarskich, znajdowały się na prowincji. Pewien dom w Les Andelys, gdzie był jeden z najpiękniejszych jego pejzażów, wydawał mi się równie szacowny, budził we mnie równie żywe pragnienie podróży jak wioska w okolicy Chartres, gdzie w prosty kamień wprawiony jest wspaniały witraż; do tego posiadacza arcydzieła, do tego człowieka, który w swoim prostym domostwie w miasteczku, zamknięty jak astrolog, bada jedno z owych zwierciadeł świata, jakim jest obraz Elstira, kupiony może przezeń za kilka tysięcy franków, czułem poryw owej sympatii, jaka łączy wręcz serca, nawet charaktery tych, co jednako myślą w jakimś zasadniczym przedmiocie. Otóż trzy dzieła mego ukochanego malarza odnotowano w jednym z wydawnictw jako znajdujące się u pani de Guermantes. Zatem w rezultacie szczerze, w dniu kiedy mi Saint-Loup oznajmił wyjazd kochanki do Bruges, mogłem przy obiedzie w obecności jego przyjaciół rzucić mu niby to niespodzianie:

— Słuchaj, Robercie. Ostatnia rozmowa w przedmiocie damy, którą znasz. Przypominasz sobie malarza Elstira, którego poznałem w Balbec?

— Ale jakże, oczywiście.

— Przypominasz sobie moją admirację¹⁴⁰ dla niego?

— Wybornie, i list któryśmy mu posłali.

¹³⁸syderalny a. syderyczny (z łac.) — gwiazdny, gwiazdowy. [przypis edytorski]

¹³⁹watycki (neol., z łac.) — wieszcz, natchniony; związany z natchnionym przez bogów wieszczkiem, poetą lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

¹⁴⁰admiracja (z łac.) — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

— Otóż, jedną z najważniejszych przyczyn, dodatkową racją dla której pragnąłbym poznać pomienioną damę, wiesz wciąż którą...

— Ależ tak! Ileż tych nawiasów!

— Jest to, że ona ma u siebie co najmniej jeden bardzo piękny obraz Elstira.

— A, nie wiedziałem.

— Elstir będzie z pewnością na Wielkanoc w Balbec; wiesz, że on spędza teraz prawie cały rok na tym wybrzeżu. Bardzo bym pragnął widzieć ten obraz przed wyjazdem do Balbec. Nie wiem, czy ty jesteś w dość bliskich stosunkach ze swoją ciotką, czy nie mógłbyś — zachwalając mnie jej na tyle zręcznie, aby nie odmówiła — poprosić, żeby mi pozwoliła zobaczyć obraz bez ciebie, skoro ciebie nie będzie w Paryżu.

— Zrobione, odpowiadam za nią, biorę to na siebie.

— Robercie, ubóstwiam cię.

— Mam nadzieję, że to nie pański wyjazd jest przedmiotem tego spisku — rzekł jeden z przyjaciół Roberta. — Pan wie, jeżeli Saint-Loup dostanie urlop, nic się nie powinno zmienić, my jesteśmy tutaj. To będzie może dla pana mniej zabawne, ale dołożymy z naszej strony wszelkiego trudu, aby panu dać zapomnieć o nieobecności Roberta.

W istocie, w chwili gdy się zdawało, że przyjaciółka Roberta sama pojedzie do Bruges, dowiedzieliśmy się, że kapitan de Borodino (dotąd przeciwny temu) udzielił sierżantowi Saint-Loup dłuższego urlopu do Bruges. Oto co zaszło. Książę de Borodino, bardzo dumny ze swojej bujnej czupryny, był wiernym klientem najznakomitszego fryzjera w mieście, niegdyś pracownika u dawnego fryzjera Napoleona III¹⁴¹. Kapitan de Borodino był w wybornych stosunkach z tym fryzjerem, bo mimo swoich tajemniczych manier był prosty z prostymi ludźmi. Ale fryzjer, u którego książę miał co najmniej od pięciu lat zaległy rachunek wciąż rosnący od flakonów wody portugalskiej, „Eau des Souverains”, żelazek, brzytwy, pasków, zarówno jak od szamponów, strzyżeń itd., o wiele wyżej cenił Roberta, który płacił gotówką, miał kilka powozów i koni wierzchowych. Dowiedziawszy się o zmartwieniu Roberta, z powodu, iż nie może towarzyszyć kochance, fryzjer przemówił za nim gorąco do księcia spowitego w białe gżło¹⁴², w chwili gdy balwierz trzymał jego przegiętą głowę z brzytwą na gardle. Opowieść o sercowych przygodach młodego sierżanta wyrwała kapitanowi-księciu uśmiech napoleońskiej pobłażliwości. Mało prawdopodobne jest, aby książę pomyślał o swoim niezapłaconym rachunku; ale polecenie fryzjera sprawiło go w dobry humor w tym samym stopniu, w jakim rekomendacja jakiegoś diuka sprawiłaby go w zły. Jeszcze miał pełno mydła na brodzie, a już urlop był rzeczą załatwioną, podpisaną tego samego wieczora. Co się tyczy fryzjera, który miał zwyczaj chwalić się bez ustanku (aby to sobie ułatwić, przypisywał sobie, z nadzwyczajnym talentem kłamcy, przewagi całkowicie zmyślone), ten, oddawszy faktyczną usługę Robertowi, nie tylko się nią nie chepił, ale nigdy nie wspomniał mu o tym. Można by mniemać, że próżność potrzebuje kłamać, kiedy zaś nie ma powodu tego czynić, ustępuje miejsca skromności.

Wszyscy powtarzali mi, że ilekolwiek czasu zostałbym w Doncières lub kiedykolwiek bym tam wrócił, jeżeli Roberta nie będzie, ich powozy, konie, domy, ich czas, wszystko będzie do mojej dyspozycji. I czułem, że ci młodzi ludzie ze szczerego serca oddają swój zbytek, swoją młodość, energię na usługi mojej słabości.

— Czemu zresztą — mówili koledzy Roberta, nalegając, abym został — nie miałby pan wrócić tu co rok? Widzi pan, że to ciche życie podoba się panu! A nawet interesuje się pan wszystkim, co się dzieje w pułku, jak stary zupak¹⁴³.

Bo wciąż dopytywałem się ich chciwie o klasyfikację rozmaitych znanych mi z nazwiska wojskowych, wedle mniejszego lub większego podziwu, na jaki ich zdaniem zasługują, jak niegdyś w szkole z kolegami w stosunku do aktorów Komedii Francuskiej. Jeżeli w miejsce któregoś z generałów zawsze wymienianego przed innymi — jakiegoś

¹⁴¹ *Napoleon III Bonaparte* (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał zamachu stanu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w 1870 zdeponizowany. [przypis edytorski]

¹⁴² *gżło* a. *gieszło* (daw., gw.) — koszula, szczególnie białoznana. [przypis edytorski]

¹⁴³ *zupak* (zwykle lekcew.) — zawodowy podoficer. [przypis edytorski]

Galliffeta¹⁴⁴ lub Négriera¹⁴⁵ — któryś z przyjaciół Roberta rzekł: „Ależ Négrier to jeden z najmierniejszych” i rzucał nowe nazwisko, nietknięte i smaczne, jak Pau¹⁴⁶ lub Geslin de Bourgogne¹⁴⁷, odczuwałem to samo niespodziane szczęście, jak niegdyś, kiedy wyczerpane nazwiska Thirona lub Febvre’a¹⁴⁸ zgasły wobec nagłego rozkwitu nieużytego nazwiska „Amaury”¹⁴⁹. „Teższy¹⁵⁰ od samego Négriera? Ale w czym, niech mi pan da przykład”. Pragnąłem, aby istniały głębokie różnice nawet między niższymi oficerami pułku, w racjach tych różnic spodziewając się pochwycić istotę wojskowego talentu. Oficerem, którego reputacja szczególnie mnie interesowała, był książę de Borodino, bom go widywał najczęściej. Ale zarówno Saint-Loup, jak jego przyjaciele, o ile oddawali sprawiedliwość pięknemu kapitanowi, któremu szwadron jego zawdzięczał niezrównaną formę, nie lubili go jako człowieka. Nie mówili o nim co prawda tym samym tonem, co o pewnych oficerach wyrosłych z prostego żołnierza, masonach, co nie żyli z innymi i zachowywali przy nich sztywne miny adiutantów; ale nie mieścili też pana de Borodino w liczbie innych oficerów-szlachciców, od których, prawdę mówiąc, nawet w stosunku do Roberta bardzo się różnił wzięciem. Ci korzystali z tego, że Saint-Loup jest tylko podoficerem i że jego potężna rodzina może się czuć szczęśliwa, iż jego przełożeni, którymi by może inaczej gardziła, przyjmują go u siebie; nie tracili też żadnej okazji zaproszenia Roberta, kiedy się im zdarzyło gościć jakąś grubą rybę, mogącą zdać się na coś młodemu sierżantowi. Jeden kapitan de Borodino utrzymywał z Robertem stosunki wyłącznie służbowe, zresztą wyborne. Dziadek kapitana był marszałkiem Francji oraz księciem i parem¹⁵¹ z łaski cesarza, z którego rodziną spokrewnił się później przez małżeństwo; ojciec kapitana zaślubił kuzynkę Napoleona III i był po zamachu stanu dwa razy ministrem. Mimo to książę-kapitan czuł, że niewiele waży dla Roberta de Saint-Loup i dla wszystkich Guermantów, którzy na odwrót — ponieważ patrzył na rzeczy z innej strony — niewiele ważyli dla niego. Domyślał się, że dla Roberta de Saint-Loup on, spowinowacony z Hohenzollernami¹⁵², nie jest prawdziwym szlachcicem, ale wnukiem chłopca; dla niego w zamian Saint-Loup był synem człowieka, którego hrabiowski tytuł potwierdził cesarz — nazywano to w Faubourg Saint-Germain „odświeżeni hrabiowie” — i który ubiegał się o prefekturę lub o jakieś inne stanowisko pomieszczone bardzo nisko pod rozkazami jego wysokości księcia de Borodino, ministra Stanu, do którego pisało się „Wasza Dostojność” i który był siostrzeńcem monarchy.

Więcej może niż siostrzeńcem. Pierwsza księżna de Borodino — tak mówiono — miała szczególne względy dla Napoleona I, któremu towarzyszyła na Elbę, druga zaś dla Napoleona III. I o ile w pogodnej twarzy kapitana można było odnaleźć, jeżeli nie naturalne rysy Napoleona I, to bodaj wystudiowany majestat jego maski, oficer ów miał zwłaszcza w melancholijnym i poczciwym spojrzeniu, w opadających wąsach coś, co przywodziło na myśl Napoleona III. Było to tak uderzające, że kiedy po Sedanie¹⁵³ poprosił, aby się mógł udać do cesarza, Bismarck¹⁵⁴ zaś, do którego go zaprowadzono, odmówił,

¹⁴⁴Galliffet, Gaston de (1830–1909) — francuski generał; uczestnik wojny krymskiej, kampanii w Algierii, ekspedycji do Meksyku; szczególnie znany z brutalnego stłumienia Komuny Paryskiej (1871); minister wojny (1899–1900), w okresie sprawy Dreyfusa. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Négrier, François Oscar de (1839–1913) — francuski generał; zdobył sławę w walkach w Algierii (1881) oraz w Tonkinie podczas wojny chińsko-francuskiej (1884–1885); uczestnik wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Pau, Paul (1848–1932) — francuski generał; uczestnik wojny francusko-pruskiej oraz I wojny światowej. [przypis edytorski]

¹⁴⁷Geslin de Bourgogne, Yves-Marie (1847–1910) — francuski generał; autor kilku książek o strategii wojskowej. [przypis edytorski]

¹⁴⁸Thirona i Febvre — francuscy aktorzy: Charles Thiron (1830–1891) i Frédéric-Alexandre Febvre (1835–1916). [przypis edytorski]

¹⁴⁹Amaury (pseud.), właśc. Ernest-Félix Socquet (1849–1916) — francuski aktor. [przypis edytorski]

¹⁵⁰tegi — mocny, dzielny, dobry w swojej dziedzinie. [przypis edytorski]

¹⁵¹par — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

¹⁵²Hohenzollernowie — niemiecka dynastia, której przedstawiciele panowali w krajach niemieckich (m.in. w Brandenburgii i w Prusach), jako cesarze niemieccy (1871–1918) oraz w Rumunii (1869–1947). [przypis edytorski]

¹⁵³bitwa pod Sedanem (1–2 września 1870) — starcie podczas wojny francusko-pruskiej; okrażony cesarz Napoleon III skapitulował i ze swą stutysięczną armią oddał się do niewoli. [przypis edytorski]

¹⁵⁴Bismarck, Otto von (1815–1898) — niemiecki polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. [przypis edytorski]

tenże Bismarck, spojrzawszy przypadkiem na młodego człowieka, już mającego się oddalić, uderzony tym podobieństwem zmienił zdanie, przywołał go i dał owo pozwolenie, którego mu, jak wszystkim innym, dopiero co wzbronił.

Jeżeli książę de Borodino nie chciał robić awansów Robertowi de Saint-Loup ani innym arystokratom w pułku (często natomiast zapraszał do siebie dwóch poruczników mieszczan, bardzo miłych ludzi), to dlatego, iż patrząc na wszystkich z wyżyn swojej cesarskiej wielkości, robił między niższymi od siebie tę różnicę, że jedni byli niżsi i wiedzieli o tym: z tymi bratał się z przyjemnością, będąc pod majestatycznym pozorem naturą prostą i jowialną; drudzy zaś, będąc niżsi, uważali się za wyższych, czego książę nie dopuszczał. Toteż gdy wszyscy oficerowie pułku nosili na rękach Roberta de Saint-Loup, książę de Borodino, któremu Roberta polecił marszałek de X..., ograniczył się do uprzejmości dla młodego sierżanta w służbie, w której zresztą Saint-Loup był wzorowy. Nigdy nie zaprosił go do siebie, wyjąwszy jakąś specjalną okoliczność, kiedy poniekąd musiał go zaprosić; że zaś sposobność taka nastąpiła się w czasie mego pobytu, zachęcił Roberta, aby mnie przyprowadził z sobą.

Tęgo wieczora, widząc Roberta przy stole kapitana, łatwo mogłem ocenić — aż do wzięcia i elegancji każdego z nich — różnicę między dwiema arystokracjami: dawną a cesarską. Robert pochodził z kasty, której wszystkie wady — nawet te, które potępiał całą swoją inteligencją — przeszły mu w krew. Kasta ta, przestawszy co najmniej od wieku mieć jakieś rzeczywiste znaczenie, w protekcyjnej uprzejmości, stanowiącej część jej wychowania, jak konna jazda lub fechtunek, widzi już tylko ćwiczenie uprawiane bez poważnego celu, dla zabawy, w stosunku do mieszczan, którymi ta szlachta na tyle gardzi, aby wierzyć, że owa poufalskość schlebia im i że ich pańska bezceremonialność jest dla nich zaszczytem. Saint-Loup brał poufale za rękę pierwszego z brzegu mieszczkańskiego syna, którego mu przedstawiono, i rozmawiając z nim (przy czym wciąż zakładał nogę na nogę i przeginał się niedbale w tył, trzymając stopę w ręce), mówił mu: „drogi panie”. Książę de Borodino, przeciwnie, pochodził ze szlachty, której tytuły, opatrzone bogatymi majoratami¹⁵⁵ w nagrodę zaszczytnych usług, zachowały jeszcze swoje znaczenie, budząc pamięć wysokich funkcji, dających władzę nad wieloma ludźmi i nakładających konieczność znawstwa ludzi. Książę de Borodino — jeżeli nie w swojej osobistej i jasnej świadomości, to bodaj w swoim ciebie, które podkreślało to postawą i wzięciem — uważał swoją godność za rzeczywisty przywilej; do tych samych łyków¹⁵⁶, których Saint-Loup brałby pod rękę i klepałby po ramieniu, on odnosił się z majestatyczną grzecznością, której dostoyny umiar łagodziła uśmiechnięta dobroduszość, nacechowana zarazem szczerą życzliwością i rozmyślną dumą. Wynikało to zapewne stąd, że książę mniej był odległy od wielkich ambasad i od dworu, gdzie jego ojciec piastował najwyższe godności i gdzie maniery Roberta — łokieć na stole i stopa w ręce — byłyby źle przyjęte; ale zwłaszcza płynęło to stąd, że on tym mieszczaństwem mniej gardził, że ono było wielkim zbiornikiem, z którego pierwszy cesarz czerpał swoich marszałków, swoją szlachtę, a w którym drugi znalazł swego Foulda czy Rouhera¹⁵⁷.

Niewątpliwie w myślach pana de Borodino, cesarskiego syna lub wnuka, którego funkcje ograniczały się do dowodzenia szwadronem, nie mogły, z braku zastosowania, przetrwać horyzonty ojca i dziadka. Ale jak duch artysty wciąż modeluje w wiele lat po jego zgonie posąg, który ów wyrzeźbił, ucieleśniły się w nim one, zmaterializowały się, wcieliły, odbijała je jego twarz. Z żywością głosu pierwszego cesarza łajał wachmistrza, z zadumą i melancholią drugiego puszczał dym z papierosa. Kiedy ubrany po cywilnemu szedł ulicami Doncierres, jakiś błysk oczu wymykający się spod melonika dawał kapitanowi aureolę monarszego incognito; drżano, kiedy wchodził do biura naczelnego kwatermistrza, wiodąc za sobą adiutanta i furiera¹⁵⁸ niby Berthiera i Massenę¹⁵⁹. Kiedy

¹⁵⁵majorat — majątek dziedziczony w ten sposób, że całość przechodzi na najstarszego syna. [przypis edytorski]

¹⁵⁶łyk (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

¹⁵⁷Fould i Rouber — ministrowie Napoleona III: minister sprawiedliwości Eugène Rouher (1814–1884) oraz minister finansów Achille Fould (1800–1867). [przypis edytorski]

¹⁵⁸furier (daw.) — dostawca; podoficer odpowiedzialny za zakwaterowanie wojska i dostarczanie żywności. [przypis edytorski]

¹⁵⁹Berthier i Massena — marszałkowie cesarza Napoleona I Bonaparte: André Masséna, wł. Andrea Massena (1758–1817) oraz Louis Alexandre Berthier (1753–1815). [przypis edytorski]

wybierał materiał na spodnie dla swego szwadronu, wlepił w pułkowego krawca spojrzenie zdolne przeniknąć Talleyranda¹⁶⁰ i oszukać Aleksandra; a czasem podczas inspekcji koszar przystawał, pozwalał marzyć swoim cudnym niebieskim oczom, kręcił wąsa, robił wrażenie, jakby budował nowe Prusy i nowe Włochy. Ale natychmiast, stając się z Napoleona III Napoleonem I, zauważał, że rzemienie nie są dość wyglancowane i żądał, aby mu dano skosztować żołnierskiej menaży. A u siebie w domu, w życiu prywatnym, dla żon oficerów-mieszczan (byle nie masonów) wyjmował nie tylko serwis z błękitnej sewskiej porcelany, godny ambasadora (darowany jego ojcu przez Napoleona i jak gdyby jeszcze cenniejszy w prowincjonalnym domku, gdzie kapitan mieszkał, niby owe rzadkie porcelany, które turyści z tym większą przyjemnością podziwiają w prostej szafie starego dworu, zmienionego na dostatnią fermę); prezentował również, pośród innych darów cesarza, owo szlachetne i urocze wzięcie, zdolne działać cudy na jakimś reprezentacyjnym stanowisku, gdyby dla pewnych kół być „urodzonym” nie znaczyło być skazanym całe życie na najniesprawiedliwszy ostracyzm, swobodne ruchy, dobroć, wdzięk oraz tajemniczo prześwieconą i dziedziczną relikwię spojrzenia, kryjącą wspaniałe obrazy również pod emalią królewskiego błękitu.

W związku ze stosunkami, jakie książę utrzymywał w Doncières, trzeba przytoczyć jeden fakt. Podpułkownik grał cudownie na fortepianie, żona naczelnego lekarza śpiewała jak skończona artystka. Lekarz z żoną, zarówno jak podpułkownik z żoną, bywali co tydzień na obiedzie u pana de Borodino. Pochlebiali im to niewątpliwie; wiedzieli, że kiedy książę jest w Paryżu, bywa na obiedzie u pani de Pourtalès, u Muratów itd. Ale powiadali sobie: „To prosty kapitan, aż nadto szczęśliwy jest, że bywamy u niego. To zresztą prawdziwy nasz przyjaciel”. Ale kiedy pana de Borodino, który od dawna robił starania, aby się zbliżyć do Paryża, przeniesiono do Beauvais, zmieniawszy garnizon, zapomniał o dwóch muzykujących parach równie dokładnie, co o teatrze w Doncières i o restauracyjce, skąd często kazał sobie przynosić śniadanie; i ku ich wielkiemu oburzeniu ani podpułkownik, ani naczelnik lekarz, którzy tak często bywali u kapitana na obiedzie, nie otrzymali już w życiu wiadomości od niego.

Pewnego rana Saint-Loup wyznał mi, iż napisał do mojej babki, aby jej donieść o mnie i poddać jej myśl pomówienia ze mną, skoro istnieje połączenie telefoniczne między Doncières a Paryżem. Krótko mówiąc, jeszcze tego dnia miała mnie wezwać do aparatu: Robert poradził mi, abym był przed czwartą na poczcie. Telefon nie był wówczas tak rozpowszechniony jak dziś. A jednak przyzwyczajenie tak mało potrzebuje czasu, aby odrzeć z tajemnicy poświęcone formy, z którymi się stykamy, że kiedyś nie otrzymał zaraz połączenia, jedyną moją myślą było utyskiwać na tę zwłokę, na niewygodę — niemal chciałem wnieść zażalenie! Jak my wszyscy teraz, nie uważałem za dość szybką w stosunku do swoich pragnień tej czarodziejskiej feerii, dla której kilka chwil wystarcza, aby się zjawiała tuż koło nas — niewidzialna, ale obecna istota, z którą chcieliśmy mówić i która, siedząc u siebie przy stole, w odległym mieście (dla babki był nim Paryż) pod innym niebem, w inną może pogodę, wśród okoliczności i zajęć, których nie znamy i o których ta istota nas powiadomi, przenosi się nagle o setki mil (wraz z całą otaczającą atmosferą) i zjawia się tuż koło naszego ucha w chwili, gdy nasz kaprys tego zażąda. I jesteśmy niby człowiek z bajki, któremu wróżka na wyrażone przez niego życzenie ukazuje w nadprzyrodzonym blasku babkę lub narzeczoną, przeglądającą książkę, lejącą lzy, zrywającą kwiaty, tuż obok, a jednak bardzo daleko, tam, gdzie się znajduje istotnie. Wystarczy nam dla ziszczenia cudu zbliżyć wargi do magicznej płytki i wzywać — czasem trochę długo, przyznając — Czuwające Dziewice¹⁶¹, których głos słyszymy co dzień, nie znając nigdy ich twarzy; to są nasze anioły-stróżki w zawrotnych ciemnościach, których drzwi zazdrośnie strzegą; one, wszechpotężne, dzięki którym mocy nieobecni zjawiają się koło nas, mimo iż nie wolno nam ich ujrzeć; Danaidy¹⁶² Niewidzialnego, które bez przerwy opróżniają,

Czary

¹⁶⁰Talleyrand, właśc. *książę Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord* (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

¹⁶¹Czuwające Dziewice — westalki, rzymskie kapłanki strzegące świętego ognia w świątyni bogini Westy, patronki ogniska domowego; ślubowały dziewictwo. [przypis edytorski]

¹⁶²Danaidy (mit. gr.) — córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane w świecie zmarłych na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach. [przypis edytorski]

napęlniają, podają sobie urny dźwięków; ironiczne Furie¹⁶³, które — w chwili gdy szepcemy ukochanej poufne słowa w nadziei, że ich nikt nie słyszy — krzyczą nam okrutnie: „Słucham”; wciąż gniewne służebnice Tajemnicy, chmurne kapłanki Niewidzialnego — telefonistki!

I skoro tylko nasze wołanie rozlegnie się w pełnej zjaw nocy, na którą otwierają się same tylko uszy, lekki szmer — szmer abstrakcyjny — szmer zniesionej odległości — i oto zwraca się do nas głos drogiej istoty.

To ona, to jej głos mówi do nas, jest tutaj. Ale jakież daleki! Ileż razy nie mogłem go słuchać bez ucisku serca, jak gdybym, wobec niemożliwości widzenia — bez długich godzin podróży — tej, której głos był tak blisko mego ucha, lepiej czuł, ile zawodnego jest w pozorze najśłodsze zbliżenia i jak daleko możemy być od ukochanych osób w chwili, gdy się zdaje, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby je zatrzymać. Rzeczywista obecność — ten głos tak bliski — przy istotnym rozłączeniu! Ale także przedsmak wiekuistej rozłąki! Często, słuchając w ten sposób, nie widząc tej, co do mnie mówiła z tak daleka, miałem wrażenie, że ten głos woła z głębokości, skąd się nie wraca, i poznałem ucisk serca, jaki miałem odczuć kiedyś, kiedy głos wróci w ten sposób (sam, niezwiązany z ciałem, którego nie miałem już nigdy ujrzeć), aby szeptać do mego ucha słowa, które byłbym chciał ucałować w przelocie na wargach zmienionych w proch na wieki.

Tego dnia, niestety, w Doncières cud się nie spełnił. Kiedym wchodził do kabiny, okazało się, że babka już mnie wzywała; wszedłem, linia była zajęta, ktoś rozmawiał, nie wiedząc zapewne, że nie ma nikogo, kto by mu odpowiedział, bo kiedy wziąłem słuchawkę, ten kawałek drzewa zaczął paplać na kształt poliszynela¹⁶⁴; uciszyłem go, jak się robi w budzie jarmarcznej, odkładając go na miejsce; z chwilą gdy go zbliżył do siebie, poliszynel zaczął gadać na nowo. Zwątpiwszy o połączeniu, powiesiłem ostatecznie słuchawkę, zdołałem zdławić konwulsje tego dźwięcznego trzonka, który paplał do ostatniej chwili. Poszedłem po urzędnika, powiedział mi, abym zaczekał chwilę. Potem zacząłem rozmawiać i po momencie ciszy usłyszałem ten głos, o którym mylnie sądziłem, że go znam tak dobrze. Dotąd, za każdym razem kiedy babka mówiła ze mną, śledziłem zawsze słowa na otwartej partycji¹⁶⁵ jej twarzy, gdzie oczy zajmowały wiele miejsca, ale sam w sobie jej głos słyszałem dziś po raz pierwszy. I dlatego że mi się ten głos wydawał zmieniony w proporcjach od chwili, gdy był wszystkim, dochodząc do mnie sam, bez akompaniamentu rysów twarzy, odkryłem, jak bardzo jest słodki; może zresztą nigdy nie był nim w tym stopniu, bo babka, czując, że jestem daleko i nieszczęśliwy, sądziła, że może dać folgę czułości, którą dla „zasady” pedagogicznej zazwyczaj powściągała i kryła. Był słodki, ale zarazem tak smutny! Po pierwsze, z przyczyny swojej słodczy, był prawie zupełnie oczyszczony — jak mało który ludzki głos — z wszelkiej twardości, z wszelkiego odporu, z wszelkiego egoizmu; kruchy w swojej delikatności, zdawał się co chwila gotów załamać, zamrzeć w czystym strumieniu łez; po wtóre, kiedym miał ten głos koło siebie, sam, widziany bez maski twarzy, spostrzegłem po raz pierwszy zgrzyzoty, które go rozbiły w biegu życia.

Czy to zresztą wyłącznie głos — przez to, że był sam — dawał mi owo nowe wrażenie, które mnie rozdzierało? Nie; raczej ta izolacja głosu była niby symbol, ewokacja¹⁶⁶, bezpośredni skutek innej izolacji — pierwszej rozłąki babki ze mną. Przestrogi i zakazy, jakimi mnie obsypywała co chwila w powszednim życiu, zniecierpliwienie posłuchu lub gorączka buntu, neutralizujące czułość moją dla niej, nie istniały w tej chwili, a nawet mogły przestać istnieć na przyszłość. Babka nie upierała się już mieć mnie koło siebie, pod swoim okiem; wyrażała właśnie nadzieję, że ja zostanę na dobre w Doncières lub w każdym razie przeciągnę pobyt możliwie najdłużej, co może wyjść na dobre memu zdrowiu i pracy. Toteż to, com miał pod tym małym kloszem przyłożonym do mego ucha, to była nasza wzajemna czułość, która, oswobodzona od przeciwnych ciśnień, co dnia stwarzających jej przeciwwagę, stawiała się czymś nieodpartym, rozsadzała mnie po prostu. Mówiąc, abym został, babka obudziła we mnie trwożliwe i szalone pragnienie powrotu. Swoboda, jaką mi zostawiała teraz wbrew wszelkiemu spodziewaniu, wydała

¹⁶³Furie (mit. rzym.) — okrutne boginie zemsty. [przypis edytorski]

¹⁶⁴poliszynel — postać z *commedia dell'arte*, złośliwy gbur, prześmiewca. [przypis edytorski]

¹⁶⁵partycji (daw.) — partytura, szczegółowy zapis nutowy utworu muzycznego. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ewokacja — wywołanie wspomnień, skojarzeń lub wizji czegoś. [przypis edytorski]

mi się nagle równie smutna, jak mogłaby być smutna wolność moja po jej śmierci (kiedy bym ją kochał jeszcze i kiedy by się ona całkiem mnie wyrzekła). Krzychałem: „Babciu, babciu” i byłbym chciał uściskać ją; ale miałem koło siebie tylko ten głos, widmo, równie nieuchwytnie jak to, które wróci może nawiedzić mnie, kiedy babka umrze. „Mów do mnie”; ale wówczas stało się, że się uczułem jeszcze bardziej sam, nagle zupełnie przestałem słyszeć ten głos. Babka nie słyszała mnie już, straciła kontakt ze mną, przestaliśmy być naprzeciw siebie, być dla siebie wzajem słyszalni. Wołałem ją dalej, macając w ciemności, czując, że i jej wołania muszą się gubić. Drżałem tym samym wzruszeniem, jakim doznałem niegdyś, bardzo dawno, w dniu, kiedy jako małe dziecko zgubiłem ją w tłumie; drżałem nie tyle o to, że jej nie odnajdę, ile o to, że ona mnie szuka, czułem, iż sobie mówi, że ja jej szukam; uczucie dosyć podobne do tego, jakim doznałem w dniu, kiedy się mówi do osób, które już nie mogą odpowiedzieć, a którym chciałoby się bodaj rzecz wszystko, czego się im nie powiedziało w życiu, i zapewnić je, że się nie cierpi. Zdawało mi się, że to już jest drogi cień, któremu dałem się zgubić wśród cieniów; samotny przed aparatem, dalej powtarzałem daremnie: „Babciu, babciu”, jak Orfeusz¹⁶⁷, zostawszy sam, powtarza imię zmarłej.

Zdecydowałem się opuścić pocztę, wywołać Roberta z restauracji, aby mu powiedzieć, że spodziewając się depezy, która mnie może zmusi do wyjazdu, chciałbym na wszelki wypadek znać rozkład pociągów. A jednak przed powzięciem tego postanowienia byłbym chciał ostatni raz wezwać Córy Nocy, Wysłanniczki Głosu, boginie bez twarzy; ale kapryśne Strażniczki nie chciały — lub zapewne nie mogły — otworzyć cudownych bram; daremnie wzywały niestrudzenie, swoim zwyczajem, czcigodnego wynalazcę druku oraz młodego księcia, miłośnika impresjonizmu i zapalonego automobilistę (który był siostrzeńcem kapitana de Borodino): Gutenberg i Wagram¹⁶⁸ zostawili ich błagania bez odpowiedzi. Odszedłem, czując, że wzywane przeze mnie Niewidzialne pozostanie głuche.

Odnajdując Roberta i jego kolegów, nie wyznałem im, że serce moje nie jest już z nimi, że wyjazd mój jest nieodwołalny. Robert udawał, że wierzy, ale jak dowiedziałem się później, od pierwszej minuty rozumiał, że moja niepewność jest udana i że jutro mnie już nie będzie. Podczas gdy, dając stygnąc potrawom, koledzy Roberta szukali wraz z nim najlepszego pociągu do Paryża i gdy w gwieździstej i zimnej nocy słychać było gwizd lokomotyw, nie czułem, to pewne, spokoju, jaki mi dała tutaj przez tyle wieczorów przyjaźń tych młodych ludzi oraz dalekie przesuwanie się pociągów. Ale i tego wieczora, mimo że w innej formie, pozostali wierni swojej roli. Wyjazd przygnębiał mnie mniej, kiedy nie musiał o nim myśleć sam jeden; kiedy czułem w tej sprawie udział normalniejszej i zdrowszej energii swoich dzielnych przyjaciół, kolegów Roberta, oraz owych innych silnych istot — pociągów, których ustawiczne krążenie między Doncières a Paryżem rozdrabniało retrospektywnie to, co było zbyt gęste i uciążliwe w mojej długiej rozłące z babką, na każdodziennie możliwości powrotu.

— Nie wątpię o prawdzie twoich słów i o tym, że nie zamierzasz jeszcze wyjeżdżać — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup — ale rób tak, jakbyś jechał, i przyjdź się pożegnać ze mną wcześniej rano, inaczej grozi nam to, że cię nie zobaczę. Zaproszony jestem na śniadanie, kapitan zwolnił mnie, na drugą muszę wracać do koszar, bo jedziemy na ćwiczenia na cały dzień. Facet, u którego mam śniadanie o trzy kilometry stąd, odwiezie mnie z pewnością, tak abym był w koszarach na drugą.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy przysłano po mnie z hotelu: wzywano mnie z poczty do telefonu. Pobiegłem, bo już miano zamykać pocztę. Słowo „międzymiastowa” powtarzało się raz po raz w odpowiedziach, jakie mi dawali urzędnicy. Byłem straszliwie niespokojny, bo to babka mnie wzywała. Zamykano już. Wreszcie dostałem połączenie. „Czy to ty, babciu?”. Głos kobiety o silnym akcencie angielskim odpowiedział: „Tak, ale

¹⁶⁷ Orfeusz (mit. gr.) — niezrównany tracki śpiewak i poeta; zszedł do podziemnej krainy zmarłych po swą żonę Eurydykę, zmarłą od ukąszenia węża; oczarował swoim śpiewem królujących tam Hadesa i Persefonę, którzy zgodzili się na powrót Eurydyki, stawiając warunek, że będzie szedł przed nią i nie obejrzy się za siebie, aż oboje wyjdą; Orfeusz tuż przed wyjściem z podziemia spojrzął na żonę i stracił ją na zawsze. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ Gutenberg i Wagram — nazwy dwóch głównych central telefonicznych w Paryżu, otwartych w 1892–1893; nazwane na cześć Jana Gutenberga (1398–1468), wynalazcy druku, oraz Alexandre’a Louisa Philippe’a Marie Berthier, ostatniego księcia Wagram (1883–1918). [przypis edytorski]

nie poznaję twojego głosu”. I ja nie poznawałem głosu, który do mnie mówił; przy tym babka nie mówiła mi nigdy „vous”¹⁶⁹. W końcu wszystko się wyjaśniło. Młody człowiek, którego babka wzywała do telefonu, miał nazwisko prawie identyczne z moim i mieszkał w filii hotelu. Ponieważ wezwano mnie tegoż samego dnia, w którym ja chciałem telefonować do babki, nie wątpiłem ani przez chwilę, że to ona mnie wzywa. Prosty zbieg okoliczności stał się przyczyną podwójnej omyłki na poczcie i w hotelu.

Nazajutrz rano spóźniłem się; nie zastałem Roberta, który już pojechał na śniadanie w sąsiedztwo. Około wpół do drugiej wybierałem się na wszelki wypadek do koszar, aby tam być w chwili jego przybycia. Naraz, idąc wiodącą tam aleją, ujrzałem jadące w tym samym kierunku tilbury¹⁷⁰, które mijając mnie, kazało mi uskoczyć na bok. Powoził podoficer z monoklem w oku; był to Saint-Loup. Obok niego siedział przyjaciel, u którego był na śniadaniu i którego już raz spotkałem w hotelu, gdzie się Robert stołował. Nie śmiałem wołać Roberta, skoro nie był sam, ale chcąc, aby się zatrzymał i wziął mnie z sobą, ściągnąłem jego uwagę ceremonialnym ukłonem, usprawiedliwionym obecnością nieznanego. Wiedziałem, że Robert ma krótki wzrok, ale myślałem, że gdyby mnie tylko zobaczył, poznałby mnie z pewnością; otóż on spostrzegł ukłon i oddał mi go, ale nie zatrzymując się. Oddalając się pędem, bez uśmiechu, bez drgnienia jednego mięśnia w twarzy, przyłożył jedynie palce do kepi, tak jakby odpowiadał na ukłon nieznanego żołnierza.

Pobiegłem do koszar, ale to było jeszcze daleko; kiedy przybyłem, pułk formował się na dziedzińcu, gdzie mi nie pozwolono zostać. W rozpaczy, że się nie mogę pożegnać z Robertem, poszedłem do jego pokoju, gdzie go nie było; zdołałem się dopytać o niego w gromadce „marodów”, rekrutów zwolnionych od marszu, młodego maturzysty oraz starego zupaka, którzy się przyglądali, jak pułk się formuje.

— Czy panowie nie widzieli sierżanta Saint-Loup? — spytałem.

— Zeszedł, proszę pana — rzekł zupak.

— Nie widziałem go — rzekł maturzysta.

— Nie widziałeś go — rzekł zupak, nie zajmując się już mną — nie widziałeś naszego morowca Saint-Loup, jak on paraduje w swoich nowych portczętach; kiedy go kapitan zobaczy, wścieknie się: oficerskie sukno!

— Cha, Cha! ty masz dobre kawały, oficerskie sukno — rzekł maturzysta, który jako „marod” nie szedł na ćwiczenia i próbował, nie bez pewnego niepokoju, stawiać się zupakom. — To oficerskie sukno, to sukno takie jak to.

— Ej, ej, panie, panie... — krzyknął z gniewem zupak, który mówił o „portczętach”.

Był oburzony, że młody maturzysta podał w wątpliwość fakt oficerskiego sukna; ale, jako Bretończyk urodzony we wsi, która się zowie Penguern-Stereden, wyuczywszy się po francusku z równym trudem, co gdyby to był język angielski lub niemiecki, kiedy się czuł wzruszony, powtarzał kilka razy „panie”, aby zyskać czas na znalezienie słów; po czym, po tym przygotowaniu, dawał folgę swojej wymowie, zadowolając się powtarzaniem kilku wyrazów, które znał lepiej od innych, ale bez pośpiechu, siląc się na poprawne wymawianie.

— A, to takie sukno jak to — powtórzył z gniewem, którym barwiła się stopniowo energia i powolność wysłowienia. — A, to takie sukno: kiedy ci mówię, że to sukno oficerskie, kiedy ci powiem, skoro ja ci to powiem, to ja myślę, że ja wiem, co mówię. Nie nas bujać takimi bajdami.

— A, w takim razie, to chyba — rzekł maturzysta zwyciężony tą argumentacją.

— O patrz, właśnie przechodzi kapichrust. Nie! popatrz tylko na naszego Saint-Loupka; patrz, jak on wyrzuca nogami i spójrz na jego facjatę. Czy powiedziałby kto, że to podoficer? A monok! Cha, cha! ten sobie lata.

Poprosiłem tych żołnierzy, którzy nic sobie nie robili z mojej obecności, żeby mi pozwolili też spojrzeć przez okno. Nie przeszkodzili mi ani się nie usunęli. Ujrzałem kapitana de Borodino, przejeżdżał majestatycznie truchtem, zdając się żywić złudzenie, iż bierze udział w bitwie pod Austerlitz. Kilku przechodniów skupiło się przed bramą, aby

¹⁶⁹vous (fr.) — zaimke 2. os. lm: wy; używany także jako forma grzecznościowa przy zwracaniu się do pojedynczej osoby (pan, pani) lub większej liczby osób (państwo). [przypis edytorski]

¹⁷⁰tilbury — lekki, otwarty powóz dwukołowy o dużych kołach, opracowany na pocz. XIX wieku przez londyńską firmę Tilbury; dostosowany do szybkiego poruszania się po nierównych drogach. [przypis edytorski]

patrzeć, jak pułk będzie wyjeżdżał. Wyprostowany na koniu, z twarzą nieco zbyt pulchną, z policzkami o cesarskiej pełni, z jasnym spojrzeniem, księżę musiał być igraszką jakiejś halucynacji, jak ja za każdym razem, kiedy po przejściu tramwaju cisza następująca po łomocie zdawała mi się jak gdyby prądkowana mglistym drganiem muzycznym. Byłem w rozpacz, że się nie pożegnał z Robertem, ale pojechałem i tak, bo moją jedyną myślą było wrócić do babki. Do owego dnia, w tym małym miasteczku, kiedy myślałem, co babka robi sama, przedstawiałem ją sobie taką, jak była ze mną, ale wyłączając siebie, bez zdania sobie sprawy z następstw tego wyłączenia; teraz musiałem się w jej ramionach czym prędzej wyzwolić z widma niepodjęwanego dotąd, a wywołanego nagle głosem babki, faktycznie rozdzielonej ze mną, zrezygnowanej, posiadającej — czego dotąd nigdy w niej nie znałem — wiek, odbierającej ode mnie list w pustym mieszkaniu, w jakim już sobie wyobrażałem mamę wówczas, kiedy wyjechałem do Balbec.

Niestety, właśnie to widmo ujrzałem, kiedy, wszedłszy do salonu bez uprzedzenia babki o powrocie, zastałem ją w trakcie czytania. Byłem tam, lub raczej nie byłem tam jeszcze, skoro ona nie wiedziała o tym: jak kobieta zaskoczona przy jakiejś robótce, którą chowa, kiedy wchodzi, pogrążona była w myślach, jakich nigdy nie zdradzała przede mną. Mocą ulotnego przywileju, dzięki któremu przez krótką chwilę powrotu zyskujemy zdolność naglego asystowania własnej nieobecności, był tam ze mnie jedynie świadek, obserwator, w kapeluszu i płaszczu podróżnym, ktoś obcy, nienależący do tego domu, fotograf przychodzący robić zdjęcie miejsc, których już nie ujrzymy. To, co się mechanicznie dokonało w tej chwili w moich oczach, kiedy spostrzegłem babkę, to była w istocie fotografia! Zawsze widzimy drogie nam istoty jedynie w żywym kontekście, w ciągłym ruchu naszej nieustannej tkliwości, która zanim pozwoli do nas dojść obrazom, jakie dla nas przedstawia ich twarz, chwyta je w swój wir, rzuca je na ideę, jaką sobie o nich tworzymy „od zawsze”, stapia je z tą ideą, zespala je z nią. W jaki sposób, skoro czoło i policzki babki wyrażały dla mnie to, co było najdelikatniejszego i najtrwalszego w jej duszy; w jaki sposób, skoro wszelkie nawykowe spojrzenie jest nekromancją, a każda ukochana twarz zwierciadłem przeszłości, w jaki sposób nie byłbym w niej pominął tego, co w niej mogło zgrubić i ulec zmianie, wówczas kiedy nawet w najobojętniejszych obrazach życia oko nasze, brzemienne myślą, opuszcza (tak jakby to zrobiła tragedia klasyczna) wszystkie zbyteczne dla akcji obrazy, zatrzymując jedynie te, które mogą cel uczynić zrozumiałym. Ale niech w miejsce naszego oka spojrzysz czysto materialna soczewka, płyta fotograficzna, wówczas, na przykład w dziedzińcu Instytutu¹⁷¹ zamiast wychodzącego akademika¹⁷², który woła fiakra, ujrzymy jego zataczanie się, jego wysiłki, aby się nie przewrócić wstecz, parabolę jego upadku, tak jakby był pijany lub jakby dziedziniec pokryty był gołoledzią. Tak samo się dzieje, kiedy jakiś okrutny podstęp przypadku przeszkodzi naszej inteligentnej i zbożnej czułości nadbiec na czas, aby ukryć naszym spojrzeniom to, czego nie powinny nigdy oglądać; kiedy ją wyprzedzi owo *coś*, co przybywszy pierwsze na miejsce i zostawione samemu sobie, funkcjonuje mechanicznie na kształt czulej błonki i pokaże nam w miejsce ukochanej istoty, która nie istnieje już od dawna, ale której śmierć czułość nasza zawsze chciała przed nami utaić — nową istotę, którą po sto razy dziennie czułość ta stroiła drogim i kłamliwym podobieństwem. I jak chory, który się nie oglądał od dawna, komponujący co chwilę twarz — której nie widzi — wedle idealnego obrazu, jaki nosi o sobie samym w swojej myśli, cofa się, widząc w lustrze, na wyschłej i spustoszonej twarzy, skośną i zaczerwienioną protuberancję¹⁷³ nosa olbrzymiego na kształt piramidy egipskiej, tak ja, dla którego babka była jeszcze mną samym, ja, którym nigdy nie widział jej inaczej niż w swojej duszy, wciąż w tym samym miejscu przeszłości, poprzez przezroczystość otaczających ją ze wszech stron uśmiechów, nagle, w naszym salonie, tworzącym część nowego świata — świata czasu — tego, gdzie żyją ludzie obcy, o których się mówi „bardzo się zestarzał”, pierwszy raz i tylko na chwilę, bo ten obraz znikł bardzo szybko —

¹⁷¹*Instytut* — Instytut Francuski, obejmujący pięć towarzystw naukowych: Akademię Francuską, Akademię Napisów i Literatury Pięknej, Akademię Nauk, Akademię Sztuk Pięknych i Akademię Nauk Moralnych i Politycznych. [przypis edytorski]

¹⁷²*akademik* (daw.) — profesor akademii, uniwersytetu; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

¹⁷³*protuberancja* — jasna struktura widoczna ponad brzegiem tarczy słonecznej, składająca się ze stosunkowo gęstej plazmy; protuberancje obserwuje się podczas całkowitych zaćmień słońca lub za pomocą koronografu. [przypis edytorski]

na kanapie, pod lampą ujrzałem czerwoną, ciężką i pospolitą, chorą, zadumaną, wodzącą po książce błędnymi nieco oczami, przygnębioną starą kobietę, której nie znałem.

Na moją prośbę, abym mógł obejrzeć Elstiry pani de Guermantes, Saint-Loup rzekł: „Odpowiadam za nią”. I w istocie, na nieszczęście, jedynie on odpowiedział za nią. Łatwo odpowiadamy za innych, kiedy, rozporządzając w swoich myślach obrazkami, które ich wyobrażają, poruszamy nimi wedle naszej woli. Zapewne, nawet w tej chwili bierzemy w rachubę trudności wynikające z natury każdej z tych osób, różnej od nas, i nie zaniedbujemy uciec się do jakiegoś sposobu działania mającego na nich wpływ — interesu, perswazji, wzruszenia, zdolnych zneutralizować przeciwne skłonności. Ale ową różność od naszej natury również wyobraża sobie nasza natura; to my usuwamy te trudności, my dawkujemy te skuteczne sposoby. I kiedy chcemy w życiu ziścić owe gesty, któreśmy w swoich myślach kazali powtarzać drugiej osobie zgodnie z naszą wolą, wszystko się zmienia: natykamy się na nieprzewidziane opory, często nie do pokonania. Jednym z najsilniejszych jest niewątpliwie opór zrodzony w niekochającej kobiecie z niezwykłego obmierzłego wstrętu, jaki w niej budzi człowiek, który ją kocha. W ciągu długich tygodni, przez które Saint-Loup nie mógł przybyć do Paryża, ciotka jego (do której ponad wszelką wątpliwość napisał z prośbą o to) nie zaprosiła mnie ani razu, abym przyszedł obejrzeć obrazy Elstira.

Odczułem chłód jeszcze ze strony innej osoby w domu. Osobą tą był Jupien. Czy uważał, że powinienem być zająć do niego przywitać się, wróciwszy z Doncières, zanim nawet wszedłem do domu? Matka zapewniła mnie, że nie, że nie trzeba się temu dziwić. Franciszka mówiła jej, że Jupien jest już taki, że miewa takie nagłe humory bez powodu. Przechodzi mu to po niedługim czasie.

Tymczasem zima dobiegła końca. Pewnego rana, po kilku tygodniach słoty i burz, usłyszałem w swoim kominku — w miejsce bezkształtnego, elastycznego i posępnego wichru, który budził we mnie dreszcz tęsknoty za morzem — gruchanie gołębi, gnieżdżących się w murze: tęczowe, nieprzewidziane jak pierwszy hiacynt, łagodnie rozdierające swoje żywicielskie serce, iżby trysnął jego dźwięczny i atlasowy kwiat koloru lila, wpuszczające, na kształt otwartego okna, do mojego zamkniętego jeszcze i czarnego pokoju ciepło, blask, znużenie pierwszego ładnego dnia. Owego rana chwyciłem się na tym, że nucił aryjkę z *café concert*¹⁷⁴, której zapomniałem od owego roku, gdy miał jechać do Florencji i do Wenecji. Tak głęboko atmosfera, zależnie od dnia, działa na nasz organizm i z ciemnych składów, gdzieśmy ich zapomnieli, dobywa melodie zapisane, ale nieodcyfrowane naszą pamięcią. Niebawem bardziej świadomy marzyciel towarzyszył temu muzykowi, któremu słuchał w samym sobie, nie poznawszy nawet zrazu, co on gra.

Czułem, iż raczej, dla których, kiedym przybył do Balbec, nie znalazłem już w miejscowym kościele oroku, jaki miał dla mnie, zanim go poznałem, to nie są raczej szczególnie związane z Balbec; że we Florencji, w Parmie czy w Wenecji wyobrażenia moja też nie lepiej umiałyby się podstawić w miejsce moich oczu, aby patrzeć. Czułem to. Tak samo pewnego wieczora w Nowy Rok, z zapadnięciem nocy, przed słupem z afiszami odkryłem, że złudzeniem jest wiara, iż pewne świąteczne dni różnią się zasadniczo od innych. A mimo to wspomnienie czasu, kiedym się spodziewał spędzić Wielki Tydzień we Florencji, nadal spowijało ją niby atmosferą miasta kwiatów, dając równocześnie Wielkiej Nocy coś florenckiego, a Florencji coś wielkanocnego. Wielki Tydzień był jeszcze daleko; ale w szeregu dni, który się rozciągał przede mną, dni świąteczne odcinały się jaśniej od zwyczajnych. Tknięte promieniem, jak pewne domy w wiosce widzianej z daleka w grze światła i cieni, skupiały na sobie wszystko słońce.

Robiło się coraz cieplej. Nawet rodzice, radząc mi, abym chodził na spacer, dostarczali mi pretekstu do wznowienia rannych wypraw. Byłbym chciał ich zaprzestać, bom spotykał

¹⁷⁴*café concert* a. *café chantant* (fr.) — kawiarnia z występami artystycznymi i śpiewem; kabaret. [przypis edytorski]

na nich panią de Guermantes. Ale właśnie dlatego wciąż myślałem o tych spacerach, co sprawiało, że znajdowałem dla nich wciąż nowe racje niemające żadnego związku z panią de Guermantes i dowodzące mi bez trudu, że gdyby ona nie istniała, tak samo szedłbym na spacer o tej samej porze.

Niestety! o ile byłoby mi obojętne spotkać wszelką inną osobę niż ona, o tyle czułem, że dla niej spotkanie z kimkolwiek byłoby znośniejsze niż spotkanie ze mną. Zdarzało się jej w ciągu rannej przechadzki odklaniać wielu notorycznym durniom, przy czym widok ich uważała, jeżeli nie za wróżbę przyjemności, to bodaj za wynik przypadku. I zatrzymywała ich czasem, bo są chwile, kiedy mamy ochotę wyjść z siebie, przyjmując gościnę w duszy drugich, pod warunkiem, żeby ta dusza, choćby najskromniejsza i najbrzydsza, była duszą cudzą, podczas gdy księżna czuła z rozpaczą i ze wstrętem, że w mojej duszy odnalazłaby jedynie siebie samą. Toteż nawet kiedy miałem dla obrania tej drogi inny powód niż to, aby ją zobaczyć, drżałem jak zbrodniarz w chwili, gdy ona przechodziła; czasem, pragnąc niejako zneutralizować to, co w moim zachowaniu mogło się wydać natręctwem, ledwie odpowiadałem na ukłon księżnej lub przyglądałem się jej, nie kłaniając się. Osiągałem tylko tyle, żem ją drażnił jeszcze bardziej i że zaczęła mnie w dodatku uważać za impertynenta i gbura.

Księżna nosiła teraz suknie lżejsze lub bodaj jaśniejsze i sunęła ulicą, gdzie — jak gdyby już była wiosna — w wąskich sklepach, wciśniętych w szerokie fasady starych arystokratycznych pałaców, na wystawie handlarki masła, owoców, jarzyn, zapuszczone były stopy dla ochrony od słońca. Powiadałem sobie, że kobieta zbliżająca się ku mnie z daleka, otwierająca umbrellę¹⁷⁵, przechodząca na drugą stronę ulicy, jest, zdaniem znawców, największą współczesną artystką w sztuce wykonywania tych gestów i czynienia z nich czegoś rozkosznego. Szła; ciało jej, nieświadome tej szerokiej reputacji, szczupłe, oporne i obce, gięło się pod lekkim jedwabiem lila; chmurne i jasne jej oczy patrzyły niedbale przed siebie i spostrzegły mnie może; księżna przygryzała wargi; widziałem, jak poprawia mufkę, daje grosz ubogiemu, kupuje bukiet fiołków od kwiaciarki. Patrzyłem na nią z tą samą ciekawością, z jaką bym śledził ruchy pędzla u wielkiego malarza. I kiedy, mijając mnie, kiwała mi głową, łącząc niekiedy z tym gestem nikły uśmiech, miałem wrażenie, że wykonała dla mnie — przydając dedykację — rysunek, będący arcydziełem. Każda jej suknia wydawała mi się naturalną i konieczną atmosferą, projekcją odrębnego stanu jej duszy.

Pewnego wielkopostnego ranka, kiedy księżna miała jakieś prozzone śniadanie, spotkałem ją w aksamitnej żywoczerwonej sukni, lekko wyciętej. Twarz pani de Guermantes, okolona włosami blond, wydawała się rozmarzona. Uczulem się mniej smutny niż zwykle, bo jej melancholijny wyraz — rodzaj klauzury¹⁷⁶, siłą koloru odcinającej ją od reszty świata — dawał jej coś nieszczęśliwego i samotnego, co mi dodawało otuchy. Ta suknia zdawała mi się dokoła niej materializacją szkarłatnych promieni serca, którego w niej nie znałem i które mógłbym może pocieszyć; spowita w mistyczne światło łagodnych fałdów materii, księżna wydawała mi się niby jakaś święta z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wówczas odczuwałem wstyd, że mierzę swoim widokiem tę męczennicę. „Ale ostatecznie — powiadałem sobie — ulica jest dla wszystkich”.

„Ulica jest dla wszystkich” — powtarzałem, dając tym słowom odmienne znaczenie i podziwiając, że na tej ulicy, ludnej, często mokrej od deszczu i szacownej w tej chwili niby jaka ulica starożytnych miast Italii, księżna de Guermantes z życiem publicznym miesza chwile swego poufnego życia, ukazując się oto każdemu — ze wspaniałą hojnością arcydzieł — tajemnicza, potrącana przez wszystkich. Ponieważ wyszedłem rano po nieprzespanej nocy, po południu rodzice radzili mi, abym się trochę położył i starał się zasnąć. Na to, by zasnąć, nie potrzeba dużo refleksji; bardzo natomiast zbawienne jest ku temu przyzwyczajenie, a nawet brak refleksji. Otóż w owych godzinach nie dostawało¹⁷⁷ mi obu tych rzeczy. Przed zaśnięciem myślałem tak długo, że nie zdołam zasnąć, iż nawet kiedy zasnął, zostawało mi trochę myśli. Było to jedynie wątle światelko w zupełnej niemal ciemności, ale wystarczało, aby rzucić na mój sen — niby jakiś odbłask

¹⁷⁵umbrella — parasolka. [przypis edytorski]

¹⁷⁶klauzura (z łac.: zamknięcie) — zamknięta część domu zakonnego lub klasztoru; także: przepisy zakonne zakazujące kontaktowania się ze światem zewnętrznym. [przypis edytorski]

¹⁷⁷nie dostawać (daw.) — nie wystarczać, brakować. [przypis edytorski]

myśl, że nie zdołam zasnąć, a potem — odbłask tego odbłasku — myśl, że to we śnie wydawało mi się, iż nie śpię; potem — jako nowe odbicie — przebudzenie... do nowego snu, w którym chciałem opowiedzieć przyjaciółom (właśnie weszli do mego pokoju), że przed chwilą, śpiąc, myślałem, iż nie śpię. Cienie te ledwie były do rozpoznania; trzeba by wielkiej i bardzo czej subtelności percepcji, aby je pochwycić. Podobnie później w Wenecji, dobrze po zachodzie słońca, kiedy się zdaje, że już jest zupełna noc, widziałem — dzięki niewidzialnemu wszakże echu ostatniej nuty światła, bez końca trzymanej na kanałach jak gdyby mocą jakiegoś optycznego pedału — odbicia pałaców rozpościerające się jak gdyby na wieki czarniejszym aksamitem na wieczornej szarości wód.

Jednym z moich sennych marzeń była synteza tego, co moja wyobraźnia często się sobie starała wyobrazić na jawie: pewien krajobraz morski i jego średniowieczną przeszłość. Widziałem we śnie gotyckie miasto pośród morza o falach stężących jak na witrażu. Odnoga morza dzieliła miasto na dwoje; zielona woda rozciągała się u moich stóp; woda ta opływała na przeciwległym brzegu wschodni kościół, dalej domy istniejące jeszcze w XIV wieku, tak że iść ku nim znaczyłoby cofać się w głąb wieków. Ten sen, w którym natura wyuczyła się sztuki, gdzie morze stało się gotyckie, ten sen, w którym pragnąłem dotknąć niemożliwości i miałem uczucie, że to czynię, zdawał mi się czymś, com już śnił często. Że jednak właściwością marzeń sennych jest to, że się mnożą w przeszłości i że, mimo iż nowe, wydają się znane, sądziłem, że się omylił. Spostrzegłem, przeciwnie, że w istocie często miewałem ten sen.

Nawet owe tak charakterystyczne pomniejszenia objawiały się w moim śnie, ale w sposób symboliczny: nie mogłem w ciemności rozpoznać twarzy przyjaciół, bo śni się z zamkniętymi oczami; rozprawiając przez sen sam z sobą bez końca, z chwilą gdym chciałem przemówić do przyjaciół, czułem, iż dźwięk zamiera mi w gardle, bo nie mówi się wyraźnie we śnie; chciałem podejść do nich i nie mogłem ruszyć nogami, bo również nie chodzi się we śnie; i nagle wstyd mi było pokazać się im, bo śni się bez ubrania. Tak iż postać snu, jaką stwarzał sam mój sen — ośleple oczy, zawarte usta, bezwładne nogi, nagie ciało — przypominała owe wielkie alegoryczne figury, które dał mi niegdyś Swann, a w których Giotto¹⁷⁸ wyobraził Zawieść z wężem w ustach.

Saint-Loup przyjechał do Paryża tylko na kilka godzin. Tłumacząc się, że nie miał sposobności wspomnieć o mnie kuzynce, równocześnie powiadał, zdradzając się naiwnie:

— Oriana jest bardzo dziwna, to już nie moja dawna Oriana, odmieniono mi ją. Ręczę ci, nie warto, żebyś o niej myślał. Czynisz jej o wiele za dużo zaszczytu. Chcesz, przedstawię cię mojej kuzynce Poitiers? — dodał, nie zdając sobie sprawy, że to by mi nie sprawiło żadnej przyjemności. — Oto młoda kobieta inteligentna i która by ci się spodobała! Wyszła za mego kuzyna, księcia de Poitiers; dobry chłopiec, ale trochę za wielki prostaczek jak dla niej. Mówiłem z nią o tobie. Prosiła, żeby cię przyprowadzić. Dużo ładniejsza od Oriany, i młodsza. To jest indywidualność, wiesz: ef-ef. (Były to wyrażenia nowe, tym żarliwiej przyswojone przez Roberta, oznaczające, że ktoś ma subtelną naturę). Nie powiem ci — dodał — aby ona była dreyfusistka, trzeba się ostatecznie liczyć z jej środowiskiem, ale bądź co bądź mówi: „Gdyby był niewinny, cóż za okropność, że go trzymają na Diabłej Wyspie”. Rozumiesz, prawda? Przy tym to osoba, która bardzo wiele robi dla swoich dawnych nauczycielek; zabroniła je wpuszczać kuchennymi schodami. Zapewniam cię, to ktoś bardzo, bardzo. W gruncie, Oriana nie lubi jej, bo czuje, że tamta jest inteligentniejsza.

Mimo że pochłonięta współczuciem, jakie w niej budził lokaj Guermantów — który nie mógł odwiedzić narzeczonej, nawet gdy księżnej nie było w domu, bo natychmiast zaraportowałby to odzwierny — Franciszka ubolewała, że jej nie było w domu w chwili wizyty Roberta; ale bo teraz ona sama chodziła z wizytami. Wychodziła niemylnie w dni, gdym jej potrzebował; a zawsze po to, aby odwiedzić brata, siostrzenicę, zwłaszcza

¹⁷⁸ Giotto di Bondone (1266–1337) — włoski malarz i architekt; odszedł od stylu wschodniego, bizantyjskiego, czym przyczynił się do rozwoju nowożytnego malarstwa we Włoszech; autor kilku cykli fresków w kaplicy Scrovegnich w Padwie, między innymi alegorii siedmiu cnót i siedmiu grzechów głównych, w tym Zawieści, przedstawionej jako kobieta, z której ust wychodzi wąż kłuszący ją w twarz. [przypis edytorski]

cza zaś własną córkę, przybyłą niedawno do Paryża. Już sam rodzinny charakter tych wizyt, pozbawiających mnie usług Franciszki, pomnażał moją irytację, bo przewidywałem, że każda wizyta będzie dla niej czymś, z czego nie można się zwolnić, wedle zasad ustalonych w Saint-André-des-Champs. Toteż zawsze słuchałem jej wymówek z bardzo niesprawiedliwym złym humorem, którego miarę przepełniał sposób, w jaki Franciszka mówiła: „Zaszłam do brata, wpadłam »po drodze« uściskać siostrzenicę” (albo: „moją siostrzenicę rzeźniczkę”). Co się tyczy córki, Franciszka wolałaby ją wyprawić z powrotem do Combray. Ale ta świeża paryżanka, posługując się jak elegantka skrótami, ale gminnymi, mówiła, że tydzień spędzony w Combray dłużyłby się jej, gdyby nie miała co dzień bodaj swojego „Intran”¹⁷⁹. Tym mniej miała ochotę jechać do siostry Franciszki, mieszkającej w górzystej okolicy, bo góry, powiadała córka Franciszki, dając słowu „interesujący” nowy i żalosny sens — nie są zbyt interesujące. Nie mogła się zdecydować na powrót do Meseglise, gdzie „ludzie są takie głupie”, gdzie na targu kumoszki doszukiwałyby się jakiegoś pokrewieństwa, powiadając: „Popatrz no, czy to nie córka nieboszczyka Bazireau?”. Wolałaby raczej umrzeć, niż tam wracać „teraz, kiedy zasmakowała paryskiego życia”. Tradycjonalistka Franciszka uśmiechała się dość życzliwie do ducha nowatorstwa wcielonego w świeżej paryżance, kiedy ta mówiła: „No i cóż, matka, jeżeli nie będziesz miała wychodni, pchnij mi po prostu *pneu*”.

Znów zrobiło się zimniej. „Wychodzić? po co? żeby się zaziębić?” — mówiła Franciszka, która wolała siedzieć w domu przez tydzień, na który jej córka, brat oraz siostrzenica-rzeźniczka pojechali do Combray. Zresztą Franciszka — ostatnia sekciarka, w której przetrwały mętnie nauki cici Leonii z zakresu fizyki — dodawała, mówiąc o niezwykłym jak na tę porę czasie: „To jeszcze Pan Bóg się nie wygniewał do reszty”. Odpowiadałem na jej lamentsy jedynie leniwym uśmiechem, tym obojętniejszy na te przepowiednie, że dla mnie miało być ładnie na wszelki sposób: już widziałem ranne słońce błyszczące na wzgórzu Fiezole, grzałem się w jego promieniach; siła ich kazała mi z uśmiechem otwierać i przysmykać powieki, wypełniające się niby alabastrowe lampki nocne różowym blaskiem. To nie tylko dzwony wracały z Italii, Italia wróciła z nimi. Moim wiernym ręką nie zbraknie kwiatów, aby uczcić rocznicę podróży, jaką miałem podjąć niegdyś; bo od czasu gdy w Paryżu zrobiło się zimno — tak jak w owym roku, przed Wielkanocą, w chwili naszych przygotowań do wyjazdu — w płynnym i mroźnym powietrzu kąpiącym kasztany i platany na bulwarze, drzewo na dziedzińcu w naszym domu rozchyliło już liście, niby w naczyniu pełnym czystej wody narcyzy, żonkile, anemony z Ponte Vecchio¹⁸⁰.

Ojciec powiedział nam, że wie już przez A. J., dokąd udaje się pan de Norpois, kiedy się go spotyka w naszym domu.

— Idzie do pani de Villeparisis; on z nią jest bardzo blisko, nic o tym nie wiedziałem. Zdaje się, że to przemiła osoba, niezwykła kobieta. Powinien byś jej złożyć wizytę — rzekł ojciec do mnie. — Zresztą Norpois zdziwił mnie bardzo, mówiąc o panu de Guermantes jak o człowieku bardzo dystyngowanym; zawsze go miałem za prostaka. Zdaje się, że on wie bardzo dużo, że ma wiele smaku, jest tylko bardzo pyszny ze swego nazwiska i ze swoich parantel. Ale zresztą (powiada Norpois) on ma olbrzymią sytuację, nie tylko tutaj, ale w całej Europie. Zdaje się, że cesarz austriacki i cesarz rosyjski traktują go całkiem jak przyjaciela. Stary Norpois powiedział mi, że pani de Villeparisis bardzo cię lubi i że poznałbyś w jej salonie interesujących ludzi. Bardzo mi cię chwalił. Spotkasz go u pani de Villeparisis: mógłby ci dać dobre rady, nawet choćbyś miał zostać literatem. Bo ja widzę, że z ciebie nie będzie nic innego. I to może być kariera; nie tego bym pragnął dla ciebie, ale staniesz się niebawem dorosłym mężczyzną, nie zawsze będziemy przy tobie, nie możemy ci bronić iść za swoim powołaniem.

Gdybym bodaj zdołał zacząć pisać! Ale jakiegokolwiek były okoliczności, w których chwyciłem się tego projektu (tak samo, niestety, jak postanowień nieużywania alkoholu, wczesnego spania, dbania o zdrowie), choćbym to czynił zapalczywie, metodycznie, z upojeniem, pozbawiając się spaceru, odkładając go i chowając go sobie jako nagrodę, korzystając z godziny dobrego stanu zdrowia, spożytkowując przymusową bezczynność

¹⁷⁹ „Intran” — popularny skrót dziennika „L’Intransigeant”. [przypis tłumacza]

¹⁸⁰ Ponte Vecchio (wł. Stary Most) — najstarszy z mostów Florencji, na rzece Arno. [przypis edytorski]

dnia choroby, rezultatem moich wysiłków była wciąż jedynie biała stronica nieskalana piórem, nieuchronna jak owa karta, którą wyciągamy niezmiennie w sztuce magicznej, w jaki bądź sposób stasowalibyśmy poprzednio talię. Byłem jedynie narzędziem nawyków niepracowania, niekładzenia się, niespania, które musiały się zrealizować na wspak wszystkiemu; jeżeli się im nie opierałem, jeżeli się zadowalałem następczym przez pierwszą lepszą okoliczność pretekstem, aby im zostawić swobodę działania, czyniłem to bez zbytnej szkody; i tak odpoczywałem kilka godzin pod koniec nocy, czytałem trochę, nie robiłem zbytnych ekscesów; ale jeżeli chciałem zadać gwałt tym nawykom, jeżeli się siliłem wcześniej położyć do łóżka, pić tylko wodę, pracować, rozdrażniało je to, posuwały się do ostateczności, wpędzały mnie w kompletną chorobę, musiałem zdwoić dawkę alkoholu, nie kładłem się do łóżka po dwa dni, nie mogłem już nawet czytać. Po czym postanawiałem sobie być na drugi raz mądrzejszym, to znaczy mniej rozsądnym, jak ofiara, która się pozwala okraść z obawy, aby w razie oporu nie zamordowano jej.

Wśród tego ojciec spotkał raz czy dwa pana de Guermantes; obecnie, odkąd mu pan de Norpois powiedział, że książę jest człowiekiem wybitnym, zwracał więcej uwagi na jego słowa. Właśnie mówili w dziedzińcu o pani de Villeparisis.

— Powiedział, że to jego ciotka; wymawia „Viparisi”. Mówi, że jest nadzwyczaj inteligentna. Dodał nawet, że ona ma „bureau d’esprit”¹⁸¹ — dodał ojciec, uderzony mglistością tego wyrażenia, które spotkał raz czy dwa w starych pamiętnikach, ale któremu nie umiał dać określonego sensu.

Matka miała dla ojca takie uwielbienie, iż widząc, iż ojciec nie jest obojętny na to, że pani de Villeparisis ma „bureau d’esprit”, uznała doniosłość tego faktu. Mimo iż od dawna wiedziała przez babkę, co warta jest margrabina, natychmiast nabrała o niej lepszego pojęcia. Babka, w tym czasie nieco cierpiąca, nie była zrazu zbyt przychylna wizycie, potem przestała się tym interesować. Od czasu jak mieszkaliśmy w nowym mieszkaniu, pani de Villeparisis zapraszała ją kilka razy; za każdym razem babka odpowiadała, że nie wychodzi obecnie z domu. Uderzył nas nowy i dość niezrozumiały dla nas obyczaj babki: nie zaklejała teraz żadnego listu, troskę o to zostawiając Franciszce. Co do mnie, nie dość jasno wyobrażając sobie to „bureau d’esprit”, nie byłbym bardzo zdziwiony, zastając starą damę z Balbec przy „biurku”, co też w istocie się zdarzyło.

Ojciec chciał ponadto upewnić się, czy poparcie ambasadora zapewni mu dużo głosów w Instytucie, gdzie zamierzał postawić swoją kandydaturę na członka-korespondenta. Prawdę rzekłszy, nie ośmielając się wątpić o poparciu pana de Norpois, nie był go jednakże całkiem pewny. Myślał, że to są plotki, kiedy mu w ministerstwie mówiono, że pan de Norpois pragnie w nim sam jeden reprezentować Instytut i że będzie na wszelkie możliwe sposoby przeszkadzał wyborowi ojca, bardzo mu zresztą nie na rękę w tej chwili, kiedy popiera inny wybór. Uderzyło natomiast ojca, kiedy pan Leroy-Beaulieu¹⁸² poradził mu zgłosić kandydaturę i rozważał jej widoki, że znakomity ekonomista nie wymienił pana de Norpois pośród kolegów, na których może liczyć w tej sprawie. Ojciec nie śmiał zapytać eks-ambasadora wprost, ale miał nadzieję, że ja wrócę od pani de Villeparisis z jego wyborem w kieszeni. Wizyta ta była nieuchronna. Poparcie pana de Norpois, zdolne w istocie zapewnić ojcu dwie trzecie Akademii, zdawało się zresztą tym prawdopodobniejsze, ile że uczynność ambasadora była przysłowiowa; nawet ci, co z nim najmniej sympatyzowali, uznawali, że nikt bardziej nie lubi oddać przysługi. A z drugiej strony w ministerstwie przychylność jego dla mojego ojca była o wiele wyraźniejsza niż w stosunku do jakiegokolwiek innego urzędnika.

Ojciec wspominał jeszcze o innym spotkaniu, ale to spotkanie wywołało jego zdumienie, a potem oburzenie. Minął na ulicy panią Sazerat; stosunkowa niezamożność tej damy uszczupliła jej życie paryskie do rzadkich pobyków u przyjaciółki. Towarzystwo pani de Sazerat nudziło ojca, tak że mama musiała raz do roku mówić mu słodkim i błagalnym głosem: „Mój drogi, muszę raz zaprosić panią de Sazerat; nie będzie siedziała długo”; a nawet: „Słuchaj, mam cię prosić o wielką ofiarę, zjźdź na chwilę do pani Sazerat. Wiesz, że nie lubię cię męczyć, ale to byłoby tak grzecznie z twojej strony”. Ojciec śmiał się, gniewał się trochę i odrabiał tę wizytę. Mimo zatem iż nie przepadł za panią

¹⁸¹bureau d’esprit (fr.; dosł.: gabinet umysłu, ducha) — salon, w którym rozmawia się o sztuce, literaturze, nauce; innym znaczeniem słowa bureau jest biurko, rodzaj mebla. [przypis edytorski]

¹⁸²Leroy-Beaulieu, Pierre Paul (1843–1916) — francuski ekonomista. [przypis edytorski]

Sazerat, spotkawszy ją, podszedł do niej z przyjaznym ukłonem; ale ku jego zdumieniu pani Sazerat poprzestała na lodowatym skinieniu głową, jak gdyby wymuszonym przez grzeczność wobec kogoś, kto się dopuścił brzydkiego uczynku lub kto zmuszony jest obecnie żyć na drugiej półkuli. Ojciec wrócił zirytowany, zdumiony. Nazajutrz matka spotkała panią Sazerat w jakimś salonie; pani Sazerat nie podała jej ręki i uśmiechnęła się do niej blado i smutno, jak do osoby, z którą bawiliśmy się w dzieciństwie, ale z którą zerwaliśmy od tego czasu wszelkie stosunki, ponieważ prowadzi gorszące życie albo wyszła za mąż za kryminalistę lub, co jeszcze gorzej, za rozwodnika. Otóż dotąd rodzice moi zawsze odnosili się do pani Sazerat z głębokim szacunkiem i cieszyli się wzajemnym szacunkiem z jej strony. Ale (o czym matka nie wiedziała) pani Sazerat, jedyny egzemplarz tego gatunku w Combray, była dreyfusistką. Ojciec, przyjaciel pana Méline¹⁸³, był przeświadczony o winie Dreyfusa. Odprawił — i to bardzo cierpko — z niczym swoich kolegów, gdy go prosili o podpis na adresie¹⁸⁴ żądającym rewizji procesu. Nie mówił do mnie przez tydzień, kiedy się dowiedział, że ja mam inną orientację. Opinie ojca były znane. Uważano go niemal za nacjonalistę. Co się tyczy babki, która sama jedna w naszej rodzinie powinna by — zdawało się — płonąć szlachetnym wątpieniem, ta, ilekroć ktoś wspomniał o możebnej niewinności Dreyfusa, potrząsała głową ruchem (znaczenia tego ruchu nie rozumieliśmy wówczas) podobnym do gestu osoby, której zakłóca się poważniejsze myśli. Matka, rozdarta między swoją miłość do męża a nadzieję, że ja będę inteligentny, zachowywała brak decyzji wyrażający się milczeniem. Dziadek wreszcie, uwielbiający armię (mimo że obowiązki gwardzisty narodowego były zmorą jego męskich lat) niezdolny był ujrzeć w Combray pułku defilującego przed furką, aby nie odkryć głowy, kiedy przejeżdżał pułkownik, a za nim sztandar. Wszystko to wystarczało, aby pani Sazerat, znająca do głębi życie ojca i dziadka przeżyte pod znakiem bezinteresowności i honoru, uważała ich obu za podpory nieprawości. Przebacza się zbrodnie indywidualne, ale nie udział w zbrodni zbiorowej. Z chwilą gdy się pani Sazerat dowiedziała, że ojciec jest antydreyfusistą, rzuciła między nim a sobą całe łądy i wieki. Co tłumaczy, że na taką odległość w czasie i przestrzeni ukłon jej wydał się ojcu niedostrzegalny, jej zaś nie przyszło na myśl poprzec ukłonu uściskiem dłoni ani słowami niezdolnymi przebyć światów, które ich dzieliły.

¹⁸³Méline, Jules (1838–1925) — francuski polityk, premier Francji (1896–1898). [przypis edytorski]

¹⁸⁴adres (daw.) — pismo zbiorowe wystosowane do osoby wybitnej lub zajmującej wysokie stanowisko. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM DRUGI

Wybierając się do Paryża, Saint-Loup obiecał zaprowadzić mnie do pani de Villeparisis, gdzie, mimo iż nie zdradzając tego, miałem nadzieję spotkać panią de Guermantes. Zaprosił mnie na śniadanie ze swoją kochanką, którą odprowadzilibyśmy później do teatru na próbę. Mieliśmy się wybrać po nią rano w okolicę Paryża, gdzie mieszkała.

Prosiłem Roberta, żeby zjeść śniadanie w restauracji (w życiu złotej młodzieży puszczającej pieniądze restauracja gra rolę równie ważną jak skrzynie z tkaninami w arabskich powieściach), gdzie Aimé, jak mi to oznajmił, miał pełnić obowiązki *maitre d'hôtel*¹⁸⁵ w oczekiwaniu sezonu w Balbec. Dla mnie, co marzyłem o tylu podróżach, a robiłem ich tak mało, wielki urok miało spotkanie człowieka, który stanowił częstkę już nie tylko moich wspomnień z Balbec, ale samego Balbec, który jeździł tam co rok, który, kiedy niedomaganie lub wykłady zatrzymywały mnie w Paryżu, oglądał mimo to w ciągu długich schyłków lipcowych popołudni, zanim goście zaczęły się schodzić na obiad, zachodzące i tonące w morzu słońce; patrzył na nie przez szklane tafle wielkiej jadalni, poza którymi, w porze gdy słońce gasło, nieruchome skrzydła dalekich i błękitnych statków robiły wrażenie egzotycznych motyli nocnych w witrynie. Kelner ten, sam namagnesowany przez swój kontakt z potężnym magnesem Balbec, stał się z kolei dla mnie magneselem. Spodziewałem się przez rozmowę z nim znaleźć się już niejako w styczności z Balbec, zakosztować na miejscu nieco czaru podróży.

Wyszedłem rano z domu, gdzie zostawiłem Franciszkę biadającą, ponieważ lokaj księżnej znowuż poprzedniego dnia nie mógł odwiedzić narzeczonej. Franciszka zastała go we łzach; o mało nie spoliczkował odźwiernego, ale się opanował, bo zależało mu na miejscu.

Zanim się spotkałem z Robertem, który miał mnie oczekiwać u siebie przed bramą, natknąłem się na pana Legrandin, którego straciliśmy z oczu od czasu Combray; mocno już szpakowaty, zachował w rysach coś młodego i serdecznego. Zatrzymał się:

— Ha, ha! — rzekł — widzę, że z pana cały elegant. W tużurku¹⁸⁶! Ten tużurek to liberia, z którą moja niepodległość nie umiałaby się pogodzić. Prawda, że z pana teraz człowiek światowy, chodzi pan z wizytami. Na to, aby pomarzyć, jak ja to czynię, nad jakimś wpół zniszczałym grobem, moja marynarka i mój fontaż wystarczą. Wie pan, jak cenię piękno pańskiej duszy; pojmuję pan, jak musi mnie boleć to, że pan idzie się jej zapierać między niewiernymi. Mogąc wytrzymać bodaj chwilę w dusznej atmosferze salonów — którą nie umiałbym oddychać — ściga pan na swoją przyszłość klątwę Proroka. Zgaduję, widzę: bywa pan u ludzi czczych, u posiadaczy zamków i pałaców; oto klątwa dzisiejszej burżuazji. Och, ta arystokracja! Terror popełnił wielki błąd, że im wszystkim nie zdjął głów z karku. Wszystko łajdaki lub kretyni. Ale cóż, moje biedne dziecko, skoro to cię bawi! Podczas gdy ty spieszysz na jakiś *five o'clock*¹⁸⁷, twój stary przyjaciel będzie szczęśliwszy od ciebie; włócząc się samotnie po zaułkach miasta, będzie oglądał różowy księżyc na fioletowym niebie. To fakt, że ja na wpół tylko żyję na tej ziemi, gdzie czuję się wygnanym; trzeba całej mocy praw ciężenia, aby mnie na niej zatrzymać, abym się nie wymknął w inną sferę. Jestem z innej planety. Bywaj; nie bierz pan za złe staroświeckiej szczeroci wieśniaka znad Vivonne, który zachował prostotę wieśniaczą. Aby ci dowieść mojego szacunku, przyślę ci swoją ostatnią powieść. Ale to ci się nie będzie podobało; to nie dosyć zepsute, nie dosyć *fin de siecle*¹⁸⁸ dla ciebie; za szczerze, za uczciwie; tobie trzeba Bergotte'a, przyznales to sam, trzeba zapaszku zgnilizny na zblazowane podniebienia smakoszów. Muszą mnie uważać w pańskim kółku za weterana; popełniam ten błąd, że wkładam serce w to, co piszę, to już nie w modzie; przy tym życie ludu nie jest dość dystyngowane, aby mogło interesować wasze snobinetki. Do widzenia; staraj się wspomnieć od czasu do czasu słowa Chrystusa: „Czyń tak, a będziesz żył”. Bywaj, przyjacielu.

¹⁸⁵*maitre d'hôtel* (fr.) — szef służby hotelowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*tużurek* (z fr.) — surdut codziennego użytku, popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*five o'clock* (ang. dosł.: : godzina piąta) — spotkanie towarzyskie o piątej po południu, połączone z piciem herbaty; podwieczorek. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*fin de siecle* (fr.) — koniec wieku; w historii sztuki i kultury europejskiej: ostatnie dziesięciolecie XIX w., cechujące się charakterystycznym poczuciem schyłkowości (dekadentyzmem), melancholii i katastrofizmu. [przypis edytorski]

Pożegnałem Legrandina bez zbytnej urazy. Pewne wspomnienia są niby wspólni przyjaciele, umieją nas godzić. Drewniany mostek wśród pól usianych jaskrami, grzebiących feudalne ruiny, łączył Legrandina i mnie niby dwa brzegi Vivonne.

Opuściliśmy Paryż, gdzie mimo zaczynającej się wiosny drzewa na bulwarach ledwie miały pierwsze liście; kiedy podmiejska kolej przeniosła mnie wraz z Robertem do pobliskiej wioski, gdzie mieszkała jego kochanka, z zachwytem ujrzałem ogródki strojne olbrzymimi białymi ołtarzami kwitnących drzew owocowych. Było to jak gdyby jakieś osobliwe, poetyczne, ulotne i lokalne święto, na które przyjeżdża się z bardzo daleka o stałych porach: ale to święto było dziełem natury. Kwiaty wiśni, tworząc niby białą pochwę, były tak ściśle przylepione do gałęzi, że z daleka, między drzewami zaledwie mającymi coś kwiatów i liści, zdawały się, w ów słoneczny dzień jeszcze tak zimny, niby śnieg, który stopniał gdzie indziej, a został jeszcze na drzewach. Ale wielkie grusze spowijały każdy dom, każdy skromny dziedziniec szerszą, jednolitszą, świetniejszą bielą, tak jakby wszystkie domy, wszystkie zagrody tej wioski miały przystąpić tego samego dnia do pierwszej komunii.

Te sioła¹⁸⁹ w okolicach Paryża zachowują jeszcze u swoich wrót parki z XVII i XVIII wieku, kosztowne kaprysy finansistów i faworyt. Ogrodnik zużytkował jeden taki park, położony poniżej drogi, na szkółkę drzew owocowych (a może po prostu zachował rysunek olbrzymiego sadu z owych czasów). Posadzone w szachownice, mniej gęsto, grusze te, późniejsze od innych, tworzyły — podzielone niskimi murami — wielkie kwadraty białych kwiatów, z każdej strony odmiennie cieniowanych światłem, tak że wszystkie te powietrzne pokoje bez dachu robiły wrażenie salonów Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie¹⁹⁰; przywodziły także na myśl przegrody rezerwuaru lub jakichś partii morza, które człowiek dzieli dla połowu lub hodowli ostryg, kiedy — zależnie od położenia — widziało się światło igrające na szpalerach niby na wodach wiosennych, rozpryskujące tu i ówdzie, migocącą pośród rzadkich i napełnionych lazurem sztachet — gałęzi — białą pianę rozslonecznionego i musującego kwecia.

Była to dawna wioska, ze swoim starym merostwem, ogorzałym i złocistym, przed którym, niby słupy szczęścia powiewające chorągiewkami, stały trzy wielkie grusze, dwornie wystrojone w biały atlas niby na świeckie i lokalne święto.

Nigdy Robert nie mówił czulej o swojej kochance niż podczas tej drogi. Ona jedna wypełniała jego serce; kariera wojskowa, wielki świat, rodzina, wszystko to nie było mu zapewne obojętne, ale nie liczyło się za nic wobec najmniejszego drobiazgu tyżącego jego kochanki. Była to jedyna rzecz mająca dlań urok; nieskończenie więcej uroku niż wszyscy Guermantowie i wszyscy królowie ziemi. Nie wiem, czy on to sobie mówił jasno, że ona jest istotą wyższą nad wszystko, ale to pewne, że cenił tylko to, dbał tylko o to, co się jej tyczyło. Przez nią był zdolny cierpieć, być szczęśliwym, może zabić. Naprawdę interesujące, pasjonujące było dlań tylko to, czego sobie życzyła i co robiła jego kochanka; tylko to, co się działo na wąskiej przestrzeni jej twarzy i pod jej uświęconym czołem, czytelne co najwyżej w ulotnym wyrazie. Saint-Loup, tak pełen honoru we wszystkim innym, rozważał perspektywę świetnego małżeństwa jedynie pod tym kątem, żeby móc nadal utrzymywać swoją kochankę, zachować ją. Gdyby się spytać, na ile on ją szacuje, sądzę, że niepodobna by sobie wyobrazić ceny dość wysokiej. Jeżeli się z nią nie żenił, to dlatego, że praktyczny zmysł mówił mu, iż z chwilą, kiedy by się już niczego nie spodziewała od niego, opuściłaby go, a przynajmniej żyłaby na własną rękę, i że trzeba ją trzymać nadzieją jutra. Bo Saint-Loup przypuszczał, że ona go może nie kocha. Bez wątpienia, ogólne uczucie zwane miłością musiało — jak zawsze dzieje się u mężczyzn — skłaniać go do wierzenia chwilami, że ona go kocha. Ale w praktyce czuł, że ta miłość nie zmienia faktu iż ona żyje z nim jedynie dla pieniędzy i że z chwilą kiedy się już nie będzie niczego spodziewała od niego, rzuci go (kochając go, ale będąc w tym ofiarą teorii swoich przyjaciół-literatów — myślał Saint-Loup).

¹⁸⁹sioła (daw.) — wieś. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie — na pocz. XX w. Arthur Evans odkrył w Knossos na Krecie ruiny wspaniałej budowli nieznannej wcześniej starożytnej cywilizacji, które nazwał pałacem Minosa, mitycznego króla Krety; żona Minosa, Pazyfae, była córką Heliosa, boga słońca. [przypis edytorski]

— Zrobię jej dziś, jeżeli będzie miła — rzekł Robert — prezent, który ją ucieszy. Naszyjnik, który widziała u Boucheron¹⁹¹. Trzydzieści tysięcy franków: w tej chwili to trochę ciężko dla mnie. Ale pomyśl, to biedactwo niewiele ma radości w życiu. Ależ będzie kontenta! Wspominała mi o tym, mówiła, że zna kogoś, kto by jej może dał ten naszyjnik. Nie sądzę, aby to była prawda; ale na wszelki wypadek prosiłem Boucheron, który jest nadwornym jubilerem mojej rodziny, aby mi go zarezerwował. Szalenie się cieszę, że ty ją poznasz; nie jest szczególnie piękna, wiesz (widziałem, że Robert myśli wręcz przeciwnie i że mówi tak jedynie po to, aby zwiększyć mój podziw); jest zwłaszcza cudownie inteligentna; przy tobie nie będzie może śmiała dużo mówić, ale cieszę się z góry na to, co mi powie później o tobie; wiesz, ona mówi rzeczy, które można zgłębiać bez końca, ma doprawdy coś pytyjskiego¹⁹².

Aby dotrzeć do domu, gdzie mieszkała, przechodziliśmy koło małych ogródków; nie mogłem się wstrzymać, aby nie przystawać, bo tonęły w kwieciu wiśni i gruszy; puste z pewnością i niezamieszkałe wczoraj jeszcze, niby niewynajęta posiadłość, nagle zaludniły się i wypiękniały dzięki tym nowo przybyłym, których piękne białe suknie widniały poprzez sztachety.

— Słuchaj, ja widzę, że ty chcesz podziwiać to wszystko, poetyczna istoto — rzekł Robert — zaczekaj na mnie tutaj, moja mała mieszka tuż, pójdę po nią.

Czekając, przechadzałem się trochę między skromnymi ogródkami. Kiedym podniósł głowę, widziałem tu i ówdzie w oknach młode dziewczęta; równie młode pędy bżów, gibkie i lekkie w swoich świeżych sukienkach lila, zwisające wśród liści, kołysały się na wietrze, nie troszcząc się o przechodnia, wznoszącego oczy aż do pięterka ich zieleni. Poznawałem w nich fioletowe kłębki, narządzone u wejścia do parku pana Swanna — skoro się minie białą furtkę, w ciepłe wiosenne popołudnie — do cudnego prowincjonalnego haftu. Skierowałem się ścieżką wiodącą ku łące. Zimny wiatr dął jak w Combray; mimo to z thustej, wilgotnej i wiejskiej ziemi, która mogłaby się znajdować nad brzegiem Vivonne, wykwitła — punktualna jak cała gromada jej towarzyszek — wielka biała grusza, potrząsająca z uśmiechem swoim kwieciami. Kwiaty te, zmierzwiłone wiatrem, ale wyglansowane i posrebrzone promieniami słońca, tworzyły niby firankę zmaterializowanego i dotykającego światła.

Naraz Saint-Loup zjawił się w towarzystwie kochanki: i oto w tej kobiecie, która była dla niego wszystką miłością, wszystkim możebnym urokiem życia, w tej kobiecie, której istność, tajemniczo zamknięta w ciele niby w świętym tabernakulum, stanowiła przedmiot bez ustanku jeszcze bogaczony wyobraźnią mego przyjaciela, przedmiot, którego, czuł to — nigdy nie miał poznać, o który się wечно pytał siebie, czym ona jest sama w sobie, poza zasłoną spojrzeń i ciała, w tej kobiecie poznałem natychmiast „Rachele, kiedy Pan”, tę, co przed kilku laty — kobiety w tym świecie tak szybko zmieniają sytuację, o ile ją zmieniają! — mówiła do rajfurki¹⁹³: „Zatem jutro wieczór, jeżeli pani będzie mnie potrzebowała dla kogoś, pośle pani po mnie”.

I kiedy „posłano po nią” w istocie i kiedy się znalazła sama w pokoju z owym „kims”, wiedziała tak dobrze, czego się żąda od niej, że zamknąwszy drzwi na klucz — przez ostrożność przezornej kobiety lub rytualnym gestem — zaczynała się rozbierać, tak jak się robi u doktora przystępującego do auskultacji¹⁹⁴. Przerzywała tę czynność jedynie o tyle, o ile „ktoś”, nie lubiąc nagości, powiedział jej, że może zostać w koszuli; jak niektórzy lekarze, którzy, mając bardzo bystry słuch, a bojąc się, aby się chory nie zaziębił, przestają na słuchaniu oddechu i serca przez bieliznę. Całe życie, wszystkie myśli, cała przeszłość tej kobiety, wszyscy mężczyźni, do których mogła należeć, były dla mnie czymś tak obojętnym, że gdyby mi to opowiedziała, słuchałbym tylko przez grzeczność i ledwie bym słyszał; i oto czułem, że niepokój, cierpienie, miłość Roberta przyrosły do niej tak, że zrobiły z niej — z tego, co dla mnie było mechaniczną zabawką — przedmiot nieskoń-

¹⁹¹Boucheron — paryski sklep z luksusową biżuterią i zegarkami, zał. w 1858 przez Frédérica Boucheron (1830–1902). [przypis edytorski]

¹⁹²pytyjski — taki jak u Pytii; *Pytia*: kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

¹⁹³rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

¹⁹⁴auskultacja (med.) — osłuchiwanie; rodzaj badania lekarskiego polegającego na słuchaniu, zazwyczaj z pomocą specjalnej słuchawki, jak pracują narządy wewnętrzne (takie jak np. serce czy płuca). [przypis edytorski]

czonych cierpień, wręcz cenę istnienia. Widząc te dwa rozszczerzone czynniki (dlatego że znałem „Rachelę, kiedy Pan” z domu publicznego), pojmowałem, że wiele kobiet, dla których mężczyźni żyją, cierpią, zabijają się, mogą być same w sobie lub dla innych, tym, czym Rachela była dla mnie. Myśl, że ktoś może czuć bolesną ciekawość jej życia, zdumiewała mnie. Mógłbym opowiedzieć Robertowi wiele jej miłostek, które mi się zdawały czymś najobojętniejszym w świecie; a jakimż byłyby ciosem dla niego! I czegoż nie dał, aby się dowiedzieć o nich, i na próżno.

Pojmowałem, ile wyobraźnia ludzka może pomieścić w małym kawałku twarzy — jak u tej kobiety — jeżeli pierwsze jej poznanie nastąpiło w drodze wyobraźni; i na odwrót, na jak nędzne, pozbawione wszelkiej wartości i ceny składniki materialne może się rozłożyć to, co było celem tylu marzeń, jeżeli, przeciwnie, poznanie nastąpiło w drodze najtrywialniejszego faktu. Rozumiałem, że to, co mi się zdawało niewarte dwudziestu franków wówczas, gdy mi to ofiarowano za dwadzieścia franków w domu schadzek, gdzie ona była dla mnie jedynie kobietą chcącą zarobić dwadzieścia franków, że to może być warte więcej niż milion, niż rodzina, niż wszystkie dobra świata, jeżeli się zaczęło od wyrojenia w niej istoty nieznannej, niezwyklej, nieuchwytniej, nieujarzmionej. Bez wątplenia, i Robert, i ja, obaj widzieliśmy tę samą szczupłą twarz. Ale doszliśmy do niej dwiema przeciwnymi drogami, które nie zetkną się ze sobą nigdy, i nigdy nie ujrzymy tej samej jej strony. Tę twarz, z jej spojrzzeniami, uśmiechami, poruszeniami ust, ja poznałem z zewnątrz jako twarz byle jakiej kobiety, gotowej za dwadzieścia franków zrobić wszystko, co zechcę. Toteż spojrzzenia, uśmiechy, poruszenia ust wyrażały dla mnie jedynie akty ogólne, bez śladu czegoś indywidualnego, i nie byłbym ciekaw szukać w nich osoby. Ale to, co mnie poniekąd ofiarowano na wstępie, ta twarz gotowa do wszystkiego, było dla Roberta metą ostateczną, do której dążył poprzez ile nadziei, wątpliń, podejrzeń, marzeń! Dawał więcej niż milion, aby to posiadać, aby się nie dostało innym to, co mnie — jak każdemu — ofiarowano niegdyś za dwadzieścia franków. Że on tego nie dostał za tę cenę, mogło zależeć od przypadku chwili, chwili, w której ta, co zdawała się gotowa oddać, wymknie się, może mając schadzki, może z innego powodu, który każe się jej tego właśnie dnia opierać. Jeżeli ma do czynienia z naturą uczuciową, wówczas — nawet gdy tego nie spostrzeże, ale zwłaszcza gdy spostrzeże — zaczyna się straszliwa gra. Niezdolny strawić swego zawodu, wyrzec się tej kobiety, mężczyzna upędma się za nią, ona ucieka, tak że jeden uśmiech, którego nie śmiał się już spodziewać, kosztuje go tysiąc razy drożej, niżby powinno kosztować całkowite posiadanie. Jeżeli, łącząc naiwność z tchórzostwem wobec cierpienia, popełni ktoś to szaleństwo, aby uczynić z dziewczki niedostępne bóstwo, zdarza się nawet czasem w tym wypadku, że nie dostąpi nigdy tego posiadania, a nawet pierwszego pocałunku; nie śmie nawet już o niego prosić, aby nie zadać kłamstwa swoim zapewnieniom idealnej miłości. Cóż za cierpienie wówczas — umrzeć, nie dowiedziawszy się nigdy, czym mógł być pocałunek kobiety, którą się najbardziej kochało.

Saint-Loup zdołał szczęśliwie uzyskać wszystkie fawory Racheli. Z pewnością, gdyby wiedział teraz, że ofiarowywano je całemu światu za cenę jednego ludwika¹⁹⁵, byłby z pewnością straszliwie cierpiał, ale i tak dałby milion, aby je zachować, wszystko bowiem, czego by się dowiedział, nie zdołałoby go sprowadzić — bo to jest ponad siły człowieka i może się zdarzyć jedynie mocą jakiegoś wielkiego naturalnego prawa — z drogi, na której się znalazł i skąd ta twarz była mu widzialna jedynie poprzez jego marzenia; stąd te spojrzzenia, te uśmiechy, te drgnienia ust były jedyną rewelacją¹⁹⁶ osoby, której chciałby poznać prawdziwą istotę i sam jeden posiadać jej pragnienia. Nieruchomość tej wąskiej twarzy, niby ćwiartki papieru poddanej kolosalnemu ciśnieniu dwóch atmosfer, zdawała mi się zrównoważona dwiema nieskończonościami, które schodziły się na niej, nie stykając się, bo ona je rozdzielała. I w istocie, patrząc na nią, każdy z nas dwu widział ją po innej stronie tajemnicy.

I nie „Rachela, kiedy Pan” wydawała mi się czymś drobnym; raczej czymś ogromnym wydawała mi się potęga ludzkiej wyobraźni, złudzenie, na jakim się opierają cierpienia miłości. Robert ujrzał, że jestem wzruszony. Odwróciłem oczy ku gruszom i wiśniom, aby myślał, że to ich piękność mnie wzrusza. I wzruszała mnie po trosze w ten sam sposób;

¹⁹⁵ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

¹⁹⁶rewelacja — tu: objawienie, wyjawienie; odkrycie. [przypis edytorski]

objawiała mi również coś, co się nie tylko widzi oczami, ale czuje sercem. Kiedy widziałem te drzewa w ogrodzie i wziąłem je za cudzoziemskich bogów, czyż nie pomyliłem się jak Magdalena, kiedy — w innym ogrodzie, w dniu, którego rocznica miała niebawem nadejść — ujrzała postać ludzką i „myślała, że to ogrodnik”¹⁹⁷? Stróże wspomnień złotego wieku, piastuny obietnicy, że rzeczywistość nie jest tym, co się mniema, że przepych poezji, że cudny blask niewinności mogą w niej błyszczeć i mogą się stać nagrodą, na którą będziemy się starali zasłużyć, wielkie białe istoty cudownie pochylone nad cieniem zapraszającym do odpoczynku, do rybołówstwa, do lektury — czyż to nie były raczej anioły?

Wymieniłem kilka słów z kochanką Roberta. Poszliśmy na przełaj przez wieś. Domy były niechlujne. Ale obok najędzniejszych, tych, co robiły wrażenie jakby spalonych deszczem siarki¹⁹⁸, tajemniczy podróżny, zatrzymawszy się przez jeden dzień w przeklętym mieście, błyszczący anioł stał prosto, rozpościerając nad nim olśniewającą opiekę kwiatnych skrzydeł niewinności: to była grusza.

Saint-Loup wysunął się ze mną trochę naprzód.

— Byłbym wolał czekać tu we dwójkę z tobą, wolałbym nawet zjeść śniadanie z tobą samym i żebyśmy zostali sami do chwili, kiedy będzie czas iść do ciotki. Ale dla mojej biednej małej to jest taka przyjemność i ona taka jest milusia dla mnie, że rozumiesz, nie mogłem jej tego odmówić. Zresztą ona ci się spodoba; to dusza literacka, krzak gorejący; i to takie zabawne być z nią na śniadaniu w restauracji, jest taka miła, taka prosta, zawsze kontenta ze wszystkiego.

Ale mam wrażenie, że właśnie tego rana, i prawdopodobnie jedyny raz, Robert wyzwolił się na chwilę od kobiety, którą — siłą tkliwości — stworzył sobie powoli, i że nagle, na pewien dystans od siebie, ujrzał inną Rachelę, duplikat tamtej, ale absolutnie różny i ludzko podobny do przeciętnej kokotki¹⁹⁹. Opuściwszy piękny sad, mieliśmy wsiąść do pociągu, aby wracać do Paryża, kiedy idącą o kilka kroków przed nami Rachelę poznały i przywitały pospolite „pulki” — takie, jaką była ona — które, myśląc zrazu, że jest sama, zaczęły wołać: „O, Rachelu, siadaj z nami, Lucy i Zużu są w wagonie, jest właśnie miejsce, chodź, pójdziemy potem na *skating*”²⁰⁰. I już miały jej przedstawić dwóch subiektów²⁰¹, swoich kochanków, którzy im towarzyszyli, kiedy pod wpływem zakłopotanej miny Racheli spojrzały ciekawie nieco dalej, spostrzegły nas i pożegnały ją, przepaszając. Rachelu odpowiedziała również pożegnaniem, trochę nieswojo, ale przyjaźnie. Były to dwie biedne podfruwajki, w kołnierzach z fałszywej wydry, wyglądające mniej więcej tak, jak Rachelu, kiedy Saint-Loup spotkał ją po raz pierwszy. Nie znał ich z widzenia ani z nazwiska; ale widząc ich wyraźną zażyłość z jego „małą”, pomyślał, że Rachelu miała może miejsce — może je ma jeszcze — w życiu przez niego niepodjętym, bardzo różnym od tego, jakie on pędził; w życiu, w którym kobietę ma się za jednego ludwika, gdy on dawał Racheli więcej niż sto tysięcy rocznie. Nie tylko ujrzał przelotnie to życie, ale zarazem ujrzał w nim Rachelę całkiem inną od tej, którą znał, Rachelę podobną do dwóch małych „pulek”, Rachelę za dwadzieścia franków. W rezultacie Rachelu rozdzieliła się na chwilę dla niego; w pewnej odległości od swojej Racheli ujrzał Rachelę małą „pulkę”, Rachelę rzeczywistą, o ile przyjąć, że Rachelu-„pulka” była rzeczywistsza od tamtej. Przyszło mu wówczas może na myśl, że z tego piekła, w którym żył, z perspektywą i koniecznością bogatego małżeństwa, sprzedaży nazwiska, po to aby móc nadal dawać Racheli sto tysięcy franków rocznie, mógłby się może łatwo wyrwać i mieć wszystko od swojej kochanki, jak owi subiektci od tych kokotek, za byle co. Ale jak to zrobić? Nie zawiniła w niczym. Mniej obsypywana darami, byłaby mniej serdeczna, nie mówiłaby mu, nie pisała rzeczy, które go tak wzruszały i które cytował z pewną ostentacją swoim kolegom, podkreślając z naciskiem jej czułość, ale przemilczając, że ją utrzymuje bogato, a nawet że jej w ogóle daje cośkolwiek; że te fotografie z dedykacjami

¹⁹⁷Magdalena (...) w innym ogrodzie (...) „myślała, że to ogrodnik” — w *Ewangeliu wg Jana* płacząca przed grobem Maria Magdalena, nie wiedząc o zmartwychwstaniu Jezusa, początkowo uznała go za ogrodnika (J 20, 11–15). [przypis edytorski]

¹⁹⁸spalonych deszczem siarki — tak jak biblijne miasta Sodom i Gomora, zniszczone deszczem ognia i siarki przez Boga za niegodziwość i złamanie prawa gościnności wobec podróżnych-aniołów. [przypis edytorski]

¹⁹⁹kokotka a. kokota — kobieta lekkich obyczajów; prostytutka. [przypis edytorski]

²⁰⁰skating (ang.) — łyżwiarstwo. [przypis edytorski]

²⁰¹subiekt (przest.) — sprzedawca, sklepikarz. [przypis edytorski]

i te czule telegramy reprezentują sto tysięcy franków zagęszczone do swojej najwięźlejszej i najszacowniejszej formy. Jeżeli Saint-Loup zatajał fakt, że te skąpe czułości Racheli są przez niego opłacane, fałszem byłoby — mimo iż symplicystyczne²⁰² rozumowanie robi to w stosunku do wszystkich płacących kochanków, w stosunku do tylu mężów — powiedzieć, że on to czyni przez miłość własną, przez próżność. Saint-Loup był na tyle inteligentny, aby pojąć, że wszystkie rozkosze próżności znalazłby łatwo i darmo w swoim świecie dzięki swemu nazwisku i urodzie i że, przeciwnie, właśnie jego stosunek z Rachelą wytrącił go po trosze ze „świata”, zdeprecjonował go na giełdzie towarzyskiej. Nie, ambicja uchodzenia za posiadacza gratis oznak czułości tej, którą się kocha, to po prostu uboczny produkt miłości, potrzeba wmówienia w siebie i w drugich wzajemności istoty tak bardzo ukochanej.

Rachela zbliżyła się do nas, pozwalając dwóm podfruwajkom wsiąść do ich przedziału; mimo to zarówno fałszywa wydra „pulek” i naburmuszona mina subiektów, jak imiona Lucy i Żuzu, przedłużyły na moment istnienie nowej Racheli. Przez chwilę Robert wyobraził sobie plac Pigalle²⁰³, nieznanymi przyjaciół, plugawe miłostki, naiwne rozrywki popołudniowe, spaceru lub zabawy, w owym Paryżu, gdzie usłonecznienie ulic, poczawszy od bulwaru Clichy, wydawało mu się nie to samo co słoneczna jasność, w której przechadzał się z kochanką; ale że musi być inne, bo miłość i zrosnięte z nią cierpienie mają, tak jak pijaństwo, moc różnicowania przedmiotów. Podejrzewał w samym Paryżu jakiś nieznaną Paryż; jego stosunek z Rachelą wydał mu się niby zwiedzanie dziwnego życia; o ile bowiem, będąc z nim, Rachela była trochę podobna do niego samego, przeżywała z nim przecież część swego realnego życia, ba, najcenniejszą dzięki szalonym sumom, jakie jej dawał; część życia, która budziła zazdrość jej przyjaciółek i miała jej kiedyś pozwolić osiąść na wsi lub pokusić się o wielką karierę teatralną po uciułaniu okrągłej sumki.

Robert byłby chciał spytać Racheli, kto to są te Lucy i Żuzu; o czym byłyby z nią mówiły, gdyby wsiadła do ich przedziału, na czym byłyby razem spędziły dzień, zakończony może — jako szczyt zabawy, po rozkoszach *skatingu* — w „Taverne Olympia”²⁰⁴, gdyby mnie i Roberta nie było. Przez chwilę tajemnice tego lokalu, dotąd żałośnie nudne, obudziły jego ciekawość; cierpienie jego oraz słońce tego wiosennego dnia oświeciły ulicę Caumartin, dokąd — gdyby nie poznała Roberta — Rachela poszłaby może teraz, aby zarobić ludwika. Uczuł skurcz serca. Ale na co zadawać pytania, kiedy wiedział z góry, że odpowiedzią będzie proste milczenie albo kłamstwo, albo coś bardzo przykrego dla niego, co mu jednak niczego nie wyjaśni.

Konduktorzy zamykali drzwiczki. Wsiadliśmy do pierwszej klasy: cudowne perły Racheli znów przekonały Roberta, że to jest kobieta wielkiej ceny. Uściskał ją, przyjął ją z powrotem w serce, gdzie się jej przyjrzał, uwewnętrznionej, tak jak to zawsze robił dotąd — z wyjątkiem tej krótkiej chwili, gdy ją ujrzał na placu Pigalle z obrazu impresjonisty i pociąg ruszył.

To była zresztą prawda, że ona była „literacka”. Bez przerwy mówiła do mnie o książkach, o nowej sztuce, o tołstoizmie²⁰⁵; przerwała sobie jedynie, aby wyrzucić Robertowi, że pije za dużo wina.

— Och, gdybyś ty mógł żyć przez rok ze mną, zobaczyłbyś, dawałabym ci pić samą wodę i miewałbyś się o wiele lepiej.

— Doskonale, jedźmy gdzieś.

— Wiesz przecie, że ja mam dużo pracy (brała serio swój talent dramatyczny). Zresztą, co by powiedziała twoja rodzina?

I rozwiodła się przede mną na temat jego rodziny w zarzutach, które mi się wydawały nader słuszne i które Saint-Loup — oporny na punkcie szampana — całkowicie uznawał. Ja, który się tak obawiałem dla Roberta wina i który czułem dobry wpływ jego kochanki,

²⁰² *symplicystyczny* a. *symplicyfikujący* (z łac.) — nadmiernie uproszczający i spłycający. [przypis edytorski]

²⁰³ *plac Pigalle* — plac w Paryżu; na przełomie XIX i XX w. plac i otaczające go ulice stały się dzielnicą pracowni malarskich i kawiarni literackich. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *Taverne Olympia* — popularny nocny lokal przy paryskiej sali music-hallowej Olympia. [przypis edytorski]

²⁰⁵ *tołstoizm* — ruch społeczno-religijny powstały pod wpływem poglądów filozoficzno-religijnych Lwa Tołstoja (1828–1910), rosyjskiego prozaika, dramaturga i myśliciela, który głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury. [przypis edytorski]

byłem już gotów radzić mu, aby posłał w diabły rodzinę. Łzy nabiegły do oczu młodej kobiecie, kiedy niebacznie poruszył temat Dreyfusa.

— Biedny męczennik — rzekła, wstrzymując łkanie — oni go tam uśmiercą.

— Uspokój się, Zizi; wróci, będzie uniewinniony, prawda wyjdzie na wierzch.

— Do tego czasu on umrze! Ale bodaj jego dzieci będą nosiły nazwisko bez zmyzy. Myśl o tym, ile on musi cierpieć, zabija mnie po prostu! I czy pan sobie wyobrazi, matka Roberta, kobieta nabożna, powiada, że powinni go trzymać na Diablej Wyspie, nawet jeżeli jest niewinny. Czy to nie ohyda?

— Tak, to najściślejsza prawda; mówi tak — rzekł Robert. — To moja matka, nie mam prawa jej sądzić; ale to pewne, że ona nie ma serca takiego jak Zizi.

W rzeczywistości te śniadania, „takie milusie”, kończyły się zawsze nader burzliwie. Z chwilą bowiem gdy Saint-Loup znalazł się z kochanką w jakimś lokalu, wyobrażał sobie, że ona patrzy na wszystkich mężczyzn, robił się ponury, ona widziała jego zły humor, który może dla zabawy podsycala, ale którego, jeszcze prawdopodobniej, przez głupią ambicję, zraniona jego tonem, nie chciała ułagodzić; udawała, że nie spuszcza oczu z jakiegoś mężczyzny, zresztą nie zawsze dla czystej zabawki. W istocie niech tylko zdarzył się jakiś przystojny sąsiad w teatrze lub kawiarni lub nawet prosty dorożkarz, Robert, ostrzeżony natychmiast przez swoją zazdrość, spostrzegał to wcześniej od Racheli; natychmiast widział w nim jednego z owych potworów, o których mówił mi w Balbec, co dla rozrywki deprawują i hańbią kobiety; błagał kochankę, aby nie patrzyła na tego osobnika i tym samym zwracał na niego jej uwagę. Otóż czasami Racheli znajdowała, że Robert ma wcale dobry gust w swoich podejrzeniach; przestawała go nawet drażnić, iżby się uspokoił, i wyprawiała go z jakimś zleceniem, aby zyskać czas na wymienienie kilku słów z nieznanym, często na umówienie schadzki, czasem nawet na zaspokojenie naprędce kaprysu.

Ledwieśmy weszli do restauracji, ujrzałem, że Robert jest chmurny. Bo też Saint-Loup zauważył natychmiast (co uszło naszej uwagi w Balbec), że na tle swoich pospolitych kolegów Aimé, ze swoją skromną dystynkcją, ma — bardzo mimo woli — coś romantycznego, co promieniuje przez pewną ilość lat z puszystych włosów i greckiego nosa, a co wyróżniało z ciżby innych służebników. Ci, prawie wszyscy niemłodzi, odznaczali się osobliwą brzydota mającą coś obłudnie księżego, coś z obleśnych spowiedników, częściej coś z dawnych komików, których czoła w kształcie głowy cukru spotyka się już tylko w pokątnie historycznym *foyer*²⁰⁶ niemodnych teatryków, gdzie ich uwieczniono w rolach sługusów lub arcykapłanów. Restauracja ta, dzięki specjalnemu doborowi, a może dzięki systemowi dziedzicznej nominacji, przechowała te uroczyście typy niby kolegium augurów²⁰⁷. Na nieszczęście Aimé poznał nas, wskutek czego on przyjął od nas zamówienie, gdy orszak operetkowych arcykapłanów odpłynął ku innym stolikom. Aimé spytał mnie o zdrowie babki, ja spytałem go o żonę i dzieci. Odpowiedział ze wzruszeniem, bo miał kult życia rodzinnego. Robił wrażenie człowieka inteligentnego, energicznego, ale w granicach szacunku. Kochanka Roberta zaczęła mu się przyglądać z nadzwyczajną uwagą. Ale zapadłe oczy kelnera, którym lekka krótkowzroczność dawała wyraz skrytej głębi, nie zdradziły żadnego wrażenia w jego nieruchomej twarzy. W prowincjonalnym hotelu, gdzie Aimé służył wiele lat, zanim przybył do Balbec, ładny — teraz nieco poźółkły i zmęczony — zarys jego twarzy, którą przez tyle lat, niby sztych przedstawiający księcia Eugeniusza²⁰⁸, widziało się zawsze na tym samym miejscu w prawie zawsze pustej jadalni, nie musiał ściągać zbyt ciekawych spojrzeń. Długo tedy — zapewne z braku znawców — Aimé pozostał nieświadom artystycznych walorów swojej twarzy, mało zresztą skłonny do ściągnięcia na nią uwagi, bo był temperamentu chłodnego. Co najwyżej jakaś przejezdna paryżanka, zatrzymawszy się przypadkiem w mieście, podniosła na niego oczy, poprosiła go może, aby przyszedł pomóc jej przed odjazdem zapakować rzeczy i w przezroczyściej,

²⁰⁶*foyer* — pomieszczenie obok sali teatralnej, w którym w czasie przerw gromadzi się publiczność. [przypis edytorski]

²⁰⁷*kolegium augurów* — w starożytnym Rzymie: kolegium wybieranych dożywotnio kapłanów zajmujących się odczytywaniem wróżb z lotu ptaków drapieżnych. [przypis edytorski]

²⁰⁸*Eugeniusz Sabaudzki* (1663–1736) — książę Sabaudii (w pld.-wsch. Francji), wybitny dowódca cesarskich wojsk austriackich. [przypis edytorski]

jednostajnej i głębokiej pustce tej egzystencji dobrego męża i prowincjonalnego sługi, zagrzebała sekret kaprysu bez jutra, którego nikt nie miał nigdy odkryć.

Mimo to Aimé musiał spostrzec wytrwałość, z jaką oczy młodej artystki spoczywały na nim. W każdym razie nie uszła ta wytrwałość uwagi Roberta, na którego twarzy widziałem gromadzący się rumieniec, nie ów żywy rumieniec, który go oblewał purpurą w chwili gwałtownego wzruszenia, ale słaby, rozproszony.

— Czy ten kelner jest bardzo zajmujący, Zizi? — spytał Racheli, oddalwszy Aimégo dość gwałtownie. — Można by przypuszczać, że ty zamierzasz robić jego portret.

— Zaczyna się, byłam tego pewna!

— Ale co się zaczyna, małeńka? Jeżeli nie mam racji, cofam wszystko, nic nie powiedziałem. Ale mam przecie prawo cię ostrzec przed tym famulusem²⁰⁹, którego znam z Balbec (inaczej kpilbym sobie z tego) i który jest jednym z największych łajdaków, jakich święta ziemia nosiła.

Zdawało się, że Rachela ustępuje Robertowi; zapuściła się ze mną w rozmowę literacką, do której i on się wmieszał. Nie nudziłem się z nią, bo знаła wybornie utwory, które podziwiałem i dzieliła mniej więcej moje sądy; że jednak słyszałem od pani de Villeparisis, iż ona nie ma talentu, nie przywiązywałem do tej kultury wielkiej wagi. Poruszała zręcznie tysiąc tematów i byłaby naprawdę miła, gdyby nie przejęła drażniącej gwary kapliczek i pracowni. Rozciągała zresztą tę gwarę na wszystko; przywykłszy na przykład mówić o obrazie (jeżeli był impresjonistyczny) albo o operze (jeżeli była wagnerowska): „Och, to silne”, jednego dnia, kiedy młody człowiek pocałował ją za ucho i, pogłaskany jej udanym dreszczem, robił skromnego, ona rzekła: „Owszem, jako wrażenie, uważam, że to było silne”. Ale zwłaszcza dziwiło mnie, że ona używa przy Robertcie jego wyrażen (których Robert nabył może od znajomych jej literatów), a Robert jej wyrażen przy niej; czynili to tak, jakby to był język obowiązujący, nie zdając sobie sprawy z ubóstwa oryginalności wspólnej wszystkim.

Jedząc, Rachela manipulowała bardzo niezdarnie rękami, tak iż można było wnosić, że i na scenie musi być dosyć niezręczna. Zwinność odnajdywała jedynie w miłości, przez tę wzruszającą prawiedzę kobiet, które tak kochają ciało mężczyzny, że od pierwszego razu zgadują, co sprawi największą przyjemność temu ciału, mimo iż tak różnemu od ich własnego.

Przestałem brać udział w rozmowie, kiedy zaczęto mówić o teatrze, bo na tym punkcie Rachela była zbyt zjadliwa. Podjęła co prawda, współczującym tonem, obronę Bermy przeciw Robertowi, co dowodziło, że ją często atakowała wobec niego. Rachela mówiła:

— Och, nie, nie! to jest niezwykła kobieta. Oczywiście to, co ona robi, nie wzrusza nas już; nie odpowiada zupełnie temu, czego dziś szukamy; ale trzeba ją brać w momencie, gdy się zjawia, zawdzięcza się jej wiele. Ona robiła rzeczy mocne, wiesz! A przy tym to taka dzielna kobieta, wielkie serce; nie kocha oczywiście tych rzeczy, które nas pasjonują, ale przy dosyć wyrazistej twarzy miała ładny gatunek inteligencji. (Palce niejednako towarzyszą wszystkim sądom estetycznym. Gdy chodzi o malarstwo, aby pokazać, że coś jest tego namalowane, szeroko machnięte, wystarczy wystawić wielki palec. Ale „ładny gatunek inteligencji” jest bardziej wymagający; trzeba mu dwóch palców, lub raczej dwóch paznokci, tak jakby się strzepywało kurz).

Ale poza tym jednym wyjątkiem kochanka Roberta mówiła o najbardziej znanych artystach tonem ironii i wyższości, który mnie drażnił, bo sądziłem — mylnie zresztą — że to ona do nich nie dorasta. Ona spostrzegła wybornie, że ja muszę ją uważać za miernotę, a że, przeciwnie, wysoko cenię tych, którymi ona gardzi. Ale nie uraziło jej to, bo w wielkim talencie nieuznanym jeszcze, jak u niej, choćby nawet był najpewniejszy samego siebie, istnieje pewna pokora: względy, jakich żądamy, dawkujemy nie wedle naszych darów, ale według zdobytej sytuacji. (W godzinę później miałem ujrzeć w teatrze Rachelę okazującą wiele szacunku tym samym artystom, o których wyrażała się tak ujemnie). Toteż chociaż moje milczenie nie mogło jej zostawić wątpliwości, należała mimo to, abyśmy zjedli obiad razem, zapewniając, że w niczym towarzystwie nie bawiła się tak dobrze jak w moim. O ile nie byliśmy jeszcze w teatrze, dokąd mieliśmy iść po śniadaniu, można by rzec, że jesteśmy w *foyer* strojnym w portrety starej gwardii

²⁰⁹*famulus* (daw., z łac.) — służący. [przypis edytorski]

aktorskiej, tak dalece kelnerzy mieli owe fizjonomie, które wydają się stracone wraz z całą generacją świetnych artystów Palais-Royal. Stojąc przed bufetem, wyglądali także na Akademików: jeden oglądał gruszki z twarzą, jaką mógłby mieć pan de Jussieu²¹⁰ i z jego bezinteresownym zaciekawieniem; inni obok niego rzucali na salę spojrzenia nacechowane ciekawością i chłodem, jakimi znakomici członkowie Instytutu mierzą publiczność, wymieniając równocześnie po cichu parę słów. Były to twarze sławne wśród bywalców lokalu; ale pokazywano sobie jednego nowego z rubinowym nosem i obłudną wargą, z miną kleszą; ten funkcjonował tutaj po raz pierwszy, toteż wszyscy patrzyli z zainteresowaniem na nowego wybrańca. Niebawem, może dlatego aby wyprawić Roberta i zostać sama z Aimém, Rachela zaczęła robić oko do młodego kantorowicza, który jadł śniadanie z przyjacielem przy sąsiednim stoliku.

— Zizi, prosiłbym cię, abys nie patrzyła na tego faceta w ten sposób — rzekł Saint-Loup, na którego twarzy przelotne rumieńce skupiły się w krwawą chmurę, wzbierającą w pociemniałych i napiętych rysach mego przyjaciela. — Jeżeli masz z nas robić widowisko, wolę zjeść śniadanie osobno i poczekać na ciebie w teatrze.

W tej chwili oznajmiono, że jakiś pan prosi, aby Aimé wyszedł do niego do powozu, że ma mu coś do powiedzenia. Saint-Loup, zawsze niespokojny i drżący, czy nie chodzi o jakąś pocztę miłosną dla jego kochanki, spojrzął w okno i ujrzał w głębi powozu, z rękami w białych rękawiczkach z czarnymi wyszyciami, z kwiatem w butonierce, pana de Charlus.

— Widzisz — rzekł do mnie z cicha — rodzinka ściga mnie aż tutaj. Proszę cię, bo ja nie mogę, ale skoro ty znasz dobrze kelnera, który nas z pewnością sprzeda, poproś go, aby nie szedł do powozu. Niech bodaj idzie garson, który mnie nie zna. Jeżeli powie wujowi, że mnie tu nie znają, wiem, jaki on jest, nie wejdzie do środka sprawdzać, on nie cierpi takich lokali. Ale powiedz, czy to nie jest obrzydliwe, żeby taki stary dziwkarz, wciąż jeszcze upędzający się za spódnicami, dawał mi wiecznie nauki i szpiegował mnie!

Aimé, otrzymawszy moje wskazówki, posłał jednego ze swoich pomocników z oznajmieniem, że on sam nie może podejść; gdyby się zaś pytano o margrabiego de Saint-Loup, kazał powiedzieć że go tu nie znają. Niebawem powóz odjechał. Ale Rachela, która nie słyszała tego, cośmy sobie szeptali, i myślała, że chodzi o młodego człowieka, do którego Robert zabronił jej robić oko, wybuchnęła obelgami.

— A to dobre! Więc teraz ten młody człowiek! Dobrze robisz, żeś mnie uprzedził; rozkoszna rzecz śniadanie w takich warunkach! Niech się pan nie zajmuje tym, co on mówi, on jest trochę wstawiony; a zresztą — dodała, obracając się do mnie — on tak mówi, bo myśli, że to jest szyk, że to jest w wielkim stylu takie sceny zazdrości.

I zaczęła rękami i nogami dawać wyraz swemu zdenerwowaniu.

— Ależ, Zizi, to ja mogę być zirytowany. Ośmieszasz nas w oczach tego pana, który będzie przekonany, że ty go kokietujesz, a który wygląda na figurę spod najciemniejszej gwiazdy.

— Mnie, przeciwnie, bardzo się podoba; po pierwsze, ma cudowne oczy, do tego umie patrzeć na kobiety; czuć, że je musi kochać.

— Milcz przynajmniej, póki ja nie wyjdę. Tyś zupełnie oszalała! — krzyknął Robert. — Garson, moje rzeczy.

Nie wiedziałem, czy mam iść za nim.

— Nie, chcę być sam — rzekł do mnie tym samym tonem, jakim przed chwilą mówił do swojej kochanki i tak jakby był na mnie wściekły. Gniew jego był niby wspólna fraza, dająca w operze melodię kilku replikom zupełnie różniącym się w librecie od siebie sensem i charakterem, ale złączonym przez muzykę w jednym uczuciu. Kiedy Robert odszedł, Rachela wezwała Aimégo, prosząc go o różne informacje. Spytała mnie potem, jak mi się on wydaje.

— Ma zabawne spojrzenie, prawda? Rozumie pan, mnie by bawiło wiedzieć, co on może myśleć, mieć go przy sobie do usługi, zabrać go z sobą w podróż. Ale nie więcej. Gdyby się trzeba było kochać z każdym mężczyzną, który się nam podoba, to byłoby

²¹⁰Jussieu, Bernard de (1699–1777) — francuski botanik, należący do rodziny znanych botaników; założyciel ogrodu botanicznego w Trianon koło Wersalu. [przypis edytorski]

w gruncie dosyć okropne. Robert niepotrzebnie nabija sobie głowę. Wszystko to jest u mnie czysto cerebralne²¹¹, Robert powinien by być bardzo spokojny.

Patrzyła wciąż na Aimégo.

— O, niech pan patrzy na te jego czarne oczy, chciałabym wiedzieć, co tam w nich siedzi.

Niebawem oznajmiono Racheli, że Saint-Loup prosi ją do separatki, dokąd udał się innym wejściem, aby dokończyć śniadania, nie przechodząc przez restaurację. Znalazłem się nagle sam, potem Robert kazał mnie zawołać. Zostałem Rachelę wyciągniętą na sofie, śmiejącą się pod jego pocałunkami i pieszczotami. Pili szampana. „Serwus, ty!” — rzekła do niego, bo nauczyła się świeżo tej formuły, która się jej wydawała ostatnim słowem pieszczoty i dowcipu. Źle się jakoś czułem i, niezależnie od perory Legrandina, ze smutkiem myślałem, że zacząłem to pierwsze wiosenne popołudnie w separatce, a skończę je za kulisami. Spojrzawszy na zegarek, aby sprawdzić, czy się nie spóźni, Rachela naląła mi szampana, poczęstowała mnie egipskim papierosem i odpięła dla mnie różę od stanika. Wówczas powiedziałem sobie: „Nie trzeba zbytnio żałować dnia; godziny spędzone z tą młodą kobietą nie są stracone, skoro dzięki niej mam tę uroczą rzecz, której nie można opłacić zbyt drogo: różę, wonnego papierosa, kubek szampana”. Mówiłem to sobie, bo zdawało mi się, że w ten sposób daję owym godzinom nudy charakter estetyczny i tym samym usprawiedliwiam je. Może powinienem był myśleć, że sama potrzeba argumentu dla pocieszenia się w mojej nudzie starczy za dowód, że nie odczuwam nic estetycznego.

Co się tyczy Roberta i jego kochanki, robili wrażenie, że wcale nie pamiętają swojej świeżej sprzeczki ani tego, że ja byłem jej świadkiem. Nie robili do niej żadnej aluzji, nie szukali żadnego usprawiedliwienia, tak samo jak dla kontrastu, który z nią tworzyło obecne ich zachowanie się. Dojąc z nimi szampana, odczuwałem coś niby pijaństwo z Rivebelle, mimo iż zapewne nie było to to samo. Nie tylko każdy rodzaj pijaństwa — ale każdy stopień pijaństwa (który powinien mieć odmienną „kotę”, jak te, co oznaczają głębokość morza) obnaża w nas specjalnego człowieka, ściśle w tej głębokości, w jakiej się znajduje. Gabinet, gdzie siedzieliśmy, był mały, ale jedyne lustro, które go zdobiło, umieszczone było w ten sposób, że zdawało się odbijać trzydzieści innych w perspektywie bez końca; a lampka elektryczna umieszczona na szczycie ramy, wieczorem, kiedy była zapalona, musiała wraz z procesją trzydziestu podobnych do niej odbić dawać pijakowi, nawet samotnemu, wrażenie, że przestrzeń dokoła niego mnoży się równocześnie z jego wrażeniami podsyconymi pijaństwem i że, zamknięty w tej salce, panuje nad czymś o wiele rozleglejszym w swojej nieokreślonej i świetlnej krzywiźnie niż aleja Jardin de Paris. Otóż będąc w tej chwili owym pijącym, naraz, szukając go w lustrze, spostrzegłem go, szpetnego, nieznanego, patrzącego na mnie. Radość pijaństwa była mocniejsza niż wstręt; przez wesołość lub fanfaronadę uśmiechnąłem się doń, a równocześnie on uśmiechnął się do mnie. I czułem się tak bardzo pod ulotną i potężną władzą chwili, w której wrażenia są tak mocne, iż nie wiem, czy moim jedynym smutkiem nie była myśl, że owo okropne „ja”, które ujrzałem, przeżywa może swój ostatni dzień i że nigdy nie spotkam tego obcego człowieka w ciągu mego życia.

Robert był tylko zły, żem nie chciał bardziej błyszczeć w oczach jego kochanki.

— No, słuchaj, opowiedz jej o tym panu, któregoś spotkał rano, co to miesza snobizm z astronomią, nie pamiętam już dobrze. — I zerkał na nią spod oka.

— Ależ, Robercie, nie ma o nim nic więcej do powiedzenia niż to, co powiedział.

— Nudny jesteś. Więc opowiedz o Franciszce na polach Elizejskich; to ją tak zabawi.

— Och, tak! Bobby ty mi mówił o Franciszce. — I biorąc Roberta pod brodę, Rachela powtórzyła, przez brak inwencji, przyciągając mu głowę do światła: — Serwus, ty!

Pijaństwo

Lustro

Od czasu jak aktorzy nie byli już dla mnie wyłącznie, w swojej dykcji i w swojej grze, piastunami prawdy artystycznej, interesowali mnie sami w sobie; bawiłem się, tak jakbym oglądał postacie ze starego „romansu komicznego”, widząc, jak za zjawieniem się

²¹¹cerebralny (med.) — mózgowy, związany z mózgiem. [przypis edytorski]

nowej twarzy młodego panicza wchodzącego na salę „naiwna” słucha z roztargnieniem oświadczeń amanta na scenie, gdy ten, w pełni płomienną tyradę miłosnej, praży spojrzeniem starszą damę siedzącą w pobliskiej łoży i fascynującą go wspaniałymi perłami; w ten sposób, zwłaszcza dzięki informacjom Roberta o życiu prywatnym artystów, widziałem jakby inną sztukę, niemą i wyrazistą, odgrywaną pod sztuką mówioną, która zresztą, mimo iż mierna, interesowała mnie; czułem bowiem, jak w niej kiełkuje i rozkwita na przeciąg godziny, w świetle rampy, na twarzy aktora inna twarz, utworzona z aglutynacji²¹² szminki i kartonu, a na jego prywatnej duszy inna dusza, stworzona ze słów roli.

Te znikome i żywe indywidualności, jakimi są osoby sztuki również pochłaniającej, które się kocha, podziwia, z którymi się współczuje, które chciałoby się ujrzyć po wyjściu z teatru, ale które się rozszczepiły na aktora pozbawionego już tego charakteru, jaki miał w sztuce, na tekst niezrośnięty już z twarzą aktora, na kolorowy pył dający się zetrzeć chustką, które, jednym słowem, obróciły się w składniki niemające już nic z nich, z przyczyny swego rozkładu, dokonanego natychmiast z końcem widowiska, każą, tak samo jak rozpad ukochanej istoty, wątpić o realności naszego ja i dumać nad tajemnicą śmierci.

Jeden numer programu był mi nadzwyczaj przykry. Młoda kobieta, przedmiot nienawiści Racheli i kilku jej przyjaciółek, miała debiutować w tym teatrzyku w starych piosenkach, na którym to debiucie wspierała wszystkie nadzieje swoje i swojej rodziny. Ta młoda kobieta miała pupę bardzo wydatną, niemal śmieszna; głos ładny, ale zbyt niski, zwątlony jeszcze tremą i stanowiący kontrast z tym potężnym umięśnieniem. Racheli ściągnęła do sali sporo swoich stronników, których zadaniem było paraliżować sarkazmami znaną z nieśmiałości debiutantkę; zbić ją z tropu tak, aby zrobiła kompletne fiasko, które by ją pozbawiło widoków *engagement*²¹³. Od pierwszych słów nieszczęsnej kilku widzów zaczęło sobie w tym celu pokazywać ze śmiechem jej tył; kilka kobiet należących do spisku śmiało się w głos; każda wysoka nuta zwiększała rozmyślną wesołość trącąca skandalem. Nieszczęśliwa, która pociła się z męki pod szminką, próbowała przez chwilę walczyć; potem rzuciła na salę zrozpaczone i oburzone spojrzenie, które jedynie zdwoiło wycia. Zmysł naśladowczy, chęć okazania odwagi i dowcipu pociągnęły kilka ładnych aktorek, których nie uprzedzono z góry, ale które, porozumiewszy się z tamtymi złośliwym spojrzeniem, wiły się wśród gwałtownych wybuchów śmiechu, tak że pod koniec drugiej piosenki, mimo iż program obejmował ich jeszcze pięć, reżyser kazał spuścić kurtynę. Siliłem się nie myśleć już o tym wydarzeniu, tak samo jak o cierpieniu mojej babki, kiedy wuj, aby ją podrażnić, częstował dziadka koniakiem; pojęcie złośliwości miało dla mnie coś nazbyt bolesnego. A przecież, tak samo jak litość wobec nieszczęścia nie jest może zbyt ścisła, bo siłą wyobraźni odtwarzamy sobie cały ból, nad którym nieszczęśliwy, zmuszony walczyć przeciw niemu, nie myśli się roztkliwiać, tak samo złość nie posiada zapewne w duszy złośliwego człowieka owego czystego i rozkosznego okrucieństwa, którego pojęcie sprawia nam taką przykrość. Nienawiść jest mu pobudką, gniew daje mu zapal, energię, niemające nic bardzo radosnego; trzeba by sadyzmu, aby stąd czerpać przyjemność; zły myśli, że dręczy złego. Racheli wyobrażała sobie z pewnością, że aktorka, której dokuczała, nie jest niczym interesującym; w każdym razie sądziła, że wywołując gwizdania, broni dobrego smaku, drwiąc sobie z tego, co śmieszne i dając nauczkę złej koleżance. Mimo to wolałem nie mówić o tym wydarzeniu; skoro nie miałem odwagi ani siły zapobieżenia mu, byłoby mi zbyt przykro, gdybym, mówiąc dobrze o ofercie, sprowadzał do sadyzmu uczucia ożywiającej katów tej debiutantki.

Ale początek tego przedstawienia zainteresował mnie jeszcze w inny sposób. Wy tłumaczył mi po części naturę złudzenia, jakiego Saint-Loup był ofiarą w stosunku do Racheli; złudzenia, które stworzyło przepaść między obrazami, pod jakimi oglądaliśmy obaj kochankę Roberta, widząc ją tegoż ranka pod kwitnącą gruszą. Racheli niemalże statystowała w błażej sztuczce. Ale oglądana w ten sposób, była to inna kobieta. Twarz jej była z tych, które wydobywa odległość, a które rozsypują się w proch widziane z bliska. I niekoniecznie odległość sceny: świat jest w tej mierze jedynie większym teatrem. Będąc tuż obok niej, widziało się jedynie mgławicę, mleczną drogę piegów, przyszczyków,

²¹²aglutynacja (z łac.) — skupianie się i zlepianie się w grudki komórek rozproszonych w płynnym środowisku. [przypis edytorski]

²¹³*engagement* (fr.) — angaż, umowa z artystą: aktorem lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

nic więcej. Na pewną odległość wszystko to znikало; z zatartych i wessanych policzków wyląniał się — niby półksiężyc — nos tak subtelny, tak czysty, że pragnęłoby się ściągnąć na siebie uwagę Racheli, widzieć ją do syta, mieć ją koło siebie — gdyby się jej nigdy nie widziało inaczej i z bliska! Ja nie byłem w tym położeniu, ale był w nim Saint-Loup, kiedy ją ujrzał na scenie pierwszy raz. Wówczas zadał sobie pytanie, jak się zbliżyć do niej, jak ją poznać; otwarła się w nim cała czarodziejska dziedzina — ta, w której żyła ona — skąd szły ku niemu rozkoszne promienie, ale do której nie miał dostępu. Wyszedł z teatru, powiadając sobie, że szaleństwem byłoby pisać do niej, że by mu nie odpowiedziała; gotów był oddać majątek i nazwisko dla istoty żyjącej w nim w świecie o tyle wyższym od tych nazbyt znanych realności; w świecie upiękuszonym żądzą i marzeniem, kiedy, czekając pod teatrem, starą budą, która sama robiła wrażenie dekoracji, ujrzał wysypującą się z drzwi w zgrabnych kapelusikach wesołą gromadkę grających owego wieczora aktorek. Młodzi ludzie, którzy je znali, czekali tam na nie. Ponieważ ilość pionków ludzkich jest mniej liczna niż ilość kombinacji, jakie mogą utworzyć, w sali, gdzie nie mamy nikogo znajomego, znajdzie się zawsze ktoś, kogo nie spodziewaliśmy się ujrzeć w życiu, a kto zjawia się tak w porę, że trafia robi wrażenie czegoś opatrnościowego; niemniej, gdybyśmy się znaleźli nie tam, lecz gdzie indziej, gdzie by się zrodziły inne pragnienia, spotkalibyśmy znowu innego starego znajomego, zdolnego im dopomóc. Złote wrota świata marzeń zamknęły się za Rachelą, zanim Saint-Loup ujrzał ją wychodzącą z teatru, tak że piegi i pryszczki zeszły na drugi plan. Raziły go jednak, tym bardziej że, nie będąc już sam, nie miał już tej swobody marzenia co w teatrze. Ale młoda aktorka, mimo że jej już nie widział, dalej kierowała jego czynami, jak owe gwiazdy, które władają nad nami siłą swego przyciągania, nawet wówczas gdy nie są widzialne naszym oczom. Jakoż pragnienie zbudzone przez aktorkę o subtelnych rysach — których nawet nie pamiętał — sprawiło, iż, rzucając się na obecnego tam przypadkowo dawnego kolegę, kazał się przedstawić osobie bez rysów i z piegami (skoro to była ta sama), powiadając sobie, że później postara się rozpoznać, którą z dwóch kobiet jest ta osoba w rzeczywistości. Rachela śpieszyła się, nie odezwała się nawet tym razem do Roberta; dopiero w kilka dni później zdołał uzyskać to, że pożegnała kolegów i pozwoliła się odprowadzić. Kochał ją już. Potrzeba marzenia, pragnienie szczęścia przez osobę, którą się wymarzyło, sprawiają, że niewiele czasu potrzeba, aby powierzyć wszystkie swoje nadzieje szczęścia tej, która kilka dni wprzód była jedynie przygodnym, nieznanym, obojętnym zjawiskiem na deskach teatru.

Po zapadnięciu kurtyny przeszliśmy na scenę. Onieśmielony swoją obecnością na deskach scenicznych chciałem się wdać w rozmowę z Robertem; w ten sposób moje zachowanie się (a nie wiedziałem, jak by się właściwie należało zachować w tak dla mnie nowym miejscu) utonęłoby całkowicie w naszej rozmowie; wszyscy będą myśleli, że jestem tak zaabsorbowany, iż wyda się całkiem naturalne, że mój wyraz nie odpowiada miejscu, gdzie się znajduję, ile że, pochłonięty tym, co mówię, zaledwie wiem, gdzie jestem. Zatem, dla pośpiechu, chwyciłem się pierwszego z brzegu tematu:

— Wiesz — rzekłem do Roberta — że byłem się z tobą pożegnać w dniu wyjazdu; nigdy nie mieliśmy sposobności mówić o tym. Kłaniałem ci się na ulicy.

— Nie mów nawet — odparł — byłem w rozpacz; spotkaliśmy się tuż koło koszar, ale nie mogłem się zatrzymać, bo już byłem bardzo spóźniony. Byłem niepokieszony, wierząc.

Więc on mnie poznał! Widziałem jeszcze ten całkowicie bezosobisty ukłon, jaki Robert oddał mi, przykładając rękę do kępi, bez jednego spojrzenia zdradzającego, że mnie zna, bez gestu, który by wyraził żal, że się nie może zatrzymać. Widocznie owa fikcja, jaką obrał w danej chwili — ta, że mnie nie poznaje — musiała dlań upraszczać sytuację. Ale byłem zdumiony, że mógł się na nią zdecydować tak szybko, zanim jakiś odruch zdradził pierwsze wrażenie. Zauważyłem już w Balbec, że obok tej naiwnej szczeroci jego twarzy, której skóra przezroczyłością swoją przepuszczała nagły dopływ pewnych wzruszeń, ciało Roberta było cudownie wdrożone wychowaniem do pewnej ilości towarzyskich komedii; niby doskonały aktor, mógł on — w pułku czy w salonie — grać na przemian rozmaite role. W jednej z tych ról kochał mnie głęboko, był ze mną jak z bratem; był moim bratem przedtem i stał się nim znów potem, ale przez krótką chwilę był innym człowiekiem, który mnie nie znał i który, trzymając lejce, z monoklem w oku, bez spojrzenia i uśmiechu, podniósł rękę do kępi, aby mi oddać poprawny ukłon wojskowy!

Snułem się między dekoracjami. Widziane z bliska, odarte z czaru odległości i światła, obliczonych przez wielkiego malarza, który je projektował, wydawały się nędzne; Rachelą zaś, kiedy się do niej zbliżył, nie mniej uległa władzy zniszczenia. Skrzydła jej uroczego nosa zgubiły się w perspektywie, między salą a sceną, całkiem tak jak plastyka dekoracji. To już nie była ona; poznawałem ją jedynie dzięki oczom, w których schroniła się jej tożsamość. Forma, blask tej błyszczącej przed chwilą młodej gwiazdy — znikły. W zamian za to — tak jak gdybyśmy się zbliżyli do księżycy i jak gdyby się nam przestał wydawać różowy i złoty — na tej twarzy tak gładkiej przed chwilą, widziałem już tylko same narośle, plamy, wyboje. Mimo chaosu, w jaki się rozpadały z bliska nie tylko twarz kobieca, ale malowane płótna, czułem się szczęśliwy, że tam jestem, że chodzę pośród dekoracji, w całej tej ramie, którą niegdyś moja miłość natury czyniłaby mi nudną i sztuczną, ale którą pędzel Goethego w *Wilhelmie Meisterze*²¹⁴ obdarzył dla mnie niejaką pięknoscią.

Zachwyciło mnie, że pośród dziennikarzy lub zaprzyjaźnionych z aktorkami światowców, którzy kłaniali się, rozmawiali, palili jak w restauracji, widzę młodego człowieka w czarnym aksamitnym berecie, w spódniczce „hortensja”, z policzkami cętkowanymi różem niby kartka z albumu Watteau²¹⁵. Z uśmiechem na ustach, z oczami wzniesionymi ku niebu, manewrując z wdziękiem rękami, podskakując lekko, ów młody człowiek wydawał się istotą tak bardzo innego gatunku niż rozsądni ludzie w marynarkach i tużurkach, pośród których on ścigał jak wariat swoje ekstatyczne marzenie, tak obcy sprawom ich życia, tak wcześniejszy od form ich cywilizacji, tak wyzwolony z praw natury! Patrząc nań, śledzić oczami wśród dekoracji swobodne arabeski, jakie kreśliły na nich jego kapryśne i uszmiłkowane skrzydlate pląsy, było orzeźwiające i miłe niby oglądać motyla zabłąkanego w ciżbie. Ale w tej samej chwili Saint-Loup wyobraził sobie, że jego kochanka zwraca zbyt dużą uwagę na tego tancerza próbującego ostatni raz figury *divertissement*²¹⁶, w którym miał wystąpić; twarz Roberta spochmurniała.

— Mogłabyś patrzeć w inną stronę — rzekł ponuro. — Wiesz, że ci tancerze to są skończone wycieruchy, obwiesie spod ciemnej gwiazdy! Taki będzie się potem chwalił, żeś na niego zwróciła uwagę. Zresztą, słyszysz przecie, wołają, żebyś szła się ubierać. Znowu się spóźnisz.

Trzej panowie — trzej dziennikarze — widząc wściekłą minę Roberta de Saint-Loup, zbliżyli się rozbawieni, aby posłuchać wymiany słów. Że zaś z drugiej strony ustawiano dekoracje, przyparto nas do nich.

— Och, ależ ja go poznaję, to mój przyjaciel — wykrzyknęła kochanka Roberta, patrząc na tancerza. — Ależ on to świetnie robi, patrzcie na małe ręce, jak one tańczą wraz z całą resztą!

Tancerz obrócił głowę; ludzka jego osobowość zjawiała się w sylfie²¹⁷, którego wcielił; prosta i szara galareta jego oczu zadrżała i zabłysła między sztywnymi i malowanymi rzęsami, a uśmiech poszerzył jego usta na uróżowanej twarzy. Następnie, aby zabawić młodą kobietę, niby śpiewaczka nucąca przez uprzejmość aryjkę, która nas zachwyciła, zaczął powtarzać ruch rąk, parodiując samego siebie z finezją karykaturzysty i wesołością dziecka.

— Och, to świetne! jak on robi samego siebie! — wykrzyknęła Rachelą, klaszcząc w ręce.

— Błagam cię, kochanie — rzekł Saint-Loup żalonym głosem — nie rób z siebie widowiska; zabijasz mnie. Przysięgam ci, że jeżeli powiesz jeszcze słowo, nie przyjdę do ciebie do garderoby i pójdę sobie. No, Zizi, nie bądź niedobra.

— Nie stój tak w tym dymie cygar, zaszkodzisz sobie — rzekł do mnie Saint-Loup, z troskliwością, jaką miał dla mnie od czasu Balbec.

²¹⁴ Goethe, Johann Wolfgang von (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niemieckich, poeta, dramaturg, prozaik, uczyony i polityk, reprezentant nurtu „burzy i naporu”, przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego; autor m.in. powieści epistolarniej *Cierpienia młodego Wertera* (1774), dramatu *Faust* (cz. I 1808, cz. II 1831), powieści dydaktycznej *Lata nauki Wilhelma Meistra* (1796) oraz zbioru nowel *Lata wędrówki Wilhelma Meistra* (1821). [przypis edytorski]

²¹⁵ Watteau, Antoine (1734–1782) — francuski malarz, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka. [przypis edytorski]

²¹⁶ *divertissement* (fr.) — wywodzące się z francuskiej kultury dworskiej XVII w. krótkie widowiska, np. baletowe lub o charakterze mieszanym. [przypis edytorski]

²¹⁷ sylf — duch żywiołu powietrza. [przypis edytorski]

— Och, co za szczęście, jeżeli sobie pójdiesz.
— Uprzedzam cię, że już nie wrócę.
— Nie śmiem o tym marzyć.
— Słuchaj, wiesz, przyrzekłem ci naszyjnik, jeżeli będziesz grzeczna; ale skoro mnie traktujesz w ten sposób...

— A, to coś, co mnie nie dziwi u ciebie. Przyrzekłeś mi, powinnam była zgadnąć, że nie dotrzymasz. Podzwaniaś mi nad uchem swoimi pieniędzmi, ale ja nie jestem interesowna jak ty. Mam twoją kolię gdzieś. Znam kogoś, kto mi ją ofiaruje.

— Nikt ci jej nie ofiaruje, bo zastrzegłem ją u Boucheron'a i mam jego słowo, że jej nie sprzedam nikomu prócz mnie.

— Doskonale, chciałeś mnie szantażować, zabezpieczyłeś się z góry. Typowy potomek Marsantów, *Mater Semita*²¹⁸, czuć rasę — odparła Rachela, powtarzając etymologię wspartą na grubym błędzie, bo *semita* znaczy „ścieżka”, a nie Semitka, ale przylepioną Robertowi przez nacjonalistów z powodu jego dreyfusizmu, przejętego zresztą od Racheli. A już Rachela mniej niż ktokolwiek miała racji przymawiać od Żydówek pani de Marsantes, u której salonowi etnografowie nie zdołali wykryć Żyda poza jej pokrewieństwem z rodziną Lévy-Mirepoix. — Ale jeszcze nie wszystko skończone, bądź pewny — ciągnęła Rachela. — Słowo dane w tych warunkach nie ma znaczenia. Podszedłeś mnie. Boucheron dowie się o tym i dostanie podwójną cenę za swoją kolię. Usłyszysz o mnie niedługo, bądź pewien.

Saint-Loup miał sto razy rację. Ale okoliczności są zawsze tak zagmatwane, że ten, co ma rację sto razy, może jej nie mieć raz. I mimo woli przypomniałem sobie to niemile, a przecież bardzo niewinne słówko, które mu się wyrwało w Balbec: „W ten sposób mam ją w ręku”.

— Źle zrozumiałas to, co mówiłem o kologii. Nie przyrzekłem ci jej w sposób formalny. Z chwilą gdy robisz wszystko, aby mnie przywieść do zerwania, bardzo naturalne jest, że ci jej nie dam. Nie rozumiem, gdzie tu widzisz podejście lub interesowność. Nie możesz mówić, że ja podzwaniałam pieniędzmi; wciąż ci powtarzam, że jestem biedny i że nie mam grosza. Nie słusznie bierzesz to w ten sposób, maleńka. W czym jestem interesowny? Ty wiesz, że jedyne, co mnie interesuje, to ty.

— Owszem, owszem, możesz mówić dalej — rzekła ironicznie Rachela, imitując gestem ruch piły. Po czym zwróciła się do tancerza:

— Och, naprawdę, on jest bajeczny z tymi rękami. Ja, kobieta, nie potrafiłabym tego, co on wyczynia.

I obracając się do tancerza, pokazała mu zmienioną twarz Roberta:

— Patrz, on cierpi — szepnęła doń w przystępie sadystycznego okrucieństwa, niebędącego zresztą w stosunku do jej prawdziwego przywiązania do Roberta.

— Słuchaj, ostatni raz, przysięgam ci, że choćbyś na głowie stawała, będziesz mogła za tydzień przeproszać, ile ci się podoba, nie wrócę. Miarka się przebrała, uważaj. To już nieodwołalne; będziesz tego żałowała kiedyś, ale będzie za późno.

Może był szczery; ból rozstania się z kochanką wydawał mu się mniej okrutny niż znoszenie pewnych rzeczy.

— Słuchaj, dziecko — rzekł Robert zwracając się do mnie — nie stój tutaj, powtarzam ci, zaczniesz kaszleć.

Wskazałem dekorację, która nie pozwalała mi zmienić miejsca. Saint-Loup dotknął lekko kapelusza i rzekł do dziennikarza:

— Proszę pana, czy pan nie zechciałby rzucić cygara, dym szkodzi mojemu przyjacielowi.

Nie czekając nań, Rachela skierowała się do garderoby; idąc, odwróciła się jeszcze:

— Czy i z kobietami tak sobie poczynają te małe rączki? — rzekła z daleka do tancerza sztucznie melodyjnym i niewinnym głosikiem „nawnej”. — Ty sam robisz wrażenie kobiety; sądzę, że można by się doskonale porozumieć z tobą i z jedną z moich przyjaciółek.

— O ile wiem, palenie nie jest tu wzbronione; kiedy ktoś jest chory, najlepiej, żeby siedział w domu — rzekł dziennikarz.

²¹⁸*Mater Semita* (łac.) — Główna Ścieżka. [przypis edytorski]

Tancerz uśmiechnął się tajemniczo do artystki.

— Och, cicho siedź, przywodziś mnie do szaleństwa — krzyknęła. — Zrobimy jakąś kombinację.

— W każdym razie, widzę, że pan nie jest uprzejmy — rzekł Saint-Loup do dziennikarza tonem wciąż łagodnym i grzecznym, z miną człowieka, który omawia jakieś minione zdarzenie.

W tej chwili ujrzałem, jak Saint-Loup podnosi prostopadle ramię, tak jakby dawał znak komuś, kogo nie widziałem, lub jak dyrygent orkiestry. I w istocie — bez większego przejścia niż kiedy, na prosty ruch palczki w symfonii lub w balecie, gwałtowny rytm następuje po wdzięcznym *andante*²¹⁹ — po swoich grzecznych słowach Robert opuścił w grzmiącym policzku dłoń na twarz dziennikarza.

Teraz, kiedy po pełnych umiaru rozmowach dyplomatów, po pogodnych igraszkach pokoju nastąpił wściekły wybuch wojny, nie zdziwiłbym się nadto, widząc przeciwników kąpiących się we własnej krwi. Cios prowokował cios. Ale czego nie mogłem zrozumieć (jak osoby, które uważają za niewłaściwość wybuch wojny między dwoma krajami, wówczas gdy dopiero była mowa o rewizji granic, lub śmierć chorego, kiedy była mowa jedynie o powiększeniu wątroby), to w jaki sposób, po słowach Roberta dyskutujących jedynie stopień grzeczności, mógł nastąpić gest, który zupełnie nie wypływał z tych słów, gest, którego one nie zapowiadały. Ten gest, zrodzony w samoródtwie gniewu *ex nihilo*²²⁰, gwałcił nie tylko prawo narodów, ale zasadę przyczynowości. Szczęściem, dziennikarz, który, zachwiaszwszy się pod gwałtownością uderzenia, zbladł i zawahał się chwilę, nie oddał ciosu. Co się tyczy jego przyjaciół, jeden natychmiast odwrócił głowę, wypatrując z uwagą w stronę kulis kogoś, kogo najoczywiej tam nie było; drugi udał, że mu coś wpadło w oko, i krzywiąc się, zaczął trzeć powiekę; trzeci rzucił się ku wyjściu, wołając: „Och, zdaje się, że podnoszą kurtynę: nie dostaniemy się na salę”.

Byłbym chciał przemówić do Roberta, ale był tak przepelniony oburzeniem na tancerza, że przyłgnęło ono całkowicie do powierzchni jego źrenic; niby wewnętrzne ruszowanie napinało jego policzki, tak że jego duchowe podniecenie wyrażało się pełnym zewnętrznym bezruchem; nie zdobyłby się nawet na grę mięśni pozwalającą przyjąć do świadomości moje słowa ani odpowiedzieć na nie. Przyjaciele dziennikarza, widząc, że wszystko jest skończone, zbliżyli się do niego, jeszcze drżący. Ale, wstydząc się, że go opuścili, chcieli koniecznie, aby myślał, że oni nic nie zauważyli. Jeden zaczął obszernie opowiadać, że mu coś wpadło w oko, drugi, że myślał, iż podnoszą kurtynę, trzeci rozwiódł się nad niezwykłym podobieństwem kogoś przechodzącego do jego brata. Zdawali się nawet mieć pretensję do niego, że nie dzieli ich przeżyć.

— Jak to, nie uderzyło cię to? Ślepy jesteś?

— A wy jesteście kapłony²²¹ — burknął spoliczkowany dziennikarz.

Niekonsekwentni wobec przyjętej fikcji, na zasadzie której powinni byli — ale tego nie uczynili — udać, że nie rozumieją, o co jemu chodzi, powiedzieli to, co jest tradycyjne w takich okolicznościach:

— Ech, zaciętrzewiasz się, nie przejmuj się, ależ z ciebie gorączka.

Zrozumiałem tego rana pod kwitnącymi gruszami złudzenie, na jakim wspierała się miłość Roberta do „Racheli, kiedy Pan?”; niemniej zdawałem sobie sprawę, ile, przeciwnie, jest realności w cierpieniu zrodzonym z tej miłości. Pomału ból, jaki Saint-Loup odczuwał od godziny, nie ustał, ale skurczył się, wsiąknął, w oczach jego pojawiała się wolna i elastyczna strefa. Opuściliśmy teatr i szliśmy przed siebie. Zatrzymałem się chwilę na rogu avenue Gabriel, skąd niegdyś widywałem często zjawiającą się Gilbertę. Próbowałem przez kilka sekund przypomnieć sobie te wrażenia, po czym przyspieszyłem kroku, aby dogonić Roberta, kiedy ujrzałem, że dość lichy ubrany jegomość mówi doń coś z bliska. Wywnioskowałem, że to musi być jakiś osobisty przyjaciel Roberta; ale ujrzałem, że jeszcze jakby zbliżyli się do siebie; naraz, tak jak na niebie ukazuje się zjawisko astralne, ujrzałem owoidalne²²² ciała, które z zawrotną chyżością przybierały wszystkie pozycje,

²¹⁹*andante* (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

²²⁰*ex nihilo* (łac.) — z niczego. [przypis edytorski]

²²¹*kapłon* — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

²²²*owoidalny* (z łac.) — jajowaty. [przypis edytorski]

pozwalające im utworzyć w stosunku do Roberta niestałą konstelację. Wyrzucone niby z procy, przybrały dla mnie liczbę co najmniej siedmiu. Były to wszakże jedynie dwie pięści Roberta, pomnożone przez chyżość zmiany miejsca w tej idealnej na pozór i dekoracyjnej całości. Ale fajerwerk ten był jedynie „laniem”, jakie Saint-Loup aplikował obcemu panu; agresywny zaś (w miejsce estetycznego) charakter zdarzenia ujawniła mi dopiero mina nieszczególnie ubranego jegomościa, który zdawał się równocześnie tracić równowagę, szczękę i dużo krwi. Osobom, które zbliżyły się z pytaniami na ustach, dał jakieś kłamlive wyjaśnienia, odwrócił głowę i widząc, że Saint-Loup zdecydowanym krokiem oddala się w moją stronę, patrzył za nim z miną urażoną i przybitą, ale bynajmniej nie wściekłą. Wściekły był, przeciwnie, Saint-Loup, mimo że jemu nic się nie dostało; kiedy się zrównał ze mną, oczy jego błyszczały jeszcze gniewem. Wypadek ten nie miał (jak mogłem przypuszczać) żadnego związku z pyskobicim w teatrze. Ów pan był to gorąckokrwisty przechodzień, który widząc pięknego żołnierza, uczynił mu pewne propozycje. Saint-Loup nie mógł się nadziwić czelności tej „kliki”, która nie czeka dla swoich praktyk nawet mroków nocy; mówił o propozycjach nieznanego z tym samym oburzeniem, z jakim dzienniki mówią o kradzieży zbrojną ręką, popełnionej w biały dzień w centrum Paryża. Usprawiedliwieniem spranego jegomościa mogłoby być to, że żądza sąsiaduje na tyle blisko z aktem, aby sama piękność zdawała się już przyzwoleniem. Otóż fakt, że Saint-Loup był piękny, nie podlegał dyskusji. Lanie, które zaaplikował nieznanemu, ma dla tego rodzaju ludzi tę korzyść, że każe się im poważnie zastanowić nad sobą; ale działanie tych refleksji trwa zazwyczaj zbyt krótko, aby się mogli poprawić i uniknąć w końcu znajomości z policją. Tak więc — mimo że Saint-Loup zaaplikował swoją pucówkę bez wielkiego zastanowienia — wszystkie tego rodzaju egzekucje, nawet gdy przychodzą w pomoc prawom, nie są zdolne ujednostajnić obyczajów.

Wydarzenia te — a zwłaszcza to, o którym myślał najbardziej — zrodziły z pewnością w Robercie potrzebę samotności. Zapropował mi, abym sam poszedł do pani Villeparisis; on przyjdzie później; woli — powiadał — abyśmy nie wchodzili razem; w ten sposób będzie wyglądało, że on dopiero co przyjechał do Paryża, nie zaś, żeśmy już spędzili z sobą popołudnie.

Jak to przypuszczałem przed poznaniem pani de Villeparisis w Balbec, między srodowiskiem, w którym żyła margrabina, a światem pani de Guermantes istniała wielka różnica. Pani de Villeparisis należała do kobiet, które, pochodząc ze świetnej rodziny, wszedłszy przez fakt małżeństwa w inną, nie mniej świetną, nie mają mimo to wielkiej sytuacji światowej; prócz kilku diuszes²²³, będących ich siostrzenicami lub szwagierkami, a nawet paru koronowanych głów (stare stosunki rodzinne), skupiają w swoim salonie jedynie publiczność trzeciego rzędu, mieszczaństwo, szlachtę prowincjonalną albo z „felerem”, której obecność od dawna wypłoszyła ludzi eleganckich lub snobów, o ile nie są zmuszeni bywać tam z obowiązku pokrewieństwa lub zbyt dawnej zażyłości. Zapewne, po paru chwilach nietrudno mi było zrozumieć, jakim cudem pani de Villeparisis była w Balbec tak dobrze — lepiej od nas samych — poinformowana o najmniejszych szczegółach podróży, jaką ojciec odbywał wówczas po Hiszpanii z panem de Norpois. Ale to nie dopuszczało wniosku, aby dwudziestoletni przeszło stosunek pani de Villeparisis z ambasadorem mógł być racją zdeklasowania się margrabiny w towarzystwie, gdzie najświetniejsze kobiety afiszują mniej godnych kochanków; zresztą pan de Norpois był z pewnością od dawna dla margrabiny jedynie starym przyjacielem. Czy pani de Villeparisis miewała niegdyś inne przygody, będąc wówczas gorętszej krwi niż obecnie na starość, która to starość, spokojna i nabożna, zawdzięczała może jednak trochę swojej barwy owym namiętym i odległym latom? Może nie umiała na prowincji, gdzie mieszkała przez czas dłuższy, uniknąć pewnych skandalów, nieznanym nowym pokoleniom, które konstatowały jedynie ich skutki w mieszanym i wątpliwym składzie salonu, stworzonym z natury swojej na to, aby był najbardziej wolny od wszelkiego aliażu²²⁴? Czy ów

²²³ diusza (z fr.) — księżna. [przypis edytorski]

²²⁴ aliaż (z fr.) — daw.: stop metali; dziś przen.: mieszanina, połączenie różnych właściwości, pojęć, cech. [przypis edytorski]

„zły język”, jaki przypisywał jej siostrzeniec, zyskał jej w owych czasach wrogów? Czy kazał jej wyzyskiwać pewne sukcesy u mężczyzn, aby dawać folgę zemście wobec kobiet? Wszystko to było możliwe; a uroczy, subtelny — nie tylko w słowach, ale akcentach — sposób, w jaki pani de Villeparisis mówiła o skromności, o dobroci, nie był argumentem przeciw tej hipotezie; ci bowiem, co nie tylko pięknie mówią o pewnych cnotach, ale nawet odczuwają ich urok i rozumieją je doskonale, co potrafią w swoich pamiętnikach odmalować ich godny obraz, pochodzą wprawdzie często z niemej, surowej i prostodusznej generacji, która te cnoty uprawiała, ale sami do niej nie należą. Generacja ta odbija się w nich, ale się w nich nie kontynuuje. Miejsce jej dawnego charakteru zastępuje wrażliwość, inteligencja, które nie służą do czynu. I bez względu na to, czy w życiu pani de Villeparisis istotnie były owe skandale, które zatarłyby blask jej nazwiska, przyczyną jej zdeklasowania była z pewnością owa inteligencja — inteligencja niemal drugorzędnego pisarza raczej niż światowej kobiety.

Bez wątpienia pani de Villeparisis sławiła zwłaszcza przymioty niezbyt podniecające, jak takt i miarę; ale aby mówić o umiarze w sposób pełnowartościowy, miara nie wystarczy, trzeba pewnych zalet pisarskich, które wymagają egzaltacji przekraczającej miarę. Zauważyłem w Balbec, że geniusz pewnych wielkich pisarzy był dla pani de Villeparisis niedostępny; umiała jedynie drwić z nich sprytnie, dawać swemu niezrozumieniu dowcipną i wdzięczną formę. Ale ten dowcip i wdzięk, rozwinięte w tym stopniu co u niej, stawały się same — na innym planie i choćby ich używała dla zapoznania najwyższych arcydzieł — stawały się same prawdziwą wartością artystyczną. Otóż takie przymioty wywierają na wszelką światową sytuację swoiste działanie chorobotwórcze, jak mówią lekarze, i tak destrukcyjne, że najsolidniejsza pozycja ledwie parę lat zdoła mu się opierać. To, co artyści nazywają inteligencją, wydaje się czystą pretensjonalnością eleganckiemu towarzystwu, które, niezdolne stanąć na jedynym punkcie widzenia, z którego artyści sądzą wszystko, nie rozumiejąc nigdy specjalnego uroku, jakiemu tamci ulegają, dobierając wyrażen lub tworząc skojarzenia, odczuwa w zetknięciu z nimi zmęczenie, irytację, nader rychło rodzące antypatię. A przecież jak w rozmowie, tak w pamiętnikach swoich, które ogłoszono później, pani de Villeparisis ujawniała wdzięk na wskroś światowy. Przeszedłszy obok wielkich rzeczy, których nie zgłębiała, a czasem nie dostrzegała, z lat, które przeżyła i które odmalowała zresztą z wielką trafnością i czarem, utrwaliła jedynie to, co w nich było najblahsze. Ale dzieło, nawet kiedy się ima jedynie tematów nieintelektualnych, jest i tak przejawem inteligencji; aby dać w książce lub w mało różniącej się od niej rozmowie doskonale wrażenie pustki, trzeba pewnej refleksji, do której osoba całkowicie pusta nie byłaby zdolna. W niektórych pamiętnikach pisanych przez kobietę i uważanych za arcydzieło, to i owo zdanie, cytowane jako model lekkości i wdzięku, zawsze nasuwało mi myśl, że aby dojść do tej lekkości, autorka musiała posiadać niegdyś dość solidną wiedzę, uprzykrzone wykształcenie, i że jako młoda dziewczyna była może w oczach przyjaciółek nieznośną sawantką²²⁵. Między niektórymi przymiotami literackimi a nielaską „świata” związek jest tak nieuchronny, że kiedy dziś czytamy pamiętniki pani de Villeparisis, jakieś trafne wyrażenie, jakaś celna metafora wystarczą czytelnikowi, aby przy ich pomocy uprzytomnił sobie głęboki, ale lodowaty ukłon, jaki na schodach jakiejś ambasady musiała składać starej margrabinie snobka w rodzaju pani Leroi, która rzucała jej może bilet wizytowy, udając się do Guermantów, ale nigdy nie przestępowała progu jej salonu z obawy, aby się nie zdeklasować w towarzystwie bywających tam żon lekarzy lub rejentów²²⁶. Sawantką była może pani de Villeparisis w pierwszej młodości; upojona wówczas swoją wiedzą, nie umiała może powstrzymać — w przeciwieństwie do ludzi światowych, mniej od niej inteligentnych i mniej wykształconych — ostrych żarcików, których zraniona nimi osoba nie zapomina.

Przy tym talent nie jest naddatkiem, który się sztucznie dołącza do rozmaitych zalet zapewniających sukcesy towarzyskie, w tym celu, aby stworzyć to, co światowcy nazywają „damą”. Talent jest żywym produktem pewnej organizacji duchowej, której na ogół wielu zalet brakuje i w której przeważa wrażliwość; a cechy tej wrażliwości, których nie dostrzegamy w książce, mogą się przejawiać dość jaskrawo w życiu, na przykład pewne

²²⁵sawantka (daw.; z fr. *savante*: uczona) — kobieta wykształcona, erudytka. [przypis edytorski]

²²⁶rejent (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

zainteresowania, fantazje, ochota pójścia tu czy tam dla własnej przyjemności, nie w celu pomnożenia, podtrzymania lub prostego kontynuowania stosunków towarzyskich. Wiedziałem w Balbec panią de Villeparisis otoczoną swoim dworem, niepatrzącą nawet na osoby zbierające się w hallu hotelowym. Ale miałem przeczucie, że to odcięcie nie było obojętnością, i zdaje się, że dawniej nie zawsze je sobie nakładała. Zapalała się do poznania jakiegoś osobnika, niemającego żadnych tytułów do bywania u niej; czasem dlatego, że ją uderzył swoją urodą, lub tylko dlatego, że chwalono jego dowcip, lub że się wydawał inny od jej znajomych, którzy, w owej epoce, kiedy ich jeszcze nie ceniła, bo myślała, że jej nigdy nie opuszczą, należeli wszyscy do najczystszej Faubourg Saint-Germain. Jakimś cyganowi, plebejuszowi, którego wyróżniła, musiała posyłać zaproszenia, których wartości nie mógł ocenić, z wytrwałością, która deprecjonowała stopniowo margrabinę w oczach snobów, nawykłych szacować salon raczej wedle osób, które pani domu z niego wyklucza, niż wedle tych, które przyjmuje.

To pewne, że jeżeli pani de Villeparisis w latach młodości, zblazowana przyjemnością należenia do najrasowszego kwiatu arystokracji, czyniła sobie jakby zabawę z tego, aby gorszyć swój świat i rezolutnie niweczyć własną sytuację, zaczęła cenić tę sytuację, odkąd ją straciła. Niegdyś chciała pokazać diuszom, że jest czymś więcej od nich, mówiąc i robiąc wszystko to, czego one nie śmiały mówić i robić. Ale teraz, kiedy one, z wyjątkiem najbliższej rodziny, przestały u niej bywać, czuła się upośledzona i pragnęła jeszcze panować, ale inaczej niż inteligencją. Byłaby chciała ściągnąć wszystkie te, które tak starannie odsunęła. Ileż egzystencji kobiecych, mało znanych zresztą (bo każdy, wedle swego wieku, ma jakby swój odrębny świat, a dyskrecja starców nie pozwala młodym ludziom znać przeszłości i ogarnąć całego kręgu), rozpada się w ten sposób na sprzeczne okresy, z których ostatni jest wypełniony pracą nad odzyskaniem tego, co w drugim tak wesoło puszczono z wiatrem! Puszczono z wiatrem w jaki sposób? Młodzi ludzie niełatwo to sobie wyobrażają, wówczas gdy mają przed sobą starą i czcigodną margrabinę de Villeparisis; nie postanie im w myśli, aby dzisiejszy poważny pamiętnikarz, tak godny pod swoją białą peruką, mógł być niegdyś wesołą kobietką, stanowiącą rozkosz lub ruinę ludzi od dawna leżących w grobie. To, że margrabina zniweczyła w ten sposób z całą wytrwałością i konsekwencją sytuację, jaką zawdzięczała swemu urodzeniu, nie znaczy zresztą wcale, aby nawet w owej odległej epoce nie ceniła wysoko swojej pozycji. Tak samo neurastenik²²⁷ może sam dziergać od rana do wieczora odosobnienie i beczynność, w jakich żyje i od których cierpi; i podczas gdy się sili dodać nowe oczko do sieci, która go czyni więźniem, być może iż marzy o samych balach, polowaniach i podróżach. Pracujemy nieustannie nad tym, aby nadać kształt swojemu życiu, ale kopiując mimo woli, niby wzorek, rysy osoby, którą jesteśmy, nie zaś tej, którą byłoby nam miło być. Wzgardliwe ukłony pani Leroi mogły wyrażać poniekąd prawdziwą naturę pani de Villeparisis, ale nie odpowiadały zgola jej pragnieniu.

Bez wątpienia, w tej samej chwili gdy pani Leroi, wedle ulubionego wyrażenia pani Swann, „zamrażała” margrabinę, ta mogła szukać dla siebie pociechy, wspominając, iż niegdyś królowa Maria Amelia²²⁸ mówiła jej: „Kocham cię jak córkę”. Ale tego rodzaju uprzejmości monarsze, sekretne i nieznanne, istniały tylko dla margrabin, zakurzone niby dyplom eks-laureata konserwatorium. Jedyne prawdziwe przewagi światowe to te, które tworzą życie; które mogą zniknąć, ten zaś, co z nich korzysta, nie potrzebuje ani się ich czepiać, ani się nimi chwalić, bo tego samego dnia zastąpi je sto innych. Przypominając sobie słowa królowej, pani de Villeparisis byłaby je chętnie zamieniła na stałą moc zyskiwania zaproszeń, jaką posiadała pani Leroi; tak jak w restauracji nieznanego wielkiego artysty, którego geniusz nie jest wypisany ani w rysach jego nieśmiałej twarzy, ani w niemodnym kroju marynarki, wolałby być bodaj młodym giełdciarzem, najniżej notowanym towarzyszem, ale zjadającym śniadanie przy sąsiednim stoliku z dwiema aktorkami i do którego, w usługowej i nieprzerwanej procesji cisną się gospodarz lokalu, kelnerzy, garsoni, pikolaki²²⁹, nawet kuchciki, wychodzący sznurem z kuchni, aby mu się pokłonić jak w feerii, podczas gdy z innej strony wylazi piwniczny, zakurzony jak jego butelki,

²²⁷neurastenik — osoba znerwicowana, o nadmiernie pobudzonym układzie nerwowym. [przypis edytorski]

²²⁸Amelia Orleańska, właśc. Amelia Maria Ludwika Helena Orleańska (1865–1951) — królowa Portugalii, najstarsza córka Filipa Orleańskiego, hrabiego Paryża. [przypis edytorski]

²²⁹pikolo (przestarz., z wł.) a. pikolak (pot.) — chłopak usługujący w restauracji, hotelu itp. [przypis edytorski]

koślawy i olśniony, jak gdyby, idąc z piwnicy, skręcił sobie nogę, zanim wydobyl się na światło.

Trzeba jednakże powiedzieć, że o ile nieobecność pani Leroi w salonie pani de Villeparisis gnębiła panią domu, brak ten przechodził niezauważony przez większość jej gości. Nie mieli pojęcia o wyjątkowej sytuacji pani Leroi, znanej jedynie eleganckiemu światu, i nie wątpili, że przyjęcia pani de Villeparisis były — jak o tym są dziś przekonani czytelnicy jej pamiętników — najświetniejsze w Paryżu.

Za pierwszą wizytą, jaką, rozstawszy się z Robertem, złożyłem pani de Villeparisis (idąc w tym za radą pana de Norpois, daną memu ojcu), zastałem ją w salonie obitym żółtym jedwabiem, gdzie kanapy oraz cudowne fotele z haftami *beauvais* odcinały się różowym, niemal fioletowym kolorem dojrzałych poziomek. Obok portretów Guermantów i Villeparisis wisiały — ofiarowane przez modele — portrety królowej Marii Amelii, królowej Belgów, księcia de Joinville²³⁰, cesarzowej austriackiej. Pani de Villeparisis, w staroświeckim koronkowym czepeczku (który konserwowała z tym samym inteligentnym zmysłem lokalnej lub historycznej barwy, z jakim hotelarz bretoński, choćby miał klientelę najbardziej paryską, sprytnie konserwuje u kelnerek czepki i szerokie rękawy), siedziała przy stoliku, gdzie, obok pędzli, palety i zaczętej akwareli, stały przed nią w szklankach, w salaterkach, filiżankach, róże mchowe, cynie, kapryfolium, które z powodu napływających w tej chwili gości przestała malować i które robiły wrażenie, iż stroją ładę kwiaciarki, niby na jakimś sztychu z XVIII wieku.

W salonie tym, umyślnie niezbyt ogrzanym, bo margrabina zakatarzyła się, wracając od siebie ze wsi, znajdował się pomiędzy obecnymi archiwista, z którym pani de Villeparisis segregowała rano własnoręczne listy historycznych osobistości, pisane do niej i mające figurować w faksymiliach²³¹ jako dokumenty w pamiętnikach, które właśnie pisała. Był i pewien historyk, uroczysty i onieśmielony, który dowiedziawszy się że margrabina posiada po przodkach portret księżnej de Montmorency²³², przyszedł prosić jej o pozwolenie reprodukcji tego portretu w swoim dziele o Frondzie²³³. Do tych gości przybył mój kolega Bloch, obecnie młody autor dramatyczny, na którego margrabina liczyła, że dostarczy gratis artystów na jej najbliższe koncerty. Prawda, iż kalejdoskop socjalny właśnie się obracał i że sprawa Dreyfusa miała zepchnąć Żydów na ostatni szczebel drabiny społecznej. Ale z jednej strony, na próżno cyklon dreyfusistowski szalał; nie z początkiem burzy fale biją z największą wściekłością. Następnie, pani de Villeparisis, pozwalając większości swojej rodziny grzmieć przeciw Żydom, została dotąd całkowicie obca „Sprawie” i nie interesowała się nią. Wreszcie, młody człowiek jak Bloch, którego nikt nie znał, mógł ujść niezauważony, podczas gdy wielcy reprezentacyjni Żydzi byli już zagrożeni.

Bloch nosił teraz bródkę, binokle, długi tużurek i rękawiczkę niby zwój papirusu w ręce. Rumuni, Egipcjanie i Turcy mogą nie cierpieć Żydów. Ale we francuskim salonie różnice między tymi narodami nie są tak uderzające; Izraelita wchodzący do salonu tak jakby się wylaniał z głębi pustyni, z ciałem pochylonym jak u hieny, z przekrzywioną szyją, rozdający wielkie „salamaleki”²³⁴, doskonale zadowala gust do orientalizmu. Tylko trzeba na to, aby Żyd nie należał do „świata”; inaczej łatwo przybiera wygląd lorda, obyczaje zaś jego „galicyzują się”, tak że krnąbrny nos, rosnąc jak nasturcje w nieoczekiwanych kierunkach, budzi myśl raczej o nosie Maskaryla²³⁵ niż o nosie Salomona²³⁶. Ale Bloch, jeszcze niewyrobiony w salonowej gimnastyce, nieuszlachetniony skrzyżowaniem z Anglią lub Hiszpanią, pozostał dla miłośnika egzotyzy, mimo europejskiego kostiu-

²³⁰księżę Joinville — Franciszek Orleański (1818–1900), jeden z synów króla Ludwika Filipa I; admirał marynarki wojennej, utalentowany artysta. [przypis edytorski]

²³¹faksymile (z łac. *fāc simile*: rób podobne; lm *fāksymilia*) — dokładna reprodukcja dokumentu, podpisu lub rysunku. [przypis edytorski]

²³²księżna Montmorency — Marie-Félicie des Ursins (1600–1666), żona Henriego II de Montmorency; po śmierci męża straconego za zdradę stanu w 1632 zamieszkała w klasztorze. [przypis edytorski]

²³³Fronda — ruch polityczny we Francji w latach 1648–53, występujący przeciwko absolutyzmowi i rządowi kardynała Mazariniego, pełniącego funkcję pierwszego ministra. [przypis edytorski]

²³⁴salamaleki — pozdrowienia; znieksz. *salam alejkum* (ar.): pokój z wami. [przypis edytorski]

²³⁵Maskaryl — typ wesołego i beczelnego lokaja w dawnej komedii francuskiej (m.in. w sztuce *Wartogłów* Moliera). [przypis edytorski]

²³⁶Salomon — biblijny król Izraela, syn Dawida, słynny z mądrości. [przypis edytorski]

mu, równie dziwny i ciekawy jak Żyd z obrazu Decampa²³⁷. Cudowna potęga rasy, która z głębi wieków pcha przed siebie, aż w dzisiejszy Paryż, w kuluary naszych teatrów, za okienka naszych biur, na pogrzeby, na ulice, nietkniętą falangę²³⁸, stylizującą nowoczesne uczesanie, wchłaniającą i neutralizującą tużurek, pozostaje w sumie całkiem tożsama z falangą asyryjskich skrybów, którzy, odmalowani w uroczystym stroju na fryzie gmachu w Suzie²³⁹, bronią bram pałacu Dariusza. (W godzinę później Bloch wyobrażał sobie, że to przez antysemityzm pan de Charlus dopytywał się, czy on ma imię żydowskie, gdy baron uczynił to jedynie przez estetyczną ciekawość i kult barwy lokalnej). Zresztą pojęcie trwałości ras nieściśle oddaje wrażenie, jakie na nas robią Żydzi, Grecy, Persowie, wszystkie te ludy, którym raczej należałoby zostawić ich różnorodność. Znamy ze starożytnych malowideł twarz dawnych Greków; widzieliśmy Asyryjczyków na frontonie pałacu w Suzie. Otóż kiedy gdzieś w towarzystwie spotkamy ludzi Wschodu, należących do takiej czy innej grupy, odnosimy wrażenie, że mamy przed sobą istoty wywołane mocą spirytyzmu. Zналиśmy jedynie powierzchowny obraz; i oto obraz ten nabral głębi, rozpóściera się w trzech wymiarach, porusza się. Młoda Greczynka, córka bogatego bankiera, modna w tej chwili, podobna jest do jednej z owych figurantek, które w historycznym i estetycznym wraz balecie symbolizują w żywym ciele sztukę helleńską; a jeszcze w teatrze aparat sceniczny banalizuje te obrazy; natomiast widowisko, jakie nam daje wejście do salonu Turczynki lub Żyda, ożywiając figury, czyni je tym dziwniejszymi, tak jakby chodziło istotnie o postacie wywołane mediumiczną siłą. To dusza (lub raczej to niewiele, do czego się sprowadza — dotąd przynajmniej — dusza w tego rodzaju materializacjach), to dusza oglądana dawniej przez nas jedynie w muzeach, dusza dawnych Greków, dawnych Żydów, wyrwana z życia nieznaczącego i transcendentalnego zarazem, zdaje się wykonywać wobec nas tę zdumiewającą mimikę. W młodej Greczynce, która się nam wymyka, na próżno chcielibyśmy uścisnąć postać podziwianą niegdyś na jakimś wazonie. Miałem wrażenie, że gdybym w świetle salonu pani de Villeparisis sfotografował Blocha, klisze dałyby ten sam obraz Izraela, niepokojący tak, jakby się nie wyłaniał z ludzkości, budzący rozczarowanie, bo mimo wszystko nazbyt podobny jest do ludzkości — obraz typowy dla fotografii z seansów spirytystycznych. Nawet, biorąc ogólniej, błahość słów wygłaszanych przez osoby, pośród których żyjemy, daje nam wrażenie czegoś nadprzyrodzonego — w tym naszym biednym codziennym świecie, gdzie nawet genialny człowiek, od którego spodziewamy się, skupieni koło niego jak koło wirującego stolika, tajemnicy nieskończoności, wypowiada tylko te słowa — te same, które właśnie wyszły z ust Blocha: „Proszę uważać na mój cylinder”.

— Mój Boże, ministrowie, mój drogi panie!... — mówiła właśnie pani de Villeparisis, zwracając się specjalnie do mego dawnego kolegi i nawiązując nić konwersacji, którą przerwało moje wejście. — Nikt wówczas nie chciał przyjmować ministrów. Choć byłam jeszcze bardzo mała, przypominam sobie, jak król prosił mojego dziadka, aby zaprosił pana Decazes²⁴⁰ na redutę²⁴¹, gdzie ojciec miał tańczyć z księżną de Berry. „Zrobisz mi przyjemność, Florymondzie”, mówił król. Dziadek, który był trochę głuchy, usłyszawszy „de Castries”, uważał prośbę za zupełnie naturalną. Kiedy zrozumiał, że chodzi o pana Decazes, miał chwilę buntu, ale skłonił się i napisał tegoż samego wieczora do pana Decazes, błagając, aby mu uczynił tę łaskę i zaszczyt i przyszedł do niego na bal w przyszłym tygodniu. Bo ludzie byli grzeczni, drogi panie, w owym czasie; a pani domu nie poprzestałaby na tym, aby przesłać komuś bilet wizytowy, dopisując ręcznie: „filiżanka herbaty” albo

²³⁷Decamps, Alexandre-Gabriel (1803–1860) — francuski malarz i grafik, tworzący romantyczne kompozycje o tematyce orientalnej, inspirowane podróżami do Grecji i Turcji. [przypis edytorski]

²³⁸falanga — w staroż. Grecji zwarty szyk ciężkozbrojnej piechoty; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

²³⁹Suza — staroż. miasto w ob. Iranie, od VI w. p.n.e. stolica administracyjna państwa perskiego; znana m.in. z ruin kompleksu pałacowego króla Dariusza I Wielkiego (ok. 550–485 p.n.e.). Autor błędnie powtarza, że na fryzach w Suzie przedstawieni są Asyryjczycy (których wizerunki są znane z przedstawień w miastach asyryjskich (Niniwie, Nimrud, Kalchu itd.), odkrytych w XIX w., położonych w płn. Mezopotamii, setki kilometrów dalej. [przypis edytorski]

²⁴⁰Decazes, Élie de (1780–1860) — francuski polityk, faworyt króla Ludwika XVIII, premier (1819–1820). [przypis edytorski]

²⁴¹reduta (daw.) — zabawa towarzyska, łącząca bal (często maskowy) oraz grę w karty dla panów i plotki oraz swatanie par dla pań. [przypis edytorski]

„herbata tańcząca”²⁴², albo „herbata z muzyką”. Ale o ile znano grzeczność, znano i impertynencję. Pan Decazes przyjął zaproszenie, ale w wilię²⁴³ zawiadomiono wszystkich, że dziadek, czując się cierpiący, odwołał redutę. Był posłuszny królowi, ale nie oglądał u siebie na balu pana Decazes... Tak, proszę pana, przypominam sobie bardzo dobrze pana Molé; był to człowiek wielkiego dowcipu (dał tego dowód, przyjmując — tak jak przyjął — pana de Vigny w Akademii), ale był bardzo uroczysty; widzę go jeszcze, jak schodzi na obiad u siebie w domu z cylindrem w ręce.

— Och, to bardzo ewokacyjne²⁴⁴ dla epoki dość żałośnie filisterskiej²⁴⁵; bo to był z pewnością powszechny zwyczaj, aby mieć kapelusz w ręku u siebie w domu — rzekł Bloch, pragnąc skorzystać z tej tak rzadkiej sposobności poinformowania się u naocznego świadka o właściwościach arystokratycznego życia z dawnych epok; podczas gdy archiwista, rodzaj przygodnego sekretarza margrabiny, obejmował ją rozczulonym spojrzeniem, zdając się nam mówić: „Nadzwyczajna kobieta, wszystko wie, wszystkich znała, możecie ją pytać, o co chcecie, bajeczna jest”.

— Ale nie — odparła pani de Villeparisis, przysuwając bliżej szklankę pełną kwiatów, które za chwilę miała znów zacząć malować — to był po prostu zwyczaj pana Molé. Nigdy nie widziałam, aby ojciec miał kapelusz u siebie w domu, wyjąwszy, rozumie się, kiedy przychodził król, skoro bowiem król jest wszędzie u siebie, gospodarz domu staje się prostym gościem we własnym salonie.

— Arystoteles²⁴⁶ powiada nam w rozdziale drugim... — zaryzykował pan Adam, historyk Frondy, ale tak nieśmiało, że nikt tego nie zauważył. Trapiiony od kilku tygodni nerwową bezsennością, opierającą się wszelkiemu leczeniu, nie kładł się już wcale i zmęczony zmęczeniem wychodził tylko wtedy, kiedy jego prace tego wymagały. Niezdolny podejmować często tych wypraw, tak prostych dla innych, a jego kosztujących tyle co wyprawa na Księżyc, konstatawał ze zdziwieniem, że życie większości ludzi nie jest stale zorganizowane w tym sensie, aby zapewnić maksimum wydajności nagłym zrywom jego energii. Często zastawał zamkniętą bibliotekę, do której wybrał się, skupiwszy całą siłę woli i w tużurku niby człowiek z Wellsa²⁴⁷. Szczęściem, zastał panią de Villeparisis w domu i miał ujrzeć portret.

Bloch przerwał mu w pół zdania.

— Doprawdy — rzekł, odpowiadając na słowa pani de Villeparisis w przedmiocie ceremoniału wizyt królewskich — absolutnie tego nie wiedziałem (jak gdyby to było dziwne, że on tego nie wiedział).

— À propos tego rodzaju wizyt, czy pan wie, na jaki głupi koncept wpadł wczoraj mój siostrzeniec Błażej? — spytała archiwisty pani de Villeparisis. — Zamiast się zaanonsować, kazał mi powiedzieć, że przyszła królowa szwedzka.

— Cha, cha! tak sobie: „królowa szwedzka”, ni z tego ni z owego. Dobry kawał! — parsknął Bloch, podczas gdy historyk uśmiechnął się z majestatyczną nieśmiałością.

— Zdziwiłam się trochę, bo wróciłam ze wsi dopiero od kilku dni; chcąc mieć trochę spokoju, prosiłam, aby nikomu nie mówiono, że jestem w Paryżu; toteż zastanawiałam się, jakim cudem królowa już wie o moim powrocie — odparła pani de Villeparisis, pograżając swoich gości w zdumieniu tym, że wizyta królowej szwedzkiej nie jest dla gospodyni domu sama przez się niczym anormalnym.

Niewątpliwie pani de Villeparisis, która przez całe rano porządkowała z archiwistą dokumenty do swoich pamiętników, w tej chwili bezwiednie próbowała ich działania na przeciętną publiczność — dającą skrót tej, z której będą się kiedyś składali jej czytelnicy. Salon pani de Villeparisis nie był salonem naprawdę eleganckim; na to margrabina przyjmowała zbyt wiele „pań miasta”, a w zamian brakło tam niejednej ze świetnych dam,

²⁴²*herbata tańcząca* (fr. *thé dansant*) — popołudniowe tańce z drobnym poczęstunkiem, organizowane w tradycyjnej porze picia herbaty, popularne w 2 poł. XIX w. i pierwszych dekadach XX w., początkowo na przedmieściach, w miastach garnizonowych, w kąpieliskach itp. [przypis edytorski]

²⁴³*wilia* (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie. [przypis edytorski]

²⁴⁴*ewokacyjny* (książk.) — przedstawiający lub wywołujący wspomnienia. [przypis edytorski]

²⁴⁵*filisterski* — cechujący filistrów, tj. mieszcuchów o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

²⁴⁶*Arystoteles* Arystoteles (384–322 p.n.e.) — grecki filozof i przyrodnik, najwyszczehroniejszy z uczonych starożytnych, osobisty nauczyciel Aleksandra Wielkiego. [przypis edytorski]

²⁴⁷*Wells, George Herbert* (1866–1946) — pisarz brytyjski, jeden z pionierów fantastyki naukowej. [przypis edytorski]

które zdołała ściągnąć do siebie pani Leroi; ale nikt by się tego nie domyślił z jej pamiętników. Tam niektóre mniej świetne stosunki autorki nikną, bo nie ma sposobności ich cytować; nieobecnych zaś nie czuje się braku, bo na przestrzeni, siłą rzeczy ograniczonej, jaką ogarniają te pamiętniki, może figurować niewiele osób; jeżeli więc te osoby należą do rodów monarszych lub figur historycznych, ostateczne wrażenie pamiętnika na publiczności sięga maksimum wykwintu. Zdaniem pani Leroi, salon pani de Villeparisis był czymś trzeciorzędnym, i ten sąd pani Leroi bolał panią de Villeparisis. Ale nikt już prawie nie wie, kim była pani Leroi; jej sąd ulotnił się, a salon pani de Villeparisis, gdzie bywała królowa szwedzka, gdzie bywali książę d'Aumale²⁴⁸, książę de Broglie²⁴⁹, Thiers²⁵⁰, Montalambert²⁵¹, biskup Dupanloup²⁵², przetrwa jako jeden z najświetniejszych salonów XIX wieku dla tej potomności, która nie zmieniła się od czasu Homera i Pindara²⁵³ i dla której godną zazdrości rangą jest wysokie urodzenie — królewskie lub omal że królewskie — przyjaźń królów, wodzów narodu, znamienitych mężów.

Otóż wszystko to miała pani de Villeparisis po trosze w swoim obecnym salonie i w swoich wspomnieniach, czasem lekko retuszowanych, przy których pomocy przedłużała go w przeszłość. Następnie pan de Norpois, niezdolny odbudować swojej przyjaciółce prawdziwej sytuacji, przyprowadzał jej w zamian zagranicznych lub francuskich mężów stanu, którzy go potrzebowali i którzy wiedzieli, że jedynym skutecznym sposobem zyskania jego łask jest bywać u pani de Villeparisis. Może i pani Leroi знаła te europejskie znakomitości. Ale jako kobieta miła i unikająca tonu sawantki, strzegła się mówić o kwestii wschodniej z premierami, zarówno jak o istocie miłości z powieściopisarzami i filozofami. „Miłość? — odparła raz pretensjonalnej damie, która spytała jej: »Co pani myśli o miłości?«. — Miłość uprawiam często, ale nie mówię o niej nigdy”. Kiedy pani Leroi miała u siebie owe świeczniki literatury i polityki, poprzestawała, jak księżna de Guermantes, na tym, aby im urządzić partyjkę pokera. Często woleli to niż programowe rozmowy na wielkie tematy, do jakich ich zmuszała pani de Villeparisis. Ale te rozmowy, może śmieszne w towarzystwie, dostarczyły *Wspomnieniom* pani de Villeparisis kapitalnych ustępów, dysertacji²⁵⁴ politycznych, które dobrze robią w pamiętnikach, jak w tragediach Corneille’a. Zresztą jedynie salony pań de Villeparisis mogą przejść do potomności, bo panie Leroi nie umieją pisać, a choćby umiały, nie miałyby na to czasu. I jeżeli żyłka literacka pań de Villeparisis jest przyczyną lekceważenia ze strony pań Leroi, wzgarda znowuż pań Leroi osobliwie wspomaga żyłkę literacką pań de Villeparisis, zostawiając sawantkom wczasy, jakich wymaga kariera literacka. Bóg, który chce, aby istniało trochę dobrze napisanych książek, podsyca w tym celu wzgardę w sercu pań Leroi, bo wie, że gdyby panie Leroi zapraszały na obiady panie de Villeparisis, te rzuciłyby natychmiast pióro i kazałyby zaprzęgać na ósmą.

W pewnym momencie weszła wolnym i uroczystym krokiem stara dama słusznego wzrostu, która pod odwiniętym słomkowym kapeluszem obnosiła monumentalną białą fryzurę *à la Marie-Antoinette*²⁵⁵. Nie wiedziałem wówczas, że to jest jedna z trzech kobiet, które można było jeszcze obserwować w paryskim towarzystwie i które, jak pani de Villeparisis, mimo iż pochodząc z wielkiego rodu, skazane były na towarzystwo samych odpadków swojego świata. Racje tego ostracyzmu gubiły się w mroku lat; mógłby coś o nich powiedzieć jedynie jakiś elegant współczesnej im epoki. Każda z tych dam miała swoją „księżnę de Guermantes”, swoją świetną siostrzenicę, która składała jej powinne wizyty, ale żadna nie zdołałaby ściągnąć do siebie „księżnej de Guermantes” dwóch tam-

²⁴⁸ Henryk Orleański, książę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

²⁴⁹ Broglie, Achille Charles de (1785–1870) — francuski książę, polityk; premier (1830 i 1835–1836), przywódca prawicy w Zgromadzeniu Narodowym. [przypis edytorski]

²⁵⁰ Thiers, Louis Adolphe (1797–1877) — francuski historyk i polityk, wsławiony stłumieniem komuny paryskiej. [przypis edytorski]

²⁵¹ Montalambert, Charles de (1810–1870) — francuski pisarz, historyk i działacz katolicki, inicjator ruchu katolików liberalnych. [przypis edytorski]

²⁵² Dupanloup, Félix (1802–1878) — biskup francuski, filozof. [przypis edytorski]

²⁵³ Pindara (ok. 520–ok. 438 p.n.e.) — wybitny poeta grecki, twórca liryki chóralnej, znany gł. z utworów na cześć zwycięzców igrzysk. [przypis edytorski]

²⁵⁴ dysertacja (daw.) — rozumowanie, dyskusja, roztrząsanie jakiegoś problemu, badanie; dziś: rozprawa naukowa. [przypis edytorski]

²⁵⁵ *à la Marie-Antoinette* (fr.) — na wzór Marii Antoniny. [przypis edytorski]

tych. Pani de Villeparisis żyła bardzo blisko z tymi trzema damami, ale ich nie lubiła. Może ich położenie, dość podobne do jej własnego losu, odbijało obraz, który nie był jej miły. Następnie te skwaśniałe sawantki, starając się liczbą „saynetek”²⁵⁶ odegranych pod swoim patronatem stworzyć iluzję salonu, rywalizowały z sobą, niemal walczyły o byt, ile że majątek każdej z nich, nadwreżony w ciągu burzliwej egzystencji, zmuszał je do liczenia się z groszem, do korzystania z gratisowego udziału jakiegoś artysty. Co więcej, dama z fryzurą *à la Marie-Antoinette*, ilekroć widziała panią de Villeparisis, nie mogła się powstrzymać od myśli, że księżna de Guermites nie przychodzi na jej piątki. Pocięchą jej było, że piątków tych nie opuszcza nigdy — jako dobra kuzynka — księżna de Poix, która była jej „księżną de Guermites” i która znowuż nigdy nie bywała u pani de Villeparisis, mimo iż będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de Guermites.

Jednakże między pałacem na quai Malaquais a salonami przy ulicach du Tournon, de la Chaise i du Faubourg Saint-Honoré węzeł równie silny jak znienawidzony łączył trzy upadłe bóstwa, o których bardzo rad byłbym się dowiedzieć, przeglądając jakiś mitologiczny słownik wielkiego świata, co za awanturka miłosna, co za świętokradzki wybryk sprowadziły tę karę. To samo świetne pochodzenie, ten sam obecny upadek odgrywały może dużą rolę w konieczności, która im kazała wraz nie cierpieć się i przestawać z sobą. Następnie, każda z nich znajdowała w osobach swoich przyjaciółek wygodny sposób świadczenia grzeczności swoim gościom. Jakimż cudem goście ci nie czuliby się w najbardziej zamkniętym świecie, kiedy ich przedstawiono wysoko utytułowanej damie, której siostra zaślubiła księcia de Sagan czy de Ligne! Tym bardziej że w dziennikach o wiele więcej mówiono o tych rzekomych salonach niż o prawdziwych. Nawet eleganccy siostrzeńcy (pierwszy Saint-Loup), kiedy jakiś kolega prosił ich, aby go wprowadzili w świat, mówili: „Zaprowadzę cię do mojej ciotki Villeparisis, to interesujący salon”. Wiedzieli zwłaszcza, że to im przysporzy mniej trudu niż wprowadzić owych przyjaciół do wykwiutnych siostrzenic lub szwagierek tych dam. Ludzie bardzo wiekowi, młode kobiety, które dowiedziały się tego od nich, powiadali mi, że jeżeli tych starszych dam nie przyjmowano, to dla nadmiernej swobody ich życia; na moją zaś obiekcję, że to nie jest przeszkoda do dobrego tonu, odpowiedziano mi, że to było coś przechodzącego wszystkie znane dziś proporcje. Wyuzdanie tych uroczystych dam, które siedziały wyprostowane, stawało się w ustach osób świadomych rzeczy czymś, czego bym sobie nie zdołał wyobrazić, na miarę przedhistorycznych epok mamuta. Krótko mówiąc, te trzy Parki²⁵⁷ o białych, niebieskich lub różowych włosach, przyczyniły się do ruiny nieprawdopodobnej ilości mężczyzn. Myślałem, że dzisiejsi ludzie wyolbrzymiają przywary owych bajecznych czasów, jak Grecy stwarzający Ikara, Tezeusza, Herkulesa z ludzi mało odmiennych od tych, którzy ubóstwili te postacie po wielu latach. Ale błędy danej istoty podsumowuje się dopiero wtedy, kiedy ta osoba nie bardzo jest już w stanie ich powtarzać; z rozmiarów kary socjalnej — która zaczyna się spełniać i którą jedynie stwierdzamy — oceniamy, wyobrażamy sobie, przesadzamy rozmiar popełnionej zbrodni. W tej galerii symbolicznych figur, jaką jest „świat”, kobiety naprawdę lekkie, kompletne Messaliny²⁵⁸, mają zawsze uroczystą postać damy co najmniej siedemdziesięcioletniej, wyniosłej, która przyjmuje tyle, ile może, ale nie tych, których by chciała; u której nie chcą być kobiety mające swoje grzeszki; jest to dama, której nieodmiennie papież daje „złotą różę” i która czasami napisała o młodości Lamartine’a²⁵⁹ dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską.

— Dzień dobry, Alix — rzekła pani de Villeparisis do damy z białą fryzurą *à la Marie-Antoinette*, która to dama objęła przenikliwym okiem zebranie, aby sprawdzić, czy nie ma w tym salonie jakiegoś egzemplarza, który mógłby się nadać do jej salonu, a który w tym wypadku powinna odkryć sama, bo pani de Villeparisis, nie ma co o tym wątpić, umiałaby go przed nią przebiegle ukryć. I tak, pani de Villeparisis strzegła się pilnie przedstawić starej damie Blocha, z obawy, aby nie wystawił w salonie przy quai

²⁵⁶saynetka (neol.; z fr. *saynète*) — scenka; komedijka. [przypis edytorski]

²⁵⁷Parki (mit. rzym.) — trzy boginie przeznaczenia, przędące i przecinające nić ludzkiego losu. [przypis edytorski]

²⁵⁸Messalina, Valeria (ok. 17–40) — trzecia żona rzym. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków. [przypis edytorski]

²⁵⁹Lamartine, Alphonse de (1790–1869) — francuski poeta, polityk liberalny; tradycyjnie uznawany za prekursora francuskiego romantyzmu; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

Malaquais tej samej „saynetki” co u niej. Było to zresztą jedynie wet za wet. Bo w wilię tego dnia pani Ristori²⁶⁰ deklamowała w salonie starej damy, baczącej pilnie, aby pani de Villeparisis, której zwędziła włoską artystkę, usłyszała o tym aż po fakcie. Iżby się o tym nie dowiedziała z gazet i nie obraziła się, stara dama przyszła jej to opowiedzieć, jakoby w niewinności ducha.

Pani de Villeparisis, uważając, że moja prezentacja nie grozi tym, co znajomość z Blochem, przedstawiła mnie fałszywej Marii Antoninie. Ta, starając się możliwie najmniej poruszać, aby na przekór wiekowi ocalić ową linię bogini Coysevoxa²⁶¹, która przed wielu laty czarowała wytworną młodzież, a którą quasi-poeci opiewali teraz w lichych rymach — przybrawszy zresztą styl wyniosłej sztywności, wspólnej osobom, które zły los skazał na ustawiczne robienie awansów — skinęła lekko głową z lodowatym majestatem, po czym, obracając się w inną stronę, przestała się mną zajmować, tak jakbym nie istniał. Zachowanie się jej miało podwójną intencję; zdawało się mówić pani de Villeparisis: „Widzisz, że nie zależy mi na jednym stosunku więcej i że młodzi ludzie — z żadnego punktu widzenia, ty jaszczurko — nie interesują mnie”. Ale kiedy, w kwadrans potem, owa dama wychodziła, wówczas korzystając z zamętu, szepnęła mi, abym przyszedł w piątek do jej łoża, gdzie spotkam jedną ze starych dam, której wspaniałe nazwisko — była zresztą z domu Choiseul — zrobiło na mnie kolosalne wrażenie.

— Proszę pana, coś mi się widzi, że pan chce pisać o księżnej de Montmorency — rzekła do historyka Frondy pani de Villeparisis, owym szorstkim tonem, jakim bezwiednie chmurzyła się jej uprzejmość, przez pomarszczony dąs, przez fizjologiczny żal starości, zarówno jak przez afektację w podrabianiu chłopskiego niemal tonu dawnej arystokracji. — Pokażę panu jej portret, oryginał kopii znajdującej się w Luwrze.

Wstała, składając pędzle obok kwiatów. Fartuszek, którym była przepasana i który nosiła, aby się nie powalać farbami, podkreślał jeszcze charakter niemal wieśniaczy, jaki jej dawały wielkie okulary i czepek, stanowiąc kontrast z elegancją służby, kamerdynera wnoszącego herbatę i ciasteczka, lokaja w liberii, na którego margrabina zadzwoniła, aby oświetlił portret księżnej de Montmorency, ksieni²⁶² jednego z najświetniejszych klasztorów wschodnich kresów Francji. Wszyscy wstali.

— Co jest dosyć zabawne — rzekła pani de Villeparisis — to że w owych klasztorach, gdzie nasze cioteczne babki bywały przeoryszami, nie przyjęto by córek króla Francji. To były kapituły bardzo zamknięte.

— Nie przyjęto by córek króla Francji, a to czemu? — spytał zdumiony Bloch.

— Ależ temu, że dom francuski nie miał dosyć pokoleń szlacheckich, od czasu jak popełnił mezalians.

Zdumienie Blocha rosło.

— Dom francuski mezalians? Z kim?

— No, z Medyceuszami — odparła najnaturalniej pani de Villeparisis. — Piękny portret, nieprawdaż, i doskonale zachowany — dodała.

— Droga — rzekła dama uczesana *à la Marie-Antoinette* — przypominasz sobie, że kiedyś ci przyprowadziła Liszta²⁶³, Liszt powiedział, że ten portret to kopia.

— Gotowa jestem zawsze schylić głowę przed opinią Liszta w muzyce, ale nie w malarstwie. Zresztą on już był ramol i nie przypominam sobie, aby to kiedy powiedział. Ale to nie ty mi go przyprowadziłaś; jadłam z nim dwadzieścia razy obiad u księżnej de Sayn-Wittgenstein.

Strzał Alix spudłował; zamilkła, stała wyprostowana, bez ruchu. Twarz jej, pokryta grubą warstwą pudru, robiła wrażenie twarzy z kamienia. Ze swoim szlachetnym profilem była podobna do spiącej się bogini w parku, na trójkątnym i omszonym cokole okrytym mantylką²⁶⁴.

— A! jeszcze jeden piękny portret — rzekł historyk.

Drzwi się otwarły, weszła księżna de Guermantes.

Król, Szlachcic, Krew,
Obyczaje

²⁶⁰Ristori, *Adelaide* (1822–1906) — włoska aktorka, wybitna tragiczka swojej epoki. [przypis edytorski]

²⁶¹Coysevox, *Antoine* (1640–1720) — francuski rzeźbiarz barokowy. [przypis edytorski]

²⁶²ksieni — przełożona klasztoru, przeorysza. [przypis edytorski]

²⁶³Liszt, *Ferenc* (1811–1886) — kompozytor i pianista węgierski epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

²⁶⁴mantylka — szal, często ozdobny, noszony daw. przez kobiety na ramionach, a niekiedy również okrywający głowę. [przypis edytorski]

— Jak się masz — rzekła jej bez skinienia głową pani de Villeparisis, wyjmując z kieszeni fartucha rękę, którą podała nowo przybyłej; po czym natychmiast przestała się nią zajmować, zwracając się do historyka:

— To portret księżnej de la Rochefoucauld²⁶⁵.

Młody służący o śmiałej minie i twarzy uroczej (ale — co przydawało jej doskonałości — nieco zuchwalej, przy czym zaczerwieniony nieco nos i lekko zadrażniona skóra dawały złudzenie, że zachowały jakby ślad dłuta rzeźbiarza) wszedł, niosąc bilet na tacy.

— To ten pan, który już kilka razy pytał o panią margrabinę.

— Powiedziałeś mu że przyjmuję?

— Słyszał głosy.

— Więc dobrze, niech będzie, wpuść. To jakiś pan, którego mi przedstawiono — rzekła pani de Villeparisis. — Oświadczył, że bardzo by pragnął złożyć mi wizytę. Nigdy nie upoważniłam go do tego. Ale, ostatecznie, już piąty raz się fatyguję, nie trzeba ludzi urażać. Panowie — rzekła do mnie i do historyka Frondy — przedstawiam panom moją siostrzenicę, księżnę de Guermentes.

Historyk skłonił się głęboko (tak samo ja) i jak gdyby przypuszczał, że jakaś serdeczna wymiana słów powinna nastąpić po tym ukłonie, oczy jego zabyły i gotował się otworzyć usta, kiedy go ostudził wygląd pani de Guermentes. Księżna skorzystała z autonomii swojego torsu, aby go rzucić naprzód z przesadną grzecznością i cofnąć go ściśle na dawne miejsce, nie zdradzając twarzy ani spojrzeniem, aby zauważyła, że ktoś znajduje się na wprost niej; wydawszy lekkie westchnienie, poprzestała na stwierdzeniu nikłości wrażenia odniesionego z osoby zarówno mojej, jak z osoby historyka, poruszając skrzydłami nosa z precyzją, która świadczyła o absolutnej inercji jej niezatrudnionej uwagi.

Niewczesny gość wszedł, krocząc prosto ku pani de Villeparisis z naiwną i żarliwą miną: był to Legrandin.

— Dziękuję pani bardzo, że mnie pani raczyła przyjąć — rzekł, kładąc nacisk na słowie „bardzo” — przyjemność, jakiej pani użycza staremu samotnikowi, jest czymś tak rzadkim i subtelnym, iż zapewniam panią, że oddziwięk, który...

Urwał, spostrzegając mnie.

— Pokazywałam właśnie panom piękny portret księżnej de la Rochefoucauld, żony autora *Maksym*; od wieków jest w rodzinie.

Pani de Guermentes przywitała się z Alix, usprawiedliwiając się, że tego roku, jak innych, nie mogła być u niej.

— Miałam o pani wiadomości przez Magdalenę — dodała.

— Była u mnie dziś na śniadaniu — rzekła markiza z quai Malaquais, myśląc z satysfakcją, że nigdy pani de Villeparisis nie mogłaby się pochwalić tym samym.

Tymczasem ja rozmawiałem z Blochem. Bojąc się — wedle tego, co mi mówiono o odmianie jego ojca w stosunku do niego — aby nie zazdrościł mojej egzystencji, wyraziłem przeświadczenie, że jego życie musi być szczęśliwsze. Powiedziałem to po prostu przez uprzejmość. Ale taka uprzejmość łatwo przekonuje o ich przewadze ludzi bardzo próżnych lub budzi w nich chęć przekonania innych.

— Tak, w istocie, pędzę życie wręcz rozkoszne — rzekł Bloch z wyrazem upojenia. — Mam trzech serdecznych przyjaciół, nie życzyłbym sobie ani jednego więcej, mam uroczą kochankę, jestem nieskończenie szczęśliwy. Rzadki jest śmiertelny, któremu by ojciec Zeus²⁶⁶ użyczył tyle szczęśliwości.

Przypuszczam, że Bloch chciał się zwłaszcza pochwalić i obudzić we mnie zazdrość. Może była też jakaś chęć oryginalności w jego optymizmie. Widoczne było, że nie chce odpowiadać tymi banalnościami co wszyscy („Och, to drobiazg” itd.), kiedy na moje pytanie, jak się udał wyprawiony przez niego wieczorek tańczący, na którym nie mogłem być, Bloch odpowiedział spokojnie i obojętnie, tak jakby chodziło o kogoś innego:

— Ależ tak, to było bardzo ładne, nad wyraz udane. To było naprawdę urocze.

— To, co nam pani mówi, interesuje mnie nieskończenie — rzekł Legrandin do pani de Villeparisis. — Właśnie sobie powiadałem kiedyś, że pani ma wiele z autora

²⁶⁵Księżna de la Rochefoucauld — Andrée de Vivonne, żona (od 1628) księcia François de la Rochefoucauld (1613–1680), francuskiego pisarza i filozofa, znanego ze swoich pesymistycznych aforyzmów. [przypis edytorski]

²⁶⁶Zeus (mit. gr.) — najwyższy bóg, władca nieba, bogów i ludzi, pan piorunów. [przypis edytorski]

Maksym w czystości chwytu, coś, co bym określił dwoma sprzecznymi terminami: lapidarna zwinność i nieśmiertelna błyskawiczność. Chętnie bym dziś notował, co pani mówi; ale zapamiętam. To są rzeczy (wedle wyrażenia, zdaje mi się, Jouberta²⁶⁷) przyjazne pamięci. Nie czytała pani nigdy Jouberta? Och! tak byłaby mu się pani podobała! Pozwolę sobie dziś jeszcze przesłać pani jego dzieła; dumny będę, że mogę pani sprezentować jego inteligencję. Nie posiadał pani siły, ale miał też dużo wdzięku.

Byłbym chciał zaraz przywitać się z panem Legrandin, ale wciąż trzymał się ode mnie możliwie najdalej, zapewne w tej nadziei, że nie dosłyszę bardzo wyszukanych pochlebstw, jakimi bez przerwy i pod lada pretekstem okadzał panią de Villeparisis.

Wzruszyła z uśmiechem ramionami, tak jakby on sobie z niej żartował, i obróciła się do historyka:

— A to jest sławna Maria de Rohan, księżna de Chevreuse, z pierwszego męża księżna de Luynes.

— Moja droga, pani de Luynes przywodzi mi na myśl Yolandę; zaszła właśnie do mnie wczoraj; gdybym wiedziała, że masz wieczór wolny, byłabym posłała po ciebie. Pani Ristori, która przyszła niespodzianie, wygłosiła w obecności autorki wiersze królowej Carmen Sylvy²⁶⁸; to było coś cudownego!

„Co za perfidia! — pomyślała pani de Villeparisis. — To z pewnością o tym rozmawiała kiedyś po cichu z panią de Beaulaincourt i z panią Chaponay”.

— Byłam wolna, ale nie byłabym przyszła — odparła — słyszałam panią Ristori za jej dobrych czasów; teraz to już jest ruina. Przy tym nie cierpię wierszy Carmen Sylvy. Ristori była tu raz, przyprowadzona przez księżną d'Aoste, aby powiedzieć jedną pieśń z *Piekła* Danta²⁶⁹. Oto w czym jest niezrównana.

Alix zniosła cios bez drgnienia. Pozostała jak z marmuru. Spojrzenie jej było przenikliwe i puste, nos szlachetnie orli. Ale jeden z jej policzków łuszczył się. Lekkie, dziwne, zielonorożowe vegetacje pokrywały podbródek. Jedna zima więcej może by ją zwała.

— O, proszę pana, jeżeli pan lubi malarstwo, niech pan spojrzy na portret pani de Montmorency — rzekła margrabina do pana Legrandin, aby przerwać nową falę komplementów.

Korzystając z tego, że Legrandin się oddalił, pani de Guermantes wskazała go ciotce ironicznym i pytającym spojrzeniem.

— To pan Legrandin — rzekła półgłosem pani de Villeparisis — ma siostrę, która się nazywa pani de Cambremer, co ci z pewnością mówi nie więcej niż mnie.

— Jak to, ależ ja ją doskonale znam! — wykrzyknęła pani de Guermantes, zaslaniając sobie usta ręką. — Lub raczej nie znam jej, ale nie wiem, co napadło Błażeja, który spotyka licha wie gdzie jej męża, aby powiedzieć tej grubej babie, żeby się do mnie wybrała z wizytą. Nie umiem opisać, co to była za wizyta! Opowiedziała mi, że była w Londynie, wyliczyła wszystkie obrazy z *British*²⁷⁰. Jak mnie ciocia widzi, wychodząc od cioci, idę rzucić bilet temu potworowi. I niech ciocia nie myśli, aby to była najłatwiejsza rzecz; bo pod pozorem, że jest umierająca, ona nieprzerwanie siedzi w domu, i czy się przyjdzie o siódmą wieczór, czy o dziewiątą rano, zawsze jest gotowa uraczyć człowieka plackiem z truskawkami. Ale rozumie się, tak, to potwór — potwierdziła pani de Guermantes na pytające spojrzenie ciotki. To osoba niemożliwa: ona mówi „piszczyk”, słowem, rzeczy tego rodzaju.

— Co to jest „piszczyk”? — spytała pani de Villeparisis siostrzenicy.

— Ależ ja nie mam pojęcia! — wykrzyknęła księżna z udanym oburzeniem. — Nie chcę wiedzieć. Ja nie mówię tym językiem.

I widząc, że ciotka naprawdę nie wie, co znaczy „piszczyk”, aby mieć przyjemność okazania, że jest w równym stopniu wykształcona jak purystka, i aby zadrwić z ciotki, za-

²⁶⁷Joubert, *Joseph* (1754–1824) — francuski moralista i eseista, znany głównie ze swoich *Pensées* (Myśli, 1838). [przypis edytorski]

²⁶⁸*Carmen Sylva* — literacki pseudonim królowej Rumunii Elżbiety (1843–1916). [przypis edytorski]

²⁶⁹*Danta* (daw.) — dziś popr. forma B.: *Danteo*; *Dante Alighieri* (1265–1321): filozof i polityk, jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor poematu *Boska Komedia*, uważanego za szczytowe osiągnięcie średnio-wiecznej literatury włoskiej, przedstawiającego wizję wędrowki poety przez trzy światy pozagrobowe, Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

²⁷⁰*British* — tu: *British Museum*, Muzeum Brytyjskie w Londynie, największe muzeum Wielkiej Brytanii i jedno z największych na świecie. [przypis edytorski]

drwiwszy poprzednio z pani de Cambremer, rzekła na wpół ze śmiechem, powściąganym przez resztki udanego złego humoru:

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą; „piszczyk” to jest pisarz w sensie pejoratywnym. Ale to jest ohydne słowo. To może język skrzyć. Nigdy mnie nikt nie zmusi, abym to wymówiła. Jak to — dodała — to jest jej brat? Jeszcze go nie zlokalizowałam. Ale, w gruncie, to jest rzecz do pojęcia. Ona ma tę samą płaskość dywanika sprzed łóżka i te same zasoby intelektualne okrzężnej biblioteczki. Jest równie nadskakująca i równie nudna. Zaczynam się oswajać z ideą tego pokrewieństwa.

— Usiądź, zaraz nam dadzą herbaty — rzekła pani de Villeparisis do księżnej. — Obsłuż się sama, ty nie potrzebujesz oglądać portretów swoich prababek, znasz je równie dobrze jak ja.

Niebawem pani de Villeparisis usiadła i wzięła się do malowania. Wszyscy zbliżyli się do niej; skorzystałem z tego, aby podejść do pana Legrandin. Nie widząc nic występnego w jego obecności u pani de Villeparisis, rzekłem, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go zranię, i budząc w nim zarazem przeświadczenie, że go zranił rozmyślnie:

— I cóż, proszę pana, czuję się niemal rozgrzeszony z obecności swojej w salonie, skoro pana w nim spotykam.

Pan Legrandin wywnioskował z tych słów (taki przynajmniej sąd wydał o mnie w kilka dni później), że jestem szczególnie źle ladaco, znajdujące rozkosz w tym, aby komuś dokuczyć.

— Mógłby pan być na tyle grzeczny, aby się ze mną wprzód przywitać — odparł, nie podając mi ręki, wścickłym i trywialnym głosem, którego w nim nie podejrzewałem i który, nie będąc w racjonalnym związku z tym, co Legrandin mówił zazwyczaj, zdradzał inny, bardziej bezpośredni i uderzający, związek z czymś, co odczuwał. A ponieważ jesteśmy zdecydowani ukryć na zawsze to, co czujemy, nigdy nie pomyśleliśmy o sposobie, w jaki byśmy to wyrazili. I nagle daje się w nas słyszeć, niby potworna i nieznaną bestia, zwierzę, którego głos może wręcz przestraszyć kogoś, kto przejmując to mimowolnie, pośrednio i prawie że nieodparte zwierzenie naszej wady lub przywary; przestraszyć tak, jak przestraszyłoby nagle, pośrednio i dziwacznie wyrażone wyznanie zbrodniarza, niezdolnego się wstrzymać od przyznania się do morderstwa, o któregoś go nie posądzali. Zapewne, wiedziałem, że idealizm — nawet subiektywny — nie przeszkodzi wielkiemu filozofowi być łakomym lub zabiegać wytrwale o fotel w Akademii. Ale doprawdy Legrandin niepotrzebnie przypominał tak często, że jest „z innej planety”, skoro wszystkie konwulsyjne odruchy jego gniewu lub uprzejmości płynęły z chęci dobrego uplasowania się na tej.

— Oczywiście, kiedy mnie ktoś nęka dwadzieścia razy z rzędu, aby mnie gdzieś ściągnąć — dodał półgłosem — wówczas, mimo że mam prawo do swobody, nie mogę przecież okazać się chamelem.

Pani de Guermantes siadła. Nazwisko jej, któremu towarzyszył tytuł, spowijał jej fizyczną osobę w owo księstwo, rozpościerające się dokoła niej i rodzące cienisty i złożony chłód lasów Guermantes w tym salonie, dokoła pufa, na którym siedziała. Czulem się tylko zdziwiony, że podobieństwo to nie było czytelniejsze na twarzy księżnej, niemającej nic roślinnego; co najwyżej na policzkach — które powinny być naznaczone herbem Guermantes — widniały drobne żyłki, będące skutkiem (ale nie obrazem) długich konnych spacerów na wietrze. Później, kiedy mi się księżna stała obojętna, poznałem wiele jej cech; mianowicie (aby się na razie ograniczyć do tego, czego urokowi już bezwiednie i nieświadomie ulegałem) oczy jej, w których zamknięte było, niby na jakim obrazie, błękitne niebo francuskiego popołudnia, czyste, skąpane w świetle, nawet kiedy to światło nie lśniło; głos w pierwszej chwili jak gdyby zachrypnięty, niemal gminny, w którym włączyło się, niby na stopniach kościoła w Combray lub cukierni na rynku, leniwe i tłuste złoto prowincjonalnego słońca. Ale tego pierwszego dnia nie rozróżniałem nic; moja żarliwa uwaga rozpylała natychmiast to niewiele, co mogłem pochwycić i w czym mógłbym odnaleźć coś z nazwiska „Guermantes”. W każdym razie powiadałem sobie, że to ją niewątpliwie oznacza dla całego świata nazwisko księżnej de Guermantes; że to właśnie ciało zawiera niepojęte życie określone tym nazwiskiem; wprowadziło ją oto w sferę odmiennych istot, w ten salon, który ją otaczał ze wszystkich stron, a od którego odcinała się tak żywo, że widziałem niejako, tam gdzie to życie przestało się rozpościerać,

smugę wrzenia określającą jej granice: w obwodzie, jaki rysował na dywanie krąg niebieskiej jedwabnej spódnicy, i w jasnych źrenicach księżnej, w przecięciu zainteresowań, wspomnień i niepojętej, wzgardliwej, rozbawionej i ciekawej myśli, która je wypełniała, oraz odbijających się w nich zewnętrznych obrazów. Byłbym może nieco mniej wzruszony, gdybym spotkał księżnę u pani de Villeparisis na wieczorze, zamiast ją spotkać na jednym z „żurków” margrabiny, na „herbacie”, która jest dla kobiet tylko krótkim postojem w rozkładzie dnia i gdzie, zostając w kapeluszu, w którym uganiały po mieście, wnoszą w amfiladę²⁷¹ salonów woń powietrza ulicy, szerzej wpuszczając w nie schyłek paryskiego popołudnia, niż to czynią wysokie otwarte okna, przez które dochodzi turkot powozów. Pani de Guermantes miała słomkowy *canotier*, strojny bławatkami; a kwiaty te przywodziły mi na pamięć nie słońca odległych lat na bruzdach Combray, opodal żywoplotu w Tansonville, gdzie tak często zrywałem te bławatki, ale zapach i pył zmierzchu, w którym dopiero co kąpała się pani de Guermantes na ulicy de la Paix. Z uśmiechniętą, wzgardliwą i zagadkową miną, krzywiąc lekko zaciśnięte wargi, rysowała kółka na dywanie końcem parasolki niby ostatnią macką swego tajemniczego życia; następnie, z ową obojętną uwagą, która od razu niweczy wszelką styczność z tym, co się ogląda, spojrzenie księżnej spoczywało kolejno na każdym z nas, potem robiło przegląd kanap i foteli, łagodniejąc wówczas w wyrazie ludzkiej sympatii, jaką budzi nieznacząca nawet obecność rzeczy znajomej, rzeczy będącej niemal osobą; te meble nie były jak my, one były poniekąd z jej świata, były związane z życiem jej ciotki; następnie, z mebla *beauvais* spojrzenie to schodziło na osobę, która na nim siedziała; wówczas przybierało ono z powrotem ten sam bystry wyraz i to niezadowolenie, którego szacunek dla ciotki nie pozwoliłby księżnej wyrazić, ale które by niewątpliwie odczuła, gdyby, w miejsce naszej obecności, stwierdziła na fotelach tłustą plamę lub warstwę kurzu.

Wszedł znakomity pisarz G...; przyszedł złożyć pani de Villeparisis wizytę, którą uważał za pilę. Księżna, zachwycona tym, że go spotyka, nie przywołała go do siebie gestem, niemniej, w sposób całkiem naturalny, on sam podszedł do niej; jej wdzięk, takt, prostota kazały mu ją uważać za kobietę inteligentną. Zresztą grzeczność nakładała mu obowiązek podejścia do księżnej, ile że — ponieważ był miły i sławny — pani de Guermantes zapraszała go często na śniadanie, nawet we trójkę z mężem, lub jesienią do Guermantes; korzystała z tej zażyłości, aby go zapraszać w pewne wieczory na obiad z dostojnymi gośćmi pragnącymi poznać pisarza. Bo księżna lubiła przyjmować niektórych wybranych ludzi, ale pod warunkiem, aby byli nieżonaci, którego to warunku dopełniali wobec niej, nawet gdy byli żonaci; żony ich bowiem, zawsze mniej lub więcej pospolite, raziłyby w salonie, gdzie znajdowały się jedynie najwykwintniejsze piękności paryskie. Tych znakomitych ludzi zawsze zapraszało się bez żon; aby uprzedzić wszelką drażliwość, księżę tłumaczył tym „wdowcom mimo woli”, że księżna nie przyjmuje kobiet, nie znosi towarzystwa kobiet, prawie tak, jakby to był przepis lekarza i tak jakby mówił, że żona nie może być w pokoju, gdzie jest jakiś zapach, jeść zbyt słono, siedzieć w wagonie tyłem do lokomotywy lub nosić gorsetu. Prawda, że ci wielcy ludzie widywali u Guermantów księżnę Parmy, księżnę de Sagan²⁷² (którą Franciszka, słysząc wciąż o niej, nazywała w końcu — sądząc, iż ten rodzaj żeński wymagany jest przez gramatykę — Saganką) i wiele innych; ale obecność ich usprawiedliwiano tym, że to jest rodzina albo przyjaciółki z dzieciństwa, których się nie da pominąć. Przekonani lub nieprzekonani wyjaśnieniami księcia de Guermantes w przedmiocie szczególnej choroby księżnej, polegającej na tym, że nie znosi towarzystwa kobiet, wielcy ludzie powtarzali je swoim żonom. Niektóre myślały, że ta choroba jest tylko płaszczkiem zazdrości i że księżna chce sama władać nad dworem wielbicieli. Jeszcze naiwniejsze myślały, że księżna ma jakieś dwuznaczne gusty, może skandaliczną przeszłość, że kobiety nie chcą u niej bywać i że pani de Guermantes konieczność tłumaczy kaprysem. Najpoczciwsze, słysząc z ust mężów cuda o dowcipie i inteligencji księżnej, uważały, że osoba o tyle wyższa od innych kobiet nudzi się w ich towarzystwie, bo nie ma z nimi o czym mówić. I faktem jest, że księżna nudziła się z kobietami, o ile najdostojniejsze urodzenie nie przydawało im specjalnego uroku. Ale wygnane małżon-

²⁷¹ *amfilada* — szereg przechodnich pokoiów z wejściami ustawionymi w jednej osi. [przypis edytorski]

²⁷² *księżna de Sagan*, właśc. *Jeanne Seillière* (1839–1905) — żona (od 1858) Bosona de Talleyrand-Périgord, księcia de Sagan (Zagania), kolekcjonerka obrazów, słynna z urody, wdzięku i wpływów we francuskim życiu towarzyskim XIX w. [przypis edytorski]

ki myliły się, sądząc, iż księżna pragnie przyjmować jedynie mężczyzn po to, aby z nimi mówić o literaturze, nauce i filozofii. Bo nie mówiła o tym nigdy, przynajmniej z luminarzami intelektu. Siłą tradycji rodzinnej, która sprawia, iż córki wielkich wodzów zachowują, nawet pośród swoich najbliższych zatrudnień, szacunek dla rzeczy dotyczących armii, księżna — wnuczka kobiet zaprzyjaźnionych z Thiersem, Mériméem i Augierem²⁷³ — uważała, że trzeba w swoim salonie zachować miejsce przede wszystkim dla wybitnych umysłów; ale z drugiej strony, z łaskawego zarazem i serdecznego sposobu, w jaki tych sławnych ludzi przyjmowano w Guermantes, przechowała nawyk traktowania ludzi z talentem jak bliskich znajomych, których talent nie olśniewa nas, z którymi nie mówi się o ich dziełach, co by ich zresztą nie bawiło. Następnie, charakter jej umysłowości — styl Mériméego oraz Meilhaca i Halévy²⁷⁴ — skłaniał ją, przez kontrast z rozgadany sentymentalizmem poprzedniej epoki, do rodzaju rozmowy odrzucającej wszelki frazes i grandilokwencję²⁷⁵; co sprawiało, że księżna, znajdując się w towarzystwie poety lub muzyka, uważała za najwytworniejsze mówić jedynie o potrawach, które się właśnie je, lub o partyjce kart, do której się siądzie za chwilę. Dyscyplina ta miała dla kogoś nieoswojonego z nią coś niepokojącego, niemal tajemniczego. Kiedy pani de Guermantes pytała takiego kogoś, czy sprawiłoby mu przyjemność spędzić wieczór z jakimś sławnym poetą, ów, pożerany ciekawością, przybywał o oznaczonej godzinie. Przez cały czas księżna mówiła do poety o pogodzie. Siadano do stołu. „Czy pan lubi jajka przyrządzone w ten sposób?” — pytała poety. Wobec jego uznania, które podzielała (bo wszystko, co było u niej w domu, zdawało się jej wyborne, nawet ohydny jablecznik sprowadzany z Guermantes), polecała lokajowi: „Proszę panu podać jeszcze”, podczas gdy wzruszony gość wciąż oczekiwał tego, co oni mieli z pewnością sobie do powiedzenia, skoro doprowadzili do skutku to spotkanie — mimo tysiąca trudności — przed wyjazdem poety. Ale obiad ciągnął się dalej, obnoszono półmiski, które dawały pani de Guermantes sposobność do miłych żarcików lub zabawnych historyjek. Tymczasem poeta wciąż jadł, przy czym ani księżciu, ani księżnej nie przychodziło na myśl przypomnieć sobie, że on jest poetą. I niebawem śniadanie dobiegało końca, i trzeba się było pożegnać, nie rzekłszy słowa o poezji, którą wszyscy kochali, ale o której — przez delikatność, jakiej przedsmak dał mi Swann — nikt nie mówił. Ta delikatność to był po prostu dobry ton. Ale dla kogoś obcego, jeżeli zastanowił się trochę, miał ten obyczaj coś bardzo melancholijnego; obiad u Guermantów przywodził na myśl owe godziny, jakie nieśmiali kochankowie spędzają często, mówiąc same banalności, aż do chwili rozstania, tak że — przez nieśmiałość, wstydlivość lub niezręczność — wielki sekret, który wyznać byłoby dla nich takim szczęściem, nigdy nie może przejść im przez usta. Zresztą trzeba dodać, że to milczenie zachowywane co do rzeczy głębokich — przy czym wciąż się oczekiwało momentu ich poruszenia — o ile mogło uchodzić za charakterystyczne dla księżnej, nie było jednak absolutne. Pani de Guermantes spędziła młodość w środowisku nieco odmiennym, równie arystokratycznym, ale mniej świetnym, a zwłaszcza mniej czczym niż to, w którym żyła obecnie, w zamian za to odznaczającym się wielką kulturą. Zostawiło jej ono pod obecną światowością pewien grunt solidniejszy, niewidzialnie odżywczy, skąd księżnej zdarzało się czerpać nawet (bardzo rzadko, bo nie cierpiała pedantyzmu) jakiś cytat z Wiktora Hugo lub Lamartine’a, który, trafnie zastosowany, powiedziany z inteligentnym spojrzeniem pięknych oczu, mimo woli zadziwiał i czarował. Czasem nawet, bez pretensji, z taktem i prostotą, dawała autorowi dramatycznemu — akademikowi — jakąś dorzeczną radę, radziła mu złagodzić jakąś sytuację lub zmienić rozwiązanie.

Jeżeli w salonie pani de Villeparisis, tak samo jak w kościele w Combray na ślubie panny Percepied, z trudnością przychodziło mi w pięknej i zbyt ludzkiej twarzy pani de Guermantes odnaleźć nieznaną jej nazwiska, sądziłem bodaj, że jej rozmowa — głęboka, tajemnicza — będzie miała dziwność średniowiecznego haftu lub gotyckiego witrażu. Ale na to, by słowa wychodzące z ust osoby zwanej panią de Guermantes nie sprawiły mi zawodu — nawet gdybym jej nie kochał — nie wystarczyłoby już, aby

²⁷³ Augier, *Émile* (1820–1889) — francuski dramaturg, autor komedii obyczajowych, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁷⁴ Halévy, *Ludovic* (1834–1908) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor sztuk teatralnych i librett operetkowych, współpracował z Henrim Meilhakiem. [przypis edytorski]

²⁷⁵ grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

były subtelne, piękne i głębokie; na to musiałyby odbijać ów amarantowy kolor ostatniej zgłoski jej nazwiska, ów kolor, którego nieobecność w jej osobie zdziwiła mnie już pierwszego dnia i który przeniósłem w jej myśl. Bez wątpienia, słyszałem już panią de Villeparisis, Roberta de Saint-Loup — ludzi, których inteligencja nie miała nic niezwykłego — jak wymawiali niedbale owo „Guermantes”, po prostu jako nazwisko osoby, która ma przyjść z wizytą lub u której ma się być na obiedzie, najwidoczniej nie czując w tym nazwisku widoku żółkniejących lasów i całego tajemniczego zakątka prowincji. Ale to musiała być afektacja z ich strony, podobnie jak gdy poeci klasyczni nie uprzedzają nas o głębokich intencjach, które jednakże mieli; afektacja, którą i ja siliłem się naśladować, mówiąc najnaturalniej „księżna de Guermantes” — ot, jak nazwisko podobne do tylu innych. Zresztą wszyscy zapewniali, że to jest osoba bardzo inteligentna, dowcipna, żyjąca w kółku niezmiernie interesującym; wszystko to podsycalo moje marzenia. Bo kiedy mówili „inteligentne kółko”, „dowcip”, nie wyobrażałem sobie zgoła inteligencji takiej, jaką znałem, choćby nawet inteligencji najwyższych duchów; nie wyobrażałem sobie owego kółka jako grona ludzi w rodzaju Bergotte’a. Nie, przez inteligencję rozumiałem jakąś właściwość niewystowioną, zlocistą, nasyconą leśnym chłodem. Nawet mówiąc najinteligentniejsze rzeczy (w sensie, w jakim brałem słowo „inteligentny”, kiedy chodziło o filozofa lub krytyka), pani de Guermantes byłaby może bardziej jeszcze zawiodła moje oczekiwanie tak odrębnej właściwości, niż gdyby w błahej gawędce mówiła po prostu o przepisach kucharskich lub o urządzeniu zamku, lub wymieniała nazwiska sąsiadek, krewnych, które by mi uzmysłowiły jej życie.

— Myślałam, że zastanę Błażeja tutaj, miał zamiar ciocię odwiedzić — rzekła pani de Guermantes do ciotki.

— Nie widziałam twojego męża od kilku dni — odparła podejrzliwie i kwaśno pani de Villeparisis. — Nie widziałam go albo widziałam może raz od czasu tego przemilego żarciku, kiedy to kazał się oznajmić jako królowa szwedzka.

Aby się uśmiechnąć, pani de Guermantes przygryzła wargi, tak jakby uszczypnęła ustami woalkę.

— Jedliśmy z nią wczoraj obiad u Blanki Leroi; nie poznałaby jej ciocia, zrobiła się olbrzymia, jestem pewna, że musi być chora.

— Mówiłam właśnie panom, że zrobiła na tobie wrażenie żaby.

Pani de Guermantes wydała chrapliwy dźwięk, świadczący, że się zaśmiała z poczucia obowiązku.

— Nie wiedziałam, żem zrobiła to piękne porównanie, ale w takim razie to jest żaba, której się udało osiągnąć rozmiary wołu. A raczej niezupełnie to, bo cały jej rozmiar skupił się na brzuchu: to raczej żaba w błogosławionym stanie.

— Paradny obraz! — rzekła pani de Villeparisis, w gruncie rzeczy dość dumna wobec swoich gości z dowcipu siostrzenicy.

— *Zwłaszcza arbitralny* — odparła pani de Guermantes, biorąc ironicznie w cudzyśłów ten wyszukany epitet, tak jakby to uczynił Swann — bo przyznaję, że nigdy nie widziałam żaby w połogu. W żadnym razie ta żaba, która zresztą nie żąda króla, bo nigdy nie widziałam jej tak rozbrykanej, jak od śmierci jej małżonka, ma być u nas na obiedzie któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Powiedziałam jej, że uprzedzę ciocię na wszelki wypadek.

Pani de Villeparisis wydała niewyraźny pomruk.

— Wiem, że przedwczoraj była na obiedzie u pani de Mecklemburg — dodała. — Był tam Hannibal de Bréauté. Przyszedł mi to opowiedzieć i muszę przyznać, wcale dowcipnie.

— Był na tym obiedzie ktoś znacznie dowcipniejszy od naszego Babala — rzekła pani de Guermantes, która, choć była bardzo blisko z panem de Bréauté-Consalvi, chciała to okazać, nazywając go tym zdrobnieniem. — Mianowicie pan Bergotte.

Nie myślałem, że Bergotte’a można było uważać za dowcipnego; co więcej, należał dla mnie do ludzkości inteligentnej, to znaczy nieskończenie odległej od tajemniczego królestwa, którym ujrzał pod purpurowymi frankami łoży, gdzie pan de Bréauté, pobudzając do śmiechu księżnę, wiódł z nią, w języku bogów, tę rzecz niepojętą: rozmowę mieszkańców Faubourg Saint-Germain. Zmartwiłem się, że równowaga się mąci i że Bergotte wysuwa się przed pana de Bréauté. Ale zwłaszcza byłem w rozpaczy, żem unikał Bergotte’a.

te'a w ów wieczór *Fedry*, zem nie podszedł do niego; byłem w rozpaczy teraz, kiedym usłyszał, jak pani de Guermantes mówi do pani de Villeparisis:

— To jedyny człowiek, którego mam ochotę poznać — dodała księżna, w której zawsze można było, niby w momencie duchowego przyływu, obserwować, jak fala ciekawości w stosunku do sław intelektualnych spotyka się z odpływem arystokratycznego snobizmu. — To by była dla mnie wielka przyjemność!

Pokazanie się w towarzystwie Bergotte'a, rzecz tak łatwa do osiągnięcia, ale zdolna w moim pojęciu obniżyć mnie w oczach pani de Guermantes, byłaby mi zapewne zyskała to, że księżna wezwałaby mnie skinieniem do łoża i prosiłaby mnie, abym któregoś dnia przyszedł do niej z wielkim pisarzem na śniadanie.

— Zdaje się, że nie był bardzo miły; przedstawiono go księciu koburskiemu i nie odezwał się do niego ani słowa — rzekła pani de Guermantes, podkreślając ten ciekawy rys, tak jakby opowiadała, że Chińczyk obtarł nos papierem. — Nie powiedział mu ani razu „wasza wysokość” — dodała z miną ubawioną tym szczegółem, równie ważnym dla niej, jak zachowanie się protestanta wzdragającego się na audyencji u papieża klękając przed jego świątobliwością.

Zainteresowana wybrykami Bergotte'a, księżna nie widziała w nich zresztą nic naganego; zdawałoby się raczej, że mu je poczytuje za zasługę, mimo iż sama nie wiedziała ściśle, jakiego rodzaju jest ta zasługa. Mimo tego jej szczególnego sposobu pojmowania oryginalności Bergotte'a, fakt, że pani de Guermantes, ku zdziwieniu wielu osób, uznała Bergotte'a za dowcipniejszego od pana de Bréauté, wydał mi się później dosyć godny uwagi. Owe rewelacyjne sądy, odosobnione, a mimo wszystko słuszne, są w „świecie” udziałem nielicznych osób przerastających inne. Te właśnie osoby kreślą pierwszy zarys hierarchii walorów, takiej, jaką przyjmie następne pokolenie, zamiast się trzymać wiekuiście dawnej.

Hrabia d'Argencourt, poseł belgijski i powinowaty pani de Villeparisis, wszedł kulejąc, a tuż za nim dwaj młodzi ludzie, baron de Guermantes i jego wysokość książę de Châtellerault, do którego pani de Guermantes rzekła: „Jak się masz, mały”; powiedziała to niedbale i nie ruszając się z pufa, była bowiem w wielkiej przyjaźni z matką młodego księcia, który z tej przyczyny miał dla niej od dziecka wiele szacunku. Wysocy, szczupli, ze złotą cerą i złotymi włosami, typowi Guermantes, ci dwaj młodzi ludzie robili wrażenie jakby zageśczenia wiosennego i wieczornego światła, zalewającego salon. Modnym wówczas zwyczajem postawili cylindry przy sobie na ziemi. Historyk Frondy myślał, że oni są zakłopotani niby chłop, gdy wchodzi do urzędu i nie wie, co począć z kapeluszem. Pragnąc przyjść miłosiernie z pomocą ich domniemanemu nieobytcy, rzekł:

— Nie, nie, niech panowie nie stawiają kapeluszy na ziemi, zniszczą się.

Spojrzenie barona de Guermantes, nachylając skośnie płaszczyznę jego żrenic, zabarwiło je nagle zimnym i ostrym błękitem, który zmroził życzliwego historyka.

— Jak się nazywa — spytał mnie — ten jegomość, którego mi przedstawiła pani de Villeparisis?

— Pan Adam — odparłem półgłosem.

— Adam jak?

— Adam to jego nazwisko, to bardzo ceniony historyk.

— A!... upadam do nóg.

— Nie, to jest nowy obyczaj tych panów, aby kłaść kapelusze na ziemi — objaśniła pani de Villeparisis. — Jestem taka jak pan, nie mogę się do tego przyzwyczaić. Ale wolę to, niż kiedy mój siostrzeniec Robert zostawia kapelusz w przedpokoju. Kiedy wchodzi w ten sposób, powiadam mu zawsze, że wygląda na zegarmistrza i pytam się go, czy przyszedł nastawiać zegary.

— Mówiła pani przed chwilą, pani margrabino, o kapeluszu pana Molé; dojdziemy niebawem do tego, co Arystoteles w rozdziale o kapeluszach... — zaczął mówić historyk Frondy, nieco skrzepiony interwencją pani de Villeparisis, ale głosem jeszcze tak wątłym, że z wyjątkiem mnie nikt go nie dosłyszał.

— Bajeczna jest doprawdy nasza kochana księżna — rzekł pan d'Argencourt, pokazując panią de Guermantes, która rozmawiała ze sławnym pisarzem. — Z chwilą gdy się znajdzie w salonie sławny człowiek, zawsze musi być przy niej. Oczywiście musi to

być jakiś wielki mogol²⁷⁶. Nie można mieć co dzień pana de Borelli²⁷⁷, Schlumbergera²⁷⁸ lub pana d'Avenel²⁷⁹; ale wówczas będzie pan Loti²⁸⁰ albo pan Rostand²⁸¹. Wczoraj wieczór u Doudeauwillów²⁸², gdzie, nawiasem mówiąc, wspaniała była nasza księżna w swoim szmaragdowym diademie, w różowej sukni balowej z trenem, miała z jednej strony pana Deschanel²⁸³, z drugiej niemieckiego ambasadora: wyklócała się z nimi o Chiny; publiczność, w pełnej szacunku odległości, nie słysząc, co mówią, pytała się, czy nie będziemy mieli wojny. Doprawdy, można by rzec, królowa odbywająca *cercle*²⁸⁴.

Wszyscy zbliżyli się do pani de Villeparisis, przyglądając się, jak maluje.

— Te kwiaty mają różowość doprawdy niebieską — rzekł Legrandin — to znaczy koloru różowego nieba. Bo bywa niebo różowe, jak bywa niebo niebieskie. Ale — szepnął ciszej jedynie dla margrabiny — mam wrażenie, że ja wolę jeszcze atlas i szkarłat tej ich kopii, nad którą pani pracuje. Ach, jakże błędną przy pani Pisanello²⁸⁵ i Van Huysum²⁸⁶ ze swoim drobiazgowym i martwym zielnikiem.

Artysta, choćby najskromniejszy, godzi się zawsze, aby go przekładano nad jego rywali i stara się jedynie oddać im sprawiedliwość.

— Pańskie wrażenie tłumaczy się tym, że oni malowali kwiaty z owego czasu, których my już nie znamy; ale to byli wielcy mistrze.

— A, kwiaty z owego czasu, śliczna myśl! — wykrzyknął Legrandin.

— W istocie, bardzo są piękne te kwiaty wiśni... czy dzikiej malwy... — rzekł historyk Frondy nie bez wahania co do kwiatu, ale pewniejszym głosem, bo zapomniał już o zdarzeniu z kapelusząmi.

— Nie, to przecież kwiaty jabłoni — rzekła księżna de Guermentes, zwracając się do ciotki.

— A, widzę że z ciebie dobra wieśniaczka: jak ja umiesz rozróżnić kwiaty.

— A, tak, prawda! Ale ja myślałem, że pora jabłoni już minęła — rzekł, ratując się na los szczęścia, historyk Frondy.

— Ależ nie, przeciwnie, jeszcze nie kwitną, nie będą kwitły wcześniej niż za dwa, może trzy tygodnie — rzekł archiwista, który, zawiadując po trosze dobrami pani de Villeparisis, bardziej był świadomy spraw wsi.

— Tak, i to jeszcze w okolicach Paryża, gdzie są bardzo wczesne. W Normandii na przykład, u jego ojca — rzekła, wskazując księcia de Châtellerault — który ma wspaniałe jabłonie nad samym morzem, niby na parawanie japońskim, robią się naprawdę różowe dopiero po dwudziestym maja.

— Nie widuję ich nigdy — rzekł młody książę — mnie to przypawia o gorączkę sienną, to piramidalne.

— Gorączka sienna, nigdy nie słyszałem o tym — rzekł historyk.

— To modna choroba — rzekł archiwista.

— To zależy; to by może panu nie zaszkodziło, jeżeli to jest dobry rok na jabłka. Znacie państwo normandzkie porzekadło... — rzekł pan d'Argencourt, który, nie będąc całkowicie Francuzem, silił się być paryżaninem.

— Masz słuszność — rzekła pani de Villeparisis do siostrzenicy — to jest jabłoni z Południa. Kwaciarka przysłała mi te gałązki, prosząc, abym je przyjęła. Pana to dziwi,

²⁷⁶*mogol* — tytuł władcy indyjskiego, tu ironicznie: wybitna osobistość. [przypis edytorski]

²⁷⁷*Borelli*, popr. *Borrelli*, *Raymond de* (1837–1906) — francuski poeta. [przypis edytorski]

²⁷⁸*Schlumberger*, *Gustave* (1844–1929) — francuski historyk. [przypis edytorski]

²⁷⁹*D'Avenel*, *Georges* (1855–1939) — francuski historyk i ekonomista. [przypis edytorski]

²⁸⁰*Loti*, *Pierre* (pseud.), właśc. *Louis-Marie-Julien Viaud* (1850–1923) — francuski pisarz, oficer marynarki, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁸¹*Rostand*, *Edmond* (1868–1918) — popularny francuski dramaturg, jego najbardziej znane dzieło to *Cyrano de Bergerac*. [przypis edytorski]

²⁸²*Doudeauwillouie* — Charles Gabriel Sosthène, książę Doudeauville (1825–1908), wieloletni prezes paryskiego Jockey Clubu, i jego żona Maria de Ligne (1843–1898). [przypis edytorski]

²⁸³*Deschanel*, *Paul* (1856–1922) — francuski polityk i pisarz, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego (1898–1902 i 1912–1920), prezydent Francji (1920). [przypis edytorski]

²⁸⁴*cercle* (wym. [serkl], daw., z fr.: kółko, grono osób) — pogawędka w zamkniętym gronie. [przypis edytorski]

²⁸⁵*Pisanello*, właśc. *Antonio Pisano* (ok. 1395–ok. 1455) — włoski malarz i rysownik; autor m.in. studiów fauny i flory. [przypis edytorski]

²⁸⁶*Huysum*, *Jan van* (1682–1749) — holenderski malarz barokowy, malował przeważnie owoce i kwiaty. [przypis edytorski]

panie Vallèrès — rzekła, zwracając się do archiwisty — że kwiaciarka przysłała mi gałązkę jabłoni. Ale mimo iż jest ze mnie bardzo stara dama, znam trochę ludzi, mam paru przyjaciół — dodała, uśmiechając się przez prostotę, jak przypuszczano powszechnie, ale raczej, jak mnie się wydawało, przez kokieteryę: ładnie jest pochwalić się przyjaźnią kwiaciarki, kiedy się ma tak wysokie stosunki!

Z kolei Bloch wstał, aby podziwiać kwiaty, które malowała pani de Villeparisis.

— To fakt, pani margrabino — rzekł historyk wracając na swoje miejsce — że gdyby się nawet zdarzyła jedna z owych rewolucji, które tak często krwawiły Francję... mój Boże, w dzisiejszych czasach nic nie można wiedzieć — dodał, rzucając dokoła ostrożne spojrzenie, jakby dla sprawdzenia, czy nie ma w salonie kogoś „źle myślącego”, mimo iż był tego pewny — przy takim talencie i przy pani pięciu językach, miałyby pani zawsze pewność, że pani sobie da radę.

Historyk Frondy zażywał niejakiego wytchnienia, bo zapomniał o swojej bezsenności. Ale przypomniał sobie nagle, że nie spał od sześciu dni; i w tej samej chwili zmęczenie, zrodzone w jego wyobraźni, obciążało mu nogi, przygięło ramiona i osmucona jego twarz obwisła, podobna do twarzy starca.

Bloch chciał uczynić jakiś gest, aby wyrazić podziw, ale ruchem łokcia przewrócił wazon, w którym tkwiła gałązka, i cała woda rozlała się na dywan.

— Istne ręce wróżki — rzekł do margrabiny historyk, który obrócony w tej chwili plecami, nie spostrzegł niezręczności Blocha.

Ale ów myślał, że te słowa odnoszą się do niego, i aby pokryć beczelnością zażenowanie, rzekł:

— Nic się wielkiego nie stało, nie oblałem się.

Pani de Villeparisis zadzwoniła, przyszedł lokaj, aby wytrzeć dywan i zebrać kawałki szkła. Margrabina zaprosiła dwóch młodych ludzi na swój „poranek”, toż samo panią de Guermantes, do której rzekła:

— Pamiętaj powiedzieć Gizeli i Bercie (księżnej d'Auberion i księżnej de Portefin) żeby przyszły trochę wcześniej pomóc mi (tak jak poleciłaby „dochodzącym”, żeby przyszli wcześniej przyrządzić kompotierki).

Margrabina nie znajdowała dla swoich wysoko urodzonych krewnych, tak samo jak dla pana de Norpois, żadnej z owych uprzejmości, jakimi darzyła historyka, profesora Cottard, Blocha, mnie; można by myśleć, iż jedyną wartością tamtych jest to, że może ich rzucić na łup naszej ciekawości. Bo wiedziała, że nie ma się co wysilać dla ludzi, dla których była nie mniej lub bardziej świętą kobietą, ale jedynie drażliwą siostrą, oszczędzaną przez ich ojca lub wuję. Na nic by się jej nie zdało olśniewać tych ludzi, którzy znali na wylot silne i słabe strony jej sytuacji, umieli na pamięć jej historię i szanowali dostojną krew, z której się wiodła. Byli dla niej jedynie martwym szczątkiem, niezdolnym już wydać owoców; nie przedstawia jej swoich nowych przyjaciół, nie podzielił z nią swoich przyjemności. Mogła uzyskać jedynie ich obecność lub możliwość mówienia o nich na swojej herbatce, jak potem w swoich pamiętnikach, dla których ta herbatka była tylko rodzajem generalnej próby, pierwszą głośną lekturą w małym kółku. Prawdziwym jej towarzystwem, które owi wszyscy szlachetni krewni pomagali jej zainteresować, olśnić, przykuć, było towarzystwo Cottardów, Blochów, znanych autorów dramatycznych, historyków Frondy wszelakiego rodzaju. W tym towarzystwie znajdowała margrabina — w braku eleganckiego świata, który u niej nie bywał — ruch, nowość, rozrywkę i życie; to byli ludzie, z których czerpała socjalne korzyści (warte, aby im dać czasem spotkać księżnę de Guermantes, której zresztą nie mieli być przedstawieni nigdy), obiady z wybitnymi ludźmi, których prace ją interesowały; operę komiczną lub pantominę wystawioną u niej przez autora, łoże na ciekawe sztuki.

Bloch wstał i zamierzał wyjść. Powiedział głośno, że wypadek z wazonem nie ma żadnego znaczenia, ale co innego mówił po cichu, a jeszcze co innego myślał: „Kiedy się nie ma służby na tyle wytresowanej, aby umiała postawić wazon tak, żeby nie groził przewróceniem się, a nawet pokaleczeniem gości, nie trzeba się bawić w wielki świat” — mruzczał na stronie. Bloch należał do owych drażliwych „nerwowców” niezdolnych ścierpieć, że popełnili niezręczność, do której nie przyznają się przed sobą, ale przez którą mają zepsuty cały dzień. Wścikły, miał pretensje do całego świata, postanawiał sobie przestać już w ogóle bywać. Była to chwila, w której człowiek potrzebuje trochę dystrak-

cji²⁸⁷. Szczęściem, za sekundę pani de Villeparisis miała zatrzymać Blocha. Czy że znała poglądy swoich przyjaciół oraz wzbierającą już falę antysemityzmu, czy po prostu przez roztargnienie, nie przedstawiła go obecnym; jednak Bloch, mało obyty w świecie, sądził, że odchodząc, powinien się pożegnać ze wszystkimi, dla dopełnienia formy, ale bez cienia uprzejmości; skłonił kilka razy głowę, wsunął brodę w kołnierzyk, patrząc kolejno na wszystkich przez szkła z zimną i kwaśną miną. Ale pani de Villeparisis zatrzymała go; chciała z nim jeszcze pomówić o komedynie, którą miano grać u niej; z drugiej strony nie chciała, aby Bloch odszedł, nie dostąpiwszy satysfakcji poznania pana de Norpois (dziwiła się, że go jeszcze nie ma), mimo że ta prezentacja była zbyt cenna, bo Bloch już był zdecydowany namówić paru artystów, aby przyszli śpiewać gratis, dla reklamy, na jednym z owych przyjęć margrabiny, gdzie spotykała się elita Europy. Zaproponował nawet ponadto tragiczkę „o czystych oczach, piękną jak Hera²⁸⁸”, która recytuje poezję prozą z poczuciem plastycznego piękna. Ale słysząc jej nazwisko, pani de Villeparisis odmówiła, bo to była przyjaciółka Roberta de Saint-Loup.

— Mam lepsze nowiny — szepnęła mi do ucha — zdaje się, że to się już wypała i że niebawem się rozstaną, mimo pewnego oficera, który odegrał w tym haniebną rolę — dodała. (Bo rodzina Roberta miała śmiertelną pretensję do pana de Borodino, który dał Robertowi urlop na prośbę fryzjera; obwiniano go, że faworyzuje ten bezecny stosunek). — To ktoś bardzo paskudny — rzekła pani de Villeparisis z cnotliwym akcentem Guermantów, nawet najbardziej zdeprawowanych. — Bardzo, bardzo paskudny — dodała, wzmacniając potrójnym *b* słowo „bardzo”. Czuć było, iż nie wątpi, że ten oficer bierze udział „na trzeciego” we wszystkich orgiach. Twarz jej marszczyła się surowością pod adresem ohydneho kapitana, którego nazwisko wymieniła z ironiczną emfazą: „książę de Borodino”, jak osoba, dla której Cesarstwo się nie liczy. Że jednak uprzejmość była dominującą cechą margrabiny, wybuch ten skończył się czułym uśmiechem pod moim adresem, z mechanicznym zmrużeniem oczu, znamionującym coś w rodzaju współnictwa.

— Lubię bardzo Roberta de Saint-Loup-en-Bray — rzekł Bloch — mimo że jest skończone bydlę, bo jest nadzwyczaj dobrze wychowany. Bardzo lubię, nie jego, ale osoby nadzwyczaj dobrze wychowane, to takie rzadkie — ciągnął, nie zdając sobie sprawy (ponieważ sam był bardzo źle wychowany), jak jego słowa rażą. — Zacytuję państwu jeden przykład, dla mnie uderzający, jego doskonałego wychowania. Spotkałem go raz z pewnym młodym człowiekiem, kiedy miał wsiadać na rydwan o pięknych osiach, założywszy sam błyszczące lejce parze koni karmionych owsem i jęczmieniem, których nie potrzeba zachęcać lśniącem biczem. Zapoznał nas, ale nie dosłyszałem nazwiska młodego człowieka, bo nigdy się nie słyszy nazwiska osób, którym nas przedstawiają — dodał Bloch, śmiejąc się, bo to był żarcik jego ojca. — De Saint-Loup-en-Bray zachował prostotę, nie nadskakiwał zbyt młodemu człowiekowi, nie wydawał się ani trochę skrepowany. Otóż przypadkiem dowiedziałem się w kilka dni później, że ten młody człowiek, to był syn sir Rufusa Israels!

Koniec tej historii wydał się mniej rażący niż jej początek, bo go obecni nie zrozumieli. W istocie, sir Rufus Israels — dla Blocha i jego ojca osobistość niemal królewska, przed którą Saint-Loup powinien był drżeć — był, przeciwnie, w środowisku Guermantów cudzoziemcem i parweniusem, ot, tolerowanym w towarzystwie, człowiekiem, którego przyjaźnią nie przyszłoby nikomu do głowy się pysznić, wprost przeciwnie!

— Dowiedziałem się o tym — rzekł Bloch — przez pełnomocnika sir Rufusa Israels: to przyjaciel mego ojca, człowiek bardzo niezwykły. Och, indywidualnie absolutnie ciekawe — dodał z ową apodyktyczną energią, z owym akcentem entuzjazmu, jaki wkładamy jedynie w przekonania, których nie wytworzyliśmy sobie sami.

Bloch był zachwycony nadzieją poznania pana de Norpois.

— Chętnie bym — powiedział — pociągnął go za język na temat Dreyfusa. To jest mentalność, którą znam dość mało; byłoby dla mnie wcale pikantne uzyskać *interview*²⁸⁹ od tego znamienitego dyplomaty — rzekł sarkastycznym tonem, aby się nie wydawało, że się ma za coś gorszego od ambasadora.

²⁸⁷ *distrakcja* — rozproszenie uwagi, skupienia. [przypis edytorski]

²⁸⁸ *Hera* (mit. gr.) — bogini niebios i macierzyństwa, żona i siostra Zeusa. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *interview* (ang.) — wywiad z kimś przeprowadzany przez dziennikarza. [przypis edytorski]

— Powiedz mi — podjął Bloch, zwracając się do mnie po cichu — jaki majątek może mieć Saint-Loup? Rozumiesz, że jeżeli się pytam, dbam o to tyle co o zeszloroczny śnieg; obchodzi mnie to jedynie z punktu widzenia balzakowskiego, rozumiesz. I nie wiesz nawet, w czym to jest ulokowane: czy ma papiery francuskie, zagraniczne, ziemię?

Nie umiałem go w niczym objaśnić. Przestając szeptać, Bloch poprosił bardzo głośno o pozwolenie otworzenia okien i nie czekając odpowiedzi, skierował się w tę stronę. Pani de Villeparisis powstrzymała go, mówiąc, że jest zakatarzona.

— A, jeżeli to ma pani zaszkodzić... — rzekł Bloch niezadowolony. — Ale trzeba przyznać, że tu jest upał!

Zaśmiał się i powiódł wzrokiem dokoła, jak gdyby szukając u obecnych poparcia przeciw pani de Villeparisis; nie znalazł go wśród tych dobrze wychowanych ludzi. Błyszczące jego oczy, które nie zdołały uwieść nikogo, odzyskały wraz z rezygnacją wyraz serio. Jak gdyby stwierdzając swoją porażkę, rzekł:

— Musi być co najmniej dwadzieścia dwa lub dwadzieścia pięć stopni? To mnie nie dziwi. Pocę się jak ruda mysz. I nie mam, jak roztropny Antenor, syn strumienia Alfejosa²⁹⁰, możliwości zanurzenia się w ojcowskiej fali, aby splukać swój pot, zanim wnijdę do gładkiej wanny i namaszczę się wonną oliwą. — I z wrodzoną ludziom potrzebą kreślenia na użytek drugich teorii lekarskich, których praktyka byłaby pożyteczna dla nas samych, dodał: — Ha! skoro pani myśli, że to pani dobrze robi!... Ja sędzę przeciwnie. Właśnie z tego pani ma katar.

Pani de Villeparisis była niekontenta, że Bloch mówi to wszystko tak głośno, ale przestała się przejmować, kiedy ujrzała, że archiwista, którego nacjonalistyczne przekonania trzymały ją niejako na łańcuchu, siedzi zbyt daleko, aby móc usłyszeć. Bardziej zgorszyło ją, kiedy Bloch, party przez demona złego wychowania, który go uprzednio oślepił, spytał się jej, śmiejąc się z ojcowskiego konceptu:

— Prawda, to ten Norpois napisał wytrawne studium, gdzie dowodzi, dla jakich nieodpartych przyczyn wojna rosyjsko-japońska²⁹¹ musi się skończyć zwycięstwem Rosjan, a klęską Japończyków? Czy on nie jest trochę ramol? Zdaje mi się, że to jego widziałem, jak bierze na cel krzesło, zanim się ku niemu wypuści, ślizgając się jak na kółkach.

— Nigdy w życiu! Niech pan zaczeka chwilę — dodała margrabina — nie wiem, co on może robić tak długo.

Zadzwoiła; kiedy służący wszedł, pani de Villeparisis, która bynajmniej nie kryła, a nawet lubiła okazywać, że jej stary przyjaciel większą część czasu spędza u niej, rzekła:

— Proszę uprzedzić pana de Norpois, żeby przyszedł. Porządkuje papiery w moim biurku; powiedział, że przyjdzie za dwadzieścia minut, a już blisko dwie godziny czekam na niego. Powie panu o sprawie Dreyfusa, o wszystkim co pan zechce — rzekła margrabina do Blocha z dąsem — nie bardzo zgadza się z tym, co się dzieje.

W istocie, pan de Norpois był źle z obecnym ministerstwem, a pani de Villeparisis, mimo że eks-ambasador nie pozwoliłby sobie przyprowadzić jej „figur z rządu”, wiedziała jednak przez niego o tym, co się działo. Margrabina zachowała mimo wszystko fason wielkiej damy, odgradzając się od urzędowych stosunków dyplomaty. Toż samo „figury z rządu” nie ośmieliłyby się prosić pana de Norpois o przedstawienie ich pani de Villeparisis. Ale czasem zdarzało się im dopaść go u margrabiny na wsi, kiedy był nagle potrzebny w ważnych okolicznościach. Znali adres: udawali się do pałacu, nie mając szczęścia oglądać pani domu. Ale przy obiedzie margrabina powiadała: „Wiem, że kochanego pana tu niepokojono. Czy sytuacja się poprawia?”.

— Nie spieszy się panu zbytnio? — spytała pani de Villeparisis Blocha.

— Nie, nie, chciałem wyjść, bo nie czuję się zbyt dobrze; zalecają mi nawet kurację w Vichy na mój pęcherzyk żółciowy — rzekł Bloch skandując wyrazy z szatańską ironią.

— A, właśnie mój siostrzeniec Châtellerault ma tam jechać; powinni byćście się panowie wybrać razem. Czy on jest jeszcze tutaj? Wie pan, to bardzo miły chłopiec — rzekła

²⁹⁰Antenor, syn strumienia Alfejosa — Antenor: członek starszyny trojańskiej, doradca króla Troi; Alfejos: bóg rzeki o tej samej nazwie; pomiędzy tymi dwiema postaciami w mitologii greckiej nie ma związku. [przypis edytorski]

²⁹¹wojna rosyjsko-japońska (1904–1905) — toczone o panowanie na Dalekim Wschodzie, gł. w Korei; zakończona miazdzącym zwycięstwem Japonii, która dzięki temu awansowała do grona światowych potęg. [przypis edytorski]

pani de Villeparisis może z dobrą wiarą, sądząc, iż dwaj młodzi ludzie, obaj jej znajomi, nie mają żadnej racji nie zaprzyjaźnić się z sobą.

— Och, nie wiem, czy by on miał ochotę, nie znam go... to jest znam... tak... trochę; o, stoi tam — rzekł zawstydzony i uszczęśliwiony Bloch.

Kamerdyner nie musiał bardzo dokładnie powtórzyć panu de Norpois zlecenia, z którym go wysłano. Bo ambasador, chcąc udać, że przychodzi z ulicy i że jeszcze nie widział pani domu, wziął w przedpokoju na chybił trafił jakiś kapelusz i wchodząc, ucałował ceremonialnie rękę pani de Villeparisis, pytając jej o zdrowie z zainteresowaniem świadczącym o dłuższej nieobecności. Nie wiedział, że pani de Villeparisis z góry odjęła wszelkie prawdopodobieństwo tej komedii, którą przecięła zresztą natychmiast, biorąc pana de Norpois i Blocha do sąsiedniego salonu. Widząc cały aparat uprzejmości rozwinięty dla osoby, której nie utożsamiał jeszcze z panem de Norpois, oraz nawzajem ceremonialne, wdzięczne i głębokie ukłony eks-ambasadora, Bloch, czując się czymś poniżej całego tego ceremoniału i podrażniony myślą, że nigdy się nie stanie jego przedmiotem, szepnął do mnie dla kontenansu²⁹²: „Co to za szczególnie okaz idioty?”. Może zresztą wszystkie te „salamaleki” pana de Norpois uraziły w Blochu to, co w nim było najlepszego, pewną prostotę i bezpośredniość bardziej nowoczesnego środowiska, i może poniekąd szczerze uważał je za śmieszne. W każdym razie przestały go śmieszyć, a nawet oczarowały go z chwilą, gdy on sam stał się ich przedmiotem.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — chciałam pana zapoznać z panem Bloch. Panie Bloch, margrabia de Norpois. (Mimo sposobu, w jaki musztrowała pana de Norpois, margrabina przestrzegwała tego, aby mu mówić: „panie ambasadorze”, przez znajomość form, przez wysoki a wpojony jej przez pana de Norpois szacunek dla rangi ambasadora, wreszcie aby w stosunku do danego mężczyzny zastosować owe maniere mniej poufale, ceremonialne, które w salonie dystygowanej damy, odbijając od jej swobody w stosunku do innych gości, wskazują natychmiast człowieka będącego jej kochankiem).

Pan de Norpois utopił błękitne spojrzenie w swojej białej brodzie, głęboko schylił wyniosłą postać, tak jakby się skłaniał przed całym blaskiem i dostojeństwem nazwiska Bloch, i mruknął: „Bardzo mi miło”, podczas gdy Bloch, wzruszony, ale znajdując, iż sławny dyplomata posuwa się za daleko, sprostował skwapliwie, mówiąc: „Ależ nie, bynajmniej, to mnie jest bardzo miło”. Przez wzgląd na panią de Villeparisis, pan de Norpois powtarzał tę ceremonię z każdym obcym, którego mu przedstawiła jego stara przyjaciółka, jednakże w stosunku do Blocha nie wydało się to margrabinie wystarczające, zatem rzekła:

— Panie Bloch, niech pan od razu zapyta ambasadora o wszystko, co pan chce wiedzieć; niech go pan weźmie do drugiego pokoju, jeżeli to wam wygodniej; będzie niezmiernie rad porozmawiać z panem; zdaje się, że pan chciał z nim pomówić o sprawie Dreyfusa.

Pani de Villeparisis mówiła to wszystko, tak samo nie troszcząc się o to, czy sprawi przyjemność panu de Norpois, jak jej nie przyszło na myśl pytać o zgodę portretu księżnej de Montmorency, zanim go kazała oświetlić dla historyka, lub pytać o zgodę herbaty przed poczęstowaniem nią gości.

— Niech pan mówi głośno — rzekła do Blocha — jest trochę głuchy, ale powie panu wszystko, co pan ze chce; znał doskonale Bismarcka, Cavoura²⁹³. Prawda, panie ambasadorze — rzekła z siłą — że pan dobrze znał Bismarcka?

— Czy pan ma coś na warsztacie? — spytał pan de Norpois porozumiewawczo, ścisnąc mi serdecznie rękę. Skorzystałem z tego, aby go uprzejmie uwolnić od kapelusza, który eks-ambasador uważał za potrzebne przynieść z sobą na znak ceremonii, bo spostrzegłem w tej chwili, że wziął przypadkowo mój. — Pokazał mi pan kiedyś fragmencik nieco przesubtylizowany, w którym pan rozciął każdy włos na czworo. Wyraziłem panu szczerze moje zdanie, że tego rodzaju wrażenia nie były warte trudu utrwalenia ich na pa-

²⁹²kontenans (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

²⁹³Cavour, Camillo Benso (1810–1861) — włoski mąż stanu, polityk królestwa Piemontu i Sardynii, premier i minister spraw zagranicznych (od 1852), działacz na rzecz zjednoczenia Włoch; premier Włoch (1861). [przypis edytorski]

pierze. Czy przygotowuje nam pan coś obecnie? Był pan bardzo opętany Bergsonem²⁹⁴, przypominam sobie.

— Och! niech pan nie mówi źle o Bergsonie — wykrzyknęła księżna.

— Ja nie odmawiam mu talentu malarza, nikt by się nie ośmielił, księżno. Umie władać rylcem lub akwafortą, o ile nie umie nakreślić, jak pan Cherbuliez²⁹⁵, wielkiej kompozycji. Ale zdaje mi się, że nasza epoka dopuszcza się pomieszania rodzajów i że zadaniem powieściopisarza jest raczej być narratorem i krzepić serca niż dłużyć winietki i ornamenty. Mam spotkać pańskiego ojca w niedzielę u tego zacnego A.J. — dodał eks-ambasador, obracając się do mnie.

Widząc, iż pan de Norpois rozmawia z panią de Guermantes, miałem przez chwilę nadzieję, że mi użyczy dla wejścia w dom księżnej pomocy, której mi odmówił niegdyś w stosunku do pani Swann.

— Drugi przedmiot mego entuzjazmu — rzekłem — to Elstir. Zdaje się, że księżna de Guermantes ma cudowne Elstiry, zwłaszcza ów zdumiewający pęk rzodkiewek, który widziałem na wystawie i który bym tak pragnął ujrzeć jeszcze: co za arcydzieło!

I w istocie, gdyby moje zdanie coś znaczyło i gdyby mnie spytano, jakie dzieło malarzkie najwyżej cenię, wskazałbym ten pęk rzodkiewek.

— Arcydzieło? — wykrzyknął pan de Norpois z wyrazem zdumienia i nagany. — To nawet nie ma pretensji do obrazu, to prosty szkic (w czym miał rację). Jeżeli pan ten szkic nazwie arcydziełem, co pan powie o *Dziwicy Héberta*²⁹⁶ lub *Dagnan-Bouvereta*²⁹⁷?

— Słyszałem, że ciocia odpałała przyjaciółkę Roberta — rzekła pani de Guermantes do ciotki, gdy Bloch odciągnął na stronę ambasadora. — Sądzę, ciociu, że nie masz czego żałować; to istna ohyda, nie ma za grosz talentu, a przy tym jest po prostu śmieszna.

— Ale jakim cudem księżna ją zna? — spytał pan d'Argencourt.

— Jak to! nie wie pan, że u mnie był jej pierwszy występ, z czego zresztą nie mam powodu się pysznić — rzekła, śmiejąc się, pani de Guermantes, szczęśliwa mimo to, skoro mówiono o tej aktorce, że to ona miała pierwociny jej śmieszności. — No, trzeba mi się zabierać — dodała, nie ruszając się z miejsca.

Ujrzała właśnie wchodzącego męża, a słowa te stanowiły aluzję do komicznego pozoru, że składają we dwoje wizytę poślubną, nie zaś do trudnych nieraz stosunków istniejących między nią a tym olbrzymim, starzejącym się chwatem, wciąż pędzącym kawalerskie życie. Wodząc po osobach siedzących dookoła herbacianego stołu uprzejme, sprytne i nieco olśnione blaskiem zachodzącego słońca spojrzenia swoich małych, okrągłych źrenic, umieszczonych dokładnie w oku niby tarcze, które ten świetny strzelec umiał brać na cel i trafiać tak nieomylnie, książę posuwał się z zachwyconą i ostrożną powolnością, jak gdyby, oniesmielony tak świetnym zebraniem, bał się nadepnąć na suknie i zmącić rozmowę. Stały uśmiech leciutko wstawionego dobrego króla Yvetot²⁹⁸, półotwarta dłoń, bujająca niby płetwa rekina koło piersi, dłoń którą pozwalał ścisnąć bez różnicy starym przyjaciółom i nieznanym, gdy mu ich przedstawiano, pozwalały księciu, bez jednego gestu, nie przerywając dobrodusznego, próżniaczego i królewskiego pochodzenia, uczynić zadość skwapliwości wszystkich, przy czym mruczał tylko: „Dzień dobry, mój poczciwy; dzień dobry, drogi przyjacielu; bardzo mi miło, panie Bloch; jak się masz, d'Argencourt”. Mnie, skoro usłyszał moje nazwisko, książę wyróżnił najbardziej, mówiąc: „Witaj, młody sąsiadzie. Jak się ma pański ojciec. Cóż za zacny człowiek!”. Pełny ceremoniał rozwinął książę Błażej jedynie dla pani de Villeparisis, która przywitała go skinieniem głowy, wyjmując rękę z fartuszka.

²⁹⁴Bergson, Henri (1859–1941) — francuski filozof, przedstawiciel irracjonalizmu i intuicjonizmu, twórca koncepcji *élan vital*, czyli pędu życiowego; za punkt wyjścia swej doktryny przyjął krytykę poznania intelektualnego na rzecz intuicji. [przypis edytorski]

²⁹⁵Cherbuliez, Victor (1829–1899) — francuski powieściopisarz pochodzenia szwajcarskiego, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁹⁶Hébert, Ernest (1817–1908) — francuski malarz, tworzący sceny biblijne i portrety w stylu romantycznym. [przypis edytorski]

²⁹⁷Dagnan-Bouveret, Pascal (1852–1929) — francuski malarz realista. [przypis edytorski]

²⁹⁸król Yvetot — z piosenki *Le Roi d'Yvetot* Pierre'a Jeana de Beranger (1780–1857) z 1813, o kochającym wygodne i spokojne życie dobrym królu-pacyfście, rządzącym miasteczkiem Yvetot w Normandii. [przypis edytorski]

Kolosalnie bogaty w świecie, gdzie bogactwo jest coraz radsze, ksiązę nasiął w całej swojej istocie świadomością tej olbrzymiej fortuny; próżność wielkiego pana zdwoiła się próżnością krezusa²⁹⁹, przy czym staranne wychowanie pierwszego z nich ledwie umiało powściągnąć arogancję drugiego. Rozumiało się zresztą, że jego sukcesy u kobiet, stanowiące zgryzotę jego żony, nie były wynikiem jedynie nazwiska i majątku, bo ksiązę, ze swoim czystym i wyrazistym profilem jakiegoś greckiego boga, był jeszcze bardzo piękny.

— Naprawdę, grała u pani? — spytał księżnej pan d'Argencourt.

— Ależ tak, przyszła u mnie recytować z bukietem lilij w ręce i w innych lelijach na sukni (pani de Guermentes, jak pani de Villeparisis, wymawiała z pewną kokieterią niektóre słowa z chłopska, mimo że nie „rulowała” r, jak jej ciotka).

Zanim pan de Norpois, spętany i osiodłany, powiódł Blocha do małej niszy, gdzie by mogli rozmawiać swobodniej, podszedłem na chwilę do starego dyplomaty i wsunąłem mu słówko o kandydaturze ojca. Zrazu chciał odłożyć rozmowę na później, na co napomknąłem, że wyjeżdżam do Balbec. „Jak to, znów pan jedzie do Balbec? Ależ z pana prawdziwy globtroter!”. Potem wysłuchał mnie. Słyszac nazwisko Leroy-Beaulieu, pan de Norpois spojrzal na mnie podejrzliwie. Powziąłem stąd myśl, że eks-ambasador mówił może panu Leroy-Beaulieu o moim ojcu ujemne rzeczy i że lęka się, czy znakomity ekonomista ich nie powtórzył. Z punktu okazał się pełen najlepszych uczuć dla mego ojca. I po owym *ritardando*³⁰⁰, z którego wybucha nagle jakieś słowo, jak gdyby wbrew woli mówiącego, skoro nieodparte przekonanie zwycięży zająkliwe próby przemilczenia, ambasador rzekł z przejęciem:

— Nie, nie; *nie trzeba*, aby pański ojciec zgłaszał swoją kandydaturę. Nie trzeba w jego własnym interesie, dla niego samego, przez szacunek dla jego niepospolitej wartości, którą naraziłby w takim hazardzie. On jest wart więcej. Choćby go nawet wybrano, miałby wszystko do stracenia, a nic do zyskania. Bogu dzięki, nie jest mówcą. A to jest jedyna rzecz, która liczy się u moich kochanych kolegów, choćby nawet to, co się mówi, to były same androny. Pański ojciec ma doniosły cel w życiu; powinien iść prosto, nie dając się ściągnąć z drogi, nawet w bardziej cierniste niż pełne kwiatów gaje Akademos³⁰¹. Zresztą nie uzyskalby więcej niż kilka głosów. Akademia lubi wytrzymać postulanta, zanim go przyjmie na swoje łono. W obecnym momencie nic się nie da zrobić. Później, nie mówię. Ale trzeba, aby to ciało samo przyszło go szukać. Praktykuje ono z większym fetysyzmem niż szczęściem hasło „*Farà da se*”³⁰² naszych sąsiadów z tamtej strony Alp. Pan Leroy-Beaulieu mówił mi o tym w sposób, który mi się nie podobał. Trąciło mi to wyraźnie tym, że działa w porozumieniu z pańskim ojcem. Dałem mu może uczuć trochę żywo, że, nawykły zajmować się kolonistami i metalami, nie docenia roli imponderabiliów³⁰³, jak to nazywał Bismarck. Przede wszystkim, trzeba nie dopuścić do tego, aby ojciec pański zgłosił swoją kandydaturę: „*Principiis obsta*”³⁰⁴. Przyjaciele jego znaleźliby się w drażliwym położeniu, gdyby ich postawił wobec faktu dokonanego. Słuchaj pan — rzekł nagle pan de Norpois z akcentem szczerości, wlepiając we mnie swoje błękitne oczy — powiem panu coś, co pana zdziwi ze strony człowieka, który tak kocha pańskiego ojca. Otóż właśnie dlatego, że go kocham (jesteśmy dwaj nierozłączni *Arcades ambo*³⁰⁵), właśnie dlatego, że znam usługi, jakie może oddać krajowi, rafa, jakich może mu oszczędzić, o ile zostanie przy sterze, przez przyjaźń, przez wysoki szacunek, przez patriotyzm, nie głosowałbym za nim. Zresztą, sądzę, iż dałem to do zrozumienia. (Tu zdawało mi się, że widzę w oczach ambasadora asyryjski i surowy profil pana Leroy-Beaulieu). — Zatem, oddać mu swój głos, byłoby z mojej strony rodzajem zaprzaństwa.

Kilkakrotnie w czasie tej rozmowy pan de Norpois skwalifikował swoich kolegów jako mamutów. Pomijając inne racje, wszelki członek jakiegoś klubu lub Akademii lubi

²⁹⁹ *krezus* — bogacz. [przypis edytorski]

³⁰⁰ *ritardando* (muz., wł.) — zwolnienie tempa utworu. [przypis edytorski]

³⁰¹ *Akademos* (mit. gr.) — heros ateński, w gaju poświęconym Akademosowi znajdowała się szkoła Platona, stąd: Akademia. [przypis edytorski]

³⁰² [*Italia*] *farà da se* (wł.) — Włochy same sobie poradzą. [przypis edytorski]

³⁰³ *imponderabilia* (z łac.) — rzeczy nieuchwytnie, dosł. niedające się zważyć (tj. dokładnie określić), ale mające wpływ na rzeczywistość a. bieg jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

³⁰⁴ *principiis obsta* (łac.) — niszczyć zło w zarodku; dosł.: przeszkadzać początkom. [przypis edytorski]

³⁰⁵ *Arcades ambo* (łac.) — obaj Arkadyjczycy (Wergiliusz, *Bukoliki* VII, 4); o osobach tych samych upodobań. [przypis edytorski]

stroić swoich kolegów w charakter najbardziej spreczny ze swoim, nie tyle dla wygody powiedzenia: „Och, gdyby to zależało tylko ode mnie!”, ile dla satysfakcji przedstawienia tytułu, który sam posiada, jako czegoś trudniejszego i pochlebniejszego.

— Powiem panu — zakończył — że w interesie was wszystkich wolę dla pańskiego ojca triumfalny wybór za dziesięć lub piętnaście lat.

Słowa te wydały mi się w danej chwili wyrazem zazdrości lub bodaj absolutnej nieużytości; później, w świetle wypadków, zyskały inny sens.

— Czy nie zamierza pan omówić w Instytucie cen chleba w czasie Frondy? — spytał nieśmiało pana de Norpois historyk Frondy. — Mógłby pan tym zyskać znaczny sukces (co miało znaczyć: kolosalną reklamę) — dodał uśmiechając się do ambasadora tchórzliwie, ale zarazem z czułością, która kazała mu podnieść powieki i odsłonić oczy wielkie jak niebo. Zdawało mi się, że już gdzieś widziałem ten wzrok, a przecież poznałem historyka dopiero dziś. Naraz przypomniałem sobie: to samo spojrzenie widziałem w oczach brazylijskiego lekarza, zaręczającego, iż leczy duszności takie jak moje za pomocą idiotycznych inhalacji z jakichś ekstraktów roślinnych. Kiedy, chcąc, aby się mną gorliwiej zajął, powiedziałem mu, iż znam profesora Cottard, lekarz rzekł, jakby w interesie profesora: „Gdyby mu pan wspomniał o moim systemie, profesor znalazłby w nim materiał do sensacyjnego referatu w Akademii Medycznej”. Nie śmiał nalegać, ale patrzył na mnie z tym samym nieśmiałym, interesownym i błagalnym pytajnikiem w oczach, jaki właśnie podziwiałem u historyka Frondy. Z pewnością ci dwaj ludzie nie znali się wzajem i zupełnie nie byli do siebie podobni, ale prawa psychologiczne mają, jak prawa fizyczne, pewne ogólne zasady. I jeżeli okoliczności są jednakie, jednakie spojrzenie rozświeca różne zwierzęta ludzkie, jak to samo ranne słońce oświeca okolice leżące daleko od siebie i które się nigdy nie widziały.

Nie usłyszałem odpowiedzi ambasadora, bo wszyscy zbliżyli się z hałasem do pani de Villeparisis, aby popatrzeć jak maluje.

— Czy wiesz, o kim mówiliśmy, Błażeju? — spytała księżna męża.

— Zgaduję, oczywiście — rzekł książę.

— Och, to nie jest to, co nazywamy: „aktorka wielkiej klasy”.

— Nigdy — podjęła pani de Guermantes, zwracając się do pana d’Argencourt — nie wyobraziłby pan sobie czegoś równie pociesznego.

— To było nawet kakofoniczne — przerwał pan de Guermantes, którego dziwaczny słownik pozwalał równocześnie światowcom stwierdzać, że on jest „niegłupi”, a literatom uważać go za najgroźniejszego cymbała.

— Nie mogę pojąć — podjęła księżna — jakim cudem Robert mógł się w niej kiedy kochać. Och, ja wiem, że takich rzeczy się nie dyskutuje — dodała z ładną minką filozofki i zawiedzionej w swoich uczuciach kobiety. — Wiem, że byle kto może pokochać byle co. I — dodała księżna, bo o ile pokpiwała sobie jeszcze z nowej literatury, literatura ta, może spopularyzowana przez gazety, może przez pewne rozmowy, wsiąkała w nią po trosze — to jest nawet piękne w miłości, to właśnie czyni ją czymś „tajemniczym”.

— Tajemniczym! Och, przyznaję, że to jest trochę za trudne dla mnie, kuzynko — rzekł hrabia d’Argencourt.

— Ależ tak, to bardzo tajemnicza rzecz, miłość — odparła księżna z łagodnym uśmiechem kobiety światowej, ale i z nieubłaganym przeświadczeniem wagnerzystki, dowodzącej klubowcowi, że *Walkirie*³⁰⁶ to nie jest tylko sam hałas. — Zresztą, w gruncie, nie wiemy nigdy, czemu ktoś kogoś kocha, może wcale nie dlatego, co my myślimy — dodała z uśmiechem, przekreślając nagle przez swoją interpretację myśl, którą dopiero co wyraziła. — Zresztą, w gruncie, nigdy się nic nie wie — zakończyła ze sceptyczną i znużoną minką. — Toteż, widzi pan, „inteligentniej” jest nie dyskutować nigdy wyboru w miłości.

Ale postawiwszy tę zasadę, złamała ją natychmiast, krytykując wybór Roberta.

— Z tym wszystkim wydaje mi się zdumiewające, aby kogoś mogła oczarować osoba śmieszna.

³⁰⁶*Walkirie* (mit. germ.) — pomniejsze boginie, dziewice-wojowniczkę dosiadające skrzydlatych koni, odprowadzające cienie poległych w boju do Walhalli; spopularyzowała je opera Wagnera *Walkiria* (1870) Richarda Wagnera, stanowiąca drugą część dramatu muzycznego *Pierścień Nibelunga*, a szczególnie *Cwał Walkirii*, wstęp do III aktu tej opery, jeden z najbardziej znanych utworów tego kompozytora. [przypis edytorski]

Bloch, słysząc, że mówimy o Robercie i zgadując, że Saint-Loup jest w Paryżu, zaczął wygadywać na niego tak okropnie, że wszystkich wzburzył. Zaczynały go nurtować nienawiści; czuło się, że aby je nasycić, nie cofnąłby się przed niczym. Przyjąwszy za zasadę, że on, Bloch, posiada wysokie wartości duchowe i że gatunek ludzi uczęszczających do „Boulie” (klub sportowy, który Bloch uważał za elegancki) zasługuje na galery, uważał, iż wszystkie ciosy, jakie im zdoła zadać, są uprawnione. Mówił wręcz o procesie, jaki myślał wytoczyć jednemu ze swoich przyjaciół z „Boulie”. W ciągu procesu zamierzał złożyć zeznania kłamliwe, ale takie, że oskarżony nie mógłby dowieść ich fałszu. W ten sposób Bloch (który zresztą nie wykonał swego zamiaru) pragnął go pognać i przywieść do szaleństwa. I cóż w tym złego, skoro człowiek, którego chciał ugodzić w ten sposób, był człowiekiem myślącym jedynie o „szyku”, człowiekiem z „Boulie”; przeciwko takim ludziom wszelka broń jest dozwolona, zwłaszcza człowiekowi świętemu jak Bloch.

— A jednak, niech pani weźmie Swanna — zauważył pan d'Argencourt, który, rozumiawszy wreszcie sens słów księżnej, uderzony ich słusnością, szukał w pamięci przykładu ludzi szalejących dla osób, które jemu by się nie podobały.

— Och, Swann to zupełnie nie to samo — zaprotestowała księżna. — To było zresztą bardzo zdumiewające, bo to była poczciwa idiotka, ale nie była śmieszna i była kiedyś ładna.

— Hum, hum — chrząknęła pani de Villeparisis.

— A! cioci się nie podobała? Ale owszem, miała szczegóły śliczne, bardzo ładne oczy, ładne włosy, ubierała się i dotąd ubiera się jeszcze cudownie. Teraz przyznaję, że ona jest potworna, ale to była czarująca osoba. Tym nie mniej zmartwiło mnie, że Lolo się z nią ożenił, bo to było takie niepotrzebne.

Księżna nie sądziła, aby powiedziała coś niezwyklego, że jednak pan d'Argencourt zaczął się śmiać, powtórzyła to zdanie, czy że się jej wydało dowcipne, czy że się jej wydał miły partner rozmowy, na którego zaczęła patrzeć pieszczotliwie, aby do czarów inteligencji dodać czar słodczy. Ciągnęła:

— Tak, nieprawdaż, nie było warto, ale ostatecznie ona nie była bez uroku i rozumem doskonale, że można ją było kochać; podczas gdy widząc tę pannę od Roberta, zapewniam was, można skonać ze śmiechu. Wiem, że mi kto odpowie starą śpiewką Augiera: „Cóż znaczy flasza, byle upojenie”. Otóż Robert ma może upojenie, ale doprawdy nie złożył dowodu smaku w wyborze flaszki! Po pierwsze, pomyślcie, ona sobie ubrdała, żeby jej ustawić schody w samym środku mojego salonu. To drobiazg, nieprawdaż; do tego oznajmiła mi, że będzie leżała na brzuchu na tych schodach. Zresztą, gdyby pan słyszał, co ona deklamowała: znam tylko jedną scenę, ale nie przypuszczam, aby ktoś sobie zdołał wyobrazić coś podobnego: to się nazywa *Siedem księżniczek*³⁰⁷.

— *Siedem księżniczek*, au, au, co za snobizm! — wykrzyknął pan d'Argencourt. — Ale, a! czekajcie państwo, ja znam całą sztukę. To jednego z moich krajanów. Przesłał ją królowi, który nic nie zrozumiał i prosił mnie, żebym mu to wytłumaczył.

— Czy to przypadkiem nie Sar Peladan³⁰⁸? — spytał historyk Frondy, z intencją dowcipu i aktualności, ale tak cicho, że jego słowa przeszły niepostrzeżenie.

— A, pan zna *Siedem księżniczek*? — odparła księżna panu d'Argencourt. — Moje gratulacje! Ja znam tylko jedną, ale to mi odjęło ochotę do znajomości z sześcioma innymi. Jeżeli wszystkie są podobne do tej, którą widziałam!

„Co za kłępa — myślałem podrażniony lodowatym sposobem, w jaki mnie księżna przyjęła. Znajdowałem rodzaj cierpkiej przyjemności w stwierdzeniu jej pełnego niezrozumienia Maeterlincka³⁰⁹. — I dla takiej kobiety odwałem co rano nie wiem już ile kilometrów; doprawdy, trzeba mieć zdrowie! Teraz to ja bym jej nie chciał”. Takie słowa mówiłem w duchu; ale były one przeciwieństwem mojej myśli; były to słowa czysto konwersacyjne, jakie powtarzamy w chwilach gdy, nazbyt wzburzeni, aby zostać sami

³⁰⁷ *Siedem księżniczek* — *Les Sept Princesses* (1891), sztuka Maurice'a Maeterlincka. [przypis edytorski]

³⁰⁸ *Peladan, Joséphin*, znany też *Sâr Peladan* (1858–1918) — francuski powieściopisarz; utrzymywał, że pewien babiloński król pozostawił jego rodzinie tytuł „Sâr”; założyciel odnowionego Bractwa Różokrzyżowców, które m.in. organizowało wystawy obrazów: na jednej z ulotek takiej wystawy znajdowały się schody usłane liliami. [przypis edytorski]

³⁰⁹ *Maeterlinck, Maurice* (1862–1949) — belgijski pisarz piszący po francusku, czołowy przedstawiciel symbolizmu w sztuce, twórca dramatu symbolicznego, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1911. [przypis edytorski]

z sobą, odczuwamy potrzebę, w braku innego partnera, rozmawiać z sobą, nieszczerze jak z obcym.

— Nie mogę panu dać o tym wyobrażenia — ciągnęła księżna — to można było skończyć ze śmiechu. Nie żalowano też sobie, zanadto może, bo pindulka się obraziła, a Robert w gruncie rzeczy zawsze chował o to żal do mnie. Czego zresztą nie żałuję, bo gdyby dobrze poszło, dałoby to tej pannie powód do dalszych występów, a nie wiem, czyby to zrobiło przyjemność Marii Aynardowej.

Tak nazywano w rodzinie matkę Roberta, panią de Marsantes, wdowę po Aynardzie de Saint-Loup, aby ją odróżnić od jej kuzynki, księżnej de Guermites z panującego domu bawarskiego, również Marii, do którego to imienia, dla uniknięcia pomyłek, siostrzeńcy, kuzyni i szwagrowie dodawali imię męża lub drugie jej imię, zwać ją Maria Gilbertowa lub Maria Jadwiga.

— Zresztą w wilię był rodzaj próby generalnej, to było ładne! — ciągnęła ironicznie pani de Guermites. — Wyobraźcie sobie, kiedy powiedziała zdanie, a nawet nie, ćwierć zdania, zatrzymywała się; robiła pauzę, doprawdy nie przesadzam, przez pięć minut.

— Au, au, au! — krzyknął pan d'Argencourt.

— Najuprzejmiej w świecie pozwoliłam sobie zwrócić jej uwagę, że to się może wyda trochę dziwne. Odpowiedziała dosłownie: „Trzeba zawsze mówić każdą rzecz tak, jakby się ją właśnie samemu tworzyło”. Skoro się trochę zastanowić, ta odpowiedź jest monumentalna!

— Ja myślałem, że ona nieźle mówi wiersze — rzekł jeden z dwóch młodych ludzi.

— Nie ma o tym zielonego pojęcia — odparła pani de Guermites. — Zresztą ja nie potrzebowałam jej słyszeć. Wystarczyło mi widzieć ją, jak sunie ze swoją leliją. Od razu zrozumiałam, że ona nie ma talentu, kiedym zobaczyła leliję.

Wszyscy się zaśmiali.

— Ciociu, nie pogniewała się chyba ciocia na mnie kiedyś za mój żart z królową szwedzką, przychodzę błagać o pardon.

— Nie, nie gniewam się, pozwalam ci nawet zjeść podwieczorek, jeżeli jesteś głodny. No, panie Valleneres, niech pan robi pannę domu — rzekła pani de Villeparisis do archiwisty: był to uswięcony żarcik.

Pan de Guermites wyprostował się w fotelu, gdzie się rozwalił, postawiwszy cylinder na dywanie, i badał z zadowoloną miną talerzyki z ciasteczkami, które mu podawano.

— Ależ chętnie, teraz kiedy się zaczynam oswajać z tym szlacheckim zgromadzeniem, schrupię jakąś babkę, wyglądają wybornie.

— Doskonale się pan wywiązuje z roli panny domu — rzekł pan d'Argentcourt, który przez ducha naśladownictwa podjął koncept pani de Villeparisis.

Archiwista podał ciasteczka historykowi Frondy.

— Cudownie się pan wywiązuje ze swoich funkcji — rzekł ów przez nieśmiałość i starając się pozyskać ogólną sympatię.

Jakoż objął ukradkiem porozumiewawczym spojrzeniem tych, co zrobili już jak on.

— Powiedz mi, dobra ciociu — spytał pan de Guermites pani de Villeparisis — kto jest ten pan prezentujący się wcale dobrze, który wychodził, kiedy ja wchodziłem? Muszę go znać, bo mi się głęboko uklonił, ale nie przypominam go sobie. Ciocia wie, że ja jestem zawsze w niezgodzie z nazwiskami, co jest bardzo niemile — rzekł tonem satysfakcji.

— Pan Legrandin.

— A! przecież Oriana ma kuzynkę, której matka, jeżeli się nie mylę, jest z domu Grandin. Tak, tak, wiem doskonale, to są Grandin de l'Éprevier.

— Nie — odparła pani de Villeparisis — to nie ma żadnego związku. Ci są po prostu Grandin, Grandin „de nic a nic”. Ale bardzo by chcieli być „de coś”, co ci się tylko podoba. Siostra tego pana nazywa się pani de Cambremer.

— Ależ słuchaj, Błażeju, wiesz, o kim ciocia mówi — wykrzyknęła księżna z oburzeniem — to przecie brat tej trawożernej olbrzymki, którą przyszło ci kiedyś do głowy wpakować mi na kark. Siedziała godzinę; myślałam, że zwariuję. Ale z początku sądziłam, że to ona zwariowała, widząc wchodzącą do mnie osobę, której nie znałam, osobę z miną krowy.

— Słuchaj, Oriano, spytała się mnie, kiedy ty przyjmujesz; nie mogłem być grubianinem — rzekł książę. — Zresztą powiedz sama, ty przesadzasz: ona nie ma miny krowy — dodał żalonym tonem, rzucając ukradkiem na obecnych uśmiechnięte spojrzenie.

Książę wiedział, że werwa żony wymaga, aby ją podsycać sprzeciwem; sprzeciwem zdrowego rozsądku, który protestuje na przykład, że nie można wziąć kobiety za krowę (w ten sposób pani de Guermites, licytując samą siebie, znajdowała często swoje najładniejsze powiedzonka). I książę nastroił się naiwnie, aby pomóc, niby to niechcący, do sukcesu sztuczki, jak w wagonie kolejowym cichy współnik szulera.

— Uznaję, że nie wygląda na krowę, bo wygląda na całe stado krów — wykrzyknęła księżna. — Przysięgam wam, byłem w wielkim kłopotcie, widząc to stado krów tarabaniące się w kapeluszu do salonu i pytające mnie o zdrowie. Z jednej strony miałam ochotę jej odpowiedzieć: „Ależ, stado krów, tobie się coś myli; nie możesz być w stosunkach ze mną, skoro jesteś stadem krów”; z drugiej strony, szukając w pamięci, ubrdałam sobie w końcu, że twoja Cambremer to jest infantka³¹⁰ Dorota, która zapowiedziała się, że przyjdzie kiedyś, a która też jest dosyć *krowiasta*; tak że omal nie powiedziałam „wasza królewska wysokość” i nie mówiłam w trzeciej osobie do stada krów. Ona też ma żółdek w stylu królowej szwedzkiej. Zresztą ten atak na bagnety przygotowany był zawczasu ostrzeliwaniem mnie wedle wszelkich reguł strategii. Nie pamiętam już, odkąd bombardowała mnie biletami wizytowymi; znajdowałam je wszędzie, na wszystkich meblach jak prospekty. Nie znałam celu tej reklamy. Wszędzie czytało się u mnie same: „Margrabia i margrabina de Cambremer” z adresem, którego nie pamiętam i z którego zresztą postanowiłam sobie święcie nie skorzystać.

— Ależ to bardzo pochlebne być podobną do królowej — rzekł historyk Frondy.

— Och, mój Boże, drogi panie, królowie w naszej epoce to bardzo niewiele! — rzekł pan de Guermites, bo miał pretensję być umysłem wyzwolonym i nowoczesnym, a także aby się nie wydawało, że sobie dużo robi ze stosunków monarszych, na których zależało mu bardzo.

Bloch i pan de Norpois, którzy wstali z krzesel, znaleźli się opodal nas.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — czy mówił pan z panem Bloch o sprawie Dreyfusa?

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba z uśmiechem, ale jak gdyby stwierdzając potworność kaprysów, jakie mu narzuca jego Dulcynea³¹¹. Mimo to zaczął mówić Blochowi bardzo uprzejmie o okropnych, może śmiertelnych latach, jakie przeżywa Francja. Ponieważ to znaczyło prawdopodobnie, że pan de Norpois (któremu wszelako Bloch oświadczył, że wierzy w niewinność Dreyfusa) jest gorącym antydreyfusistą, uprzejmość ambasadora, mina, z jaką zdawał się przyznawać słuszność swemu partnerowi, nie wątpić, że są jednego zdania, sprzymierzać się z nim w potępieniu rządu, pochlebiali próżności Blocha i budziły jego ciekawość. Co to były za ważne punkty, których pan de Norpois nie określał, ale co do których zdawał się dopuszczać swoją zgodność z Blochem; jakież tedy miał pogląd na sprawę, który by mógł ich zjednoczyć? Bloch był tym bardziej zdziwiony tajemniczą harmonią, jaka zdawała się istnieć między nim a panem de Norpois, ile że ta harmonia tyczyła się nie tylko polityki, pani de Villeparisis wspomniała bowiem dość obszernie panu de Norpois o pracach literackich Blocha.

— Pan nie jesteś człowiekiem swojej epoki, wiesz panu — rzekł do Blocha eks-ambasador — nie jesteś pan z tej epoki, w której bezinteresowne studia już nie istnieją, w której sprzedaje się publiczności jedynie pornografię lub bzdurstwa. Usiłowania takie jak pańskie powinny by się spotkać z zachętą, gdybyśmy mieli rząd.

Blochowi bardzo pochlebiło, że sam jeden nie zatonął w powszechnym potopie. Ale i w tym byłby pragnął większej ścisłości; rad byłby wiedzieć, o jakich bzdurstwach mówi pan de Norpois. Bloch miał poczucie, że pracuje w tym samym duchu co wielu innych; nie sądził, aby był tak wyjątkowy. Wrócił do sprawy Dreyfusa, ale nie zdołał rozgryźć poglądów pana de Norpois. Starał się go sprowadzić na oficerów, których nazwiska, powtarzające się często w owej chwili w dziennikach, więcej budziły ciekawości od polityków wmiieszanych w tę samą sprawę, ponieważ ci wojskowi byli mniej znani i ponieważ,

³¹⁰*infantka* — hiszpański tytuł córki królewskiej. [przypis edytorski]

³¹¹*Dulcynea* — ukochana Don Kichota, tytułowego bohatera powieści Miguela Cervantesa. [przypis edytorski]

w specjalnym kostiumie, z głębi odrębnego życia oraz święcie dochowywanego milczenia, wyłonili się dopiero, aby przemówić, niby Lohengrin³¹² wysiadający z czółna ciągnionego przez łabędzia. Dzięki znajomemu adwokatowi-nacjonalście Bloch zdołał się dostać na kilka posiedzeń procesu Zoli³¹³. Przychodził rano, z zapasem bułek z szynką i flaszką kawy, aby wychodzić aż wieczór, jak przy piśmiennej maturze; ta zmiana trybu życia wprowadzała go w stan nerwowej pobudliwości, którą potęgowała jeszcze kawa oraz emocje procesu. Wychodził tak upojony wszystkim, co przeżył, że wieczorem, wróciwszy do domu, pragnął się znów zanurzyć w pięknym śnie i spieszył spotkać kolegów w kawiarni odwiedzanej przez oba stronnictwa. Omawiał tam bez końca z nimi wypadki dnia, rozkazującym tonem, dającym mu złudzenie władzy, zamawiał kolację, która kompensowała post i zmęczenie dnia zaczętego tak wcześnie i bez śniadania. Człowiek poruszający się wciąż między dwiema płaszczyznami — doświadczenia i wyobraźni — chciałby zgłębić idealne życie ludzi, których zna, oraz poznać istoty, których życie musi sobie roić. Na pytanie Blocha pan de Norpois odpowiedział:

— Jest dwóch oficerów wmieszanych w wiadomą sprawę, ludzi, o których słyszałem niegdyś z ust człowieka zasługującego na wszelkie zaufanie a ceniącego ich nader wysoko (pan de Miribel); ci oficerowie to podpułkownik Henry³¹⁴ i podpułkownik Picquart.

— Ależ — wykrzyknął Bloch — boska Atena³¹⁵, córka Zeusa, pomieściła w umyśle każdego z nich pojęcia wręcz przeciwne tym, które mieszkają w głowie drugiego. I walczą przeciwko sobie niczym dwa lwy. Pułkownik Picquart miał znakomitą sytuację w wojsku, ale jego Mojra³¹⁶ zawiodła go na stronę nieodpowiadającą jego stanowisku. Miecz nacjonalistów przetnie jego delikatne ciało, iżby posłużył za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych³¹⁷.

Pan de Norpois nie odpowiedział nic.

— O czym oni tam rąją w kącie? — spytał pan de Guermantes pani de Villeparisis, pokazując pana de Norpois i Blocha.

— O sprawie Dreyfusa.

— Bagatela! *À propos*, czy wiecie, kto jest zajadłym stronnikiem Dreyfusa? Zgadnijcie, jeśli możecie. Mój siostrzeniec Robert! Powiem wam nawet, że w „Jockeyu”, kiedy się dowiedziano o jego wyczynach, zrobił się prawdziwy huczek, istny tumult. Ponieważ podają go za tydzień na członka...

— Oczywiście — przerwała księżna — jeżeli oni są wszyscy tacy jak Gilbert, który zawsze utrzymywał, iż trzeba wysłać wszystkich Żydów do Jerozolimy...

— A! w takim razie księżę Gilbert podziela najzupełniej moje przekonania — przerwał pan d'Argencourt.

Księżę stroił się w swoją żonę, ale jej nie kochał. Sam wielki arogant, nie znoślił, aby mu przerywano; przyzwyczał się przy tym w domu być z nią brutalny. Trzęsąc się

³¹²*Lohengrin* — Rycerz Łabędzia, postać z legend arturiańskich, syn Parsifala, wysłany w łodzi ciągniętej przez łabędzia, by ocalić pannę, która nie może zapytać Lohengrina o jego tożsamość; szerzej znany jako tytułowy bohater romantycznej opery Wagnera z 1850, w której Graal napelnia Rycerza Łabędzia mistycznymi mocami, które działają tak długo, jak długo udaje się zachować ich sekret. [przypis edytorski]

³¹³*Zola, Emile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując 13 stycznia na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L'Aurore” artykuł *J'Accuse!*... (Oskarżam!), zarzucający władzom antysemityzm i działania niezgodne z prawem; 7 lutego został postawiony przed sądem pod zarzutem pomówienia, 23 lutego skazany i pozbawiony orderu Legii Honorowej; w kwietniu wyrok uchylono ze względów proceduralnych, ale przeciwko Zoli wszczęto nowy proces, który rozpoczął się 18 lipca; za radą swojego prawnika przed wydaniem werdyktu pisarz uciekł do Anglii. [przypis edytorski]

³¹⁴*Henry, Hubert-Joseph* (1846–1898) — francuski oficer wywiadu; jego przełożony, Picquart, był przekonany, że Henry sfalszował dowody, aby ostatecznie udowodnić, że Alfred Dreyfus był zdrajcą na korzyść Niemiec; fałszerstwo udowodniono w 1898, Henry został aresztowany; znaleziono go martwego w celi więziennej. [przypis edytorski]

³¹⁵*Atena* (mit. gr.) — bogini mądrości, sztuki i wojny sprawiedliwej, córka Zeusa, władcy bogów. [przypis edytorski]

³¹⁶*Mojry* (mit. gr.) — trzy boginie przeznaczenia, pilnujące odwiecznego porządku świata, wyobrażane jako prządki przędące i przecinające nić ludzkiego żywota. [przypis edytorski]

³¹⁷*za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych* — zapewne aluzja do słów z pierwszego zdania *Iliady*: „na pastwę dla sępom i psom bez pogrzebu walające się trupy rycerskie” (tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski). [przypis edytorski]

z podwójnego gniewu, złego męża, do którego żona mówi, i krasomówcy, którego ktoś nie słucha, urwał i przesył książkę spojrzeniem, które zakłopotowało wszystkich.

— Co ciebie napadło opowiadać nam o Gilbertcie i o Jerozolimie? — rzekł wreszcie. — Nie o to chodzi. Ale — dodał łagodniej — przyznajcie mi, że gdyby zbalotowano³¹⁸ w „Jockeyu” jednego z naszych, a zwłaszcza Roberta, którego ojciec był przez dziesięć lat prezesem klubu, to by był szczyt! Cóż chcesz, moja droga, zatknęło po prostu tych ludzi, rozdziawili szeroko oczy. Nie mogę ich potępiać; osobiście, wiesz, że nie mam żadnego przesądu co do ras, uważam, że to nie jest rzecz na dzisiejsze czasy, a mam pretensję iść z duchem czasu, ale ostatecznie, cóż u diaska! Kiedy się ktoś nazywa margrabia de Saint-Loup, nie jest dreyfusistą, daruj mi, ale to trudno!

Pan de Guermantes wyrzekł te słowa: „Kiedy się ktoś nazywa margrabia de Saint-Loup” z emfazą. Wiedział przecież dobrze, że jeszcze większą rzeczą jest nazywać się „książę de Guermantes”. Ale o ile jego miłość własna skłonna była raczej przeceniać wyższość tytułu księcia de Guermantes, widząc go nad wszystkimi innymi, nie tyle może prawidła dobrego smaku, ile prawa wyobraźni parły księcia do tego, aby go pomniejszać. Każdemu się wydaje piękniejsze to, co widzi na odległość, co widzi u innych. Powszechne prawa regulujące perspektywę wyobraźni obowiązują równie dobrze książąt jak innych ludzi. Nie tylko prawa wyobraźni, ale języka. Otóż jedno i drugie z dwóch prawideł języka mogło tu znaleźć zastosowanie. Jedno chce, aby się wyrażać tak jak ludzie danej klasy duchowej, a nie rodowej. Tym samym pan de Guermantes, nawet kiedy chciał mówić o szlachcie, mógł spłacać haracz małemu mieszczaństwu, które by powiedziało: „Kiedy się ktoś nazywa książę de Guermantes”, podczas gdy intelektualista, jakiś Swann, jakiś Legrandin nie powiedzieliby tego. Książę może pisać powieści godne sklepikarza, nawet gdy bierze wielki świat za temat; pergaminy nie są tu żadną pomocą, a epitet „arystokratyczny” mogą zdobyć pisma jakiegos plebejusza. Kto to był, w danym wypadku, ów łyk, z którego ust pan de Guermantes słyszał: „Kiedy się ktoś nazywa...”, o tym z pewnością książę nie miał pojęcia. Ale innym prawem języka jest, że od czasu do czasu, tak jak się zjawiają i znikają pewne choroby, o których nie słyszy się już później, tak samo rodzą się, nie wiadomo jak — samoistnie, czy przez przypadek, podobny temu, który przenosi do Francji chwast z Ameryki przez nasienie uczonego pledu jakiegos podróżnego i zawiane na skarpe kolejową — całe światy wyrażen, powtarzanych w tej samej dekadzie przez ludzi, którzy się nie umówili w tym celu. Tak na przykład pewnego roku słyszałem Blocha mówiącego o samym sobie: „Skoro osoby najbardziej urocze, najświetniejsze, najlepiej postawione, najwybredniejsze, spostrzegły się, że istnieje tylko jeden człowiek, który się im wydał inteligentny, miły, bez którego nie mogą się obejść, a mianowicie niejaki Bloch”; i to samo zdanie słyszałem w ustach wielu innych młodych ludzi, którzy go nie znali i którzy zastępowali jedynie nazwisko „Bloch” swoim własnym; otóż tak samo miałem często słyszeć owo: „Kiedy się ktoś nazywa”.

— Cóż chcecie — ciągnął książę — wobec ducha, jaki tam panuje, to dość zrozumiałe.

— To zwłaszcza komiczne — odparła księżna — zważywszy poglądy jego matki, która nas piłuje swoją Patrie Française³¹⁹ od rana do wieczora.

— Tak, ale tu jest nie tylko jego matka, nie trzeba nam zawracać głowy matką. Jest tam dziewucha, lafirynda najgorszego rodzaju, która ma na niego więcej wpływu i która właśnie jest rodaczką imć Dreyfusa. Ona zaraziła Roberta swoim duchem.

— Nie wie może książę, że istnieje nowe słowo na wyrażenie tego rodzaju ducha — rzekł archiwista, będący sekretarzem komitetów antyrewizjonistycznych. — Mówi się „mentalność”. To znaczy ściśle to samo, ale przynajmniej nikt nie wie, co to ma znaczyć. To jest szczyt finezji; jak się to mówi, „ostatni krzyk”.

Równocześnie archiwista, usłyszawszy nazwisko Blocha, z niepokojem obserwował jego rozmowę z panem de Norpois, co znów obudziło niepokój odmiennego rodzaju, ale równie mocny u margrabiny. Drżąc przed archiwistą i udając przed nim antydreyfusistkę,

³¹⁸balotować (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek; zbalotować: odrzucić lub wyrzucić w wyniku tajnego głosowania. [przypis edytorski]

³¹⁹Ligue de la patrie française (fr.) — Liga Ojczyzny Francuskiej, francuska organizacja polityczna o charakterze nacjonalistycznym, zał. w 1898, w okresie sprawy Dreyfusa, w odpowiedzi na utworzenie przez intelektualistów lewicy Ligi Praw Człowieka; oficjalnie rozwiązana w 1904. [przypis edytorski]

bała się jego wymówek, o ile ów sobie zda sprawę, że ona wpuściła do domu Żyda mniej lub więcej związanego z „syndykatem”.

— A, „mentalność”, muszę to zapisać, podam to dalej — rzekł książę. (To nie była przenośnia: książę miał notesik pełen cytatów, które przeglądał przed wielkimi obiadami). — Mentalność udała mi się. Są takie nowe słowa, które ktoś puszcza w kurs, ale które nie trwają długo. Niedawno czytałem w tym rodzaju o jakimś pisarzu, że jest „kongenialny”. Zrozum, kto mądry. Później nie spotkałem już tego.

— Ale „mentalność” jest bardziej rozpowszechniona niż „kongenialny” — rzekł historyk Frondy, aby się wmieszać do rozmowy. — Jestem członkiem komisji w ministerstwie oświaty, gdzie słyszałem to słowo kilka razy, toż samo w moim klubie, w klubie „Volney”, a nawet na obiedzie u pana Emila Ollivier³²⁰.

— Ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — odparł książę z udaną pokorą, ale z pychą tak głęboką, że usta jego nie mogły się wstrzymać od uśmiechu, a oczy od okrężnego błysku radości, pod którego ironią zarumienił się biedny historyk — ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — podjął, pieszcząc się własnymi słowami — ani do klubu „Volney” (należę tylko do „Union” i do „Jockey”), pan nie należy do „Jockey”, proszę pana? — spytał historyka, który, rumieniąc się jeszcze bardziej, przeczuwając impertynencję i nie rozumiejąc jej, zaczął drżeć na całym ciele. — Ja, który nie bywam nawet na obiadach pana Emila Ollivier, wyznaję, że nie znałem słowa „mentalność”. Jestem pewien, że i ty, Argencourt, jesteś w moim położeniu... Wiecie, czemu nie można zaprodukować dowodów winy Dreyfusa? Zdaje się dlatego, że on jest kochankiem żony ministra wojny. Mówi się o tym po cichu.

— A, myślałem, że żony premiera — rzekł pan d’Argencourt.

— Jesteście równie nudni jedni jak drudzy z tą całą sprawą — rzekła księżna de Guermantes, która na gruncie towarzyskim zawsze starała się okazać, że nie podlega niczym wpływom. — Ta rzecz nie może mieć dla mnie znaczenia z punktu widzenia Żydów z tej dobrej racji, że nigdy nie było ich między moimi znajomymi i mam nadzieję pozostać zawsze w tej błogiej nieznanomości. Ale z drugiej strony, wydaje mi się nieznośne, aby Maria Aynardowa lub Wiktoryna narzucały nam całą kupę pań Durand lub Dubois, których nie bylibyśmy nigdy znali, pod tym pretekstem, że są dobrze myślące, że nic nie kupują u Żydów lub że mają wypisane „śmierć Żydom” na parasolce. Byłam u Marii przedwczoraj. Dawniej było tam uroczko. Teraz zastaje się wszystkie osoby, których się unikało całe życie, pod pozorem, że są przeciw Dreyfusowi; i inne, o których się w ogóle nie wie, kto to taki.

— Nie, żony ministra wojny. Tak przynajmniej opowiadają w alkowach — odparł książę, używający czasem w rozmowie pewnych wyrażen, które wydawały mu się *ancien régime*³²¹. — W każdym razie, osobiście, wiadomo jest, że ja mam poglądy wręcz przeciwne niż mój kuzyn Gilbert. Ja nie jestem feudał, jak on; spacerowałbym pod rękę z Murzynem, gdyby Murzyn był moim przyjacielem, i tyle bym się troszczył o opinię plebsu, co o zeszłoroczny śnieg; ale ostatecznie, mimo wszystko, przyznacie mi, że kiedy się ktoś nazywa Saint-Loup, nie wolno mu się bawić w prowokowanie całego świata, który, jak mówi przysłowie, ma więcej rozumu od Woltera³²², a nawet od mego siostrzeńca. A zwłaszcza nie puszcza się człowiek na to, co bym nazwał akrobatyką sentymentalną, na tydzień przed balotem w klubie. To już jest przesada! I to z pewnością jego lafirynda napompuwała go w ten sposób. Wmówiła w Roberta, że to go postawi jako „intelektualistę”. Intelektualizm to jest molierowskie³²³ „ciastko ze śmietaną” tych panów. Zresztą dało to już powód do kalamburów, dość zabawnych, ale bardzo złośliwych.

I książę zacytował po cichu księżnej i panu d’Argencourt „*Mater Semita*”, które w istocie już krążyło w Jockey Clubie, bo ze wszystkich wędrownych nasion żarcik posia-

Żyd, Antysemityzm,
Pozycja społeczna, Obyczaje

Śmiech, Słowo

³²⁰ Ollivier, Émile (1825–1913) — francuski polityk i historyk; premier (1869–1870). [przypis edytorski]

³²¹ *ancien régime* (fr.) — stare rządy; określenie systemu polityczno-społecznego Francji funkcjonującego przed rewolucją 1789. [przypis edytorski]

³²² Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

³²³ Molière, właśc. Jean Baptiste Poquelin (1622–1673) — aktor i najwybitniejszy komediopisarz francuski; molierowskie „ciastko ze śmietaną”: określenie z komedii Moliera *Szkola żon* (akt I, scena I), krytykowane w jego czasach jako trywialne, zostało następnie w odpowiedzi celowo użyte przez autora w *Krytyce szkoły żon* jako nonsensownie powtarzane słowa postaci markiza. [przypis edytorski]

da najmocniejsze skrzydła, pozwalające mu się zasiać na największą odległość od miejsca pochodzenia.

— Moglibyśmy spytać o wyjaśnienia pana, który robi wrażenie „wielkiej erudyty³²⁴” — rzekł książę, wskazując historyka. — Ale lepiej nie mówić o tym, zwłaszcza iż fakt jest absolutnie fałszywy. Nie jestem tak ambitny jak moja kuzynka Mirepois, która twierdzi, że może śledzić filiacje swego domu przed Chrystusem aż do pokolenia Lewi³²⁵ i podejmuje się dowieść, że nigdy nie było ani kropli krwi żydowskiej w naszej rodzinie. Ale ostatecznie nie trzeba nas zanadto wodzić na pokuszenie, i to jest pewne, że uroczę poglądy mego siostrzeńca muszą robić sporo hałasu w naszej Pipidówce. Zwłaszcza że Fezensac jest chory, zatem Duras będzie prowadził wszystko, a wiecie, jaki on jest mąciwoda.

Bloch starał się przyprzeć do muru pana de Norpois w przedmiocie pułkownika Picquart.

— Nie ulega wątpliwości — odparł pan de Norpois — że jego zeznanie było potrzebne. Wiem, że taki pogląd każe rozedrzeć szaty niejednemu z moich kolegów, ale, na mój rozum, rząd miał obowiązek pozwolić mówić pułkownikowi. Nie wychodzi się z takiego impasu zwykłym piruetem lub ryzykuje się wówczas, że się wpadnie w błoto. Co do samego pułkownika, zeznania jego wywarły na pierwszej rozprawie jak najlepsze wrażenie. Kiedy się pokazał, zgrabny, w swoim uniformie szaserów³²⁶; kiedy doskonale prostym i szczerym tonem opowiadał, co widział, w co wierzył; kiedy powiedział: „Na mój żołnierski honor (tu głos pana de Norpois zadrgał lekkim patriotycznym tremolo³²⁷) takie jest moje przekonanie”, wówczas, nie da się zaprzeczyć, wrażenie było głębokie.

„Jest za Dreyfusem, nie ma cienia wątpliwości” — pomyślał Bloch.

— Ale co odjęło Picquartowi całkowicie sympatie, jakie umiał sobie pozyskać zrazu, to jego konfrontacja z archiwistą Gribelin. Kiedy usłyszano tego starego sługę, tego człowieka mającego tylko jedno słowo (tu pan de Norpois z energią szczerego przekonania podkreślił słowa, które nastąpiły); kiedy go usłyszano, kiedy ujrzano, jak patrzy swemu zwierzchnikowi w oczy, jak się nie lęka wytrzymać jego wzroku i oświadczyć mu tonem niedopuszczającym repliki: „Ech, panie pułkowniku, pan wie, że ja nigdy nie skłamałem; wie pan dobrze, że w tej chwili, jak zawsze, mówię prawdę”, wówczas wiatr się odwrócił; darmo w trakcie późniejszych rozpraw pan Picquart poruszał niebo i ziemię — zrobił kompletne fiasko.

„Nie, stanowczo jest przeciw Dreyfusowi, to murowane — powiedział sobie Bloch. — Ale jeżeli uważa Picquarta za zdrajcę, który kłamie, jak może liczyć się z jego rewelacjami i wspominać je tak, jakby był pod ich urokiem i wierzył w ich szczerłość? A przeciwnie, jeżeli widzi w nim męża sprawiedliwego, który czyni zadość swemu sumieniu, jak może sądzić, że on skłamał w momencie konfrontacji z Gribelinem?”

— W każdym razie, jeżeli ten Dreyfus jest niewinny — przerwała księżna — nie bardzo umie tego dowieść. Cóż za idiotyczne, emfaticzne³²⁸ listy on pisze ze swojej wyspy. Nie wiem, czy pan Esterhazy więcej jest wart od niego, ale ma grubo inny fason w swoim stylu, inny kolor. To nie musi być przyjemne dla stronników Dreyfusa. Co za nieszczęście dla nich, że nie mogą zmienić niewinnego.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Słyszała ciocia słówko Oriany? — spytał namiętnie książę pani de Villeparisis.

— Owszem, bardzo zabawne.

To nie wystarczyło księciu:

— A mnie się wcale nie wydaje zabawne — rzekł — lub raczej jest mi to obojętne, czy jest zabawne, czy nie. Nie przywiązuję żadnej wagi do dowcipu.

Pan d'Argencourt protestował.

³²⁴erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową; rzecz. rodzaju męskiego. [przypis edytorski]

³²⁵Lewi — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, syn patriarchy Jakuba; jego potomkowie, plemię Lewitów, tworzyli w społeczeństwie żydowskim osobną grupę kapłanów, naczelnikiem rodu był każdorazowy arcykapłan. [przypis edytorski]

³²⁶szaserzy (z fr. *chasseur*: strzelec, myśliwy) — typ piechoty, a następnie lekkiej kawalerii, istniejący w armii francuskiej od poł. XVIII w. [przypis edytorski]

³²⁷tremolo (muz., z wł.: drżenie) — wydobywanie wielu dźwięków o tej samej wysokości, wykonywane przez drżące ruchy smyczka, szybkie i częste szarpanie struny itp. [przypis edytorski]

³²⁸emfaticzny — nacechowany emfazą, przesadną uczuciowością w wypowiedzi. [przypis edytorski]

— On nie myśli ani słowa z tego co mówi — szepnęła księżna.

— To z pewnością dla tego, że byłem posłem do Izby; nasłuchałem się tam świetnych przemówień, które nie znaczyły nic. Nauczyłem się tam cenić zwłaszcza logikę. Zapewne temu zawdzięczam, że mnie nie wybrano ponownie. Rzeczy dowcipne są mi obojętne.

— Błażeju, nie rób pana Prudhomme³²⁹, moje kochanie, wiesz dobrze, że nikt tak nie ceni dowcipu jak ty.

— Pozwól mi skończyć. Właśnie dlatego, że jestem niewrażliwy na pewien gatunek konceptów, cenię często dowcip mojej żony. Bo wychodzi najczęściej z trafnej obserwacji. Ona rozumuje jak mężczyzna, a formułuje myśli jak pisarz.

Powodem, że pan de Norpois mówił do Blocha tak, jakby byli obaj jednego zdania, było może to, że ambasador był tak dalece antydreyfusistą, iż uważając, że rząd jest nim nie dosyć, był przeciwnikiem rządu tyleż co dreyfusiści. Może to, że cel, jaki widział w polityce, był czymś głębszym, leżącym na innej płaszczyźnie, skąd dreyfusizm przedstawiał się jako szczegół bez wielkiego znaczenia, niewart zaprzętać patrioty, pochłoniętego wielką polityką zagraniczną. Może raczej to, że maksymy jego mądrości politycznej, sprowadzając się do kwestii formy, procedury, sposobności, były równie niezdolne do rozwiązania zasadniczych kwestii, jak w filozofii czysta logika niezdolna jest rozwiązać kwestii istnienia, lub że ta właśnie mądrość sprawiała, iż uważał za niebezpieczne dyskutować te zagadnienia i przez ostrożność wolał mówić jedynie o ubocznych szczegółach. Ale omyłką Blocha było przeświadczenie, że pan de Norpois, nawet gdyby był mniej ostrożny i mniejszy formalista, byłby mógł, gdyby chciał, powiedzieć mu prawdę co do roli pułkownika Henry, Picquarta, Paty de Clama i co do wszystkich punktów sprawy. Bloch nie wątpił, że pan de Norpois wie prawdę o tych wszystkich rzeczach. Jakżeby mógł jej nie znać, skoro zna ministrów? Zapewne Bloch sądził, iż prawdę polityczną mogą w przybliżeniu odgadnąć najbystrzejsze mózgi; ale wyobrażał sobie, jak większość obywateli, że ona zawsze mieszka, niewątpliwa i materialna, w tajnym dossier prezydenta Republiki i premiera, którzy udzielają jej ministrom. Otóż nawet kiedy prawda polityczna zawiera dokumenty, rzadko się zdarza, aby one miały większą wartość niż rentgenowska klisza pacjenta. Ogół sądzi, że choroba wypisana jest na niej wszystkimi głoskami, gdy w istocie klisza ta dostarcza jednego z elementów, który, obok wielu innych, stanie się substratem wniosków lekarza i przesłanką jego diagnozy. Toteż prawda polityczna, kiedy się zbliżamy do ludzi poinformowanych i kiedy nam się zdaje, że już ją chwytamy, wymyka się. Nawet później — aby pozostać przy sprawie Dreyfusa — kiedy się zdarzył fakt tak jaskrawy, jak zeznania pułkownika Henry i w następstwie jego samobójstwo, fakt ten interpretowali natychmiast w przeciwny sposób ministrowie dreyfusiści, a przeciwnie Cavaignac i Cuignet³³⁰, którzy sami odkryli fałszerstwo i poprowadzili śledztwo; co więcej, nawet pośród ministrów dreyfusistów, i to tej samej barwy, sądzących nie tylko na zasadzie tych samych aktów, ale w tym samym duchu, rola pułkownika Henry spotkała się z wykładem całkowicie sprzecznym, przy czym jedni widzieli w nim współnika Esterhazego, drudzy przeciwnie wyznaczali tę rolę Paty de Clamowi, dzielając niejako tezę swego przeciwnika Cuignet, a będąc w zupełnej sprzeczności ze swoim stronnikiem Reinachem.

Bloch mógł wydobyć z pana de Norpois tylko tyle, że, jeżeli prawdą jest, iż szef sztabu generalnego, de Boisdeffre, udzielił tajnej informacji panu Rochefort, fakt ten byłby niewątpliwie czymś bardzo godnym ubolewania.

— Niech pan będzie przeświadczony, że minister wojny musiał, *in petto*³³¹ przynajmniej, ślać swojego szefa sztabu generalnego do wszystkich bogów piekieł. Oficjalne *dementi*³³² nie byłoby moim zdaniem pleonazmem. Ale minister wojny wyraża się bardzo

³²⁹pan Prudhomme — postać z satyrycznych rysunków i utworów komediowych Henryka Monnier, symbol głupoty francuskiego mieszczaństwa. [przypis edytorski]

³³⁰Cavaignac i Cuignet — francuski minister wojny (1898) Godefroy Cavaignac (1853–1905), który przekazał Zgromadzeniu Narodowemu dokumenty obciążające Dreyfusa, oraz kapitan Louis Cuignet (185–1936), który odkrył, że kluczowy dokument został sfalszowany przez pułkownika Henry'ego, który przyznał się do przestępstwa, gdy został przesłuchany przez Cavaignaca; Cavaignac zrezygnował ze stanowiska, ale nadal głosił o winie Dreyfusa i dołączył do grupy nacjonalistów w parlamencie, której został jednym z liderów. [przypis edytorski]

³³¹*in petto* (wl.) — w głębi duszy. [przypis edytorski]

³³²*dementi* (fr.) — oficjalne zaprzeczenie prawdziwości jakiejś informacji. [przypis edytorski]

jaszkrawo o tym *inter pocula*³³³. Bywają zresztą przedmioty, w związku z którymi bardzo jest nieostrożnie stwarzać ruch niepodobny później do opanowania.

— Ale wszystkie te dokumenty są najoczywściej fałszywe — rzekł Bloch.

Pan de Norpois nie odpowiedział, ale oświadczył, że nie pochwała manifestacji księcia Henryka Orleańskiego³³⁴.

— Zresztą mogą one tylko zmacić pogodę trybunałów i rozpętać ruchy, które tak w jednym, jak w drugim kierunku, byłyby godne ubolewania. Niewątpliwie trzeba zawołać: wara! zakusom antymilitarystycznym, ale również nic nam po swarach podsycanych przez te elementy prawicowe, które, zamiast służyć idei patriotycznej, starają się ją wyzyskać dla siebie. Francja, Bogu dzięki, nie jest Meksykiem i nie tęskni do generała z *pronunciamento*³³⁵.

Bloch nie zdołał wydobyć z pana de Norpois opinii o winie Dreyfusa ani prognozy co do sądu mającego wyrokować w sprawie cywilnej będącej właśnie w toku. W zamian za to pan de Norpois z widoczną przyjemnością udzielił mu wyjaśnień co do następstw tego wyroku.

— Jeżeli będzie skazujący — rzekł ambasador — będzie prawdopodobnie skasowany, bo w procesie, gdzie zeznania świadków są tak liczne, rzadko się zdarza, aby nie zaszły uchybienia formalne, które adwokaci mogą zaczepić. Co się tyczy wybryku księcia Henryka, bardzo wątpię, aby przypadł do smaku jego ojcu.

— Myśli pan, że Chartres³³⁶ jest za Dreyfusem? — spytała księżna z uśmiechem, ale tonem zgorznienia, z oczami szeroko otwartymi, z zaczerwienioną twarzą, z nosem w talerzu z ciasteczkami.

— Bynajmniej; chciałem tylko powiedzieć, że istnieje w całej tej rodzinie zmysł polityczny, którego *nec plus ultra*³³⁷ można było stwierdzić u godnej podziwu księżnej Klementyny³³⁸, a który jej syn, książę Ferdynand³³⁹, zachował jako szacowne dziedzictwo. To pewne, książę Bułgarii nie byłby uściskał majora Esterhazy!

— Wolałby prostego żołnierza — szepnęła pani de Guermantes, która często jadła obiad z owym Bułgarem u księcia de Joinville i która odpowiedziała mu raz, kiedy pytał, czy jest zazdrosna: „Owszem, o bransoletki waszej książęcej mości”.

— Czy nie idzie pani dziś na bal do Saganów? — spytał pan de Norpois pani de Villeparisis, aby przeciąć rozmowę z Blochem. Poza tym Bloch dosyć spodobał się ambasadorowi, który powiedział później, nie bez naiwności i zapewne z powodu niejakich śladów maniery (mimo iż porzuconej) neohomeryckiej, pozostałych w języku Blocha: „Dosyć zabawny jest z tym swoim stylem trochę przestarzałym, trochę uroczystym. Mało brak, aby powiedział: »Cne siostry«, jak Lamartine albo Jean-Baptiste Rousseau³⁴⁰. To jest dość rzadkie u dzisiejszej młodzieży, a nawet było rzadkie w poprzedniej generacji. My byliśmy raczej trochę romantyczni”. Ale mimo iż partner wydał mu się dość osobliwy, pan de Norpois uznał, że rozmowa trwała aż nazbyt długo.

— Nie, drogi panie, nie chodzę już na bale — odparła pani de Villeparisis z ładnym uśmiechem starej kobiety. — A wy idziecie? To w sam raz na wasze lata — dodała, obejmując wspólnym spojrzeniem pana de Châtellerault, jego przyjaciela i Blocha. Mnie także zaproszono — rzekła, udając dla żartu, że się tym pyszni. — Zaproszono mnie nawet osobiście („Zaproszono” to znaczyło: księżna de Sagan).

³³³*inter pocula* (łac.) — dosł. między kubkami; w trakcie spotkania przy alkoholu. [przypis edytorski]

³³⁴Henryk Orleański (1867–1901) — francuski książę, syn Roberta Orleańskiego, księcia Chartres, oraz księżniczki Franciszki Orleańskiej; przekonany o winie Dreyfusa, publicznie pogratulował Esterhazemu po jego niewinnieniu w lutym 1898. [przypis edytorski]

³³⁵*pronunciamento* (hiszp. dosł.: oświadczenie) — rodzaj wojskowego buntu a. zamachu stanu, który zaczyna się od publicznej deklaracji wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi dokonanej przez grupę spiskowców oczekujących następnie na poparcie reszty sił zbrojnych; *pronunciamento* było charakterystyczne dla Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej, szczególnie w XIX w. [przypis edytorski]

³³⁶Robert Orleański, książę Chartres (1840–1910) — francuski arystokrata, syn Ferdynanda Filipa Orleańskiego, młodszy brat Filipa, księcia Paryża pretendenta do tronu Francji. [przypis edytorski]

³³⁷*nec plus ultra* a. *non plus ultra* (łac.) — nic ponad to; kraniec; szczyt doskonałości. [przypis edytorski]

³³⁸Klementyna Orleańska (1817–1907) — księżniczka francuska, księżna Saksonii, córka Ludwika Filipa I, króla Francuzów. [przypis edytorski]

³³⁹Ferdynand I Koburg (1861–1948) — książę Bułgarii (od 1887), następnie car Bułgarów (1908–1918), syn Augusta Koburga (1818–1881), brata króla Portugalii Ferdynanda II, oraz Klementyny Orleańskiej (1817–1907). [przypis edytorski]

³⁴⁰Rousseau, Jean-Baptiste (1670–1741) — francuski dramaturg i poeta. [przypis edytorski]

— Ja nie mam zaproszenia — rzekł Bloch, myśląc że pani de Villeparisis ofiaruje mu się wystarać o nie i że pani de Sagan będzie szczęśliwa powitać u siebie przyjaciela kobiety, którą była zaprosić osobiście.

Margrabina nie odpowiedziała nic, a Bloch nie poruszał już tego tematu, bo miał z nią poważniejszą sprawę do obrobienia, w którym to celu zaprosił się na pojutrze. Usłyszawszy mianowicie, jak dwaj młodzi panicze mówią, że się podali do dymisji z klubu przy ulicy Royale, gdzie wpuszczają byle kogo, Bloch chciał prosić pani de Villeparisis, aby mu tam wyrobiła przyjęcie.

— Ci Sagan, nieprawdaż, to szczyt fałszywej elegancji, straszne snoby? — rzekł sarkastycznie.

— Ależ nie, to jest to, co mamy najlepszego na składzie w tym rodzaju — odparł pan d'Argencourt, który przyswoił sobie wszystkie paryskie koncepty.

— Zatem — rzekł Bloch na wół ironicznie — to jest to, co się nazywa „uroczystość”, wielkie światowe wydarzenie sezonu.

Pani de Villeparisis rzekła wesoło do pani de Guermantes:

— Powiedz, czy to taka światowa uroczystość: bal u pani de Sagan?

— Nie mnie trzeba o to pytać — odparła ironicznie księżna — nie doszłam jeszcze do zgłębienia tego, co to jest światowa uroczystość. Zresztą rzeczy światowe to nie jest moja specjalność.

— A! ja myślałem przeciwnie — rzekł Bloch, który wyobrażał sobie, że pani de Guermantes mówi serio.

Ku wielkiej rozpaczy pana de Norpois Bloch zadawał mu dalej mnóstwo pytań w kwestii oficerów, których nazwiska powtarzały się najczęściej w sprawie Dreyfusa. Ambasadador oświadczył mu, że „na oko” pułkownik du Paty de Clam robi na nim wrażenie trochę mętnej głowy i że nie był może najszczęśliwiej wybrany do prowadzenia śledztwa w tej delikatnej sprawie, wymagającej tyle zimnej krwi i tyle taktu.

— Wiem, że partia socjalistyczna domaga się jego skalpu, zarówno jak natychmiastowego wypuszczenia na wolność jeńca z Diabelskiej Wyspy³⁴¹. Ale ja sądzę, że nie jesteście jeszcze w tym położeniu, abyśmy mieli słuchać dyktatu panów Gérault-Richard *et consortes*³⁴². Dotychczas cała ta sprawa to butla atramentu. Nie powiadam, aby tak z jednej, jak z drugiej strony nie było do ukrycia dosyć szpetnych paskudztw. Nie twierdzę nawet, aby niektórzy mniej lub więcej bezinteresowni protektorzy pańskiego klienta nie mogli mieć dobrych intencji; ale wiadomo panu, że piekło jest nimi wybrukowane — dodał ambasador ze sprytnym spojrzaniem. — Zasadniczą rzeczą jest, aby rząd sprawiał wrażenie, że nie jest w rękach lewicowych frakcji i że nie musi się poddać ze związanymi rękami i nogami pogróżkom jakiejś wątpliwej armii pretorianów³⁴³, która, niech mi pan wierzy, nie jest armią. Rozumie się samo przez się, że gdyby wyszedł na jaw nowy fakt, przystąpiono by do rewizji. Oczywiście tego bije w oczy. Domagać się tego znaczy wyważać otwarte drzwi. W owym dniu rząd potrafi przemówić jasno i głośno lub też zapanłby się tego, co jest jego zasadniczym przywilejem. Kalambury nie wystarczą. Trzeba będzie dać sędziów Dreyfusowi. I to nie będzie rzeczą trudną, bo mimo iż przyzwyczajono się w naszej pięknej Francji, tak chętnej do oczerniania samej siebie, wierzyć lub pozwalać wierzyć, iż aby usłyszeć słowa prawdy i sprawiedliwości, nieodzowne jest przebyć kanał la Manche, co bardzo często jest okrężną drogą wiodącą nad Sprewę, sędziowie są nie tylko w Berlinie. Ale, skoro raz akcja rządu się wyłoni, czy potrafcie być rządowi posłuszni? Kiedy was wezwie, abyście dopełnili obywatelskiego obowiązku, czy potrafcie go usłuchać, czy skupicie się dokoła niego? Czy na jego patriotyczny apel potrafcie nie pozostać głusi i odpowiedzieć: „Jestem!”?

Pan de Norpois zadawał te pytania Blochowi z gwałtownością, która onieśmielając mojego kolegę, pochlebiała mu zarazem; ambasador bowiem robił wrażenie, że zwraca

³⁴¹*Diabelska Wyspa* — francuska kolonia karna u wybrzeży Ameryki Południowej, w Gujanie Francuskiej. [przypis edytorski]

³⁴²*et consortes* (łac.) — i towarzysze; i współnicy. [przypis edytorski]

³⁴³*pretorianie* — straż przyboczna cesarza rzymskiego; znani ze swoich intryg pałacowych, wywierali wpływ na politykę cesarską, wielokrotnie sami decydowali, kto zostanie kolejnym cesarzem, często najpierw uśmiercając poprzedniego; formacja rozwiązana przez Konstantyna Wielkiego w 312. [przypis edytorski]

się w jego osobie do całego stronnictwa, że zadaje Blochowi pytania tak, jakby ów był piastunem sekretów partii i mógł przyjąć odpowiedzialność za decyzje, które zapadną.

— Gdybyście nie złożyli oręża — ciągnął pan de Norpois, nie czekając kolektywnej odpowiedzi Blocha — gdybyście, nim jeszcze obeschnie dekret zarządzający rewizję procesu, posłuszni jakiemuś zdradzieckiemu hasłu, nie złożyli broni, ale zaciekli się w jałowej opozycji, która wydaje się niektórym *ultima ratio*³⁴⁴ polityki, gdybyście się cofnęli do swego namiotu³⁴⁵ i spalili okręty, byłoby to z waszą wielką szkodą. Czy jesteście więźniami siewców rozkładu? Czyście się im zaprzędali?

Bloch był w kłopotcie, co odpowiedzieć; ale pan de Norpois nie zostawił mu na to czasu:

— Jeżeli, przypuścimy to, prawda jest w przeciwnym obozie; jeżeli posiadacie trochę tego, czego, niestety, jak widzę, brakuje niektórym z waszych wodzów i przyjaciół, jakiegoś zmysłu politycznego, wówczas w tym samym dniu, w którym wyrok sądu zostanie zakwestionowany, o ile się nie dacie przywieść na hak ludziom łowiącym ryby w mętnej wodzie, zdobyliście twierdzą. Nie ręczę, czy cały sztab generalny zdoła wyjść z tego cało, ale to jest już dość pięknie, jeżeli bodaj część zdoła ocalić głowę, nie podkładając ognia pod prochy i nie powodując katastrofy. Rozumie się zresztą samo przez się, że do rządu należy stanowić prawo i zamknąć zbyt długą listę nieukaranych zbrodni, oczywiście nie w drodze posłuchu podżeganiom socjalistów, czy jakiej bądź soldateski³⁴⁶ — dodał ambasador, patrząc Blochowi w oczy, może z owym właściwym wszystkim konserwatystom instynktem zabezpieczenia sobie względów w przeciwnym obozie. — Akcja rządowa musi iść swoim torem, bez troski o pokrzykiwania, skądkolwiek by pochodziły. Rząd nie jest, Bogu dzięki, ani pod rozkazami pułkownika Driant³⁴⁷, ani, na przeciwnym biegunie, pana Clemenceau³⁴⁸. Trzeba przygiąć karku zawodowym agitatorom i nie dać im podnieść głowy. Francja w swojej ogromnej większości pragnie pracy i ładu! W tym względzie moje wyznanie wiary jest jasne. Ale nie trzeba się bać oświecić opinię; a jeżeli parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais³⁴⁹, rzuci się na łeb na szyję w wodę, godziłoby się pokazać im, że ta woda jest mętna, że ją zmacił rozmyślnie posiew obcego chowu, aby zasłonić niebezpieczne kulisy. I rząd nie powinien robić wrażenia, że porzuca swą bierność jakby pomimo woli, kiedy będzie wykonywał prawo będące zasadniczym jego prawem: mam na myśli prawo wprawienia w ruch ramienia Sprawiedliwości. Rząd przyjmie wszystkie wasze sugestie, panowie. Jeżeli stwierdzone zostanie, że zaszła omyłka sądowa, rząd będzie pewien przygniatającej większości, która mu pozwoli na rozmach w działaniu.

— Pan, proszę pana — rzekł Bloch, zwracając się do pana d'Argencourt, któremu wymieniono wraz ze wszystkimi jego nazwisko — pan jest z pewnością dreyfusistą; za granicą wszyscy są za Dreyfusem.

— To jest sprawa, która obchodzi tylko Francuzów, tylko ich, nieprawdaż? — odparł pan d'Argencourt z ową specjalną impertynencją, która polega na tym, aby używać partnerowi mniemania, którego on najoczywiściej nie podziela, skoro właśnie wyraził sąd przeciwny.

Bloch spiekł raka; pan d'Argencourt uśmiechnął się, patrząc dokoła siebie, a o ile ten uśmiech, podczas gdy go kierował na innych gości, był niezyciwy dla mego kolegi, zabarwił się serdecznością, spoczawszy w końcu na Blochu, aby mu odjąć pozór do obrazy za słowa, które mimo to pozostały okrutne. Pani de Guermantes szepnęła panu d'Argencourt coś, czego nie słyszałem, ale co się musiało odnosić do religii Blocha; bo

Obcy, Obyczaje

³⁴⁴*ultima ratio* (łac.) — ostatni argument, środek ostateczny. [przypis edytorski]

³⁴⁵*gdybyście się cofnęli do swego namiotu* — nawiązanie do postawy Achillesa w *Iliadzie*, który w geście sprzeciwu wobec naczelnego wodza Agamemnona pozostawał w swoim namiocie, nie biorąc udziału w walkach. [przypis edytorski]

³⁴⁶*soldateska* — pogardl.: niedyscyplinowane, nieokrzesane wojsko; rządy militarystów. [przypis edytorski]

³⁴⁷*Driant, Émile Augustin Cyprien* (1855–1916) — francuski pisarz, polityk i oficer; zięć nacjonalistycznego generała Boulanger'a, ministra wojny w latach 1886–1887. [przypis edytorski]

³⁴⁸*Clemenceau, Georges* (1841–1929) — francuski pisarz, lekarz i polityk; premier (1906–1909 i 1917–1920); w trakcie sprawy Dreyfusa był jednym z czołowych zwolenników rewizji procesu. [przypis edytorski]

³⁴⁹*Rabelais, François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*; *parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais*: odniesienie do fragmentu *Gargantui i Pantagruela* (IV 5–8), w którym Panurg mści się na kupcu: kupuje od niego najpiękniejszego barana, którego wrzuca do morza, a za baranem wskakuje całe stado kupca. [przypis edytorski]

w tej chwili po twarzy księżnej przebiegł ów wyraz, któremu strach, iż dotycząca osoba mogła coś spostrzec, daje coś niepewnego i fałszywego, z domieszką owej ciekawej i złośliwej wesołości, jaką budzi grupa ludzka zasadniczo nam obca.

Aby się odegrać, Bloch zwrócił się do księcia de Châtellerault:

— Pan, proszę pana, jakkolwiek Francuz, wie pan z pewnością, że zagranica jest za Dreyfusem, mimo iż twierdzą, że we Francji nie wie się nigdy, co się dzieje za granicą. Zresztą wiem, że z panem można się dogadać. Saint-Loup mówił mi to.

Ale młody książę widział, że wszyscy zgodnie są przeciw Blochowi; tchórzliwy, jak często ludzie bywają w „świecie”, obdarzony zresztą ciętym dowcipem, jak gdyby przejętym atawistycznie od pana de Charlus, rzekł:

— Daruje pan, że nie będę z nim dysputował o Dreyfusie, ale mam za zasadę mówić o tej sprawie jedynie z potomkami Jafeta³⁵⁰.

Wszyscy się uśmiechnęli, z wyjątkiem Blocha, mimo iż często zdarzało mu się wygłaszać ironiczne aluzje do swego semickiego pochodzenia, co do swojej genealogii wiodącej do stóp góry Synaj. Ale w miejsce jednego z tych powiedzeń, które widocznie nie były gotowe, sprężyna jego duchowej maszyny sprowadziła na usta Blocha inne słowa. I dosłyszano tylko to: „Ale skąd pan może wiedzieć? Kto panu powiedział?”, tak jak gdyby był synem zbrodniarza. Z drugiej strony, zważywszy jego fizys³⁵¹ i jego nazwisko niemające nic szczególnie chrześcijańskiego, zdumienie jego trąciło pewną naiwnością.

Ponieważ deklaracja pana de Norpois nie zadowoliła Blocha całkowicie, zbliżył się do archiwisty i spytał, czy nie widuje się czasem u pani de Villeparisis pana du Paty de Clam³⁵² albo Józefa Reinach³⁵³. Archiwista nie odpowiedział; był nacjonalistą i nieustannie kładł w uszy margrabinie, że niebawem przyjdzie do wojny socjalnej i że powinna być ostrożniejsza w wyborze stosunków. Pomyślał, czy Bloch nie jest tajnym emisariuszem syndykatu, przybyłym celem wywiadu; toteż poszedł natychmiast powtórzyć pani de Villeparisis pytania Blocha. Margrabina uznała, że Bloch jest co najmniej źle wychowany, a może niebezpieczny dla sytuacji pana de Norpois. Chciała zarazem dać satysfakcję archiwście, jedynemu człowiekowi, którego się trochę bała i który katechizował ją bez wielkiego sukcesu (co rano czytał jej artykuł pana Judet w „Le Petit journal”). Pragnąc tedy okazać Blochowi, że nie ma po co wracać, znalazła na poczekaniu w swoim światowym repertuarze scenę, za pomocą której wielka dama ekspediuje kogoś za drzwi; scenę niewymagającą zgola rozkazująco wyciągniętej ręki ani płomiennych oczu, jakby to sobie można wyobrazić. Kiedy Bloch podszedł, aby się pożegnać, margrabina, zanurzona w wielkim fotelu, zaledwie że się ocknęła niby to z mimowolnej drzemki. Zamglone jej oczy miały słaby i uroczy blask perły. Pożegnanie Blocha, ledwie znacząc na twarzy margrabinę omdlewający uśmiech, nie wyrwało jej ani słowa; nie wyciągnęła doń ręki. Scena ta wprawiła Blocha w niesłychane zdumienie, ale ponieważ krąg stojących dokoła osób był jej świadkiem, nie sądził, aby ją mógł przeciągać bez ujmy dla siebie; aby wyrwać margrabinę z bierności, sam podał rękę, której ona nie kwapiła się podjąć. Pani de Villeparisis czuła się zgorzonna; ale zapewne, dając doraźną satysfakcję archiwście oraz obozowi antydreyfusistów, chciała jednak zabezpieczyć sobie przyszłość; poprzestała na spuszczeniu powiek i przymknięciu oczu.

— Zdaje się, że śpi — rzekł Bloch do archiwisty, który, czując poparcie margrabinę, przybrał wyraz oburzonej. — Moje uszanowanie pani — krzyknął Bloch.

Margrabina poruszyła lekko wargami, niby umierająca, która chciałaby otworzyć usta, ale już nie poznaje. Następnie odwróciła się, kipiąca odzyskanym życiem, ku margrabie-

³⁵⁰Jafet — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, jeden z synów Noego; trzej synowie Noego: Sem, Cham i Jafet, dali początek trzem grupom ludów, zamieszkujących trzy części świata i składających się na całą ludzkość; Jafet miał być przodkiem ludów indoeuropejskich, podczas gdy Sem przodkiem ludów semickich, w tym Żydów. [przypis edytorski]

³⁵¹fizys (z łac.) — twarz. [przypis edytorski]

³⁵²Paty de Clam, Armand du (1853–1916) — francuski oficer, amator-grafolog, jedna z kluczowych postaci w sprawie Dreyfusa; wskazał Alfreda Dreyfusa, jedynego Żyda w Sztabie Generalnym, jako głównego podejrzanego o szpiegostwo, stwierdził zgodność jego próbki pisma z obciążającym dokumentem; zastraszał pułkownika Picquarta, głównego demaskatora w tej sprawie; w *J'Accuse!*... został przez Zolę wskazany jako główny uczestnik spisku; w 1899 przed ponownym procesem Dreyfusa został aresztowany; po kilku miesiącach ulaskawiony w ramach amnestii dla wszystkich zaangażowanych w sprawę. [przypis edytorski]

³⁵³Reinach, Joseph (1856–1921) — francuski polityk, dziennikarz i pisarz niemiecko-żydowskiego pochodzenia; prowadził kampanię prasową w obronie Dreyfusa. [przypis edytorski]

mu d'Argencourt, podczas gdy Bloch oddalał się, przekonany, że ona jest „zramolą”. Ciekawość i chęć przeniknięcia tak dziwnego zdarzenia zaprowadziły go do margrabiny po kilku dniach. Przyjęła go bardzo uprzejmie, bo była dobra kobieta, bo archiwisty nie było, zależało jej na bluetce³⁵⁴, którą Bloch miał u niej wystawić, a wreszcie, bo odegrała już swoją scenę wielkiej damy, powszechnie podziwianą i komentowaną tego samego wieczora w różnych salonach, ale wedle wersji niemającej już nic wspólnego z prawdą.

— Mówiła pani o *Siedmiu księżniczkach*; wie księżna, czym zresztą nie mam powodu się pysznić, że autor tego... jak mam powiedzieć, tego „dowodu rzeczowego” jest moim ziomkiem — rzekł pan d'Argencourt z ironią niepozbawioną odcienia satysfakcji, iż zna lepiej od innych autora utworu będącego tematem rozmowy. — Tak, to jest z profesji Belg — dodał.

— Doprawdy? Nie, nie będziemy pana posądzali o to, aby pan miał jakikolwiek udział w tych *Siedmiu księżniczkach*. Szczęściem dla pana i dla pańskich ziomków, nie jest pan w niczym podobny do autora tej bzdury. Znam Belgów bardzo miłych: pan, pański król, trochę nieśmiały, ale pełen inteligencji, moi kuzynowie Ligne i wielu innych, ale na szczęście nie posługujecie się tym samym językiem, co autor *Siedmiu księżniczek*. Zresztą, jeżeli mam być szczerą, za dużo mówimy o tym, bo przede wszystkim to jest nic. To są ludzie, którzy starają się być mętni, a w potrzebie gotowi są być śmieszni, aby pokryć to, że mają pustkę w głowie. Gdyby w tym coś było, powiem panu, że ja się nie lękam niektórych śmiałości — dodała tonem serio — z chwilą, kiedy gdzieś jest myśl. Nie wiem, czy pan widział sztukę pana Borelli. Są ludzie, których to raziło; ja, gdyby mnie nawet miano ukamienować — dodała księżna, nie zdając sobie sprawy, że nie ryzykuje zbyt wiele — przyznając, że mi się to wydało nieskończenie ciekawe. Ale *Siedem księżniczek*! Daremnie jedna z nich darzy łaskami mego siostrzeńca, niepodobna mi posunąć tak daleko uczuć rodzinnych...

Księżna urwała, bo wchodząca właśnie dama to była wicehrabina de Marsantes, matka Roberta. Pani de Marsantes miała w Faubourg Saint-Germain opinię istoty wyższej, anielskiej rezygnacji i dobroci. Słyszałem o tym i nie miałem specjalnego powodu się dziwić, nie wiedząc wówczas, że to jest rodzona siostra księcia de Guermantes. Później dziwiło mnie zawsze, ilekroć się dowiedziałem w tym towarzystwie, że kobiety melancholijne, czyste, otoczone kultem, czczone na kształt idealnych świętych z witraża, wykwitły z tej samej genealogicznej gałęzi, co ich bracia, brutalni, rozwiązli i plugawi. Zdawało mi się, że bracia i siostry, kiedy są zupełnie podobni z twarzy (jak książę de Guermantes i pani de Marsantes), powinni by mieć jedną inteligencję, jedno serce, jak osoba, która może mieć dobre lub złe chwile, ale od której nie można się spodziewać szerokich widnokręgów, jeżeli jest ograniczona, ani wzniosłej abnegacji, jeżeli ma twarde serce.

Pani de Marsantes uczęszczała na wykłady Brunetière'a³⁵⁵. Budziła entuzjazm Faubourg Saint-Germain, budując zarazem salony życiem świętej. Ale morfologiczne powinowactwo ładnego nosa i przenikliwych oczu kazałyby ją jednakże zaliczyć do tej samej intelektualnej i moralnej rodziny co brata jej, księcia de Guermantes. Nie mogłem uwierzyć, iż sam fakt, że ktoś jest kobietą i może to, że ta kobieta była nieszczęśliwa i że ma za sobą sympatię opinii, mógł sprawić, aby ktoś był tak różny od swoich bliskich, niby w *Chansons de geste*³⁵⁶, gdzie wszystkie cnoty i wdzięki skupiają się w siostrze dzikich braci. Zdawało mi się, że natura, bardziej skrupowana od starych poetów, musi się posługiwać niemal wyłącznie składnikami wspólnymi całej rodzinie; nie umiałem przypisywać naturze takiej zdolności odnawiania się, aby z materiałów analogicznych do tych, co składały³⁵⁷ głupca i chama, stworzyła wielki umysł bez najmniejszej domieszki głupoty, świętą bez żadnej zmazy brutalności.

Pani de Marsantes miała białą jedwabną suknię w wielkie palmy, od których odcinały się czarne kwiaty. Przed trzema tygodniami straciła kuzyna, pana de Montmorency, co jej nie przeszkadzało robić wizyt i chodzić na mniejsze obiady, ale w żałobie. To była

³⁵⁴bluetka (z fr.) — bezpretensjonalny drobiazg muzyczny. [przypis edytorski]

³⁵⁵Brunetière, Ferdinand (1849–1906) — francuski krytyk i historyk literatury; członek Akademii Francuskiej (od 1893). [przypis edytorski]

³⁵⁶Chansons de geste — średniowieczne starofrancuskie poematy rycerskie, mówiące o przygodach historycznych i legendarnych bohaterów. [przypis edytorski]

³⁵⁷składać coś (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]

wielka dama. Przez atawizm dusza jej była wypełniona czczością egzystencji dworskich, ze wszystkim, co w nich jest powierzchownego i formalistycznego.

Pani de Marsantes nie miała siły długo oplakiwać ojca i matki, ale za nic na świecie nie włożyłaby nic kolorowego w ciągu miesiąca po śmierci kuzyna. Była dla mnie niezmiernie uprzejma, ponieważ byłem przyjacielem Roberta i ponieważ nie byłem z tego samego świata. Dobroci tej towarzyszyła udana nieśmiałość, objawiająca się chwilowym powściągnięciem głosu, spojrzenia, myśli, które kobieta ściąga ku sobie niby zbyt obfitą spódnicę, aby nie zabierać za wiele miejsca, aby zachować linię prostą — mimo iż giętką — jak żąda dobre wychowanie. Dobre wychowanie, którego nie trzeba zresztą brać dosłownie: wiele z tych dam osuwa się bardzo szybko w wyuzdanie, nie tracąc nigdy dziecinnej niemal poprawności manier. Pani de Marsantes była nieco drażniąca w rozmowie, bo za każdym razem, kiedy chodziło o kogoś „nieurodzonego”, jak na przykład Bergotte, Elstir, mówiła skandując słowa, podkreślając je i psalmodiując na dwa odmienne tony, z modulacją właściwą Guermantom: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt* spotkać pana Bergotte, poznać pana Elstir”; czy aby kazać podziwiać swoją pokorę, czy przez to samo upodobanie, jakie znajdował pan de Guermantos w antycznych formach, w proteście przeciw dzisiejszemu brakowi wychowania, nie dosyć posługującemu się słowem „zaszczycony”. Która bądź z tych dwóch racji była istotną, czuło się, iż kiedy pani de Marsantes mówi: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt*”, dama ta sądzi, iż spełnia wielką rolę, pokazuje, iż umie witać nazwiska ludzi wartościowych, tak jakby witała ich samych w swoim zamku, gdyby się znaleźli gdzieś w sąsiedztwie. Z drugiej strony, ponieważ miała liczną rodzinę i bardzo ją kochała, ponieważ powolna w dykcji, a lubiąca się w wyjaśnieniach, chciała wykladać gruntownie pokrewieństwa, co chwila cytowała (bez najmniejszej chęci popisu, szczerze lubiła mówić jedynie o wzruszających chłopach i o wzniosłych gajowych) wszystkie mediatyzowane³⁵⁸ rody Europy, czego mniej świetne od niej osoby nie mogły jej przebaczyć i — o ile były trochę intelektualne — drwiły z jej głupoty.

Na wsi ubóstwiano panią de Marsantes dla jej dobroczynności, ale zwłaszcza dlatego, że czystość jej krwi, w której od kilku pokoleń skupiało się jedynie to, co było największego w historii Francji, odejmowała jej wzięciu wszystko, co lud nazywa „fasonami”, dając mu zupełną prostotę. Nie lękała się uściskać biednej kobiety, która była w nędzy, i kazać jej przyjść po worek drzewa do zamku. Była to — powiadano — doskonała chrześcijanka. Pragnęła dla Roberta kolosalnie bogatego małżeństwa. Być wielką damą znaczy grać wielką damę; to znaczy, po części, grać prostotę. To jest gra, która kosztuje niezmiernie drogo; zwłaszcza że prostota czaruje jedynie pod tym warunkiem, żeby inni wiedzieli, iż ktoś mógłby nie być prosty, to znaczy, że jest bardzo bogaty. Mówiono mi potem, kiedy opowiedział, że widział panią de Marsantes: „Musiał pan sobie uprzytomnić, że ona była kiedyś czarująca”. Ale prawdziwa piękność jest tak swoista, tak nowa, że nie poznaje się jej jako piękności. Powiedziałem sobie jedynie tego dnia, że pani de Marsantes ma maleńki nosek, bardzo niebieskie oczy, długą szyję i smutny wyraz twarzy.

— Słuchaj — rzekła pani de Villeparisis do księżnej de Guermantos — sądzę, że za chwilę zjawi się tutaj kobieta, której nie masz ochoty poznać; wolę cię uprzedzić, żeby cię to nie zaskoczyło. Zresztą możesz być spokojna, nigdy nie przyjmę jej później, ale ma przyjść tylko jeden raz, dzisiaj. To żona Swanna.

Pani Swann, widząc proporcje, jakie przybierała sprawa Dreyfusa i bojąc się, aby pochodzenie męża nie obróciło się przeciwko niej, błagała go, aby nigdy już nie mówił o niewinności skazanego. Kiedy Swanna nie było, posuwała się dalej i głosiła *credo*³⁵⁹ najżarliwszego nacjonalizmu; naśladowała w tym zresztą panią Verdurin, w której mieszczański i skryty antysemityzm obudził się i doszedł do prawdziwego szału. Pani Swann zyskała na swojej postawie to, że weszła do paru antysemickich lig kobiecych, które zaczynały się tworzyć, oraz nawiązała stosunki z licznymi osobami z arystokracji. Może się wydać dziwne, że daleka od ich naśladowania księżna de Guermantos, tak zaprzyjaźniona ze Swannem, wytrwale opierała się jego nietajonej chęci przedstawienia jej swojej żony. Ale ujrzymy później, że to był skutek swoistego charakteru księżnej, która sądziła, że

³⁵⁸mediatyzowany (hist.) — pozbawiony praw udzielnych (w związku z wcieleniem księstwa do większego państwa). [przypis edytorski]

³⁵⁹credo (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

„nie musi” zrobić takiej a takiej rzeczy i narzucała despotycznie to, co zdecydowała jej światowa „wolna wola”, bardzo arbitralna.

— Dziękuję, że mnie ciocia uprzedziła — odparła księżna. — To by mi było w istocie bardzo przykre. Ale ponieważ ją znam z widzenia, zerwę się na czas.

— Zapewniam cię, Oriano, ona jest bardzo miła, to wyborna osoba — rzekła pani de Marsantes.

— Nie wątpię, ale nie czuję żadnej potrzeby sprawdzać tego osobiście.

— Czy jesteś zaproszona do lady Israel? — spytała pani de Villeparisis księżnej, aby odmienić rozmowę.

— Ależ, Bogu dzięki, ja jej nie znam — odparła pani de Guermantes. — To naszej Marii trzeba o to pytać. Ona ją zna, nigdy nie mogłam pojąć czemu.

— Znałam ją w istocie — odparła pani de Marsantes — wyznaję swoje błędy. Ale jestem zdecydowana jej już nie znać. Zdaje się, że to jedna z najgorszych, i nie kryje się z tym. Zresztą wszyscy byliśmy zbyt ufni, zbyt gościnni. Noga moja już nie postanie u nikogo z tej nacji. Zamykało się drzwi starym kuzynom z prowincji, ludziom tej samej krwi, a otwierało się je Żydom. Widzimy teraz, jak nam za to dziękują. Niestety, nie mam prawa nic mówić: mam czarującego syna, który, jak młody wartogłów³⁶⁰, wygłasza wszystkie możliwe niedorzeczności — dodała, słysząc, że pan d'Argencourt robi aluzję do Roberta. — Ale *à propos* Roberta, czy ty go nie widziałaś? — spytała, zwracając się do pani de Villeparisis — ponieważ to jest sobota, myślałam, że mógłby wpaść na dwadzieścia cztery godzin do Paryża i w takim razie zaszedłby cię z pewnością odwiedzić.

W rzeczywistości pani de Marsantes myślała, że jej syn nie dostał pozwolenia; że jednak w każdym razie wiedziała, iż gdyby je miał, nie zaszedłby do pani de Villeparisis, miała nadzieję, udając, iż wierzy, że by go tutaj zastała, zyskać mu przebaczenie u podejrzliwej ciotki za wszystkie wizyty, o które ją oszukał.

— Robert tutaj! Ależ ja nie miałam nawet słówka od niego; zdaje się, że go nie widziała od czasu Balbec.

— Jest taki zajęty, tyle ma do roboty — rzekła pani de Marsantes.

Niedostrzegalny uśmiech sfalował rzęsy pani de Guermantes; patrzyła na kółko, które końcem parasolki kreśliła na dywanie. Za każdym razem, kiedy książę zaniedbywał zbyt jawnie żonę, pani de Marsantes brała z rozgłosem stronę szwagierki przeciw bratu. Ta zachowywała jej opiekę we wdzięcznej i urażliwej pamięci i niezbyt się martwiła wybrykami Roberta. W tej chwili drzwi otworzyły się znowu i wszedł Robert.

— O, kiedy mowa o wilku... — rzekła pani de Guermantes, igrając z nazwiskiem Saint-Loup³⁶¹.

Pani de Marsantes, siedząc plecami do drzwi, nie widziała wchodzącego syna. Kiedy go spostrzegła, radość w tej matce zatrzepotała naprawdę jak skrzydło, ciało pani de Marsantes na wpół się uniosło, twarz jej zadrgała, wlepiła w Roberta zachwycone oczy:

— Jak to, przyszedłeś! Co za szczęście! Co za niespodzianka!

— A, kiedy mowa o wilku, rozumiem — rzekł dyplomata belgijski, śmiejąc się do rozpuku. — Saint-Loup.

— To rozkoszne — rzekła sucho pani de Guermantes, która nie cierpiała kalamburów i zaryzykowała ten, jedynie niby to kpiąc z samej siebie.

— Jak się masz, Robercie — rzekła — więc tak zapomina się o swojej ciotce.

Rozmawiali chwilę z sobą, i z pewnością o mnie, bo podczas gdy Saint-Loup zbliżał się do matki, pani de Guermantes obróciła się do mnie.

— Dzień dobry — rzekła — jak się pan ma.

Spuściła na mnie deszcz światła swego błękitnego spojrzenia, zawahała się chwilę, rozwinęła i wyciągnęła lodygę swego ramienia, pochyliła naprzód ciało, które wyprostowało się szybko wstecz, niby drzewko, które ktoś nagiął i które, zwolnione, wraca do naturalnej pozycji. Tak robiła pod ogniem spojrzeń Roberta, który ją obserwował i czynił na odległość rozpaczliwe wysiłki, aby uzyskać od ciotki jeszcze coś więcej. Bojąc się, aby rozmowa nie upadła, przyszedł ją podsycić i odpowiedział za mnie:

³⁶⁰wartogłów (daw.) — osoba lekkomyślna, niezbyt zrównoważona, lekkoduch. [przypis edytorski]

³⁶¹igrając z nazwiskiem Saint-Loup — we francuskim „Saint Loup” oznacza: święty Lupus (biskup Troyes z IV-V w.), jest także nazwą wielu miejscowości nazwanych na jego cześć we Francji; jako rzecz. pospolity słowo loup (łac. lupus) oznacza wilka. [przypis edytorski]

— Nie miewa się zbyt dobrze, jest trochę zmęczony; zresztą może by się miewał lepiej, gdyby cię częściej widywał, bo nie ukrywam ci, że lubi cię widzieć.

— A, ależ to bardzo uprzejmie! — rzekła pani de Guermantes tonem rozmyślnie banalnym, tak jakby jej przyniósł płaszcz. — Bardzo mi to pochlebia.

— Pójdę trochę usiąść koło matki, zostawiam ci swoje krzesło — rzekł Saint-Loup, zmuszając mnie w ten sposób, abym usiadł przy jego ciotce.

Zamilkliśmy oboje.

— Spotykam pana czasem rano — rzekła, jak gdyby mi oznajmiała nowinę i jakbym ja jej nie widział. — To bardzo dobre dla zdrowia.

— Oriano — rzekła półgłosem pani de Marsantes — mówiłaś, że idziesz do pani de Saint-Ferréol; czy byłabyś tak uprzejma powiedzieć jej, żeby mnie nie czekała z obiadem: zostanę w domu, skoro mam Roberta. Śmiem nawet prosić cię jeszcze o coś: powiedz, przechodząc, żeby kupiono tych cygar, które Robert lubi; to się nazywa „Corona”, nie ma ich już w domu.

Robert zbliżył się, usłyszał tylko nazwisko pani de Saint-Ferréol.

— Co to jest znowu takiego pani de Saint-Ferréol? — spytał tonem ostentacyjnego zdziwienia, przybrał bowiem manierę ignorowania wszystkiego, co tyczy „świata”.

— Ależ, kochanie, wiesz dobrze — rzekła matka — to siostra pana de Vermandois; to ona ci dała ten ładny bilardzik, który tak lubiłeś.

— Jak to, to jest siostra Vermandois, nie miałem o tym najlżejszego pojęcia. A, moja rodzina jest bajeczna — rzekł, na wpół obracając się do mnie i przejmując bezwiednie akcenty Blocha, jak przejmował jego myśli — zna ludzi niesłychanych, ludzi nazywających się co najmniej de Saint-Ferréol (wybijal ostatnią spółgłoskę każdego słowa), chodzi na bale, jeździ na spacer powozami, prowadzi fantastyczną egzystencję. Bajkowe.

Pani de Guermantes wydobyła z gardła ów lekki i silny dźwięk, niby wymuszony uśmiech, który się połyka, a który miał na celu okazanie, że w stopniu, w jakim pokrewieństwo ją do tego zmusza, bierze udział w dowcipie swego siostrzeńca.

W tej chwili lokaj oznajmił, że książę von Faffenheim-Münsterburg-Weinigen każe powiedzieć panu de Norpois, że przyszedł.

— Niech go pan wprowadzi — rzekła pani de Villeparisis do eks-ambasadora, który ruszył naprzeciw niemieckiego premiera.

Ale margrabina przywołała ambasadora:

— Niech pan zaczeka; czy mam mu pokazać miniaturę cesarzowej Szarlotty³⁶²?

— A, sądzę, że będzie zachwycony! — rzekł z przejęciem ambasador, tak jakby z zdrócił szczęśliwemu ministrowi łaski, która go czeka.

— Tak, wiem, że on jest bardzo „dobrze myślący” — rzekła pani de Marsantes — a to takie rzadkie u cudzoziemców. Ale ja mam informacje. To wcielony antysemityzm.

Nazwisko księcia von Faffenheim — w szczeroci, z jaką pierwsze sylaby były — jak się mówi w muzyce — atakowane, i w zająkłej repetycji, która je skandowała — zachowało rozmach, zmanierowaną naiwność, ciężkie finezje germańskie, rzucone niby zieleniące się gałęzie na ciemnobłękitną emalię zgłoski „Heim”, roztaczającą mistycyzm nadreńskiego witrażu, poza bladymi i subtelnie cyzelowanymi złoceniami niemieckiego XVIII wieku. Wśród różnych członów, które je składały, nazwisko to zawierało nazwę niemieckiego miasteczka kąpielowego, gdzie raz dzieckiem byłem z babką, u stóp góry szacownej przechadzki Goethego oraz winnic, z których piliśmy w Kurhofie szacowne wina o nazwach skomplikowanych i grzmiących jak epitety dawane przez Homera jego bohaterom. Toteż ledwie usłyszał nazwisko księcia, zanim sobie przypomniałem kąpielisko, wydało mi się ono zmniejszone, nasiąkłe ludzkością, mieszczące się swobodnie w małym zakątku mojej pamięci, do której przyłgnęło, poufale, przyziemne, malownicze, soczyste, lekkie, z dodatkiem czegoś jakby autoryzowanego, przepisowego. Co więcej, pan de Guermantes, tłumacząc, kim jest książę, wymienił kilka jego tytułów; wówczas poznałem wioskę przeciętą rzeką, gdzie co wieczór po skończonej kuracji puszczałem się łódką przez chmarę komarów; i nazwę lasu, na tyle odległego, aby mi lekarz zabronił tam chodzić na spacer. I w istocie zrozumiałe było, że zwierchnictwo

³⁶²Elżbieta Charlotta z Palatynatu (1652–1722) — niemiecka księżniczka Palatynatu Reńskiego, żona księcia Orleanu; opisywała zdarzenia i osoby z dworu Ludwika XIV w swoich listach do Niemiec. [przypis edytorski]

udzielnego pana rozciągało się na otaczające miejscowości i w wyliczaniu jego tytułów skupiło na nowo nazwy, które można było wyczytać jedne tuż koło drugich na mapie. Tak więc pod przyłbicą księcia Świętego Imperium³⁶³ i giermka Frankonii ujrzałem twarz ukochanej ziemi, gdzie często zatrzymywały się dla mnie promienie wieczornego słońca, któremu znów ujrzałem w tej chwili, przynajmniej zanim książe, ryngrabia i elektor Palatynatu wszedł do salonu. Bo dowiedziałem się w ciągu kilku chwil, że dochody jakie czerpie z lasu i z rzeki zaludnionej gnomami³⁶⁴ i ondynamami³⁶⁵, z zaczarowanej góry, gdzie wznosi się stary gród pamiętający Lutra³⁶⁶ i Ludwika Niemieckiego³⁶⁷, książe obraca na to, aby mieć pięć samochodów marki Charron, jeden pałac w Paryżu, a drugi w Londynie, abonowaną lożę (poniedziałki) w Operze, a drugą (wtorki) w Komedii Francuskiej. Nie wydawało mi się (i on sam nie zdawał się w to wierzyć), aby on się różnił od ludzi tego samego majątku i wieku o mniej poetycznym rodowodzie. Posiadał ich kulturę, ich ideały, cieszył się swoją pozycją, ale jedynie dla korzyści, jakie mu dawała, i miał w życiu już tylko jedną ambicję: zostać członkiem korespondentem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, z której to przyczyny zjawił się u pani de Villeparisis.

Jeżeli książe, którego żona wodziła rej w najbardziej zamkniętej koterii Berlina, prosił o zaszczyt przedstawienia go margrabinie, to nie dlatego, aby sam z siebie żywił tę ochotę. Trawiony od lat żądzą wejścia do Instytutu, nigdy, na swoje nieszczęście, nie zdołał przekroczyć liczby pięciu akademików skłonnych nań głosować. Wiedział, że pan de Norpois rozporządza sam jeden co najmniej dziesiątkiem głosów, do których dyplomata ów miał możliwość, dzięki zręcznym transakcjom, przydać inne. Toteż książe, znajomy jego z Rosji, kiedy byli tam obaj ambasadorami, wybrał się do pana de Norpois z wizytą i robił co mógł, aby go sobie zjednać. Ale daremnie mnożył uprzejmości, daremnie zdobywał margrabiemu rosyjskie ordery, cytował go w artykułach o polityce zagranicznej — miał do czynienia z niewdzięcznikiem, człowiekiem, któremu wszystkie uprzejmości zdawały się niczym, który nie posunął jego kandydatury ani o krok, nie przyrzekł mu nawet swojego głosu! Niewątpliwie, pan de Norpois przyjmował księcia niezmiernie uprzejmie, nie chciał nawet, aby się trudził i „drapał się po schodach”; udawał się sam do pałacu księcia, kiedy zaś rycerz teutoński³⁶⁸ wybąkał: „Chciałbym bardzo być pańskim kolegą”, odpowiadał z przekonaniem: „Och, byłbym szczęśliwy!”. I z pewnością człowiek naiwny, jakiś Cottard, powiedziałby sobie: „No tak, przyszedł do mnie, zależało mu na tym, aby przyjść, bo uważa mnie za figurę wyższą od siebie, mówi mi, że byłby szczęśliwy, gdybym się znalazł w Akademii, słowa mają przecież jakieś znaczenie, cóż u licha, z pewnością jeżeli mi nie proponuje, że będzie głosował na mnie, to dlatego, że mu to nie przyszło na myśl. Za wiele mówi o mojej wielkiej władzy, musi myśleć, że mnie pieczone gołąbki same wpadają do ust, że mam tyle głosów, ile zapragnę, i dlatego nie proponuje mi swojego; ale wystarczy mi przycisnąć go do muru, o tak, w cztery oczy, i powiedzieć mu: »No więc, niech pan głosuje za mną«, a będzie musiał to zrobić”.

Ale książe von Faffenheim nie był naiwny; był — jakby powiedział doktor Cottard — „szczwanym dyplomata” i wiedział, że pan de Norpois jest nie mniej szczwany, ani też nie jest człowiekiem niezdolnym zgadnąć w lot, że mógłby sprawić przyjemność kandydatowi, głosując za nim. W czasie swoich ambasad i jako minister spraw zagranicznych, książe miewał na rzecz swojego kraju, jak obecnie dla samego siebie, owe rozmowy, w których człowiek wie z góry, jak daleko chce zajść i czego nie chce powiedzieć. Wiedział, że w je-

Polityka, Słowo

³⁶³Święte Imperium — Święte Cesarstwo Rzymskie, utworzone w średniowieczu, nawiązujące do uniwersalistycznych tradycji cesarstwa rzymskiego, obejmujące Europę zachodnią, środkową i południową; od koronacji Ottona I na cesarza w 962 do XII w. było najpotężniejszą monarchią w Europie; rozwiązane w 1806 podczas wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

³⁶⁴gnom — baśniowy, karłowaty opiekun kopalni i skarbów. [przypis edytorski]

³⁶⁵Ondyna (niem. *Undine*) — wodna rusałka, tytułowa bohaterka romantycznej baśni Friedricha Fouque (1777–1843) z 1811, która posłużyła za libretto oper E.T.A. Hoffmana i A. Lortziga oraz zainspirowała H. Ch. Andersena do napisania *Matej syrenki*. [przypis edytorski]

³⁶⁶Luter, Marcin (1483–1546) — niemiecki reformator religijny, współtwórca luteranizmu, jednego z nurtów protestantyzmu, doktor teologii. [przypis edytorski]

³⁶⁷Ludwik II Niemiecki (806–876) — wnuk Karola Wielkiego, pierwszy król państwa wschodniofrankijskiego (od 843), poprzednika Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, z którego w ciągu wieków wykształciło się państwo niemieckie. [przypis edytorski]

³⁶⁸teutoński — germański, niemiecki; od starożytnego germańskiego ludu Teutonów, którzy razem z Cymbami pod koniec II w. p.n.e. zaatakowali państwo rzymskie. [przypis edytorski]

zyku dyplomatycznym rozmawiać znaczy ofiarowywać. I dlatego postarał się dla pana de Norpois o wielką wstęgę świętego Andrzeja. Ale gdyby musiał zdać sprawę swemu rządowi z rozmowy, jaką miał potem z panem de Norpois, mógłby sformułować to w depeszy: „Zrozumiałem, że obrał fałszywą drogę”. Bo z chwilą gdy książę znów zaczął mówić o Instytucie, pan de Norpois odpowiedział:

— Bardzo bym się z tego cieszył, bardzo, dla moich kolegów. Muszą, jak sądzę, czuć się naprawdę zaszczytzeni tym, że książę o nich pomyślał. To jest kandydatura bardzo interesująca, trochę niezwykła dla naszych przyzwyczajęń. Książę wie, Akademia jest wielka rutynistka, przeraża ją wszystko, co wydaje dźwięk trochę nowy. Osobiście nie chwalebę jej tego. Ileż razy zdarzyło mi się dać to do zrozumienia moim kolegom. Nie wiem nawet, niech mi Bóg odpuści, czy słowo „mamuty” nie wyszło raz z moich ust — dodał ze zgorzonym uśmiechem, półgłosem, prawie „na stronie”, rzucając na księcia szybkie i skośne spojrzenie swego niebieskiego oka, niby stary aktor sprawdzający wrażenie. — Rozumie książę, że nie chciałbym osobistości tak wybitnej jak pańska narażać na partię z góry przegraną. Dopóki pojęcia moich kolegów będą równie zacofane, sądzę, że roztropność każe się powstrzymać. Niech książę będzie zresztą przeświadczony, że gdybym widział kiedyś, że duch nieco świeższy, nieco żywszy rysuje się w tym kolegium, które staje się po trosze cementarzyskiem, gdybym dostrzegł jakąś możliwą szansę, pierwszy uprzedziłbym księcia o tym.

„Wielka wstęga świętego Andrzeja była omyłką — pomyślał książę; rokowania nie posunęły się ani o jotę; nie tego chciał. — Nie znalazłem właściwego klucza”.

Był to rodzaj wniosku, do jakiego pan de Norpois, wychowany w tej samej szkole, byłby równie zdolny. Można sobie drwić z pedantycznego ramolizmu, z jakim dyplomaci w stylu pana de Norpois rozplywają się nad oficjalnym słówkiem, prawie nieznaczącym. Ale ich dzieciństwo ma swoją korekturę³⁶⁹: dyplomaci wiedzą, że na wadze, która zapewnia równowagę europejską lub inną, nazywaną pokojem, dobre uczucia, piękne słowa, błagania ważą bardzo mało; że ważki i prawdziwy ciężar, decyzje zależą od czego innego: od możliwości, jaką posiada przeciwnik (o ile jest dość silny) zaspokojenia, w drodze wymiany, jakiejś chęci. Z tym systemem prawd, którego osoba całkowicie bezinteresowna, jak moja babka na przykład, nie byłaby zdolna pojąć, pan de Norpois i niemiecki książę zmagali się często. Jako ambasador w krajach, z którymi bywaliśmy o włos od wojny, pan de Norpois, niespokojny o obrót wypadków, wiedział bardzo dobrze, że nie pod słowem „Pokój” lub pod słowem „Wojna”, będą mu one zakomunikowane; ale pod innym, banalnym na pozór, straszliwym lub błogosławionym, które dyplomata przy pomocy swego szyfru zdoła natychmiast odczytać. Aby ocalić godność Francji, odpowiedziałby na nie innym, równie banalnym słowem, w którym minister wrogiego narodu wyczytałby natychmiast: „Wojna”. I nawet, wedle dawnego zwyczaju, pokrewnego temu, który pierwszemu zbliżeniu dwojga przeznaczonych dla siebie istot dawał formę przypadkowego spotkania w teatrze „Gymnase”, dialog, w którym los poddyktowałby słowo „Wojna” lub słowo „Pokój”, nie odbywał się zazwyczaj w gabinecie ministra, ale na ławce jakiegoś *Kurgartenu*³⁷⁰, gdzie minister i pan de Norpois chodzili obaj do źródeł mineralnych wychylać kubki zdrowiodajnej wody. Jak gdyby mocą cichego układu, spotykali się w godzinie kuracji, robili najpierw mały spacer, o którym, pod jego niewinnym pozorem, obaj partnerzy wiedzieli, że jest równie tragiczny jak nakaz mobilizacji. Otóż w sprawie prywatnej, jak ta kandydatura do Instytutu, książę posługiwał się tym samym systemem indukcji, jaki praktykował w ciągu swojej kariery, i tą samą metodą czytania poprzez warstwę symbolów.

I z pewnością nie można twierdzić, aby wyłącznie moja babka i podobne jej natury nie znały rachub tego rodzaju. To pewne, iż ogół ludzi uprawiających określone zawody swoim brakiem intuicji dorównuje ignorancji, jaką babce dawała jej absolutna bezinteresowność. Często trzeba zstąpić aż do osób będących na utrzymaniu — mężczyzn lub kobiet — aby pobudek czynów lub słów, na pozór najniewinniejszych, umieć szukać w interesie, w koniecznościach życia. Któryż mężczyzna nie wie, iż kiedy kobieta, której ma płacić, powiada: „Nie mówmy o pieniądzach”, że te słowa trzeba liczyć, aby się

³⁶⁹korektura — poprawki usterek w uchwalonym prawie; ogólnie: usuwanie usterek, korekta. [przypis edytorski]

³⁷⁰*Kurgarten* (niem.) — ogród zdrojowy. [przypis edytorski]

posłużyć terminem muzycznym, za „pusty takt”; a jeżeli później oświadcza mu: „Robiłeś mi za wiele przykrości, często ukrywałeś mi prawdę, przebrałeś miarę”, powinien to odczytać: „Inny protektor ofiarowuje jej więcej”. A i to jest tylko język kokoty dość zbliżonej do kobiet z towarzystwa. Apasze³⁷¹ dostarczają jaskrawszych przykładów. O ile pan de Norpois i niemiecki książę nie znali świata apaszów, przywykli w zamian wcielać się w psychikę narodów, które mimo swej wielkości są także istotami pełnymi egoizmu i podstępem, istotami, które poskramia się jedynie siłą, względami interesu zdolnego je popchnąć do morderstwa, morderstwa też często symbolicznego, gdyż proste zawahanie się przed walką lub odmowa walki może oznaczać dla narodu śmierć. Że jednak wszystko to nie jest powiedziane w *Żółtych*³⁷² (i innych tym podobnych) księgach, lud jest chętnie pacyfistą; jeżeli jest wojowniczy, to instynktownie, przez nienawiść, przez urazę, a nie z racji, które zdecydowały naczelników państwa, ostrzeżonych przez panów de Norpois.

Następnej zimy książę bardzo chorował; wyzdrowiał, ale serce jego zachowało ślad nieuleczalnego draśnięcia.

„Tam do licha! — powiedział sobie — nie trzeba tracić czasu, bo jeżeli będę zanadto odwlekał, grozi mi, że umrę, zanim wejść do Instytutu, a to byłoby doprawdy zbyt głupie”.

Napisał w przedmiocie polityki ostatnich dwudziestu lat studium do „Revue des Deux Mondes”³⁷³, gdzie wyraził się kilkakrotnie najpochlebniej o panu de Norpois. Ten wybrał się z wizytą do księcia i podziękował mu. Dodał, iż nie wie, jak mu ma okazać swoją wdzięczność. Książę powiedział sobie, jak ktoś, kto spróbował do zamku nowego klucza: „To jeszcze nie ten”. Zadyszawszy się nieco, odprowadzając pana de Norpois, pomyślał: „Ej, do licha, te zuchy pozwolą mi kipnąć, zanim mnie powołają. Trzeba przyspieszyć”.

Tego samego wieczora książę spotkał pana de Norpois w operze.

— Drogi ambasadorze — rzekł — powiedział mi pan dziś rano, że pan nie wie, jak mi okazać swoją wdzięczność; to wielka przesada, nie jest mi pan winien żadnej, ale będę na tyle niedelikatny, aby go wziąć za słowo.

Pan de Norpois nie mniej cenił takt księcia niż książę jego własny. Zrozumiał natychmiast, że książę von Faffenheim wystąpi nie z prośbą, lecz z ofertą, i z przychylnym uśmiechem gotował się go wysłuchać.

— Powiem więc, o co chodzi, mimo że się może panu wydam wielce natrętny. Są dwie osoby, do których jestem bardzo przywiązany (na bardzo różny sposób, jak pan to zaraz zrozumie), a które od niedawna osiadły na stałe w Paryżu. Te osoby to moja żona i wielka księżna Janowa. Mają wydać parę obiadów, w szczególności na cześć królestwa angielskich, i marzeniem ich byłoby móc uraczyć swoich dostojnych gości towarzystwem kobiety, dla której, nie znając jej, obie żywią wielką admirację. Wyznaję, że nie wiedziałem, co począć, aby zadowolić ich pragnienie, kiedy — najzupełniejszym przypadkiem — dowiedziałem się przed chwilą, że pan zna tę osobę; wiem, że żyje bardzo ustronnie, widuje bardzo mało kogo, *happy few*³⁷⁴; ale gdyby pan zechciał mnie poprzeć z życzliwością, jaką mi pan okazuje, jestem pewien, że dama ta zgodziłaby się, aby mnie pan jej przedstawił i abym jej oznajmił pragnienie wielkiej księżnej i księżnej mojej żony. Może zgodziłaby się przyjść do nas spożyć obiad z królową angielską, a może, o ile byśmy jej nie znudzili zbyt, spędziłaby z nami święta wielkanocne w Beaulieu u wielkiej księżnej Janowej. Ta osoba zwie się margrabina de Villeparisis. Wyznaję, że nadzieja zostania jednym ze stałych gości tego *bureau d'esprit* pozwoliłaby mi bez przykrości wyrzec się kandydatury do Akademii. To jest także Akademia inteligencji i wytwornej rozmowy.

Z uczuciem niewysłowionej rozkoszy książę uczuł, że zamek się nie opiera i że narzecie klucz wchodzi.

— Zbyteczna alternatywa, drogi książę — odparł pan de Norpois — nic lepiej się nie godzi z Instytutem niż salon, o którym pan mówi i który jest prawdziwą wylęgarnią akademików. Przekażę pańskie życzenie margrabinie de Villeparisis, z pewnością pochlebi jej bardzo. Co się tyczy obiadu u państwa, to będzie może trudniej, margrabina rusza się

³⁷¹ *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

³⁷² *Żółta Księga* — ang. „The Yellow Book”, brytyjski kwartalnik literacki, wyd. w latach 1894–1897. [przypis edytorski]

³⁷³ „*Revue des Deux Mondes*” (fr.: Przegląd dwóch światów) — francuskie czasopismo literacko-kulturalne ukazujące się od 1829; na jego łamach publikowało wielu wybitnych pisarzy. [przypis edytorski]

³⁷⁴ *happy few* (ang.) — szczęśliwych kilku. [przypis edytorski]

z domu bardzo rzadko. Ale przedstawię jej księcia i będzie księżę mógł sam bronić swojej sprawy. Nie trzeba zwłaszcza wyrzekać się Akademii; właśnie od jutra za dwa tygodnie jem śniadanie (po czym udajemy się na ważne posiedzenie) u pana Leroy-Beaulieu³⁷⁵, bez którego niepodobna myśleć o żadnym wyborze; już wspominałem mu pańskie nazwisko, które zna oczywiście doskonale. Sformułował pewne zarzuty. Ale tak się składa, że on potrzebuje poparcia mojej grupy przy najbliższym wyborze, toteż mam zamiar ponowić atak; wyznam mu bardzo szczerze na wskroś serdeczne związki, jakie nas łączą; nie zataję, że gdyby pan postawił swoją kandydaturę, poprosiłbym wszystkich swoich przyjaciół, aby głosowali za panem (księżę odetchnął z głęboką ulgą) a on wie, że ja mam przyjaciół. Sądzę, że gdybym zdołał sobie zapewnić jego poparcie, widoki pańskie stałyby się bardzo poważne. Niech pan przyjdzie tego wieczora o szóstej do pani de Villeparisis, wprowadzę pana i będę mógł panu zdać sprawę z mojej rannej rozmowy.

W ten sposób księżę von Faffenheim dopłynął do salonu pani de Villeparisis. Kiedy zaczął mówić, sprawił mi głębokie rozczarowanie. Nie pomyślałem o tym, że o ile dana epoka posiada rysy swoiste i ogólne, silniejsze od narodowości, tak że w ilustrowanej encyklopedii, gdzie nam pokazują zgoła autentyczny portret Minerwy, Leibniz³⁷⁶ ze swoją peruką i krezą mało się różni od Marivaux³⁷⁷ lub od Samuela Bernard³⁷⁸, o tyle znowuż narodowość ma swoiste rysy, silniejsze od kasty. Otóż wyraziły się one w mojej obecności nie słowami, w których spodziewałem się zawczasu usłyszeć szmer elfów i taniec koboldów³⁷⁹, ale ich transpozycją, nie mniej świadczącą o tym poetycznym pochodzeniu; faktem, iż składając ukłon pani de Villeparisis, mały, czerwony i brzuchaty ryngrabia powiedział: „Zień topry, bani margiso”, z akcentem odźwiernego Alzatzczyka.

— Czy pozwoli pan podać sobie filiżankę herbaty albo kawalek torciku, wyborny jest — rzekła do mnie pani de Guermantes, rozwijając dla mnie maksimum uprzejmości. — Robię honory w tym domu jakby we własnym — dodała z odcieniem ironii, która dawała coś gardłowego jej głosowi, tak jakby stłumiła chrapliwy śmiech.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis do pana de Norpois — będzie pan pamiętał za chwilę, że pan miał coś do powiedzenia księciu w sprawie Akademii?

Pani de Guermantes spuściła oczy i obróciła dłoń, aby spojrzeć na zegarek.

— Och, Boże, ostatni czas pożegnać się z ciotką, jeżeli mam jeszcze wpaść do pani de Saint-Ferréol, a mam obiad u pani Leroi.

Wstała, nie żegnając się ze mną. Spozrzała panią Swann, która zdawała się dosyć zakłopotana moim widokiem. Przypominała sobie z pewnością, że wcześniej niż ktokolwiek mówiła mi, że jest przekonana o niewinności Dreyfusa.

— Nie chcę, żeby mnie ciotka przedstawiała pani Swann — rzekł do mnie Saint-Loup. — To eks-kokota. Jej mąż to Żyd, a ona nam odważa nacjonalizm. O, przyszedł wuj Palamed.

Obecność pani Swann miała dla mnie specjalne znaczenie dzięki faktowi, który się zdarzył kilka dni wprzód, a który trzeba przytoczyć dla następstw, jakie miał mieć o wiele później; opowiemy je szczegółowo, kiedy przyjdzie właściwy moment. Zatem kilka dni przed tą wizytą spotkała mnie inna znów wizyta, doprawdy nieoczekiwana: wizyta Karola Morel, nieznanego mi syna dawnego kamerdynera w domu wuja Adolfa. Ten mój wujeczny dziadek (ten sam, u którego spotkałem „różową damę”) umarł poprzedniego roku. Jego kamerdyner objawiał kilka razy zamiar odwiedzenia mnie; nie znałem celu jego wizyty, ale byłbym go ujrzał chętnie, bo dowiedziałem się przez Franciszkę, że zachował prawdziwy kult dla pamięci wuja i odbywał przy każdej sposobności pielgrzymki na cmentarz. Ale zmuszony udać się dla zdrowia w swoje strony i spodziewając się pozostać tam dłużej, wyprawił do mnie syna. Zdziwiłem się, widząc wchodzącego pięknego osiemnastoletniego młodzieńca, ubranego raczej bogato niż ze smakiem, ale wyglądają-

³⁷⁵Leroy-Beaulieu, Anatole (1842–1912) — francuski publicysta i historyk; członek Akademii Nauk Moralnych i Politycznych Instytutu Francuskiego (od 1887). [przypis edytorski]

³⁷⁶Leibniz, Gottfried Wilhelm (1646–1716) — niemiecki matematyk, fizyk i filozof epoki oświecenia, jeden z najwybitniejszych i najbardziej wszechstronnych uczonych XVII w.; autor metafizycznej teorii monad: podstawowych, nieoddziałujących na siebie składników świata. [przypis edytorski]

³⁷⁷Marivaux, Pierre (1688–1763) — wybitny francuski komediopisarz, także powieściopisarz. [przypis edytorski]

³⁷⁸Bernard, Samuel (1651–1739) — francuski finansista, hrabia de Coubert od 1725. [przypis edytorski]

³⁷⁹koboldów (mit. germ.) — karzeł strzegący skarbów podziemnych. [przypis edytorski]

cego prędzej na wszystko niż na lokaja. Przecież zresztą od razu związek z lokajstwem, z którego pochodził, powiadając mnie z uśmiechem zadowolenia, że jest laureatem konserwatorium. Cel wizyty był ten: z pamiętek po wuju Adolfie ojciec jego odłożył niektóre, uważając za niewłaściwe przesyłać je moim rodzicom; ale pomyślał, że mogłyby interesować młodego człowieka w moim wieku. Były to fotografie sławnych aktorek, wielkich kokot, znajomych wuja, ostatnie obrazy życia starego hulaki, które oddzielał od swego życia rodzinnego hermetyczną ścianką. Podczas gdy młody Morel pokazywał mi te pamiątki, zdałem sobie sprawę, że on sili się mówić ze mną jak z równym. Znajdował w mówieniu „vous”, a jak najrzadziej „monsieur” przyjemność człowieka, którego ojciec, zwracając się do moich rodziców, czynił to jedynie w trzeciej osobie.

Prawie wszystkie fotografie nosiły podpisy: „Memu najlepszemu przyjacielowi”. Któraś aktorka, bardziej niewdzięczna a sprytniejsza, napisała: „Najlepszemu z przyjaciół”, co jej pozwalało, jak mnie zapewniano, opowiadać, iż mój wuj nie był bynajmniej (nawet w przybliżeniu) jej najlepszym przyjacielem, ale przyjacielem, który oddał jej najwięcej drobnych usług, przyjacielem, którym się posługiwała, najpoczciwszym człowiekiem, niemal starym osłem.

Młody Morel daremnie starał się wyzwolić ze swoich początków; czuć było, że cień wuja Adolfa, czcigodny i nieproporcjonalnie wielki w oczach starego kamerdynera, nie przestał padać, niemal święty, na dzieciństwo i młodość syna. Podczas gdy ja przeglądałem fotografie, Morel badał mój pokój. I kiedy szukałem miejsca, gdzie bym je mógł schować, on rzekł (tonem, który nie potrzebował wyrażać nagany, tak dalece mieściła się ona w samych słowach):

— Ale czym się dzieje³⁸⁰, że nie widzę ani jednej fotografii wuja w pańskim pokoju?

Uczulem, że się czerwienię, i wyjąkałem:

— Zdaje się, że nie mam żadnej.

— Jak to, pan nie ma ani jednej fotografii wuja Adolfa, który pana tak kochał? Prześlę panu którąś jutro; wezmę z mnóstwa fotografii, które ma mój stary, i mam nadzieję, że ją pan zainstaluje na honorowym miejscu; o, nad tą komodą, którą pan ma właśnie po wuju.

Co prawda, skoro nie miałem w pokoju nawet fotografii ojca ani matki, nie było nic rażącego w tym, że nie było i fotografii wuja Adolfa. Ale nietrudno było zgadnąć, że dla Morela, który wszczepił ten pogląd swemu synowi, wuj był ową najważniejszą osobą w rodzinie, osobą, z której moi rodzice czerpali jedynie odbłask. Byłem dla niego czymś, bo wuj powtarzał co dnia, że będzie ze mnie nowy Racine, Vaulabelle³⁸¹, a Morel uważał mnie niemal za przybranego syna, za ukochane dziecko wuja.

Zdałem sobie rychło sprawę, że syn Morela był wielkim „arywistą”³⁸². I tak owego dnia spytał mnie, będąc także po trochu kompozytorem, zdolnym dorobić muzykę do jakiejś poezji — czy nie znam jakiegoś poety, mającego poważną sytuację w wielkim świecie. Wymieniłem takiego. Nie znał dzieł tego poety i nigdy nie słyszał jego nazwiska; zanotował je sobie. Otóż dowiedziałem się, że niedługo potem napisał do owego poety z oświadczeniem, że jako fanatyczny wielbiciel jego talentu ułożył muzykę do jego sonetu i byłby szczęśliwy, gdyby autor tekstu postarał się o wykonanie utworu u hrabiny ***. To było zbyt obcesowe, zbyt jasno zdradził swój plan. Poeta, zmrożony, nie odpowiedział.

Zresztą, niezależnie od ambicji, młody Morel zdawał się żywić skłonność do konkretniejszych realności. Zauważył w dziedzińcu siostrzenicę Jupiena szyjącą kamizelkę; mimo że mi tylko powiedział, że mu właśnie potrzeba kolorowej kamizelki, uczulem, iż młoda dziewczyna zrobiła na nim silne wrażenie. Bez chwili wahania poprosił mnie, żebym z nim zeszedł i przedstawił go, „ale nie w związku z pańską rodziną, rozumie pan, liczę na pańską dyskrecję co do mego ojca; niech pan powie tylko: »wielki artysta, mój przyjaciel«; rozumie pan, że w stosunkach z rękodzielnikami trzeba dbać o wrażenie”. Natrącił, iż nie będąc z nim na tyle blisko, aby go nazywać (on to rozumie) „drogim przyjacielem”, mógłbym do niego mówić — w obecności siostrzenicy Jupiena — nie »drogi mistrzu«

³⁸⁰czym się dzieje (daw.) — jak to się dzieje; w jaki sposób (przez co, z jakiego powodu) się dzieje. [przypis edytorski]

³⁸¹Vaulabelle, Achille Tenaille de (1799–1879) — francuski publicysta i polityk. [przypis edytorski]

³⁸²arywistą (z fr.) — człowiek bez skrupułów dążący do zdobycia pozycji, pieniędzy lub władzy; karierowicz. [przypis edytorski]

oczywiście... chociaż... „gdyby to panu odpowiadało: »drogi wielki artysto«”. Mimo to unikałem w sklepie „specyfikowania go”, jak by powiedział Saint-Simon, i poprzestałem na zobopólnym „pan”.

Morel wybrał z kilku sztuk aksamitu kolor czerwony, tak żywy i krzyczący, że mimo całego swego złego gustu nie mógł nigdy włożyć tej kamizelki. Młoda dziewczyna wróciła do pracy ze swymi dwiema „pannami”, ale zdawało mi się, że wrażenie było wzajemne i że młody Morel, który wydał się jej kimś „z jej świata” (tyle tylko, że był wykwi-tniejszy i bogatszy), szczególnie się jej spodobał. Bardzo się zdziwiłem, znajdując między fotografiami, które mi przesłał jego ojciec, fotografię portretu miss Sacripant (to znaczy Odety) roboty Elstira; odprowadzając Morela aż do bramy, rzekłem:

— Bardzo obawiam się, że pan nie potrafi mnie objaśnić. Czy wuj blisko znał tę damę? Nie bardzo widzę, w jakiej epoce jego życia mógłbym ją pomieścić; a interesuje mnie to z powodu pana Swann...

— Właśnie zapomniałem panu powiedzieć, że ojciec polecił mi zwrócić pańską uwagę na tę damę. W istocie, ta heroina półświatka była u wuja na śniadaniu ostatnim razem, kiedy go pan widział. Ojciec nie bardzo wiedział, czy pana może wpuścić. Zdaje się, że pan się bardzo spodobał tej puszczałskiej i że spodziewała się pana spotkać jeszcze kiedyś. Ale właśnie w tej chwili (wedle tego, co mówił ojciec) przyszło do kwasów w rodzinie i już pan nigdy nie widział wuja.

Morel uśmiechnął się w tej chwili, żegnając z daleka siostrzenicę Jupiena. Patrzyła na niego, podziwiając z pewnością jego ściągłą twarz o regularnych rysach, jego puszyste włosy, wesołe oczy. Ja, podając mu rękę, myślałem o pani Swann i powiadałem sobie ze zdziwieniem — tak bardzo te dwie istoty były odległe od siebie i różne w moim wspomnieniu — że odtąd będę ją musiał utożsamiać z „różową damą”.

Pan de Charlus usiadł niebawem koło pani Swann. Wszędzie gdzie się znajdował, zawsze wgardliwy wobec mężczyzn, otoczony przez kobiety, przylepiał się do najbardziej eleganckiej, w której toaletę czuł się jak gdyby strojny. Tużurek czy frak dawały baronowi podobieństwo do owych portretów, gdzie wielki kolorysta namalował mężczyznę w czerni, ale rzucił koło niego na krzesło jaskrawy płaszcz, który mężczyzna ów przybierze na jakiś bal kostiumowy. Takie odseparowanie się, zazwyczaj z jakąś „wysokością”, stwarzało panu de Charlus ramę i przywilej zarazem. Miało ono na przykład ten skutek, że gospodyni domu jednemu baronowi pozwalała na jakiejś fecie zająć krzesło na przedzie w szeregu dam, gdy inni mężczyźni tłoczyli się w głębi. Co więcej, baron, opowiadający z przejęciem i bardzo głośno zabawne historyjki zachwyconej damie, zwolniony był od witania się z innymi, tym samym od dopełnienia obowiązków grzeczności. Poza pachnącą barierą, jaką stawała mu się wybrana piękność, siedział na środku salonu niby na widowni teatru w łoży, i kiedy podchodzono, aby go witać poprzez — można rzec — piękność jego sąsiadki, można było baronowi wybaczyć, że odpowiada na ukłon bardzo krótko, nie przerywając rozmowy z damą. Niewątpliwie pani Swann nie bardzo była z rzędu kobiet, z którymi pan de Charlus lubił się afiszować w ten sposób. Ale manifestował swój podziw dla niej, a przyjaźń dla Swanna, wiedząc, że jej pochlebiam jego względy, jemu zaś samemu pochlebiali to, że się kompromituje z najładniejszą z obecnych w tym salonie kobiet.

Pani de Villeparisis nie była zresztą zachwycona wizytą pana de Charlus. Ów, mimo iż widząc w ciotce wielkie wady, kochał ją bardzo. Ale chwilami, pod wpływem gniewu lub urojonych pretensji, niezdolny się pohamować, pisał do niej listy straszliwie gwałtowne, wyolbrzymiając drobiazgi, których dotąd zdawał się nie spostrzegać. Między innymi mogę zacytować ten fakt, o którym dowiedziałem się w związku ze swoim pobytem w Balbec. Pani de Villeparisis, bojąc się, że nie wystarczy jej pieniędzy do końca wilegiatury, a nie mając ochoty, przez skąpstwo i przez niechęć do zbytecznych kosztów, pisać o pieniądze do Paryża, pożyczyła od pana de Charlus trzy tysiące franków. W miesiąc później baron, urażony na ciotkę o jakąś blahostkę, zażądał owych pieniędzy telegraficznie. Otrzymał dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt i kilka franków. Widząc ciotkę w kilka dni potem w Paryżu i rozmawiając z nią przyjaźnie, zauważył bardzo spokojnie błąd popełniony przez bank przy wysyłce pieniędzy.

— Ależ to nie błąd — odparła pani de Villeparisis — przesyłka telegraficzna kosztowała sześć franków siedemdziesiąt pięć centymów³⁸³.

— A, skoro to jest umyślne, wszystko w porządku — odparł pan de Charlus. — Wspominałem ci o tym jedynie na wypadek, gdybyś nie wiedziała, bo w takim razie, gdyby bank postąpił tak samo wobec kogoś będącego z tobą w mniej zażyłych stosunkach, mogłoby ci to być niemiłe.

— Nie, nie, nie ma żadnej omyłki.

— W gruncie, miałaś zupełną słuszność — zakonkludował wesoło pan de Charlus, czule całując ciotkę w rękę. W istocie nie miał do niej pretensji, uśmiechnął się jedynie z tej małostkowości. Ale w jakiś czas potem uwierzył, że w pewnej rodzinnej sprawie ciotka chce go „nabrać” i że uknuła przeciw niemu cały spisek. Kiedy ona, dość niemądrze, chowała się za adwokatów (gdy baron podejrzewał ją właśnie o konszachty z tymi ludźmi przeciw niemu), napisał do niej list buchający wściekłością i impertynencją. „Nie poprzestanę na tym, aby się zemścić (dodał w *postscriptum*³⁸⁴); ośmieszę cię. Od jutra zacznę opowiadać wszystkim historię przekazu telegraficznego i sześciu franków siedemdziesięciu pięciu centymów, które mi odciągnęłaś od pożyczonych trzech tysięcy. Okryję cię hańbą”.

Zamiast tego poszedł na drugi dzień przeprosić ciotkę, żalując listu, gdzie znajdowały się zwroty naprawdę ohydne. Zresztą, komu miał opowiedzieć historię przekazu? Nie pragnąc zemsty, lecz szczerego pojednania, teraz właśnie chciałby zataić tę historię. Ale przedtem, będąc bardzo dobrze z ciotką, opowiedział ją wszędzie; opowiadał bez złośliwości, dla zabawy i dlatego, że był wcieloną niedyskrecją. Opowiadał, ale bez wiedzy pani de Villeparisis. Tak iż, dowiedziawszy się z jego listu, że on zamierza ją skompromitować rozgłoszeniem rzeczy, którą sam uznał wprzód za właściwą i naturalną, sądziła, że ją oszukał wówczas i że kłamie, udając przywiązanie.

Wszystko to załagodziło się, ale żadne z nich dwojga nie znało ściśle stanu ducha drugiej strony. Niewątpliwie zachodził tu nieco specjalny typ nieporozumienia. Innego typu były scysje Blocha z jego przyjaciółmi. Innego jeszcze typu zwady pana de Charlus — jak się to okaże — z osobami całkiem innymi niż pani de Villeparisis. Mimo to trzeba pamiętać, że opinia, jaką mamy wzajem o sobie, stosunki przyjacielskie, rodzinne, stałe są jedynie na pozór, w istocie zaś są wiecznie ruchliwe jak morze. Stąd tak częste pogłoski o rozwodzie między małżonkami, którzy wydają się tak idealnie zgodni i którzy wkrótce potem mówią najczulej o sobie; stąd tyle bezceństw opowiadanych przez przyjaciela o najbliższym przyjacielu, z którym już zdąży się pogodzić, zanim my zdołamy ochłonąć z naszego zdumienia; stąd tyle zdeptanych przymierzy między narodami i to w tak krótkim czasie!

— Mój Boże, ależ tam ciepło między wujaszkiem a panią Swann! — rzekł do mnie Saint-Loup. — A mama, która w niewinności ducha przeszkadza im! Czystym wszystko jest czyste!

Patrzyłem na pana de Charlus. Jego szpakowaty czub, uśmiechnięte oko z brwią strząsającą się nad monoklem, czerwony kwiat w butonierce tworzyły niby trzy ruchome szczyty konwulsyjnie drgającego i uderzającego trójkąta. Nie odważyłem mu się uklonić, bo nie ośmielił mnie żadnym znakiem. Ale mimo że się baron nie zwrócił w moją stronę, byłem przekonany, że mnie widział; opowiadał jakąś historię pani Swann, której wspinały płaszcz koloru bratków spływał aż na kolana barona, przy czym biegające oczy pana de Charlus, podobne oczom domokrażcy, który drży przed zjawieniem się „gliny”, przepatrzyły z pewnością każdą okolicę salonu i zanotowały wszystkich obecnych. Kiedy pan de Châtellerault podszedł, aby się z nim przywitać, nic na twarzy pana de Charlus nie zdradziło, że widział młodego księcia, zanim ten znalazł się tuż przy nim. W ten sposób na takich liczniejszych zebraniach pan de Charlus zachowywał niemal bez przerwy uśmiech bez określonego kierunku i specjalnego przeznaczenia, uśmiech, który, obecny na jego wargach niejako przed ukłonem przybyłych, mógł być, w momencie gdy ci wchodzili w jego strefę, wyzuty z wszelkich cech indywidualnie umiejscowionej uprzejmości.

³⁸³centym — setna część franka. [przypis edytorski]

³⁸⁴postscriptum (lac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

Ale trzeba mi się było przywitać z panią Swann. Nie wiedząc, czy ja znam panią de Marsantes i pana de Charlus, przyjęła mnie dość chłodno, bojąc się z pewnością, że ją poproszę, aby mnie przedstawiła. Podszedłem wówczas do pana de Charlus i natychmiast pożałowałem tego, gdyż widząc mnie z pewnością doskonale, nie zdradzał tego niczym. W chwili gdy się ukloniłem, ujrzałem — w pewnej odległości od jego ciała, do którego baron bronił mi dostępu całą długością wyciągniętego ramienia — palec, огоłony, można by rzec, z biskupiego pierścienia, palec podawany jak gdyby po to, aby się go ucałowało w poświęcone miejsce. Robiło to wrażenie, że wtargnął w strefę pana de Charlus bez jego wiedzy, „z włamaniem”, za które całą odpowiedzialność składał na mnie, wyrażając to bezimienną, bezosobistą i roztargnioną ciągłością swego uśmiechu. Ten jego chłód nie przyczynił się do podniesienia temperatury pani Swann.

— Jak ty wyglądasz, zmęczony, niespokojny — rzekła pani de Marsantes do syna, który podszedł, aby się przywitać z panem de Charlus.

I w istocie, oczy Roberta zdawały się chwilami dosięgać głębi, którą opuszczały natychmiast, niby nurek, gdy dotknie dna. Owym dnem, tak bolesnym dla Roberta, że skoro się go dotknął, opuszczał je natychmiast, aby doń wrócić w chwilę potem, była myśl, iż zerwał z kochanką.

— To nic — dodała matka, gładząc go po twarzy — to nic, miło jest widzieć swojego chłopca.

Ale ta czułość drażniła wyraźnie Roberta. Pani de Marsantes pociągnęła syna w głąb salonu, gdzie w obitej żółtym jedwabiem niszy parę foteli *beauvais* odcinało się swoimi fioletowymi haftami, niby purpurowe irysy w polu jaskrów. Pani Swann, znalazłszy się sama i zrozumiałwszy, że ja jestem blisko z Robertem de Saint-Loup, przyzwała mnie gestem. Nie widziałem jej od tak dawna, że nie wiedziałem, o czym mówić. Nie traciłem z oczu mojego kapelusza pośród wszystkich tych, które się znajdowały na podłodze, ale pytałem się ciekawie sam siebie, do kogo może należeć jeden z nich, niebędący kapeluszem księcia de Guermites, a naznaczony literą „G” z koroną księżęcą. Wiedziałem, kim są wszyscy goście, i nie znajdowałem wśród nich odpowiednika dla tego kapelusza.

— Jaki ten pan de Norpois jest sympatyczny — rzekłem, wskazując na ambasadora.
— Co prawda, Robert de Saint-Loup mówi mi, że to żmija...

— Ma rację — rzekła pani Swann.

Czytając w jej spojrzeniu jakąś myśl, którą przede mną tała, zacząłem naglić panią Swann pytaniami. Rada, iż wygląda na bardzo obleganą przez kogoś w tym salonie, gdzie nie znała prawie nikogo, pociągnęła mnie w kąt.

— Powiem panu, co niewątpliwie pan de Saint-Loup miał na myśli — odparła — ale niech mu pan tego nie powtarza, bo uważałby mnie za niedyskretną, a mnie bardzo zależy na jego szacunku; pan wie, ja jestem bardzo „porządny człowiek”. Niedawno Charlus był na obiedzie u księżnej Marii de Guermites; nie wiem skąd, rozmowa zeszła na pana. Pan de Norpois powiedział podobno — to idiotyczne, ale niech pan sobie nie nabija tym głowy, nikt do tego nie przywiązywał wagi, wiadano zbyt dobrze z jakich ust to wychodzi — że pan jest pochlebcą dochodzącym granic hysterii.

Zaznaczyłem znacznie wcześniej moje zdumienie, że przyjaciel ojca, jakim był pan de Norpois, mógł się o mnie wyrażać w ten sposób. Jeszcze bardziej zdumiała mnie wiadomość, że moje wzruszenie z owego dawnego dnia, kiedy mówiłem o pani Swann i o Gilbertce, znane jest księżnej Marii, gdy ja nie przypuszczałem, że ona wie o moim istnieniu! Każdy nasz uczynek, każde słowo, każdy gest oddzielone są od „świata”, od ludzi, do których nie doszły bezpośrednio, strefą, której przepuszczalność zmienia się bez końca i pozostaje nam nieznaną. Wiedząc z doświadczenia, że jakieś ważne odezwanie się, którego rozpowszechnienia pragnęlibyśmy żywo (na przykład owe hymny na cześć pani Swann, które wyśpiewywałem wówczas wszystkim i przy każdej sposobności w nadziei, że na tyle rzuconych ziarn znajdzie się jedno, które wszędzie), zostało często właśnie wskutek owego naszego pragnienia natychmiast ukryte pod korcem, z tym większą racją dalecy byliśmy od przypuszczenia, że jakieś drobne słówko, zapomniane przez nas samych, nigdy może nawet przez nas niepowiedziane i powstałe w drodze wskutek niedokładnej refrak-

Portret, Plotka, Obyczaje

cji³⁸⁵ innego słowa, będzie wędrowało bez przerwy, bez końca, na nieskończoną odległość — w danym wypadku aż do księżnej Gilbertowej — i ubawi naszym kosztem ucztę bogów. Szczegółów naszego zachowania się, które sobie przypominamy, nie zauważył nasz najbliższy sąsiad; w zamian słowa, o których zapomnieliśmy lub może nigdyśmy ich nie powiedzieli, będą śmieszyły zgoła mieszkańców innej planety! Obraz, jaki inni tworzą sobie o naszych uczynkach, równie mało podobny jest do obrazu, jaki my tworzymy sobie sami, jak mało podobna byłaby do rysunku jakaś nieudana odbitka, gdzie czarnej plamie odpowiadałaby pusta przestrzeń, a białej zagadkowy kontur. Może się zresztą zdarzyć, że to, co się nie utrzymało, to jest jakiś nierealny rys, który my widzimy jedynie mocą naszego samozłudzenia; to zaś, co się nam wydaje dodane, stanowi, przeciwnie, naszą cechę, ale tak istotną i własną, że uchodzi naszej uwagi. Tak, że ta szczególna odbitka, która się nam wydaje tak niepodobna, zawiera niekiedy ten sam rodzaj prawdy — niewątpliwie mało pochlebny, ale głęboki i pożyteczny — co rentgenowska fotografia. Nie jest to racją, abyśmy się w niej poznali. Wyobraźmy sobie kogoś, kto przywykł uśmiechać się w lustrze do swojej pięknej twarzy i pięknego torsu, i pokażmy mu jego zdjęcie; wobec tego kościstego różańca, mającego być obrazem jego samego, będzie miał to samo wrażenie omyłki, jaką ma zwiedzający wystawę, gdy, stojąc przed portretem młodej kobiety, wyczyta w katalogu: „Odpoczywający dromader”. Ten rozdźwięk między naszym obrazem, zależnie od tego, czy narysowany jest przez nas samych, czy przez kogoś drugiego, miałem sobie później uświadomić na innych osobach, żyjących błogo pośród fotografii, które zdjęli z samych siebie, podczas gdy dokoła szczerzą zęby okropne obrazy, zazwyczaj niewidoczne dla nich samych, ale pogrążające ich w zdumieniu, skoro je im pokaże przypadek, mówiąc: „To ty”.

Kilka lat wprzódby czułbym się szczęśliwy, opowiadając pani Swann, z jakiej przyczyny byłem tak czuły dla pana de Norpois, skoro tą przyczyną była żądza poznania jej. Ale nie odczuwałem już tej żądzy, nie kochałem już Gilberty. Z drugiej strony, nie mogłem utożsamiać pani Swann z „różową damą” mego dzieciństwa. Toteż zacząłem jej mówić o kobiecie, która mnie zaprzętała w tej chwili.

— Czy widziała pani księżną de Guermantes? — spytałem pani Swann.

Ale ponieważ księżna nie kłaniała się pani Swann, Odeta chciała stworzyć pozór, że to ona uważa księżną za osobę nieinteresującą, której obecności nawet się nie spostrzega.

— Nie wiem, nie *zrealizowałam*³⁸⁶ — odparła niechętnie, używając terminu przetłumaczonego z angielskiego.

Co do mnie, pragnąłem zdobyć informacje nie tylko o pani de Guermantes, ale o wszystkich osobach żyjących w jej pobliżu; zupełnie tedy jak Bloch, z nietaktem ludzi troszczących się w towarzystwie nie o to, aby sprawić przyjemność innym, ale o to, aby egoistycznie wyświetlić szczegóły, które zajmują ich samych, chcąc tym dokładniej odtworzyć sobie życie pani de Guermantes, zacząłem wypytywać panią de Villeparisis o panią Leroi.

— Tak, wiem — odparła z robioną wzgardą — to córka tego wielkiego handlarza drzewem. Wiem, że u niej teraz bywają, ale powiem panu, że jestem za stara, aby robić nowe znajomości. Znałam ludzi tak interesujących, tak miłych, że doprawdy nie sądzę, aby pani Leroi dała mi coś więcej.

Pani de Marsantes, która objęła rolę damy dworu przy margrabinie, przedstawiła mnie niemieckiemu księciu; nie dokończyła jeszcze, kiedy pan de Norpois przedstawił mnie również, w nader gorących słowach. Może było mu na rękę wyświadczyć mi grzeczność nienaruszającą w niczym jego kredytu (skoro właśnie ktoś inny już mnie przedstawił); może sądził, iż cudzoziemiec, nawet tak znamienity, mniej jest biegły we francuskich salonach i może myśleć, że mu przedstawiono młodzieńca z wielkiego świata; może rad był zrobić użytek ze swojej prerogatywy, kładąc niejako na akcie prezentacji ambasadorski podpis; lub może przez gust do archaizmu chciał wskrzesić na rzecz księcia Rzeszy pochlebny dlań obyczaj, żądający dla prezentacji pary chrzestnych rodziców.

³⁸⁵*refrakcja* — załamanie promieni świetlnych, odchylenie kierunku rozchodzenia się światła przy przejściu do innego ośrodka. [przypis edytorski]

³⁸⁶*nie zrealizowałam* — tu: z ang. *I haven't realized*: nie zauważyłam, nie zdałam sobie sprawy. [przypis edytorski]

Pani de Villeparisis przywołała pana de Norpois, czując potrzebę powiedzenia mi jego ustami, że nie ma powodu żalować, iż nie zna pani Leroi.

— Nieprawdaż, panie ambasadorze, że pani Leroi jest osobą nieciekawą, niedorastającą wszystkich tych, które bywają tutaj, i że miałam rację nie starając się jej ściągnąć?

Ale pan de Norpois — byli to skutek niezależności czy znużenia? — poprzestał na pełnym szacunku, ale nic niemówiącym ukłonie.

— Wie pan — rzekła doń pani de Villeparisis ze śmiechem — zdarzają się ludzie bardzo pocieszni. Czy pan uwierzy, że miałam dziś wizytę pewnego jegomościa, który chciał we mnie wmówić, iż większą sprawia mu przyjemność ucałować rękę moją niż rękę młodej kobiety.

Zrozumiałem natychmiast, że to był Legrandin. Pan de Norpois uśmiechnął się z lekkim zmrużeniem powiek, jak gdyby chodziło o pożądlivość tak naturalną, że niepodobna mieć jej za złe komuś, kto jej doznaje; niemal o początek romansu, który ambasador gotów był rozgrzeszyć, nawet protegować, z przewrotną pobłażliwością *à la Voisenon*³⁸⁷ lub *à la Crébillon-junior*³⁸⁸.

— Mało która ręka młodej kobiety byłaby zdolna zrobić to, co widzę tutaj — rzekł niemiecki *Prinz*³⁸⁹, wskazując akwarele zaczęte przez panią de Villeparisis.

I spytał jej, czy widziała kwiaty Fantin-Latour³⁹⁰, których właśnie była wystawa.

— Pierwszorządne są; Fantin-Latour to, jak się dziś mówi, tęgi pędzel, prawdziwy mistrz palety — oświadczył pan de Norpois — mimo to znajduję, że jego prace nie wytrzymują porównania z kwiatami pani de Villeparisis, w których lepiej czuje się kolorystę kwiatu.

Nawet uwzględnwszy, że stronniczość dawnego kochanka, nawyk pochlebstwa, opinie koterii podyktowały te słowa eks-ambasadorowi, dowodziły one jednak, na jakiej nicości prawdziwego smaku opiera się artystyczny sąd światowców, tak dowolny, że lada co wystarczy, aby kazać im pleść najgorsze brednie, których nie powstrzyma ani nie pohamuje żadne naprawdę szczere wrażenie.

— Nie mam żadnej zasługi w tym, że się znam z kwiatami — odparła skromnie pani de Villeparisis — zawsze żyłam na wsi. Ale — dodała z wdziękiem, zwracając się do księcia — jeżeli sobie przyswoiłam za młodu wiedzę nieco poważniejszą niż inne dzieci wsi, zawdzięczam to bardzo niepospolitemu ziomkowi pańskiemu, panu von Schlegel³⁹¹. Spotkałam go w Broglie, dokąd mnie wzięła ciotka moja Kordelia (marszałkowa de Castellane³⁹²). Przypominam sobie doskonale, że pan Lebrun³⁹³, pan de Salvandy³⁹⁴, pan Doudon³⁹⁵ wyciągnęli go na rozmowę o kwiatkach. Byłam kompletnym dzieckiem, nie mogłam dobrze zrozumieć, co on mówi. Ale on lubił się bawić ze mną, wróciwszy zaś do swego kraju, przysłał mi piękny zielnik na pamiątkę wspólnego spaceru faetonem³⁹⁶ do Val Richer, kiedy to zasnęłam na jego kolanach. Zachowałam ten zielnik; nauczył mnie odróżniać wszystkie właściwości kwiatów, które inaczej nie byłyby mnie uderzyły. Kiedy pani de Barante ogłosiła nieco listów pani de Broglie³⁹⁷, pięknych i afektowanych jak ona sama, spodziewałam się znaleźć tam jakąś rozmowę z panem von Schlegel. Ale to była kobieta, która szukała w naturze jedynie argumentów na rzecz religii.

³⁸⁷ *Voisenon, Claude-Henri de Fusée de* (1708–1775) — francuski dramaturg i prozaik, duchowny; przyjaciel Woletra; pisał libertyńskie, frywolne powieści. [przypis edytorski]

³⁸⁸ *Crébillon, Prosper Jolyot de* (1707–1777) — francuski pisarz, librytyn, autor skandalicznych powieści, które obrazowały kulisy życia salonowego, oraz opowiadań o tematyce erotycznej (*Noc i chwila, Igraszki kącika przy kominku*); zwany Crébillonem młodszym (juniozem) dla odróżnienia od jego ojca, autora przesyconych grozą tragedii, noszącego te same imiona. [przypis edytorski]

³⁸⁹ *Prinz* (niem.) — książę. [przypis edytorski]

³⁹⁰ *Fantin-Latour, Henri* (1836–1904) — francuski malarz i grafik; najbardziej znany z obrazów kompozycji kwiatowych, martwych natur oraz realistycznych portretów. [przypis edytorski]

³⁹¹ *Schlegel, Wilhelm von* (1767–1845) — niemiecki poeta, krytyk literacki filolog i tłumacz, brat Friedricha Schlegela, współtwórca idei romantyzmu. [przypis edytorski]

³⁹² *Castellane, Louise Cordélia* (1796–1847) — córka bankiera Louisa Greffulhe, żona Bonifacego de Castellane, oficera, marszałka Francji; prowadziła znany salon polityczny i literacki. [przypis edytorski]

³⁹³ *Lebrun, Pierre-Antoine* (1785–1873) — francuski poeta, dramaturg i polityk. [przypis edytorski]

³⁹⁴ *Salvandy, Narcisse Achille* (1795–1856) — francuski pisarz i polityk. [przypis edytorski]

³⁹⁵ *Doudan, Ximénès* (1800–1872) — francuski dziennikarz, krytyk, moralista. [przypis edytorski]

³⁹⁶ *faeton* — czterokołowy sportowy powóz. [przypis edytorski]

³⁹⁷ *Broglie, Albertine de* (1797–1838) — córka pani de Staël, francuskiej publicystki i powieściopisarki, żona polityka Achillesa Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

Robert odwołał mnie w głąb salonu, gdzie był z matką.

— Jaki ty byłeś miły — rzekłem — jak ci podziękować! Czy będziesz mógł zjeść ze mną obiad jutro?

— Jutro, dobrze, jeżeli chcesz, ale w takim razie i z Blochem; spotkałem go przed bramą; po chwili chłodu, bo mimo chęci zostawiłem bez odpowiedzi jego dwa listy (nie powiedział mi, że to go zmroziło, ale domyśliłem się), był dla mnie tak czuły, że nie mogę się okazać niewdzięczny wobec takiej przyjaźni. Czuję, z jego strony przynajmniej, że to jest między nami na śmierć i życie.

Nie sądzę, aby Saint-Loup absolutnie się mylił. Wieszanie na kimś psów było często u Blocha skutkiem żywej sympatii, o ile Bloch przypuszczał, że jej ktoś nie odwzajemnia. Że zaś mało wnikał w życie innych, nie przychodziło mu na myśl, że ktoś może być chory albo w podróży itd. Tydzień milczenia zaraz mu się wydawał wpływem rozmyślnego chłodu. Toteż nigdy nie sądziłem, aby jego najgorsze wybuchy jako przyjaciela, a później jako pisarza, były zbyt głębokie. Dochodziły szczytu, gdy ktoś odpowiadał na nie chłodną godnością lub płaszczaniem się, które zachęcało go do zdawania razów; ale ustępowały często wobec gorącej sympatii.

— Co się tyczy nas obu — dodał Saint-Loup — twierdzisz, że byłem miły dla ciebie; ależ ja nic nie zrobiłem! Ciotka Oriana twierdzi, że to ty jej unikasz, że do niej nie mówisz ani słowa. Zastanawia się, czy ty nie masz czego przeciwko niej?

Szczęściem dla mnie, gdybym się dał omamić tym słowom, bliski wyjazd do Balbec przeszkodziłby mi próbować widzieć panią de Guermantes, zapewnić ją, że nic nie mam przeciwko niej, i zmusić ją do okazania mi, że ona ma coś przeciwko mnie. Ale wystarczało mi przypomnieć sobie, że nie zaproponowała mi nawet obejrzenia Elstirów. Zresztą to nie był zawód; nie spodziewałem się wcale, aby mi pani de Guermantes wspomniała o tym; wiedziałem, że się jej nie podobam, że nie mogę marzyć o tym, aby mnie pokochała; wszystko, czegom mógł pragnąć, to abym dzięki jej dobroci zachował z niej — skorom nie miał jej ujrzeć przed wyjazdem z Paryża — wrażenie całkowicie słodkie, które bym uniósł do Balbec, przedłużone w nieskończoność, nietknięte, zamiast wspomnienia zaprawnego lękiem i smutkiem.

Co chwilę pani de Marsantes przerywała rozmowę z Robertem, aby mi powiedzieć, jak często on jej mówił o mnie, jak on mnie bardzo kocha; była dla mnie tak serdeczna, że mi to robiło niemal przykrość, bo czułem w tym jej obawę pogńiewania syna, którego jeszcze nie widziała dzisiaj, z którym pragnęła co rychlej zostać sama i na którego własny jej wpływ nie dorównywał, jak sądziła, mojemu: stąd potrzeba liczenia się ze mną. Usłyszawszy poprzednio, że pytał Blocha o pana Nissima Bernard, jego wuja, pani de Marsantes spytała, czy to ten, który dawniej mieszkał w Nicei.

— W takim razie znał mego męża jeszcze jako kawalera — odparła. — Mąż mówił mi często o nim jak o najlepszym człowieku, o delikatnym i szlachetnym sercu.

„Powiedzieć, że ten jeden raz nie skłamał; to nie do wiary!” — pomyślałby Bloch.

Przez cały czas byłbym pragnął zapewnić panią de Marsantes, że Robert jest do niej nieskończenie więcej przywiązany niż do mnie i że gdyby mi ona nawet okazała niechęć, nie byłbym zdolny buntować syna przeciw niej, odciągnąć go od niej. Ale od czasu jak pani de Guermantes poszła, mogłem swobodniej obserwować Roberta; wówczas dopiero spostrzegłem, że znów wzbiera w nim gniew, napływając do jego twardej i posępnej twarzy. Bałem się, aby na wspomnienie popołudniowej sceny nie czuł się upokorzony wobec mnie, że dał sobą tak bezkarnie poniewierać kochance.

Wyrwał się gwałtownie matce, która mu okoliła szyję ramieniem, podszedł do mnie, pociągnął mnie poza stół z kwiatami, przy którym siedziała pani de Villeparisis, i dał mi znak, abym się udał za nim do saloniku obok. Skierowałem się tam dość żywo, kiedy pan de Charlus, przypuszczając może, że ja już wychodzę, opuścił nagle pana von Faffenheim, z którym rozmawiał, i skręcił tak, że się znalazł na wprost mnie. Ujrzałem z niepokojem, że on bierze kapelusz, w którym było owo „G” z koroną księżęcą. W drzwiach do saloniku baron rzekł, nie patrząc na mnie:

— Ponieważ widzę, że pan teraz bywa w świecie, niech mi pan zrobi tę przyjemność i odwiedzi mnie kiedyś. Ale to dosyć skomplikowane — dodał niedbale, a zarazem obliczając coś w myśli, tak jakby chodziło o przyjemność, której by już nie odnalazł, skoro by przepuścił sposobność omówienia ze mną warunków jej ziszczenia. — Rzadko bywam

w domu, musiałby pan napisać do mnie. Ale wolałbym to panu wytłumaczyć spokojniej. Wychodzę za chwilę. Czy zechce pan przejść ze mną kilka kroków? Nie zatrzymam pana długo.

— Racz pan pozwolić, że panu zwrócę uwagę — rzekłem. — Wziął pan przez omyłkę kapelusz kogoś z gości.

— Nie wolno mi wziąć własnego kapelusza?

Przypuszczałem — ile że to samo zdarzyło mi się nieco przedtem — że ktoś mu zabrał kapelusz i że baron wybrał sobie na chybił trafił jakiś inny, aby nie wracać z gołą głową; zapewne wprawili go w zakłopotanie, odsłaniając jego podstęp. Oświadczyłem panu de Charlus, że muszę przedtem coś powiedzieć Robertowi.

— Rozmawia właśnie z tym idiotą księciem de Guermantes.

— To śliczne, co pan mówi, powtórzę to mojemu bratu.

— A, pan myśli, że to może interesować pana de Charlus? (Wyobrażałem sobie, że jeżeli baron ma brata, ten brat musi się nazywać również Charlus. Saint-Loup dał mi wprawdzie jakieś objaśnienia w tej mierze w Balbec, ale zapomniałem ich).

— Kto panu mówi o panu de Charlus? — rzekł baron impertynencko. — Niech pan idzie do Roberta. Wiem, że pan brał dziś udział w jednej z orgii uprawianych z kobietą, która go okrywa hańbą. Powinien by pan użyć na niego swego wpływu, aby zrozumiał zgryzotę, jaką sprawia biednej matce i nam wszystkim, włączając nasze nazwisko w błocie.

Byłbym rad odpowiedzieć, że na owym hańbiącym śniadaniu mówiło się tylko o Emersonie³⁹⁸, o Ibsenie³⁹⁹, o Tolstoj⁴⁰⁰ i że młoda kobieta prawila Robertowi kazanie, żeby pił tylko wodę; aby dać jakąś pociechę Robertowi, który musiał cierpieć w swojej dumie, starałem się wybielić jego kochankę. Nie wiedziałem, że w tej samej chwili, mimo iż wściekły na nią, on obsypuje samego siebie wymówkami. Nawet w kłótniach między kimś dobrym a kimś złym i kiedy słuszność jest całkowicie po jednej stronie, zawsze bywa, iż jakaś błahostka może dać osobie złej pozór słuszności na jednym punkcie, wszystkie zaś inne punkty osoba ta zlekceważy; byle tedy ów człowiek dobry trochę jej potrzebował, byle był przybity zerwaniem, przygnębienie jego obudzi w nim skrupuły, przypomni mu niedorzeczne wymówki, jakimi go obsypano, przy czym zapyta sam siebie, czy nie były poniekąd sprawiedliwe.

— Zdaje się, że źle postąpił w tej sprawie z naszymi — rzekł do mnie Robert. — Oczywiście, nie robiłem tego w złej intencji, ale rozumiem, że ktoś może patrzeć na rzeczy z innego punktu niż my sami. Rachel miała dzieciństwo bardzo ciężkie. Dla niej ja jestem mimo wszystko bogacz, który myśli, że wszystko osiągnie pieniędzmi i z którym biedny nie może walczyć, czy by chodziło o decyzję Boucheron, czy o proces sądowy. Niewątpliwie ona była bardzo okrutna; ja przecie zawsze chciałem tylko jej dobra. Ale zdaję sobie sprawę: ona sądzi, iż ja chciałem jej dać uczuć, że ją można trzymać pieniędzmi, a to nie jest prawda. Ona, która mnie tak kocha, co ona musi myśleć! Biedna mała, gdybyś ty wiedział... Ona ma tyle delikatności, nie umiem ci powiedzieć... często robiła dla mnie rzeczy czarujące. Jakaż ona musi być nieszczęśliwa w tej chwili! W każdym razie, co bądź się stanie, nie chcę, żeby mnie brała za bydlaka, leć do Boucheron, zamówić kocię. Kto wie, widząc, że ja postępuję w ten sposób, może uznać swoje winy. Widzisz, ja nie mogę znieść myśli, że ona cierpi w tej chwili. To, co się cierpi samemu, to się wie; to nie jest nic. Ale powiedzieć sobie, że ona cierpi, i nie móc sobie tego wyobrazić... mam wrażenie, że bym oszalał; wolałbym raczej nie widzieć jej nigdy niż pozwolić jej cierpieć. Niech będzie szczęśliwa beze mnie, skoro tak być musi, to wszystko, czego żądam. Słuchaj, wiesz, dla mnie wszystko, co jej dotyczy, jest olbrzymie, nabiera czegoś kosmicznego... leć do jubilerza i potem przeproszę ją. Aż do tego czasu co ona będzie sobie o mnie

³⁹⁸ Emerson, Ralph Waldo (1803–1882) — amerykański eseista, poeta i filozof, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli i pisarzy XIX w.; przedstawiciel transcendentalizmu. [przypis edytorski]

³⁹⁹ Ibsen, Henrik (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu; autor m.in. dramatów *Nora czyli dom lalki* oraz *Dzika kaczką*. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰ Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. powieści: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]

myślała! Gdyby choć wiedziała, że ja przyjdę! W każdym razie mógłbyś zajść do niej; kto wie, wszystko się może ułożyć. Może — rzekł z uśmiechem, jakby nie śmiejąc uwierzyć w takie marzenie — pojedziemy wszyscy troje na obiad na wieś. Ale nie można jeszcze wiedzieć; ja tak nie umiem z nią postępować; biedna mała, znów ją może tylko zranić. A przy tym jej decyzja jest może nieodwołalna.

Robert pociągnął mnie gwałtownie do swojej matki.

— Do widzenia — rzekł do niej — muszę jechać. Nie wiem, kiedy znów dostanę przepustkę, z pewnością nie przed miesiącem. Napiszę ci, skoro będę wiedział.

Z pewnością Saint-Loup nie był z tych synów, którzy będąc w towarzystwie z matką, sądzą, iż opryskliwość w stosunku do niej powinna zrównoważyć uśmiechy i ukłony, jakie znajdują dla obcych. Nic powszechniejszego niż ten ohydny odwet tych, co zdają się wierzyć, że grubiaństwo wobec swoich dopełnia w zupełnie naturalny sposób galowego stroju. Cokolwiek biedna matka powie, syn jej, tak jakby go wyciągnięto z domu wbrew woli i jakby chciał jej drogą dać opłacić swoją obecność, gasi natychmiast ironicznym, precyzyjnym i okrutnym sprzeciwem każde nieśmiało wygłoszone zdanie; daremnie matka poddaje się natychmiast — nie mogąc go tym ułagodzić — opinii syna, tej wyższej istoty: ona będzie sławiła poza oczy jego uroczy charakter, a on nie oszczędził jej najdokuczliwszych szpileczek! Saint-Loup był całkiem inny; ale niepokój, jakim go nappełniała nieobecność Racheli, sprawiał, że z odmiennych przyczyn był dla swojej matki nie mniej przykry niż tamci synowie dla swoich. I na słowa, które wyrzekł, ujrzałem, jak zrywa się to samo trzepotanie, podobne trzepotaniu skrzydeł, jakiego pani de Marsantes nie mogła wstrzymać za przybyciem syna; ale teraz wlepiła w niego strwożoną twarz, zrozpaczone oczy:

— Jak to, Robercie, odchodzisz, serio? moje dzieciątko! Jedyny dzień, kiedy cię mogłam mieć!

I prawie po cichu, możliwie naturalnym tonem, starając się wygnać z głosu wszelki smutek, aby nie budzić w synu litości, która byłaby może dla niego okrutna lub też bezcelowa i zdolna go jedynie rozdrażnić, dodała na kształt prostego, rzeczowego argumentu:

— Wiesz, że to nie jest ładnie, to, co ty robisz.

Ale z tą prostotą łączyła tyle nieśmiałości, aby okazać synowi, że ona nie robi zamachu na jego swobodę, tyle czułości, aby jej nie mógł wyrzucać, że go krępuje w jego przyjemnościach, że Saint-Loup musiał dostrzec w sobie samym coś jakby możliwość rozczulenia się, to znaczy przeszkodę do spędzenia wieczoru z kochanką. Toteż wpadł w gniew:

— Bardzo żałuję. Ładnie czy nie, ale tak już jest.

I zaczął robić matce wymówki, czując z pewnością, że on sam może na nie zasługuje; w ten sposób egoiści mają zawsze ostatnie słowo; przyjąwszy za zasadę, że ich postanowienie jest nieodwołalne, im bardziej uczucie, do którego ktoś u nich apeluje, jest wzruszające, tym bardziej wydają się im godni potępienia nie oni sami, że się opierają, ale ci, co im narzucają konieczność oporu; twardość ich może sięgać ostatecznego okrucieństwa, przy czym twardość ta pomnaża jedynie w ich oczach winy istoty na tyle niedelikatnej, aby cierpieć, aby mieć rację i zadawać im tak niecnie ten ból, iż muszą działać wbrew własnej litości. Zresztą pani de Marsantes sama z siebie przestała nalegać, bo czuła, że go już nie zatrzyma.

— Zostawiam cię — rzekł do mnie — ale niech go mama nie trzyma długo, bo on koniecznie musi iść zaraz z wizytą.

Czułem, iż moja obecność nie może zrobić żadnej przyjemności pani de Marsantes; ale wołałem nie odchodzić razem z Robertem, aby nie myślała, że ja mam udział w przyjemnościach, które ją pozbawiają syna. Byłbym pragnął znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Roberta, mniej przez przyjaźń dla niego niż przez litość dla niej. Ale ona przemówiła pierwsza:

— Biedny mały — rzekła — jestem pewna, że mu zrobiłam przykrość. Widzi pan, drogi panie, matki są bardzo samolubne; on nie ma przecież tak wiele przyjemności, tak rzadko przyjeżdża do Paryża. Mój Boże, gdyby jeszcze nie wyszedł, chciałabym go móc złapać, nie aby go zatrzymać, ale aby mu powiedzieć, że nie mam do niego żalu, uważam, że on miał rację. Czy to panu nic nie szkodzi, że ja wyjrzę na schody?

Wyszliśmy razem.

— Robercie, Robercie! — wołała. — Nie, już poszedł, spóźniłam się.

Egoizm, Cierpienie,
Sumienie, Okrucieństwo

Teraz byłbym się równie chętnie podjął misji rozłączenia Roberta z kochanką, jak przed kilku godzinami misji ułatwienia im wspólnej podróży i w ogóle współżycia. W jednym wypadku Saint-Loup uznałby mnie za zdrajcę, w drugim rodzina nazwałaby mnie jego złym duchem. A przecież byłem tym samym człowiekiem na przestrzeni kilku godzin.

Wróciliśmy do salonu. Nie widząc Roberta, pani de Villeparisis wymieniła z panem de Norpois owo pytające, drwiące i niezbyt współczujące spojrzenie, jakie ma ktoś, pokazując zbyt zazdrosną żonę albo zbyt czułą matkę, które dają z siebie widowisko; spojrzenie mające znaczyć: „Patrz pan, musiała być burza”.

Robert poszedł do kochanki, przynosząc jej wspaniałą klejnot, którego, w myśl ich układu, nie powinien był jej dać. Zresztą to wyszło na jedno, bo ona nie wzięła naszyjnika; nawet później nigdy nie zdołał jej skłonić do przyjęcia. Niektórzy przyjaciele Roberta sądzili, że te jej dowody bezinteresowności są wyrachowaniem mającym go przywiązać tym mocniej. Ale jej nie zależało na pieniądzach, wyjąwszy może na to, aby móc wydawać bez rachuby. I widziałem, jak rozdawała je na prawo i lewo ludziom, o których myślała, że są biedni. „W tej chwili — mówili Robertowi przyjaciele, aby przeciwważyć złymi słowami jakiś bezinteresowny postępek Racheli — w tej chwili spaceruje w hallu »Folies Bergère«⁴⁰¹. Ta Rachela to zagadka, to prawdziwy sfinks”. Ileż zresztą widzimy kobiet interesownych (czego dowodem, że idą na utrzymanie), jak przez delikatność, zakwitającą czasami w tej sferze, same powściągną tysiącem nieuchwytnych granic hojność swego kochanka!

Robert nie wiedział bez mała nic o zdradach kochanki i truł się w myśli tym, co było jedynie błahostką wobec prawdziwego życia Racheli, życia zaczynającego się co dzień dopiero wówczas, gdy on się z nią pożegnał. Nie wiedział prawie nic o tych zdradach. Można by mu powiedzieć o nich, nie osłabiając jego wiary w Rachelę. Bo uroczym prawem natury, objawiającym się w najbardziej złożonych społeczeństwach, jest to, że człowiek żyje w całkowitej nieznajomości przedmiotu ukochania. Z jednej strony zwierciadła, kochanek powiada sobie: „To anioł, nigdy nie zgodzi się należeć do mnie, pozostaje mi tylko umrzeć, a przecież ona mnie kocha; kocha mnie tak, że kto wie... ale nie, to niemożliwe”. I w egzaltacji swoich pragnień, w niepokoju oczekiwania, ileż klejnotów składa u stóp tej kobiety, zapożycza się, aby jej oszczędzić jakiejś troski; podczas gdy z drugiej strony ścianki, przez którą te rozmowy nie przechodzą, niby te, które wymieniają ludzie spacerujący przed akwariem, publiczność mówi: „Nie zna jej pan? Winszuję panu; ona okradła, zrujnowała nie wiem ilu mężczyzn; nie ma gorszej dziwki jak ona. To skończona hultajka. I jaka szczwana!”. I może publiczność nie całkiem się myli co do ostatniego epitetu, bo nawet człowiek sceptyczny, który nie jest naprawdę zakochany w tej kobiecie i któremu się ona tylko podoba, powiada do przyjaciół: „Ależ nie, mój drogi, to wcale nie jest kokota. Nie powiem, aby w swoim życiu nie miała paru epizodów, ale to nie jest kobieta, której się płaci; to by było stanowczo za drogo! Z nią — to pięćdziesiąt tysięcy franków albo nic”. Otóż ten człowiek wydał dla niej pięćdziesiąt tysięcy franków, miał ją raz, ale ona — znajdując zresztą współnika w nim samym, w jego próżności — umiała mu wmówić, że on był z tych, którzy ją mieli gratis. Takie jest społeczeństwo, gdzie każda istota jest podwójna i gdzie człowieka najbardziej przejrzanego na wylot, najbardziej osławionego, jakiś inny człowiek będzie znał niby pod osłoną muszli, miękkiego kokona, rozkosznej naturalnej ciekawości. Było w Paryżu dwóch godnych ludzi, którym Saint-Loup się nie kłaniał i o których nie mógł mówić bez drżenia w głosie, nazywając ich sutenerami; a to dlatego, że ich zrujnowała Rachela.

— Wyrzucam sobie tylko jedno — rzekła po cichu pani de Marsantes — niepotrzebnie powiedziałam Robertowi, że on jest dla mnie niedobry. Jemu, temu cudownemu, jedynemu, niezrównanemu synowi, widząc go nareszcie, powiedzieć, że nie jest dobry! Wolałabym, żeby mnie wybito kijem, bo jestem pewna, że jakakolwiek przyjemność miała go spotkać dziś wieczór (biedny mały, nie ma ich wiele!), zepsuje mu ją to krzywdzące słowo. Ale nie zatrzymuję drogiego pana, skoro się pan spieszy.

⁴⁰¹*Folies Bergère* — paryska sala koncertowa, najbardziej popularna na przełomie XIX i XX w.; zyskała sławę dzięki wystawianym tam przedstawieniom muzycznym, w których często kobiety pokazywały się w skąpych kostiumach. [przypis edytorski]

Pani de Marsantes pożegnała mnie ze wzruszeniem. Uczucie to odnosiło się do Roberta, była szczerą. Ale przestała nią być, aby się stać z powrotem wielką damą:

— Bardzo mnie pan *zainteresował*, byłam *szczęśliwa*, że mogła z panem porozmawiać. Dziękuję, dziękuję!

I z pokorną miną wlepiła we mnie spojrzenia wdzięczne, upojone, tak jakby moja rozmowa była jedną z największych przyjemności, jakich zaznała w życiu. Te urocze spojrzenia doskonale godziły się z czarnymi kwiatami w deseniach jej sukni; spojrzenia wielkiej damy, która zna swój fach.

— Ależ ja się nie spieszę, proszę pani; czekam zresztą na pana de Charlus, z którym się umówiłem.

Pani de Villeparisis usłyszała ostatnie słowa. Zdawała się nimi przykro uderzona. Gdyby nie chodziło o rzecz niezgodną z porządkiem tej kategorii uczuć, miałbym wrażenie, że uczuciem urażonym w pani de Villeparisis w tej chwili była wstydlivość. Ale ta hipoteza nie przeszła mi nawet przez głowę. Byłem rad z pani de Guermantes, z Roberta, z pani de Marsantes, z pana de Charlus, z pani de Villeparisis, nie zastanawiałem się, paplałem wesoło na prawo i lewo.

— Pan ma wyjść z moim kuzynem Palamedem? — rzekła margrabina.

Myśląc, że fakt mojej zażyłości z siostrzeńcem, którego ceniła tak wysoko, może wywrzeć korzystne wrażenie na pani de Villeparisis, odparłem z radością:

— Prosił mnie, abyśmy wyszli razem. Bardzo mnie to ucieszyło. Jesteśmy zresztą z sobą bliżej, niż pani przypuszcza, a jestem gotów uczynić wszystko, aby być z nim jeszcze bliżej.

Niezadowolenie pani de Villeparisis zmieniło się w wyraźną troskę.

— Niech pan na niego nie czeka — rzekła z naciskiem. — Rozmawia z panem von Faffenheim, z pewnością nie pamięta już tego, co panu mówił. Niech pan idzie, niech pan prędko korzysta z tego, że on jest odwrócony tyłem.

Pierwszy niepokój pani de Villeparisis podobny był (ale skąd?) do odruchu zawstydzenia. Jej naleganie, jej sprzeciw — gdyby sędzić jedynie z wyrazu twarzy — mogłyby się zdawać dyktowane cnotą. Co do mnie, wcale mi nie było pilno do Roberta i jego przyjaciółki. Ale pani de Villeparisis tak widocznie zależało na tym, abym się zabrał, że myśląc, iż ma do pomówienia z siostrzeńcem o coś ważnego, pożegnałem ją. Obok niej siedział ciężko w fotelu pan de Guermantes, wspaniały i olimpijski. Można by rzec, że rozlana w jego członkach i wszechobecna świadomość wielkich bogactw daje mu szczególną gęstość, tak jakby te bogactwa stopiono w tyglu w jedną sztabę ludzką, aby stworzyć tego tak drogiego człowieka. Kiedyś go żegnał, podniósł się grzecznie z krzesła: uczułem bezwładną masę trzydziestu milionów, poruszonych z miejsca i podtrzymywanych starym francuskim wychowaniem, stojącą naprzeciw mnie. Zdawało mi się, że widzę posąg owego Olimpijskiego Jowisza⁴⁰², który Fidiasz⁴⁰³, jak powiadają, odlał cały w złocie. Taka była władza, jaką dobre wychowanie miało nad panem de Guermantes, nad ciałem pana de Guermantes przynajmniej, bo nie panowało ono równie przemożnie nad duchem księcia. Pan de Guermantes śmiał się ze swoich dowcipów, ale nie rozchmurzały go dowcipy innych.

Na schodach usłyszałem za sobą głos:

— Więc tak pan na mnie czeka!

Był to pan de Charlus.

— Nic panu nie szkodzi przejść kilka kroków pieszo? — rzekł sucho, kiedyśmy się znaleźli w dziedzińcu. — Przejdziemy się, aż znajdzie fiakra, który by mi się nadał.

— Chciał pan o czymś ze mną mówić, panie baronie?

— A tak, prawda, chciałem w istocie powiedzieć panu pewne rzeczy; ale nie jestem pewien, czy mu je powiem. Niewątpliwie, sędzę, że mogłyby się stać dla pana zaczątkiem nieobliczalnych korzyści. Ale przeczuwam również, że wniosłyby one w moją egzystencję,

⁴⁰²Jowisz a. Jupiter (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

⁴⁰³Fidiasz (490–430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpii, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

w wieku, gdy człowiek zaczyna tęsknić za spokojem, dużo straty czasu, dużo zamętu. Pytam sam siebie, czy pan jesteś wart, abym sobie zadawał dla niego tyle kłopotu, a nie mam przyjemności znać pana na tyle, aby go osądzić. Może też nie pragnie pan w tym stopniu tego, co mógłbym zrobić dla pana, abym sobie miał zadać tyle utrapień, bo powtarzam bardzo szczerze, dla mnie to może być jedynie utrapieniem.

Okrzyknąłem się, że w takim razie nie trzeba nawet o tym myśleć. Abnegacja ta nie zdawała się być w guście barona.

— Te ceremonie nie znaczą nic — rzekł twardo. — Nie ma nic przyjemniejszego niż zadawać sobie trudy dla osoby, która jest tego warta. Dla najlepszych spomiędzy nas sztuka, antyki, kolekcje, ogród to są tylko namiastki, *ersatz*, alibi. Z głębi naszej beczki, jak Diogenes⁴⁰⁴, wołamy człowieka. Hodujemy begonie, strzyżemy cyprysy w braku czegoś lepszego, dlatego że cyprysy i begonie dają z sobą robić, co chcemy. Ale wolelibyśmy oddać swój czas roślinie ludzkiej, gdybyśmy byli pewni, że jest tego warta. W tym mieści się cała kwestia: pan musi znać trochę siebie samego. Czy pan jesteś wart, czy nie?

— Nie chciałbym, proszę pana, za nic w świecie sprawić mu kłopotów — rzekłem — ale co się tyczy mojej przyjemności, niech mi pan wierzy, że wszystko, co pochodzi od pana, sprawi mi wielką przyjemność. Jestem głęboko wzruszony, że pan zwrócił na mnie uwagę i że pan pragnie być mi użyteczny.

Ku memu zdumieniu baron podziękował mi za te słowa niemal z zapalem. Wziął mnie pod ramię z tą nagłą poufalością, która mnie już uderzyła w Balbec i która stanowiła kontrast z oschłością jego tonu.

— Zważywszy niedoświadczenie pańskiego wieku — odparł — mógłby pan wyrzec czasami słowa zdolne wykopać między nami przepaść nie do przebycia. Przeciwnie, to, coś pan rzekł przed chwilą, to są właśnie rzeczy zdolne mnie wzruszyć i kazać mi wiele uczynić dla pana.

Wciąż idąc ze mną pod ramię i wymawiając te słowa, które mimo domieszki czegoś wzgardliwego były tak serdeczne, pan de Charlus wpijał we mnie owe uporczywe, przenikliwe, twarde spojrzenia, które mnie uderzyły pierwszego rana, kiedy go ujrzałem pod kasynem w Balbec, a nawet wiele lat wprzód, koło różowego głogu, obok pani Swann, którą brałem wówczas za jego kochankę, w parku w Tansonville. To znów, za chwilę, pozwalał błędzić tym spojrzeniom dokoła i badać fiakry (które o tej godzinie zmiany były dość liczne) tak pilnie, że niejeden z nich zatrzymał się, bo woźnica myślał, że chcemy wsiąść. Ale pan de Charlus odprawiał go natychmiast.

— Żaden nie jest dla mnie — rzekł — cała rzecz to kwestia latarni, dzielnicy, do której wracają. Pragnąłbym, proszę pana — rzekł — aby się pan nie omylił co do na wskroś bezinteresownego i altruistycznego charakteru propozycji, jaką panu zrobię.

Uderzyło mnie (bardziej jeszcze niż w Balbec), jak dalece dykcja barona podobna była do sposobu mówienia Swanna.

— Jest pan dosyć inteligentny, jak sądzę, aby nie przypuszczać, że to przez „brak stosunków”, z obawy samotności i nudy, zwracam się do pana. Nie lubię dużo mówić o sobie, ale ostatecznie, wie pan może — dość głośny artykuł „Timesa” robi do tego aluzję — że cesarz austriacki, który mnie zawsze zaszczycał życzliwością i który raczy utrzymywać ze mną kuzynowskie stosunki, oświadczył świeżo w rozmowie (która się stała publiczną), że gdyby hrabia de Chambord⁴⁰⁵ miał przy sobie człowieka znającego równie gruntownie jak ja podszewki polityki europejskiej, byłby dzisiaj królem Francji. Często myślałem, że jest we mnie — nie z racji moich nikłych darów, ale dzięki okolicznościom, które pan poznasz może kiedyś — skarb doświadczenia, rodzaj tajnego i nieoszacowanego *dossier*⁴⁰⁶, którego nie uważałem za właściwe spożytkować osobiście, ale które jest bez ceny dla młodego człowieka, dostającego ode mnie w ręce w ciągu kilku miesięcy to, na czego nabycie obróciłem więcej niż trzydzieści lat i co może posiadam sam jeden.

⁴⁰⁴*Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel cyników; , znany z pogardy wobec dóbr materialnych i wygod; wg legendy mieszkał w beczce; chodził po mieście w dzień z zapaloną latarnią, a pytającym, co robi, odpowiadał: „szukam człowieka”. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵*Henri d'Artois* (1820–1883) — książę Bordeaux, nieproklamowany król Francji w dniach 2–9 sierpnia 1830 jako Henryk V, następnie legitymistyczny pretendent do tronu francuskiego; po proklamowaniu monarchii lipcowej wyjechał z kraju, używając tytułów „Henryk V” i „hrabia de Chambord”. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*dossier* (fr.) — zbiór dokumentów dotyczących jakiejś osoby lub sprawy. [przypis edytorski]

Nie mówię o rozkoszach intelektualnych, jakie by pan znalazł, dowiadując się pewnych sekretów, za których poznanie jakiś Michelet⁴⁰⁷ naszych czasów oddałby lata życia i dzięki którym pewne wypadki przybrałyby w jego oczach zupełnie odmienną postać. I nie tylko mówię o faktach spełnionych, ale o łańcuchu okoliczności (było to jedno z ulubionych wyrażeń pana de Charlus i często, kiedy je wymawiał, składał obie ręce tak, jak się czyni do modlitwy, ale ze sztywnymi palcami, jak gdyby chcąc wyrazić tym gestem ów splot okoliczności, których nie określał bliżej, oraz ich zazębienie się). Dałbym panu nieznaną wykład nie tylko przeszłości, ale przyszłości.

Tu pan de Charlus przerwał, aby mi postawić kilka pytań co do Blocha, o którym mówiono (sądziłem, że baron wówczas nie słuchał) u pani de Villeparisis. I intonacją umiał tak dobrze punktować to, co mówił, że zdawało się, iż myśli całkiem o czym innym, a mówi machinalnie; przez prostą uprzejmość spytał mnie, czy mój kolega jest młody, przystojny itd. Gdyby go Bloch słyszał, byłby jeszcze w większym kłopotcie niż z panem de Norpois (mimo iż dla bardzo odmiennych przyczyn), chcąc zgadnąć, czy pan de Charlus jest za Dreyfusem, czy przeciw.

— Jeżeli pan chce rozwinąć swoją inteligencję — rzekł pan de Charlus, zadawszy mi kilka pytań dotyczących Blocha — nieźle pan robi, że wśród swoich przyjaciół ma pan paru cudzoziemców.

Odparłem, że Bloch jest Francuzem.

— A! — rzekł pan de Charlus — ja myślałem, że to Żyd!

Zaakcentowanie tej sprzeczności kazało mi przypuszczać, że pan de Charlus jest większym antydreyfusistą niż ktokolwiek z moich znajomych. Oświadczył się, przeciwnie, przeciw zarzutowi zdrady, o którą oskarżano Dreyfusa. Ale uczynił to w tej formie:

— Zdaje się, że dzienniki mówią, iż Dreyfus popełnił zbrodnię przeciw ojczyźnie; zdaje się, że tak mówią, bo ja nie zwracam uwagi na dzienniki, czytam je tak, jak myję ręce, nie znajdując, aby warto się było tym interesować. W każdym razie ta zbrodnia jest fikcją; rodak pańskiego przyjaciela popełniłby zbrodnię przeciw ojczyźnie, gdyby zdradził Judeę, ale co on ma wspólnego z Francją?

Napomknąłem, że gdyby była wojna, Żydów powołano by pod broń tak samo jak innych.

— Być może, i nie jest dowiedzione, czy to nie byłaby nieostrożność. Ale kiedy się sprowadza Senegalczyków albo Malgaszów, nie sądzę, aby oni wiele serca wkładali w obronę Francji, i to jest bardzo naturalne. Waszego Dreyfusa raczej by można skazać za naruszenie praw gościnności. Ale dajmy temu pokój. Może by pan poprosił swego przyjaciela, aby mnie wprowadził na jaką piękną uroczystość w bóżnicy, na jakieś obrzezanie, śpiewy żydowskie. Mogłby wynająć salę i urządzić dla mnie jakieś biblijne *divertissement*, jak panienki z Saint-Cyr⁴⁰⁸ grały sceny zaczerpnięte z *Psalmów* przez Racine'a dla rozrywki Ludwika XIV⁴⁰⁹. Moglibyście tam może nawet wprowadzić jakieś komiczne scenki. Na przykład walkę między pańskim przyjacielem i jego ojcem, w której syn by go zranił jak Dawid Goliata⁴¹⁰. To by mogła być farsa wcale uciechna. Mogłby nawet, skoro by się rozmachał, przetrzepać porządnie to ścierwo („ścierwo”, jak mówi moja służąca), swoją matkę. To by było bardzo ładne i mogłoby nam sprawić przyjemność, he, młody przyjacielu, skoro lubimy egzotyczne spektakle i skoro poturbować to pozaeuropejskie indywiduum znaczyłoby dać zasłużoną nauczki starej kłepie.

Mówiąc te okropne, niemal obłąkane słowa, pan de Charlus ścisnął mi ramię aż do bólu. Przypominałem sobie, że rodzina pana de Charlus cytowała wiele rysów anielskiej dobroci barona dla tej starej służącej, której molierowską gwarę przypominał w tej chwili; i powiadałem sobie, że byłoby interesujące ustalić mało dotąd zbadane stosunki między dobrocią a złością — mimo całej ich rozbieżności — w jednym i tym samym sercu.

⁴⁰⁷ *Michelet, Jules* (1798–1874) — francuski historyk, ceniony przede wszystkim za dzieła *Historia Francji* (1833–1867) oraz *Historia rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ *Saint-Cyr* — szkoła klasztorowa w pobliżu Wersalu, zał. w 1686 dla młodych dam z ubogich rodzin szlacheckich. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ *Ludwik XIV* (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

⁴¹⁰ *Dawid i Goliat* — postaci biblijne; młody pasterz Dawid w pojedynku pokonał Goliata, olbrzymiego filistyńskiego wojownika, wyrzuconym z procy kamieniem. [przypis edytorski]

Oznajmiłem baronowi, że w każdym razie pani Bloch już nie żyje, co zaś do starego Blocha, nie wiem, czy by mu przypadła do smaku zabawa, w której mógłby stracić oko. Pan Charlus był wyraźnie zirytowany:

— Bardzo nie w porę — rzekł — umarła ta kobieta. A co do wybitych oczu, właśnie Synagoga jest ślepa, nie widzi prawd Ewangelii. W każdym razie, pomyśl pan, w chwili gdy wszyscy ci nieszczęśni Żydzi drżą przed idiotyczną wściekłością chrześcijan, jakimż zaszczytem byłoby dla nich widzieć, że człowiek taki jak ja zniża się do bawienia się ich igraszkami.

W tej chwili spostrzegłem starszego pana Blocha, który minął nas, idąc zapewne naprzeciw syna. Nie widział nas, ale ofiarowałem się, że go przedstawię panu de Charlus. Nie domyślałem się gniewu, jaki rozpętam w swoim towarzyszcu:

— Przedstawić mi go! Ależ, doprawdy, pan nie ma najmniejszego poczucia walorów! Nie tak łatwo jest dostąpić zaszczytu mojej znajomości. W danym wypadku nieprzyzwoitość byłaby dubeltowa z przyczyny młodego wieku tego, kto przedstawia, i nikczemności tego, którego przedstawia. Co najwyżej, o ile wyprawia dla mnie to azjatyckie igrzysko, którego plan naszkicowałem przed chwilą, mógłbym zaszczyścić tę plugawą figurę paroma łaskawymi słowy. Ale pod warunkiem, że się wprzód da porządnie wygrzmocić swemu synowi. Wówczas mógłbym się posunąć do wyrażenia mu swojej satysfakcji.

Zresztą pan Bloch nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Idąc, złożył pani Sazerat głęboki ukłon, bardzo dobrze przez nią przyjęty. Zdumiało mnie to, bo niegdyś w Combray dama ta była oburzona, że rodzice przyjmują młodego Blocha, do tego stopnia była antysemitką. Ale dreyfusizm, jak wentylator, zaniósł aż do niej w ciągu kilku dni pana Blocha. Ojciec mego przyjaciela zachwycony był panią Sazerat; głaskał go zwłaszcza mile antysemityzm tej damy, który mu się wydał dowodem żywości jej wiary oraz szczerości jej dreyfusizmu, a zarazem przydawał ceny wizycie, do której go uprawniła. Nie uraziło go nawet, kiedy pani Sazerat przez nieuwagę rzekła w jego obecności: „Pan Drumont⁴¹¹ pakuje rewizjonistów do wspólnego worka z protestantami i Żydami. Przemile sąsiedztwo!”

„Bernardzie — z dumą powiedział za powrotem do domu pan Bloch do pana Nissim Bernard — ty wiesz, ona ma przesady!” Ale Nissim Bernard odpowiedział jedynie anielskim spojrzeniem wzniesionym ku niebu. Smucąc się niedolą Żydów, wspominając swoich przyjaciół chrześcijan, stając się z biegiem lat zmanierowanym i sztucznym z przyczyn, które poznamy później, robił obecnie wrażenie jakiejś prerafaelitycznej⁴¹² larwy, nieregularnie porosłej szczecią podobną do włosów utopionych w opalu.

— Cała ta sprawa Dreyfusa — ciągnął baron, wciąż trzymając mnie pod ramię — ma tylko jedną przykrą stronę: tę, że niszczy *towarzystwo* (nie powiadam „dobre towarzystwo”, od dawna już towarzystwo nie zasługuje na ten chlubny epitet) przez napływ pań i panów Łykowskich, Łykowiczów i Łykowieckich, słowem ludzi nieznanych, których spotykam nawet u swoich kuzynek, dlatego że należą do ligi patriotycznej, antyżydowskiej i sam już nie wiem jakiej, tak jakby opinie polityczne dawały prawo do pozycji socjalnej.

Ta światowa czczość tym bardziej zbliżała pana de Charlus do księżnej de Guermantes. Podniosłem to podobieństwo. Ponieważ baron zdawał się mniemać, że ja go nie znam, przypomniałem mu wieczór w Operze, gdzie wyraźnie chował się przede mną. Oświadczył tak stanowczo, że mnie wcale nie widział, iż byłbym w to w końcu uwierzył, gdyby niebawem drobna okoliczność nie kazała mi wnosić, że pan de Charlus, może przez nadmiar pychy, nie lubi, aby go ze mną widziano.

— Wróćmy do pana — rzekł — i do moich projektów na niego. Istnieje, drogi panie, między pewnymi ludźmi rodzaj masonerii, o której niepodobna mi bliżej mówić, ale która liczy w tej chwili w swoich szeregach czterech monarchów Europy. Otóż otoczenie jednego z nich chce go uleczyć z jego chimery⁴¹³. To jest rzecz bardzo poważna i może nas doprowadzić do wojny. Tak, drogi panie, absolutnie tak. Zna pan historię

⁴¹¹Drumont, Édouard (1844–1917) — francuski nacjonalista, publicysta i pisarz, założyciel Ligue antisémitique de France (Liga antysemitcka Francji) w 1889 oraz antysemitycznej gazety paryskiej „La Libre Parole” w 1892, jeden z najzacieklejszych oskarżycieli Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

⁴¹²prerafaelityczny — taki jak w prerafaelityzmie, kierunku w sztuce powstałym w XIX w. w Anglii, wzorującym się na sztuce włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

⁴¹³chimera — tu: urojenie, coś nierealnego, uluda. [przypis edytorski]

owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską⁴¹⁴. Było to szaleństwo. Uleczono go. Ale z chwilą, gdy się pozbył swego szaleństwa, kompletnie zgłupiał. Są choroby, których nie trzeba leczyć, bo właśnie chronią nas od innych, cięższych. Jeden z moich krewnych chorował na żołądek, nic nie mógł trawić. Najlepsi specjaliści od żołądka kurowali go bez skutku. Zaprowadziłem go do pewnego lekarza (też, mówiąc nawiasem, ciekawa figura, o której byłoby wiele do powiedzenia). Poznał natychmiast, że choroba jest czysto nerwowa, przekonał chorego o tym, kazał mu jeść bez obawy, co zechce, ręką, że wszystko dobrze strawi. Ale mój kuzyn miał także chore nerki. Żołądek trawił jedzenie wybornie, ale nerki nie mogły wydzielać, i mój kuzyn, zamiast żyć długie lata z urojoną chorobą żołądka, która go zmuszała do przestrzegania diety, umarł koło czterdziestki z wyleczonym żołądkiem, ale ze zrujnowanymi nerkami. Wyprzedzając tak olbrzymio swoje własne życie, staniesz się pan może tym, czym mógłby być wybitny człowiek minionych czasów, gdyby jakiś dobroczynny geniusz odkrył mu zasady pary i elektryczności nieznanne wszystkim innym. Nie bądź pan głuptasem, nie odmawiaj przez delikatność. Zrozum pan, że jeżeli ja panu oddaję wielką przysługę, umiem w zamian ocenić tę, którą pan mi może oddać. Od dawna już ludzie mego świata przestali mnie interesować; mam już tylko jedną namiętność: starać się okupić błędy własnego życia, dzieląc się swymi skarbami z duszą jeszcze dziewiczą i zdolną do płomienia entuzjazmu. Miałem wielkie zgryzoty, drogi panie, opowiem je panu może kiedyś; straciłem żonę, istotę najszlachetniejszą, najpiękniejszą, najdoskonalszą, jaką można wymarzyć. Mam młodych krewnych, którzy nie są, nie powiem: godni, ale nie są zdolni przyjąć moralnego dziedzictwa, o którym panu mówię. Kto wie, czy nie pan jesteś człowiekiem, w którego ręce ono może przejść, człowiekiem, którego życiem będę mógł pokierować i wznieść je tak wysoko! Moje życie zyskałoby na tym. Może wtajemniczając pana w wielkie sprawy dyplomatyczne, odnalazłbym samego siebie i dokonałbym wreszcie niezwykłych rzeczy, w których pan miałbyś udział. Ale zanim się o tym zapewnię, musiałbym pana widywać często, bardzo często, co dzień.

Chciałem skorzystać z tych dobrych intencji pana de Charlus, aby go poprosić, czy by nie mógł ułatwić mi zbliżenia ze swoją bratową; ale w tej chwili jak gdyby elektryczny wstrząs skreślił mi ramię. To pan de Charlus wyrwał spiesznie spod niego rękę. Mimo iż, mówiąc do mnie, cały czas biegał wzrokiem we wszystkich kierunkach, w tej chwili dopiero ujrzał pana d'Argencourt, wychodzącego z poprzecznej ulicy. Na nasz widok pan d'Argencourt zachnął się lekko, objął mnie nieufnym spojrzeniem, niemal takim, jakim mierzy się osobnika innej rasy, jakie pani de Guermantes miała dla Blocha. Próbował nas minąć; ale zdawałoby się, iż pan de Charlus chce okazać, że się nie stara bynajmniej kryć przed nim, bo przywołał go, aby mu powiedzieć jakąś rzecz zupełnie błahą. Obawiając się może, że mnie pan d'Argencourt nie poznał, baron zakomunikował mu, że jestem wielkim przyjacielem pani de Villeparisis, księżnej de Guermantes, Roberta de Saint-Loup, że on sam, Charlus, jest starym przyjacielem mojej babki, szczęśliwym, iż może przenieść na wnuka trochę swojej dla niej sympatii. Mimo to zauważyłem, że pan d'Argencourt, któremu ledwo wymieniono moje nazwisko u pani de Villeparisis, a któremu pan de Charlus obszernie teraz opowiadał o mojej rodzinie, był dla mnie chłodniejszy niż przed godziną i zachował ten chłód przez długi czas, ilekroć mnie spotkał. Obserwował mnie z ciekawością wyzutą z cienia sympatii i zdawał się nawet pokonywać pewien opór, kiedy, żegnając nas, podał mi po chwili wahania rękę, cofając ją zresztą natychmiast.

— Żałuję tego spotkania — rzekł pan de Charlus. — Ten d'Argencourt, dobrze urodzony, ale źle wychowany, dyplomata mniej niż mierny, mąż opłakany, dziwkarz, intrygant jak z komedii, jest z rzędu ludzi niezdolnych zrozumieć, ale bardzo zdolnych zniszczyć rzeczy naprawdę wielkie. Mam nadzieję, że nasza przyjaźń, jeżeli ma się kiedyś ugruntować, będzie taką i mam nadzieję, że pan zrobi mi ten zaszczyt, aby ją, na równi ze mną, chronić od kopnięć osłów, którzy, przez próżniactwo, brak taktu, złość, depcą to, co zdawało się mieć szanse trwania. Na nieszczęście ludzie światowi są przeważnie z rzędu takich.

⁴¹⁴historię owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską — nawiązanie do opowiadki o człowieku, który wierzył, że w butelce trzyma zamkniętą chińską księżniczkę, póki przypadkiem butelka się nie stukła. [przypis edytorski]

— Księżna de Guermantes wydaje się bardzo inteligentna. Mówiliśmy przed chwilą o możliwości wojny. Zdaje się, że ona ma specjalne wiadomości w tej mierze.

— Nie ma żadnych — odparł pan de Charlus sucho. — Kobiety, jak wielu mężczyzn zresztą, nie rozumieją nic ze spraw, o których chciałem mówić. Moja bratowa jest uroczą istotką, która sobie wyobraża, że żyje jeszcze w czasach powieści Balzaca⁴¹⁵, kiedy kobiety miały wpływ na politykę. Stosunki z nią mogłyby w danej chwili oddziaływać na pana jedynie ujemnie, jak zresztą wszelkie stosunki światowe. I to jest właśnie jedna z pierwszych rzeczy, które panu chciałem powiedzieć, kiedy mi ten głupiec przerwał. Pierwsza ofiara, jaką trzeba dla mnie zrobić — będę żądał od pana tyłuż ofiar, ile panu przynoszę darów — to, aby się pan nie starał bywać w świecie. Cierpiałem przed chwilą, widząc pana na tym pociesnym zebraniu. Powie pan, że i ja tam byłem; ale dla mnie to nie jest zebranie światowe, to wizyta rodzinna. Później, kiedy pan dojdiesz do szczytu, o ile cię będzie bawiło zejść na chwilę w salony, nie będzie to już może niebezpieczne. I wówczas, nie potrzebuję panu mówić, jak bardzo będę ci mógł być użyteczny. Sezam pałacu Guermantes — i wszystkich tych, które są warte, aby ich wrota otworzyły się przed panem — ja mam w ręku. Ja będę o tym sądził i ja chcę decydować o tym, kiedy przyjdzie pora.

Chciałem skorzystać z tego, że pan de Charlus wspomniał wizytę u pani de Villeparisis, aby się dowiedzieć, kim jest, ściśle biorąc, ta margrabina, ale pytanie moje wypadło inaczej, niżbym chciał: zapytałem, co to jest rodzina Villeparisis.

— To zupełnie tak, jakby mnie pan spytał, co to jest rodzina Nic — odparł pan de Charlus. — Ciotka moja zaślubiła z miłości niejakiego pana Thirion, zresztą bardzo bogatego i którego siostry były bardzo dobrze zamężne; od tego czasu, nazwał się margrabią de Villeparisis. Nic to nikomu nie szkodziło, co najwyżej jemu samemu, i to bardzo niewiele! Co do racji tego przezwiska, nie wiem, przypuszczam, że to był w istocie pan z Villeparisis, jegomość urodzony w Villeparisis; pan wie, że to jest miejscowość pod Paryżem. Ciotka moja utrzymywała, że to margrabstwo było w rodzinie; chciała załatwić rzeczy prawidłowo, nie wiem czemu. Z chwilą kiedy się bierze nazwisko, do którego się nie ma prawa, lepiej jest nie bawić się w komedię legalności.

Pani de Villeparisis, będąca tylko panią Thirion, dopełniła upadku, jaki rozpoczęła w moim umyśle w chwili, gdy mój ujrzał mieszany skład jej salonu. Uważałem za niesprawiedliwe, aby kobieta, której nawet tytuł i nazwisko były zupełnie świeże, mogła mylić współczesnych — jak miała zmylić potomność — dzięki swoim monarszym stosunkom. Pani de Villeparisis stała się znów tym, czym mi się wydawała w dzieciństwie; osobą bez cienia czegoś arystokratycznego; owe dostojne krewieństwa, które ją otaczały, zdawały mi się całkowicie jej obce.

Zresztą margrabina nie przestała wciąż być dla nas czarująca. Odwiedzałem ją od czasu do czasu i często przesyłała mi jakiś upominek. Ale nigdy nie miałem wrażenia, aby ona była z Faubourg Saint-Germain, i gdybym miał szukać jakichś informacji co do tego świata, ona byłaby ostatnią osobą, do której bym się zwrócił.

— Obecnie — ciągnął pan de Charlus — bywając w świecie, szkodziłby pan jedynie sobie, pacząc swoją inteligencję i charakter. Zresztą musi pan czuwać nawet, a raczej *zwłaszcza*, nad swymi przyjaźniami. Miej pan kochanki, jeśli twoja rodzina nie ma nic przeciwko temu; to mnie nie obchodzi; mogę cię tylko do tego zachęcać, młody urwisie, młody urwisie, który niedługo zaczniesz golić brodę — rzekł, dotykając mego podbródka. — Ale wybór męskich przyjaciół to inna sprawa. Na dziesięciu młodych ludzi ośmiu to są kanalie, łobuzy zdolne wyrządzić panu krzywdę, której nie odrobisz nigdy. Ot, mój siostrzeniec Saint-Loup to jest od biedy dobry koleżka dla pana. Z punktu widzenia pańskiej przyszłości nie przyda się panu na nic, ale ja tu wystarczę. A na to, aby panu dotrzymać towarzystwa, wówczas gdy będziesz miał mnie dosyć, na to, w sumie, wydaje mi się człowiekiem nieprzedstawiającym poważnych niebezpieczeństw, przynajmniej tak sądzę. To jest bodaj mężczyzna, a nie jeden z tych niewieściuchów, jakich spotyka się dziś tyłu; fałszywych braci zdolnych dziś lub jutro zaprowadzić może na rusztowanie swoją niewinną ofiarę.

⁴¹⁵Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

Nie bardzo rozumiałem sens gwarowego wyrażenia „falszywy brat”. Ten, co by je znał, byłby równie zdziwiony jak ja. Światowcy dosyć lubią mówić gwara, a ludzie, którym można zarzucić pewne rzeczy, lubią okazywać, że się o nich nie boją mówić. To stanowi w ich oczach dowód niewinności. Ale zatracili granicę, nie zdają już sobie sprawy ze stopnia, od którego począwszy, pewien żart robi się zbyt specjalny, zbyt rażący, stając się raczej dowodem zepsucia niż naiwności.

— On nie jest taki jak inni, jest bardzo miły, bardzo serio — dodał pan de Charlus.

Nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu przy tym epitecie „serio”, któremu intencja pana de Charlus dawała znaczenie „cnotliwy”, „stateczny”, jak się mówi o młodej robotnicy, że jest „serio”. W tej chwili minął nas fiakier, jadący zygżakiem; młody woźnica, zląwszy z kozła, powoził z głębi dorożki, gdzie rozwalił się wpółpijany na siedzeniu. Pan de Charlus zatrzymał go żywo. Woźnica parlamentował chwilę.

— W którą stronę pan chce jechać?

— W twoją (zdziwiło mnie to, bo pan de Charlus już odmówił kilku fiakrom, mającym latarnie tego samego koloru).

— Ale mnie się nie chce siadać na kozioł. To panu nie przeszkadza, że ja zostanę w dorożce?

— Tak, tylko podnieś budę. Zatem, niech się pan zastanowi nad moimi propozycjami — rzekł pan de Charlus przed rozstaniem. — Daję panu kilka dni do namysłu, niech pan do mnie napisze. Powtarzam, będę pana musiał widywać co dzień i uzyskać od pana rękojmię lojalności, dyskrecji, które zresztą, muszę to przyznać, zdajesz się przedstawiać. Ale w ciągu mego życia tak często zwiodły mnie pozory, że nie chcę się już na nie spuszczać⁴¹⁶. Do kroćset, to chyba najmniej, czego można żądać: zanim się powierzy skarb, wiedzieć, w jakie ręce się go oddaje! Słowem, niech pan pamięta, co ja panu ofiaruję. Jest pan jak Herkules, którego, nieszczęściem dla pana, nie zdajesz się mieć tęgiej muskulatury: Herkules na rozstaju dwóch dróg⁴¹⁷. Staraj się pan nie musieć żałować całe życie, żeś nie obrał tej, która wiedzie do cnoty. Cóż to — rzekł baron do woźnicy — jeszcześ nie podniósł budy? Ja sam podniosę. Zdaje mi się zresztą, że i powozić będę musiał sam, zważywszy stan, w jakim się znajdujesz.

Wskoczył i usiadł obok woźnicy w głębi fiakra, który ruszył tęgim klusem.

Co do mnie, ledwie wróciwszy do domu, zastałem tam *pendant*⁴¹⁸ rozmowy, jaką wiedli dopiero co Bloch i pan de Norpois, ale w formie zwięzłej, odwróconej i okrutnej. Była to dyskusja pomiędzy naszym kamerdynerem, który był dreyfusistą, a kamerdynerem Guermantów — antydreyfusistą. Prawdy i kontrprawdy, które walczyły z sobą na wyżynach intelektualnych pod postacią Patrie Française oraz Ligi Praw Człowieka⁴¹⁹, docierały zaiste aż do warstw ludu. Reinach grał na uczuciach ludzi, którzy go nigdy nie widzieli na oczy, podczas gdy dla niego samego sprawa Dreyfusa była jedynie nieodpartym teorematem, którego dowiódł w istocie w drodze największego sukcesu racjonalnej polityki (sukcesu smutnego dla Francji, powiedzą niektórzy), jaki kiedykolwiek widziano. W dwa lata zmienił gabinet Billota⁴²⁰ na gabinet Clemenceau, zmienił do gruntu opinię publiczną, wydobył z więzienia Picquarta, aby go uczynić — niewdzięcznego — ministrem wojny. Może ten kierujący tłumami racjonalista sam kierował się swoim pochodzeniem. Jeżeli systemy filozoficzne zawierające najwięcej prawd poczynają się, w ostatecznej instancji, w umyśle swoich twórców z racji uczuciowych, jak przypuszczać, że w prostej sprawie politycznej, jak sprawa Dreyfusa, racje tego rodzaju nie mogłyby, bez wiedzy rozumującego, władać jego rozumem? Bloch sądził, iż logika podyktowała mu dreyfusizm,

⁴¹⁶ *spuszczać się na coś* (daw.) — polegać na czymś, zdawać się na coś. [przypis edytorski]

⁴¹⁷ *Herkules na rozstaju dwóch dróg* — staroż. grecka przypowieść etyczna o młodym herosie Heraklesie (rzym. Herkulesie), któremu na rozstaju dróg ukazały się dwie kobiety, Nieprawość i Cnota, nakładające do wyboru jednej z dwóch dróg życia i przedstawiające swoje argumenty: za życiem łatwym i przyjemnym oraz za pełnym trudów, ale chwalebny. [przypis edytorski]

⁴¹⁸ *pendant* (fr.) — uzupełnienie, dodatek. [przypis edytorski]

⁴¹⁹ *Liga Praw Człowieka* (fr. Droits de l'Homme) — francuskie stowarzyszenie zał. w 1898 w obronie kapitana Dreyfusa, także gazeta o tym tytule, wydawana w latach 1898–1900. [przypis edytorski]

⁴²⁰ *Billot, Jean-Baptiste* (1828–1907) — francuski generał i polityk, minister wojny (1896–1898); dysponował niezbitymi dowodami niewinności Dreyfusa i celowo je ukrywał, co ujawnił Zola w swoim liście otwartym. [przypis edytorski]

choć wiedział, że jego nos, skóra i włosy są dziedzictwem rasy. Niewątpliwie, rozum jest swobodniejszy; podlega jednakże pewnym prawom, których sam nie wybrał.

Przypadek lokaja Guermantów i naszego był dość specjalny. Fale dwóch prądów, dreyfusizmu i antydreyfusizmu, które od góry do dołu dzieliły Francję, były dość milczące; ale nieliczne echa, jakim dawały początek, były szczere. Słyszając, jak ktoś wśród rozmowy, która chętnie unikała „Sprawy”, udziela mimochodem wiadomości politycznej, zazwyczaj fałszywej, ale zawsze upragnionej, można było z charakteru jego wróżby wnosić o kierunku jego pragnień. W ten sposób zderzały się na niektórych punktach z jednej strony nieśmiały apostołstwo, z drugiej święte oburzenie. Dwaj lokaje, których usłyszałem, wracając, stanowili wyjątek z tego prawidła. Nasz dał do zrozumienia, że Dreyfus jest winien; lokaj Guermantów — że jest niewinny. Nie czynili tego, aby ukryć swoje przekonania, ale przez złośliwość i zacietrzewienie. Nasz lokaj, niepewny, czy dojdzie do rewizji procesu, chciał z góry, w razie klęski, pozbawić lokaja Guermantów radości przeświadczenia, że dobra sprawa przegrała. Lokaj Guermantów myślał, że w razie odmowy rewizji większą przykrość sprawi naszemu lokajowi fakt, iż trzymają na Diabelskiej Wyspie niewinnego.

Wszedłszy, zastałem babkę bardziej cierpiącą. Od jakiegoś czasu, nie bardzo wiedząc, co jej jest, skarżyła się na zdrowie. Dopiero w chorobie zdajemy sobie sprawę, że żyjemy nie sami, ale zespoleni z istotą odmiennego gatunku, od której dzieli nas przepaść, która nas zna, a z którą niepodobna nam się porozumieć: nasze ciało. Bandytę spotkanego na drodze zdołalibyśmy może wzruszyć jego własną korzyścią, jeżeli nie naszym nieszczęściem. Ale błagać litości naszego ciała znaczy mówić do potwora morskiego, dla którego słowa nasze nie więcej mają znaczenia niż szmer wód i z którym współzycie wydałoby się nam czymś przerażającym. Niedyspozycje babki uchodziły jej uwagi, wciąż zwróconej ku nam. Kiedy zbyt od nich cierpiała, siliła się na próżno zrozumieć je, aby próbować je leczyć. O ile objawy chorobowe, których ciało babki było widownią, pozostawały ciemne i nieuchwytnie dla jej inteligencji, były one jasne i zrozumiałe dla istot należących do tego samego fizycznego królestwa; istot, do których duch ludzki nauczył się wreszcie zwracać, aby zrozumieć to, co mu mówi jego ciało, tak jak słysząc mowę cudzoziemca, szukamy kogoś z tego samego kraju, iżby nam posłużył za tłumacza. Owe istoty mogą rozmawiać z naszym ciałem, oznajmić nam, czy jego gniew jest poważny, czy też rozproszy się niebawem. Cottard, którego wezwano do babki i który podrażnił nas, pytając w pierwszej chwili, kiedyśmy mu powiedzieli, że babka jest chora: „Chora? Ale to nie jest choroba dyplomatyczna?” — Cottard próbował dla uspokojenia chorej diety mlecznej. Ale wiekuiste zupki na mleku nie działały, ponieważ babka sypała do nich dużo soli (odkrycia Widala⁴²¹ jeszcze nie istniały), której szkód w owym czasie nie znano. Bo medycyna to jest kompendium kolejnych i sprzecznych błędów lekarzy, tak iż wzywając najlepszych, mamy wielką szansę odwoływania się do prawdy mającej być uznaną za fałsz w kilka lat później. Tak, iż wierzyć w medycynę byłoby szczytem szaleństwa, gdyby nie wierzyć w nią nie było jeszcze większym szaleństwem, bo z tego spiętrzenia błędów wyłaniają się z czasem pewne prawdy.

Cottard polecił zmierzyć temperaturę. Przyniesiono termometr. Na całej prawie przestrzeni rurka była próżna. Ledwo się dostrzegano srebrną salamandrę rtęci, przycupniętą na dnie naczynka. Zdawała się martwa. Umieszczono szklany pręcik w ustach babki. Nie potrzeba było trzymać go długo; mała wróżka nie długo ociągała się z horoskopem. Ujrzelśmy ją nieruchomą, siedzącą w połowie swojej wieży i nie ruszającą się już; wskazywała dokładnie cyfrę, o którąśmy jej pytali, a której wszystkie refleksje, jakie by nad sobą czyniła dusza babki, nie zdołałyby stwierdzić: 38,3°. Pierwszy raz odczuliśmy pewien niepokój. Potrzebaliśmy silnie termometr, aby usunąć wróżebny znak, jak gdybyśmy mogli, wraz ze stopniem temperatury, obniżyć tym gorączkę. Niestety, jasne było, że mała, pozbawiona rozumu sybilla⁴²² nie udzieliła tej odpowiedzi dowolnie; bo nazajutrz, ledwo znów włożono babce do ust termometr, natychmiast, prawie jednym skokiem,

⁴²¹ *Widal, Fernand* (1862–1929) — francuski lekarz i bakteriolog, znany z prac nad chorobami nerek, szczepieniami i diagnostyką duru brzuszego. [przypis edytorski]

⁴²² *Sybilla* (mit. gr; mit. rzym.) — wieszczka przepowiadająca przyszłość; najbardziej znaną Sybillą była kapłanka wyroczni Apollina w Cumae, której przypisywano autorstwo ksiąg z przepowiedniami dotyczącymi losów Rzymu. [przypis edytorski]

Choroba

Lekarz, Nauka

mała prorokini, wspaniała pewnością i intuicją niewidzialnego dla nas faktu, zatrzymała się na tym samym punkcie, w nieubłaganym bezruchu, i ukazała nam lśniąącym pręcikiem tę samą cyfrę⁴²³: 38,3°. Nie mówiła nic więcej, ale daremnie byśmy pragnęli, chcieli, prosili — pozostawała głucha, zdawało się, że to jest jej ostatnie, przestrożne i groźne słowo. Wówczas, próbując zmusić ją do zmiany odpowiedzi, zwróciliśmy się do innej istoty z tego samego królestwa, ale istoty potężniejszej, która nie ogranicza się do pytania ciała, lecz może mu rozkazywać: do środka przeciw gorączce, pokrewnego z nieużywaną jeszcze wówczas aspiryną. Nie strzepnęliśmy termometru poniżej 37,5° w nadziei, że w ten sposób słupek rtęci nie będzie się musiał podnosić. Podaliśmy babce preparat i założyliśmy znów termometr. Jak nieubłagany strażnik, gdy mu pokazać rozkaz wyższej władzy, do której znaleźliśmy protekcję, oświadczając, widząc rozkaz w porządku: „Wybornie, nie mam nic do powiedzenia, skoro tak, można przejść”, czujna strażniczka nie ruszyła się tym razem. Ale zdawała się mówić, chmurna: „Na co się wam to przyda? Skoro znacie chininę⁴²⁴, da mi rozkaz, abym się nie ruszała, raz, dziesięć, dwadzieścia razy. Ale wreszcie zmęczy się, ja ją znam, wierzcie. To nie będzie trwało wiecznie. I co wam to pomoże?”

Wówczas babka odczuła w sobie obecność istoty znającej ciało ludzkie lepiej niż my sami, obecność społecznicy zaginionych ras, obecność pierwszego mieszkańca o wiele wcześniejszego niż istnienie myślącego człowieka; uczuła tego tysiącletniego sprzymierzeńca, który obmacywał, dość brutalnie nawet, jej głowę, serce, łokieć, rozpoznawał miejsca, organizował wszystko do tej przedhistorycznej walki, która nastąpiła tuż potem. W jednej chwili zwyciężył gorączkę, niby zmiażdżonego Pytona⁴²⁵, potężny czynnik chemiczny, któremu babka, idąc poprzez królestwa, poprzez wszystkie zwierzęta i rośliny, chciałaby móc podziękować. I była do głębi wzruszona spotkaniem, jakie jej było dane, poprzez tyle wieków, z klimatem zgoła wcześniejszym od istnienia roślin. Ze swojej strony termometr, niby Parka⁴²⁶ zwyciężona na chwilę przez starszego boga, trzymał nieruchomo swoje srebrne wrzeciono. Niestety inne niższe istoty, ułożone przez człowieka do polowania na ową tajemniczą zwierzyńnię, której nie może ścigać w głębi samego siebie, okrutnie zwiastowały nam co dnia cyfrę białka, słabą, ale na tyle stałą, aby się również można było domyślić związku z jakimś trwałym stanem, któregośmy nie dostrzegali. Swego czasu Bergotte uraził we mnie nieomylny instynkt zmuszający do milczenia moją inteligencję, mówiąc o doktorze du Boulbon jako o lekarzu, który mnie nie znudzi, który znajdzie metody, choćby na pozór dziwaczne, ale dostosowane do odrębności mego intelektu. Ale pojęcia przeobrażają się w nas, pokonują opór, jaki im zrazu stawiamy, i czerpią soki z gotowych już bogatych zasobów intelektualnych, o których nie wiedzieliśmy, że są dla nich przeznaczone. I jak się dzieje zawsze, gdy zasłyszane słowa dotyczące kogoś, kogo nie znamy, zdołały w nas obudzić pojęcie wielkiego talentu, niemal geniuszu, obecnie darzyłem w myśli doktora du Boulbon owym bezgranicznym zaufaniem, jakie w nas budzi ktoś, kto głębszym od innych okiem przenika prawdę. Wiedziałem niewątpliwie, że on jest raczej specjalistą chorób nerwowych, tym, któremu Charcot⁴²⁷ przepowiedział przed śmiercią, iż będzie królem neurologii i psychiatrii. „A, nie wiem, to bardzo możliwe” — rzekła obecna przy tym Franciszka, która pierwszy raz słyszała nazwiska Charcot i du Boulbon. Ale to jej zgoła nie przeszkadzało mówić: „To możliwe”. Te jej „możliwe”, jej „może może”, „nie wiem” doprowadzały mnie w takich sytuacjach do rozpacz. Miało się ochotę odpowiedzieć jej: „Rozumie się, że nie wiesz, skoro nie masz pojęcia o rzeczy, o którą chodzi; jak możesz mówić, czy to możliwe, czy nie, nie wiesz nic o tym! W każdym razie teraz nie możesz mówić, że nie wiesz, co Charcot powiedział doktorowi du Boulbon itd.; wiesz, bośmy ci powiedzieli, a twoje »może, może« i twoje »możliwe« nie są na miejscu, skoro to jest pewne”.

⁴²³cyfrę (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

⁴²⁴chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

⁴²⁵Pyton (mit. gr.) — olbrzymi wąż, syn Gai, strażnik wyroczni w Delfach, zabity przez Apollina, który następnie objął w posiadanie wyrocznię i ustanowił ośrodek swojego kultu. [przypis edytorski]

⁴²⁶Parka (mit. rzym.) — jedna z trzech bogiń przedających i przycinających nić ludzkiego losu; w mit. gr. ich odpowiednikami były Mojry. [przypis edytorski]

⁴²⁷Charcot, Jean-Martin (1825–1893) — francuski lekarz neurolog, twórca nowoczesnej neurologii. [przypis edytorski]

Mimo iż du Boulbon był raczej specjalistą mózgu i układu nerwowego, wiedząc, że to jest wielki lekarz, niepospolity człowiek o twórczej i głębokiej inteligencji, błagałem matkę, aby go sprowadziła; nadzieja, iż dzięki trafnej diagnozie uleczy może babkę, przeżyła w końcu naszą obawę, iż fakt konsylium może ją przerazić. Zdecydowało matkę to, że babka, utwierdzona w tym pośrednio przez Cottarda, nie wychodziła już i prawie nie wstawała. Próżno odpowiadała nam listem pani de Sévigné⁴²⁸ o pani de la Fayette: „Nazywano ją wariatką, że nie chce wychodzić. Mówiłam tym osobom tak nagłym w swoich sądach: »Pani de la Fayette nie jest wariatką«, i obstawałam przy tym. Musiała dopiero umrzeć, aby dowieść, jak słusznie wzbraniała się wychodzić”.

Wezwany, doktor du Boulbon potępił, jeżeli nie panią de Sévigné, której mu nie zacytowano, to przynajmniej babkę. Zamiast ją auskultować⁴²⁹, zwrócił na nią swoje wspaniałe oczy, w których kryło się może złudzenie, że przenika do głębi chorą, lub chęć wiania w nią tej iluzji — chęć rozmyślna, ale mająca robić wrażenie machinalnej — lub zamiar niezdradzenia przed chorą, że myśli całkiem o czym innym, lub wreszcie zyskania władzy nad nią. Doktor skierował rozmowę na Bergotte’a.

— A, bardzo wierzę, droga pani, to jest cudowne; jakże pani ma rację, że pani kocha jego książki! Ale którą pani woli? A, doprawdy! Mój Boże, istotnie, to może najlepsza. W każdym razie najlepiej skomponowana; Klara jest urocza; a z mężczyzną, który jest pani najsympatyczniejszy?

Myślałem zrazu, że on tak ściągą rozmowę na literaturę, bo go medycyna nudzi, może też, aby okazać szerokość swego umysłu, a nawet — w bardziej terapeutycznym celu — aby wrócić chorej otuchę, okazać, że nie jest niespokojny, oderwać ją od jej stanu. Ale później zrozumiałem, że du Boulbon, głośny zwłaszcza jako psychiatra i sławny ze studiów nad mózgiem, chciał sobie przez te pytania zdać sprawę ze stanu pamięci u babki. Prawie niechętnie, z chmurnym i martwym wzrokiem, doktor wypytywał ją po trosze o jej życie. I naraz, jak gdyby dostrzegając prawdę i pragnąc jej osiągnąć za wszelką cenę, z uprzednim gestem, który jakby z trudem otrząsał się z ostatnich wahań i z naszych możebnych zarzutów, patrząc na babkę jasnym okiem, rzekł swobodnie i tak jakby nareszcie znalazł się na stałym lądzie, punktując łagodnym i ujmującym tonem słowa, których odcienie łagodziła i cieniowała inteligencja. (Zresztą przez cały czas tej wizyty głos jego zachował swoją naturalną słodycz, a pod krzaczastymi brwiami ironiczne oczy doktora pełne były dobroci).

— Będzie pani zdrowa w dalekim lub bliskim dniu — a od pani jedynie zależy, aby to było choćby dziś — kiedy pani zrozumie, że nic pani nie jest i kiedy pani wróci do zwykłego życia. Mówiono mi, że pani nie je, nie wychodzi.

— Ale, panie doktorze, ja mam trochę gorączki.

Sprawdził ręką.

— Nie w tej chwili przynajmniej. A przy tym, to ładna wymówka! Czy pani nie wie, że my trzymamy na świeżym powietrzu, że przekarmiamy gruzlików mających do trzydziestu dziewięciu stopni?

— Ale ja mam także trochę białka.

— Nie powinna pani o tym wiedzieć. Ma pani to, co ja opisałem pod nazwą „albuminurii psychicznej”. Każdy z nas miał w trakcie jakiejś niedyspozycji porcję białka, które lekarz co żywo utrwał przez to, że zwrócił nam na nie uwagę. Na jedną chorobę, którą lekarze leczą swymi medykamentami (twierdzą przynajmniej, że im się to zdarza czasem), wywołują sami dziesięć chorób u osób zdrowych, zaszczepiając im ten czynnik chorobotwórczy, tysiąc razy jadowitszy od wszystkich mikrobów, mianowicie myśl, że się jest chorym. Takie przeświadczenie, potężnie działające na naturę każdego z nas, jest szczególnie groźne u nerwowców. Powiedzcie im, że okno, w istocie zamknięte, otwarte jest za ich plecami, zaczną kichać; kaźcie im uwierzyć, że im wsypano magnezyj do zupy, dostaną biegunki; powiedzcie im, że kawa była mocniejsza niż zwykle, nie zmrują oka całą noc. Czy pani myśli, że nie wystarczyło mi zobaczyć pani oczy, usłyszeć sposób mówienia, co mówię, ujrzeć pani córkę i wnuka, który jest do pani tak podobny, aby zgadnąć, z kim mam do czynienia?

⁴²⁸pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

⁴²⁹auskultować (med.) — osłuchiwać. [przypis edytorski]

— Słuchaj, babcia mogłaby może usiąść, skoro pan doktor pozwala, w jakiej spokojnej alei na Polach Elizejskich, koło tego klombu, gdzieś się bawił niegdyś — rzekła matka, radząc się w ten sposób pośrednio doktora du Boulbon, przy czym głos jej miał coś nieśmiałego i uległego, czego by nie miał, gdyby się zwracała tylko do mnie.

Doktor obrócił się do babki, że zaś był równie wykształcony, jak uczoney, rzekł:

— Niech pani idzie na Pola Elizejskie, usiąść koło owego laurowego klombu drogiego wnukowi pani. Laur przyniesie pani zdrowie. Oczyszcza. Zgładziwszy węża Pytona, Apollo wszedł uroczyście do Delf z gałązką lauru w ręce. Chciał się tym ubezpieczyć od zarazków jadowitego zwierzęcia. Widzi pani, że laur jest najstarszym, najczcigodniejszym i, dodam — co ma swoją wartość w terapii, jak i w profilaktyce — najpiękniejszym z antyseptyków.

Ponieważ lekarze większej części tego, co wiedzą, uczą się od chorych, skłonni są wierzyć, że ta wiedza pacjentów jednaka jest u wszystkich i spodziewają się zdumieć chorego jakimś spostrzeżeniem nabytym od innych chorych. Toteż, przybierając subtelny uśmiech paryżanina, który, rozmawiając z wieśniakiem, myśli go zdumieć zwrotem z jego gwary, doktor du Boulbon rzekł:

— Prawdopodobnie okresy wiatru przynoszą pani sen, którego by nie zdołały spowodzić najsilniejsze środki nasenne.

— Przeciwnie, panie doktorze, wiatr odbiera mi sen całkowicie.

Ale lekarze są drażliwi: „Hum!” — mruknął du Boulbon, marszcząc brwi, tak jakby mu ktoś nastąpił na nogę i jakby bezsenność babki podczas burzy była dlań obrazą osobistą. Ale nie był przesadnie ambitny; ponieważ, jako umysł wyższy, uważał za swój obowiązek nie wierzyć w medycynę, szybko odzyskał filozoficzną pogodę.

Matka moja, w gorącej chęci znalezienia pociechy u przyjaciela Bergotte’a, dodała na poparcie słów doktora, że kuzynka babki, cierpiąca na nerwy, spędziła siedem lat zamknięta w swojej sypialni w Combray, wstając nie częściej niż raz lub dwa na tydzień.

— Widzi pani, ja nie wiedziałem o tym, a byłbym mógł to pani powiedzieć.

— Ale, panie doktorze, ja mam naturę wręcz odmienną; przeciwnie, zwykle lekarz nie może mnie utrzymać w łóżku — rzekła babka, czy że ją nieco drażniły teorie doktora, czy też pragnąc wyczerpać wszelkie możliwe zarzuty w nadziei, że lekarz je odeprze i że odchodząc, nie zostawi jej już żadnej wątpliwości co do swojej szczęśliwej diagnozy.

— Ależ oczywiście, pani; nie można mieć, niech mi pani daruje wyrażenie, wszystkich fiołów; nie ma pani tego, ma pani inne. Wczoraj zwiedzałem sanatorium dla neurasteników. W ogrodzie stał na ławce jakiś człowiek, nieruchomy jak fakir, z szyją zgiętą w sposób najwyraźniej bardzo uciążliwy. Kiedy go spytałem, co on tam robi, odpowiedział bez najłżejszego gestu, nie odwracając głowy: „Panie doktorze, mam wielką skłonność do reumatyzmu i do kataru; za wiele używałem ruchu i będąc spocony, dotknąłem szyją flanelowego kaftanika. Gdybym teraz wychylił szyję, nie dawszy jej wyparować, jestem pewien, że skończyłoby się zawianiem, a może i bronchitem⁴³⁰”. I z pewnością byłoby tak! „Z pana jest ładny neurastenik, tyle panu powiem”, rzekłem. Czy pani wie, co on powiedział, aby mi dowieść, że nie? To, że gdy wszyscy chorzy w zakładzie mają manię ważenia się (tak że musiano zamknąć wagę na kłódkę, aby się przez cały dzień nie wazyli), jego trzeba było przemocą pędzić do wagi, tak dalece nie miał na to ochoty. Był dumny, że nie ma tej manii co drudzy, nie pamiętając, że ma swoją własną i że to ona chroni go od tamtej. Niech pani moje porównanie nie uraża, bo ów człowiek, który bał się poruszyć szyję, aby się nie zaziębić, jest największym poetą naszych czasów. Ten biedny maniak to najwyższa inteligencja, jaką znam. Niech pani raczy pozwolić, że panią nazwę neurasteniczką. Należy pani do tej wspaniałej i żalostnej rodziny, która jest solą ziemi. Wszystko, co znamy wielkiego, zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczuli religie i stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowie, ile im zawdzięcza, a zwłaszcza ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Sycimy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu, pokrzywek, astmy, epilepsji, lęku przed śmiercią, który jest gorszy niż to wszystko i który pani może zna — dodał, uśmiechając się do babki — bo przyzna pani, kiedy tu wszedłem, nie była pani zbyt spokojna. Myślała pani, że pani

⁴³⁰bronchit — zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

jest chora, może niebezpiecznie chora. Bóg wie, jakich chorób objawy odnajdywała pani w sobie. I nie myliła się pani, miała je pani. Neurastenia jest genialnym transformistą. Nie ma choroby, której by nie udała znakomicie. Naśladuje do złudzenia rozstrzeń żołądka dyspeptyków, nudności ciężarnych, arytmie chorych na serce, gorączkę gruźlików. Zdolna oszukać lekarza, jakże nie miałaby oszukać chorego? Och, niech pani nie sądzi, że ja żartuję z pani cierpień; nie miałbym prawa ich leczyć, gdybym ich nie umiał zrozumieć. I niech mnie pani posłucha; skuteczna spowiedź powinna być wzajemna. Powiedziałem pani, że bez nerwowej choroby nie ma wielkiego artysty; co więcej — dodał, podnosząc poważnie palec — nie ma wielkiego uczonego. Dodam, że bez nerwowej choroby, na którą sam cierpi, nie ma, nie chcę powiedzieć: dobrego lekarza w ogóle, ale przyzwolę tego lekarza chorób nerwowych. W patologii nerwowej lekarzem, który nie mówi zbyt wiele osielstw, może być tylko na wpół wyleczony chory, tak jak krytyk to jest poeta, który przestał pisać wiersze, agent policji to złodziej, który porzucił swoje rzemiosło. Ja, droga pani, nie trapię się, jak pani, o swoje białko, nie mam nerwowego lęku przed jedzeniem i powietrzem, ale za to nie mogę usnąć bez wstawania po dwadzieścia razy i bez sprawdzania, czy drzwi są zamknięte. I w sanatorium, gdzie zastał wczoraj poetę nieporuszającego szyją, byłem właśnie po to, aby zamówić dla siebie pokój, bo, mówiąc między nami, obracam tam swój urlop na kurację, kiedy, zmęczony się leczeniem cudzych chorób, zbyttnio zaniedbam własne.

— Ależ, panie doktorze, czy i ja powinnam odbyć taką kurację? — spytała babka z przestachem.

— Zbyteczne, droga pani. Objawy, które panią trapią, ustąpią przed moim słowem. A przy tym pani ma przy sobie kogoś bardzo potężnego, którego od tej chwili mianuję jej lekarzem. To pani choroba, pani nadmierna pobudliwość nerwowa. Znalbym sposób uleczenia z niej pani, ale ani mi to w głowie! Wystarczy mi ją ująć w ręce. Widzę na pani biurku książkę Bergotte'a: gdybym panią uleczył z jej newrozy, przestałaby już pani lubić tego pisarza. Otóż, czyż ja czułbym się w prawie zamienienia rozkoszy, jakie on przynosi, na zdrowe nerwy, niezdolne dać pani podobnych wrażeń. Ależ same te rozkosze to jest potężne lekarstwo, może najpotężniejsze! Nie, ja nie chcę uszczuplać pani aktywności nerwowej. Żądam od niej tylko, aby mnie słuchała; powierzam jej panią. Niech da kontrparę! Siłę, którą wkładała w to, aby się pani nie dać przechadzać i odżywiać dostatecznie, niechaj obróci na to, aby pani kazać jeść, czytać, chodzić na spacer, rozrywać się na wszelki sposób. Niech mi pani nie mówi, że pani jest zmęczona. Zmęczenie to jest organiczne ziszczenie z góry istniejącej myśli. Niech pani zacznie od tego, aby tę myśl oddalić. A jeżeli się zdarzy jakaś mała niedyspozycja — co się może zdarzyć każdemu — będzie to rzecz bez znaczenia, bo owa siła robi z pani, wedle głębokiego wyrażenia Talleyranda, „zdrowego z urojenia”. O, już zaczęła panią leczyć, słucha mnie pani wyprostowana, nie oparłszy się ani razu, oko żywe, mina tęga, i to już trwa dobre pół godziny, a pani się nie spostrzegła na tym. Mam zaszczyt pożegnać panią.

Kiedy, odprowadziwszy doktora du Boulbon, wróciłem do pokoju, gdzie matka siedziała sama, dławiąca mnie od kilku tygodni zgryzota uleciała; czułem, że matka wybuchnie radością i ujrzy moją radość; odczuwałem owo otepienie, z jakim oczekujemy najbliższej chwili, kiedy obok nas jakaś osoba podda się wzruszeniu; otepienie, w innej kategorii wrażeń będące jak gdyby lękiem, jakiego doznajemy, kiedy wiemy, że ktoś wejdzie, aby nas przestraszyć przez drzwi dotąd jeszcze zamknięte. Chciałem coś rzec, ale głos mi się załamał; zalewając się łzami, trwałem długo z głową na jej ramieniu, płacząc, przyjmując i kochając boleść, smakując ją teraz, kiedy wiedziałem, że opuściła moje życie, tak jak lubimy się upajać cnotliwymi projektami, których okoliczności nie pozwalają nam urzeczywistnić.

Franciszka podrażniła mnie swoim brakiem udziału w naszej radości. Była mocno wzruszona, bo doszło do straszliwej sceny między lokajem a odźwiernym-donosicielem. Trzeba było, aby księżna w swojej dobroci wdała się w sprawę, aby przywróciła pozór zgody i przebaczyła lokajowi. Bo księżna była dobra i miejsce u niej byłoby idealne, gdyby nie słuchała „gadań”.

Już od kilku dni wiedziano, że babka jest chora, i dopytywano się o jej stan. Saint-Loup pisał do mnie: „Nie chcę korzystać z godzin, kiedy twoja droga babka jest cierpiąca, aby ci czynić wymówki — i o wiele więcej niż wymówki — bez związku z jej

osobą. Ale skłamałbym, gdybym ci powiedział, że ci nigdy nie zapomnę perfidii twojego postępowania i że nie zdołam przebaczyć twojej nieszczerości i zdrady”. Ale przyjaciele moi, przypuszczając, iż babka nie jest zbyt cierpiąca (nie widziano nawet, że jest w ogóle chora), prosili mnie, aby się z nimi spotkać nazajutrz na Polach Elizejskich; mieliśmy wspólnie zrobić jakąś wizytę i pojechać na wieś na obiad, na który się cieszyłem. Nie miałem już powodu wyrzekać się tych przyjemności. Kiedy się mówiło babce, że powinna by teraz, w myśl zaleceń doktora du Boulbon, chodzić dużo na spacer, widzieliśmy, że zaraz wspomniała Pola Elizejskie. Mógłbym ją tam zawieźć; podczas gdy będzie sobie siedziała i czytała, ja umówię z przyjaciółmi miejsce spotkania i na dobrą sprawę będę miał jeszcze czas dopaść z nimi kolejki do Ville-d’Avray⁴³¹.

Gdy nadszedł czas, babka nie chciała wyjść, czuła się zmęczona. Ale matka, wymuszona przez doktora du Boulbon, zdobyła się na tę energię, aby się pogniewać i wymusić posłuszeństwo. Mama omal nie płakała na myśl, że babka znów może popaść w swoją nerwową prostrację⁴³² i że się już z niej nie podniesie. Niepodobna było wymarzyć piękniejszej pogody na przechadzkę. Słońce, zmieniając miejsce, rozpościerało to tu, to tam, niweczając kontur balkonu, swoje wiotkie muśliny i przydawało kamieniowi jakby ciepły naskórek, nieuchwytną złotą otoczkę. Ponieważ Franciszka nie miała czasu przesłać „pneumatyka”⁴³³ córce, opuściła nas zaraz po śniadaniu. To już było bardzo pięknie z jej strony, że przedtem wstąpiła do Jupiena dla zaszczytu mantylki, którą babka miała włożyć. Wracając właśnie w tej chwili z rannego spaceru, wstąpiłem z nią do krawca. „Czy to młody pan przyprowadza tu panią Franciszkę — rzekł do Franciszki Jupien — czy też pani przyprowadza młodego pana, czy też jakiś szczęsny los sprowadza was oboje?”. Mimo że Jupien nie skończył szkół, przestrzegał równie naturalnie składni, jak mimo wielu wysiłków gwałcił ją pan de Guermantes. Skoro Franciszka wróciła z naprawioną mantylką, trzeba było babce się ubrać. Oddaliwszy z uporem pomoc matki, babka ubierała się sama straszliwie długo. Dziwna jest ta nasza obojętność dla naszych najbliższych, dopóki żyją; można by rzec, że są dla nas na ostatnim miejscu, po wszystkich! Teraz, kiedym wiedział, że babka jest zdrowa, uważałem ją za bardzo samolubną, że się tak guzdra, skoro wie, że ja się umówiłem z przyjaciółmi i że mam jechać do Ville-d’Avray. Skoro mi powiedziano dwa razy, że zaraz będzie gotowa, zniecierpliwiony, sam zeszedłem na dół. Wreszcie nadeszła, nie przepraszając mnie za opóźnienie, jak to robiła zazwyczaj w takich razach; czerwona i roztargniona jak osoba, która się spieszy i która zapomniała połowę swoich rzeczy, nadeszła, kiedym dochodził do uchylonych szklanych drzwi, które, nie ogrzewając tym ani trochę sieni, wpuszczały z zewnątrz płynne, gwarne i ciepłe powietrze, tak jakby ktoś otworzył zbiornik pośród lodowatych ścian domu.

— Mój Boże, skoro ty masz spotkać przyjaciół, powinnam była włożyć inną mantylkę. Ta trochę smutno wygląda.

Uderzyło mnie, że babka była jakby skongestionowana⁴³⁴; pojąłem iż, zapóźniwszy się, musiała się bardzo spieszyć. Kiedyśmy wysiedli z fiakra na Polach Elizejskich koło avenue Gabriel, ujrzałem, że babka, nic do mnie nie mówiąc, zwraca się i kieruje do starego, obrosłego zielenią domku, gdzie swego czasu czekałem raz na Franciszkę. Ten sam strażnik, który się tam znajdował wówczas, siedział jeszcze obok „markizy”, kiedy idąc za babką, która musiała mieć nudności, bo zasłaniała usta ręką, przebyłem stopnie tego sielskiego teatrzyku, wznoszącego się pośród ogrodów. U wejścia, niby w owych jarmarcznych budach, gdzie klaun, gotów do wejścia na scenę i umazany mąką, sam odbiera należność za miejsca, „markiza” wysiadynała stale ze swoją ogromną i brzydką, grubo uszmińkowaną gębą, w kapelusiku strojnym w czerwone kwiaty i czarną koronkę, zasadzonym na rudą perukę. Ale nie sądzę, aby mnie poznała. Strażnik, zaniedbując dozór zieleni, do której dostrojono barwę jego uniformu, rozmawiał z nią, siedząc obok.

— Zatem — rzekł — pani jest wciąż tutaj. Nie myśli pani wycofać się z interesu?

— Dlaczego, po co, kochany panie. Niech pan sam powie: gdzie byłoby mi lepiej niż tutaj, gdzie miałabym większe wygody i komfort? A przy tym jest ruch, rozrywka; to istny

⁴³¹ Ville-d’Avray — miejscowość we Francji, na zach. przedmieściach Paryża. [przypis edytorski]

⁴³² prostracja — skrajne wyczerpanie nerwowo-psychiczne. [przypis edytorski]

⁴³³ pneumatyk — list wysłany pocztą pneumatyczną, za pomocą rur poprzez wykorzystanie sprężonego powietrza; system poczty pneumatycznej istniał w Paryżu od 1866 aż do 1984. [przypis edytorski]

⁴³⁴ skongestionowany (neol., z fr.) — przekrwiony. [przypis edytorski]

mały Paryż; przez klientów wiem wszystko, co się dzieje. Ot, proszę pana, ten, co wyszedł stąd może pięć minut temu, to urzędowa osoba, wysoka, bardzo wysoka! I co, proszę pana — wykrzyknęła z zapalem, jakby gotowa poprzeć to twierdzenie siłą, w razie gdyby stróż porządku powątpiewał o jego ścisłości — od ośmiu lat, rozumie pan, w każdy dzień, jaki Pan Bóg stworzył, punktualnie z uderzeniem trzeciej, jest tutaj, zawsze grzeczny, nigdy nie podniesie głosu, nic nie powala i siedzi dłużej niż pół godziny, aby przeczytać gazetę, załatwiając swoje. Jednego jedynego dnia nie przyszedł. Na razie nie spostrzegłam się; ale naraz wieczorem powiedziałam sobie: „O, ten mój gość nie przyszedł, może umarł”. To mnie trochę pikło w serce, bo ja się przywiązuję do ludzi, kiedy są na swoim miejscu. Toteż byłam bardzo kontenta, ujrawszy go na drugi dzień; zagadałam go: „Dzień dobry panu, a co, czy nic się panu nie zdarzyło wczoraj?”. Odpowiedział, że jemu się nic nie zdarzyło, ale że żona mu umarła, i taki był poruszony, że nie mógł przyjść. Miał minę smutną, i co się dziwić, rozumie pan, żyli z sobą od dwudziestu pięciu lat; ale i tak wydawał się kontent, że znów tu jest. Czuło się, że ten wypadek zakłócił jego przyzwyczajenia. Staralam się go pocieszyć, rzekłam: „Nie trzeba się poddawać. Niech pan przychodzi jak zawsze; w pańskim zmartwieniu zawsze to mała dystrakcja”.

Głos „markizy” złagodniał, bo stwierdziła, że opiekun grządek i klombów słuchał jej przyjaźnie, nie myśląc się sprzeciwiać, siedząc ze swoją niewinną szpadą w pochwie, robiącą wrażenie raczej jakiegoś ogrodniczego narzędzia lub rolniczego symbolu.

— A przy tym — rzekła — ja wybieram swoich klejentów, nie każdego wpuszczam do moich salonów. Bo ja to tak nazywam. Czy to nie istny salon z tymi kwiatami? Że mam klejentów bardzo grzecznych, to ten, to ów przyniesie mi ładną gałązkę bzu, jaśminu albo mój ulubiony kwiat — różę.

Myśl, żeśmy się może zgubili w oczach tej damy, nie przynosząc jej nigdy bzu ani róż, przypawiła mnie o rumieniec; aby fizycznie uniknąć jej ujemnego sądu lub być osądzonym jedynie zaocznie, skierowałam się ku wyjściu. Ale w życiu nie zawsze najuprzejmiejsze przyjęcie spotyka tych, co przynoszą piękne różę, bo „markiza”, przypuszczając, że się nudzę, zwróciła się do mnie:

— Chce pan, żebym panu otworzyła gabinecik?

A kiedy odmówiłem:

— Naprawdę, nie chce pan? — dodała z uśmiechem. — Myślałam to z dobrego serca, ale wiem, że są potrzeby, dla których obudzenia nie wystarczy ofiarować je gratis.

W tej chwili szybko weszła lichy ubrana kobieta, najwyraźniej w nagłym położeniu. Ale widać nie należała do świata „markizy”, bo ta z całym okrucieństwem snoba rzekła sucho:

— Wszystko zajęte.

— Czy długo? — spytała biedna dama, czerwona przy swoich żółtych kwiatkach.

— A, moja pani, radzę pani iść gdzie indziej, bo widzi pani, jeszcze dwóch panów tutaj czeka, a mam tylko jeden gabinet, wszystkie inne są w reparacji... Wygląda mi to na lichą klejentele — rzekła „markiza”. — To coś nie dla mnie, nie zna to czystości, nie zna szacunku, trzeba by mi potem godzinę szorować po takiej damuli. Nie żałuję jej dwóch sou⁴³⁵.

W końcu babka wyszła. Bojąc się, że się nie postara napiwkami zatrzeć niedelikatności, jaką okazała, siedząc tak długo, ulotniłam się, aby nie mieć udziału w porcji wzgardy, jaką z pewnością okaże babce „markiza”. Szedłem ścieżką, ale powoli, aby babka mogła mnie łatwo dogonić i iść dalej ze mną. Co się też stało niebawem. Myślałem, że babka mi powie: „Dałam ci długo czekać na siebie; mam nadzieję, że jeszcze złapiesz swoich przyjaciół”. Ale nie rzekła ani słowa; tak iż, trochę zawiedziony, nie chciałem się odezwać do niej pierwszy. W końcu, spojrzawszy na nią, zauważyłem, że idąc koło mnie, obraca głowę w drugą stronę. Bałem się, że znów ma nudności. Przyjrzałem się lepiej, uderzył mnie jej nierówny chód. Kapeluszy miała przekrzywiony, płaszcz powalany, wydawała się zmieszana i niezadowolona; miała czerwoną i wzruszoną twarz osoby, którą dopiero co potrafił powóz lub którą wydobyto z rowu.

— Bałem się, czy nie miałaś nudności, babciu; czy czujesz się lepiej? — spytałem.

⁴³⁵ sou — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]

Pomyślała z pewnością, że nie sposób nie odpowiedzieć bez obudzenia mego niepokoju.

— Słyszałam całą rozmowę między „markizą” a strażnikiem — rzekła. — To był kompletny styl Guermantes i „paczki” Verdurinów. Mój Boże! jakież oni mieli dworny ton!

I dodała jeszcze z naciskiem, cytując słowa swojej markizy, pani de Sévigné: „Słuchając ich, pomyślałam, że mi gotują rozkosze pożegnania”.

Takie były jej słowa, w które włożyła całą swoją finezję, swoje upodobanie w cytatach, znawstwo klasyków, trochę więcej nawet, niż to robiła zazwyczaj, jakby dla okazania, że włada tym wszystkim. Ale raczej odgadłem, niż usłyszałem te słowa, które babka wymówiła chrapliwym głosem, ściskając zęby bardziej, niżby to mogła tłumaczyć obawa wymiotów.

— Babciu — rzekłem dość lekko, aby się nie zdawało, że zbyt serio biorę jej niedyspozycję — skoro się czujesz nieszczęśliwie, wracajmy do domu, jeżeli pozwolisz. Nie będę oprowadzał po Polach Elizejskich babci, która ma nudności.

— Nie śmiałam ci tego proponować z powodu twoich projektów — odparła. — Biedny mały! Ale skoro sam chcesz, to będzie w istocie rozsądniej.

Bałem się, aby babka nie zauważyła trudności, z jaką wymawia te słowa.

— No — rzekłem szorstko — nie męcz się mówieniem; skoro ci jest niedobrze, to nie ma sensu, zaczekaj choć, aż wrócimy.

Uśmiechnęła się smutno i ścisnęła mi rękę. Zrozumiała, że nie ma co ukrywać przede mną tego, com odgadł zaraz: że miała przed chwilą mały atak.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strona-guermantes-czesc-pierwsza>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, Strona Guermantes, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1938.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Magdalena Szudziak, Paulina Choromańska, Tadeusz Boy-Żeleński, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0713-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).